

HISTORIA PRAWDA TERAŻNIEJSZOŚĆ

JAK PROWADZIĆ STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE W KONTEKŚCIE PRZESZŁOŚCI?

DIAGNOZY, RECEPTY,
ZAPIS DEBAT

REDAKCJA
Damian Bębnowski



HISTORIA
PRAWDA
TERAŻNIEJSZOŚĆ



FUNDACJA IM.
JANUSZA KURTYKI

HISTORIA PRAWDA TERAŹNIEJSZOŚĆ

JAK PROWADZIĆ
STOSUNKI
MIĘDZYNARODOWE
W KONTEKŚCIE
PRZESZŁOŚCI?

DIAGNOZY, RECEPTY,
ZAPIS DEBAT

redakcja
Damian Bębnowski

Warszawa 2019



FUNDACJA IM.
JANUSZA KURTYKI

HISTORIA, PRAWDA, TERAŹNIEJSZOŚĆ

**Jak prowadzić stosunki międzynarodowe
w kontekście przeszłości?**

Diagnozy, recepty, zapis debat

REDAKCJA: Damian Bębnowski

Warszawa 2019

Fundacja im. Janusza Kurtyki
02-521 Warszawa, ul. Rakowiecka 37
www.fundacjaKurtyki.pl
e-mail: nauka@fundacjaKurtyki.pl

TRANSKRYPCJA: Sara Gibska

KOREKTA JĘZYKOWA: Oliwia Kacprzak

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Piotr Perzyna

ISBN 978-83-949511-2-2

© Copyright by Fundacja im. Janusza Kurtyki, Warszawa 2019

Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie
w ramach Programu „Patriotyzm Jutra”



Wstęp	07
I. Relacje polsko-niemieckie	09
1. Głosy świadków Powstania Warszawskiego (Daniela Ogińska ps. „Pszczola”, Jadwiga Łukasik, Jakub Nowakowski ps. „Tomek”)	10
2. Narracje o II wojnie światowej (Katarzyna Jedynakiewicz-Mróż, Piotr Semka)	25
3. Pamięć i polityka historyczna (Joanna Lubecka, Bartosz Korzeniewski, Jerzy Pasieka)	40
Glosa 1: Bartosz Korzeniewski, Jeszcze o relacjach polsko-niemieckich w kontekście pamięci i polityki historycznej	53
Glosa 2: Jerzy Pasieka, Relacje polsko-niemieckie, polityka historyczna w aspekcie procesów sądowych	58
4. Reparacje wojenne (Kazimierz Lankosz, Przemysław Saganek)	63
Glosa 3: Magdalena Balczyk, Kontekst historyczno-prawny roszczeń reparatornych i odszkodowawczych za szkody wyrządzone Polsce w czasie II wojny światowej	71
Glosa 4: Kazimierz Lankosz, Zagadnienia prawne i prawnomiędzynarodowe związane z oświadczeniem rządu PRL z dnia 23 sierpnia 1953 roku o zrzeczeniu się przez Polskę reparacji wojennych ze strony Niemiec	77
Glosa 5: Przemysław Saganek, Prawnomiędzynarodowe skutki II wojny światowej – problem wyboru paradygmatu	83
II. Relacje polsko-żydowskie	89
1. Administracja USA (Bronisław Wildstein, Tomasz Płudowski, Artur Wróblewski)	90
Glosa 6: Tomasz Pietryga, Wpływ administracji amerykańskiej na relacje polsko-żydowskie	105
2. Działalność Instytutu Jad Waszem (Joanna Dyduch, Grzegorz Berendt, Andrzej Żbikowski)	109

Glosa 7: Joanna Dyduch, Izraelczycy i Polska. Ocena i przyszłość stosunków polsko-izraelskich (żydowskich) z historią w tle	123
Glosa 8: Grzegorz Berendt, O badaniach na temat relacji polsko-żydowskich w okresie okupacji niemieckiej	128
3. Narracje o Holokauście (Waldemar Chrostowski, Marcin Urynowicz, Miłosz Lodowski)	133
Glosa 9: Marcin Urynowicz, Relacje polsko-żydowskie a narracje o II wojnie światowej. Wyzwania dla przyszłości	144
Glosa 10: Miłosz A. Lodowski, Jak skutecznie kształtować polską soft power?	150
III. Relacje polsko-rosyjskie	159
1. Pamięć o Zbrodni Katyńskiej (Wojciech Materski, Tadeusz Wolsza, Witold Wasilewski)	160
Glosa 11: Witold Wasilewski, Zbrodnia Katyńska na tle rosyjskiej polityki historycznej	175
Glosa 12: Maciej Wyrwa, Polskie Cmentarze Wojenne w Katyniu i Miednoje jako element rosyjskiej polityki pamięci	181
2. Narracje o komunizmie i Związku Sowieckim (Andrzej Nowak, Hieronim Grała, Witold Jurasz)	188
3. Koncepcje panslawistyczne (Alicja Curanović, Henryk Głębocki, Radosław Żurawski vel Grajewski)	206
IV. Relacje polsko-ukraińskie	225
1. Pamięć o Rzezi Wołyńskiej (Ewa Siemaszko, Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Leon Popek)	226
2. Wokół bitwy o Lwów w 1918 roku (Mykoła Łytwyn, Jan Pisuliński, Damian K. Markowski)	241
Glosa 13: Damian K. Markowski, Lwowski listopad <i>anno Domini</i> 1918 – cezura w dziejach dwóch narodów	256
3. Rozdroża pamięci, sporne problemy historyczne (Grzegorz Motyka, Jarosław Syrnyk, Łukasz Adamski)	261

WSTĘP

Profesor Janusz Kurtyka (1960-2010), pełniąc funkcję Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej (2005-2010), stwierdził w 2006 r.: „Wszystkie państwa europejskie traktują swoje wizje historii jako element kreowania swego wizerunku i wymuszania na sąsiadach akceptacji tego wizerunku. Polska jako państwo jest pod tym względem outsiderem, mimo że społeczeństwo polskie jest przesiąknięte historią bardziej niż społeczeństwa sąsiednie. Dobrze byłoby, gdyby udało się zorganizować mechanizm promowania tego, co państwo polskie uważa za swój powód do dumy”. Powyższe przesłanie wyznacza zasadniczy kierunek działalności Fundacji im. Janusza Kurtyki.

Wydawnictwo prezentowane Czytelnikowi wieńczy pierwszą odsłonę dużego projektu pt. „Historia, prawda, teraźniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości?”. Polegał on na zorganizowaniu w latach 2018-2019 cyklu debat, który został podzielony na cztery części, przy czym każda podejmowała problematykę relacji Polski z kluczowymi partnerami: Niemcami, Izraelem, Rosją i Ukrainą. Zespół fundacji dostrzegł bowiem lukę, dotyczącą jakości stosunków z wymienionymi państwami. Okazuje się, że ich dynamika wynika często z trudnych doświadczeń historycznych. Dyskusje opierały się na dwóch zasadniczych wymiarach. Z jednej strony rozmówcy nakreślali diagnozę problemów dyplomatycznych, wynikających ze wspólnej historii Polski i partnerów, z drugiej zaś próbowali formułować recepty dla instytucji państwowych w celu budowania trwałych i wymiernych relacji obustronnych. Książka stanowi zapis konfrontacji poglądów na te tematy.

Zaproszenie do udziału w projekcie zechcieli przyjąć znamienici eksperci, reprezentujący różne dziedziny wiedzy i profesje: naukowcy, analitycy, publicyści, działacze społeczni. Wywodzą się oni z najważniejszych ośrodków akademickich w Polsce, instytucji publicznych bądź redakcji. Na dodatkowe podkreślenie zasługuje fakt, iż uczestnicy cyklu debat, mimo swoich niewątpliwych kompetencji, przeważnie nie są osobami medialnymi. Wzbudza to pewne zdziwienie i niedosyt. Być może cykl i książka przyczynią się do zmiany tej sytuacji.

Koncepcja projektu w sposób szczególnie odzwierciedla profil działalności fundacji. Jej zespołowi przyświeca bowiem przekonanie, że historia w znaczeniu *res gestae* i *rerum gestarum* łączy w sobie wszystkie trzy wymiary czasu: przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość. Źródłem tożsamości i rozumienia kontekstów teraźniejszości jest przeszłość. Na tej zaś podstawie można formułować prognozy dotyczące przyszłości. W ów uniwersalizm, który określiłem niegdyś jako „panhistorię” (tj. wszechobecność historii), wpisują się niniejszy projekt oraz misja fundacji. Okazuje się, że trudno zrozumieć specyfikę stosunków Polski z określonym krajem

bez odniesień retrospektywnych. Chyba jeszcze trudniejsze jest wyznaczanie kierunków rozwoju tych relacji, oparte na tak zredukowanej perspektywie. Co więcej, trójwymiarowa czasowo analiza stosunków międzynarodowych zawiera się w szerszym oglądzie i potrzebie zrozumienia otaczającej nas rzeczywistości, zarówno w skali lokalnej (małych ojczyzn), krajowej, jak i globalnej. Ograniczę się do jednej egzemplifikacji. Jest nią propozycja zaprezentowana w poczytnych ostatnio pracach Yuvala Noaha Harariego, która wywołała intelektualny ferment. Niezależnie od tego, czy się z nią utożsamiamy czy nie, przykład ten stanowi ilustrację sytuacji, że tego typu refleksja nadal w naszym kraju nie występuje w formie zadowalająco rozwiniętej. Dotyczy to także społecznej i instytucjonalnej debaty na temat polityki zagranicznej Polski w odniesieniu do historii i proponowania na tym polu recept, które nie tylko będą przez organy państwowe „słyszane”, ale i „słuchane”.

Cały cykl obejmował trzynaście debat zorganizowanych między 14 listopada 2018 roku a 26 listopada 2019 roku. Wszystkie odbyły się w Warszawie, w Bibliotece im. Janusza Kurtyki. Wyjątek stanowiły dwie dyskusje, dotyczące stosunków z Ukrainą, które miały miejsce w Belwedrze, w związku z uroczystą galą podsumowującą III edycję Konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki. Jej Laureatem został dr Damian K. Markowski, autor książki pt. „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918” (Kraków 2019). Cykl debat był częścią projektu pt. „Klaster pozarządowy dla Rzeczypospolitej – na styku nauki, kultury i edukacji obywatelskiej. Nowe miejsce debaty o Polsce”, który został dofinansowany ze środków programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich. Projekt „Historia, prawda, terażniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości?” dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie, w ramach programu „Patriotyzm Jutra 2019”. Partnerami przedsięwzięcia były organizacje: Stowarzyszenie Studentów dla Rzeczypospolitej oraz Fundacja dla Rzeczypospolitej. Patronatu medialnego udzielili z kolei: „Rzeczpospolita”, „Uważam Rze Historia”, „Do Rzeczy”, historykon.pl oraz blogpress.pl.

Książka przyjmuje układ problemowy, odbiegając od chronologii kolejnych dyskusji. Poszczególne segmenty pracy odpowiadają relacjom Polski z Niemcami, Izraelem, Rosją i Ukrainą. Każdy rozdział w danym segmencie jest transkrypcją przeprowadzonych rozmów. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest specyficzna forma zapisów debat, co odzwierciedla charakter języka mówionego. Rozdziały otwierają syntetyczne informacje, uwzględniające pełny tytuł określonej debaty, datę i miejsce spotkania oraz wykaz zaproszonych gości. Pominęto pytania publiczności, co skutkuje różną objętością poszczególnych zapisów. Niektórzy eksperci zgadzili się nadesłać dodatkowe teksty, porządkujące lub uzupełniające ich wywody. Zostały one dołączone do odpowiednich rozdziałów jako glosy.

Sądzę, że kolejna inicjatywa fundacji, z owocami której Czytelnik ma szansę się zapoznać, trzymając w ręku niniejszą książkę, wypełnia choćby częściowo lukę wskazaną przez Profesora Kurtykę w przywołanym na początku cytacie. Ufam, że nie jest to nasze ostatnie słowo.

Damian Bębnowski
Wiceprezes Zarządu ds. nauki
Uniwersytet Łódzki

I. RELACJE
POLSKO-
-NIEMIECKIE

Wieczór wspomnieniowy pt. „*Za każdy kamień
twój, stolico...* – spotkanie ze świadkami
Powstania Warszawskiego” odbył się
7 sierpnia 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

GŁOSY ŚWIADKÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W rozmowie udział wzięli:

Daniela Ogińska, ps. Pszczoła,
Jadwiga Łukasik
oraz Jakub Nowakowski, ps. Tomek.

Spotkanie poprowadził
Piotr Brulikis
(Fundacja im. Janusza Kurtyki).

Piotr Brulikis: Witam Państwa bardzo serdecznie. Jako Fundacja im. Janusza Kurtyki zdecydowaliśmy się zorganizować spotkanie z powstańcami warszawskimi. Stwierdziliśmy, że brakuje okazji do wysłuchania świadectw bohaterów, nawet podczas obchodów rocznicy wydarzeń z sierpnia 1944 roku. Tym bardziej dziękujemy tak za liczne przybycie.

Chciałbym przedstawić naszych szanownych gości: panią Daniełę Ogińską, ps. Pszczoła, strzelca i sanitariuszkę 7. Pułku Piechoty Legionów „Garłuch”, harcerkę z czasów konspiracyjnych; panią Jadwigę Łukasik, córkę powstańca warszawskiego, kaprała Kedywu Armii Krajowej, ocalałej z ludobójstwa na Woli; pana Jakuba Nowakowskiego, ps. Tomek, starszego strzelca Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej w Brygadzie Dywersyjnej „Broda 53”, dokładniej batalionie „Zośka”, 1. kompanii „Maciek”, 1 plutonie, a w okresie Powstania Warszawskiego w II Obwodzie „Żywiciel” (Żoliborz) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej, dokładniej zgrupowaniu „Żniwiarz”, plutonie 226.

Chciałbym, żeby osoby, które po raz pierwszy mają możliwość spotkania z bohaterami Warszawy, usłyszały na żywo ich świadectwa i relacje. Zacznę od pani Danieli Ogińskiej – czym dla pani było powstanie?

Daniela Ogińska, ps. Pszczoła: Powstanie było przez nas wszystkich, podporządkowanych rozkazom, długo wyczekiwane. Szykowaliśmy się do niego od początku okupacji, chcieliśmy za wszelką cenę odplącić się Niemcom za ich okrucieństwo. Musieliśmy się do tego jednak solidnie przygotować. Wybuchowi walk towarzyszyła ogromna radość, że możemy nareszcie zorganizować się w sposób, w jaki chcemy.

Piotr Brulikis: Bardzo dziękuję i to samo pytanie kieruję do pana Jakuba Nowakowskiego. Czym było dla pana powstanie warszawskie?

Jakub Nowakowski, ps. Tomek: Z jednej strony było wielką tragedią, ponieważ nasza stolica uległa zagładzie, została zrównana z ziemią na rozkaz Hitlera i Himmlera. Ludność, jeśli nie zginęła, została rozegnana po całej Polsce, wielu trafiło do obozów koncentracyjnych. Spośród nas, walczących, poległo około dwudziestu tysięcy. Z drugiej strony powstanie stanowiło swoisty sprawdzian. Nie zawiedliśmy, gdy mogliśmy wykazać się wolą walki o niepodległą Polskę. Zaznaczę też, że tragedia Warszawy nie była spowodowana jedynie wybuchem powstania. Gdyby nawiązała się walka między Armią Czerwoną a Wehrmachtem bez naszego udziału, miasto również uległoby zniszczeniu, a mieszkańcy zdolni do pracy, w wieku poborowym, zostaliby aresztowani i w większości wymordowani. Dodatkowo okrylibyśmy się niesławą z powodu naszej bierności. Nasz los był już przypieczętowany, dlatego woleliśmy zginąć w walce.

Po upadku powstania trafiliśmy do niewoli niemieckiej, która nie była przyjemna, ale nadal lepsza niż wysyłka w głąb Rosji. Właśnie w ten sposób postrzegam to wydarzenie – jako nieuniknioną tragedię, a jednocześnie dowód poświęcenia dla wolnej ojczyzny.

Piotr Brulikis: Wkroczenie armii radzieckiej do Wilna dawało w pewnym stopniu nadzieję, ale na szczęście w narodzie polskim pozostał duch, który nakazywał brak zaufania wobec Rosjan. Pani Jadwigo, panią również chcę zapytać o osobisty stosunek do Powstania Warszawskiego. Jak pani wspomina początek walk 1 sierpnia 1944 roku? Przejdę również od razu do tak zwanej „czarnej soboty”, czyli dnia 5 sierpnia i wydarzeń na warszawskiej Woli. Co pani wówczas przeżyła?

Jadwiga Łukasik: W momencie wybuchu powstania warszawiacy byli już na nie przygotowani. Wiedzieli, że w przeciągu kilku dni musi wybuchnąć protest narodu polskiego przeciwko niemieckiemu terrorowi. Również mój ojciec, jako żołnierz Armii Krajowej, przygotowywał nas do tego wydarzenia. Jestem mieszkanką Woli, tam się urodziłam. Pamiętam, że jeszcze przed 1 sierpnia 1944 roku ulicami maszerowały wojska kozackie, a nad miastem latał kukuźnik i zrzucał ulotki w języku polskim z hasłem „Polacy do broni”. Wynika z tego, że Armia Czerwona nawoływała Polaków do powstania. 30 lipca na obiedzie w moim rodzinnym domu obecni byli koledzy ojca z oddziału, ciocia oraz Żyd, który od prawie 1942 roku się u nas ukrywał. Wszyscy byli bardzo smutni, ponieważ dowiedzieli się, że wojska radzieckie cofnęły się od brzegu Wisły, z Pragi aż po Radzymin. Starsi mówili, że zostaliśmy zdradzeni i pozostawieni sami sobie. Podczas obiadu moja mama smutno zanuciła piosenkę Mieczysława Fogga „Ta ostatnia niedziela”, którą podchwycili goście. Do dzisiaj pamiętam tę smutną nutę. Faktycznie, była to nasza ostatnia niedziela. 1 sierpnia 1944 roku mój tata poszedł do pracy, ale już nie wrócił do domu. O godzinie 13 na rogu ulic Wolskiej i Płockiej rozstawiły się niemieckie patrole – oni również wiedzieli, że coś ma się wydarzyć. Pamiętam zamieszanie i nerwową atmosferę. Miałam wówczas osiem lat. Padał deszcz, a ja bawiłam się na podwórzu z sąsiadem o imieniu Wojtuś, sześciolatkiem synem państwa Paduchów. Wspominam o tym, ponieważ później cała rodzina zostanie rozstrzelana. W pewnym momencie zaczęły wyc syreny, usłyszałam strzały. Rodzice zawołali nas szybko do domu i tak wszystko się zaczęło. O godzinie 22 mój tata przyszedł na podwórze z sześćdziesięcioma żołnierzami. Był zdenerwowany, ponieważ magazyny z bronią, które znajdowały się w pobliżu Powązek, zostały zdradzone. Podejrzewano o to ludzi, którzy współpracowali z armią radziecką i występowali przeciwko Armii Krajowej. Cały oddział został jedynie z butelkami benzyny w kieszeniach.

Mieszkałam przy ulicy Płockiej 23, blisko skrzyżowania z ulicą Wolską. Tata ostrzegł wszystkich sąsiadów, że to bardzo niebezpieczne miejsce ze względu na niemiecką barykadę i szosę wschód-zachód, którą przemieszczały się wojska. Kto posłuchał i ewakuował się o kilka domów dalej, ocalał. Niektórzy uważali jednak, że nie dojdzie do takiej tragedii. Razem z mamą poszliśmy do cioci, naprzeciwko Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej. Ojciec powiedział, że będzie walczył. Jego oddział miał już obstawione pozycje przy cmentarzu ewangelickim, gdzie zaczęły się walki powstańcze. Z czasem Armia Krajowa zaczęła ustępować Niemcom, którzy byli jednocześnie zasilani od strony obozowej przez pancerne wagony. Drugiego dnia również padało. Rankiem Niemcy wypędzili nas z domu mojej cioci przy ul. Płockiej 31 i w ten sposób zdobyli barykadę. Szliśmy w deszczu, pędzeni przed czołgiem. Ludzie krzyczeli do powstańców, którzy siedzieli na dachach, aby nie strzelali. Wiadomo było, że do swoich nie będą strzelać. Tak dotarliśmy do kościoła św. Wojciecha, pełnego rannych. Dzięki temu, że

mama znała język niemiecki, udało nam się stamtąd uciec. Widziała, że Niemcy dziesiątkowali ludzi, co dziesiątą osobę wyprowadzali na zewnątrz i rozstrzeliwali pod murem. Bała się, że padnie albo na mnie, albo na nią, i któraś z nas zostanie osamotniona. Mama podeszła do Niemca i powiedziała mu, że musi wyjść, ponieważ zostawiła dziecko w domu, ale wróci razem z nim. To było naiwne tłumaczenie, ale żołnierz miał odruch ludzkiego sumienia i się zgodził. Byliśmy tam ciocia, mama, ja i gospodyni, która w czasie okupacji przynosiła nam żywność. Mama wskazała na nas i powiedziała, że to jej rodzina, matka, siostra i córka. Niemiec powiedział: „Dobrze, wypuszczę was, ale nie teraz. O godzinie 14 nastąpi zmiana warty i w tym czasie będę sam”. Mama zdjęła z palca pierścionek i dała mu w zamian za pomoc. Uprzedził jeszcze, że będzie strzelał, ale w innym kierunku i poinstruował nas, żeby iść po stronie przeciwnej niż kościół, bo tam „gołębiarze”, czyli snajperzy, usuwają każdego, kto choćby wysunie głowę. Rzeczywiście tak się stało. Wszystkie cztery wydostałyśmy się z budynku i przebiegłyśmy na drugą stronę, do ulicy Płockiej. Byliśmy zmęczone, więc skryłyśmy się w bramie fabryki. Mury miała grube na około pół metra. Usłyszałyśmy tupot nóg. Mama lekko wyjrzała zza rogu i zobaczyła mężczyznę biegnącego z dzieckiem, co najwyżej dwuletnim, a za nimi Niemca krzyczącego „Halt! Halt!”. Palił się jeden z domów znajdujących się przy fabryce. Tamten człowiek się zatrzymał, a żołnierz wyrwał mu dziecko za nóżkę i rzucił jak śmiecia do płomieni. Mężczyzna rzucił się na Niemca, ale ten był uzbrojony. Wystrzelał w niego prawie cały magazynek. Bałyśmy się, że zaraz przyjdzie kolej na nas. W końcu usłyszałyśmy oddalające się kroki i okazało się, że Niemiec wrócił do tamtego budynku.

Wielkim przeżyciem było przeskakiwanie z ulicy na ulicę, jakby człowiek przekraczał linię frontu. Udało nam się przemknąć pod murami i dotrzeć do domu pod numerem 31. Tam ukrywałyśmy się do dnia 5 sierpnia 1944 roku. Mój ojciec dowiedział się, że tam przebywamy. Przyniósł nam trochę żywności, bo nikt nie był przygotowany pod kątem zapasów. Potem pojawił się jeszcze może dwa razy. Co chwilę docierały do nas informacje o ofiarach, na przykład że „na Ursynowie zginęło kilka tysięcy ludzi”. W końcu dostałyśmy wiadomość, że naprzeciwko jest strzelanina. Ze szpitala wyprowadzano ludzi. Tych chorych, którzy szli o własnych siłach, lekarzy oraz pielęgniarki prowadzono pod wiadukt i tam rozstrzeliwano. Reszta została w łózkach, już zabita. W szpitalu znajdowali też ranni niemieccy żołnierze, dla których pozostawiono przy życiu część personelu. Następnie Niemcy pojawili się w naszej kamienicy i zapytali dozorczynię, która cały czas stała przy bramie na warcie, czy w budynku pozostali jacyś ludzie. Odpowiedziała, że zostali wypędzeni 2 sierpnia i nie wie, co się z nimi stało. W tym czasie w piwnicach ukrywało się bardzo dużo ludzi. Niemcy wyprowadzili na ulicę dozorczynię z całą rodziną, w tym dwojgiem małych dzieci, i rozstrzelali pod bramą. Wszyscy mieszkańcy padli wtedy na kolana i zaczęli modlić się za ich dusze. Od dawna moim marzeniem jest, aby w drzwiach budynku umieścić tablicę upamiętniającą jej bohaterską śmierć. Jestem na tropie jej nazwiska. Niemcy wypędzili nas później z kamienicy przy pomocy psów i granatów. Budynek składał się z czterech oficyn, w których można było się skryć, ale nie wszyscy dali radę. Opuściłyśmy dom 6 sierpnia przed południem, mama nie zdążyła się przebrać, więc na szlafrok narzuciła palto. Mnie też dała płaszcz, granatowy z granatowym kołnierzem i buciki na nogi. Zabrała z domu wszystko, co mogła, więc byłyśmy przygotowane na ewentualną tułaczkę. Miała też przy sobie koszyczek z drobiazgami. Jeden z Niemców powiedział jej: „Tam, gdzie idziesz, nie będzie ci to potrzebne”. Wypędzili nas na ulicę, zaczęli płądrować mieszkanie, zabrali mamie jej koszyk. Wtedy też zobaczyłam obraz, którego nie da się opisać. Zmarli leżeli przed szpitalem pokotem. Pod sąsiednim domem o numerze 35 rozstrzelano mieszkańców. Ciała były rozjechane przez czołgi na miazgę. Niemcy kazali nam ustawić

się równo czwórkami. Zesztywniałam. Wcześniej, prawdopodobnie w czwartek, na nasz dom spadła bomba zapalająca. Regał w piwnicy spadł na mnie, więc byłam mocno poturbowana, miałam złamany nos. Nie mogłam iść z powodu szoku. Mama i ciocia chciały wziąć mnie na ręce, ale nieznanemu mężczyźnie je powstrzymał, ponieważ przed chwilą, gdy dwie córki chciały pomóc swojej sparaliżowanej matce, Niemiec natychmiast ją zastrzelił. W związku z tym mama z jednej strony, a ciocia z drugiej, wzięły mnie pod pachy i ciągnęły ze sobą, aż oprzytomniałam. Szliśmy ulicą Górczewską, wszędzie leżały ciała i splądrowane walizki. Niektórzy ludzie leżeli tam już dwa-trzy dni, wokół unosiło się pełno much. Niemcy nie mogli znaleźć miejsca na rozstrzelanie nas, ponieważ byliśmy dużą grupą, z ulic Działdowskiej, Górczewskiej i Płockiej. Wodzili nas tak w różne strony. Paliły się domy, czuć było zapach rozkładających się i płonących ciał. Doszliśmy do ulicy Elekcyjnej, tam żołnierze zaczęli się sprzeczać, postali chwilę. W końcu doprowadzili nas do ulicy Wolskiej.

Na skrzyżowaniu znajdowała się kuźnia, a w niej przykryto ciała na kilka metrów długości. Mnie, jako ośmioletniej dziewczynce, wydawała się ona olbrzymia. Palili się tam już ludzie. Wśród nich leżała młoda kobieta z małym dzieckiem, które najprawdopodobniej wypadło jej z rąk w momencie strzału. Ustawiono nas na rogu ulicy i kazano stać raz przodem, a raz tyłem do stosu ciał. Było nas mnóstwo. Pamiętam, że pędził nas Ukrainiec, ubrany, mimo upału, w nieprzemakalny płaszcz. Gdy ustawiał nas do rozstrzelania, powiedziałam do mamy: „Patrz, w parku Sowińskiego są ludzie”, a ona odpowiedziała: „Dziecko, tam są Niemcy”. Rzeczywiście, to były rodziny niemieckie, które uciekały z Polski. Okazało się, że później tam też rozstrzelano ludzi. Musiałam spokojnie czekać, więc zaczęłyśmy rozmawiać. „Jak jest w niebie? Nie chcę, mam, umierać. Nie chcę, żebyś ty też umierała”. Inni w tym czasie śpiewali pieśni religijne, między innymi „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud”. To był dzień katolickiego święta Przemienienia Pańskiego. Gdy ktoś klękał, Niemcy kazali mu wstawać. W końcu okazało się, że nie mogą nas rozstrzelać, ponieważ 6 sierpnia o godzinie 6 od dowództwa wyszedł rozkaz, aby nie zabijać cywilów. Żołnierze AK walczący na froncie zachodnim postawili wcześniej ultimatum, że każdy żołnierz niemiecki złapany podczas walk lub przez powstańców zostanie od razu rozstrzelany, jeśli nie ustanie rzeź mieszkańców Warszawy. Ukrainiec krzyknął jeszcze: „Nie znam takiej decyzji, muszę rozstrzelać tych ludzi”. Mama wszystko przekładała na język polski. W końcu powiedział do jednego z Niemców, że daje mu pięć minut na przyniesienie mu rozkazu. Żołnierz wsiadł do samochodu – albo na motor, już nie pamiętam – i pojechał do dowództwa, które znajdowało się niedaleko, przy cmentarzu Wolskim, w miejscu obecnej komendy policji. Ukrainiec zobaczył, że mija wyznaczony czas i zaczął wydawać rozkazy. Pożegnaliśmy się, ludzie przestali śpiewać, zrobiło się cicho. Ukrainiec zaczął liczyć. Dotarł do liczby osiem, a po liczbie dziesięć miała paść salwa. Słysząc już było szcęk broni. Stałam między cicią a mamą, ściskając je za ręce. Wtedy rozległ się warkot samochodu, z daleka dotarło do nas niemieckie „Halt! Halt!”. Ukrainiec zakręcił chorągiewką na dwie sekundy przed salwą. Wszyscy trafiliśmy do obozu, do fortu Wola, ale to już kolejny rozdział tej historii.

Piotr Brulikis: Biorąc w kłamrę wydarzenia na Woli, w „Przystanku historia” 28 września odbędzie się konferencja, podczas której historycy i prawnicy wysuną postulat, aby uznać je oficjalnie za ludobójstwo. Wiadomo, jakie jednostki brały udział w pacyfikacji ludności cywilnej Woli, Ochoty i Marymontu, istnieje zatem nadzieja, że określanie oprawców jako „hitlerowców” zostanie zastąpione mianem „Niemcy oraz wschodnie jednostki kolaboracyjne”. Na tablicach pamiątkowych projektu Karola Tchorka pojawią się informacje w różnych językach, wraz z białą-czerwoną opaską symbolizującą polskie ofiary – aby

w przyszłości nikt nie zarzucał Polakom bierności albo odpowiedzialności za tę tragedię. Pokolenie naszych dziadków walczyło o niepodległy kraj, a nasze pokolenie walczy o pamięć historyczną.

Mam teraz pytanie do pana Jakuba Nowakowskiego: jakie momenty z czasu Powstania Warszawskiego zapamiętał pan jako gorzkie lub szczególnie radosne? Co utkwiło panu w pamięci?

Jakub Nowakowski, ps. Tomek: Powstanie było tragicznym wydarzeniem i trudno znaleźć w nim jakieś pozytywy. Najbardziej radosne chwile przeżyaliśmy, walcząc w pierwszym okresie powstania na Żoliborzu, tam, gdzie kończy się ulica Słowackiego, a zaczyna Marymoncka, z bazą wyjściową w Wyższej Szkole Pożarniczej. Strzeżliśmy dostępu do ulicy Słowackiego i patrolowaliśmy teren fabryki Opla. Zapuszczały się tam niemieckie patrole, które za każdym razem likwidowaliśmy. Zdobywaliśmy wtedy broń, coraz więcej broni. Cieszyliśmy się, bo na początku byliśmy bardzo słabo uzbrojeni, niektórzy posiadali zaledwie jeden granat. To były radosne wspomnienia.

Gorzkich momentów było znacznie więcej. Opowiem o natarciu na Dworzec Gdański w dniach 20-22 sierpnia 1944 roku. Żoliborz był oddzielony od Starego Miasta torami kolejowymi, Dworcem Gdańskim i Cytadelą. W pewnym momencie dowództwo podjęło decyzję, że okręgi Żoliborz i Kampinos muszą połączyć się ze Starym Miastem, aby pomóc żołnierzom walczącym w tej dzielnicy. Stare Miasto już dogorywało, było wściekle przez Niemców atakowane, ostrzeliwane i bombardowane. Z daleka wyglądało jak układ płonących i dymiących gruzów. Wierzyć się nie chciało, że tam jeszcze walczyli powstańcy, między innymi główne siły „Zośki”. Przypuściliśmy wobec tego szaleńczy atak na Dworzec Gdański, ale nie byliśmy wystarczająco wyposażeni. Jeżeli atakuje się dobrze umocnione pozycje nieprzyjaciela, trzeba je na początku ostrzelać z moździerzy i granatników, ewentualnie zbombardować z samolotów, a dopiero potem uderzyć piechotą. Nie mieliśmy broni ciężkiej, więc trzymaliśmy się nadziei, że w ciemności uda nam się zaskoczyć wroga. Okazało się to jedynie złudzeniem, ponieważ Niemcy byli świetnie rozmieszczeni wzdłuż torów i posiadali pociąg pancerny z działami. Był wyposażony w granatniki i moździerze oraz całe gniazda karabinów maszynowych, które strzelały gęstym ogniem. Atakowaliśmy w nocy. Niemcy co pewien czas wystrzelali rakietę, aby oświetlić swoje przedpole, ponieważ obawiali się natarcia z naszej strony. Padaliśmy wtedy na ziemię, a gdy tylko zapanowała ciemność, wstawaliśmy i biegliśmy do przodu. Dotarliśmy blisko ich pozycji, gdy wreszcie nas dostrzegli, a raczej, jak przypuszczam, celowo nas do siebie dopuścili. Zaczął się piekielny ostrzał, który przygwoździł nas do ziemi. Około pół metra nad ziemią powstał sufit ogniowy, ponieważ Niemcy strzelali pociskami zapalającymi. Kto próbował się podnieść, zostawał w najlepszym razie ciężko ranny. Doznaliśmy wielu strat, ja na szczęście doznałem tylko lekkich obrażeń. Dobrze, że trafiono we mnie, a nie w butelki zapalające, które ze sobą niosłem, żeby podpalić baraki przy Dworcu Gdańskim. Obok poległ mój dobry kolega, prawdopodobnie próbował zająć stanowisko ogniowe i został trafiony. W pewnym momencie podpełzł do mnie dowódca naszej grupy zośkowej i powiedział, że się wycofujemy. Wówczas ostrzał już zelżał i strzelanina stała się rzadsza. Poderwałem się i dobiegłem do wyjściowego punktu przy ulicy Zajęcza. Zaraz po naszym natarciu nastąpił szturm głównych sił „Zośki”, częściowo wspieranych, od strony Starego Miasta. Niestety on również został odparty, z wielkimi stratami. Poległo dwudziestu dwóch zośkowców. To był jeden z najgorszych momentów powstania.

Daniela Ogińska, ps. Pszczoła: Z chwil radości opowiedz, jak zdobyliście furgonetkę granatów.

Jakub Nowakowski, ps. Tomek: To był szczęśliwy traf. Wracając jeszcze do historii natarcia – brało w nim udział zgrupowanie „Żniwiarz”, do którego należałem, i partyzanci z Kampinosu na prawym skrzydle. Byli bardzo liczni, wielu przybyło z Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny. Posiadali też lepsze uzbrojenie, mieli trochę lekkich karabinów maszynowych i granatników. Mimo tego oni również musieli przylgnąć do ziemi, gdy trwał ostrzał. Bardzo wielu poległo.

Chciałem jednak mówić o radosnym momencie. Gdy stacjonowaliśmy w Wyższej Szkole Pożarniczej, przed naszą twierdzą często zajeżdżały niemieckie pojazdy i zakręcały, ponieważ przejazd na ulicę Słowackiego był zablokowany przez barykadę. Pewnego dnia pojawiła się tam duża ciężarówka, którą ostrzelaliśmy. Niemcy uciekli i zostawili samochód. Zastanawialiśmy się, czy go przejąć, ponieważ już znaleźliśmy niemiecki podstęp ze Starego Miasta w postaci czołgu-pułapki. Po naradzie wprowadziliśmy ciężarówkę na nasz teren i odkryliśmy, że jest ona pełna skrzyń z małymi granatami, tak zwanymi „jajkami”. W sumie były ich cztery tysiące. Po tym wydarzeniu Niemcy przysłali samochody pancerne, które wściekle ostrzelały nasz bastion. Podziurawili budynek jak ser szwajcarski, ale nie zdobyli się na atak. Wystrzelili wszystkie pociski i wrócili.

Piotr Brulikis: Mam pytanie do pani Danieli, na które odpowiedź mnie bardzo interesuje. Skąd pomysł na pseudonim „Pszczoła”?

Daniela Ogińska ps. Pszczoła: Na początku okupacji nastąpiło ogromne przemieszczenie ludności, ponieważ wyznaczono nowe granice. Wielkopolska znalazła się na terenie III Rzeszy, a my w Generalnej Guberni. Florian Marciniak – harcerz, pierwszy naczelnik Szarych Szeregów – został wtedy wypędzony z Poznania. Jeden z tamtejszych hufców miał piosenkę o pszczołach, od której cała organizacja przyjęła kryptonimy. Dowództwo było pasieką, chorągwie ulami, hufce to roje, rodzinami były drużyny, a zastępy – pszczołami. Dlatego jestem pszczołą.

To były nasze małe radości, gdy mogliśmy się spotkać i pośpiewać harcerskie piosenki, a ja jestem harcerką od 1942 roku. Byłam wtedy uczennicą szkoły im. Klementyny Hoffmanowej, która mieściła się przy ulicy Zgoda 15. Po dwóch miesiącach mojego żołnierskiego życia zostałam zaprzysiężona w „Garłuchu” jako sanitariuszka. Podczas okupacji młodzież nie ma prawa znać wszystkich kryptonimów, ponieważ zachowanie tajemnicy gwarantuje pewną konspirację. Dopiero gdy zostałam skoszarowana z dowódcą oddziału, majorem Wysockim, wyjawiono mi jego nazwę. Wcześniej znałam tylko kobietę, której składałam przysięgę żołnierską. Wiele lat później, w 1984 roku, uczestniczyłam w spotkaniu pewnego środowiska, które wydawało swoje pismo. Wzięłam ze sobą egzemplarz i przeczytałam głośno mojemu mężowi, który również był z „Garłucha”, ale nie znał nazwy oddziału, operował tylko nazwą swojej kompanii. Powiedziałam: „Popatrz, mój dowódca, Wysocki dostał Virtutti Militari”, a mój mąż odpowiedział: „Jak to, twój dowódca? To był mój dowódca”. Taka była konspiracja. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o powstaniu, a jesteśmy małżeństwem od 1951 roku. Mój mąż był uczestnikiem walk, atakował lotnisko Okęcie. Ich grupa szła od strony wschodniej, na Zągościńcu, gdzie operował Dunikowski, my zaś szliśmy od strony zachodniej. Ostrzał był bardzo silny, stacjonowaliśmy pod lotniskiem w kapuście i kartoflach. W środku nocy dotarł do nas łącznik, ale do tamtego oddziału już się nie przedarł. Spośród stu sześćdziesięciu czterech osób sto dwadzieścia leży na Powązkach. Najczęściej są bezimienne, ponieważ mieliśmy

obowiązek ukryć wszystkie dokumenty. W przypadku aresztowania Niemcy często mścili się na rodzinach powstańców. Również idąc do ataku, nikt oprócz dowódców nie mógł założyć biało-czerwonej opaski.

W momencie, gdy zostaliśmy wycofani, stacjonowaliśmy naprzeciwko fabryki Ursusa na Woli. Po kapitulacji 2 września 1944 roku powstał tam pierwszy obóz. Niemcy zgodzili się, żeby ludność cywilna opuściła Stare Miasto, ale zabijali wszystkich rannych, którzy nie byli w stanie podnieść się z łóżka. Przeżyć mogli tylko ci, którzy dali radę wejść do kanału albo wydostać się razem z cywilami.

Piotr Brulikis: Jeszcze kilka pytań ode mnie. Panie Jakubie, komu lub czemu zawdzięcza pan odwagę? Wśród pokolenia Szarych Szeregów, w plutonie „Maciek”, było wielu wspaniałych młodych ludzi, którzy brali udział w zamachu na Franza Kutscherę, różnych akcjach dywersyjnych. Skąd w panu i pana przyjaciółach patriotyczny duch?

Jakub Nowakowski, ps. Tomek: Zostaliśmy wychowani w taki sposób w wolnej Polsce. Moi rodzice byli wielbicielami marszałka Józefa Piłsudskiego, więc prześląknąłem jego duchem. Szkoła powszechna, jak nazywano wtedy szkołę podstawową, kształciła nas również bardzo patriotycznie. Najpierw chodziłem do placówki prowadzonej przez rodzinę wojskową, a potem do innej, kierowanej przez panią Annę Kościałkowską, była żoną premiera Zyndrama Kościałkowskiego, która była niezwykle oddana ojczyźnie. Z okazji wszystkich rocznic odbywały się tam wspaniałe uroczystości. Najbardziej patriotyczny charakter miało jednak gimnazjum. Zdażyłem skończyć dwie klasy w szkole przy ulicy Kapucyńskiej. W miejscu, w którym się znajdowała, przebiega teraz trasa W-Z, pozostał tylko kamień pamięci. Budynek został zbombardowany i spalony w czasie kampanii wrześniowej. Wychowanie gimnazjalne było mocno militarystyczne, zwłaszcza dla starszych kolegów, ponieważ klasy trzecia i czwarta przechodziły obowiązkowe szkolenia wojskowe. Pamiętam, gdy przyszedł do nas i czytał dzieła marszałka Piłsudskiego znany poeta, który został później rozstrzelany przez Niemców w czasie okupacji.

Potem zaczęła się wojna i nasza bohaterska obrona. Moja rodzina nigdy nie uważała kampanii wrześniowej za haniebnie przegraną. Niektórzy utrzymują tę opinię do dziś, choć nie wiem, na jakiej podstawie liczyli na wygraną. Wmawiano nam wcześniej: „Silni, zwarci, gotowi, nie oddamy nawet guzika”, ale to była tylko propaganda. Wszyscy wiedzieli, że bez żadnego wsparcia jesteśmy bezsilni wobec Niemiec. Atakowały nas od zachodu, północy, z Prus Wschodnich i południa, z zajętego wcześniej Śląska i Słowacji. Od samego początku byliśmy okrążeni, ponadto staliśmy znacznie niżej pod względem technicznym, zwłaszcza jeśli chodzi o lotnictwo. Niemieckie bombardowania już na samym początku zdeorganizowały naszą obronę. Uważam, że obrona Polaków była bohaterska. Zawiedli sojusznicy, przede wszystkim Francja, która mogła zakończyć wojnę po pierwszym roku, gdyby tylko uderzyła bardziej energicznie na III Rzeszę. Niestety, Francuzi nie posiadali woli walki, a ich dowództwo było zacofane i niedołążne. Utworzyło linię Maginota, ale nie doprowadziło jej do samego morza, podczas gdy powinno było ją poprowadzić wzdłuż granicy z Belgią. Przecież czasie pierwszej wojny światowej Niemcy atakowały Francję właśnie od tamtej strony. Porównajmy zatem te dwie kampanie. Francja była atakowana bardzo wąskim przejściem, Niemcy wdzierali się na jej terytorium i dopiero tam rozszerzali front. Polska została oskrzydłona od samego początku walk. Po kampanii wrześniowej zaczęła się okupacja. Poprzez prasę podziemną dochodziły nas słuchy, że działa już Armia Krajowa.

Osobą, która wciągnęła mnie do konspiracji, oraz moim pierwszym dowódcą był Stanisław Buczkowski, ps. Anin. To on przynosił do naszego domu gazety. Wiedzieliśmy, że Polska walczy i że działa nasz rząd na zachodzie, najpierw we Francji, a po jej klęsce – w Wielkiej Brytanii. Upadek Francji był dla nas ogromnym ciosem. Niektórzy starsi ludzie popełniali nawet samobójstwa, bo uważali, że nie ma już dla nas żadnej nadziei. Z drugiej strony pocieszała nas nieco myśl, że Polska, która była o wiele słabsza od europejskich mocarstw, opierała się nadal, nawet zaatakowana od wschodu 17 września 1939 roku. Ostatecznie broniliśmy się przez cztery tygodnie, a Francja zaledwie przez pięć.

W lutym 1942 roku zostałem wciągnięty do konspiracji przez mojego sąsiada z bloku, wspomnianego Stanisława Buczkowskiego. Cała rodzina Buczkowskich była silnie patriotyczna, od dawna prowadziła działalność konspiracyjną, a w jej mieszkaniu odbywały się ważne zebrania i narady. Miałem zaszczyt poznać ludzi, którzy bardzo różnili się w koncepcji walki z Niemcami, przede wszystkim Bronisława Pietraszewicza, ps. Lot, późniejszego dowódcę akcji na Kutschere 1 lutego 1944 roku. Nie mogliśmy przeboleć jego śmierci, która nastąpiła zaledwie kilka dni później, 4 lutego, wskutek ciężkiego zranienia. Był niezwykle dzielny człowiekiem i świetnym organizatorem, nie wywyższał się wobec osób niższych rangą. „Lot” jest jedną z figur podziemia, którą wspominam najlepiej. Równie wybitną postacią był Stanisław Leopold, ps. Rafał, kierujący organizacją PET, czyli „Przyszłość”, do której początkowo należałem. Była to formacja ideowo-wychowawcza, prowadząca edukację na tematy polityczne, społeczne, militarne czy psychologiczne. Jerzy Zborowski, który był naszym dowódcą, stanął potem na czele grup szturmowych Szarych Szeregów, oddziału specjalnego „Jerzy”, a następnie „Parasola”. „Jerzy” przeistoczył się w batalion „Zośka”, z którego trzeciej kompanii wyłoniło się osobne zgrupowanie, najpierw pod nazwą „Agat anty Gestapo”, potem „Pegaz przeciw Gestapo”, a przed samym powstaniem – „Parasol”. Zajmowało się ono głównie likwidacjami, zabijaniem szczególnie okrutnych Niemców i polskich zdrajców. „Zośka”, do której należałem, specjalizowała się głównie w akcjach zbrojeniowych.

Moje patriotyczne wychowanie sprawiło, że nie wyobrażałem sobie braku udziału w Powstaniu Warszawskim, choć od początku wiedziałem, że coś jest nie tak. Przede wszystkim zostało ogłoszone o cały miesiąc za wcześnie. Walki miały rozpocząć się w momencie wkroczenia Sowietów do Warszawy, a w tamtym momencie Niemcy zatrzymali Armię Czerwoną jeszcze przed Pragą. Ponadto między wydaniem rozkazu a godziną „W” minęła zaledwie doba. Tadeusz „Bór” Komorowski nie wytrzymał nerwowo, gdy przekazano mu fałszywą wiadomość o rosyjskich czołgach na terenie stolicy. Podjął decyzję o rozpoczęciu powstania o godzinie 17. Zabrakło wtedy czasu przede wszystkim na opróżnienie magazynów broni, które często znajdowały się z dala od miejsca głównych zbiórek naszych jednostek. Powstał duży bałagan. Wielu nie zdążyło dotrzeć na swoje pozycje, musieli przedzierać się przez tereny zajęte przez Niemców. Nasza grupa żoliborskich zośkowców jest tego najlepszym przykładem, ponieważ na Żoliborzu walki zaczęły się już o godzinie 14. Niemcy wezwali na pomoc czołgi i zanim udało nam się zdobyć broń, zanim wezwano zośkowców z innych okręgów, dzielnica została już odcięta od reszty miasta.

Owszem, pojawiały się błędy, nie wszystko było najlepiej zorganizowane. Mimo tego nie było mowy, żeby ktokolwiek uchylał się od udziału w powstaniu.

Piotr Brulikis: Pani Jadziu, w telegraficznym skrócie: wypędzenie z Warszawy, powrót dopiero w 1958 roku. To kilkanaście lat tułaczki, tęsknoty za swoim domem. Ponadto pani ojca, jako kaprala Kedywu, poszukiwało NKWD, opierając się na donosach części polskiej młodzieży, która dołączała do Polskiej Partii Robotniczej, a następnie wstępowała w szeregi Armii Ludowej. Musieliście się państwo ukrywać w Sochaczewie. Proszę opowiedzieć, jak wyglądało życie po rzezi na Woli.

Jadwiga Łukasik: Gdy wpuściliśmy nas do fortu „Wola” 6 sierpnia 1944 roku, była już prawie noc. Dołączył do nas ksiądz. Dowiedział się, że Niemcy wypuszczają tych, którzy mają rodzinę na Jelonkach. Staraliśmy się stamtąd uciec. W obozach rozgrywały się dantejskie sceny. Kilkuletnie dziewczynki albo kilkudziesięcioletnie kobiety, wszystkie, które spotkały pijane żołdactwo, były w niebezpieczeństwie. Słysząc było ciągle w pobliskich kartoflach: „Jezus Maria! Panie, ratuj! Mamo!”. W związku z tym mama z ciocią zdecydowały, że muszą coś zrobić. Mama podeszła do strażnika, nie wiem, czy to był Niemiec, czy Ukraińiec. Była może godzina 22. Powiedziała, że jej mąż pracuje dla Niemców i chce do niego dołączyć. Nie chciał uwierzyć, dlatego dała mu pierścionek. Miała ich przy sobie dwa albo trzy, jej pierścionki uratowały nam życie. Wtedy się zgodził, wypuścił nas razem z tamtą gospodynią, która przynosiła nam żywność spod Piaseczna. Ciocia miała rodzinę na Jelonkach, państwa Bogackich, do których poszliśmy. Oni byli już spakowani, musieli się ewakuować. Przygotowano dla nich ciężarówkę z gotową listą nazwisk do wywozu, przez co nie mogłyśmy do nich dołączyć. Wyjechali skoro świt i zostaliśmy same. Gospodyni zdecydowała, że spróbujemy przedostać się w kierunku Piaseczna, do wsi Borowina, w której mieszkała. W tym celu trzeba było przeciąć obstawioną przez Niemców szosę wschód-zachód. Cudem przebiliśmy się do drogi i przekraczałyśmy ją pojedynczo, przeskakując pomiędzy snopkami zboża ustawionymi w wielkie kopy. Dotarliśmy w ten sposób do naszego celu, długo po zachodzie słońca. Byliśmy bardzo zmęczone, spragnione i głodne. Nie można było pić wody w rowach lub pobliskich studniach, ponieważ Niemcy zakazali te źródła. Padliśmy na pierwszym napotkanym podwórzu. Mieszkali tam państwo Lenartowie, którzy bardzo nam pomogli. Obmyli nas i doprowadzili do przytomności. U nich przemocowałyśmy pierwsze kilka dni, a potem, dzięki znajomości syna pana Lenarta z wójtem, dostałyśmy w przydziale poniemiecki domek. Wszyscy folksdojczy przed sierpniem 1944 roku uciekli w kierunku Niemiec. Okazało się, że warszawiacy byli napadani tak jak Żydzi, ponieważ bandyci uważali, że my mamy mnóstwo złota. Przychodzili przez pewien czas do naszego domu i mama krzyczała wtedy „Ratunku!”, aż rozchodziło się po całym lesie. Tam ukrywali się z kolei złodzieje, uciekinierzy z pobliskich dzielnic Warszawy oraz partyzanci.

Pewnego dnia zawitał do nas jeden z oddziałów i zapytał o te krzyki. Mama odpowiedziała, że to ona wołała o pomoc. Nawet gdy stawała na stole, napastnicy przez oberluft strzelali jej w nogi. Na szczęście nie udało im się trafić. W końcu do wsi dotarł front. Najpierw Niemcy uciekali przed Rosjanami i zatrzymali się u nas, ponieważ mieszkaliśmy pod samym lasem. Następnie pojawili się Rosjanie. Jeden z gospodarzy przystąpił do milicji i przyszedł do nas z poleceniem wyprowadzki. Bał się, że jeśli się tam zasiedzimy, dom przypadnie nam na własność. Zagroził nawet, że w razie odmowy wyśle nas na białe niedźwiedzie, czyli na Syberię. Wiedział, że mama jest żoną walczącego akowca. Nie miałyśmy gdzie się podziać, ale musiałyśmy sobie jakoś poradzić. Mama poszła pieszo do Sochaczewa i rodzina tam mieszkająca obiecała, że nam pomoże. Wynajęła mieszkanie o powierzchni 8 m² dla całej naszej trójki. Sochaczew został zniszczony w 1939 roku, więc tamtejsi mieszkańcy również żyli w trudnych warunkach. Udało nam się tam urządzić, ale mama chciała wrócić do Warszawy.

Mój ojciec, jako dowódca oddziału, trafił do obozu. Nie chciał opuszczać swoich żołnierzy, chociaż był ranny, miał rękę przetrąconą przez czołg, odłamki na twarzy i w nodze. Jednemu z kolegów taty udało się jednak uciec z niewoli i to on pomógł nam znaleźć i wyremontować mieszkanie. Ludzie powracający do Warszawy zajmowali każdy możliwy kąt w budynkach, które nie zostały zburzone. Udało się nam usunąć gruz, wstawić okna i drzwi oraz wywiesić na liście lokatorów swoje nazwisko na dowód zameldowania. Jednak pewnego dnia kolega taty powiedział mamie, że musimy uciekać, ponieważ mojego ojca zaczęło szukać NKWD.

Był wtedy początek kwietnia 1945 roku. A jak to się zaczęło? Pod koniec wojny, a nawet jeszcze przed powstaniem, w Warszawie zaczęły się olbrzymie kradzieże i napaści na ludność cywilną. Częściowo odpowiadali za to Niemcy. Gdy jakaś kobieta szła ulicą w futrze, żołnierz potrafił zdjąć je z niej i założyć kobiecie, która mu towarzyszyła. Zdarzało się też, że kieszonkowcy w tramwajach rozpruwali futra żyłkami, ściągali je z ludzi i w biegu wyskakiwali z pojazdu. Któregoś razu na skrzyżowaniu ulic Górczewskiej i Młynarskiej mojej mamie ukradziono zegarek ze złotą bransoletką. Widziałam, jak złodziej ucieka, wkładając łup do kieszeni spodni. Za nim biegła grupa innych młodych mężczyzn. Zegarek wypadł z nogawki pierwszego, a któryś z kolejnych natychmiast podniósł go i ukrył. Winowajcę udało się złapać i ustalić, że mieszkał na ulicy Płockiej. Kiedy tata poszedł do jego domu z żołnierzami, okazało się, że zegarek został już sprzedany. Ojciec zapytał tych ludzi, dlaczego napadali na swoich rodaków, skoro Niemcy tak bardzo nas już krzywdzili. Odpowiedzieli, że w ten sposób zdobywali pieniądze dla swojej partii – PPR-u, Polskiej Partii Robotniczej. Pokazali mojemu tacie, że są uzbrojeni, ale on również miał przy sobie broń. Zagroził, że jeżeli znów przytrafią się kradzieże ludności cywilnej, winni będą podlegać sądowi polowemu za działanie przeciwko polskiemu narodowi. To właśnie był początek problemów. Później na płocie przed naszym mieszkaniem zaczęły się pojawiać napisy: „Już niedługo twój kres, ty ważny akowcze.” Biedna dozorczyńni wstawiała rano i je usuwała, ale w miejscu starych ciągle pojawiały się nowe. Trwało to aż do powstania, a po wkroczeniu Rosjan tata stał się poszukiwany.

Niedaleko naszego mieszkania w Sochaczewie stał Urząd Bezpieczeństwa, więc gdy tylko ojciec wyszedł z obozu i nas znalazł, służby natychmiast się o tym dowiedziały. Od tamtej pory codziennie musiał się tam meldować, nawet wracając z pracy w fabryce. Mama, ja i ciocia za każdym razem modliłyśmy się, żeby wypuścili go do domu. Potem nie chcieli nas zameldować w Warszawie, bo uważali, że mój ojciec zburzył miasto, biorąc udział w walkach, więc nie należy mu się mieszkanie w stolicy. Nie mogłam też dostać się na studia. W 1954 roku chciałam iść do Wyższej Szkoły Służby Zagranicznej na wydział handlu zagranicznego. Podczas składania papierów sekretarka zapytała, czym zajmuje się mój ojciec. Z dumą odpowiedziałam, że jest robotnikiem, bo na takim stanowisku pracował. Następnie padło pytanie, czy mój ojciec jest sekretarzem partii. Zaprzeczyłam. Powiedziałam, że tata walczył w Powstaniu Warszawskim. Wtedy kobieta zwinęła moje dokumenty, gniotąc je, i powiedziała, że nie mam czego u nich szukać. Później zdałam egzaminy do Akademii Medycznej, ale nie dostałam się, ze względu na brak miejsc, podczas gdy niektórzy po obłaniu testu otrzymali możliwość przystąpienia do egzaminu poprawkowego. Część stanowisk była najwidoczniej zarezerwowana. Dzięki znajomościom mojego wujka dostałam się ostatecznie na farmację. Z Sochaczewa do Warszawy mogliśmy przeprowadzić się dopiero po 1956 roku. Ojciec miał dostać w przydziale dwa pokoje z kuchnią, ale stale spadał z pierwszego miejsca. W końcu zameldowano całą naszą rodzinę w jednopokojowej klitce, co i tak było wielkim szczęściem. Gdy ktoś powiedział, że jest z Warszawy, nawet jeśli nie walczył w powstaniu, już był osobą podejrzaną.

Piotr Brulikis: Pani Danielo, zadam pani bardzo trudne i osobiste pytanie. Znajdujemy się w byłym więzieniu mokotowskim, gdzie torturowano i mordowano żołnierzy antykomunistycznego podziemia, w tym powstańców warszawskich, takich jak rotmistrz Witold Pilecki. Jak zrozumieć polskich żołnierzy, którzy przysięgali na Boga i Ojczyznę, walczyli w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego w szeregach Armii Krajowej, a po drugiej wojnie światowej znaleźli się w Armii Ludowej? Jako pracownika Fundacji im. Janusza Kurtyki bardzo zbulwersowały mnie słowa pewnego powstańca warszawskiego, który 1 sierpnia na placu Krasińskich przywołał słowa Zygmunta Baumana. Tego dnia na ulicach pojawili się też ludzie noszący plakietki z napisem „Stop faszyzmowi” oraz kotwicą Polski Walczącej. Jaka jest pani refleksja na ten temat i czy widzi pani obecnie w Polsce narastający faszyzm?

Daniela Ogińska ps. Pszczola: Proszę państwa, faszyzmu u nas nie ma. Niedawno dowiedziałam się, że w konspiracji udział wzięło tylko pięć procent społeczeństwa. Wśród ludzi, którzy zrobili potem kariery polityczne w partii, było bardzo dużo dzieci warszawiaków, którzy przeżyli okupację. Od początku były one uprzywilejowane i w dalszym ciągu wiernie strzegą swoich interesów. Nasze pokolenie nie łamało ślubów złożonych dowódcom, natomiast bardzo dużo osób, przywiezionych do Warszawy po roku 1939 czy 1944, ich nie przestrzegало. Należy też pamiętać, że niewielka część uczestników powstania była związana przysięgą. Tylko ludzie, którzy wstąpili do konspiracji dość wcześnie, mieli taki obowiązek. Pozostali, którzy trafili na front przypadkiem, po upadku powstania i na skutek trudnej sytuacji życiowej, często wybierali łatwiejszą drogę. W 1943 roku złożyłam śluby wierności „Garłuchowi”. W dalszym ciągu uważam, że jestem nią związana, mimo że w styczniu 1945 roku Leopold Okulicki, ps. Niedźwiadek, wydał rozporządzenie o zwolnieniu z przysięgi. Dla mnie jest ona bardzo ważna, tak jak przyrzeczenie harcerskie. Chciałabym przytoczyć jego treść: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu”. Mój udział w powstaniu stanowił wypełnienie zobowiązania podjętego w 1942 roku.

Nasze pokolenie zostało wychowane w duchu patriotyzmu przez rodziców i nauczycieli. Mój wychowawca ze szkoły podstawowej, który sam był harcerzem, żegnając nas w siódmej klasie, powiedział: „Pamiętajcie, że Polska, która się odrodzi, będzie potrzebowała wykształconych ludzi, dlatego wszyscy macie się uczyć”. Prawie cała moja klasa poszła na studia, choć często z różnymi przygodami. Ja też z trudem dostałam się na uczelnię, z trzynastego miejsca na liście dodatkowej. Dzięki temu, że kolega mojego stryja był profesorem, mogłam chodzić na zajęcia zanim oficjalnie zostałam studentką. Stryj był chemikiem, co dobrze przygotowało mnie do egzaminów. Zdałam chemię na piątkę. Z wyróżnieniem również skończyłam farmację. Ludzie z zasadami są wierni przysiędze, którą składają, i nie ma dla nich żadnego zwolnienia z jej mocy.

W 1944 roku, zanim został wydany rozkaz o powstaniu, nad Warszawę zapuszczały się dwupłatowce, które zostały określone przez panią Jadwigę Łukasik jako kukuruźniki. Były bardzo słabe, nie mogły nawet lecieć pod wiatr. To zadziwiające, że Niemcy do nich nie strzelali, chociaż unosiły się na niewielkiej wysokości. Musiało istnieć wtedy porozumienie między III Rzeszą a Związkiem Radzieckim. Byliśmy skazani na porażkę od samego początku. Chciałam jeszcze wyjaśnić, że Rosjanie nie weszli do Warszawy przez mosty, ponieważ wszystkie zostały zerwane, a Wisła była zamrzniętą, ale zaminowaną. Armia Czerwona przepравиła się przez Wilgę, od strony Pruszkowa. Dostałam tę informację od żołnierza, który zapukał do

mojego mieszkania w środku nocy 17 stycznia 1945 roku. Kiedy zaczęliśmy płakać z radości, że to nareszcie Polacy, on stwierdził: „Nie ciescie się tak, bo zobaczycie, jaką my wam wolność niesiemy”. Wyjaśnił, że dwójka ludzi pozostała w czołgu, ponieważ pękła w nim gąsienica. Wszyscy mieli na sobie polskie mundury NKWD. On jeden, osiemnastoletni, pochodził z tamtych okolic, był żołnierzem z poboru. Uprzedził, żebyśmy byli ostrożni. Ja byłam ostrożna przez całe życie i nigdy nie dałam się zapisać do jakiegokolwiek organizacji komunistycznej.

Ratowało mnie harcerstwo. W czasie okupacji prowadziłam dziesięcioosobowy zastęp, który przetrwał do marca 1945 roku. Później miałam pod sobą drużynę liczącą 120 dziewczyn. Dlatego mówię głośno i często wydaję polecenia. Moje dzieci mówią czasem: „Mamo, przestań być drużynową”. Jestem matką dwóch synów, mam pięcioro wnuków i ośmioro prawnuków. Starszy syn wcześniej wziął ślub, więc był zajęty żoną i dziećmi. Młodszy natomiast pozostał urodzonym sabotażystą. W latach pięćdziesiątych, gdy był uczniem szkoły nr 311 przy Nowym Świecie, do jego klasy dołączył syn pewnego dziennikarza. Po dwóch miesiącach nauki miał już pięć dwoj, więc mój młodszy syn powiedział mu: „Słuchaj, ty frajerze, zwiń dziennik i będziesz miał święty spokój”. Tamten chłopiec posłuchał jego rady, a ja szukałam potem dziennika we wszystkich śmietnikach w okolicy. To był pierwszy sabotaż. Drugi miał miejsce, gdy zawiesił krzyż w auli SGGW przy ulicy Rakowieckiej podczas strajku studenckiego. Uczelnia była wtedy pełna asystentów, którzy zagrozili, że wyrzucą go własnymi rękami. Jeden z nich nie wpuścił go nawet na kolokwium, które decydowało o dopuszczeniu do egzaminu. Żeby było ciekawiej, ponieważ mój syn kończył szkołę PAX-owską, w której uczono języka łacińskiego, dopisano mu do indeksu łacinę, jako drugi niezdany egzamin. Gdy poszłam na uczelnię wyjaśnić, z jakiego powodu został relegowany ze studiów, dowiedziałam się o tym oszustwie i zaalarmowałam rektora do spraw studenckich. Umówił mojego syna na rozmowę. Gdy obudziłam go rano, żeby udał się na spotkanie, mój syn naciągnął kołdrę na głowę, marudząc: „Mamo, daj mi spokój. Jestem już wyrzucony ze studiów, nic mnie nie uratuje”. Poszłam wtedy do kuchni, wzięłam litrowy garnek wody, odchyliłam kołdrę i wylałam wszystko na niego. W ten sposób mój syn wrócił na studia, teraz jest lekarzem weterynarii. Trzeba zatem być drużynową do końca życia.

Jadwiga Łukasik: Chciałabym odnieść się do słów pani Danieli Ogińskiej. Chodzi o fragment dotyczący polityków, wywodzących się z tych akowców, którzy złamali wojskową przysięgę.

Daniela Ogińska, ps. Pszczoła: Nie zawsze składali przysięgę, proszę pani.

Jadwiga Łukasik: Nie oceniałabym ich w ten sposób. Mówię z własnego doświadczenia. Przeważnie byli to ludzie, którzy ulegli propagandzie, że Armia Czerwona niesie ze sobą demokrację ludową. Gdy gospodarze dostali po dwa hektary ziemi zabranej dziedzicom, uznali to za długo wyczekiwaną sprawiedliwość. Później musieli zacząć wpłacać kontyngenty, więc kupowali jak nie świnię, to krowę, żeby oddać państwu. Wtedy przestali chwalić nowy ustrój. Wiele osób poddało się namowom do współpracy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych jako tak zwani tajni współpracownicy. Widziałam to wyraźnie po swojej pracy, gdy zajmowałam się handlem zagranicznym. Na początku był może jeden donosiciel na dwadzieścia osób w dziale, potem było ich dwóch, a później, gdy zlikwidowali MSW, czy były to inne reorganizacje, już nie pamiętam, niemal wszyscy pracownicy zostali agentami. Dzięki temu zyskali intratne posady. Ode mnie wymagano znajomości dwóch języków i dyplomu, podczas gdy oni nawet po polsku nie potrafili dobrze mówić, a dostawali taką samą pensję. Dzisiaj w opozycji działają

właśnie tacy ludzie, którzy wcześniej czerpali korzyści z demokracji ludowej, niezależnie od swojej przeszłości. Nie miało to jednak żadnego związku ani z demokracją, ani z ludem. Te podziały odbijają się we współczesnym życiu i polityce. Dziękuję.

Piotr Brulikis: Dziękuję pani Danieli za odpowiedź na moje osobiste pytanie. Pani Jadzi również dziękuję za jej słowa. Chciałbym zadać teraz pytanie panu Jakubowi Nowakowskiemu, ps. Tomek. Dużo mówi się ostatnio o tak zwanych reparacjach wojennych. Czy według pana jest realne, żebyśmy po tylu latach odzyskali część straconych dóbr? Czy pan jako osoba, która przeżyła drugą wojnę światową i Powstanie Warszawskie, jest w stanie przebaczyć Niemcom to, co zrobili w Polsce?

Jakub Nowakowski ps. Tomek: Uważam, że nie spłacili oni w pełni długu wobec naszego kraju. Otrzymaliśmy wprawdzie tak zwane ziemie odzyskane, co stanowiło wielką stratę dla Niemców w związku z wysiedleniami i konfiskatą dużej części majątków, zwłaszcza nieruchomości. Jednak wszystkie zbrodnie, które na nas popełnili, domagają się dalszych odszkodowań. Dlatego uważam, że Polska słusznie występuje z żądaniami reparacyjnymi, choć nie jestem w stanie stwierdzić, na ile są one realne. Pamiętajmy, że w tej sprawie pojawiają się różne głosy, na przykład Eriki Steinbach, która twierdzi, że to Polska ograbiła Niemców, zabierając ich tereny. W rzeczywistości zostały nam one przydzielone w Jałcie przez trzy mocarstwa, które odebrały nam ziemie wschodnie, a podarowały zachodnie. Uważam, że Niemcy na to zasłużyli, choć oczywiście część obywateli poniosła przez to większe straty. Z tego powodu jestem zwolennikiem odliczenia ziem odzyskanych od całościowej kwoty odszkodowań wojennych należnych Polsce.

Głos z sali: Nie odpowiedział pan na pytanie, czy jest pan w stanie wybaczyć Niemcom jako narodowi.

Jakub Nowakowski, ps. Tomek: Tym, którzy te zbrodnie popełnili, a zwłaszcza tym, którzy nie odpokutowali, nie jestem w stanie wybaczyć. Natomiast kolejnym pokoleniom Niemców, którzy są tymi winami obciążeni, jestem gotów zapomnieć błędy ich przodków. Jako chrześcijanie jesteśmy do tego wręcz zobowiązani – „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Wielu Niemców to dziś zdeklarowani pacyfiści. Część uważa się z kolei za naród, który sam był gnębiony przez nazistów, co wydaje mi się już nieszczerze. Winą za zbrodnie drugiej wojny światowej nie obciąża się narodu niemieckiego, tylko właśnie nazistów, jako odrębny byt. Nie zapominajmy jednak, że ogromna większość obywateli popierała dążenia swojej władzy. Dopiero gdy III Rzesza zaczęła przegrywać wojnę, opozycja urosła w siłę. Niemcy nie mają dużych zasług w obszarze walki z tą ideologią we własnych granicach. Dlatego wyjątkową bezczelnością ze strony Władimira Putina, prezydenta Rosji, było wymienienie wśród swoich sprzymierzeńców niemieckich antyfaszystów, a pominięcie Polaków. To ogromne zakłamanie.

Daniela Ogińska, ps. Pszczola: Nie mam telewizji od dziesięciu lat, ale usłyszałam w radiu wiadomość, że Niemcy zwrócili Francuzom resztę długu za pierwszą wojnę światową. Żeby jednak nie rozpamiętywać i nie ranić serca, chcę państwu opowiedzieć obrazek z powstania. Na pewno część tu zebranych oglądała film w reżyserii Jana Komasy z 2014 roku „Miasto 44”. W jednej ze scen dwoje bohaterów przechodzi kanałem do Śródmieścia, po którym spaceruje pani z białym psem na smyczy. Chciałam wyjaśnić, że podczas walk wszystkie psy i koty

zostały zjedzone, natomiast krowy cieszyły się specjalnym nadzorem, ponieważ dużo niemowląt potrzebowało mleka. Mój kolega, który niestety niedawno zmarł, siedział w budynku przy placu Lindleya, obserwując skrzyżowanie ulic Żelaznej i Chmielnej. Pewnego razu zobaczył, że dwóch chłopaków ciągnie krowę za rogi, a trzech innych podsadza ją i prowadzi po schodach na drugie piętro budynku. Okazało się, że z sąsiedniego rejonu przybył łącznik z poleceniem oddania krowy. Oddział, do którego należała, miał na wyżywieniu małe dzieci, dlatego postanowił ją ukryć. Mógł to zrobić jedynie w miejscu, gdzie nikt nie spodziewał się znaleźć takiego zwierzęcia.

Tamten okres obfitował w ciekawe historie. W momencie zdobycia Warszawy przez Związek Radziecki w styczniu 1945 roku wszystkie szkoły od razu ruszyły z nauką, nie było okresu ulgowego. Powiem jeszcze kilka słów w sprawie odszkodowań. Warszawiaczy musieli opuścić swoje domy bez żadnego bagażu, tak jak relacjonowała pani Jadwiga. Natomiast Niemcy, wyjeżdżając z Polski, zostali zaopatrzeni w pociągi i powozy konne, którymi mogli przewieźć cały swój dobytek. Pamiętajmy też, że Warszawa została doszczętnie zrabowana. Zanim zburzono jakikolwiek dom, zabierano wszystkie wartościowe przedmioty: dywany, nakrycia stołowe, porcelanę... Budynki były wysadzane w powietrze albo podpalane. Odziedziczyliśmy miasto, w którym brakowało wszystkiego poza gruzami.

Przytoczę jeszcze fragment z mojego życia. W 1945 roku zostałam wysłana z ramienia harcerstwa na tak zwaną centralną akcję szkoleniową do Radziejowic. Wszystkich uczestników przewożono do Warszawy odkrytymi samochodami ciężarowymi. Wjeżdżając w Aleje Jerozolimskie, zobaczyliśmy resztki budynków, z których unosił się dym, oraz rosnącą na gruzach zieloną trawę. Zaczęliśmy płakać z radości, że do Warszawy wraca życie. To były drobne radości, które towarzyszyły nam w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny. Wszyscy harcerze, którzy przeżyli okupację, zorganizowali wielką defiladę z budynku sejmu aż do placu Trzech Krzyży. Byliśmy dużą organizacją patriotyczną, która zagrażała nowemu ustrojowi, dlatego po 1948 roku zaczęła się likwidacja harcerstwa. Władze musiały sobie poradzić z dawnymi akowcami. Prawie cały oddział „Radosław” znalazł się w więzieniu. Odwiedzałam moich kolegów, gdy tylko udało mi się wyżebrać zgodę od rodziny. Kontakt z aresztowanymi był prawdziwą gehenną, ponieważ po śledztwie przy ulicy Rakowieckiej, gdzie się znajdujemy, wysyłano ich do zakładów karnych w całej Polsce. Zarządcy nie udzielali wiadomości, dokąd został przeniesiony dany więzień. Biedne matki przygotowywały trzykilogramowe paczki z naszym nazwiskiem i jeździły po więzieniach, aż w którymś z nich przesyłka zostawała przyjęta. Mieliśmy różne ciekawe przygody z tymi władzami, które po wojnie przyszyły do Polski.

Piotr Brulikis: Dziękuję, pani Danielo. Na zakończenie chciałbym prosić, aby przypomniała pani, zwłaszcza obecnemu tu młodemu pokoleniu, przysięgę harcerską.

Daniela Ogińska, ps. Pszczola: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu”.

Piotr Brulikis: Tym akcentem zakończymy spotkanie. Wstańmy i podziękujmy naszym Bohaterom!

Debata pt. „Relacje polsko-niemieckie
a narracje historyczne o II wojnie światowej”
odbyła się 28 sierpnia 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

NARRACJE O II WOJNIE ŚWIATOWEJ

W dyskusji udział wzięli:

prof. Katarzyna Jedynakiewicz-Mróz
(Uniwersytet Łódzki)
oraz red. Piotr Semka
(„Do Rzeczy”).

Rozmowę poprowadził
Paweł Kurtyka
(Prezes Zarządu Fundacji im. Janusza Kurtyki).

Paweł Kurtyka: Szanowni państwo, dziękuję bardzo państwu za przybycie. Witam znamienitych gości, których dyskusję będę miał zaszczyt moderować. Nie będę zbyt długo wprowadzał. Powiem dwa słowa o idei biblioteki, w której się znajdujemy. Budujemy księgozbiór w oparciu o księgozbiór rodziny patrona fundacji i rozwijamy go w kierunku specjalizacji w zakresie węzłowych problemów na styku historii i terażniejszości, w związku z różnymi tematami w debacie międzynarodowej. Chcemy, żeby udostępniała publikacje anglojęzyczne dotyczące istotnych tematów, które często są słabo znane albo słabo dostępne na rynku polskim. Jest to narzędzie uzupełniane o rzeczy takie, jak między innymi, dzisiejsza debata. Będziemy rozmawiać o relacjach polsko-niemieckich i narracjach o drugiej wojnie światowej. Nasze debaty zawsze dzielimy na dwie części. Pierwsza jest częścią historyczną, w której podsumowujemy różne zdarzenia z przeszłości, które miały miejsce w kontekście omawianego zagadnienia. Staramy się pokazać pewną genezę. W drugiej części staramy się znaleźć recepty na problemy, które uda się nam zidentyfikować.

Rozpoczynając u źródła, chciałbym zapytać państwa o narracje, które są obecne w dyskursie polsko-niemieckim, dotyczące drugiej wojny światowej. Jak one rozwijały się po wojnie? Głównie interesuje mnie problem rozwijania narracji w Niemczech, bo rozwój narracji w Polsce mniej więcej znamy. Rozpocznijmy od pani profesor Katarzyny Jedynakiewicz-Mróż. Bardzo proszę.

Prof. Katarzyna Jedynakiewicz-Mróż: Proszę państwa, mówiąc o narracjach, mamy do czynienia z określeniem bardzo pojemnym. Narracja to jest sposób prezentowania historii w mediach, jest to sposób nauczania młodzieży oraz wypowiedzi oficjalnych funkcjonariuszy państwa. Ja, odpowiadając na pytanie, postaram się przedstawić to pojęcie, patrząc z perspektywy nauczyciela akademickiego, czyli z perspektywy osoby, która zawodowo zajmuje się przekazywaniem wiedzy. Przede wszystkim myślę o narracjach, które przekazywane są między innymi młodemu pokoleniu, które w pewnym momencie staje się dorosłe i swój obraz relacji między dwoma państwami niesie i przekazuje dalej, na przykład swoim dzieciom. Z tej perspektywy, trzeba wprowadzić podział na okres do 1989 roku, a właściwie do 1990 roku. Z perspektywy polskiej jest to rok 1989, a z perspektywy niemieckiej 1990, ponieważ w inaczej prezentowano relacje polsko-niemieckie w NRD – Niemieckiej Republice Demokratycznej i w RFN – Republice Federalnej Niemiec. Po stronie polskiej, w sposób oczywisty narracje peerelowskie odbiegały do pewnego stopnia od narracji, które pojawiają się po roku 1989. Chociaż powiem, że po stronie polskiej widzę więcej ciągłości, niż po stronie niemieckiej. Zasadniczo można powiedzieć, że łatwiej komentować narrację o relacjach polsko-niemieckich w przypadku NRD, ponieważ tutaj nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Polska miała oficjalnie bardzo poprawne stosunki z Niemcami wschodnimi, ale to nie przekładało się na enerdowski sposób

opowiadania o okresie do 1945 roku. W przekazie szkolnym czy medialnym w NRD właściwie druga wojna światowa w kontekście konfliktu polsko-niemieckiego nie istniała. W NRD prezentowano historię po roku 1933 w kategoriach walki ruchu robotniczego, przetrwania i czynnego przeciwstawiania się reżimowi narodowosocjalistycznemu. Wszystko było temu podporządkowane. Nawet, gdy mówiono o martyrologii więźniów obozów koncentracyjnych, to aż do końca lat pięćdziesiątych XX wieku martyrologia Żydów się nie pojawiała albo pojawiała się szczątkowo. Mówiło się, że w obozach przede wszystkim cierpieli przedstawiciele ruchu robotniczego, a tylko czasami, że były to osoby pochodzenia żydowskiego. To była narracja związana z oficjalną ideologią, ideologią państwa komunistycznego, wschodnio-niemieckiego.

Po stronie RFN-owskiej mamy do czynienia z podokresami. Do końca lat sześćdziesiątych XX wieku możemy mówić o tabuizacji tego okresu, problemu konfliktu polsko-niemieckiego i polityki niemieckiej wobec Polski po 1 września 1939 roku. O tym się mało mówiło, ale jednocześnie ukazywały się pamiątki wojskowych niemieckich, członków Hitlerjugend, członków Związku Niemieckich Dziewcząt – Bund Deutscher Mädel, wspominających swoją młodość. Oficjalnie starano się tych tematów nie poruszać. Po umownej dacie 1968 roku te tematy pojawiają się w narracji i w szkołach. Jeśli chodzi o szkoły w RFN, po połowę lat sześćdziesiątych XX wieku historia kończyła się na pierwszej wojnie światowej, czyli Wielkiej Wojnie. Okres narodowego socjalizmu pojawiał się tylko w kontekście nadzwyczajnych lekcji temu poświęconych. W związku z tym druga wojna światowa w szkole nie była prezentowana. To się zmienia po 1968 roku, ale ta prezentacja po stronie zachodnio-niemieckiej była wybiórcza. Mówiono o tym, jaką politykę prowadził reżim, po pierwsze względem szeroko rozumianej opozycji i po drugie, względem społeczności żydowskiej. Ten temat po dziś dzień jest dominującym wątkiem w narracjach szkolnych i akademickich.

Po roku 1989, gdy można powiedzieć, że teoretycznie pojawiła się szansa po stronie niemieckiej, żeby multiplikować narrację, poszerzyć ją o aspekt na przykład relacji polsko-niemieckich, przełożyło się to tylko w niewielkim stopniu na narracje szkolne. Zdecydowanie nadal polityka okupacyjna Niemiec po 1 września 1939 r., dotyczy to między innymi Polski, obszaru Bałkanów, obszaru okupowanej części Związku Sowieckiego, jest relatywnie mało prezentowana, a jeżeli już, to wątek Holokaustu jest wątkiem dominującym. Ostatnio elementem narracji wychowawczo-szkolnej, który się pojawia, jest wątek eutanazji, a szerzej polityki eugenicznej reżimu nazistowskiego. Po stronie niemieckiej od samego początku brakuje wątku: jak reżim prowadził w praktyce politykę okupacyjną, szczególnie na obszarze Europy środkowo-wschodniej.

Więcej mogę powiedzieć o narracji po stronie polskiej, zwłaszcza o recepcji stosunków polsko-niemieckich wśród studentów. Mam bardzo ciekawe doświadczenia. Nauczam historii Niemiec od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Generacja, która studiowała historię albo germanistykę, tam też prowadziła zajęcia z historii Niemiec, w latach dziewięćdziesiątych XX wieku szła taką samą narracją, jaką moje pokolenie, dorastające w PRL-u. Z jednej strony mówiono bardzo dużo o okupacji i o zbrodniach niemieckich, które się w tym czasie odbywały. Z drugiej strony, filmy i seriale pokazywały okupację przez pryzmat ruchu robotniczego, na przykład serial „Polskie drogi”, „Stawka większa niż życie” itd. Nie było to dobre, ale mimo wszystko była to pewna wiedza w świadomości pokolenia lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Natomiast jeżeli patrzę z perspektywy obecnej dekady, po roku 2000, ale w szczególności ostatnich pięciu, sześciu, siedmiu lat, czyli po reformie edukacyjnej w liceach, problemem jest redukcja nauczania historii. Stwierdzam, że wiedza historyczna na temat relacji

polsko-niemieckich z okresu wojny jest obecnie bardzo słaba. Ta wiedza jest punktowa i hasłowa. Jednak to nie znaczy, że młodzież nie ma woli uzupełniania wiedzy. Zdecydowanie są wola i zainteresowanie. Natomiast wiedza bazowa jest tragicznie mała. Jest to tyle, jeśli chodzi o moją odpowiedź na pierwsze pytanie.

Red. Piotr Semka: Drodzy państwo, jest to bardzo ciekawy temat, na który w Polsce mało kto się wypowiada. Jest to domena prawej strony. W Polsce jest dużo instytucji polsko-niemieckich. Dużo jest rytuału pojednaniowego, który jest potrzebny. Niemiec w swoim kraju musi przepracowywać historię. W Niemczech były naturalne działania w kierunku, aby zapominać o historii. W związku z tym państwo musiało wytworzyć bardzo dużo instytucji, które historię nazizmu przerabiają, wyciągają i uwieczniają. Spośród tych inicjatyw, jest bardzo wiele równoległych nurtów. Polacy, którzy są rozszoszczeni serialem „Nasze matki, nasi ojcowie”, wybuchają mówiąc, że Niemcy piszą historię na nowo, wtedy Niemcom bardzo łatwo powiedzieć „Nie, chwilę, z tej strony dzieje się to, a z drugiej to.” Z jednej strony mamy rytuał oficjalny. Niemieccy politycy bardzo dbają o to, żeby odwiedzać Polskę. Niedawno do Polski przyjechał szef dyplomacji niemieckiej, Heiko Maas, za tydzień, z okazji 1 września będzie przemawiał w Warszawie pan prezydent Frank-Walter Steinmeier. Jest to pierwszy nurt. Widać tutaj, że jest bardzo duże staranie, aby dbać o polską wrażliwość. Na przykład w rocznicę Powstania Warszawskiego na znak żałoby opuszcza się flagę do dołu masztu w ambasadzie niemieckiej. Natomiast drugi nurt to są instytucje państwowe. Tutaj również można powiedzieć, że w Niemczech jest dużo dobrej woli. Przykładowo, landowe przedsiębiorstwa architektury krajobrazu; do obowiązków tych przedsiębiorstw należą prace archeologiczne. Czytałem o grupie młodych entuzjastów, którzy wykopują, około czterystu dotąd nieruszanych grobów polskich robotników przymusowych, których hitlerowcy rozstrzelali dwa tygodnie przed wejściem Amerykanów.

Następnym nurtem jest świat niemieckiej polityki. Mamy dużą różnicę między latami siedemdziesiątymi i osiemdziesiątymi XX wieku a czasem obecnym. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych doszło do głębokiej chęci uświadomienia sobie skali zbrodni wobec Polski, na przykład było to podłączone pod refleksję chrześcijańską. Młodzież niemiecka przyjeżdżała do Polski i w czynie społecznym porządkowała zapuszczone cmentarze ofiar nazizmu albo pracowała na terenie dawnych obozów koncentracyjnych. Episkopat niemiecki przykładał bardzo dużą wagę do wizyt, między innymi na terenie obozu Dachau wizytował Prymas Wyszyński i Karol Wojtyła.

Niestety ten klimat wyparował z różnych powodów. Po pierwsze Niemcy stali się krajem zlaicyzowanym, w związku tym refleksja chrześcijańska, przestała być mostem do dialogu. Bardzo charakterystyczne, że ten wyskok, okres, gdy pani Erika Steinbach chciała tworzyć centrum przeciwko wypędzeniom był w pewnym sensie emanacją zlaicyzowania. Bardzo wielu ludzi pamiętających tamtą epokę, było refleksji chrześcijańskiej. Ostatecznie Bóg jest kimś, do kogo mamy się zwracać, ze swoim żalem albo z prośbą, o przebaczenie, ponieważ jest nam wstyd, za to, co nasz naród zrobił. Taka refleksja powoli w Niemczech zanika. Teraz nieporównywalnie silne są dwa typy narracji, to znaczy narracji dotyczących mniejszości, czyli Żydów, Cyganów – Sinti i Romów, homoseksualistów i na przykład komunistów. Pada teza, że skoro komuniści byli w największym stopniu prześladowani, co nie jest prawdą, to należy im się osobny status. W tej puli nie ma Polaków. W społeczeństwie, które jest nastawione na pacyfizm, powstaje wrażenie, że ofiary żydowskie Holokaustu, były w pewien sposób czyste, ponieważ

były ofiarami *par excellence*, czyli ofiarami, które nie były uczestnikami walki z Niemcami. Wyjątek stanowi powstanie w getcie warszawskim. Na tym tle Polacy walczący z Niemcami wchodzą w sferę pojęć, która w Niemczech formalnie nie jest odrzucana, ale ma na sobie cień militarystyki, czyli jest jasne, że hitlerowcy są czystym złem, a ofiary żydowskie czystą niewinnością. Natomiast ludzie, którzy walczą, wchodzą w logikę, która w społeczeństwie jest bardzo krytyczna wobec militarystyki, walki zbrojnej, jest rzeczą, która budzi irytację. Podam przykład. Na terenie obozów niemieckich bardzo często pojawia się spór. Przyjeżdżają polskie delegacje harcerzy, które przyzwyczajone do polskich standardów chcą ustawiać wartość honorową przy głównym monumencie obozu. Wtedy niemieckie organizacje bardzo często protestują. Dają związek przyczynowo-skutkowy, który w Polsce zdumiewa. Polscy stronnicy nie bardzo wiedzą, co powiedzieć. Skoro obozy, były stworzone przez nazizm, a genezą nazizmu jest militarystyka, to odtrutką na nazizm jest walka z każdą formą militarystyki. Jeżeli z każdą formą, to harcerze w mundurach stylizowanych na wojsko, są niestosowni wobec pamięci ofiar obozu. To samo jest jeszcze bardziej drastyczne, gdy na przykład przyjeżdżają delegacje na przykład polskich kibiców, którzy mają swój styl demonstrowania patriotyzmu, czyli koszulki z wizerunkiem husarzy, znaku kotwicy Polska Walcząca. Niedawno w Niemczech była sytuacja, w której doszło do zderzenia przedstawiciela środowiska niemieckiej lewicy, który chciał złożyć kwiaty i przybyłych polskich kibiców, którzy niemieckiemu przedstawicielowi kojarzyli się negatywnie.

Na to wszystko nakłada się jeszcze jedno zjawisko, które w Niemczech jest nowe. Jest to powód do tego, co było bardzo częstym problemem Polaków, przyjeżdżających po wojnie do Niemiec. Niemcy z NRD mówili, że byli naziści, ale oni są społeczeństwem energicznym, które nie może za to wszystko odpowiadać. Polscy turyści, bardzo często przyglądali się swoim rozmówcom zastanawiając się, ile lat mieli w czasie drugiej wojny światowej. W dzisiejszych Niemczech jest coś podobnego. W tamtym czasie oczywiście byli naziści, ale my nawiązujemy do tego, co było w czasie wojny pozytywne, między innymi do konspiracji komunistycznej. Wielu Niemców mówi coś, co Polaków doprowadza do szału. Mówi tak: „Właśnie dlatego, że my, Niemcy, przepracowaliśmy sprawę całkowitego rozliczenia się z nazizmem, mamy obowiązek reagować wtedy, gdy zauważamy w krajach Europy Środkowej, że rozliczenie z nazizmem lub ze złymi rzeczami, które odbywały się w czasie wojny, nie zostało doprowadzone do końca. W związku z tym my, Niemcy, mamy prawo interesować się, czy Polacy rozliczyli się z Jedwabnym albo ze szmalcownikami.” Polaków doprowadza to do furii i mówi tak: „To wy, Niemcy, wprowadziliście w Polsce patologiczne relacje, które pchnęły wielu Polaków do skorzystania z okazji i skorzystania na mieniu żydowskim lub do rozliczania porachunków z Żydami, a teraz chcecie być naszymi sędziami?” Na to Niemcy: „Oczywiście, ponieważ my już wszystko zrobiliśmy, a wy jeszcze nie do końca”. Właśnie wtedy zdolność do dyskusji się kończy.

Omówiłem pierwszy wątek. Drugim wątkiem, dam przykład, jak pewne rzeczy, które w teorii są pedagogicznie pozytywne, prowadzą do pewnego zakłamania. Na przełomie lat dziewięćdziesiątych XX wieku i pierwszych lat wieku XXI przetoczyła się bardzo duża liczba filmów pokazujących dramat niemiecki, na przykład film o ucieczce z Prus Wschodnich, film o bombardowaniu Drezna. W tych filmach zawsze jest jeden motyw. Samo zło prezentują naziści, potem jest społeczeństwo, które jest uwięzione, ale w którym są elementy oporu, na przykład pozytywnym bohaterem jest dezertor. W filmie w reżyserii Josepha Vilsmaiera „Gustloff, rejs ku śmierci” z 2008 roku jest żołnierz, który pragnąc połączyć się z ukochaną kobietą, przekrada

się na statek, który wypływa z portu, z Gdyni, która jest otoczona przez armię radziecką. Zbite są trzy elementy. Jest zimno, więc statkiem rzuca, jest bardzo dużo rannych, dzieci gubią się w tłumie. Występuje w filmie zaciekle nazista, który ściga dezertera, a który się przed nim chowa. Bardzo często ten dezerterski wychodzi z niebezpiecznych sytuacji. Trochę na zasadzie, jaka jest pokazana w filmach o okupowanej Warszawie. Pokazane są małe formy oporu. Takie filmy są robione, aby pokazać, że w Niemczech był pewien potencjał oporu, ale one są nieprawdziwe. Falsyfikują w pewien sposób rzeczywistość wojenną. One oddalają, szczególnie młode pokolenie od bardzo brutalnej świadomości, że 99,5 % Niemców było aktywnymi nazistami. Aktywnymi na zasadzie bycia zagrożeniem dla innych narodów. Sceny przypominające o tym zdarzają się w starszych polskich filmach, w których jest pokazane, że nie było tak, że byli tylko naziści, SS, urzędnicy, NSDAP; duże zderzenie wrogości było ze strony zwykłych Niemców. Było to widoczne w filmie z 1958 roku. pod tytułem „Wolne miasto” w reżyserii Stanisława Różewicza, w jednym z odcinków serialu „Stawka większa niż życie”. W tym odcinku młoda Polka, która pracowała u gospodarzy niemieckich, próbuje się wydostać z miasta, która bojąc się, że zostanie zniszczona w walkach, chce uciec i wraz z tłumem osób niemieckiego pochodzenia chce uciec ta dziewczyna. Na jednym z wózków śpi niemiecka dziewięcioletnia dziewczynka, która w pewnym momencie się budzi. Przygląda się tej dziewczynie i mówi do swojej mamy: „Mamo, co tutaj robi ta Polka od bauerów?” W tym momencie twarz Niemki z uśmiechniętej, bo myślała, że to jest niemiecka dziewczyna, która też ucieka, zmienia się w nienawistny grymas. Matka dziewczynki podbiega do dziewczyny i mówi: „Co, zerwałaś tą naszywkę z napisem „Polka”, próbujesz się wydostać z miasteczka, pewnie czekasz, aż wasi tu przyjdą, tak?” Potem powiadamia patrol żandarmerii, że złapała Polkę, która próbuje się wmieszać w tłum Niemców. O tej scenie sobie przypomniałem, gdy czytałem w Czechach o tak zwanych marszach śmierci, czyli kolumnach więźniów obozów, których pędzono z terenów, które mieli zająć Amerykanie, w kierunku terenów, które były pod władzą hitlerowską. Przeczytałem, że więźniowie nie byli konwojowani przez esesmanów. Byli konwojowani przez lokalny oddział złożony z ludzi starszych, którzy mieli około sześćdziesięciu lat i bardzo młodych, z Hitlerjugend. Nieobecność esesmanów nie powodowała rozluźnienia. Nadal byli pod bardzo surową kontrolą. Gdy ktoś uciekał, otwierano do nich ogień, a potem przyjechało SS i wszystkich rozstrzelali na koniec. Prawda jest taka, że nazizm nie miał formuły stężenia zła od góry: największe stężenie miało SS, trochę gorzej NSDAP, potem Wehrmacht, następnie sympatycy. Tak nie było. Pojedynczy Niemcy przyjmowali tą logikę systemu i potrafili być bardzo dobrymi strażnikami tych, których maszyna nazistowska rzucała na przykład na roboty do Niemiec, którzy byli więźniami itd. Prawda była bardzo często brutalna. Zachowań ludzkich było nieporównywalnie mniej.

Z tego powodu niemieckie filmy nie tłumaczą fenomenu, dlaczego niemieckie społeczeństwo stosunkowo dobrze znosiło bombardowanie. Bombardowania nie wywoływały sprzeciwu antywojennego. Bombardowania rodziły jeszcze większą nienawiść wobec przedstawicieli narodów, które dręczą, z punktu widzenia Niemców, biednych mieszkańców niemieckich miast. Dlatego więźniowie obozów, byli zmuszani do porządkowania obozów. Bardzo często odbywało się to wśród krzyków pełnych nienawiści i zachowań wobec tych więźniów, jako przedstawicieli świata, który bombarduje w nocy niemieckie miasta.

Ostatnia sprawa. Nadal nie powstają niemieckie filmy, które by adekwatnie do skali opowieści o eksterminacji Żydów pokazywały eksterminację Polski. Jest to ciągle tematem tabu. Gorzej, że powstają takie filmy lub seriale, jak „Nasze matki, nasi ojcowie”. Takie filmy sugerują, że

narody, które były pod okupacją, bardzo często były sojusznikiem Niemców w zagładzie Żydów. Nawet jeżeli mogły z Niemcami walczyć. Filmy o takiej tematyce budzą bardzo dużo złej krwi u tych narodów, które były pod okupacją niemiecką i która pchnęła część ludności polskiej, ukraińskiej, łotewskiej, do udziału w Holokauście.

Paweł Kurtyka: Bardzo dziękuję. Postaram się wszystko podsumować. Jednym słowem, w kwestii odpowiedzi na pytanie, czym są narracje, mamy narrację oficjalną – wykładnię władz państwowych, przejawiającą się poprzez stanowiska różnych wysoko postawionych urzędników lub programy szkolne oraz jest narracja ogólnie pojętej przestrzeni publicznej. Narracja wyrażająca się poprzez różne filmy, produkcje, wydarzenia itd. Te narracje dotyczą nas poprzez różne płaszczyzny, które tutaj były wymieniane. Wątek do uchwycenia jest bardzo dużo. Natomiast, aby nie musieć każdego z nich prześledzić, to musimy się skupić na sumie, aby wyciągnąć dominującą średnią. W zależności od okresu te uśrednione wskazania wypadają w inny sposób. W okresie powojennym do lat sześćdziesiątych XX wieku jest to temat tabu, przedmiot negacji. W RFN przejawiało się to brakiem uznania granicy, która została uznana dopiero na początku lat siedemdziesiątych. Natomiast dominująca narracja w chwili obecnej idzie w stronę rozbielania albo szukania takich wysp tematycznych, które mają pokazać dobrych Niemców. Moje pytanie jest takie: czy rzeczywiście jest to narracja, która zmierza w kierunku rozbielania? Prosiłbym panią profesor Katarzynę Jedynakiewicz-Mróż, aby uzupełniła swoją wypowiedź o inne płaszczyzny, nie tylko oficjalne.

Prof. Katarzyna Jedynakiewicz-Mróż: Chciałabym dodać parę słów do wypowiedzi mojego szanownego przedmówcy na temat terażniejszych, współczesnych narracji, a szczególnie narracji medialnych, zwłaszcza filmów. Proszę państwa, to co widać w telewizji niemieckiej to przede wszystkim są filmy fabularne, produkowane przez niemieckie wytwórnie albo stacje telewizyjne. Ja, z racji swoich badań naukowych, odkryłam pewną płaszczyznę w narracji filmowej, która Polakom i publicystom zajmującym się problematyką niemiecką ucieka. Myślę o filmach dokumentalnych. Nie mówię tu o filmach, które są redagowane w taki sposób, że mamy materiał archiwalny, a do niego dołączony jest komentarz historyków, są prezentowani świadkowie epoki, ale tylko jako jeden z wielu elementów narracji filmowej. Ja mówię o filmach, które są dostępne na przykład na Amazonie lub na innych platformach, na których się robi zakupy, o filmach ściśle archiwalnych, takich gdzie mamy do czynienia wyłącznie z narracją niemieckich świadków epoki, ale bez żadnego komentarza historycznego. Takie filmy cieszą się dużą popularnością i w Niemczech są masowo kupowane, zwłaszcza przez pokolenie, które pamięta tamte czasy lub przez generację dzieci, która ogląda z sentymentem wypowiedzi pokolenia swoich rodziców, opowiadanie o tym, jak było. Te filmy są również oglądane przez młodą generację, a to jest obraz, który budzi strach. Ostatnio oglądałam film z 2018 roku, pod tytułem: „Volksgenossin”. Tytuł jest mylący, teoretycznie chodzi o towarzyszkę partyjną, która jest aktywną członkinią ruchu nazistowskiego, ale wbrew pozorom jest to film w ogóle o kobietach w III Rzeszy. Mamy w tym filmie, trwającym 180 minut, myślę, że około dwudziestu minut narracji kobiet, które możemy uznać za oponentki reżimu. Są to wypowiedzi archiwalne osób już nieżyjących, na przykład tam się pojawia Freya von Moltke, pojawiają się panie pochodzenia żydowskiego lub osoby będące dziećmi ofiar reżimu. Reszta tych pań to są osoby, które urodziły się na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, które były aktywnymi członkiniami ruchu młodzieżowego, nazistowskiego, albo wchodziły w okres młodości w czasie drugiej wojny światowej. Ich narracja dla Polaka, Polki, jest narracją przerażającą. Mamy na jednej płaszczyźnie stawiane kominy w obozach zagłady, określane jako

Massentötung, czyli masowe zabijanie, oraz ofiary alianckich bombardowań Niemiec. Wszystko stoi na jednej płaszczyźnie. Rozumiem, że po jednej i po drugiej stronie działa się tragedia, ale jeżeli mówimy „moja prawda jest tyle samo warta, co twoja prawda” to mamy do czynienia z zupełną relatywizacją tego kto zaczął, dlaczego to się wydarzyło? Jakie są konsekwencje tego, że ktoś coś zaczął realizować? Przytoczyłam film z 2018 roku, ale w obiegu są także filmy archiwalne z okresu III Rzeszy, w których możemy oglądać materiał propagandowy pozbawiony jakiegokolwiek komentarza, nawet świadków epoki tam brakuje.

Proszę państwa, z jednej strony rozumiem, że mamy wolność słowa i we wszystkich państwach demokratycznych ona obowiązuje, ale jak daleko sięga wolność słowa, jak daleko można się posunąć, to jest już znak zapytania. O tym się praktycznie nie mówi w mediach, na przykład w niemieckich stacjach telewizyjnych ARD czy ZDF. Te filmy się rozchodzą drogą bezpośrednią, przez Internet.

Red. Piotr Semka: Dodatkowym wątkiem, który jest w relacjach polsko-niemieckich, jest to, że strona niemiecka bardzo często może znaleźć kogoś po polskiej stronie, który jest tak bardzo zaangażowany w wewnątrzpolski spór, który się o rzeczy mówi rzeczy, które relatywizują zbrodnie niemieckie. Na przykład w momencie, gdy był „top”, ten spór o uchodźców, wówczas gazety niemieckie robiły wywiad z Janem Tomaszem Grossem, który opowiadał o Jedwabnem. Postawił tezę, że więcej Polaków zabiło więcej Żydów niż Niemców. Bardzo często, jeżeli są spory dotyczące na przykład Muzeum II Wojny Światowej, to Niemcy z przyjemnością biorą kogoś, kto oskarża politykę na przykład obecnego rządu o to, że jest zafascynowana wojskiem, walką zbrojną, a nie losem cywilów itd. W związku z tym dyskusje polsko-niemieckie zamieniają się w dyskusje polsko-polskie.

Bardzo często miałem sytuację, że jest niemiecki moderator, jestem ja i niemiecki badacz, i rozmawiamy o historii. Ja próbuję wytłumaczyć, dlaczego uważałem za nierozsądne, że raczej Muzeum II Wojny Światowej były skupione na cywilach, a nie na walce. Mam zawsze sytuację, że ktoś, kto jest polskim badaczem w Niemczech, wstaje i mówi: „Panie Semka, dlaczego pan kłamie. Było zupełnie inaczej. Nie to, tylko tamto, nie tu, tylko tam”. Prowadzący często prosi, aby dać się wypowiedzieć człowiekowi z sali. Nie jest to łatwe, gdy muszę poradzić sobie z niemieckim badaczem i moderatorem, a jeszcze z sali jest drugi front.

Prof. Katarzyna Jedyńkiewicz-Mróz: Zdecydowanie, moja wypowiedź jest uzupełnieniem wypowiedzi pana redaktora Piotra Semki. Myślę o narracji z perspektywy zwykłych ludzi. Chcę być dobrze zrozumiana. Osobiście jestem wielką zwolenniczką badania historii z perspektywy zwykłego człowieka, ale mam pełną świadomość, że jest to droga, która może prowadzić na manowce, ponieważ perspektywa zwykłego człowieka była perspektywą osoby, na którą na przykład leciały bomby, która traciła rodzeństwo, rodziców, rodzinę. Następnie doznawała krzywd, na przykład w pierwszych tygodniach po wejściu Sowietów do wschodniej części Niemiec. Z drugiej strony narracja z perspektywy zwykłego człowieka prowadzi często do pominięcia kwestii moralnych, wartości, odpowiedzi na pytanie: dlaczego coś się wydarzyło? To jest tylko opis sytuacji. Natomiast brakuje jakiegokolwiek komentarza i refleksji natury moralnej.

Mam wrażenie, że w Polsce także Muzeum II Wojny Światowej może być również ofiarą takiego myślenia. Mamy do czynienia z kalkowaniem tego rodzaju manieri, manieri ogólnoswiatowej, przynajmniej jeśli chodzi o historiografię zachodnią. Idzie się w tę stronę, że pokazuje się

przeszłość przez pryzmat tak zwanej małej historii. Widzimy tylko jeden problem, na przykładzie jednej miejscowości. Istnieją także bardzo ciekawe książki z zakresu historii regionalnej, ale książki w dzisiejszych czasach mało kto czyta. Mówimy o młodej generacji, bo to ona za chwilę będzie miała coś do powiedzenia albo nie będzie miała, na temat stosunków polsko-niemieckich. Właśnie tutaj pojawia się ryzyko. Młodzi ludzie nie czytają albo wielu z nich nie czyta, ale za to oglądają filmy. Również filmy, które dziwnymi drogami rozchodzą się po Internecie. Tutaj obawiam się bardzo nieciekawych efektów obecnego trendu.

Paweł Kurtyka: Chciałbym, żebyśmy jeszcze poruszyli jeden problem. Chodzi mi o pewną terminologię, to znaczy w historiografii z okresu PRL pojawiał się zwrot „hitlerowcy”, jest znany zwrot „naziści”, czyli jest taka anonimizacja sprawców. Sprawcą mógł być każdy zwolennik Hitlera. Chciałbym, żebyśmy w ramach tej refleksji historycznej jeszcze powiedzieli dwa słowa o tym, kiedy to się upowszechniło? Jaka była droga tego pojęcia, że zostało wprowadzone do obrotu i zaczęło funkcjonować w oderwaniu od narodowości sprawców. Również musimy poświęcić krótką wypowiedź słynnemu terminowi „polskie obozy zagłady”, ponieważ ten termin w pewnym momencie powstał. Jego rola też jest bardzo istotna, z punktu widzenia szeroko pojętej debaty międzynarodowej. To nie są tylko stosunki polsko-niemieckie, ale również na przykład polsko-amerykańskie. Przykładowe może być użycie wypowiedzi o polskich obozach przez Baracka Obamę. Prosiłbym, aby każdy z państwa mógł wskazać trzy problemy, które są najbardziej palące oraz omówić pomysły, w jaki sposób sobie z nimi poradzić.

Prof. Katarzyna Jedynakiewicz-Mróz: Jeżeli chodzi o mój odbiór tej terminologii, to od razu powiem, że jestem zdecydowanie przeciwna określaniu Niemców po 30 stycznia 1933 roku mianem hitlerowców. Nie jest to naukowe określenie, przynajmniej z mojego punktu widzenia i mogłabym się podeprzeć kilkoma autorytetami z wyższej półki. Narodowy socjalizm jako ideologia jest tu definiowany wyłącznie przez Adolfa Hitlera, a nazizm był znacznie szerszym problemem. Także określenia „narodowi socjaliści” i „Niemcy” to zupełnie osobne narracje. Po stronie polskiej wygląda to lepiej – jest tendencja do używania określenia „Niemcy”. Możemy mówić, że są to często Niemcy, będący reprezentantami aparatu narodowo-socjalistycznego, ale to cały czas będą „Niemcy”. Wśród młodego pokolenia, moich studentów, stosowanie takiego określenia lub takie nazywanie okupantów Polski Niemcami jest oczywiste. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś się wysiłał i mówił o Niemcach – naziści. Natomiast po stronie zachodniej, trzeba mieć tego pełną świadomość, jest to określenie niesłychanie modne, co jest o tyle denerwujące, że pozwala dzielić Niemców, na tych, którzy byli nazistami i tych, którzy nimi nie byli. Żebym była dobrze zrozumiana. Na pewno byli tacy, którzy nazistami nie byli, ale my nie jesteśmy w stanie do końca tego zdefiniować, kto był nazistą. Czy to był tylko członek partii niemieckiej NSDAP? Wtedy byłoby ich około ośmiu milionów. Jeżeli do tego dodamy Bund Deutscher Mädel i Hitlerjugend, to będzie dodatkowo sześć milionów. Robi się całkiem spora liczba, ale mamy również organizacje afiliowane przy narodowo-socjalistycznej partii Niemiec, na przykład organizacje cyklistów – tutaj akurat „strzelam” – organizacje kobiet, organizacje nauczycieli i prawników, one wszystkie miały w nazwie słowo „narodowo-socjalistyczny”. Wszystkie ogniwa ruchu nazistowskiego określane były jako narodowo-socjalistyczne. Nawet jeżeli część z ich członków wstępowała do tych struktur, ponieważ nie chciała stracić pracy albo być pomijana w awansach, to w praktyce trzeba by nazywać tych ludzi narodowymi socjalistami. Generalnie moim zdaniem do 1 września 1939 roku można takiego określenia używać, ale po 1 września wojny nie prowadzili sami narodowi socjaliści, lecz armia

niemiecka i struktury z nią powiązane. Nawet jeżeli mówimy o Holokauście, to tę działalność prowadziła także niemiecka kolej, niemieccy urzędnicy, niemieckie instytucje skarbowe, podatkowe, które na przykład rabowały mienie na terenach okupowanych. Jest to dużo więcej niż tylko ruch narodowo-socjalistyczny. Tyle chciałam powiedzieć, jeżeli chodzi o kwestię pojęć.

Natomiast, jeśli chodzi o problemy, to być może ja osobiście mam do pewnego stopnia dydaktyczne skrzywienie. To co jest moją troską z perspektywy wieloletniego nauczyciela akademickiego, to kwestia: co będzie z młodym pokoleniem? Co będzie z absolwentami wyższych uczelni, którzy już na studia przychodzą bardzo kiepsko wykształceni, jeśli chodzi o wiedzę historyczną? Nie wiem, czy obecne zmiany w programach liceów coś zmieniają. Z pewnością coś zmieniają, ale o ile zmieniają, trudno jest mi powiedzieć. Pamiętajmy o tym, że współczesne młode pokolenie bardzo mało czyta, mało ogląda telewizję, a jeżeli, to raczej poprzez Internet. Oddziaływanie tradycyjnych nośników jest stosunkowo ograniczone. Często jest to wiedza przypadkowa. To jest pierwszy problem. Martwię się o to. Nie patrzę z perspektywy niemieckiej, tylko polskiej.

Z perspektywy polskiej jest zresztą jeszcze jeden problem. Widzę ten problem jako naukowiec i niemcoznawca. Młodzi studenci – przyszli naukowcy nie znają, bo nie uczą się go, języka niemieckiego. To jest tragedia, ponieważ władze uczelni – mogą to powiedzieć o swoim wydziale – stoją na stanowisku, że studentom jest potrzebny wyłącznie język angielski. Lektoraty innych języków praktycznie nie funkcjonują, a już na pewno nie funkcjonują na poziomie studiów magisterskich. Mało tego, lektoraty w ogóle znikają w programie studiów magisterskich. Nawet język angielski znika. Mówi się, że na to nie ma pieniędzy. Zastępuje się lektorat na przykład wykładem monograficznym w języku obcym, z reguły angielskim. Skutek jest taki, że można postawić pytanie: kto w przyszłości ma prowadzić badania nad stosunkami polsko-niemieckimi? Nawet Salomon z próżnego nie należy. Bez znajomości języka nie można badać źródeł, których jest bardzo dużo. Patrzę na to także z perspektywy mojego miasta, Łodzi.

Dodatkowo często dochodzi do paradoksów. Czytam wiosną tego roku plakat, który wisi w moim instytucie, że Niemiecki Instytut Historyczny dofinansuje studenta, który podejmie taki i taki temat badawczy, dotyczący stosunków polsko-niemieckich. Co takiego? To znaczy, że Niemiecki Instytut Historyczny promuje tych, którzy chcą i mają możliwość badania źródeł w języku niemieckim, a Polska tego nie robi?! Ja na to patrzę z perspektywy nauczyciela akademickiego. Państwo polskie powinno coś z tym zrobić, a na pewno instytucje zajmujące się dydaktyką na poziomie studiów wyższych, a nawet już na poziomie liceum. Moim zdaniem nieznanie języka niemieckiego, języka naszego największego zachodniego sąsiada jest czymś, co może się źle skończyć. Nie mówię o poważnych problemach, ale o kontekście naszych relacji. Jeżeli tylko Niemcy będą badali stosunki polsko-niemieckie w okresie drugiej wojny światowej, to ja nie wiem, do czego to doprowadzi. Nie chcę powiedzieć złego słowa o niemieckich naukowcach, oni się uczą języka polskiego. Mam o nich bardzo dobre zdanie, ale to jest jakieś nieporozumienie, że polscy będą badacze kapitulowali ze względu na brak znajomości języka niemieckiego.

Widzę jeszcze jeden problem, dla mnie absolutnie kluczowy. Chodzi o sposób narracji, czyli prezentowanie historii z perspektywy zwykłych ludzi, na zasadzie: „Wszyscy ludzie cierpieli. Moja prawda jest tak samo ważna jak twoja prawda”. To jest coś, z czym sobie nie radzimy, moim zdaniem. Tutaj trzeba rzeczy nazywać jednoznacznie i mówić, że relatywizowanie prawdy jest niewłaściwą rzeczą. Jest coś takiego jak prawda obiektywna. Nie można mówić,

że są różne prawdy i one są równo wartościowe. To jest ten trzeci problem, który już zresztą wcześniej zdefiniowałam.

Red. Piotr Semka: Najgłębszy problem jest taki, że nasze społeczeństwa się od siebie oddalają, to znaczy duża część społeczeństwa niemieckiego jest społeczeństwem, które ma inną hierarchię problemów. Gdybyśmy byli teraz w Niemczech, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś mi powiedział, że po co my w ogóle rozmawiamy o tej historii, jak być może za dwadzieścia lat zabraknie wody. Jest to czynnik, który w Polsce jest niedoceniany, ale te elementy braku wspólnej narracji, dotyczącej hierarchii wydarzeń są bardzo istotne. Niemiecka młodzież, młodzi ludzie, po pierwsze, nie uznają odpowiedzialności moralnej za faszyzm. Po drugie, mają bardzo głęboki antimilitaryzm, a po trzecie, nakłada się na to czarna legenda polskiego kraju nacjonalistycznego. Podam państwu przykład, jak to wygląda w praktyce. W jednym z tekstów młodego korespondenta „Die Welt”, dużego dziennika niemieckiego, jest dyskusja o tym, dlaczego oba państwa nie mogą siebie zrozumieć. W tym tekście korespondent „Die Welt” bardzo żałuje, że Niemcy nie odwiedzają Polski. Pisze tak, cytując: „Dlaczego Niemcy wolą spędzać urlop w Hiszpanii niż w Polsce? Przyczyna tkwi nie tylko w PiS-ie, który zaszkodził wizerunkowi Polski, ale także w utrzymujących się uprzedzeniach. (...) Wizerunek Polski w Niemczech mocno ucierpiał wskutek zwycięstwa w wyborach parlamentarnych narodowo-konserwatywnej partii PiS. Wroga wobec uchodźców i homoseksualistów retoryka partii rządzącej i głośno podnoszone żądania reparacji za popełnione przez Niemców zbrodnie odstraszały niemieckich turystów.” Czy Państwo sobie wyobrażają, żeby w jakimś polskim tygodniku, mogło się znaleźć napisane z absolutną pewnością, że polityka niemieckiego rządu, który przyjął bardzo wielu imigrantów, jest odpowiedzią, dlaczego stosunkowo mała ilość Polaków spędza urlop w Niemczech? Uznane byłoby za coś, co jest wprowadzaniem do debaty czynnika, o którym można mieć różne opinie. Usprawiedliwili się, że nie chcą jeździć, ponieważ są tam straszni ludzie, rządzi kudłata dzicz. Ten język zahacza o ton: „My wiemy, co jest normą, jeżeli u was nie wybrali tego, kogo my uważamy, że powinni być normą, to u was jest dziwnie, a jak jest dziwnie, to nie jeżdżą turyści, a jak nie jeżdżą turyści, to jest nie dobrze.” Autor tekstu pisze w części swojego artykułu, że są uprzedzenia, Polska jest biedna, tam jest niezbyt bezpiecznie, ale to jest tylko połówka. W pierwszej połowce autor wypowiada się, w taki sposób, jakby uważał, że to jest bardzo rozsądne i słuszne. „Nie można się dziwić, że pewna ilość nie przyjeżdża, skoro jest homofobiczny rząd.” Jest to jeden problem. Niemiecycy uczestnicy w dyskusji nie mają zahamowań, żeby mówić, że w Polsce jest kiepski rząd. Jeżeli ludzie słyszą sprowokowane w ten sposób powiedzenia, że „wasz rząd też nam się nie podoba”, to nie wychodzą ze zdumienia, że jak może się nie podobać taki świetny rząd, jaki mamy. To jest jedna rzecz, a drugą, takim bolącym zębem w stosunkach polsko-niemieckich, jest odkładanie sprawy, od siedmiu lub ośmiu lat, pomnika ofiar nazistowskich w Berlinie.

Zaczęło się to w 2011 lub w 2012 roku. Wówczas Władysław Bartoszewski dał taki pomysł. Sprawa ciągle się wlecze. Teraz dwustu czterdziestu deputowanych poparło ten pomysł. Nauczyłem się w Niemczech widzieć, jak szybko działają inicjatywy, w których wszystkie stronnictwa partyjne uważają coś za ważne. Nie ma żadnej dyskusji ani rozprawiania w parlamencie. Tylko szybko się robi. Tak powstał pomnik Holokaustu, tak powstał pomnik homoseksualistów prześladowanych przez nazizm. W wypadku Polski to się wlecze, co więcej, coraz częściej pokazują się takie teksty, które sugerują: „Słuchajcie zrobmy ten pomnik, to może skończy się kwestia odszkodowań”. Nie jest tak, że nikt przez ten pomnik nie może spać. W Polsce to wszystko tak długo trwa, że ta sprawa nie jest już postrzegana w odpowiedni sposób. Na

przykład zakład pracy rozprawia przez dziesięć lat, czy dać pracownikowi pożyczkę, czy nie. Po tak długim czasie pracownik trzasnąłby drzwiami i opuścił zakład pracy, mówiąc: szefie dyskutujcie jeszcze kolejne dziesięć lat. Mnie to upokarza, albo uważacie, że jestem dobrym pracownikiem i dajcie mi podwyżkę, albo że nie jestem dobrym pracownikiem i mnie nie potrzebujecie, to sobie pójdę. Jest to trochę tak samo z tą dyskusją.

Trzecia sprawa, która prędzej czy później się pojawi, to jest kwestia Rosji i jej agresywnej polityki. To jest czynnik, który w Niemczech powoduje niemiłe wrażenie, jakby ktoś był hipnotyzerem. Bardzo często, słuchając niemieckich polityków mówiących o konieczności zniesienia sankcji, mam wrażenie, jakby byli zahipnotyzowani przez jakiegoś rosyjskiego hipnotyzera. Tutaj będzie konflikt, to znaczy Niemcy nie odpowiedziały sobie na pytanie, czy chcą między swoim krajem a Rosją silnej Polski. Oczywiście, są takie deklaracje. Natomiast to, że one są relatywizowane, bardzo często wynika z narracji na temat stosunków polsko-rosyjskich. W Niemczech słynne jest określenie, które Polaków bardzo niemile dziwi, że Rosja to jest ich sąsiad. Państwo niemieckie nie sąsiaduje z Rosją. Oczywiście, można powiedzieć, że przez Morze Bałtyckie, ale jest w tym jakiś niedosyt. Pytanie jest jeszcze jedno. Ostatnia rzecz, która nas dzieli coraz bardziej, są Stany Zjednoczone. Polacy na przykład nie rozumieją dlaczego w Niemczech nie powstają żadne filmy o wyzwoleniu Niemiec przez Amerykanów. Amerykanie bardzo często ratowali więźniów obozów koncentracyjnych itd. Jedyne filmy, jakie widziałem o wyzwoleniu obozów przez Amerykanów to był film w reżyserii Andrzeja Wajdy z 1970 roku, pod tytułem „Kraj obraz po bitwie”. Niemieckiego filmu o tym, że zostaje wyzwolony obóz albo uratowani więźniowie, którzy mieli zostać zamordowani, brak. Również jest to element, który powoduje uraz.

Słyszałem dużo opinii krytycznych na temat bliskich stosunków Polski z administracją Donalda Trumpa. Nie bardzo wiadomo, co na nie odpowiadać. To jest taki stopień nieufności wobec USA. Zresztą pomysł Obamy też był, tylko mniej demonstrowany. Bardzo często, w stosunku do Rosji jest absolutny brak krytycyzmu, co nie znaczy, że nie ma sił niemieckich, które zdają sobie sprawę z rosyjskiego zagrożenia. O ile polski konsensus jest około 80 %, to w Niemczech, jeśli by robić referendum, czy Rosja, czy Ameryka jest większym zagrożeniem, wypływałyby teza, że większym zagrożeniem jest Ameryka.

Paweł Kurtyka: Jeszcze ostatni wątek. Myślę, że chyba najbardziej aktualny, ponieważ jest cały czas w bieżącej debacie politycznej. Tutaj muszę przyznać, że liczyłem na większe skupienie się na tych problemach z narracjami o polityce historycznej, jak na przykład problem z narracją w kontekście wypędzonych itd. Poszło to innymi torami. Chciałbym jeszcze dopytać o temat reparacji. Jak Państwo odbieracie reparacje i ich możliwość wypłacenia przez Niemców? Chyba wszyscy znają oficjalne wypowiedzi urzędników. Natomiast, czy tam coś się dzieje, w debacie publicznej? Czy ten temat nie istnieje? Jak to wygląda?

Red. Piotr Semka: Zasadniczo narracje są trzy albo cztery. Pierwsza narracja jest taka, że wszystko zostało już spłacone według prawników i nie ma o czym mówić. Druga narracja to jest taka, że nie ma o czym mówić, ale trzeba pracować nad historią Polski. Może stworzymy jakiś instytut badań, może ten pomnik. Trzecia narracja jest lewicy, pod tytułem: „My Niemcy nigdy nie przestaniemy nosić na sobie piętna, jednak trzeba będzie zapłacić”, ale to jest mniejszościowe i drugi mniejszościowy, to jest AFD – Alternatywa dla Niemiec, który mówi: „Nie, już wszystko co było do reparacji, to w naturze wzięliśmy jako Mazury, Warmię, Śląsk, Pomorze i nie ruszajcie tego, bo wtedy my zaczniemy liczyć”. Jest jeszcze piąta narracja, lewicująca,

która mówi: „Tak, my Niemcy oczywiście powinniśmy pamiętać, ale temat reparacji jest tylko chytrym chwytem polskiej „National Conservative Kaczyński Partei”. To co oni robią, jest obrzydliwe. To jest szczucie, granie na niższych instynktach. My się tym brzydymy i nasi polscy koledzy z lewicy również się brzydzą.”

Prof. Katarzyna Jedynakiewicz-Mróz: Trudno jest mi wypowiadać się na temat tego, jak zwykli Niemcy postrzegają problem reparacji. Moja wiedza i intuicja, bazująca na znajomości społeczeństwa niemieckiego, zwłaszcza młodszego pokolenia, jest taka, że większość społeczeństwa niemieckiego nie ma zielonego pojęcia o tym, że są jakieś roszczenia reparacyjne ze strony Polski, także dlatego, że generalnie relacje polsko-niemieckie młodej generacji umykają. Domyślam się, że jeśli w ogóle do tego pokolenia dociera kwestia reparacji, to pojawia się dodatkowy wątek rozumowania: wszak państwo niemieckie ma ogromne wydatki i zobowiązanie względem dziesiątków osób, które w ostatnich latach przybyły do Niemiec, szczególnie po 2015 roku. Innymi słowy państwa niemieckiego na reparacje nie będzie stać. To jest tylko moja intuicyjna próba wyobrażenia sobie, jak przeciętny przedstawiciel młodszej generacji Niemców na kwestię reparacji reaguje – zwłaszcza sympatyk partii Zielonych, która to partia w tej chwili zyskuje na znaczeniu w Niemczech. Przypuszczam, że sympatyk partii lewicy ma również podobne zdanie.

Natomiast w tym miejscu chciałabym powiedzieć o innej kwestii. Może jako historyk mam inne spojrzenie – nie rozumiem jako politolog, tylko jako historyk. Warto sobie zadać pytanie: dlaczego część Niemców nie dopuszcza do świadomości perspektywy odszkodowań wobec Polski? Odpowiedzią jest stwierdzenie, że przeciętny Niemiec, nie tylko przedstawiciel młodej, ale również średniej generacji, ma bardzo niewielkie pojęcie o tym, że Niemcy nie tylko mordowali obywateli okupowanej Polski w latach 1939 – 1945. Świadomość zabijania na pewno mają, bo tu wchodzi w grę liczba bezwzględne. Nie mają natomiast świadomości, że Niemcy podczas okupacji ziem polskich także na potęgę kradli, że obywatele polscy mieli po 1 września 1939 roku do czynienia z zorganizowanym niemieckim rabunkiem – zarówno instytucji państwa niemieckiego, jak i niezorganizowaną grabieżą, na przykład pojedynczych urzędników czy funkcjonariuszy administracji okupacyjnej. Niemcy mają świadomość, że dokonano rabunku mienia żydowskiego. W ostatnich dwóch dekadach mają również świadomość, że ten rabunek odbywał się także na poziomie przeciętnych obywateli niemieckich, którzy byli beneficjentami „aryzacji” mienia żydowskiego. Korzystali oni z zagrabionego mienia Żydów niemieckich, choćby poprzez publiczne aukcje, organizowane po 1941 roku, w których każdy niemiecki obywatel mógł uczestniczyć. Takie aukcje odbywały się pod szyldem „Aukcja mienia nienależącego do Aryjczyków”. Każdy kto kupował, na przykład komodę, garnitur, sukienkę, wiedział, że kupuje mienie „pożydowskie”. Tego świadomość Niemcy mają, chociaż niekoniecznie na co dzień z tą świadomością żyją. Natomiast nie dociera do nich, że ten sam urzędnik niemiecki, na przykład urzędnik podatkowy, na ziemiach okupowanej Polski robił często to samo, czyli w dużej ilości konfiskował polskie mienie i wywoził je do Niemiec. Nie ma w Niemczech świadomości tego, że funkcjonariusze niemieccy na ziemiach polskich uprawiali w sposób zorganizowany grabież i rabunek. Problem odszkodowań za kradzież, to jest coś, co by może do niektórych Niemców dotarło. Tylko najpierw trzeba wiedzieć, ile tego mienia zagrabiono po 1 września 1939 roku. Takiej wiedzy przeciętny Niemiec nie posiada. Ten aspekt okupacji kompletnie umyka współczesnym Niemcom.

Red. Piotr Semka: W jakimś perwersyjnym układzie, w mordzie, jest jakaś wzniosłość, a w kradzieży nie. W związku z tym lepiej przeproszać za to, że czyjś dziadek mordował ludzi. Z opowieści

moich rodziców, rodziny, wynika, że w Niemczech w latach 1939-1944, było bardzo popularne cyniczne powiedzenie: „z Polski wszystko jest do zabrania”. Zrobiłem test i wpisałem ten tekst w wyszukiwarkę Google, czy gdzieś to występuje? W formie pisanej nie występuje. Zostało to wyparte, przez ludzi, którzy pamiętają Niemców, żartujących między sobą w ten sposób. Nie ma, ani jednego przykładu w wyszukiwarce Google, że to zdanie, kiedykolwiek występowało.

Ostania rzecz, proszę państwa. Proszę pamiętać, tu mówimy o jednej rzeczy, na którą pani profesor Katarzyna Jedynakiewicz-Mróż zwróciła uwagę. Stosunki polsko-niemieckie paradoksalnie lepiej mogły się rozwijać, gdy istniała duża liczba osób, które wyrosły na terenach okupowanych lub pod władzą pruską. Nie jest przypadkiem, że biskupi polscy z niemieckimi mogli zadzierzgnąć pierwsze pierwociny pojednania dlatego, że mówili tak, jak oddychali. Dzisiaj jest to o wiele bardziej trudne dla osób, które są w stanie rozpocząć naukę języka niemieckiego i zakończyć ją z bardzo dobrym skutkiem, jakby mówili tak, jak oddychali. To powoduje, że takich osób jest stosunkowo mało, a na dodatek jeszcze takie osoby w dialogu polsko-niemieckim są dosyć bierne, ponieważ one są uzależnione, jako że zna się ten język, który jest narzędziem w wielu instytucjach polsko-niemieckich, w których o sprawach stawianych na ostrzu noża zazwyczaj się nie mówi. W związku z tym ludzie, którzy bardzo dobrze znają język niemiecki, bardzo często, o sprawach polsko-niemieckich nie chcą mówić. Teraz bardzo często po stronie niemieckiej jest nadreprezentacja osób, które wyrosły w rodzinach polskich emigrantów. Takie osoby poprzez system szkoły podstawowej, średniej, studiów i instytucji polsko-niemieckich faktycznie są osobami myślącymi w kategoriach polityki historycznej RFN-u. Oni, gdyby byli tutaj z nami, mogliby wysłuchać naszych obaw, po czym by odpowiedzieli: Nie, państwo nie rozumieją. Wszystko jest na najlepszej drodze, jest robione, będzie załatwione. Po co szukać dziury w całym? „Dlaczego wy się denerwujecie na określenie polskie obozy koncentracyjne? To jest wyłącznie wynik pomyłki. Polacy na to: skoro pomyłki, to dajcie do kodeksu, że to jest karalne. Niemcy na to, że tak daleko nie będą się posuwać.

Pani profesor, ma pani wydawnictwo Znak, które wydaje książkę pod tytułem: „Polskie obozy koncentracyjne” o obozach komunistycznych, które były na przykład w Rembertowie pod Warszawą. Teraz przychodzi Niemiec i mówi: Pani krzyczy, że to skandal, a ja mam książkę, z wydawnictwa Znak. Same szacowne postacie, kiedyś wydawał tam książki papież Polak, Jan Paweł II. Oni uważają, że wyrażenie polskie obozy koncentracyjne nie jest skandalem. Jest nieporównywalnie więcej dyskusji na temat takich kwestii polsko-polskich, niż niemiecko-niemieckich w tych sprawach.

Podam jeszcze inny przykład. Pani profesor Katarzyna Jedynakiewicz-Mróż i ja od lat siedemdziesiątych XX wieku pamiętamy „serial” pod tytułem: „Działalność komisji do spraw wspólnego podręcznika”. Minęło czterdzieści lat i po pierwsze wszystkie landy nie interesują się tym i mówią, że w każdym landzie ludzie będą sobie wybierać podręczniki, jakie będą chcieli. Są pewni entuzjaści, którzy używają go jako podręcznika dodatkowego. A po drugie, to w ciągu tych czterdziestu lat nastąpiły chyba trzy wymiany pokoleniowe. Naprawdę to już przestało mieć znaczenie. W Polsce to absolutnie nikogo nie obchodzi. Obawiam się, że dokładnie tak będzie z ciągłą niemiecką debatą, czy zrobić pomnik pomordowanych Polaków. W Polakach nie budzi już to żadnych emocji, jeżeli Niemcy myślą, że skoro zrobią pomnik, to Polacy przestaną myśleć o rekompensatach, to łudzą siebie w sposób, który donikąd nie prowadzi. Jestem w radzie Muzeum II Wojny Światowej, zamierzam pojechać do tej grupy archeologów, o których była opowieść, którzy wykopują szczątki polskich zamordowanych

przymusowych pracowników. Z chęcią zaproszę tych ludzi do Muzeum II Wojny Światowej. Jeżeli będzie można zaprezentować te resztki typu kalendarzyki, medaliki, krzyżyki itd. – być może niektóre mogą być rozpoznane – to będzie dla mnie przykład uhonorowania ludzi, którzy z czystego sumienia uznali, że jeżeli tutaj są pochowani ci robotnicy, to trzeba podjąć działania ekshumacyjne i pochować tych ludzi po Bożemu.

W „Topografii terroru” jest wystawa o Powstaniu Warszawskim. Wiedza o Powstaniu Warszawskim relatywnie dziś jest większa niż dwadzieścia lat temu. Była wystawa w ośrodku Peenemünde, była w Brunatnym Domu NSDAP, w którym jest teraz Narodowo-Socjalistyczne Centrum Dokumentacji, ale powinni się nazywać centrum badawcze ofiar nazizmu, a nie narodowego socjalizmu. Korespondentom niemieckim staram się bardzo spokojnie i żmudnie te rzeczy wyjaśniać. Czasami w tekście znajduję jedno zdanie wyrwane z kontekstu, a czasami mam wrażenie, że ktoś coś trochę zrozumiał. Tutaj żadnych szybkich działań brak. Nie bardzo widzę też gotowość. Wydawało się, że CDF, który, delikatnie mówiąc, narozrabiał tym filmem, w reżyserii Philippa Kadelbacha z 2013 roku, pod tytułem: „Nasze matki, nasi ojcowie”, więc puścił film w reżyserii Jana Komasy z 2014 roku, pod tytułem: „Miasto 44” i uznali, że są całkowicie kwita.

Paweł Kurtyka: Będziemy już kończyć. Wybija się wątek, który nie został nazwany wprost. Jest to brak przepracowania po stronie polskiej jej własnego stanowiska na szerszej płaszczyźnie niż pewnych grup politycznych, czyli na płaszczyźnie obiektywnych faktów w stosunku o narracji o drugiej wojnie światowej – również na arenie międzynarodowej. Fakt ten kładzie się cieniem na szeregu rzeczy.

Jedną z przyczyn jest to, że stan polskich badań historycznych jest na niższym poziomie niż stan badań niemieckich. Nie ze względu na jakość, ale na znacznie krótszy czas pracy nad tą narracją po stronie polskiej. W Niemczech zaczął obowiązywać jeden paradygmat, jedno podejście. W Polsce jest to wszystko trochę rozmyte. Tak samo, jeżeli chodzi o tzw. soft power. Nie ma się z czym porównywać. Takim widocznym przykładem soft power jest to stypendium, o którym pani profesor mówiła. Niemcy pozyskują polskich badaczy i mogą dzięki tym funduszom zadaniować ich na te tematy, które sami uważają za słuszne. My takich samych narzędzi nie mamy. Nie myślimy tym, a nawet nie wyobrażamy sobie, żeby pozyskać niemieckiego studenta na niemieckiej uczelni, aby napisał książkę o polskich ofiarach w czasie okupacji. Widać słabość systemową państwa i społeczeństwa polskiego do walki o swoje. Rzeczywiście się to przejawia, nie tylko z perspektywy tej dyskusji. W każdym temacie – czy to mówimy o Żydach, Ukraińcach czy Niemcach – widać dramatyczne skutki niepodejmowania tematów historycznych w Polsce. Ta tematyka nie cieszyła się żadnym mecenatem państwa, nie była przedmiotem jakiegokolwiek polityki. Weszły więc w obieg w naszym kraju narracje obcych państw, nie do końca związane z reprezentowaniem polskiej racji stanu.

Myślę, że cennym i wielowątkowym elementem tej dyskusji było prześledzenie różnych stanowisk w Niemczech i ich recepcji. Z tego wynika, że są wyspy dobra i są wyspy, gdzie dzieje się źle. Od nas zależy, w jaki sposób to się skończy. Jesteśmy w procesie, więc tych narzędzi walki o prawdę trzeba wygenerować jak najwięcej, po to, aby ten proces zakończył się dobrym rezultatem dla obu stron. Zakładamy, że Niemcy również nie chcą żyć w kłamstwie. Dziękuję państwu za wysłuchanie dyskusji oraz prelegentom za udział.

Debata pt. „Relacje polsko-niemieckie
a pamięć i polityka historyczna” odbyła się
14 listopada 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

PAMIĘĆ I POLITYKA HISTORYCZNA

W dyskusji udział wzięli:

dr Joanna Lubecka
(Akademia Ignatianum w Krakowie,
Instytut Pamięci Narodowej,
Rada Programowa Fundacji im. Janusza Kurtyki),
prof. Bartosz Korzeniewski
(Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu)
oraz mec. Jerzy Pasieka
(Kancelaria Pasieka, Derlikowski, Brzozowska).

Rozmowę poprowadził
dr Karol Mazur
(Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie).

Dr Karol Mazur: Dzień dobry. Na początku naszej rozmowy spróbujemy zdiagnozować współczesne relacje polsko-niemieckie, opierając się głównie na ich historii, również najnowszej. Następnie pochylimy się nad wydarzeniami po 1989 roku, czyli po upadku muru berlińskiego i komunizmu w Polsce, w kontekście pojednania między narodami. Następnie spróbujemy nakreślić perspektywy na przyszłość.

Zacznijmy od historii. Przygotowując się do tego spotkania, jako historyk odtwarzałem dzieje relacji polsko-niemieckich mniej więcej od bitwy pod Cedynią w 972 roku. Sam zadałem sobie pytanie – czy na przestrzeni dziejów mieliśmy kiedykolwiek dobre relacje z naszymi zachodnimi sąsiadami?

Prof. Bartosz Korzeniewski: Jedynym takim momentem była pierwsza połowa XVIII wieku, czyli okres panowania Sasów, ale dobre relacje dotyczyły wtedy tylko Saksonii. Nie jestem historykiem, tylko badaczem kultury, ale nie waham się stwierdzić, że obraz tych czasów jest mocno zafałszowany. Został on ukształtowany w ostatnich kilkudziesięciu latach i mam nadzieję, że zostanie poddany weryfikacji. Z pewnością okres ten nie był tak zły, jak się go często przedstawia, pod warunkiem, że nie mamy na myśli tylko stosunków politycznych – bo w tej akurat kwestii trudno być zachwyconym. Natomiast jeśli weźmiemy pod uwagę również stan kultury, trzeba przyznać, że działo się wtedy wiele dobrego. Również sferę kultury mam na myśli, mówiąc o pozytywnych relacjach polsko-niemieckich, a dokładniej polsko-saksońskich.

Nawiązując do współczesności, odbudowa Pałacu Saskiego jest moim zdaniem bardzo istotna, ponieważ stanowi on symbol bliskości Polski i Niemiec. Myślę, że przy okazji historycy przepracują ten okres i jego obraz nieco się zmieni. Natomiast jako badacz pamięci muszę stwierdzić, że epizod ten nie ma możliwości bezpośredniego przełożenia na stosunki polsko-niemieckie. Na pamięć zbiorową oddziałują jeszcze wydarzenia sprzed 100-120 lat, natomiast wcześniejsze przechodzą już do martwej historii. Taka jest kolej rzeczy, że epoka saska należy do tych martwych.

Dr Joanna Lubecka: Powiem, co przyszło mi do głowy od razu, gdy zadał Pan to pytanie. Zaznaczę jeszcze, że przez całą historię Niemiec nie mamy do czynienia z państwem w obecnym kształcie, tylko z Rzeszą, czyli bardzo często luźnym związkiem mniejszych państweczek, z którymi też mamy różne stosunki.

Liczba małżeństw zawieranych między Piastami a dynastiami z różnych państw niemieckich była całkiem spora. Najczęściej to kobiety wyjeżdżały za zachodnią granicę. Choć może się to wydać obrazoburcze, również w historii Zakonu Krzyżackiego dostrzegam wiele bardzo

ciekawych i pozytywnych wątków, łącznie z gospodarczym, który często nazywa się kolonizacją. Nie zgadzam się z tym. Kilku wielkich mistrzów nastawionych było dość przychylnie do ziem polskich. Współpraca z książętami mazowieckimi albo kujawskimi układała się generalnie dobrze. W kolonizacji na prawie niemieckim, zarówno w aspekcie prawnym, jak i gospodarczym, trudno mi znaleźć jakieś negatywy. To był typowy ruch wówczas poszukiwania ziemi. Niemcy przynieśli ze sobą ponadto mnóstwo ciekawych rozwiązań w zakresie uprawy, budowy domów, organizacji wspólnoty wiejskiej. Kolejny pozytywny moment to rok 1848 – szczyt polskiego „soft power”, gdy dla niemieckich liberałów sprawa polska stała się symbolem walki o prawa i wolności. Wtedy podczas manifestacji powszechnie śpiewano polski hymn, przetłumaczony na język niemiecki w 1831 roku. Tłumaczono też dzieła polskiej literatury. Czuć było wtedy ogromny propolski entuzjazm ze strony ludności, choć niekoniecznie władców. Wymieniłabym również, paradoksalnie, okres międzywojenny, podczas którego nawiązały się zaskakująco dobre kontakty polskich intelektualistów, w tym prawników, z niemieckimi. Zastanawiam się, co się stało z tymi przyjaźniami po 1 września 1939 roku?

Chciałabym zwrócić jeszcze uwagę na kwestię, którą poruszył prof. Bartosz Korzeniewski. Interpretujemy historię *ex post*, wiedząc, co stało się później. Często dokonujemy analiz pod wpływem polityki. O wydarzeniach, które wymieniłam, w ogóle się nie mówi, nie uczy się o nich w szkołach. Oczywiście zastrzegając, że bilans wzajemnych kontaktów – zwłaszcza w kontekście drugiej wojny światowej – jest niekorzystny. Czy to musi jednak przekreślać wszystkie pozytywne elementy wspólnej historii?

Dr Karol Mazur: Bardzo dziękuję. Do wspomnianych epizodów dodałbym jeszcze okres po Powstaniu Listopadowym. Niemcy przyjęli u siebie emigrantów z ogromnym entuzjazmem, a popularność Polski była wtedy ogromna. Podobnie w czasach „Solidarności” dało się wyraźnie odczuć sympatię Niemców zachodnich i wschodnich. Widzę, że celowo pominęliście Państwo dzisiejsze czasy. Będę grał adwokata diabła, ale myślę, że jeśli porównamy współczesne relacje z tym, co działo się w pierwszej połowie poprzedniego stulecia, okaże się nie być aż tak źle. Na pewno do tego wrócimy. Padło już stwierdzenie, że właśnie XX wiek zaważył na relacjach polsko-niemieckich, co wpływa też na naszą nadinterpretację przeszłości. Chciałbym, abyśmy zastanowili się nad wzajemnym sposobem postrzegania obu narodów w dzisiejszych czasach, biorąc pod uwagę naszą wspólną historię. Zastanawiam się, czy nasze uprzedzenia wynikają z jednostkowych doświadczeń, czy też багаż przeszłości sprawia, że negatywne stereotypy zostają ugruntowane.

Prof. Bartosz Korzeniewski: Powiem nieco przekornie, że według mnie decydujące dla relacji polsko-niemieckich były wydarzenia wieku XIX, czyli okresu zaborów. Odbiły się one wyraźnie na mentalności ludzi żyjących pod zaborem pruskim – bo w kontekście Polski również należy tę kwestię różnicować regionalnie. Pod względem kształtowania świadomości społecznej i rozmaitych stereotypów w tamtym czasie wydarzyło się najwięcej. Druga wojna światowa oddziałuje na nas bezpośrednio, należy jednak podkreślić, że ówczesne realia były konsekwencją tego, jak myślano o Polakach już wcześniej, za czasów Bismarcka. Nie oznacza to, że na przykład u nas, w Poznaniu, nie znaleźlibyśmy wielu pozytywnych czy nawet twórczych aspektów pruskiego oddziaływania w obszarze cywilizacyjnym, kulturowym czy prawnym. Germanizacja tym się różniła od rusyfikacji, że odbywała się w faktycznym państwie prawa, z poszanowaniem istniejących reguł – oczywiście spisanych przez zaborcę. W zaborze pruskim

działało na przykład wielu arystokratów zaangażowanych w walkę niepodległościową, którzy stracili swoje majątki w wyniku powstań, ale w zdecydowanej większości odzyskiwali je po długoletnich procesach, choć nieco uszczuplone. Stało się tak choćby w przypadku Radziwiłłów. W samej historii Antoniego Radziwiłła, namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego w latach 1815-1831, był okres pozytywnych stosunków polsko-niemieckich. Część rodu miała nawet niemieckie korzenie, ale jedno pozostawało niezmiennie: zamiłowanie do sztuki i kultury. Nie wiem, czy państwo wiedzą, ale na ziemi należącej do jednego ze zgermanizowanych przedstawicieli rodu Radziwiłłów i odkupionej później przez Prusaków powstała najpierw kancelaria Rzeszy, a dzisiaj stoi inny ważny budynek. To dla niego tuż przy Bramie Brandenburskiej król pruski przeznaczył wspaniały teren pod budowę muzeum, w którym prezentowanoby jego zbiory. Tak samo jak hrabia Edward Raczyński, fundator biblioteki Raczyńskich, robił to w intencji krzewienia polskości. Muszę też dodać, że to, co piękne w Poznaniu, zafundowali nam Prusacy, pozostawiając po sobie w ten sposób pozytywne dziedzictwo.

Dr Karol Mazur: To samo pytanie chciałbym zadać doktor Joannie Lubeckiej – na ile negatywne stereotypy zostały ukształtowane przez historię.

Dr Joanna Lubecka: Najpierw chciałabym odnieść się do wypowiedzi profesora Bartosza Korzeniewskiego. Zobaczcie państwo, jak wiele ciekawych i pozytywnych aspektów można dostrzec w naszej wspólnej przeszłości. Dobrym przykładem jest wspomniane prawo pruskie. W szkołach w kontekście germanizacji uczy się o Wrześni i wozie Drzymały. Podręczniki nie wspominają jednak, że wprawdzie proces przeciwko polskim rodzicom i dzieciom skończył się dla nich karami, ale równocześnie nauczyciele i lokalny inspektor oświaty zostali przeniesieni w inne miejsce. To dobrze obrazuje funkcjonujące wówczas mechanizmy prawne. Myślę, że warto podkreślać takie elementy, choćby w celu ukazania różnic między zaborami. Na tym właśnie polega traktowanie historii *ex post*. Prawdę należy postrzegać kompleksowo i traktować historię jak ciąg procesów, zamiast wyciągać wydarzenia z ich kontekstu. Zgodzę się również z tym, że narodowe stereotypy ukształtowały się już w XIX wieku. Niemieckie postrzeganie Polaków rozpatrywałabym jednak szerzej, w perspektywie antyslawizmu. To ujawniło się z resztą później u Hitlera. Oczywiście każda z nacji słowiańskich była traktowana nieco inaczej, ale generalnie w ideologii nazistowskiej bardzo silnie wybrzmiewała niechęć do Słowian. Właśnie w XIX wieku zaczęto ich postrzegać jako ludzi na niższym poziomie rozwoju i traktować z pewną pogardą. Przypominam, że to czas kolonializmu, imperializmu pozazuropejskiego – taka postawa wobec innych ras i nacji nie była niczym wyjątkowym. Wiązało się z nią jednak również silne poczucie misyjności, świadomość szerzenia cywilizacji. Zaczął się wówczas rozwijać *Ostforschung*, czyli studia nad Europą Wschodnią i historią Słowian. Choć politycznie Niemcy traktowali Polskę jako wewnętrzną sprawę rosyjską, zdawali sobie sprawę, że antyrosyjskie nastawienie wielu narodów słowiańskich było faktem, a panslawizm głoszony przez Rosję był dla nich nie do przyjęcia właśnie ze względu na dominację Rosji i prawosławia. Jeszcze w XX wieku wielu polityków i naukowców niemieckich sprzyjało koncepcji *Mittel-Europe* – związku krajów Europy Środkowej, związanych oczywiście z Niemcami, ale równocześnie przeciwstawiających się hegemonii rosyjskiej. Dla Polski opcja proruska również była wykluczona, ale już proustriacka okazała się kusząca.

Stereotypowy obraz Polaka w Niemczech był oczywiście negatywny. A polski obraz Niemca? W 1947 roku ukazała się książka „Potępiency. Sąd wieków nad Niemcami” pod redakcją A. Trepieńskiego, będąca antologią polskich tekstów poświęconych całej rozpiętości wspólnych

dziejów. Zostały one wybrane tuż po wojnie, w odpowiednio antyniemieckiej atmosferze, w celu udowodnienia tradycyjnej, stereotypowej niechęci Polaków do Niemców. Oczywiście potrafiłabym znaleźć w odpowiedzi teksty proniemieckie – na przykład autorstwa Władysława Studnickiego – które w wyważony sposób ukazują konieczność utrzymywania dobrych stosunków z Niemcami. Jednak z powodu naszej trudnej historii o wiele łatwiej natknąć się na pozycje podtrzymujące niechęć do nich. Szczególną rolę w utwierdzaniu negatywnych stereotypów odegrał również PRL, którego władze były w pewnym sensie legitymizowane przez antyniemieckie nastroje.

Dr Karol Mazur: Panie mecenasie, czy w swojej pracy ma pan styczność z polsko-niemieckimi uprzedzeniami?

Mec. Jerzy Pasieka: Z uprzedzeniami nie. Natomiast mój segment relacji polsko-niemieckich, pamięci i polityki historycznej umiejscowiony jest w sądzie, co utrudnia mi spojrzenie na pozytywne aspekty tych zjawisk. Wpływają na to przede wszystkim szczegóły spraw, z którymi mam do czynienia. Chciałbym wspomnieć o trzech z nich. Pierwszą wytoczyliśmy w imieniu kapitana Radłowskiego, żołnierza Armii Krajowej, przeciwko niemieckiej telewizji ZDF w związku z filmem „Nasze matki, nasi ojcowie”. Drugą – w imieniu pana Krystiana Brodackiego przeciwko portalowi internetowemu Onet.pl. Chodziło o głośne zdjęcie, na którym niemiecki żołnierz prowadzi kobietę, a z artykułu pod nim wynikało, że to zdjęcie Polki, która wzorem wielu swoich rodaczek miała romans z Niemcem. W rzeczywistości widać tam Polkę prowadzoną przez Niemca na rozstrzelanie w Palmirach. Trzecia sprawa, w której mieliśmy udział, współpracując z mecenasem Lechem Obarą, dotyczyła śp. Karola Tendery, który skutecznie walczył ze stosowaniem określenia „polskie obozy śmierci” przez zachodnie media. Z uwagi na sposób, w jaki podchodzą do tych zagadnień strony przeciwne, czyli albo ZDF, albo adwokaci oskarżonych, nie widzę możliwości spokojnego uregulowania wzajemnych relacji, przynajmniej na tym polu. Potem pozwolę sobie powiedzieć więcej na ten temat.

Dr Karol Mazur: Bardzo dziękuję. Zanim przejdziemy do czasów współczesnych, chciałbym poruszyć jeszcze jeden wątek. Wspomnieli państwo o tym, że stereotypy antyniemieckie i antypolskie wynikają z pewnego bagażu historycznego, ale posiadamy również pozytywną spuściznę wzajemnych kontaktów. Mnie interesuje z kolei propaganda. Wiadomo, że błędne przekonania są często budowane i podtrzymywane przez rządzących w ich własnym interesie. Czy mogliby państwo wskazać takie momenty w relacjach polsko-niemieckich, gdy propaganda działała wyjątkowo skutecznie?

Prof. Bartosz Korzeniewski: Mogłbym wskazać właśnie lata współczesne, choć oczywiście nie można ich porównywać z nagonką z czasów hitlerowskich. Z reguły im bardziej delikatnymi metodami posługuje się propaganda, tym bardziej jest skuteczna. Wystarczy poczytać „Bild” i inne niemieckie czasopisma, żeby stać się tak sceptycznym jak mecenas Jerzy Pasieka. Wybiegając w tej dyskusji w przyszłość, przyznam, że mimo wszystko również jestem pesymistą i uważam, że czeka nas jeszcze gorszy okres w stosunkach polsko-niemieckich. W dzisiejszym świecie liczy się potęga finansowa, a Polska powoli nadrabia gospodarczy dystans do Zachodu. Niemcy prawdopodobnie nie będą tym zachwycone. Polityka to gra interesów, zazwyczaj brudnych. Bardzo często ulegamy propagandzie sukcesu pierwszych dwudziestu lat istnienia III Rzeczypospolitej i zaczynamy wierzyć w głębokie pojednanie między narodami. Niestety wydarzenia ostatnich kilku lat dowodzą, jak płytkie było ono w rzeczywistości. To,

jak przedstawiają Polaków niemieckie media, nie musi przekładać się rzecz jasna na postawę każdego Niemca, ale z drugiej strony skąd mają oni czerpać pozytywny obraz naszego kraju? To propaganda w białych rękawiczkach, w dodatku rozciągnięta wewnątrz Polski, co widać na przykładzie działalności portalu Onet.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wydawało się, że Niemcy myślą o Polsce bardzo pozytywnie. Często podkreślaliśmy ich zasługi dla przyłączenia Rzeczypospolitej do Unii Europejskiej, choć w rzeczywistości nasi zachodni sąsiedzi skorzystali na tym ekonomicznie, co stanowiło główną motywację dla głoszonego przez nich poparcia. Wówczas mieliśmy również nadzieję na wyegzekwowanie zadośćuczynienia za dawne krzywdy, opierając się na niemieckim poczuciu winy za drugą wojnę światową, rozbudzonym w latach siedemdziesiątych przez Anglików, Francuzów i Amerykanów. Niestety z perspektywy Niemców szkody wyrządzone Polsce stanowią jedynie niewielki dodatek do tego, co faktycznie zawinił Holokaustem. Nie mają świadomości, że masowa zagłada była wymierzona również w polskich obywateli. W tej chwili poczucia winy już nie ma, pozostała za to rosnąca świadomość dynamicznego rozwoju Polski. Ponieważ niemiecki rząd bardzo dba o swoje wpływy w mediach – w przeciwnieństwie jeszcze do niedawna do polskich władz – skutecznie promuje w ten sposób niechęć do Polaków.

Zdradzę, że jestem bardzo krytycznie nastawiony wobec Niemców, ale jednocześnie podziwiam ich skuteczność oraz umiejętność dbałości o własną kulturę. Myślę, że znacznie przewyższają pod tym względem Polaków. Mówię to z dużym bólem, ale myślę, że możemy wiele się od nich nauczyć, nie stając się przy tym zwolennikami czy przyjaciółmi. Bagaż drugiej wojny światowej jest bez wątpienia bardzo duży, stąd drażni mnie porównywanie nastrojów antyniemieckich w Polsce do nastrojów antypolskich wśród Niemców. My zmagamy się z brzemieniem ofiar, które wykracza poza granicę zwykłych stereotypów. Skoro każda polska rodzina doświadczyła śmierci kogoś z najbliższych, trudno wymagać innego zdania na temat naszych sąsiadów. W Niemczech z kolei konsekwentnie podtrzymuje się subiektywny obraz Polski. Należy się jedynie cieszyć, że nie jest on jednoznacznie negatywny, zwłaszcza pod względem statusu ekonomicznego naszego kraju. Oczywiście zaniedbania pozostają ogromne i potrzeba jeszcze kolejnych dwudziestu lat – a nawet więcej – abyśmy zbliżyli się do siebie finansowo. Właśnie dlatego patrzę na przyszłość z pesymizmem.

Dr Karol Mazur: Pan profesor nawiązał do czasów współczesnych i będziemy rozwijać tę kwestię. Warto podkreślać przede wszystkim brak symetrii, ponieważ u nas багаż historii ciąży zdecydowanie bardziej niż u Niemców. Stąd też moje pytanie o propagandę rządzących i podtrzymywanie negatywnych stereotypów.

Dr Joanna Lubecka: Nie do końca zgodzę z obrazem nakreślonym przez profesora Korzeniewskiego, przyznam mu jednak rację w ocenie skuteczności niemieckiej polityki. Pomimo ich trudnej historii Niemcy zaledwie 50-60 lat po wojnie pozostają jednym z najbogatszych krajów świata i jednym z najbardziej pożądanym sojuszników w sferze gospodarczej i politycznej. To niesamowite osiągnięcie. Polska z kolei, mimo kilku negatywnych epizodów z przeszłości – o których swoją drogą należy głośno mówić – ma znacznie prostsze zadanie. Nasza historia wydaje się łatwiejsza do, przepraszam za słowo, „sprzedania”. Skuteczności na tym obszarze musimy się jednak nauczyć od Niemców i innych państw, które radzą sobie z tym znacznie lepiej.

W stosunkach międzynarodowych nie istnieje kategoria przyjaźni. To wolny rynek rozgrywek gospodarczych, politycznych i wizerunkowych, determinujących możliwość forsowania własnej polityki pamięci na arenie globalnej. Bogate kraje dysponują w tym zakresie nie tylko większymi środkami, ale też często potężnymi sojusznikami. Mimo tego można znaleźć wiele bardzo ciekawych przykładów mniejszych narodów, które bez wielkich nakładów finansowych potrafią wypromować własną politykę historyczną. Cały czas uważam – choć miałam nadzieję, że to się zmieni – że Polska nadal nie wypracowała na tym polu strategii wykraczającej poza czteroletnią kadencję rządu. Polemizowałabym z kolei z tezą, że gospodarcza słabość naszego państwa leży w interesie Niemiec. To kraj eksportowy, który czerpie korzyści z silnych ekonomicznie sąsiadów. Natomiast silna ekonomicznie, a jednocześnie samodzielna i upodmiotowiona Polska będzie dla nich znacznie trudniejszym partnerem. Im lepszą pozycję gospodarczą osiągniemy – co jest oczywiście bardzo trudne w zglobalizowanym świecie, do którego dość późno dołączyliśmy – tym większy niepokój zaczniemy budzić. Nie zgodzę się również z opinią, że Niemcy tak jednoznacznie piszą o Polsce. Często czytam niemiecką prasę codzienną i tygodniową, słucham różnych wypowiedzi w mediach. Przeciętny Niemiec nie ma negatywnego zdania o Polakach, on najczęściej nie ma żadnego zdania albo ulega funkcjonującym powszechnie stereotypom. Dziennikarze piszą o Polsce bardzo różnie, dlatego nie warto uogólniać ich postaw.

Zgadzam się natomiast, że promowana w Niemczech narracja historyczna jest dla nas bardzo niekorzystna i jednocześnie niebezpieczna, bo nie posiadamy jeszcze narzędzi do odpowiedniej jej weryfikacji. Wpisuje się ona w szersze tendencje obecne na Zachodzie, gdzie w mówieniu o przeszłości dominują metodologie postmodernistyczne i konstruktywistyczne, które odrzucają państwo narodowe jako twór zużyty, skompromitowany. Proszę zauważyć, że odwoływanie się do ciągłości historycznej nie leży w niemieckim interesie. Łatwiej postawić grubą kreskę i ogłosić 8 maja 1945 roku zwycięstwem Niemców, którzy odrodzili się wówczas na nowo. Nie wracają do tego, co było, nie mówią o państwie narodowym, bo ono jest złe. Patriotyzm też jest zły, ponieważ nawiązuje do państwa narodowego, zastąpił go zatem patriotyzm konstytucyjny, propaństwowy, ale nie narodowy. Europa Środkowa, w tym Polska, ma zupełnie inne doświadczenia. To dzięki patriotyzmowi narodowemu udało nam się przetrwać zabory, wojenną okupację i komunistyczną kontrolę. Na pierwszym miejscu zawsze stawialiśmy naród, dlatego nie widzimy powodu, by odchodzić od takiego rozumienia własnej tożsamości. Pod tym względem nie wykorzystaliśmy koniunktury lat dziewięćdziesiątych. Istniało wtedy w Niemczech silne lobby propolskie tworzone przez szereg wpływowych postaci, w tym Karla Dedeciusa, Ritę Süssmuth (nadal aktywną) czy Marion Gräfin Dönhoff. Takie osoby działają cały czas za naszą zachodnią granicą, na przykład w sprawie budowy pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej w Berlinie. Dziś pod projektem podpisała się już prawie setka osób, wśród nich politycy, działacze, literaci... Należy jedynie odpowiednio to spożytkować.

Chcę się odnieść do jeszcze jednego wątku z wypowiedzi pana profesora. Mam spore wątpliwości co do wspomnianego poczucia winy. Słynny niemiecki pisarz Martin Walser stwierdził, że to wyuczone wyrzuty sumienia i na hasło „Auschwitz” każdy Niemiec musi odpowiedzieć: „Moja wina”. Wszystkie najnowsze badania wykazują jednak, że Niemcy posiadają podstawową wiedzę o Holokauście, ale w ogóle go nie rozumieją. Mimo ogromnych nakładów pracy i pieniędzy przeciętni – zwłaszcza młodzi – obywatele nie potrafią opisać drogi Żyda od momentu aresztowania do momentu śmierci. Zagłada polegała przecież na fabrycznym mordowaniu, a nie na przykład rozstrzeliwaniu pod ścianą. Na domiar złego sondaż przeprowadzony

w 2012 roku przez profesora Benjamin Ortmeiera pokazał, że wiedza Niemców na temat ofiar innych niż żydowskie w ogóle nie istnieje. Najnowsze badania z 2018 roku przerażają mnie jeszcze bardziej. 69% ankietowanych jednoznacznie stwierdza, że w ich rodzinach nie było sprawców zbrodni, równocześnie aż 54% utrzymuje, że ich przodkowie byli ofiarami nazizmu. To niebezpieczny tok myślenia, który podważa wyraźny podział na sprawców i ofiary.

Dr Karol Mazur: Panie mecenasie, bardzo proszę.

Mec. Jerzy Pasięka: Niestety nie jestem niemieckojęzyczny i nie czytam tamtejszej prasy, w związku z czym podchodzę bardziej bezpośrednio do zagadnienia polityki historycznej. Dla mnie kwintesencją antypolskiej propagandy naszych sąsiadów jest sfinansowany z budżetu państwa film „Nasze matki, nasi ojcowie”. Abstrahuję już od omawianych setki razy fałszerstw polskiej sekwencji tego filmu, czyli jednoznacznego przedstawienia Armii Krajowej jako bandy mordującej Żydów. Proszę za to zwrócić uwagę, w jaki sposób zostali tam ukazani Niemcy. To eleganccy i wrażliwi ludzie, przeżywający ogromne rozterki podczas rozstrzeliwań i innych działań wojennych, co budzi u widzów sympatię – zupełnie inaczej niż w przypadku Polaków. Film znalazł się w dystrybucji na całym świecie, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, choć tam spotkał się z falą krytyki ze strony środowisk żydowskich i polskich. Był nawet wyświetlany w samolotach brytyjskich linii lotniczych. Gdy grupa Polaków protestowała przed siedzibą firmy, dziwiono się ich oburzeniu, ponieważ produkcję emitowała przecież także Telewizja Polska. Skuteczność propagandy niemieckiej – bo ja politykę historyczną w tym wymiarze traktuję jak propagandę – jest porażająca, a Polska ze względów finansowych nie może sobie pozwolić na prowadzenie podobnych działań na taką skalę.

Proces przeciw twórcom filmu trwał cztery lata, zakończył się w pierwszej instancji wyrokiem zobowiązującym telewizję ZDF do przeprosin i wprowadzenia w produkcji odpowiednich korekt. Ostatniego dnia, podczas mów końcowych, pełnomocnik ZDF pozwolił sobie na dłuższą analizę samego postępowania. Stwierdził, że polskie społeczeństwo nie wykorzystało okazji, jaką dała emisja filmu w naszym kraju, do przepracowania własnej problematycznej historii w kontekście ukazanego na ekranie antysemityzmu. Nie będę wdawał się w rozważania nad przyczynami takiego stanu rzeczy. Chciałem jedynie zwrócić uwagę, że niemiecka propaganda jest dopracowana od początku do końca i wymierzona w osiągnięcie konkretnych celów. Wyrok zapadł po koniec grudnia 2018 roku, ale druga strona wniosła apelację, która do tej pory nie została rozpoznana, nie wyznaczono nawet terminu rozprawy. Jaka jest tego przyczyna, mogę się jedynie domyślać. Nasz klient, wspaniały człowiek, 96-letni kapitan Nawłocki jest już po amputacji nogi, znajduje się w coraz cięższym stanie psychofizycznym. Nie mogę nieestety uciec przed myślą, że dla Niemców byłoby najwygodniej, gdyby odszedł, bo wówczas problem sam przestanie istnieć.

Dr Karol Mazur: Bardzo dziękuję za te wypowiedzi i niniejszym kontynuuję zabawę w adwokata diabła. Spróbujmy dokonać bilansu naszej najnowszej historii. Mamy 1989 rok, kształtowanie się niepodległego państwa polskiego, upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec, które parają się jeszcze z bagażem komunizmu, ale już w jednolitym kształcie, słynną Krzyżową, czyli spotkanie premiera Tadeusza Mazowieckiego z kanclerzem Helmutem Kohlem, wspólną mszę świętą. Niemieccy przywódcy zaczęli uczestniczyć w rocznicach wybuchu Powstania Warszawskiego, ruszyła też wymiana młodzieży, w której statystycznie każdego roku bierze udział ponad 100 tysięcy

młodych Polaków i Niemców. Czy nastąpiło zatem pojednanie, czy to jedynie puste gesty? Czy interesy polityczne i wskazane przez Państwa działania propagandowe uniemożliwiają porozumienie między narodami?

Prof. Bartosz Korzeniewski: Co najmniej piętnaście lat poświęciłem badaniu polityki historycznej oraz procesów pojednania. W swoim doktoracie ukułem pojęcie politycznych rytuałów pokuty na określenie swoistej mody przeproszania, która zapanowała na przełomie XX i XXI wieku na całym świecie. Moje twierdzenia okazały się mieć niestety niewielkie przełożenie na dyskurs naukowy, ponieważ z jednej strony publikacje bardzo rzadko docierają z Poznania do Warszawy, z drugiej zaś – były to tezy dość kontrowersyjne. Do zjawiska międzynarodowego pojednania odniosłem się z punktu widzenia procesów kulturowych, społecznych i politycznych na przykładzie stosunków polsko-niemieckich. Zauważyłem, że próbowano w tym przypadku rytualnie pojednać ze sobą dwa państwa, wymusić wzajemne przebaczenie. Jak można jednak narzucić komuś tak delikatny proces? Jak można wymagać, by wybaczył szybciej, lepiej i skuteczniej? Odnosi się to głównie do nas, Polaków, jako ofiar drugiej wojny światowej. Trudno się dziwić, że takie działania przyniosły odwrotny skutek. Problem wydawał się załagodzony przez ostatnie dziesięć, dwadzieścia lat, ale tylko dlatego, że jakiś polski polityk przeprosił za to czy tamto albo powiedział, że „już Wam wybaczymy”. W efekcie na poziomie psychospołecznym mamy teraz do czynienia z jeszcze większą niechęcią i poczuciem krzywdy. Prawdziwe pojednanie musi bowiem nastąpić z własnej woli wszystkich stron, bez ingerencji żadnych zewnętrznych czynników.

Chciałbym odnieść się jeszcze do wypowiedzi doktor Joanny Lubeckiej. Polska polityka historyczna jest prowadzona konsekwentnie od czterech lat, a jej koncepcja powstała już w 2004 roku w środowisku młodych konserwatystów. Wówczas została ona wprowadzona w życie przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, czego najlepszym przykładem jest przełomowe Muzeum Powstania Warszawskiego, reprezentowane przez prowadzącego niniejszą debatę. Niestety, nie miała ona jeszcze okazji przełożyć się na długofalowe efekty. Przejawem tej mądrej i przemyślanej strategii jest nie tylko miejsce, w którym się znajdujemy, ale też kolejne inicjatywy, które niestety rozwijają się powoli z powodu ograniczonych środków finansowych. Na Cytadeli Warszawskiej powstaje nareszcie Muzeum Historii Polski, które przez jedenaście ostatnich lat pozostawało zawieszona w próżni. Jego budowa pochłonie łącznie 700 milionów złotych, a wydatki tego rzędu wymagają czasu. Potrzeba jeszcze kolejnych lat, by polska polityka historyczna zaczęła odnosić skutki, ale nie musi to oznaczać pojednania z narodem niemieckim. Oficjalne działania rządów nie mają bezpośredniego przełożenia na pamięć, zwłaszcza w Niemczech, gdzie istnieje wyraźna granica między świadomością publiczną i osobistą. Znam badania, o których wspominała doktor Lubecka, ale nie do końca wierzę wszelkim testom przeprowadzonym na społeczeństwie naszych zachodnich sąsiadów. Około piętnastu lat temu miałem przyjemność rozmawiać z przebywającymi w Polsce młodymi Niemcami w wieku gimnazjalnym. Zadałem wówczas pytanie o ich rodzinne wspomnienia z okresu drugiej wojny światowej i w odpowiedzi zapadło głucho milczenie. Oczywiście myśleli swoje, ale obwarowania poprawności politycznej powstrzymywały ich przed wyrażeniem własnej opinii. Co ciekawe, kiedy dałem możliwość wypowiedzi ich polskim rówieśnikom, gospodarzom, przytoczyli oni dwa albo trzy wspomnienia, wszystkie o bardzo pozytywnym wydźwięku wobec Niemców – również z uwagi na poprawność polityczną. Nie wiem, co było bardziej uderzające, tamto milczenie, czy obraz, jaki wyłonił się ze spotkania. Niemcy mogli z pełną satysfakcją stwierdzić, że ich przodkowie nie byli najwidoczniej tacy źli. Nic bynajmniej nie

skłoniłoby ich do szczerości wobec kogoś obcego, nawet jeśli prywatnie mieli odmienne podejście i byli świadomi przebiegu historii. Działo się tak właśnie z powodu narzuconego im poczucia dziejowej winy.

Dodam jeszcze, że w swojej pracy habilitacyjnej szczegółowo omówiłem program nowej polskiej polityki historycznej, wówczas jeszcze na poziomie teorii, i tym bardziej dostrzegam, jak konsekwentnie jest on obecnie realizowany. Przyjęta strategia z pewnością nie wpływa na przychylne myślenie Niemców o Polakach, co stanowi akurat potwierdzenie jej skuteczności. Widzę również, że na przestrzeni ostatnich lat zdążyliśmy się oswoić z samą koncepcją polityki historycznej. Gdy środowisko konserwatywne wprowadziło to pojęcie do debaty publicznej, pojawiły się negatywne skojarzenia z czasami PRL-u i propagandą. W rzeczywistości mądre narody już od starożytności prowadziły działania na tym polu, a teraz dołączyła do nich również Polska.

Dr Karol Mazur: Dziękuję. Ja sam, jako edukator w Muzeum Powstania Warszawskiego, czuję presję wobec gości z Niemiec, by nie stwarzać wokół nich atmosfery wrogości. Przez długi czas szukałem w takich sytuacjach pozytywnych przykładów, na przykład żołnierza, który uratował szpital na Starym Mieście podczas Powstania Warszawskiego. Moje podejście uległo zmianie, gdy przygotowaliśmy w Berlinie wystawę poświęconą siedemdziesiątej rocznicy wybuchu powstania i spotkaliśmy się z niemieckimi edukatorami. Jeden z nich, mówiący bardzo dobrze po polsku, powiedział mi: „Karol, zero dobrych Niemców. Młody człowiek złapie się tego przykładu i będzie potem generalizował”. Od tamtej pory hamuję się w poszukiwaniu pozytywnych historii o Niemcach z czasu drugiej wojny światowej, ponieważ tutaj proporcje faktycznie mogą zostać zachwiane.

Wracam jednak do wcześniejszego pytania i oddaję głos doktor Joannie Lubeckiej. Jak wygląda sprawa polsko-niemieckiego pojednania?

Dr Joanna Lubecka: Odniosę się najpierw do wypowiedzi doktora Karola Mazura. Podany przykład należy do tak zwanych mini historii, które mają ogromną wartość dydaktyczną, ale oddziałują jedynie w kontekście istniejącej bazy wiedzy ogólnej. Jeśli tej podstawy nie ma, mogą stać się one elementem szkodliwych wypaczeń.

Mówiąc o polityce historycznej, nie mam na myśli działań realizowanych przez jeden albo drugi rząd, przez jedną albo drugą partię. W Belgii, we Francji, a nawet w Niemczech, istnieje pewien konsensus między różnymi siłami politycznymi, który daje gwarancję kontynuacji głównego nurtu strategii nawet po zmianie władzy. Tego brakuje z kolei w Polsce. Nawet jeśli uznamy – jak twierdzi profesor Bartosz Korzeniewski – że na przestrzeni ostatnich czterech lat doceniono tę sferę aktywności, w mojej opinii nadal nie została ona ujęta przez długofalowy plan. Polityka historyczna jest przede wszystkim polityką, dlatego zgadzam się, że należy rozpatrywać ją pod kątem skuteczności. Narzędzia służące do jej realizacji są jednak często kontrowersyjne, co skutkuje działaniami, które jako historycy uznać możemy za niemoralne. Polska zaś, ze swoją historią, mogłaby osiągnąć znacznie lepsze rezultaty bez uciekania się do nieczystych zagrań.

O polsko-niemieckim pojednaniu profesor Klaus Bachman powiedział już w 1994 roku, że było jedynie kiczem. Zgadzam się tu z opinią profesora Bartosza Korzeniewskiego, że wybaczenia

i zgody nie da się nikomu narzucić. To pewien proces. Można stworzyć dla niego jedynie odpowiednie warunki, choćby poprzez wymianę młodzieży pozbawioną wpływu poprawności politycznej. Do pewnego stopnia w taki sposób udało się pojednanie francusko-niemieckie, ale ono zasadało się na diametralnie innych podstawach. Funkcjonowała tam silna fascynacja drugim krajem, szczególnie w odniesieniu Niemców do Francuzów. W stosunku Niemców do Polaków brakuje takich emocji. Zamiast pojednania mamy zatem twardą politykę, którą też powinniśmy w taki sposób prowadzić. Jest obudowana rytuałami, tak jak powiedział wcześniej pan profesor, i jak mówi wielu niemieckich politologów, zajmujących się pamięcią historyczną. Słynny badacz francuski, Paul Ricœur, stwierdził kiedyś: „Boję się zapomnienia o historii, ale boję się też nadmiaru pamięci”, mając na myśli właśnie rytualizację i proces narzucania przez władze tego, o czym mamy pamiętać, a o czym zapomnieć. Przytoczę w tym miejscu pewną anegdotę. Niemcy nie przekazywali sobie rodzinnych historii wojennych – nie wyobrażacie sobie chyba Państwo, że ojciec lub dziadek opowiadał dzieciom, jak mordował Polaków. Gdy podczas jednego z wykładów mówiłam o badaniach wiedzy Niemców, zareagował młody człowiek, jak się później okazało Leo Mausbach, syn profesora Florianusa Mausbacha, który jest głównym inicjatorem budowy pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej w Berlinie. Leo powiedział, że w jego rodzinie od lat krąży ta sama historia, która co roku rozszerza się o nowe wątki. To opowieść o pradziadku Mausbacha, który w czasie wojny sprzeciwił się jakiemuś gestapowcowi czy policjantowi. Przemilczane są za to historie innych krewnych, którzy w tym samym czasie znaleźli się być może w całkowicie odmiennych miejscach.

Oceniając negatywnie polską politykę historyczną, być może popełniłam błąd – nie rozdzieliłam polityki zewnętrznej od wewnętrznej, na polu której odnosimy akurat ogromne sukcesy. Aby tworzyć spójną strategię obejmującą relacje z innymi państwami, należy jednak zrozumieć, że narody zachowują się racjonalnie. Nie lubią rozdrapywać ran, więc robią to w ramach określonych rytuałów lub pod przymusem ze strony innych podmiotów.

Mec. Jerzy Pasieka: Ja również nie widzę szans na polsko-niemieckie pojednanie. Pewne momenty stwarzają możliwość zbliżenia czy porozumienia, ale zazwyczaj pozostają niewykorzystane. W ramach prawomocnego wyroku w sprawie śp. Karola Tendery, wydanego jeszcze za jego życia, telewizja ZDF została zobowiązana do dokonania stosownych sprostowań w swojej produkcji i publikacji przeprosin na oficjalnej stronie internetowej. Odmówiła. Pełnomocnicy Tendery wystąpili o nakaz zastosowania się do tej decyzji, uzyskując poparcie niemieckich sądów pierwszej i drugiej instancji. Co wydarzyło się później? Trybunał Konstytucyjny uchylił całą sprawę, wyrok nie zostanie wykonany – w tej chwili również dlatego, że Tendera nie żyje. Takie zachowanie zdecydowanie przeczy obrazowi Niemców, jako narodu ceniącego sobie prawo. Można wyczuć, że w tej sprawie chodzi o więcej niż tylko odmienną interpretację przepisów.

Dr Karol Mazur: Bardzo dziękuję. Na zakończenie naszej rozmowy spróbujmy się zastanowić nad obecnym charakterem relacji polsko-niemieckich. Padło na ten temat już wiele krytycznych głosów. Z mojego doświadczenia w pracy muzealnej wynika jednak, że spośród przedstawicieli różnych narodowości to z Niemcami najłatwiej jest nawiązać dialog. Bardzo możliwe, że są oni po prostu bardziej kulturalni – mogą mówić jedno, a myśleć coś zupełnie innego. Wiadomo natomiast, że strona izraelska reaguje bardzo gwałtownie, gdy coś jej się nie spodoba, a strona rosyjska narzuca własną narrację i nie przyjmuje odmiennych opinii. Czy możemy zatem mówić o postępie w dialogu polsko-niemieckim

od 1989 roku? Co należy zrobić, żeby ten kontakt wszedł na odpowiednie tory? Wiem, że profesor Bartosz Korzeniewski był nastawiony pesymistycznie, ale...

Prof. Bartosz Korzeniewski: Zapytam przekornie – czy na pewno tak bardzo potrzebujemy pojednania z Niemcami? Powinniśmy dbać o własne państwo i mam nadzieję, że każdy z nas jako obywatel dba też o własny interes. Nie ma w tym niczego złego. Nie oczekujemy od Niemców, że będą teraz oskarżać swoich przodków. Mają określoną wizję przeszłości, skutecznie realizują własne interesy, a że są one sprzeczne z polskimi... Tak się potoczyła historia naszych narodów. Na szczęście integracja europejska nie zmasała świadomości narodowej, a z niej wynikają różnice między poszczególnymi krajami. Niemcy mogą zaprzeczać idei państwa narodowego, ale sami stanowią dowód na to, że ten model również współcześnie ma się bardzo dobrze. Mimo tego możemy wiele się od nich nauczyć, tak jak Niemcy mogliby nauczyć się wiele od Polaków. Cieszę się, jeżeli część tamtejszej prasy pisze o Polsce pozytywnie, jestem jednak przekonany, że spora część Niemców nie poświęca naszemu państwu szczególnej uwagi. Oni zajmują istotne miejsce w polskiej świadomości, ale nie działa to w dwie strony.

Mimo tego pesymizmu pozostaję spokojny. Nie musimy liczyć na pojednanie, możemy równie dobrze żyć obok siebie. Ważne, żebyśmy nie żywili do siebie wrogości, choć w tym przekadza często niemiecki rewanżyzm. Gdy byłem swego czasu w Niemczech i powiedziałem, że jestem z Polski, przeciętni Niemcy, religijni, prawowici, z dużą rodziną, odpowiedzieli mi: „A, Masuren, to nasze ziemie”. Więcej skojarzeń nie mieli. Kilkanaście lat temu jako młodzi doktoranci gościliśmy na uczelni profesora Grecla z Niemiec, bardzo kulturalnego człowieka. Pokazaliśmy mu poznańską katedrę, w której znajdują się pozostałości grobowca jednego z polskich świętych. Orowadzający nas zakonnik powiedział, że grobowiec został zniszczony w czasie drugiej wojny światowej. Profesor Grecl natychmiast stwierdził: „Przez Sowietów”, my sprostowaliśmy: „Nie, przez Niemców”, a on odpowiedział jedynie: „Aha”. To była reakcja typowego Niemca. Czy powinniśmy się temu dziwić? Ze swojej strony możemy jedynie szczerze mówić o przeszłości, nie traktując tego jak jednoznaczną krytykę. Jeszcze wiele lat upłynie, zanim krzywdy wyrządzone przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej przestaną się przekładać na nasze wzajemne stosunki. Na szczęście mamy dostatecznie dużo własnych spraw, żeby nie martwić się nieustannie o pojednanie z Niemcami. Jeśli poszczególne osoby nawiążą lepsze stosunki z naszymi sąsiadami poprzez wymianę młodzieży – co samo w sobie jest bardzo potrzebne – również należy się z tego cieszyć.

Dr Joanna Lubecka: Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku przeprowadzono badania, by sprawdzić, ilu Niemców chciałoby powrócić na dawne ziemie, gdyby istniała taka możliwość. Liczba pozytywnych odpowiedzi mieściła się w granicach błędu statystycznego, bo wszyscy wolą domki w Hiszpanii albo Grecji. Zgadzam się z tym, co powiedział profesor Bartosz Korzeniewski. W polityce międzynarodowej nie operujemy emocjami, choć osoby publiczne lubią odwoływać się w tym kontekście do pojednania, czy przyjaźni. W rzeczywistości istnieją jedynie interesy gospodarcze i polityczne. To nie znaczy oczywiście, że nie możemy tworzyć pola do wzajemnych kontaktów i w ten sposób promować wiedzę o naszym kraju. To najlepsza droga do poprawy relacji polsko-niemieckich, chociaż uciążliwa i powolna. Najważniejsza jest edukacja, i to nie tylko w szkołach. Świetnie sprawdzają się na przykład wizyty dziennikarzy. Zaprasza się wówczas kilkudziesięciu przedstawicieli różnych mediów, funduje miesiąc pobytu w Polsce, oprowadza po różnych miejscach, organizuje spotkania, rozmawia – tak jak zrobiono z izraelskimi dziennikarzami przy okazji afery wokół nowelizacji ustawy o IPN. Tacy



ludzie kształtują opinie swoich rodaków. Zamiast narzucać im gotową narrację, należy dać im szansę na poznanie polskich dziennikarzy, naukowców, młodzieży. Na świecie takie praktyki istnieją już od dawna. Uczmy się zatem od najlepszych i budujmy własną strategię.

Mec. Jerzy Pasieka: Całkowicie przychyliam się do zdania moich przedmówców. Nie ma potrzeby, abyśmy systematycznie zajmowali się duszą niemiecką, rosyjską albo jakąkolwiek inną. Powinniśmy martwić się o własne potrzeby i własny rozwój.

Dr Karol Mazur: Dziękuję wszystkim gościom za udział w debacie. Słowem zakończenia chciałbym opowiedzieć państwu anegdotę z mojej pracy w Muzeum Powstania Warszawskiego. Ja również jestem gorącym zwolennikiem wymiany młodzieży, choć trudno jednoznacznie zmierzyć jej efekty. Jesteśmy w tym przypadku jak misjonarze – siejemy ziarna, a potem liczymy, że Bóg je podleje i coś z nich wyrosnie. Pamiętam, jak w ramach programu *Erasmus+* zorganizowaliśmy spotkanie młodzieży niemieckiej oraz belgijskiej z jednym z naszych kombatantów, panem Bohdanem Bernikowskim, który w czasie Powstania Warszawskiego miał 12 lat, a po zakończeniu walk na Ochocie trafił do Auschwitz. Pamiętam pytanie do pana Bogdana, czy miał jakieś pozytywne doświadczenia z Niemcami. Spojrzał wtedy nieco gniewnie i zapytał: „w Auschwitz?” a potem lekko poirytowanym głosem odpowiedział: „Nie, proszę Pani”. Po chwili wspomniawszy jednak, że po likwidacji Auschwitz trafił do obozu Sachsenhausen w okolicach Berlina. W kwietniu 1945 roku nikt już nie pilnował więźniów, mieli się jedynie meldować w miejscu zamieszkania, ale zezwalało im na swobodne przemieszczanie po mieście. Wówczas pan Bogdan faktycznie spotkał się z dobrocią ze strony jednej z Niemek – kobieta skrycie włożyła mu do kieszeni bułeczkę w tramwaju, chociaż wiedziała, że jest Polakiem. Podkreślił nawet, że to wydarzenie przywróciło jego wiarę w naród niemiecki. Myślę, że powinniśmy pamiętać również o takich wydarzeniach i utrzymywać naszą narrację w odpowiednich proporcjach.

W 1991 roku, niedługo po upadku muru berlińskiego, jako harcerz sam uczestniczyłem w polsko-niemieckiej wymianie. Nie mogliśmy wówczas poruszać tematu drugiej wojny światowej, mieliśmy jedynie rozpalić ognisko i pośpiewać piosenki. Obecnie w ramach programu *Erasmus+* młodzi Niemcy trafiają do naszych miejsc pamięci, pokazujemy im nasze doświadczenia, uczymy ich historii. Obserwuję zatem znaczący postęp w dialogu na tym polu. Muszę jednak zgodzić się z państwem, że formuła pojednania wynika do pewnego stopnia z samej koncepcji Unii Europejskiej, w ramach której odchodzi się od podziałów narodowych. Podczas jednej z konferencji z udziałem Niemców, sprzeciwiając się takiej idei, powiedziałem: „Różnimy się, ale miejmy świadomość odmiennych doświadczeń historycznych i nie próbujmy ich na siłę zunifikować. Nie możemy szukać pojednania w bezrefleksyjnym przyjmowaniu połowy racji drugiej strony”. Taki zgniły kompromis nikomu nie wyjdzie na dobre. Bardzo dziękuję.

Glosa 1

Bartosz Korzeniewski

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

**JESZCZE O RELACJACH
POLSKO-NIEMIECKICH
W KONTEKŚCIE PAMIĘCI
I POLITYKI HISTORYCZNEJ**

W wieloletnim sąsiedztwie Polaków i Niemców bywały okresy lepszych i gorszych relacji, ale z pewnością nie był to tylko czas walki, czy brutalnej rywalizacji. Łatwo wskazać takie okresy oraz takie aspekty wzajemnych relacji, które można śmiało określić jako pozytywne dziedzictwo.

Prawdopodobnie najbliższy współczesności okres pozytywny, to czas po Powstaniu Listopadowym do 1848 roku. Wówczas, zwłaszcza w kręgach liberalnych, Polacy cieszyli się pozytywną opinią, czy wręcz budzili sympatię. Natomiast jeśli chodzi o stosunki polityczne i kulturalne, to można tu wymienić okres rządów Sasów na tronie Polski. Przy czym stwierdzić należy, iż jest to okres zafałszowany w polskiej pamięci oraz, w mniejszym już stopniu, w historiografii. Obraz tego czasu jest dosyć dyskusyjny. Został on ukształtowany w ostatnich kilkudziesięciu latach. Według mnie okres epoki saskiej nie był aż tak zły, jak go przedstawiano i przedstawia się go nadal w Polsce. Pod warunkiem, że nie mamy na myśli tylko stosunków politycznych, ponieważ w tej kwestii trudno ze strony polskiej uznać go za korzystny. Natomiast jeśli szerzej na to spojłamy i uwzględnimy również stosunki kulturalne, stan kultury to obraz jest pozytywny. Nie można tego rozszerzyć oczywiście na całe Niemcy. Dlatego też, nawiązując do współczesności, odbudowa Pałacu Saskiego jest zadaniem bardzo ważnym do wykonania. Dla mnie Pałac Saski jest symbolem, tego, co dobrego się wówczas działo w stosunkach polsko-niemieckich, za czasów epoki saskiej. Odbudowa pałacu, jeśli do niej dojdzie, stworzy szansę na zmianę tego obrazu. Natomiast jako badacz pamięci muszę stwierdzić, że to był tak daleki czas od nas, że nie ma bezpośredniego przełożenia, na mentalność albo na stosunki polsko-niemieckie lub sposób postrzegania Polaków i Niemców. Pamięć zbiorowa działa w taki sposób, że jeszcze wydarzenia sprzed 100-120 lat żywo oddziałują. Natomiast, później przechodzą do okresu martwej historii. Taka jest kolej rzeczy, że epoka saska należy do tych „martwych”, w tym sensie iż nie budzi ona emocji. W związku z tym niewiele da się ożywić, poza badaniami historycznymi.

Z punktu widzenia badań nad pamięcią najbardziej oddziaływały ze wszystkich okresów stosunków polsko-niemieckich, który najgłębiej oddziałał na dzisiejszą mentalność, jest okres zaborów. Przy czym szczególnie, oczywiście, dotyczy to nie wszystkich Polaków, tylko głównie tych Polaków, którzy znaleźli się pod zaborem pruskim. Z punktu widzenia sposobu postrzegania Polaków przez Niemców i odwrotnie, Niemców przez Polaków, wtedy wydarzyło się najwięcej i bardzo przeorało świadomość społeczną. To, co się już wydarzyło w XX w., czyli hitlerizm i II wojna światowa, to wprawdzie bardziej to oddziałuje na współczesność, ponieważ jest to bardziej „żywa historia”, czyli wywołuje więcej emocji, ale mimo to można uznać ten okres za konsekwencje tego, jak myślano wcześniej, głównie o Polakach w Niemczech, za czasów Bismarcka itd. Tu już się ukształtował negatywny stereotyp Polaka, który do dziś stanowi negatywne dziedzictwo w stosunkach polsko-niemieckich.

Jeśli mowa o takich głębokich procesach zachodzących w mentalności w XIX wieku, to można mówić zarówno o negatywnych, jak i pozytywnych aspektach oddziaływania pruskiego, na Poznaniaków i nie tylko na Wielkopolan. Aspekty pozytywne wiążą się tutaj przede wszystkim z rozwojem cywilizacyjnym, kulturowym, a nawet prawnym. Mam tu na myśli fakt, iż nawet walka z polskością – germanizacja na obszarze zaboru pruskiego – w stosunku do rusyfikacji się tym różniła, że rozgrywała się w przestrzeni państwa prawa. Pruski porządek prawny respektowali sami Prusacy w swoich działaniach przeciwko Polakom. Oczywiście swoje prawo, ale Polacy pod zaborem pruskim mieli do kogo się odwołać. Jak wiadomo, na ziemiach zaboru rosyjskiego było zupełnie inaczej, było pełne bezprawie, jeśli chodzi o zjawiska rusyfikacji. W zaborze pruskim mamy np. bardzo wielu arystokratów zaangażowanych w walkę niepodległościową, Powstanie Listopadowe albo Powstanie Styczniowe, którzy potracili swoje majątki po powstaniach, ale w zdecydowanej większości odzyskiwali te majątki po długoletnich procesach. Gdy się wykazało władzy pruskiej przed sądem, że to było bezprawne, to oni oddawali. W bardzo wielu, bardzo znanych rodach arystokratycznych było tak, że te majątki później wracały do prawowitych właścicieli, tak było np. u Radziwiłłów. Nawiasem mówiąc, w samej historii Antoniego Radziwiłła, który był namiestnikiem w Wielkim Księstwie Poznańskim w okresie 1815-1831, był okres, w którym stosunki, jeśli chodzi o zabór pruski, stosunki polsko-niemieckie były pozytywne, do tego stopnia, że jak się spojrzy na to od strony historycznej, to część rodziny Radziwiłłów była polska, a część była niemiecka, ale łączyło ich jedno: zamiłowanie do sztuki i kultury. Jeśli chodzi o rozwój kultury prawnej, to tutaj widać długofalowe oddziaływanie na ludność polską, oddziaływanie dostrzegalne jeszcze w obecnych czasach. Niemniej jednak, właśnie z tego okresu datuje się ukształtowanie silnego negatywnego stereotypu Niemców wobec Polaków, związanego najogólniej mówiąc ze stereotypem „polnische Wirtschaft”. Niestety im bliżej czasów współczesnych tym gorzej sprawa się ma, głównie jeśli chodzi o negatywne stereotypy oraz wpływ negatywnej propagandy na relacje polsko-niemieckie.

Czasy współczesne tutaj budzą niestety mój pesymizm. Zaryzykowałbym tezę, że przed nami nie jest okres coraz lepszy w stosunkach polsko-niemieckich, tylko coraz gorszy. Z jednego prostego powodu, o którym często zapominamy. W dzisiejszym świecie liczy się gospodarka, potęga finansowa. Obserwowane trendy powodują, iż jak wszystko wskazuje, te stosunki będą coraz gorsze, dlatego, że Polska będzie nadrabiać ten dystans w sferze ekonomicznej, który był zawsze ogromny. Właśnie dlatego nie można się spodziewać tego, że Niemcy będą tym zachwyceni. Polityka jest grą interesów, zazwyczaj brudnych interesów. Bardzo często można by ulec tej propagandzie sukcesu, dwudziestu pierwszych lat Rzeczypospolitej, że mamy do czynienia z jakimś głębokim pojednaniem polsko-niemieckim. Jednak był to proces płytki, na co wskazują wydarzenia ostatnich kilku lat. Zastanawiam się, skąd ci biedni Niemcy mają brać ten obraz pozytywny Polaków, skoro pisze się obecnie w niemieckich mediach z nie ukrywaną pogardą, wyższością. Niestety nie ma tutaj pozytywnych wzorców myślenia o Polakach i one były powiedzmy sobie, pozornie pozytywne, jak nam się przynajmniej wydawało w latach 90-tych. Dlatego, że później podkreślaliśmy zasługi Niemców dla wejścia Polski do Unii Europejskiej itd. Już byśmy w to uwierzyli, gdyby nie to, że Niemcy bardzo skorzystali na tym ekonomicznie i dlatego bardzo to popierali. Lata 90-te to był specyficzny czas, kiedy rzeczywiście, w pierwszych latach można było dużo załatwić, mówiąc brzydko, ze strony polskiej, niestety ten okres szybko minął. Dlatego można było, z polskiego punktu widzenia, coś od Niemców osiągnąć, tylko z jednego powodu, którym jest poczucie winy, tym bardziej, że ono wtedy bardzo się uaktywniło. Niemcy mają

to do siebie, że po 1949 r., po ukształtowaniu się RFN, po wielu latach, od lat 70-tych, po przeoraniu ich świadomości społecznej i historycznej, po przymusowym przeoraniu przez Anglików, Francuzów i Amerykanów, którzy to najpierw wymusili, później w dużej mierze część niemieckich elit to podjęła, po prostu próbę upowszechnienia poczucia winy za II wojnę światową. Niestety znowu skończyło się tym, że to poczucie winy jest poczuciem winy przede wszystkim za Holokaust. Poczucie winy natomiast za szkody wyrządzone Polsce, Polakom, to jest znacznie rzadsze zjawisko. To, co się działo w Polsce dla Niemców żyjących w czasie II wojny światowej, to jest tylko mały dodatek do tego, co rzeczywistość zawiniła Niemcy Holokaustem. Mijamy świadomość, że Holokaust był wymierzony też wobec obywateli polskich. W tej chwili już nie ma tego poczucia winy, wręcz przeciwnie, myślę, że jest rosnąca świadomość tego, że Polacy teraz bardzo się bogacą i bardzo rozwijają się gospodarczo. W związku z tym to jest oczywiste, że nie może to być powitane pozytywnie przez rząd niemiecki, a szerzej przez całe społeczeństwo.

Często w tym kontekście wiele mówiono o zachodzącym w ostatnich trzydziestu latach pojednaniu. Ja bym raczej powiedział, że próbowano rytualnie pojednać za siebie oba narody. Był to raczej przykład procesu zwanego w literaturze „politycznymi rytuałami pokuty”. Jest to jednak w dużej mierze proces rytualny, ponieważ proces pojednania opiera się na wzajemnym przebaczeniu. Jak można narzucić komuś tak delikatny proces? Jak komuś można powiedzieć „no to wybacz”, w sensie rozkazującym? To jest tak wrażliwa sfera naszego życia, że jakiegokolwiek ponaglenie albo jakiegokolwiek zewnętrzne narzucanie, oddziaływanie na to, żeby przyspieszyć proces pojednania poprzez wybaczenie, może tylko zaszkodzić. Przecież to my głównie mamy wybacać, bo przecież to my jesteśmy ofiarami, w związku z tym to do nas, Polaków się odnosi, że to my mieliśmy w jakiś sposób wybacać szybciej, lepiej i skuteczniej. Niestety, nie mieliśmy wtedy do czynienia z procesem pojednania. Nam się tylko tak wydaje. To była próba odgórnego narzucenia procesu pojednania. Biorąc pod uwagę mechanizmy psychologiczne, to niestety musiało przynieść odwrotny skutek. Te problemy, które wydawało się, że przez 10, 20 lat były zaleczone, niby wybaczone, ale tylko dlatego, że pojechał Polski polityk i przeprosił za to albo za tamto, albo powiedział, „że już wam wybaczymy”. To się miało nijak do nastrojów społecznych. W tym momencie mamy do czynienia z jeszcze większym problemem, bo to psychologicznie, psychospołecznie powróciło, także tutaj w ogóle bym nie mówił o prawdziwym procesie pojednania, ponieważ proces pojednania następuje w wolności, w sumieniu ludzkim i następuje w sposób zupełnie nieingerowalny ze strony jakiegokolwiek zewnętrznych czynników.

Na koniec chciałbym odnieść się do kwestii obecnie prowadzonej w Polsce polityki historycznej. Zajmuję się tym zagadnieniem od wielu lat. Tematyce tej poświęciłem też jedną z moich książek. Chciałbym więc z całą mocą podkreślić, iż polska polityka historyczna jest w tej chwili, od 15 lat, prowadzona w sposób konsekwentny. Obecnie wprowadzana w życie polityka historyczna jest oparta na długofalowej koncepcji. Powstała ona w 2004 roku w środowisku młodych konserwatystów, a zaczęła być wprowadzana wtedy w życie przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego jest tu określane jako moment, który był przełomem. Ogólnie rzecz biorąc, program nowej polityki historycznej polegał na zerwaniu z promowaniem samokrytycznego obrazu polskiej historii i zaprzestanie prowadzenia bardzo powściągliwej i zderegulowanej polityki historycznej. Zamiast tego postulowano konieczność istnienia odgórnej polityki historycznej, prowadzonej przez instytucje państwowe, opartej na promowaniu dumy z osiągnięć Polaków w przeszłości.

Nie zgodziłbym się z tezą, że nie prowadzimy obecnie konsekwentnej polityki historycznej. Prowadzimy ją, tylko prowadzimy ją tak krótko, że jeszcze ona nie ma okazji przełożyć się na jakieś długofalowe skutki. Przejawem tej mądrej, przemyślanej i długofalowej polityki historycznej jest nie tylko to miejsce, w którym się znajdujemy, ale kolejne inicjatywy, które niestety z powodu ograniczonych środków rozwijają się powoli, ale się rozwijają. Warto wymienić kilka: Na Cytadeli Warszawskiej, powstaje wielkie Muzeum Historii Polski, które było częścią wspomnianego programu aktywnej polityki historycznej, a które było przez jedenaście lat zawieszona w próżni. W Gdańsku, w Muzeum II Wojny Światowej od kwietnia 2017 r. podjęto próbę przestawienia akcentów w kierunku podkreślania krzywd doznanych w czasie wojny przez Polaków, a jednocześnie na ich bohaterską walkę. Powołano do życia szereg kolejnych muzeów: Muzeum Kresów Wschodnich w Lublinie, Muzeum Polaków Ratujących Żydów, Muzeum Żołnierzy Wyklętych, Muzeum Rotmistrza Pileckiego, Muzeum Getta Warszawskiego. Przyspieszono budowę już istniejących instytucji, takich jak Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Powołano też do życia nowe instytucje badawcze, na przykład Instytut im. Pileckiego w Warszawie i jego zagraniczny oddział w Berlinie. To są poważne zadania, wymagające ogromnych funduszy oraz upływu wielu lat. Jeszcze potrzeba kolejnych lat i to przyniesie skutek, ale to nie jest skutek równoznaczny z tym, że nasze narody się pojednają. To są zupełnie inne sprawy. Polityka historyczna prowadzona przez rządy (o takiej tutaj mówimy) jest zupełnie czymś innym niż pamięć zbiorowa. Zwłaszcza w narodzie niemieckim, gdzie jest bardzo duże rozbieżenie między pamięcią prywatną, a pamięcią publiczną.

Glosa 2

Jerzy Pasieka

Kancelaria Pasieka, Derlikowski, Brzozowska

**RELACJE POLSKO-NIEMIECKIE
I POLITYKA HISTORYCZNA
W PERSPEKTYWIE
PROCESÓW SĄDOWYCH**

Punktem wyjścia dla rozważań o polityce historycznej prowadzonej przez państwo polskie i niemieckie, głównie w odniesieniu do okresu II wojny światowej, jest stwierdzenie, czy takowa faktycznie istnieje. Założenie to zdaje się przyjmować szerokie grono historyków, publicystów i polityków uznających, że zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, od lat promuje się subiektywny opis rzeczywistości tamtych lat, niepozbawiony niestety przekłamań i manipulacji. Składa się na niego naturalnie praca naukowa historyków, ale też rozmaite produkty kultury masowej i popularnej, głównie twórczość filmowa. Istnieje ogromna dysproporcja sił i środków, jakie oba kraje angażują dla tych celów. Zasadniczo różne są też, w mojej ocenie, motywy badaczy i artystów polskich oraz niemieckich. Problemem jest skala odstępstw od obiektywnego obrazu wydarzeń, która skutkuje powstawaniem dzieł realizujących przyjętą z góry tezę. Skupię się na tej problematyce w odniesieniu do wytworów szeroko rozumianego dziejopisarstwa strony niemieckiej.

Od wielu lat widoczne są wyraźne tendencje w historiografii, a za nią także w twórczości filmowej, do relatywizacji zbrodni niemieckich z czasów II wojny światowej. Co ważne, coraz częściej towarzyszą im również próby częściowego obarczenia Polaków odpowiedzialnością za zbrodnie, głównie w odniesieniu do Holocaustu. Współsprawstwo społeczeństwa polskiego i jego podziemnych instytucji w zagładzie Żydów – coś, co do niedawna wydawałoby się całkowitą abstrakcją – staje się tematem obrazów dystrybuowanych na całym świecie, również w krajach, w których prawda o tamtych wydarzeniach powinna być powszechnie znana. Narracja niemiecka wydaje się być natomiast akceptowana przez odbiorców, a na pewno nie spotkała się poza Polską z mocnym sprzeciwem. Przykładem takiej produkcji (publicznej!) jest trzyczęściowy serial telewizyjny ZDF, w założeniu twórców historyczna epopeja, „Nasze matki, nasi ojcowie”. Formuła jest charakterystyczna – fabuła w bardzo atrakcyjnej oprawie wynikającej z ogromnego budżetu, przedstawiająca historię grupy przyjaciół, których losy wojenne dramatycznie rozdzielają, kończąc idylliczną młodość dziejową katastrofą. Za sprawą materiałów archiwalnych oraz dokładnych informacji o czasie i miejscu akcji produkcja nie pozostawia wątpliwości, że ukazane wydarzenia są prawdziwe, nawet przy fikcyjności głównych bohaterów. Ciekawy scenariusz, atrakcyjne psychologicznie i fizyczne postaci oraz zrealizowane z rozmachem sceny batalistyczne sprawiły, że serial spotkał się ze świetnym odbiorem praktycznie na wszystkich kontynentach.

W czym zatem problem? Istotnym wątkiem tego obrazu jest Holocaust, a jeden z członków grupy berlińskich przyjaciół to Żyd. W zasadzie wszyscy bohaterowie są pozbawieni naleciałości nazistowskich, nie popierają polityki Hitlera, niejako wbrew sobie uczestniczą w wojnie. Owszem, w produkcji pojawiają się osoby patologicznych morderców, ale wydają się należeć do nielicznego odsetka Niemców. Skoro jednak film nie ukrywa – nie sposób to zrobić – że

doszło do ludobójstwa (choć zbrodnie na innych narodach niż żydowski są słabiej eksponowane), twórcy musieli zasugerować widzowi, jak do tego doszło. Otóż pomocni okazują się Polacy, w tym ich zorganizowana w podziemiu Armia Krajowa, która zresztą przedstawiona jest na wzór grupy bandyckiej. Zabiegi, które zastosowali twórcy filmu – dobór aktorów, sposób zachowania, ubiór, w tym czytelne dla zagranicznych odbiorców, ale niezgodne z realiami historycznymi opaski z napisem „AK” (żołnierze Armii Krajowej używali opasek jedynie w czasie powstania warszawskiego, a i to z napisem „Wojsko Polskie”), a nade wszystko wszechobecny, przejawiający się w deklaracjach i działaniach (jak pozostawienie w zamkniętych wagonach Żydów z transportu do obozu zagłady), wręcz zoologiczny antysemityzm – wskazują na działania nieprzypadkowe. Wymowa „sekwencji polskiej” serialu wskazuje jednoznacznie, że Polacy to co najmniej współsprawcy Holokaustu.

Obraz wywołał dość powszechne oburzenie u polskich odbiorców, w tym środowisk kombatanckich, czego efektem było złożenie przez byłego żołnierza Armii Krajowej kapitana Zbigniewa Radłowskiego oraz stowarzyszenie „Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej” pozwu o naruszenie dóbr osobistych przez twórców filmu. Pięcioletni proces zakończył się wyrokiem – nieprawomocnym, jako że pozwani wnieśli apelację nierozpatrzoną jeszcze przez Sąd Apelacyjny w Krakowie – orzekającym, iż producenci serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, naruszyli dobro powodów. Ma on, przy założeniu, że utrzyma się w II instancji, ogromne znaczenie dla walki z zafałszowaną niemiecką narracją historyczną. Analogiczną rolę odgrywają także wyroki w sprawie tak zwanego kłamstwa oświęcimskiego, czyli stosowania określenia „polski obóz zagłady” w mediach i wypowiedziach publicznych. O ile jednak w przypadku kłamstwa oświęcimskiego problem stanowi interpretacja prawna takiego sformułowania – używający go z reguły twierdzą, że odnoszą się do geograficznego położenia obozów – w sprawie ZDF i UFA Fiction pojawia się również kwestia wolności artystycznej. Wydaje się, że po wyroku w sprawie z powództwa Karola Tendery w praktyce orzeczniczej polskich sądów utrwalił się już pogląd o naruszeniu dóbr osobistych przez określenie „polskie obozy zagłady”. Na kanwie tych spraw istotne byłoby jednak krótkie omówienie czysto prawniczej strony zagadnienia, jako że prawomocne wyroki stanowią wyraźną wskazówkę dla orzecznictwa sądów powszechnych. W obu procesach kluczowym zagadnieniem było wskazanie dóbr osobistych, które uległy naruszeniu, ponieważ polski kodeks cywilny nie zawiera ich zamkniętego katalogu. Do wartości niematerialnych związanych z podmiotami prawa cywilnego, uznawanych za doniosłe i jako takie podlegające ochronie, należy choćby tradycja rodzinna czy pamięć osoby zmarłej. W doktrynie występuje także dobro osobiste w postaci poczucia tożsamości narodowej jako zachowań, przekonań i poglądów akceptowanych przez daną osobę.

W tym miejscu chcę odwołać się do dwóch istotnych wyroków polskich sądów. Pierwszy to orzeczenie Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 31 marca 2016 roku wskazujące, że „dziedzictwo narodowe, spuścizna, utożsamianie się z dokonaniem i wartościami reprezentowanymi przez przodków jest dobrem osobistym podlegającym ochronie na podstawie art. 23 i 24 KC. Kontynuowanie lub kultywowanie dobrej tradycji przodków jest – także przy uwzględnieniu kryteriów obiektywnych – uznawane za istotną wartość”. Wydany parę miesięcy później werdykt Sądu Apelacyjnego w Krakowie z 22 grudnia 2016 roku w sprawie z powództwa wspomnianego Karola Tendery również uznał za dobro osobiste tożsamość i godność narodową. W uzasadnieniu sąd podniósł, że „użycie sformułowania ‘polskie obozy zagłady’ może naruszać dobra osobiste takie jak godność człowieka, tożsamość narodowa i godność narodowa. (...) Jak wynika z zeznań powoda, czuł się on tym określeniem zbezczeszczony i oburzony, bowiem

sugeruje ono, że to Polacy budowali i finansowali obozy koncentracyjne, gdy tymczasem zgodnie z prawdą historyczną Naród Polski był ofiarą zbrodni niemieckich popełnionych podczas II wojny światowej. Takie określenie (...) bezczęści jego honor narodowy, podczas gdy sam powód wyrażał swoją dumę z przynależności do Narodu Polskiego oraz wynikającego stąd dziedzictwa”. Przyjęte i ugruntowane orzecznictwo sądów polskich sprawiło zatem, że dobro osobiste w postaci prawa do tożsamości i dumy narodowej istnieje, a jego naruszenie upoważnia do wystąpienia na drogę sądową.

W tym miejscu chcę wspomnieć o czynniku, który może mieć znaczenie w ewentualnych przyszłych procesach w tej sprawie. Odrzucając zasadność wniesionego pozwu, twórcy serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” podnosili argument wolności przekazu artystycznego, który wyraża oręż jurydyczny żądaniom ochrony dóbr osobistych w odniesieniu do różnych dziedzin sztuki. Orzecznictwo unijne jest wyjątkowo wyczulone w tym względzie. W sprawie powództwa przeciwko ZDF i UFA Fiction sąd wydał jednak korzystny dla powodów wyrok, podkreślając, że w produkcji zastosowano szereg zabiegów sugerujących autentyczność przedstawionych wydarzeń. Sąd Okręgowy w Krakowie nakazał stronie pozwanej przeproszenie powodów i umieszczenie w serialu napisów informujących o fikcyjności postaci, a także zasądził zadośćuczynienie. W uzasadnieniu stwierdził, że „w filmie przedstawiono żołnierzy Armii Krajowej w sposób nie odpowiadający ich rzeczywistej roli podczas działań wojennych. Zachowaniom patologicznym nadano status normy, wywołując u widza przekonanie, że Armia Krajowa była organizacją antysemitką, która o ile nie uczestniczyła w Holokauście, to przynajmniej go akceptowała. Nie wykluczając możliwości wystąpienia takich zachowań w szeregach Armii Krajowej, Sąd doszedł do przekonania, że jednostronny i tendencyjny sposób pokazania żołnierzy, którzy walczyli z faszyzmem, wymaga reakcji w orzeczeniu sądowym. W ocenie Sądu film nie stanowił głosu w dyskusji, lecz narzucał jednostronny jej obraz”.

Kolejny problem towarzyszący walce o uczciwą narrację historyczną to kwestia legitymacji czynnej do występowania z powództwem o naruszenie dóbr, ściśle związana z definicją tego pojęcia. Należało rozstrzygnąć, czy odbiorca filmu, były żołnierz AK, który dostrzeżenie fałsz w obrazie armii podziemnej, ale nie jest w nim personifikowany, może stwierdzić, że naruszono jego dobro osobiste. Zagadnienie to zostało na szczęście jednoznacznie rozstrzygnięte przez Europejski Trybunał Praw Człowieka w orzeczeniu z 16 lipca 1982 roku oraz potwierdzone w kolejnych uchwałach. W opisywanej sprawie obywatel Niemiec, który wystawił w widocznym, choć prywatnym miejscu pisemne oświadczenie, że niemieckie zabójstwo 6 milionów Żydów jest kłamstwem i syjonistycznym oszustwem, został pozwany przez obywatela Niemiec pochodzenia żydowskiego, którego krewny zginął w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Co ważne, pozwany urodził się już po wojnie. Niemiecki sąd uznał, że co prawda treść prywatnego oświadczenia nie była skierowana bezpośrednio do powoda, ale naruszyła jego dobro osobiste jako członka społeczności żydowskiej. Nie pokrewieństwo, lecz uczestnictwo we wspólnocie narodowej skutkuje zatem prawem do wystąpienia z pozwem.

Samo sformułowanie „polityka historyczna” wskazuje na niebezpieczeństwo sterowania przekazem – naukowym i artystycznym – w celu osiągnięcia określonych korzyści. Ograniczając się jedynie do relacji polsko-niemieckich, nie sposób nie zauważyć pewnej pasywności, jeżeli nie w skutecznej próbie narzucenia własnej, możliwie obiektywnej narracji, to przynajmniej w niwelowaniu strat, także wizerunkowych, spowodowanych wieloletnim wysiłkiem zachodniego sąsiada. To zadanie przede wszystkim dla polskich naukowców, instytucji państwowych

czy fundacji. Prawny aspekt walki o właściwy obraz przeszłości, mimo szeregu sukcesów w postaci korzystnych wyroków, będzie miał większe znaczenie jedynie skoordynowany z innymi narzędziami, takimi jak wydawnictwa niemiecko- i anglojęzyczne skierowane do zagranicznych środowisk opiniotwórczych. W przeciwnym razie procesy sądowe, wciąż nieliczne i budzące coraz mniejsze zainteresowanie, będą jedynie dowodem mało skutecznych prób zwalczania historycznego fałszu.

Debata pt. „Relacje polsko-niemieckie
a reparacje wojenne” odbyła się
26 listopada 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

REPARACJE WOJENNE

W dyskusji udział wzięli:

prof. Kazimierz Lankosz
(Uniwersytet Jagielloński w Krakowie)
oraz prof. Przemysław Saganek
(Instytut Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie).

Rozmowę poprowadził
Damian Bębnowski
(Wiceprezes Zarządu ds. nauki Fundacji im. Janusza Kurtyki,
Uniwersytet Łódzki).

Damian Bębnowski: Dobry wieczór państwu. Panowie profesorowie, szanowni państwo, bardzo się cieszę, że mogę poprowadzić dzisiejszą rozmowę. Jako dwa słowa wprowadzenia do tematu chciałbym podkreślić, przypomnieć, że to jest bardzo istotne w kontekście naszej rozmowy, że mówiąc o problemie reparacji niemieckich, strat polskich poniesionych na rzecz Niemiec w trakcie II wojny światowej, ale także na rzecz Związku Sowieckiego, musimy zwrócić uwagę na dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze, aspekty związane z terminologią. Czym innym są reparacje, jako świadczenia wypłacane na rzecz państwa przez inny podmiot międzynarodowy, a czym innym są odszkodowania, jako świadczenia, które są wypłacane poszczególnym jednostkom. Odnoszę wrażenie, że w przestrzeni publicznej te dwa pojęcia niesłusznie są ze sobą utożsamiane. Z punktu widzenia analizy ekonomicznej, historycznej i prawniczej, to jest istotne rozróżnienie. Druga rzecz, która wymaga podkreślenia, to dwuwymiarowość problemu reparacji albo odszkodowań. Z jednej strony należy spojrzeć na to zagadnienie przez pryzmat ekonomii, strat, strat ludzkich przede wszystkim, ale także strat materialnych poniesionych w czasie wojny. To nie jest tak, że my nie dysponujemy niczym w tym zakresie. Już w okresie powojennym powoływano specjalne komisje państwowe, które próbowały wyliczyć te straty: w 1947 roku Biuro Odszkodowań Wojennych, w 1951 roku Komisja dla Ostatecznego Ustalenia Szkód i Strat Wojennych Polski w Drugiej Wojnie Światowej albo później w 1974 roku Komisja do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich. Rezultaty prac tych komisji budzą wiele zastrzeżeń natury metodologicznej i natury politycznej. Z premedytacją, w ogóle nie poruszano problemu strat na rzecz Związku Sowieckiego, z przyczyn ideologicznych, politycznych. To jest oczywiste. Zwiększano, w sensie ilościowym, wymiar strat na rzecz Niemiec. To jest kluczowy problem, z którym zmagają się dzisiejsza komisja, tak zwana sejmowa komisja Mularczyka. Drugi problem, który wymaga podkreślenia, drugi aspekt analizy problemu reparacji, to wymiar prawny, a patrząc szerzej prawnomiędzynarodowy.

Z racji, że znajduję się obok dwóch profesorów prawa, chciałbym, aby nasza dzisiejsza rozmowa dotyczyła przede wszystkim tego drugiego wymiaru reparacji, prawnego lub prawnomiędzynarodowego. Niezależnie od tego, w jaki sposób do tego podejmiemy, zaczniemy naszą rozmowę od próby prześledzenia kluczowych momentów, zidentyfikowania kamieni milowych, jeśli chodzi o stosunki polsko-niemieckie po wojnie, w kontekście problemu reparacji. Zarazem spróbujemy odróżnić ewolucję rozwiązania albo prób podjęcia tego problemu z punktu widzenia stosunków Polski z NRD i RFN. Tutaj kluczową kwestią jest głośna, kontrowersyjna, różnie interpretowana deklaracja rządu polskiego z 1953 roku, ale zanim do niej doszło, podejmowano pewne wcześniejsze próby rozwiązania tego problemu. Gdybym mógł prosić panów o skomentowanie tych kwestii. Może pan profesor Kazimierz Lankosz jako pierwszy.

Prof. Kazimierz Lankosz: Dziękuję bardzo, za zaproszenie do dzisiejszej debaty. Dziękuję za wprowadzenie. Chciałbym nawiązać do kilku poruszonych przez pana kwestii, ale sądzę, że takich, które każdy sobie zadaje.

Może zacznę od krótkiego przedstawienia się. Jestem absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, jestem emerytowanym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jestem prawnikiem. Problematyką polityczną, także stosunków polsko-niemieckich nie zajmowałem się, ale trudno zajmować się publicznym prawem międzynarodowym bez wzięcia pod uwagę pewnego kontekstu politycznego. Zatem, jeżeli będę miał dzisiaj okazję, to będę mówić nie tylko, ale przede wszystkim o zagadnieniach prawnych, zagadnieniach z dziedziny prawa międzynarodowego, ale od czasu do czasu, spróbuję spojrzeć na ten problem trochę szerzej. To rozróżnienie między odszkodowaniami, a reparacjami jest bardzo istotne. Sięgnijmy pamięcią wstecz, przypomnijmy sobie, że olbrzymie kontrybucje, reparacje po zakończeniu pierwszej wojny światowej, doprowadziły do takiej sytuacji w Niemczech, która groziła wybuchem społecznym. Obawiano się wpływów komunistycznych i to nie tylko wtedy, gdy w Berlinie wybuchło powstanie, nazywane powstaniem Róży Luksemburg. Wtedy mocarstwa sojusznicze, mocarstwa stanowiące tak zwaną Ententę, postanowiły albo przymknąć oko, albo zrezygnować z olbrzymich kontrybucji i patrzyły przez palce, że Niemcy jednak zbroją się, licząc na to, że w jakiś sposób ten bunt społeczny, wiązany między innymi z sytuacją gospodarczą, finansową Niemiec, doprowadzi do tego, że sytuacja będzie mogła jakoś się znormalizować. Mówię o tym dlatego, że sądzę iż mocarstwa sojusznicze po drugiej wojnie światowej były wyposażone również w taką wiedzę historyczną, czyli miały świadomość, że sytuacja w pokonanych Niemczech, sytuacja ludzi, którzy nie tylko stali na granicy ubóstwa, ale którzy byli zdeterminowani. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku wybuchały protesty w Berlinie i w innych miastach, spowodowały, co postanowiono przeciw w układzie poczdamskim, który traktowany był jako pewnego rodzaju substytut traktatu pokojowego, a który praktycznie mówiąc traktatem nie był. To nie była umowa międzynarodowa. Ta umowa postanawiała, w jaki sposób zareagować – trochę podobnie, jak to było po pierwszej wojnie światowej – czyli postanowiono zrezygnować z reparacji wobec Niemiec, nie tylko Związek Radziecki wobec swojej strefy okupacyjnej, ale podobnie postąpiły nieco wcześniej inne mocarstwa sojusznicze, w stosunku do tej części, która stanowiła trzy strefy okupacyjne, a potem która stanowiła Republikę Federalną Niemiec – RFN. Wydaje mi się, że to był pewnego rodzaju proces odstąpienia od tych uzgodnionych w układzie poczdamskim reparacji, związanych ze sprawami zakończenia wojny, ponieważ to było podyktowane historią i być może w tym momencie, mądrością.

Natomiast czym innym są wszystkie te zagadnienia, które dotyczą odszkodowania osób fizycznych, które poniosły konkretne straty albo w postaci zdrowia, życia swoich najbliższych, albo w postaci strat materialnych. Zatem to dobrze, że będziemy mogli dzisiaj porozmawiać o tych dwóch niby podobnych, ale różnych kwestiach. Terminologia czasami bywa zwodnicza, wtedy gdy jest zamiennie stosowana. Mówimy bardzo często – reparacje, a w gruncie rzeczy mamy na myśli odszkodowania, a gdy mówimy o odszkodowaniach to myślimy o reparacjach. Przygotowałem taki tekst, ponieważ jestem prawnikiem zajmującym się prawem międzynarodowym, to głównie odnoszący się do kwestii tej deklaracji, właściwie oświadczenia rządu PRL z 1953 roku o zrzeczeniu się reparacji od Niemiec na naszą rzecz. Może tyle, jeżeli chodzi o takie krótkie słowa wstępne. Pan profesor Przemysław Saganek, który też jest prawnikiem międzynarodowym, będzie chciał coś dodać. Proszę bardzo.

Prof. Przemysław Saganek: Dziękuję serdecznie. Jeśli chodzi o kwestię tego, czego żądamy od Niemiec, warto odnotować, że wszyscy mamy poczucie, że coś nam się należy. Mamy jednak problem z nazwaniem tego. Gdybyśmy chcieli sobie zadać pytanie: Z czego faktycznie wynika, że Niemcy coś ewentualnie powinny nam zapłacić? Z traktatu pokoju? Nie ma traktatu pokoju. Z traktatu poczdamskiego? I tak, i nie. Daje się zauważyć, że część uczestników debaty publicznej traktuje układ poczdamski, jak gdyby był traktatem pokoju i podkreślają, że traktatu poczdamskiego trzeba się trzymać kluczowo. Pytanie jest takie, co układ poczdamski na to? Ja przejrzałem postanowienia układu poczdamskiego i tam nie ma zwolnienia Niemiec z odpowiedzialności. Bowiem to właśnie kwestia odpowiedzialności prawa międzynarodowego ma podstawowe znaczenie. Często zapominamy o tym, że prawo międzynarodowe zasadniczo się zmieniło w 1929 roku wraz z pojawieniem się zakazu wojny agresywnej, czyli wejściem w życie paktu Brianda-Kellogga. Popelniamy zasadniczy błąd, jeśli próbujemy mówić, że „jak to, za Ludwika XIV zawierano traktaty pokojowe, za Ludwika XV zawierano traktaty pokoju, za Karola VIII zawierano traktaty pokoju, jak zatem mówić o obiektywnej odpowiedzialności za rozpętanie wojny?” Rzeczywiście, prawo się zasadniczo zmieniło w 1929 roku. Tutaj szukamy tych podstaw, mając świadomość, że ich zaspokojenie może być trudne albo niemożliwe. Dla prawnika jest to jednak chleb powszedni. Jak wygląda niezaspokojenie słusznych roszczeń widzimy na przykładzie naszego tupolewa. Nam się należy zwrot wraku, Rosja uznaje nasze prawo, ale nie jesteśmy w stanie tego wraku odzyskać. Dlaczego? Dlatego, że druga strona nie chce respektować prawa, a nie dlatego, że prawo międzynarodowe nie daje nam uprawnień do wraku. Nie mamy możliwości wysłać wojska do Smoleńska po wrak.

Teraz przenieśmy te reguły do kwestii skutków wojny i przyjmijmy hipotetyczne założenie, że w 1953 roku narzucone Polsce władze nie złożyłyby oświadczenia w sprawie roszczeń. Czy ktoś wierzy, że Niemcy zapłaciłyby dobrowolnie kwoty odpowiadające realnym stratom Polski? To jest coś bardzo podobnego do obecnej sytuacji. Nasza intuicja mówiąca o tym, że prawdopodobnie coś się nam należy, jest bardzo słuszna. Problem główny jest taki: posiadanie pewnych praw, bardzo hipotetycznych czy bardzo realnych, często nie wystarcza. Tu ujawnia się znaczenie układu poczdamskiego. Możemy powiedzieć, że po drugiej wojnie światowej nie miało znaczenia, czy my mamy jakieś takie hipotetyczne, teoretyczne prawa do odszkodowań od Niemiec, czy nie. Niemcy były zniszczone i podzielone na strefy okupacyjne. Trzeba spojrzeć na ten układ poczdamski, jako na coś, co pozwalało nam uzyskać cokolwiek realnego. To, co można było wziąć, czyli wyposażenie różnego rodzaju zakładów, jakieś lokomotywy, wagony itd. Odnosząc się do pytania pana dyrektora Bębnowskiego o kluczowe momenty natury politycznej, wymienić trzeba kilka dat. Pierwsza z nich to rok 1950, w którym NRD – Niemiecka Republika Demokratyczna – uznaje zachodnią granicę Polski. Był to bardzo doniosły fakt z punktu widzenia i Polski, i Niemiec. Druga data to rok 1953, w którym rząd PRL składa oświadczenie o zrzeczeniu się reparacji wobec Niemiec. To są te dwa najważniejsze elementy. Później, jeżeli mielibyśmy wskazywać kolejne, no to mamy 1970 rok i umowę o normalizacji stosunków z RFN – Republiką Federalną Niemiec i uznanie zachodniej granicy Polski przez RFN.

Mamy różnego rodzaju próby uzyskania odszkodowań, przy czym jest jedna, która była prawniczym arcydziełem. Jest to umowa z lat siedemdziesiątych XX wieku, dotycząca ofiar eksperymentów medycznych. Ten, kto tą umowę wynegocjował, zasługuje na polskiego prawniczego Nobla. To jest wielka hańba, że my o tych ludziach zapominamy. Teraz, proszę państwa, mamy kolejne porozumienia z lat dziewięćdziesiątych. Ludzie, którzy negocjowali przy nich,

uważają, że zasługują na prawniczego Nobla. Ja bym powiedział, że nie do końca. Z przyczyn, o których, nie wiem, czy chciałbym mówić przy włączonej kamerze. Myślę, że są pewne rzeczy, przy których tę kamerę trzeba by wyłączyć. Nie wypada się pewnymi rzeczami chwalić. Przeskoczyliśmy daleko, do lat dziewięćdziesiątych. Tu trzeba powiedzieć, że to oświadczenie z 1953 roku rzeczywiście jest źródłem naszych problemów. Jeszcze przez długie lata będziemy się z nimi zmagali. Jest grupa prawników, którzy przykładają wielką wagę do tego, aby odróżniać reparację od odszkodowań. Od razu powiem tak, życzę im wszelkiego powodzenia. Uważam, że o odszkodowaniach rozmawiamy źle. Uważam, że o nich nie umiemy do końca rozmawiać, ale gorsze jest to, że ja sam nie wiem, w jaki sposób to ująć. Natomiast mam pewną intuicję, że zanedo pozwoliliśmy, żeby ta kwestia stała się zakładnikiem sporu pomiędzy partiami politycznymi. Co do kwestii *stricte* prawnych, dlaczego nie należę do tej grupy prawników, którzy przykładają tak wielkie znaczenie do rozróżnienia reparacji od odszkodowań. Spróbujmy to przetłumaczyć na angielski. Zrzekliśmy się reparacji, nie zrzekliśmy się odszkodowań: *We renounced reparations, We did not renounce reparations*. Przykro mi, tak niestety to wygląda. Język angielski jest językiem prawa międzynarodowego. Rzeczywiście mamy pewne konotacje, mamy pewne skojarzenia. Powiedzmy, reparacje to były postanowienia po traktatach pokoju, mówiące o odszkodowaniach, ale takiego traktatu pokoju nie było. To jest podstawowy problem. Teraz, jeżeli spojrzymy na nasze oświadczenie z 1953 roku, to rzeczywiście, tak jak powiedziałem, mamy z nim dużo problemów. Głównie jest to, że pojawiają się w nim bardzo szerokie określenia, typu „Niemcy”, „odszkodowania”. Tutaj jest podstawowy problem. Natomiast to nie jest tak, że to oświadczenie z 1953 roku jest jedenastym przekazaniem albo piątą ewangelią. To nie jest tak, że przy mądrej polityce nie moglibyśmy sobie poradzić z eliminowaniem skutków. Czy uda się w 100%? Trudno mi powiedzieć. Natomiast, nawiązując do tego, co pan wspomniał, nie ma najmniejszych wątpliwości, że oświadczenie z 1953 roku nie oddziaływało na roszczenia prawne osób indywidualnych, prawa jednostek. Teraz jest podstawowe pytanie dla prawników. Skoro prawa jednostek nie są zaspokojone, czy państwo może o nie wystąpić? To jest pytanie na prawniczego Nobla. Ja nie jestem w stanie na to pytanie odpowiedzieć, także tego prawniczego Nobla prawdopodobnie nie dostanę.

Prof. Kazimierz Lankosz: Jeżeli można, to ja bym chciał jedną rzecz dodać. Dostyc często powołujemy się na postanowienia układów poczdamskich, ale proszę wziąć pod uwagę, że właśnie te postanowienia, między innymi w części czwartej, te postanowienia, dotyczące Polski, w gruncie rzeczy są dla nas bardzo niekorzystne. Nie tylko dlatego, że tam pada między innymi te przysłowiowe 18% należące się nam spośród tych kwot, które mógł otrzymać Związek Radziecki. To oczywiście było absolutnie za mało. Z całą pewnością. Natomiast w układach poczdamskich znajdują się różne inne postanowienia, które dla Polski były ogromnie niekorzystne. Ta czasowa administracja, na byłych terytoriach Rzeszy Niemieckiej i Prus Wschodnich to jest tak antypolskie określenie, że ja się dziwię, iż obecni podczas tych układów poczdamskich delegaci władz polskich nie zaprotestowali. Także powracanie i kurczowe trzymanie się tych różnych postanowień, które zostały wyrażone w układach poczdamskich, jest sprzeczne z polską racją stanu.

Zatem, jeżeli uznamy, że późniejsza praktyka, a także praktyka ostatnich kilkudziesięciu lat, w dużej mierze zmieniła podejście, a także zanegowała te postanowienia, wyrażone wyraźnie w układzie poczdamskim, to stało się coś ogromnie istotnego. Nie tyle w wielu przypadkach przywiązywałbym wagę do tak zwanej litery prawa zapisanej dziesiątki lat temu, ale w większym stopniu do praktyki, która miała miejsce w latach późniejszych, w latach 1960 – 1980,

a szczególnie po 1989 roku. Powiedziałbym, że jednak, co się często podkreśla, takim istotnym przełamaniem tych stosunków, pełnych ogromnej nieufności, także rządu PRL w stosunku do RFN, Polaków w stosunku do Niemców, to było to słynne „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. To był rzeczywiście taki kamień węgielny, który pozwolił na ten rozwój sytuacji w pozytywnym kierunku, owej praktyki, na którą zwróciłem uwagę.

Damian Bębnowski: Pan profesor Przemysław Saganek, ale pośrednio również pan profesor Kazimierz Lankosz, zwróciliście panowie uwagę na coś, co możemy określić jako swoisty paradygmat. Na pewne ramy, sposób mówienia o problemie reparacji i odszkodowań, ale na to nakłada się także kwestia ciągłości prawnej. Na ile te deklaracje, oświadczenia, kroki, decyzje polityczne podjęte i realizowane przez rząd komunistyczny w Polsce, przekładają się na naszą obecną pozycję negocjacyjną? Bo to również budzi istotne kontrowersje. Na ile my jesteśmy ograniczeni ciągłością prawną między PRL a III Rzeczpospolitą? W tym kontekście często podnosi się ten argument, że ze względu na brak suwerenności nie jesteśmy zobowiązani do przestrzegania, do wywiązywania się chociażby z tej deklaracji z 1953 roku. Na ile ten problem nakłada się na stan negocjacji w zakresie reparacji albo odszkodowań? Może pan profesor Przemysław Saganek.

Prof. Przemysław Saganek: Trzeba powiedzieć tak, że Polska na żadnym etapie nie próbowała kwestionować tej ciągłości. Czy było by to możliwe? Pewnie nie byłoby to możliwe z prostej przyczyny. Zanegowanie ciągłości, to byłoby zanegowanie praw i obowiązków. Natomiast to wcale nie jest tak, że istnieje takie bezwzględne *unctim*, to znaczy, skoro nie kwestionujemy ciągłości, to nie możemy nic zrobić z konkretnym aktem. Czy dziś możemy złożyć oświadczenie: niniejszym wypowiemy oświadczenie z 1953 roku? Tego nie zrobimy. Natomiast to nie oznacza też, że my nie mamy prawa w negocjacjach wskazywać: zwróćcie państwo uwagę, że jeżeli jesteśmy państwem prawa, to oświadczenie było złożone w określonych okolicznościach. Myślę, że przynajmniej jeżeli chodzi o kwestię interpretacji, nasze możliwości są dość znaczne, bo zawsze jest to jednak oświadczenie jednostronne, które jest interpretowane zawsze na korzyść tego, kto oświadcza. Oczywiście, jeżeli oświadczający używa bardzo mocnych słów, no to prawdopodobnie za wiele się nie da uratować.

Oświadczenie z 1953 roku jest złe. Natomiast to nie jest tak, że nie można wyobrazić sobie gorszego. Można sobie wyobrazić: w imieniu Polski i polskich obywateli zrzekamy się roszczeń niezależnie od tego, czy będzie zawarty traktat pokoju. Aż tak źle nie jest. Proszę przy tym pamiętać, że w momencie, gdy było składane to oświadczenie, to nie było jeszcze pewne, czy na 100% nie będzie traktatu pokoju. Jako że jesteśmy tutaj, w Fundacji im. Janusza Kurtyki, wybitnego historyka, pozwolę sobie wspomnieć, że w archiwum MSZ, w dokumentacji negocjacji z lat siedemdziesiątych traktatu normalizacyjnego pojawia się ciekawa wypowiedź ówczesnego wiceministra Józefa Winiewicza, który naciskany przez stronę niemiecką, żeby jeszcze raz powtórzyć, że Polska żadnych roszczeń nie podnosi, stwierdził, że oświadczenie jest jakie jest, każdy wie, ale gdyby był negocjowany traktat pokoju to jesteśmy w stanie wrócić do wszystkiego, co było. O tym akurat się zapomina. Taka drobna ciekawostka, ja nie mówię, że jest to element rozstrzygający o wszystkim. Natomiast to jest tak, że dobry prawnik, mający dobrą wolę i powiedzmy sobie, mający też poparcie polityczne, może niemało. To poparcie polityczne jest bardzo istotne, dlatego, że wszystko, co my sobie tutaj wypowiemy, nie ma najmniejszego znaczenia, jeżeli przyjdzie polityk i z nonszalancji albo z głupoty, albo jeszcze z jakichś innych przyczyn, których nie musimy znać, jednym nieprzemyślanym słowem zniszczy

nasz dorobek. Możemy mozolnie budować argumentację prawniczą, a ktoś po prostu podejzie i ją zadcpcze, bo co mu ktokolwiek zrobi. Nic nie robi, niezaleźnie od tego, jak bardzo praworzadny napis nosimy na koszulce. Jest tak, że politycy mówią w imieniu państwa, a my ponosimy odpowiedzialność za to, co nasi politycy mówią w warunkach demokratycznego państwa. Raczej nie zakwestionujemy ciągłości państwa po 1939 czy 1945 roku z bardzo prostej przyczyny, dlatego, że w grę wchodzi kilkadziesiąt lat organizacji narodu, pojawiają się tu kwestie granic, różnego rodzaju naszych wierzytelności, także długów, które spłacamy w dalszym ciągu. Natomiast to wcale nie oznacza, że mielibyśmy być niewolnikami jakichś wydu-
manych obowiązków. W przeszłości stało się wiele rzeczy, chociażby w tym miejscu, prawda, stało się bardzo dużo złych rzeczy, od których się odcinamy. Tutaj też możemy powiedzieć, że gdyby w przyszłości toczyły się jakieś negocjacje, to zawsze możemy powiedzieć, że mamy świadomość, że tego typu oświadczenie jest częścią historii PRL-u i działając w dobrej wierze, jesteśmy w stanie, w uznaniu wszelkich okoliczności wykazać, że te oświadczenia składał rząd narzucony siłą przez obce mocarstwo.

Co do kilku innych podnoszonych w dyskursie elementów, mających działać na naszą korzyść, jestem nieco sceptyczny. I tak, oświadczenia jednostronne nie muszą być składane do określonego adresata. Bardzo często jest tak, że one są wysyłane w eter. Akurat tutaj mamy dość spory dorobek Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości mówiący o tym, że gdyby na przykład prezydent Francji oświadczył, że Francuzi rezygnują z broni atomowej, to by oznaczało, że Francja zaciągnęła zobowiązanie prawno-międzynarodowe w stosunku do całego świata. To nie jest tak, że autor oświadczenia musi je indywidualnie adresować.

Można spytać, czy nasze oświadczenie było adresowane do NRD? Mam pewne wątpliwości, czy ono odnosi się do samego NRD. Byłoby świetnie, gdyby tak było. Gdybyśmy mogli się cofnąć w czasie i doradzić tamtemu „polskiemu” rządowi, oświadczenie byłoby lepsze. Obawiam się, że ktoś inny mu doradzał. Nie wiem, czy pan profesor Kazimierz Lankosz zna jakieś legendy, dotyczące oświadczenia z 1953 roku, w każdym razie jest jedna, mówiąca o tym, że przyszło to oświadczenie jako sowiecki gotowiec. Nie udało się w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów znaleźć tego gotowca, ale korelacja czasowa z umową radziecko-enerdowską jest znamieną. Trzy dni wcześniej było porozumienie NRD ze Związkiem Radzieckim o zaprzestaniu spłat przewidzianych układem poczdamskim na rzecz ZSRR, a później Polska złożyła oświadczenie jednostronne. Czy to nasza inwencja? Czy to był gotowiec? Jakkolwiek by było, to z punktu widzenia prawa nie ma to żadnego znaczenia. Jest to po prostu taka opowiadka. Nie twierdę jednak, że oświadczenie z 1953 roku było takim składanym w eter, o jakich mówił Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości dwadzieścia lat później. W każdym razie musimy popracować nad tym elementem.

Być może spotkaliście się państwo z poglądem pana doktora Grzegorza Kostrzewy-Zorbasa, podnoszącym, że skoro oświadczenie nie było rejestrowane, to nie wiąże. Przy aktach jednostronnych ta kwestia nie ma znaczenia. Tak, jak mówię, jeżeli prezydent Trump oświadczy, że Amerykanie rezygnują z broni atomowej, jest to zobowiązanie. Jeżeli następnego dnia powie, że nie będzie realizował tego zobowiązania, to co prawda nikt nie wyegzekwuje tego zobowiązania, ale faktycznie mamy do czynienia z naruszeniem prawa. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest to zobowiązanie, czyli ani publikacja, ani szczególna forma, ani fakt zaadresowania tutaj nie muszą mieć znaczenia. Przynajmniej takie jest podejście prawników międzynarodowców i prawdopodobnie znając i zajmując się aktami jednostronnymi, jeżeli



dałoby się coś tutaj przeskoczyć, bardzo chętnie naszemu państwu bym posłużył, ale akurat wiem bardzo dobrze, że tutaj nie da się nic przeskoczyć.

Prof. Kazimierz Lankosz: Ja tylko bardzo krótko. Raz jeszcze, wydaje mi się, że rozpatrywanie tych spraw powinno mieć jakieś takie spojrzenia zarówno z punktu widzenia prawniczego, prawa międzynarodowego, ale również politycznego.

Damian Bębnowski: Szanowni państwo, dziękuję bardzo panom profesorom za przyjęcie naszego zaproszenia. Dziękuję bardzo państwu za przybycie.

Magdalena Balczyk¹

Instytut Zachodni w Poznaniu
Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

**KONTEKST
HISTORYCZNO-PRAWNY
ROSZCZEŃ REPARACYJNYCH
I ODSZKODOWAWCZYCH
ZA SZKODY WYRZĄDZONE POLSCE
W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ**

¹ Autorka z przyczyn niezależnych nie mogła wziąć udziału w debacie dotyczącej reparacji, mimo początkowej deklaracji (przyp. red.).

Mimo upływu prawie 75 lat od zakończenia II wojny światowej jej tragiczne skutki widoczne są do dziś, między innymi w zróżnicowaniu gospodarczo-społecznym krajów Europy Zachodniej i Europy Środkowo-Wschodniej. Z perspektywy tragicznej historii naznaczonej działalnością III Rzeszy szokuje fakt, że to właśnie RFN była jednym z państw założycielskich Wspólnot Europejskich, a obecnie pozostaje wiodącą gospodarką kontynentu². Wśród kluczowych determinantów wspomnianego rozwarstwienia znajdują się działania eks-terminacyjne, grabieże oraz zniszczenia dóbr materialnych i kulturowych w krajach Europy Środkowo-Wschodniej – w szczególności w Polsce³ – dotkniętych okupacją niemiecką na bezprecedensową skalę, przy jednoczesnym braku odpowiedniej rekompensaty strat zarówno na skalę rządową, jak i indywidualną.

Niezależnie od tematu roszczeń finansowych wobec państwa niemieckiego „należy pamiętać o przytoczonych wyżej uwarunkowaniach rozwoju gospodarczego i społecznego również w kontekście polityki międzynarodowej, zwłaszcza funkcjonowania Unii Europejskiej. Akcesja państw Europy Środkowo-Wschodniej w latach 2004 i 2007 nie zniwelowała długofalowych skutków II wojny światowej oraz zimnowojennego ładu, co powinno znaleźć odzwierciedlenie w projektach prawa unijnego, i to nie tylko w sferze ogólnie rozumianej polityki pomocowej.

W kontekście samych reparacji i odszkodowań⁴ w relacjach polsko-niemieckich należy podkreślić, iż *status quo* wypracowane po 1990 roku zostało na przestrzeni ostatnich lat znacząco naruszone. Co warto podkreślić – było to *status quo* korzystne dla Niemiec, wynikające z konsekwentnej polityki ukierunkowanej na minimalizację kosztów politycznych i finansowych poniesionej w 1945 roku klęski. Stanowiła ona w RFN przedmiot ponadpartyjnego konsensusu i prowadzona była na wielu poziomach: dyplomatycznym, naukowym, kulturowym (co określa się kulturą pamięci lub przezwyćięzania przeszłości, niem. *Vergangenheitsbewältigung*)

- 2 Deutsche Bundesbank, *Lange Zeitreihen. Zur Wirtschaftsentwicklung in Deutschland*, 29.08.2019, <https://www.bundesbank.de/resource/blob/802910/a3e2430dc4a963666009910c728a5b08/mL/lange-zeitreihen-data.pdf> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).
- 3 R. C. Lukas, *Zapomniany Holocaust. Polacy pod okupacją niemiecką*, Poznań 2012; D. Brewing, *W cieniu Auschwitz. Niemieckie masakry polskiej ludności cywilnej 1939-1945*, Poznań 2019. Por.: B. Rudawski, *Grabież mienia w Kraju Warty 1939-1945. Działalność Urzędu Powierniczego w Poznaniu*, Poznań 2018; D. Matelski, *Grabież i restytucja polskich dóbr kultury od czasów nowożytnych do współczesnych*, t. 2, Kraków 2006.
- 4 W niniejszym tekście stosowane jest rozróżnienie pomiędzy reparacjami – świadczeniami państwa, które dokonało naruszeń prawa międzynarodowego na rzecz państwa, które było podmiotem tychże naruszeń – a odszkodowaniami – świadczeniami państwa na rzecz jednostek. Por.: J. Barcz, *Odszkodowania wojenne od Niemiec dla Polski po upływie 70 lat od zakończenia II wojny światowej w świetle prawa międzynarodowego*, „Państwo i Prawo” 2017, Nr 11, s.18; J. Kranz, *Deutsch-polnischen Rechtskontroversen. Versuch einer Synthese*, [w:] *Historischer Umbruch und Herausforderung für die Zukunft*, red. W. M. Góralski, Warszawa 2011, s. 487. Powyższe rozróżnienie nie jest stosowane przez Niemcy (zob. M. Bainezyk, *Raporty Służb Naukowych Bundestagu w sprawie reparacji wojennych dla Polski i odszkodowań dla polskich obywateli*, „IZ Policy Papers” 2018, Nr 26(I), s. 41).

oraz prawnym⁵ – w wymiarze zarówno prawa krajowego (czego przykład stanowi federalna ustawa o odszkodowaniach, niem. *Bundesentschädigungsgesetz*, BEG)⁶, jak i międzynarodowego (o czym świadczy w szczególności brak traktatu pokojowego regulującego kwestię reparacji po II wojnie światowej)⁷.

Stanowisko rządu RFN od czasów H. Globkego⁸, przez W. Brandta⁹, H. Teltschika i H. Kohla¹⁰, po czasy współczesne nie ulega istotnym zmianom. Reprezentatywna w tym zakresie jest wypowiedź rzecznika rządu federalnego z sierpnia 2017 roku: „Naturalnie Niemcy przyjmują odpowiedzialność polityczną, moralną i finansową za II wojnę światową. W dużej mierze wypłacili już reparacje za ogólne szkody wojenne – także Polsce – i nadal płacą odszkodowania za bezprawie narodowego socjalizmu. Zagadnienie niemieckich reparacji dla Polski zostało w przeszłości ostatecznie uregulowane pod względem prawnym i politycznym. W sierpniu 1953 roku Polska zrezygnowała w sposób wiążący z dalszych świadczeń reparacyjnych w odniesieniu do całych Niemiec, ze skutkiem od 1 stycznia 1954 roku, a następnie potwierdzała to kilkakrotnie”¹¹.

Polska nie prowadziła podobnie spójnej polityki mającej na celu uzyskanie pełnej rekompensaty za straty poniesione w czasie II wojny światowej. Kwestia reparacji i odszkodowań jest

- 5 Argumentacja prawnicza RFN została przedstawiona w sposób kompleksowy w raporcie przygotowanym przez Służby Naukowe Bundestagu w 2017 roku (zob. M. Balczyk, *Raporty Służb Naukowych Bundestagu w sprawie reparacji wojennych dla Polski i odszkodowań dla polskich obywateli*, „IZ Policy Papers” 2018, nr 26(1)), a także w raporcie z 2019 roku odnoszącym się do roszczeń reparacyjnych Polski i Grecji (zob. Deutscher Bundestag, *Griechische und polnische Reparationsforderungen gegen Deutschland*, 14.06.2019, <https://www.bundestag.de/resource/blob/650668/dd328b0a05061b21190b2359d7853536/WD-2-066-19-pdf-data.pdf> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku)).
- 6 Oryginalny tytuł ustawy to „Federalna ustawa uzupełniająca w celu odszkodowania ofiar prześladowania narodowosocjalistycznego”, weszła ona w życie 1 października 1953 roku (zob. „Bundesgesetzblatt” 1953, Nr 1, s. 1387). Adresatami ustawy byli obywatele RFN. Zgodnie z jej założeniami odszkodowania zostały przyznane osobom, które w okresie narodowego socjalizmu były prześladowane z powodów politycznych, rasowych, religijnych lub światopoglądowych, brak było natomiast przesłanki prześladowania z powodów narodowości. Odszkodowaniu podlegały szkody na życiu, ciele, zdrowiu, wolności, własności lub majątku, jak również szkody w karierze zawodowej oraz działalności gospodarczej. Ekskluzywność wspomnianej powyżej ustawy stała się powodem zorganizowanej akcji dyplomatycznej państw zachodnioeuropejskich w latach 50. XX wieku, której efektem było zawarcie tak zwanych globalnych umów międzynarodowych (niem. *Globalabkommen*) w sprawie wypłaty odszkodowań w wysokości 496,5 mln euro dla osób fizycznych z państw Europy Zachodniej (zob. Bundesministerium der Finanzen, *Entschädigung von NS-Unrecht. Regelungen zur Wiedergutmachung*, 2018, https://www.bundesfinanzministerium.de/Content/DE/Downloads/Broschueren_Bestellservice/2018-03-05-entschaedigung-ns-unrecht.pdf?__blob=publicationFile&v=13 (dostęp: 15 grudnia 2019 roku)). Por. M. Balczyk, *Asymetria odszkodowań dla obywateli Polski za szkody poniesione w II wojnie światowej w stosunku do odszkodowań wplaconych obywatelom innych państw*, „Przegląd Zachodni” 2019, Nr 1, s. 91).
- 7 J. Sułek, *Polski wkład do ostatecznego uregulowania pokojowego w odniesieniu do Niemiec. Wspólne przewyższenie polsko-niemieckiego sporu granicznego*, [w:] *Przełom i wyzwanie. XX lat polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy*, red. W. M. Góralski, Warszawa 2011, s. 122, 134; J. Barcz, *Sprawa odszkodowań wojennych od Niemiec a Traktat „2+4”*, „Państwo i Prawo” 2018, Nr 4, s. 7, 13.
- 8 S. Żerko, *Reparacje i odszkodowania w stosunkach między Polską a RFN (zarys historyczny)*, „IZ Policy Papers” 2017, Nr 22(I), s. 18.
- 9 Dnia 5 maja 1971 roku podczas narady pod przewodnictwem kanclerza W. Brandta podjęto uchwałę, iż „życzenia zadośćuczynienia kierowane ze Wschodu należy absolutnie odrzucić z wyjątkiem ofiar eksperymentów na ludziach i Jugosławii jako szczególnego przypadku”; za: C. Goschler, *Die Bundesrepublik und die Entschädigung von Ausländern seit 1966*, w: H. G. Hockerts, C. Moisel, T. Winstel, *Grenzen der Wiedergutmachung*, Göttingen 2006, s. 96.
- 10 15. 03. 1990 Vorlage des Ministerialdirektors Teltschik an Bundeskanzler Kohl Berechtigung eventueller Reparationsforderungen von Siegern des 2. Weltkriegs gegen ein vereintes Deutschland; Völkerrechtliche Bewertung, (pol. Przedłożenie dyrektora ministerstwa H. Teltschika do kanclerza federalnego Kohla z 15 marca 1990 r. w sprawie spłaty ewentualnych roszczeń reparacyjnych zwyciężskich w II wojnie państwa w stosunku do zjednoczonych Niemiec: ocena prawomiedzynarodowa), [w:] H. J. Küsters, D. Hofmann, *Deutsche Einheit. Sonderedition aus den Akten des Bundeskanzleramtes 1989/90*, Monachium 1998, s. 955.
- 11 Zob. Rząd Federalny Republiki Federalnej Niemiec, *Regierungspressekonferenz vom 2. August*, 2.08.2017, <https://www.bundesregierung.de/Content/DE/Mitschrift/Pressekonferenzen/2017/08/2017-08-02-regpk.html> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).

bardzo dobrym przykładem różnic w organizacji państwa niemieckiego i polskiego, przy czym to ostatnie wypada w powyższym zestawieniu zdecydowanie niekorzystnie. Niestety działania podejmowane w tym zakresie przez Polskę od 2015 roku nie prowadzą do poprawy sytuacji, gdyż cechuje je niska profesjonalizacja, brak koordynacji, a przede wszystkim trudność w nakreśleniu długofalowych celów.

Status quo, którego istotnym elementem miał być tak zwany „Traktat dwa plus cztery” z 1990 roku o ostatecznej regulacji sprawy Niemiec – czego nie udało mu się dokonać¹² – zostało naruszone nie tylko przez roszczenia podnoszone w debacie politycznej przez Polskę i na poziomie prawnym przez Grecję¹³, ale także przez dyskurs naukowy odbiegający od jednolitej do tej pory narracji strony niemieckiej. Należy tutaj wspomnieć między innymi książkę K.H. Rotha i H. Rübnera „Reparationsschuld. Hypotheken der deutschen Besatzungsherrschaft in Griechenland und Europa“ (pol. „Dług reparacyjny. Hipoteki okupacji w Grecji i Europie”)¹⁴. Autorzy publikacji prezentują ciekawe tezy dotyczące zarówno odszkodowań dla osób fizycznych, jak i reparacji za szkody wyrządzone mieniu państwa, które kontrastują ze stanowiskiem rządu federalnego RFN.

Tabela 1. Porównanie świadczeń odszkodowawczych na rzecz osób prześladowanych przez narodowy socjalizm w Niemczech, Grecji i Polsce (liczby absolutne dla ofiar narodowego socjalizmu oraz robotników przymusowych), obliczenia własne, K. H. Roth, H. Rübner (tłum. M. Balczyk)¹⁵.

Pochodzenie uprawnionych	Liczba uprawnionych	Kwota całościowa (wartość podstawowa – euro)	Kwota całościowa (wartość na rok 2018 w euro)	Udział na osobę w wartości podstawowej	Udział na osobę w wartości na rok 2018	Relacje udziału na osobę Grecja/Polska/ Niemcy na rok 2018 (%)
Niemcy*	2 100 000	64 523 000 000	109 689 100 000	30 725	52 232	100
Grecja	1 010 000	89 490 000	301 770 000	88,6	290,8	0,56
Polska	15 370 000	1 865 140 000	3 950 000 000	121,3	257	0,49

*Niemieccy emigranci oraz osoby posiadające niemiecką przynależność państwową zgodnie z zasadą terytorialności i przepisami dotyczącymi składania wniosków o odszkodowanie na podstawie ustaw federalnych. Do tej grupy należą także: a) Niemcy wysiedleni przymusowo i uchodźcy z sowieckiej strefy okupacyjnej/NRD; b) obywatele państw wschodnioeuropejskich narodowości żydowskiej (w szczególności z Polski i ZSRR), którzy emigrowali do strefy transatlantyckiej albo do Palestyny/Izraela, o ile mogli udowodnić przynależność do „niemieckiego kręgu językowego i kulturowego”; c) obywatele państw wschodnioeuropejskich narodowości niemieckiej („Volksdeutsche”, „Spätaussiedler“ i tym podobne), którzy po 1945 roku emigrowali do zachodnich stref okupacyjnych/RFN i byli prześladowani przez narodowy socjalizm; d) cudzoziemcy (w szczególności Polacy), którzy na skutek II wojny światowej stali się bezpaństwowcami i zamieszkali w zachodnich strefach okupacyjnych/RFN jako „Displaced Persons”.

12 M. Balczyk, *Raporty Służb Naukowych Bundestagu w sprawie reparacji wojennych dla Polski i odszkodowań dla polskich obywateli*, „IZ Policy Papers” 2018, Nr 26(I), s. 42.

13 Uchwała parlamentu greckiego z 17 kwietnia 2019 roku wzywająca rząd Alexisa Tsiprisa do podjęcia działań dyplomatycznych i prawnych w celu uzyskania odszkodowania za szkody poniesione w I i II wojny światowej oraz złożenia *note verbale* rządowi federalnemu RFN przez rząd Grecji. Nota została złożona przez ambasadora Grecji do MSZ RFN 5 czerwca 2019 roku (zob. *Bundesregierung geht nicht auf griechische Reparationsforderungen ein*, 5.06.2019, <https://www.handelsblatt.com/politik/international/reparationen-bundesregierung-geht-nicht-auf-griechische-reparationsforderungen-ein/24423482.html?ticket=ST-7609095-kBJtzQSNvVucJ93icKnc-ap4> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku)).

14 Zob. K. H. Roth, H. Rübner, *Reparationsschuld. Hypotheken der deutschen Besatzungsherrschaft in Griechenland und Europa*, Berlin 2017, s. 645. Wspomniana książka ukazała się w Grecji w 2019 roku (ISBN 978-618-81198-5-7). Autorzy przygotowali specjalną wersję publikacji na rynek polski: K. H. Roth, H. Rübner, *Verdrängt – Vertagt – Zurückgewiesen. Die deutsche Reparationsschuld gegenüber Polen und Europa* (pol. Wyparte – odrzucone – odroczone – odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy), która zostanie przetłumaczona i wydana przez Instytut Zachodni.

15 K. H. Roth, *Nowa debata w Polsce o reparacjach*, „IZ Policy Papers” 2018, Nr 27(I), s. 18.

K.H. Roth zestawiał również wysokość świadczeń z budżetu RFN w latach 1949-2000 na rzecz byłych funkcjonariuszy III Rzeszy oraz ich ofiar. Pierwsza grupa miała otrzymać ponad 300 mld euro, a druga jedynie 52,5 mld, co oznacza, że rekompensaty dla poszkodowanych stanowią jedynie 17,6% kwoty przeznaczonej dla osób współodpowiedzialnych za stworzenie zbrodniczego systemu prześladowań III Rzeszy¹⁶. Nowatorskie są nie tylko formalne ustalenia K.H. Rotha i H. Rübnera, ale też stosowany przez nich język. RFN w odniesieniu do odszkodowań dla osób fizycznych posługuje się pojęciem świadczeń *ex gratia* (dobrowolnych), natomiast wspomniani autorzy mówią wprost o „długu reparacyjnym” Niemiec.

Istotnym nowym elementem w debacie o reparacjach i odszkodowaniach jest porównanie świadczeń na rzecz Polski i polskich obywateli z tymi wypłacanymi na rzecz okupowanych państw Europy Zachodniej, a także Izraela i obywateli niemieckich. W latach 60. XX wieku mieszkańcy krajów zachodnioeuropejskich otrzymali odszkodowania w wysokości 5 tysięcy marek niemieckich, w latach 90. obywatelom Stanów Zjednoczonych wypłacono ponad 100 tysięcy dolarów, a Izraelczykom przyznano, oprócz świadczeń jednorazowych, stałą rentę w wysokości ponad 500 marek niemieckich. W tym samym okresie na podstawie polsko-niemieckiej umowy jedynie wybranym kategoriom obywateli RP przysługiwała jednorazowa, niewielka zapomoga. Dla ponad 600 tysięcy osób uprawnionych do złożenia wniosku o odszkodowanie – która to grupa i tak pozostawała niewielka w porównaniu z ogółem ludności dotkniętej skutkami II wojny światowej – przeznaczono fundusz w wysokości jedynie 500 milionów marek niemieckich. Uśredniona wysokość świadczenia na jednego obywatela Polski nie przekraczała zatem 1000 marek niemieckich. Dla porównania w 1992 roku rząd RFN po raz kolejny podpisał porozumienie z żydowską organizacją pozarządową Claims Conference, na podstawie którego do 1999 roku organizacja otrzymała 975 milionów marek¹⁷.

Prowadzone w ostatnim czasie badania naukowe pozwalają na kompleksowe poznanie wewnątrz-krajowych determinantów polityki reparacyjnej i odszkodowawczej, do których niewątpliwie należy aktywność byłych funkcjonariuszy III Rzeszy w strukturach RFN¹⁸. Powojenną karierę zrobił na przykład E. Feaux de la Croix, urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości III Rzeszy odpowiedzialny między innymi za politykę wobec cudzoziemców i kwestie narodowościowe, a w RFN – wysoki urzędnik Ministerstwa Finansów współkształtujący niemiecką politykę reparacyjną¹⁹. M. Görtemaker i Ch. Safferling wskazują również na wpływ dawnych sił politycznych na restrykcyjne orzecznictwo Federalnego Sądu Najwyższego RFN (niem. *Bundesgerichtshof*, BGH) w sprawach o odszkodowania za tak zwane bezprawie narodowosocjalistyczne oraz

16 Zestawienie oparte na: *Wiedergutmachung und Kriegsliquidation. Geschichte, Regelungen, Zahlungen*, red. H. J. Brodessa, Monachium 2000, s. 250. Obliczenia własne: K. H. Roth, H. Rübner, *Verdrängt – Verlagt – Zurückgewiesen. Die deutsche Reparationsschuld gegenüber Polen und Europa* [manuskrypt].

17 M. Bainezyk, *Asymetria odszkodowań dla obywateli Polski za szkody poniesione w II wojnie światowej w stosunku do odszkodowań wpłaconych obywatelom innych państw*, „Przegląd Zachodni” 2019, Nr 1, s. 83-103.

18 E. Conze, N. Frei, P. Hayes, M. Zimmermann, *Das Amt und die Vergangenheit: Deutsche Diplomaten im Dritten Reich und in der Bundesrepublik*, Monachium 2010; Ch. Mentel, N. Weise, *Die Zentralen Deutschen Behörden und der Nationalsozialismus. Stand und Perspektive der Forschung*, Monachium-Poczdnam 2016.

19 Ch. Pross, *Paying for the Past: The Struggle Over Reparations for Surviving Victims of the Nazi Terror*, Baltimore 1998, s. X, 17-18.

rasistowskie podejście wobec osób narodowości romskiej²⁰. H. Rottleuchner szacuje udział byłych urzędników III Rzeszy w całym wymiarze sprawiedliwości w roku 1953, kiedy przyjęto federalną ustawę o odszkodowaniach dla obywateli Niemiec prześladowanych w okresie III Rzeszy, na blisko 70%, z czego w Federalnym Sądzie Najwyższym na ponad 75%²¹.

Wspomniane uwarunkowania świadczą o konieczności krytycznej oceny rozwiązań z zakresu niemieckich reparacji i odszkodowań dla Polski, także z perspektywy praw człowieka, których system ochrony został przecież rozwinięty jako bezpośrednia konsekwencja cierpień ofiar II wojny światowej²².

Wiedza o przeszłości, mechanizmach polityki międzynarodowej, a także sposobach realizacji interesów państwa za pomocą istniejącego prawa, powinna przysłużyć się polskim dążeniom do sprawiedliwego rozliczenia dawnych krzywd. W wymiarze uniwersalnym należy natomiast dążyć do rozwoju globalnego systemu odpowiedzialności państw na wzór międzynarodowego prawa karnego wraz ze Statutem Rzymskim Międzynarodowego Trybunału Karnego²³. Podobnie bowiem jak w przypadku odpowiedzialności karnej funkcjonariuszy publicznych, także w zakresie odpowiedzialności materialnej całych rządów poziom rozwiązań krajowych lub bilateralnych okazuje się niewystarczający²⁴.

20 M. Görtemaker, Ch. Safferling, *Die Akte Rosenberg. Das Bundesministerium der Justiz und die NS-Zeit*, Monachium 2016, s. 274, 277.; „Pozostałości rasowego nazistowskiego myślenia znaleźć można również w orzecznictwie Trybunału dotyczącym Sinti i Romów. W 1956 roku Trybunał oddalił ich roszczenia, gdyż zdaniem Trybunału >>Cyganie<< byli deportowani do obozów koncentracyjnych nie tylko z powodów rasowych. Trybunał Federalny usprawiedliwił nawet zarządzenie ogólne szefa SS Heinricha Himmlera z 8 grudnia 1938 roku. Właśnie z tego zarządzenia miało wynikać, że mimo obecności pewnych aspektów ideologii rasowej nie rasa jako taka jest powodem podjętych tam zarządzeń, ale wspomniane już asocjalne cechy Cyganów” [publikacja towarzysząca wystawie, tłum. M. Bainezyk, s. 61].

21 H. Rottleuchner, *Karrieren und Kontinuitäten deutscher Justizjuristen vor und nach 1945*, Berlin 2010, s. 67.

22 F. C. Mayer, *Entstehungsgeschichte*, [w:] U. Karpenstein, F. C. Mayer, *Konvention zum Schutz der Menschenrechte und Grundfreiheiten: EMRK*, Monachium 2015, s. 1-7.

23 Th. Schuster, *GVG § 12 [Ordentliche Gerichte]. VI. Internationale Strafgerichte*, [w:] *Münchener Kommentar zur Strafprozessordnung*, t. 3/2, red. Ch. Knauer, München 2018, s. 25-30; M. Gebauer, *II. Entstehungsgeschichte des Gesetzes*, [w:] M. Gebauer, *Völkerstrafgesetzbuch*, Baden-Baden 2012, s. 5-9.

24 Por. International Law Commission, *Draft articles on Responsibility of States for Internationally Wrongful Acts*, „Yearbook of the International Law Commission” 2001, Nr 2(II), s. 49.; „General commentary (1) These articles seek to formulate, by way of codification and progressive development, the basic rules of international law concerning the responsibility of States for their internationally wrongful acts [...]. (5) On the other hand, the present articles are concerned with the whole field of State responsibility. Thus they are not limited to breaches of obligations of a bilateral character, e.g. under a bilateral treaty with another State. They apply to the whole field of the international obligations of States, whether the obligation is owed to one or several States, to an individual or group, or to the international community as a whole”.

Kazimierz Lankosz

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

ZAGADNIENIA PRAWNE
I PRAWNO-MIĘDZYNARODOWE
ZWIĄZANE
Z OŚWIADCZENIEM RZĄDU PRL
Z DNIA 23 SIERPNIA 1953 ROKU
O ZRZECZENIU SIĘ PRZEZ POLSKĘ
REPARACJI WOJENNYCH
ZE STRONY NIEMIEC

UWAGI OGÓLNE

Niniejsze uwagi dotyczą zagadnień prawnych i w większości pomijają kwestie o charakterze politycznym, w szczególności skutki podważania oświadczenia rządu PRL o zrzeczeniu się przez Polskę reparacji wojennych od Niemiec¹.

Ponieważ dyskusja dotycząca możliwości dochodzenia potencjalnych roszczeń finansowych koncentruje się na aktualności w świetle prawa międzynarodowego oświadczenia rządu PRL z 23 sierpnia 1953 roku, rodzą się następujące wątpliwości:

- czy można moc wiążącą deklaracji rozpatrywać bez uwzględnienia stosownego kontekstu politycznego oraz kontekstu prawnego w postaci umów i porozumień międzynarodowych, a także praktyki państwa polskiego;
- jaka jest natura prawna tak zwana deklaracji z dnia 23 sierpnia 1953 roku;
- czy deklaracja rodzi skutki prawne w zakresie prawa międzynarodowego;
- czy deklaracja posiada wady prawne, na przykład została uchwalona z pogwałceniem prawa międzynarodowego lub wewnętrznego, a jeżeli tak, to jakie ma to znaczenie;
- jak należy interpretować postanowienia zawarte we wspomnianej deklaracji.

Ad. 1

Oświadczenie rządu PRL z dnia 23 sierpnia 1953 roku pozostaje w związku z różnymi aktami prawa międzynarodowego, od Układu poczdamskiego aż do traktatów zawartych w latach 1990-1991 oraz stosownych oświadczeń organów państwowych Polski i Niemiec. Istotne jest również podkreślenie praktyki państw po 23 sierpnia 1953 roku, a szczególnie po roku 1989, wynikającej z szerszego kontekstu prawnego oraz politycznego.

Regulacje dotyczące odszkodowań wojennych związanych z niemiecką agresją z 1939 roku przyjęte zostały na konferencjach w Jałcie i Poczdamie. Wschodnia strefa okupacyjna łącznie ze świadczeniami dodatkowymi ze stref zachodnich zapewnić miała reparacje na rzecz ZSRR

¹ W dużej części tekst opiera się na niepublikowanej opinii prawnej przedstawionej przez autora w 2004 roku na zlecenie Biura Studiów i Ekspertyz Kancelarii Sejmu RP.

i Polski, dla której przewidziano 15% całości kwoty należnej Rosji. Zadośćuczynienie dla USA, Wielkiej Brytanii i Francji oraz pozostałych państw alianckich miało być z kolei zaspokojone przez dochód z zarządzanych przez nie terytoriów. Stosowne uzgodnienia zapisano w części IV Układu poczdamskiego, wyraźnie i stosunkowo precyzyjnie określającej zakres odszkodowań.

Realizując treść porozumienia, w styczniu 1946 roku alianci zawarli tak zwaną umowę paryską, w ramach której przydzielili każdemu z 18 państw-stron procentowy udział w zyskach ze stref zachodnich. Powierzenie realizacji praw reparacyjnych Polski Związkowi Radzieckiemu było dla naszego kraju skrajnie niekorzystne, podobnie jak wyznaczona kwota odszkodowania, która nie przystawała do poniesionych strat wojennych. Taką decyzję podjęły jednak zwycięskie mocarstwa, a następnie zaakceptowały ją władze Rzeczypospolitej, których przedstawiciele uczestniczyli w części obrad z 1945 roku. Brakuje dowodów na to, że polska delegacja nie zgadzała się z postanowieniami części IV Układu poczdamskiego, domagała się innych regulacji lub działała pod przymusem. Podważanie tych ustaleń nie uzyskałoby obecnie poparcia międzynarodowego i byłoby sprzeczne z polską racją stanu, a także całą dotychczasową praktyką naszego kraju uznającą moc układu i jego rolę jako substytutu traktatu pokojowego. Reparacje wojenne na rzecz Polski były wypłacane do dnia 1 stycznia 1954 roku, gdy rząd PRL zrzekł się pobierania odszkodowań, decyzja ta pozostaje zatem w bezpośrednim związku z ustaleniami Wielkich Mocarstw.

Ad.2

Oświadczenie rządu PRL z 23 sierpnia 1953 roku nie jest umową międzynarodową, nawet gdyby przyjąć koncepcję tak zwanej umowy *sui generis* zawieranej w drodze milczącej akceptacji wyraźnie sformułowanych postanowień. Deklaracja ta pozostaje jednostronnym aktem państwa, w imieniu którego wystąpił rząd.

Ani prawo międzynarodowe, ani wewnętrzne nie przewiduje ratyfikacji aktów jednostronnych – podlegają jej jedynie niektóre umowy międzynarodowe. Podnoszony niekiedy zarzut, że wspomniane oświadczenie rządu PRL nie może rodzić skutków prawnych, ponieważ nie zostało ratyfikowane, należy uznać zatem za chybiony.

Warto w tym miejscu wskazać, że moc wiążąca aktów jednostronnych jest ugruntowana w teorii i praktyce prawa międzynarodowego². Wskazują na to między innymi orzeczenia Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej (STSM) w sprawie Wschodniej Grenlandii³ oraz Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości (MTS) w sprawie francuskich prób z bronią jądrową na Pacyfiku⁴. Jeżeli STSM uznał zobowiązujący charakter ustnego oświadczenia złożonego przez ministra spraw zagranicznych Norwegii, a MTS potwierdził moc prawną oświadczeń władz francuskich, należy wnosić, że oświadczenie przyjęte jednomyślnie przez rząd PRL podczas posiedzenia pod przewodnictwem premiera i z udziałem ministra spraw zagranicznych również pozostaje wiążące. Potwierdza to również jednoznaczna praktyka Polski, która do chwili obecnej, a zatem przez ponad 60 lat, nie podważa mocy deklaracji z 1953 roku.

2 Zob. *Encyclopedia of Public International Law* (EPIL), t. IV, Amsterdam 2000, s. 1018 i nast.

3 Zob. *ibidem*, t. II, Amsterdam 1995, s. 7 i nast.; PCIJ, ser. B, Nr 53 (1933).

4 Zob. *ibidem*, t. III, Amsterdam 1997, s. 727 i nast.; ICJ Reports (1974).

Ad. 3 i 4

Układ poczdamski w części IX zatytułowanej „Polska” przyjmuje do wiadomości powstanie Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej w miejsce dawnego rządu RP w Londynie. W konsekwencji nawiązano z nim stosunki dyplomatyczne, które kontynuowano ze wszystkimi kolejnymi rządami komunistycznej Polski, uznając je za zdolne do działania ze skutkiem prawnym w stosunkach międzynarodowych.

Zatwierdzona w 1989 roku przez Senat RP uchwała o ciągłości prawnej III i II Rzeczypospolitej nie pociągnęła za sobą dalszych konsekwencji, ponieważ stosownej woli w tej sprawie nie wyraził Sejm. W rezultacie III Rzeczpospolita utrzymała ciągłość legislacyjną z PRL, czego konsekwencją jest wiążący charakter aktów prawnych podejmowanych w tamtym okresie zgodnie z prawem międzynarodowym.

Należy zatem rozstrzygnąć, czy oświadczenie rządowe z 1953 roku spełnia to kryterium. Posełski projekt uchwały z 20 września 2004 roku⁵ sugeruje, że deklaracja – jak określili ją w dokumencie autorzy – nie powinna obowiązywać, ponieważ przyjęta została pod naciskiem ZSRR i przez narzuconą z zewnątrz władzę, która nie była wyrazicielem suwerennej woli Narodu Polskiego. Bez względu na kontekst polityczny rząd PRL był jednak władny podejmować prawnomiędzynarodowe zobowiązania wobec państwa. Mogą one natomiast stracić swoją moc wiążącą, gdyby uznać je za nieskuteczne (w omawianym przypadku: nieważne) z punktu widzenia prawa międzynarodowego.

Z uwagi na to, że brakuje norm odnoszących się do aktów jednostronnych, sprawę należy rozważyć poprzez analogię do stosownych postanowień wiedeńskiej Konwencji o prawie umów międzynarodowych z 1969 roku (KWPU). Dokument wskazuje, że omawiana deklaracja jest lub może być uznana za nieważną, gdy w grę wchodzi między innymi przymus wobec przedstawiciela państwa (art. 51 KWPU) lub przymus wobec państwa polegający na groźbie lub użyciu siły (art. 52 KWPU). Zaistnienie takich okoliczności rodzi prawną nieskuteczność umowy od chwili jej zawarcia, czyli *ex tunc*. Wydaje się jednak niemożliwe do wykazania, że na członków rządu PRL wywierano nacisk fizyczny lub że działali oni pod wpływem nacisku psychicznego. ZSRR nie stosował również wobec Polski przymusu bezpośredniego lub pośredniego związanego z publikacją oświadczenia. Protokół z posiedzenia Rady Ministrów z dnia 23 sierpnia 1953 roku nie daje podstaw do formułowania takiego zarzutu, wskazując jedynie na serwilizm zebranych, którzy na sporządzenie deklaracji poświęcili zaledwie 30 minut.

Warto podkreślić, że podczas obrad konferencji wiedeńskiej w sprawie zawarcia KWPU nie zgodzono się, by przymus w stosunku do przedstawiciela władz obejmował inny niż fizyczny, rozważano natomiast, by w odniesieniu do całości państwa zakładał on również nacisk ekonomiczny lub polityczny⁶. Projekt poprawki w tej sprawie został jednak odrzucony. Do ostatecznego tekstu konwencji dołączono jedynie deklarację, w której wyrażono „ubolewanie nad faktem, że w przeszłości państwa bywały niekiedy zmuszane do zawierania traktatów pod naciskiem wywieranym w najrozmaitszy sposób przez inne państwa”⁷ – z czego wynika, że

5 Zob. Druk Sejmowy Nr 3315 z dnia 20 września 2004 roku.

6 Zob. S. E. Nahlik, *Kodeks prawa traktatów*, Warszawa 1976, s. 289 i nast.

7 *Ibidem*, s. 306.

w roku 1969 przyjęto do wiadomości fakt istnienia takich praktyk w latach wcześniejszych. Rezolucja dotycząca niniejszej deklaracji zwracała się ponadto do Sekretarza Generalnego ONZ o zwrócenie uwagi na jej treść oraz prosiła Państwa-Członków o jak najszersze jej rozgłoszenie i rozpowszechnienie⁸. Skutków prawnych w postaci unieważnienia wspomnianych traktatów ani deklaracja, ani odnosząca się do niej rezolucja, nie przewidywały.

Kolejny problem wiąże się z pytaniem, czy oświadczenie rządowe z 1953 roku sporządzone zostało w sprzeczności z obowiązującą wtedy w PRL konstytucją z dnia 22 lipca 1952 roku. Stosowną dyspozycję określa art. 32 ust. 9, który postanawia, że Rada Ministrów „[...] sprawuje ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków z innymi państwami”. W kontekście tego stwierdzenia oraz uznanej praktyki międzynarodowej, w ramach której organ państwa, między innymi minister spraw zagranicznych, nawet bez jednoznacznych upoważnień może złożyć oświadczenie jednostronne skuteczne z punktu widzenia prawa międzynarodowego, należy uznać, że taką kompetencję posiadał również rząd w zakresie wydania omawianego oświadczenia, szczególnie gdy działał jednomyślnie, w pełnym składzie (czyli z udziałem ministra spraw zagranicznych) i pod przewodnictwem premiera. Jedynym zarzutem wobec działań ówczesnej władzy może być sprzeczność z interesem państwa. To oznaczałoby pogwałcenie art. 32 ust. 7 Konstytucji PRL z 1952 roku, który stanowi, że Rada Ministrów „[...] zapewnia ochronę interesów państwa”. Trudno byłoby jednak zakwestionować całe omawiane oświadczenie, powołując się na powyższą dyspozycję. Mogłaby być ona jedynie podłożem pociągnięcia do odpowiedzialności członków Rady Ministrów przed organami wewnętrznymi państwa.

Ad. 5

Podstawą realizacji zobowiązań wynikających z umowy międzynarodowej lub aktu jednostronnego jest zasada dobrej wiary⁹. W tym kontekście zrzeczenie się reparacji wojennych podjęte w formie aktu jednostronnego zostało wykonane z dniem 1 stycznia 1954 roku i nie było kwestionowane przez ponad pięćdziesiąt lat. Wysuwanie obecnie roszczeń reparacyjnych stanowiłoby naruszenie prawa międzynarodowego, a strona, która uzyskała korzyść z jednostronnego zrzeczenia się, mogłaby powołać się na zasadę *estoppel* (nie zaprzeczania sobie). Podnoszony jest jednak zarzut, że oświadczenie rządowe z 1953 roku dotyczyło ówczesnego NRD, które obecnie nie ma sukcesora prawnego.

Akt jednostronny, podobnie jak umowę międzynarodową, należy interpretować w dobrej wierze, zgodnie ze zwykłym znaczeniem użytych w niej wyrazów w danym kontekście. W omawianym oświadczeniu mowa jest zatem wyraźnie o zrzeczeniu się reparacji od Niemiec, a nie NRD. Termin „NRD” pojawia się w innym kontekście, co jednoznacznie wskazuje, że rząd PRL nie stawiał znaku równości między tymi terminami. Ogólne nazewnictwo miało zastąpić termin „RFN”, warto bowiem przypomnieć, że zgodnie z ustaleniami konferencji poczdamskiej reparacje na rzecz Polski i ZSRR miały pochodzić z radzieckiej strefy okupacyjnej, ale też obejmować świadczenia dodatkowe ze stref zachodnich. Z tych powodów zrzeczenie się reparacji interpretować można jedynie w odniesieniu zarówno do NRD, jak i RFN.

⁸ *Ibidem*, s. 307.

⁹ EPIL, t. IV, Amsterdam 2000, s. 1018 i nast.



KONKLUZJA

Uznanie oświadczenia rządu PRL z dnia 23 sierpnia 1953 roku o zrzeczeniu się przez Polskę reparacji wojennych za nieważne nie ma podstaw na gruncie prawa międzynarodowego i wewnętrznego. W prawie międzynarodowym nie istnieje również procedura, która prowadziłaby do skutecznego dochodzenia polskich roszczeń reparacyjnych w stosunku do Niemiec¹⁰. Nie stanowi to natomiast przeszkody dla przyszłych regulacji politycznych zakładających realizację roszczeń *ex gratia*.

¹⁰ Zob. *Stanowisko Doradczego Komitetu Prawnego przy Ministrze Spraw Zagranicznych*, „Sprawy Międzynarodowe” 2005, Nr 1, s. 143.

Glosa 5

Przemysław Saganek

Instytut Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie

**PRAWNOMIĘDZYNARODOWE
SKUTKI II WOJNY ŚWIATOWEJ
– PROBLEM WYBORU
PARADYGMATU**

Zagadnienie reparacji ze strony Niemiec stało się po raz kolejny modnym tematem w polskim dyskursie prawniczym i publicystycznym. Nie ulega wątpliwości, że impulsem dla jego ożywienia były wydarzenia polityczne, zwłaszcza powołanie parlamentarnego zespołu ds. odszkodowań. Choć taka zależność nie jest zapewne najwygodniejsza dla prawników, tematyka II wojny światowej w oczywisty sposób zasługuje na ich ekspertyzę.

Nie jest istotne wykazanie, jak wiele należy się Polsce od Niemiec ani jak dotkliwe konsekwencje swoich działań Niemcy już ponieśli i jak bardzo Polska powinna się z tego cieszyć. Ramy tekstu pozwolą odnieść się do kilku elementów przywoływanych zwykle w rozważaniach dotyczących obowiązku odszkodowawczego, nie wystarczą jednak do wyczerpującego ich omówienia¹. Niniejszy artykuł dotyczy w większym zakresie różnic w sposobie rozmowy o skutkach II wojny światowej niż propozycji jedyne słusznego ujęcia problemu reparacji. Uczestnicy debaty publicznej² na ten temat zdają się przyjmować rozmaite paradygmaty, które same w sobie nie są poddawane krytycznej analizie, co wydaje się z kolei istotnym zaniedbaniem.

Choć określenie głównego problemu w dyskusji o niemieckiej agresji i okupacji jest zadaniem trudnym, chciałbym zwrócić uwagę przede wszystkim na brak pokory i akceptacji własnej bezsilności ze strony komentatorów. Nie można ująć w dwóch zdaniach ogromu tragedii, jaka spotkała Polskę podczas II wojny światowej – ale to wniosek bardzo niemodny w XXI wieku. Skoro istnieje zapotrzebowanie na wszechwiedzących ekspertów rozstrzygających na poczekaniu największe dylematy współczesnego świata, tym bardziej wykształcony prawnik powinien być gotów do podobnego eksperymentu myślowego. Taka postawa nie prowadzi jednak do wartościowych wniosków.

Przyznam, że nie wiem, w jaki sposób mówić o II wojnie światowej. Wydaje mi się jednak, że wiem, w jaki sposób nie należy o niej mówić. Jeszcze większym wyzwaniem jest natomiast ustalenie, w jaki sposób należy o niej milczeć. Wielu specjalistów ulega pokusie unikania tego tematu i taka postawa jest często zrozumiała. Nie każdy prawnik, a nawet nie każdy prawnik internacjonalista, musi mieć wyrobiony pogląd na wszystkie zagadnienia związane z prawem międzynarodowym. Stwierdzenie własnej niewiedzy, braku specjalizacji i bezradności jest

1 Czytelników można odesłać do opracowań książkowych takich jak: J. Barcz, J. Kranz, *Reparacje od Niemiec po drugiej wojnie światowej w świetle prawa międzynarodowego Aspekty prawa i praktyki*, Warszawa 2019; W. Czaplinski, B. Łukańko, *Problemy prawne w stosunkach polsko-niemieckich u progu XXI wieku*, Warszawa 2009.

2 Mam świadomość, że polemizuję ze stanowiskami wyrażanymi nie tylko w piśmiennictwie naukowym, ale też w nieformalnych dyskusjach czy wystąpieniach publicystycznych. Dlatego przyjąłem metodę polemiki z pewnymi poglądami bardziej niż z konkretnymi autorami. Jest to tym bardziej zamierzone z uwagi na bardzo wąskie ramy tekstu oraz możliwość ewolucji w podejściu danych komentatorów do omawianego zagadnienia.

w takiej sytuacji najbardziej uczciwe. Pozornie paradoksalnie – zdarza się to tylko najwybitniejszym. Dlatego ważne jest, by samo dystansowanie się miało charakter neutralny względem tematu i było nacechowane powagą, na jaką zasługują ofiary II wojny światowej. To jednak nie miały problem i warto zastanowić się nad jego przyczynami.

Jedną z nich może być obawa przed polityzacją tematu. Trudno nie zauważyć (choć żaden autor nie napisze tego wprost), że jakakolwiek osoba opowiadająca się za obowiązkiem zapłaty Polsce odszkodowań przez Niemcy jest traktowana jak zwolennik rządzącej partii (łącznie z jej najbardziej kontrowersyjnymi czy wręcz niezgodnymi z prawem zachowaniami). Tym samym polsko-polski spór o reparacje staje się rodzajem *proxy war* pomiędzy zwolennikami czy sympatykami obecnej władzy a jej wrogami czy krytykami. Warto byłoby to zmienić. Ocena prawna utworzenia Auschwitz, Treblinka, Bełżca i Sobiboru, rzezi Woli, spalenia Warszawy i likwidacji warszawskiego getta, zamordowania prezydenta Starzyńskiego, ojca Maksymiliana Marii Kolbego, Janusza Korczaka i generała Roweckiego nie może być zakładnikiem sporu politycznego, o którym za dziesięć lat nikt nie będzie pamiętał. Z uwagi na pamięć ofiar wojny należy wyjąć ich temat z frontu bieżącej walki ideowej, jakkolwiek fundamentalna wydaje się ona z obecnej perspektywy.

Kolejna trudność wiąże się z przekonaniem o nierealności żądań odszkodowawczych. U jego podłoża leży założenie, że „skoro Niemcy nie zapłacą, bo nie chcą, to żądając czegokolwiek, ośmieszam się.” Lęk przed śmiesznością w dobie Internetu i telewizji informacyjnych zdaje się być jednym z najpotężniejszych motorów działania. Powyższe rozumowanie może mieć swój dalszy ciąg – „jeśli Niemcy nie zapłacą Polsce, a Polska posiada do tego prawo, to Polska staje się śmieszna; lepiej zatem przyjąć/przyznać/udawać, że prawa tego nigdy nie było lub prawo to zniknęło”. Ten efekt swoistej autocenzury zostaje wzmocniony przez kilka czynników. Jednym z nich jest skala strat ludzkich i materialnych. Próba wynagrodzenia tych ostatnich według wartości rynkowej, a tych pierwszych według stawek stosowanych w praktyce międzynarodowej, wymagałaby wręcz niewyobrażalnych nakładów finansowych. Naturalną reakcją jest tu niedowierzanie czy nawet rozbawienie, jakkolwiek przykro się do tego przyznać. Co więcej, wysokość należnych Polsce odszkodowań oznacza, że każda realnie wynegocjowana kwota (nawet poważna) byłaby jedynie ich promilem, a obiektywny sukces zaczęłby się jawić jako kapitulacja. Innym problematycznym elementem jest przekonanie, że do moralnych obowiązków prawnika należy uzyskanie przysługujących Polsce reparacji. Wiąże się z tym wyobrażenie, że w sporach pomiędzy państwami jedno przedstawia wartościową opinię prawną, a drugie czuje się zobowiązane ją zaakceptować bez względu na koszty. Taki obraz stosunków międzynarodowych jest skażony niezwykle wręcz infantyлизacją.

Faktycznie jednak prawnik wydaje się osobą zdolną do przezwyciężenia tego typu barier psychologicznych. Powinien mieć bowiem świadomość, po pierwsze – że zajmuje się sferą powinności (*sollen*), a nie bytu (*sein*), po drugie zaś – że państwo nie zawsze jest w stanie wyegzekwować swoje prawo. Czy z samego faktu, że Rosja nie oddaje Polsce wraku Tupolewa, wynika, że jej się on nie należy? Brak obowiązkowego sądownictwa międzynarodowego powoduje, że wiele prerogatyw pozostaje iluzorycznych, nie oznacza to jednak, że nie warto o nich mówić i pisać. To smutne, że wybitni skądinąd prawnicy skonfrontowani z tematem skutków II wojny światowej zdają się odchodzić od zasad, których nauczają na własnych wykładach. Oprócz dwóch wymienionych prawidłowości należą do nich również reguły odpowiedzialności międzynarodowej.

W moim przekonaniu stanowią one punkt wyjścia dla wszelkich sensownych rozważań w tej kwestii, a często pozostają całkowicie pominięte. Co ciekawe, dotyczy to tak przeciwników, jak i zwolenników obowiązku reparacyjnego Niemiec. Takie podejście świadczyć może albo o negacjonizmie (poglądzie przeczącym istnieniu globalnych regulacji), albo o całkowitej bezrefleksyjności. Postuluję zatem, by rozwinąć w Polsce nurt rozważań na temat powojennych odszkodowań oparty na ogólnych zasadach prawa międzynarodowego. Szczególną przeszkodę stanowi tu z kolei fakt złożenia przez władze PRL w 1953 roku oświadczenia o zrzeczeniu się roszczeń, który zniechęca do podejmowania jakichkolwiek dyskusji. Tego typu racjonalizacje mieszczą się wprawdzie w granicach argumentacji prawniczej, jednak w mojej ocenie warto przetestować inne podejście.

Dyskusja o odpowiedzialności za straty wojenne, która za punkt wyjścia przyjmuje oświadczenie z 1953 roku, a za punkt dojścia... oświadczenie z 1953 roku, nie jest elementem kompleksowej debaty publicznej. Takie podejście przypomina raczej stawianie wozu przed koniem. Fundamentalna dla prawa międzynarodowego kwestia staje się wówczas zakładnikiem pewnego elementu historii PRL. Może okazać się on decydujący, ale istnieje prawdopodobieństwo (na pewno większe od zera), że będzie inaczej. Stwierdzenie, że „Polska zrzekła się odszkodowań, a każdy, kto zajmuje się tym tematem, zasługuje na potępienie”, to postawa typowa raczej dla tamtych niż obecnych czasów.

Można odnieść wrażenie, że dochodzi tu do swoistego przeniesienia wspomnianego sporu quasi-politycznego. Część autorów uważa za swój obowiązek wobec Polski wskazywanie takich czy innych wad oświadczenia z 1953 roku. Inna część uważa wyśmiewanie tej pierwszej grupy za swój obowiązek wobec czystej nauki. Wydaje się jednak, że prawda może leżeć w nieco innym miejscu. Omawiany dokument należy do setek aktów dokonanych przez narzucony Polsce reżim i wykazanie jego prawnej niemocy nie byłoby proste, ale nie widzę powodu, dla którego sama nauka musiałaby go za wszelką cenę rehabilitować. Mam przy tym świadomość, że przełożenie języka akademickiego na język dyplomacji może być dość problematyczne. Akt z 1953 roku nie oznacza w każdym razie braku pamięci o ofiarach II wojny światowej. Takie założenie stałoby w całkowitej opozycji wobec wartości, na których opiera się system legislacyjny. Prawnik, który z troską pochyla się nad losem firmy Van Gend en Loos, pani Faccini Dori, pana Züchnera czy polskiego sędziego zaniepokojonego perspektywą postępowania dyscyplinarnego³, a zapomina o sześciu milionach zabitych oraz setkach tysięcy ofiar eksperymentów medycznych i prac przymusowych, wydaje o sobie jak najgorsze świadectwo.

Moja propozycja wyboru paradygmatu tej dyskusji jest następująca: jeśli nie wierzysz w fakt zrzeczenia się przez Polskę prawa do reparacji, opisz 10 przykładów deliktów, za które Niemcy odpowiadają; jeśli przyjmujesz tezę o zrzeczeniu się przez Polskę jej praw, opisz 30 przykładów deliktów, za które Niemcy nie odpowiadają z powodu tego zrzeczenia. Należy zastrzec, że nie jest moim celem żadna akcja dyfamacyjna motywowana kwestiami *stricte* merkantylnymi. Jeśli jednak pojęcie narodu obejmuje pokolenia przyszłe i przeszłe, to nie może on przetrwać, nie upominając się o swoich zabitych i poszkodowanych. Dlatego optymalnym rozwiązaniem byłoby przeprowadzenie badań na ten temat we współpracy ze stroną niemiecką.

3 Osoby i firmy ze znanych powszechnie orzeczeń prejudycjalnych.

O ile *gros* uwag tu zawartych dotyczy nauki prawa, kilka słów trzeba również skierować pod adresem państwa i jego funkcjonariuszy. W moim przekonaniu postawa Polski powinna być nacechowana powagą i godnością. Nie należy oczekiwać spektakularnych oświadczeń, które miałyby rzekomo poprawić jej sytuację, ani zrzekać się roszczeń w zamian za symboliczne kwoty. Kwestie dawnych zaszłości powinny zostać uregulowane na mocy umowy międzynarodowej wynegocjowanej w dobrej wierze przez obie strony i biorącej pod uwagę wszystkie uwarunkowania międzynarodowe (łącznie z roszczeniami czy quasi-rozszczeniami formułowanymi pod adresem Polski). Istotnym krokiem w tym kierunku jest przede wszystkim zaprzestanie osłabiania własnych podstaw prawnych za pomocą nieprzemyślanych aktów i oświadczeń⁴; podkreślanie różnic między katami i ofiarami wojny; wykluczanie fragmentarycznych rozwiązań na niekorzyść państwa poszkodowanego; a wreszcie – zachowanie szczególnej ostrożności podczas przyjmowania przepisów dotyczących okresu wojennego i pierwszych lat komunizmu.

4 Należy unikać zwłaszcza nieprzemyślanych oświadczeń, które pozbawiałyby Polskę możliwości podnoszenia w przyszłości argumentów osłabiających akt z 1953 roku. Czym innym jest bowiem awanturnictwo polityczne (na przykład wypowiedzenie dokumentu), a czym innym brak elementarnej umiejętności ochrony własnych interesów w zgodzie z prawem międzynarodowym. Polska nie ma obowiązku zmiany wątpliwego aktu z 1953 roku w akt niewątpliwy, potwierdzony przez organ demokratycznego państwa.

II. RELACJE POLSKO- -ŻYDOWSKIE

Debata pt. „Relacje polsko-żydowskie
a administracja amerykańska” odbyła się
14 listopada 2018 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

ADMINISTRACJA USA

W dyskusji udział wzięli:

red. Bronisław Wildstein
(Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej,
rządowy zespół ds. dialogu prawno-historycznego z Izraelem,
Rada Programowa Fundacji im. Janusza Kurtyki),
dr Tomasz Płudowski
(Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie)
oraz dr Artur Wróblewski
(Uczelnia Łazarskiego w Warszawie).

Rozmowę poprowadził
red. Tomasz Pietryga
(„Rzeczpospolita”).

Red. Tomasz Pietryga: Dzień dobry. Dziękuję państwu. Dopinając sprawy organizacyjne, chciałbym powiedzieć, że debata potrwa godzinę, a później państwo mogą zadawać pytania oraz komentować.

Przyjęcie przez Polskę zmian w ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej (IPN), której jednym z celów, było zaostrzenie przepisów penalizujących fałszowanie polskiej historii, spotkało się z bardzo gwałtowną reakcją środowisk żydowskich. Doszło do kryzysu, który jednocześnie uderzył prawie we wszystkie płaszczyzny relacji polsko-izraelskich. Ten kryzys pokazał, jak mocno jest powiązana polityka izraelska z polityką Stanów Zjednoczonych. Strategiczna więź wsparta siłą żydowskiego lobby w Waszyngtonie spowodowała, że te więzi są nierozzerwalne i oddziałują na wszystkie sfery relacji między tymi krajami, również w polityce historycznej. Gdy dochodzi do takiej sytuacji kryzysowej, jak w przypadku ustawy o IPN, stawiamy pytanie, czy my jesteśmy bez szans w starciu z silniejszym i bardziej wpływowym sojusznikiem? Takim możemy nazwać państwo Izrael. Czy mamy jakieś atuty, które sprawią, aby nasza racja stanu była brana pod uwagę? Chciałbym, abyśmy na to pytanie znaleźli odpowiedź, ale najpierw chciałbym zadać pytanie panu Arturowi Wróblewskiemu. Skąd bierze się silne wsparcie polityki państwa Izrael w Waszyngtonie? Jakie organizacje, ludzie, są związani z tym wsparciem? Jak wygląda charakterystyka tych organizacji? Jak to wygląda, gdy mamy na myśli te organizacje z jednej strony i z drugiej, jeśli chodzi o administrację amerykańską?

Dr Artur Wróblewski: Odpowiadając na pana pytanie, można mówić trochę o współczesnych czasach, można też cofnąć się historycznie o sto lat i śledzić historię amerykańskiego kongresu Żydów. Jednak jeśli popatrzymy na politykę w tej chwili, to widzimy najpotężniejszą albo jedną z najpotężniejszych organizacji lobbujących na rzecz Izraela, czyli AIPAC. Jest to American Israel Public Affairs Committee, która jest tak potężna, jak na przykład National Rifle Association. To jest już inna organizacja lobbująca, która lobbuje na rzecz tak naprawdę wielkiego przemysłu produkującego broń i z tego powodu jest tutaj tak wpływowa. Patrząc natomiast na Białą Dom, to możemy powiedzieć, że wewnątrz Białego Domu mamy silne lobby środowisk żydowskich, proizraelskich, na przykład żon prezydenta USA, Donalda Trampa, Jared Kushner. Uczęszczając na nabożeństwa do Chabad-Lubawicz i będąc związany z środowiskiem żydowskim, na pewno podsyła prezydentowi różne pomysły, ale nie tylko on jest u boku prezydenta, ze środowisk żydowskich. Prezydent USA ma obok siebie również duchowego przewodnika, którym jest Robert Jeffress, który jest pastorem. Co ma pastor wspólnego ze środowiskiem żydowskim, proizraelskim? Pastor jest częścią środowiska ewangelikalnych chrześcijan, które w tej chwili jest bardzo wpływowe, ale było również wpływowe w przeszłości, na przykład za rządów prezydenta George'a W. Busha, gdy neokonserwatyści rządili w Białym Domu.

Robert Jeffress jest przyjacielem pastora Johna Hegee, który stoi na czele Christians United for Israel, organizacji również wpływowej, czyli Chryścijanie Zjednoczeni na rzecz Izraela. Środowiska, o których mowa, są wyraźnie przyjaźnie nastawione do Żydów, Izraela, do państwa Izrael. Dlaczego? Na przykład z powodu, że literalnie interpretują te fragmenty Pisma Świętego, gdzie jest napisane, że kto miłuje Izrael, lud Izraela, jest miły Bogu. Przykładem jest Robert Jeffress, który również inne zapisy interpretuje literalnie, chociażby punkt 13 w liście do chrześcijan, który mówi, że tak naprawdę, co robi, co czyni władca jest miły Bogu itd. Z tego powodu, kiedyś pastor powiedział, w ogniu swojego pasterskiego przesłania, że wojna lub atak nuklearny na Iran byłaby legalna, także to jest tylko próbka wpływów środowisk, którą podają, które nastawione są bardzo przychylnie do Izraela.

Dowodem namacalnym, koronnym argumentem, jest przeniesienie ambasady amerykańskiej z Tel Awiwu do Jerozolimy. Zostało to ogłoszone w grudniu i implementowane w maju. Zatem widzimy, że to środowisko przyjazne Izraelowi i wpływy żydowskie są bardzo potężne w Białym Domu, przy prezydencie Trumpie. Dlatego należy przyjąć, że notatka z 22 lutego, którą portal Onet.pl ujawnił, o tym, iż odbyła się rozmowa między polskimi dyplomatami i trzema wpływowymi osobami związanymi z Białym Domem, to znaczy panią Molly Montgomery, która jest doradczynią Mike'a Pence'a, panem Thomasem Yazdgerdim, specjalnym wysłannikiem do spraw Holokaustu, w Biurze do spraw Holokaustu w Departamencie Stanu oraz Wessem Mitchellem, czyli podsekretarzem stanu do spraw Europy i Eurazji. Notatka z portalu Onet.pl mówiła o zamrożeniu kontaktów na najwyższym szczeblu. Jest ona wiarygodna, ponieważ rzeczywiście Wess Mitchell przyjechał do Polski przed ustawą o IPN. Rozmawiał na temat spraw restytucji, jednak później nie było tych kontaktów na najwyższym szczeblu. Dowodem tego była data 14 lub 20 lutego, gdy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Andrzej Duda, wyjechał do Korei Południowej w czasie igrzysk zimowych. Był tam również Mike Pence. Pomimo starań nie udało się im porozmawiać. To jest jeden z licznych dowodów, że gdyby nie doszło do nowelizacji ustawy o IPN, to mogłyby być problemy, bo jak notatka mówiła i prawdopodobnie jest to zgodne z prawdą, miało dojść do zamrożenia kontaktów na najwyższym szczeblu oraz do zamrożenia amerykańskiej pomocy dla Polski, jeśli chodzi o obecność wojsk amerykańskich lub przysłanie brygady amerykańskich wojsk na teren Polski. Jeżeli Fort Trump powstanie, a ma to nastąpić, bardzo możliwe, że nie będzie to dywizja, prawdopodobnie będzie to brygada. Sprawa jest już przesądzona, z tego co widać i słyhać. Ptaki o tym ćwierkają i dobry humor ministra Błaszczaka też tego dowodzi. To był wstęp w sprawach aktualnych.

Red. Tomasz Pietryga: Bardzo dziękuję za ten głos. Teraz pytanie do pana redaktora Bronisława Wildsteina. Przedmówca powiedział, że to są środowiska przyjazne Izraelowi, polityce państwa Izrael. Czy jest możliwa współpraca z tymi organizacjami, z tymi ludźmi, i Polską? Czy one mogą być nam przyjazne, a przynajmniej neutralne? Czy to jest możliwe? Czy możemy z tymi organizacjami i z tymi ludźmi rozmawiać, i w jakikolwiek sposób przekonać ich do siebie?

Red. Bronisław Wildstein: Dzień dobry państwu. Jestem tutaj nie na miejscu. Myślałem, że będziemy mówić o problemach polsko-żydowskich, a okazało się, że będziemy bardziej się zagłębiać w problemy polsko-amerykańskie w kontekście żydowskim. Nie jestem tak kompetentny, aby się wypowiadać na ten temat, w odróżnieniu od moich szanownych rozmówców, którzy są w tym temacie bardziej zorientowani. Ja znam się na tym temacie bez porównania mniej. Mogę mówić o pewnych wydarzeniach, faktach, które są interesujące. Mój przedmówca

mówił z sensem, ale ja bym się wstrzymywał przed akceptacją tej notatki z portalu Onet.pl., tego tekstu oraz tych poszlak, że miało dojść do zamrożenia kontaktów na najwyższym szczeblu. Zmiana, która nastąpiła, nie była specjalnie znacząca, a relacje polsko-amerykańskie są wyjątkowo dobre, więc nie przypuszczam, aby groziły nam tak bardzo daleko idące konsekwencje. Jednak zgadzam się, że nasze kontakty ze Stanami Zjednoczonymi przedtem były utrudnione.

Zacząłbym od innej strony. Może to, co powiem też pokaże sprawę. Chciałem powiedzieć, że prawie identyczna ustawa została przyjęta przez Polskę w latach 2005/2006. Przeszła bez echa. Nikt nie reagował, a tam było to samo, co w ustawie ostatniej. Nikt się tym nie zainteresował ani w kraju, ani zagranicą. Wtedy, chyba w 2006 roku, Trybunał Konstytucyjny uważył ustawę ze względów proceduralnych, ponieważ on wtedy wszystkie ustawy Prawa i Sprawiedliwości uwał. Zasada była taka, że wszystko co Prawo i Sprawiedliwość uchwaliło, musi być złe i trzeba to zakwestionować. Pojawia się pytanie, dlaczego świat dziesięć lat później zaczął interesować się tym, czym nie interesował się dziesięć lat wstecz? Odpowiedzią jest to, że świat został odpowiednio, w negatywnym sensie przygotowany do tego wydarzenia. Wizja tego, co się stanie po jej uchwaleniu, została przekazana w świat przez rzeczników totalnej opozycji z Polski, nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem osób współpracujących z tymi środowiskami w Polsce. W rzeczywistości prawie nikt tak naprawdę nie odnosił się do tej ustawy. W kółko powtarzano, że za jej pomocą zakazuje się debaty historycznej o Holokauście. Było to nonsensem. Ustawa mówiła wyraźnie, że nie dotyczy to badań naukowych, że chodzi o kłamstwa. Środowiska zachodnie, głównie żydowskie nie odnosiły się do realnej ustawy, gdyż wyrobiono w nich określone wyobrażenie na jej temat i na temat powodów, dla jakich ona powstała. Jeśli da się sformułować taki obraz, to można powiedzieć, że manipulacje takie umożliwiają kreację obrazu zasadniczo rozmiągającego się z rzeczywistością. W takim stanie rzeczy dużo trudniej jest rozmawiać, choć należy próbować to robić. Jeżeli chodzi o środowiska amerykańskich Żydów, to bywa to łatwiejsze.

Nasza sytuacja jest o tyle trudniejsza, że państwo polskie, czyli III RP, nigdy nie zbadało i nie opowiedziało swojej historii. Jeżeli chodzi o PRL, to był on państwem niesuwerennym, ideologicznym, traktował historię instrumentalnie. W związku z tym, jej obraz różnie wyglądał. A III Rzeczpospolita Polska, jeśli coś robiła, to wyłącznie w duchu pedagogiki wstydu, czyli także deformowała opis przeszłości. Generalnie jednak to za nas historię opowiedziano i się ją nieustannie opowiada. W trakcie trwania III RP, czyli już trzydzieści lat, mieliśmy do czynienia z taką ofensywą, z jednej strony niemiecką. Mam na myśli zmiany narracji o drugiej wojnie światowej i o Holokauście. Umownie mówiąc, to była taka denacjonalizacja hitleryzmu, denacjonalizacja III Rzeszy. Głównie, ale nie tylko, robiło się to przez kulturę masową, która jest najbardziej wpływowa i formuje obraz historii w oczach zbiorowości. To jest proces bardzo inteligentnie i świadomie robiony. Zaczęło się w latach osiemdziesiątych. To jest jedna sprawa.

Z drugiej strony mamy problem z pamięcią polską i żydowską, który jest trudny. Żydzi mają świadomość, że byli głównymi ofiarami. To wszystko jest prawdą. Nie byli jednak, jedynymi ofiarami. W momencie, kiedy budują swoją, w jakimś sensie uzasadnioną, tożsamość na Holokauście, trudno im akceptować i traktować poważnie krzywdę innych. To także prowadzi do deformacji opowieści o całej drugiej wojnie światowej, zwłaszcza o Polsce.

Jeszcze dodatkowo innym czynnikiem, żeby jeszcze bardziej się to wszystko skomplikowało, jest Rosja. Rosja, która opowiada swoją własną wersję historii, która jest zupełnie inna i odległa

od całościowego obrazu. Wersja rosyjska jest trochę pokrewna żydowskiej, ale to tylko przypadek. Według Rosji druga wojna światowa zaczęła się w 1941 roku. Wiadomo z jakich powodów. Rosji nie jest na rękę, aby opowiadać, że druga wojna światowa zaczęła się od paktu między Hitlerem a Stalinem w 1939 roku oraz od wspólnego podboju Europy środkowo-wschodniej. Holokaust jest zbrodnią dokonaną przez Niemców na Żydach, po agresji niemieckiej na Związek Sowiecki, co nie znaczy, że to było ze sobą powiązane bezpośrednio, ale w związku z tym opowieść rosyjska i żydowska towarzyszą sobie. Dodatkowo, siłą rzeczy, Związek Sowiecki był siłą, która broniła Żydów. Dlatego pamięć tych spraw dotycząca jest radykalnie inna niż pamięć polska. Radykalnie inna.

Dołożyłbym sprawę jeszcze ideologiczną. Żyjemy w świecie, w którym na zachodzie panuje ideologia emancypacyjna, liberalna. Ideologia, o której mowa, niechętnie odnosi się do wszelkich tożsamości, zwłaszcza do tożsamości narodowej. Ideologia liberalna jest ideologią, w której jednostka ma dominować, a więc wszelkie tożsamości tę ideologię krepują. Silne tożsamości są niechętnie przyjmowane. Zwłaszcza silne tożsamości tych narodów, które nie są w centrum Europy. Opowieść o polskiej drugiej wojnie światowej też jest specyficzną opowieścią o polskiej tożsamości, która jest niewygodna dla dominujących ośrodków. Nie tylko dla Niemców, ale dla nich szczególnie. To może tyle.

Red. Tomasz Pietryga: Bardzo dziękuję, panie redaktorze. Pan Wildstein powiedział takie krótkie, ale ciekawe zdanie, że Polska na czas nie opowiedziała światu swojej historii. Ustawa o IPN jest ciemiona. Reakcja na nią była niewspółmierna w stosunku do zagrożeń. Praktycznie nie niosła żadnych poważnych zagrożeń. Moje pytanie jest takie: Jak mamy stąpać po tym polu minowym relacji polsko-izraelskich uważając, biorąc pod uwagę kontekst amerykański, w tej całej historii?

Dr Tomasz Pludowski: Dodam, że są jeszcze inne organizacje, które nadają znaczną wagę kwestiom żydowskim. Przegłosowanie ustawy Just Act, o której mamy dzisiaj mówić, poparły między innymi World Jewish Restitution Organization, czy International Jewish Affairs. Tych organizacji jest jeszcze więcej, poza tym z politycznego punktu widzenia jest to kwestia, którą Amerykanie określają jako „bipartisan”, czyli istnieje co do niej zgoda obu głównych przedstawicieli amerykańskiego systemu partyjnego, bo zarówno demokraci, jak i republikanie wspierają Izrael. Uważa się czasami, że to poparcie jest większe po stronie republikanów, ale patrząc przez pryzmat wyborczy, Żydzi amerykańskiego pochodzenia najczęściej jednak głosują na demokratów. W XXI wieku aż w 70-80%. Pomaga to zrozumieć, dlaczego obie partie powiodły tak. Ustawa była oczywiście co najmniej kontrowersyjna z polskiego punktu widzenia. Niemniej jednak nie budziła wątpliwości ani republikanów, ani demokratów.

Co można zrobić? Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, o tym, że Niemcy... Nie będę w to wchodził. Gdy słucham obu stron sporu politycznego, wydaje mi się, że te kwestie najlepiej wyjaśnia nie historia czy politologia, tylko psychologia. Mam na myśli to, że żyjemy w czasach nie tylko własnych, stronniczych interpretacji wydarzeń, ale również w epoce własnych faktów. Strony konfliktu politycznego często nie mogą się zgodzić co do jednej wersji przeszłych wydarzeń. I nie mówię tutaj tylko o odległej przeszłości, ale również o tym, co stało się kilka dni temu na ulicach Warszawy. Ludzie zamykają się w swoich wizjach świata. Najpewniej jest to związane z mediami, polaryzacją, plemiennością i wybiórczą pamięcią. Obywatele wybierają źródła informacji, z którymi się zgadzają, by zredukować dysonans poznawczy między

swoimi postawami politycznymi oraz informacjami, które stoją w sprzeczności z owymi postawami lub wcześniejszymi zachowaniami. Nie mogą się przez to później zgodzić w sprawie faktów, nie mówiąc już o ich interpretacjach. Tutaj my również najprawdopodobniej się nie zgodzimy. Ja swoją rolę widzę w ten sposób, by pokazać państwu, jak Amerykanie, powiedzmy w mainstreamie, widzą owe wydarzenia, jeśli w ogóle się nimi zajmują. Otóż przeciętny Amerykanin niewiele myśli poświęca drugiej wojnie światowej, Holokaustowi lub ustawom przegłosowywanym w odległej Polsce. Nie jest to kwestia dla nich paląca. Natomiast, jeśli podobna ustawa wcześniej była przegłosowana w jakimś innym kraju, jak twierdzi redaktor Wildstein, to w odróżnieniu od tamtej, ta polska spotkała się ze sprzeciwem świata bez względu na to, czy – jak mówi prawica – ktoś na nas donosił, czy nie. Abstrahując nawet od tego, że w epoce Internetu, globalizacji oraz Google Translator, każdy obywatel o przeciętnych umiejętnościach cyfrowych jest w stanie sam się dowiedzieć, co wydarzyło się w na drugim końcu świata i nie potrzebuje „donosicieli”.

Na czym więc skupiły się zagraniczne doniesienia medialne? Otóż na tym, że szykowano narzędnia prawne do rozwiązywania sporów historycznych. Ta ustawa mówi: „Art. 55a. 1. Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie określone w art. 6. Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, załączonej do porozumienia międzynarodowego w przedmiocie ścigania i karania głównych przestępców wojennych Osi Europejskiej, podpisanego w Londynie dnia 8 sierpnia 1945 roku – Dziennik Ustaw z 1947 roku, pozycja 367 – lub za inne przestępstwa stanowiące zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości, lub zbrodnie wojenne, lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega karze grzywny lub karze pozbawienia wolności do lat 3. Wyrok jest podawany do publicznej wiadomości.”

Ustawa o IPN wprowadza tutaj różne poziomy dyskursu – poziom narodu, poziom państwa, poziom jednostek oraz trudną kwestię prawdy historycznej, ujętą w niejasną formułę przypisywania odpowiedzialności wbrew faktom. Stawiamy więc polskiego sędziego w sądzie rejonowym, który jest najczęściej w wieku 35-45 lat i nie posiada wykształcenia historycznego, a ma za zadanie zdecydować, czy zdanie wygłoszone przez kogoś na świecie na temat wydarzeń historycznych jest prawdziwe czy nie. Otóż to jest kwestia dla historyków, a nie dla sędziów. Właśnie dlatego między innymi uznano tę ustawę za złą. Dodatkowo może mieć ona efekt mrozący, jeśli wypowiedź podlega karze trzech lat pozbawienia wolności. Z amerykańskiego punktu widzenia taka sankcja jest także sprzeczna z pierwszą poprawką do konstytucji. Ona nas – jako Polaków – wprawdzie nie obowiązuje, ale tak czy inaczej jest to ograniczenie swobody wypowiedzi. Tak więc ta ustawa to nie jest dobry pomysł. Z punktu widzenia amerykańskiej kultury politycznej i prawnej, rozmawiać można o wszystkim; co więcej, swoboda wypowiedzi obejmuje nawet spalenie amerykańskiej flagi. Nie należy więc wprowadzać przepisów, które nakładają sankcję więzienia za wypowiedzenie opinii.

Dodatkowo mieliśmy w Polsce dyskusję o tych, tak zwanych, „polskich obozach”, która moim zdaniem była dużym nieporozumieniem, ponieważ była to kwestia w dużym stopniu semantyczna i różne osoby wypowiadające się na ten temat miały różne rzeczy na myśli. Były sytuacje, kiedy obcokrajowiec, zwłaszcza relatywnie młody, przez swoją ignorancję nie wiedział nic o historii drugiej wojny światowej, a konkretnie o tym, kto, gdzie i dlaczego te obozy zbudował. Niemniej jednak, niewątpliwie nie należy takiej osoby więzić przez 3 lata. Poza tym

egzekwowanie takiego prawa jest technicznie bardzo trudne, niewykonalne w pewnym sensie, ponieważ prawo polskie tych osób nie obowiązuje, zwłaszcza poza UE, na przykład w USA. To kolejny powód, dla którego jest to zły pomysł. Z drugiej strony mieliśmy do czynienia z przypadkami osób, które używały tego określenia, ponieważ miały na myśli miejsce geograficzne. Taki skrót myślowy, możliwe, że nieprzemysłany, ale w sumie niewinny. Sami wręcz używamy nazwy „getto warszawskie”. Nie domagamy się przecież, by wszyscy mówili „getto nazistowskie w okupowanej przez Niemców Warszawie”. Sami też tak nie mówimy. Po prostu nie da się kilku miliardom ludzi narzucić, aby używali przymiotnika niemiecki czy nazistowski w sensie odpowiedzialności prawnej czy moralnej, a nie używali przymiotnika polski w sensie geograficznym, nawet jeśli chodzi o okres, w którym takie określenie było nieprecyzyjne czy mylące. Język żyje swoimi własnymi prawami, między innymi dąży do skrótowości, a przymiotniki mają różny uzus. Była to więc dyskusja wielce ułomna, bo pozbawiona wspólnego punktu odniesienia. Jej sedno stanowiła kwestia semantyczna, kwestia pewnego nieporozumienia, ale wzbudzała skrajne emocje, gdyż dotyczyła kwestii winy, odpowiedzialności, krzywdy i zbrodni, a nawet sprawiała wrażenie, że chodzi o negację Holocaustu jako wydarzenia historycznego, mającego konkretnych pomysłodawców i sprawców.

Red. Tomasz Pietryga: Pan zakłada, że ustawa o IPN jest gilotyną, która bezmyślnie prowadzi do ukarania każdego, kto nawet nie mając na myśli...

Dr Tomasz Pludowski: Ja nie widzę swojej roli w tym, żebym przedstawiał swój punkt widzenia. Przedstawiam punkt widzenia osób mieszkających zagranicą. Chodzi tutaj o ustawę, która została przegłosowana i o to, jak ta ustawa może być interpretowana. Nie chodzi mi też o automatyzm nakładania kary, czy pociągania do odpowiedzialności. Ale tu także polski prokurator musiałby się pofatygować do, dajmy na to, Albanii czy Urugwaju, by dociekać intencji wypowiadającego inkryminowane frazy w języku obcym. Odbioru ustawy wcale nie poprawia więc kwestia, że odpowiedzialność nie będzie automatyczna, tylko zależna od jakichś niedookreślonych zmiennych uznaniowych konkretnego prokuratora czy sędziego. Chcę powiedzieć, że ostateczny wyrok będzie zależny od sędziów, którzy tak naprawdę nie mają doświadczenia ani wiedzy w tego rodzaju sprawach. Będą decydowali różnie, na przykład w zależności od swojego postrzeganego poziomu poczucia pokrzywdzenia ojczyzny, a to problemu nie rozwiązuje. Tak czy inaczej, rozstrzygnięcie kwestii grupowej odpowiedzialności historycznej narodów nie jest zadaniem sędziego sądu rejonowego.

Red. Bronisław Wildstein: Rozstrzygnięcie politycznych kwestii również nie jest zadaniem sędziego sądu rejonowego, a rozstrzygają.

Dr Tomasz Pludowski: Zagadnienia polityczne to zupełnie inna kwestia. Rzeczywiście sądy rozstrzygają coraz częściej o kwestiach politycznych. Znam wielu sędziów, również młodych. Większość jest zapewne profesjonalna, ale wiem, że wielu nie ma wystarczającej wiedzy historycznej czy psychologicznej, część pozbywa się spraw politycznych pod pierwszym lepszym pretekstem w obawie przed represjami, część ma wyraźne poglądy polityczne, ale orzeka rzeczywiście niezależnie, część oszukuje się, że poglądów nie ma, a część unika nawet doniesień medialnych w absurdalnej w sumie obawie, by nie stracić swojej niezależności.

Wracając do kwestii amerykańskiego kontekstu percepcji ustawy, pierwsza poprawka do konstytucji gwarantuje wolność wypowiedzi, w związku z tym nie należy nakładać poważnych

sankcji prawnych, sięgających trzech lat pozbawienia wolności za wypowiedzenie opinii. W dodatku chodzi o różne poziomy wypowiedzi – jednostki lub narodu – oraz pytanie, w którym momencie można używać słów takich jak „Polacy”. Na przykład „Polacy pomagali Żydom” albo „Polacy pomagali nazistom”. Konkretnie, ilu musi być tych Polaków, żeby można było powiedzieć – Polacy? Właściwie jest to kwestia nierozstrzygalna. Naprawdę nie jest to problem dla sędziego sądu rejonowego. Takiej kwestii nie da się wręcz rozstrzygnąć na poziomie prawnym. Mówimy w istocie o dwóch różnych sprawach. Jedną jest zaprzeczanie, że Holocaust miał miejsce, czyli o negacjonizmie. Jest to jednak zupełnie co innego niż stwierdzenie, że „Polacy” robili to czy tamto *en masse*. Jeśli przegłosowana w Polsce ustawa nam się nie podoba, jak twierdzi redaktor Wildstein, to zajmijmy się nią, by ją poprawić lub z niej zrezygnować, a nie usprawiedliwiać ją pod pretekstem, że jakieś inne państwo przegłosowało podobną. Jeśli nie podobają nam się obydwie, to krytykujemy je, a nie chwalamy naszą, bo choć powtarza błędy innej strony, to rzekomo broni dobrego imienia Polaków. Kierujmy się logiką.

Red. Bronisław Wildstein: Właśnie kierujmy się logiką. Jeżeli jest tak, że coś jest normą prawną, lecz nam się to średnio podoba, to nie zmienia faktu, że to normą jest. Negowanie Holocaustu jest fałszem. Takim samym fałszem jest twierdzenie, że Polacy Holocaust przeprowadzili. Mamy obecnie w Polsce sytuację, gdy negowanie są powszechnie funkcjonujące normy prawne, bo, podobno, są one młotem na opozycję. Pan powiedział, że nie możemy tak mówić, bo powinniśmy zająć się wyłącznie sobą, ale robiąc to, tracimy z oczu to, co jest powszechnie przyjętą normą prawną.

Dr Tomasz Płudowski: My możemy się tylko sobą zająć. Ewentualnie lobbować.

Red. Bronisław Wildstein: Właśnie nie. Nie żyjemy na bezludnej wyspie. Żyjemy w świecie, który się ze sobą łączy. Przepraszam, że się wtrąciłem.

Dr Tomasz Płudowski: Odeszliśmy od głównego wątku. Wracając do meritum, przedstawiam punkt widzenia strony amerykańskiej. Oddam głos panu doktorowi Wróblewskiemu.

Red. Bronisław Wildstein: Przepraszam, że przerywam, ale jeszcze trzy zdania chciałbym powiedzieć. Co to jest teoria spiskowa? Słuchając doktora Płudowskiego mogę sądzić, że jest to łączenie faktów i wyciągnię z nich wniosków. Ktoś kto wskazuje, że istnieją ludzie, którzy mają swoje interesy w pewnym działaniu, jest potępiany, bo o takich sprawach mówić nie wolno. Nie wolno o tym mówić, bo to jest teoria spiskowa. Ja mówię o faktach, o tym, że Kohl ogłosił, że należy zmienić podejście do historii. Jeśli obserwuje politykę historyczną Niemczech i ładowanie funduszy w jej określony sposób przedstawianie, to mówię o faktach. Jeśli najbardziej wpływowym historykiem, zajmującym się Holocaustem w Stanach Zjednoczonych, jest Jan Grabowski, który twierdzi, że nie wolno mówić o sprawiedliwych, którzy pomagali Żydom, Polakach, dopóki nie zostaną zgłębione zbrodnie polskie przeciwko narodowi żydowskiemu w czasie Holocaustu, to mówię o faktach, a nie o domysłach. W ten sposób tworzy się pewien wizerunek Polski, który jest na rękę określonym państwom i środowiskom. Nie będę się rozwijał w tym temacie, ale oczywiście mogę przedstawić, jak się tworzy taki wizerunek, podawać nazwiska, przetaczać teksty...

Dr Artur Wróblewski: W nawiązaniu do słów pana doktora Płudowskiego, w Stanach Zjednoczonych jest ten kult pierwszej poprawki. Tak samo jak jest kult drugiej poprawki, czyli

mówię o prawie do posiadania broni. Druga poprawka liczy kilkadziesiąt słów, może dwadzieścia kilka. Każdy interpretuje te słowa po swojemu. Natomiast pierwsza poprawka też jest kultowa, wręcz totemiczna. Pytanie było, jak żydowskie lobby tak bardzo urosło w siłę? Wyrośli w siłę na polityce piarowej, wizerunkowej, posiadając bardzo dobrych spin doktorów już sto lat temu. Wydaje mi się, że w tym roku mija sto lat, jak powstała American Jewish Committee. W 1936 roku w Genewie, w Szwajcarii, powstała Światowa Organizacja Żydów, Światowy Kongres Żydów. Kiedy American Jewish Committee zaistniał medialnie w całej Ameryce? Dopiero w 1954 roku. Dlaczego? Zaczęli lobbować na rzecz pierwszej poprawki. Wystąpili jako strona albo *amicus curiae*. Złożyli uzasadnienie w sprawie *Brown et al. vs. Board of Education of Topeka et al.* To jest tytuł sądowej decyzji sądu najwyższego, która odwróciła decyzję z 1898 roku. Według decyzji, którą podjęto w czasie wojny secesyjnej, w Stanach Zjednoczonych nie wolno posiadać niewolników, ale segregacja jest już dopuszczana, jeśli na przykład podzielimy szkoły dla białych i szkoły dla czarnoskórych, Afroamerykanów, wydzielimy autobusy oddzielne dla białych i dla Afroamerykanów. Segregacja, a właściwie dyskryminacja, jest dopuszczalna, ale niewolnictwo nie. W 1954 roku zaskarżono to podejście i właśnie American Jewish Committee wystąpił jako strona w tej słynnej sprawie, argumentując na rzecz 14 poprawki, która mówiła o klauzuli równouprawnienia. Poprawka narzuca traktowanie wszystkich po równo i segregacja jest niedopuszczalna. Tam były również sprawy z pierwszą poprawką, tak jak American Civil Liberties Union tak samo American Jewish Committee również popierał tego typu sprawy w sądach i sądzie najwyższym.

W filmografii amerykańskiej, jest słynny film, który pokazuje rozprawę sądową, gdzie mała dziewczynka, wracając ze szkoły, dostaje białą i czarną lalkę i sędzia Warren, przewodniczący sądu najwyższego, pyta: która lalka jest ładniejsza? Dziewczynka pokazała na białą. To były właśnie psychologiczne schematy. Mentalność i wrażliwość amerykańska jest trochę inna.

Z drugiej strony pomylenie się przez prezydenta Obamę, w czasie uroczystości wręczenia Medalu Wolności, który odbierał minister spraw zagranicznych, Rotfeld i mowa o „Polish death camps”. W Białym Domu było wiadomo, że jest to istota całej sprawy. Może być to odebrane jako złośliwość. Nie ze strony prezydenta Obamy, mimo że to prymus z Harvardu i szef pisma harwardzkiego. Najprawdopodobniej prezydent nie za bardzo wchodził w szczegóły tego przemówienia, „Ktoś podsunął prezydentowi tego typu lapsus i później się wycofywano z tego. Każdy będzie to inaczej interpretował. Może denerwować, że to Jan Karski pojechał 28 lipca 1942 roku do Waszyngtonu z narażeniem życia i mówił prezydentowi Rooseveltowi: Panie prezydencie, w getcie warszawskim, w getcie w Warszawie okupowanej, mieszkańcy getta, Żydzi, na dwa dni dostają 150 gram lub 250 gram chleba i 100 gram buraków. Ludzie tam umierają. Możliwe, że milion ludzi już tam umarło.” A prezydent Roosevelt nie wierzył i wypytywał o konie arabskie i zmienił temat. Może denerwować fakt, że Polaków obwiniano, kiedy Brytyjczycy w rękawiczkach wywozili swoich obywateli żydowskiego pochodzenia z wysp normandzkich w latach 1940-1942, gdy było to jedyne terytorium brytyjskie okupowane przez Niemców. Tam była taka pani, Sybil Howewey, taka dama, która przyjmowała oficerów niemieckich i później chwaliła, że to są tacy dżentelmeni, którzy wchodząc do domu buty wycierają i robiła takie słynne obiady. Wiktor Carey, który był gubernatorem, to właściwie można powiedzieć, ułatwiał wywózkę swoich obywateli, swoich współmieszkańców z tych wysepek, do obozów w Auschwitz i Birkenau, bo oni zostali deportowani. Była jedna taka pani z Austrii, którą sąsiedzi pomogli wyrzucić. Ona była pielęgniarką w lokalnym szpitalu. O tym pisał historyk, był taki film, to właśnie ten pan też zajmował się historią tych

wysepek i zwrócił uwagę na ten temat. W latach pięćdziesiątych pierwszy wyciągnął tą sprawę Guardian. Niedawno był też film w BBC na ten temat, pokazujący prawdziwe oblicze Brytyjczyków i chociażby konferencja na Bermudach w 1943 roku, kiedy tu w Getcie warszawskim jest powstanie, panowie Amerykanie, Brytyjczycy sobie debatuja i podejmują decyzję, że nic nie zrobią w sprawie Żydów. Telegram, który przygotował pan Rigener ze światowej organizacji Żydów w Zurychu lub Genewie. Zarówno u Brytyjczyków oraz w Departamencie Stanu, telegram ląduje w szufladzie, bo jak to określono, to są historie żydowskie i nic nie będą robić w tej sprawie.

Można mnożyć po tamtej stronie, w różnych krajach, tego typu zachowania, ale to Polska najbardziej obrywa, mimo iż to właśnie Polska szkoliła późniejszych ojców założycieli Izraela. Polskie służby wojskowe, nasze służby wywiadu, szkoliły przyszłych ojców założycieli Izraela. Antypolonizm w Izraelu wiąże się z mitem założycielskim Izraela, to znaczy potrzebą wykreowania antysemityzmu, aby się jednoczyć i budować tożsamość, a później pozyskiwać fundusze z USA. Izrael razem z Egiptem są największymi beneficjentami pieniędzy na żołnierzy. Potrzebują wroga, aby dostawać pieniądze z USA.

Natomiast gdy popatrzymy na antysemityzm europejski, Izraelowi łatwiej i wygodniej, z różnych powodów, między innymi historycznych, jest stawiać na polski antysemityzm niż na francuski lub niemiecki. Polska jest dużo słabsza od Niemców i właśnie z tego powodu Polacy stali się przysłowiowym chłopcem do bicia. W odpowiedzi na polski antysemityzm powstał antypolonizm, o czym mówi deklaracja premiera Netanjahu i Morawieckiego. W deklaracji potępiany jest antysemityzm i antypolonizm. Każdy w kręgu geograficzno-politycznym ma inną wrażliwość. Churchill nie wiedział, jak ma się zachować w stosunku do gubernatora wysp normandzkich, Wiktora Carey'a. Zastanawiał się czy ma go powiesić, czy uszlachcić? Podjął decyzję i uszlachcił go, zakończając tym samym dylemat. Sprawa jest bardzo złożona.

Powracając do spraw współczesnych, był pewien problem z ustawą o IPN i był problem w Waszyngtonie. Ustawa 447 została przyjęta przez Senat w grudniu. Później, w marcu, przez Izbę Reprezentantów ustawa o identycznym brzmieniu, nr 1226, została przyjęta w Senacie i przez Izbę Reprezentantów przez aklamację. Jest to ustawa, którą pan nazywa Just Act, o której później mamy rozmawiać. Ustawa została podpisana w maju przez prezydenta Trumpa.

Red. Tomasz Pietryga: Żeby uporządkować i wyciągnąć wnioski, które są dla nas ważne, oraz aby już zamknąć dyskusje, możemy powiedzieć, że są trzy punkty zapalne w relacjach z Izraelem, gdzie polityka amerykańska jest ważna. Mówiliśmy dużo o polityce historycznej oraz ustawie o IPN. Mamy potencjał do poważnego konfliktu, który się odradza. Chodzi o nieuregulowaną kwestię reprivatyzacji i Just Act. Ustawa Just Act jest miękkim narzędziem głównie na Polskę. Sprawy reprivatyzacyjne w największym stopniu nie są uregulowane, jeśli chodzi o majątek bezspadkowy. Jak państwo polskie powinno prowadzić politykę?

Red. Bronisław Wildstein: Mówiąc o ustawie o reprivatyzacji, uważam, że państwo powinno ją wreszcie przeprowadzić. Obecne władze boją się podjąć pracy nad ustawą w związku ze sprawami, o których mówimy. Nie zmienia to faktu, że jest ona niezbędna. Myślę, że jeżeli chodzi o Izrael, to mamy mniej punktów spornych. Z jednej strony Polska jest jednym z niewielu sojuszników Izraela w Europie. To jest pewien kapitał, który można wykorzystać.

Ameryka jest również w specyficznej sytuacji, to ona naciskała, aby jej sojusznicy, którymi są Polska i Izrael się dogadali. Deklaracja Morawieckiego i Netanjahu, jest czymś, co mogliśmy najbardziej docenić. Nigdy dotąd nie było sformułowane przez władze Izraela i premiera, że Polska zabiegała o obronę swoich Żydów. Robiło to polskie Państwo Podziemne i polskie instytucje. To są podstawowe dane historyczne. Trump, Netanjahu, zostali wspólnie zaatakowani przez Izrael za deklarację z Morawieckim. Państwowa instytucja Jad Waszem zdystansowała się jednak do tego. Ja bym się nie zajmował psychologią takich ludzi, którzy mówią o polskich obozach koncentracyjnych. Jedni mówią to z premedytacją, inni z głupoty i jeszcze z innych powodów. Ważne jest, że ten obraz się utrwała. Wszystkie badania wykazują, że Polska nie najlepiej wygląda w tych relacjach polsko-żydowskich. Z czasem zaczynamy być traktowani jak wspólnicy Hitlera. Jeżeli będziemy akceptować taki pogląd to w obiegu publicznym rzeczywiście się nimi staniemy.

Pamięć i historia to elementy fundamentalne soft power, czyli tego, jak nas postrzegają. Podstawowym punktem odniesienia jest druga wojna światowa i Holokaust. Jak się zachowywały państwa, narody wobec tego? Jeżeli nie będziemy potrafili powiedzieć prawdy o sobie, to inni nie będą nas szanować. Mam nadzieję, że IPN zrobi całościowe, źródłowe badania, które opiszą Holokaust na ziemiach polskich. Opiszą całość niemieckiego terroru. Jeszcze tego nie zrobiliśmy, z tego powodu, że jest to sprawa bardzo drażliwa i delikatna, ponieważ przy okazji robienia badań wyjdą sprawy bardzo nieprzyjemne. Trzeba to zobaczyć w szerszym kontekście. Musimy zawalczyć o nasz wizerunek historyczny, co jest sprawą zasadniczą.

Jeżeli chodzi o Izrael, to uciekinierzy z Polski często mieli bardzo ambiwalentny stosunek do Polski. Ich pamięć była szczególna, strauumatyzowana. Była to pamięć ludzi, którzy widzieli wymordowanie swojego narodu, swoich najbliższych i byli zaszczuci. Naturalne jest, że tacy ludzie pamiętają to, co złe. Pamiętali tych, którzy ich prześladowali, tych których się bali, potencjalnych szmalcowników. Polak nie miał na czole napisane, czy jest czy nie jest szmalcownikiem. W związku z tym w żydowskich oczach każdy Polak był zagrożeniem, bo mógł się nim okazać. Zostało to bardzo silnie wyryte w pamięci żydowskiej, ale równocześnie pozostał sentyment do Polski. Gdy pojawiło się następne pokolenie, została ta ciemna strona, a sentyment wyparował. Jeżeli chodzi o stosunki z Izraelem, to powinniśmy stawić czoła naszej historii. Oczywiście w wielu aspektach będzie to nieprzyjemne, ale to wynika z tego, że taka ta wojna była. Nie chodzi o to, aby gloryfikować, ale o to, aby pokazać prawdę o tym, co było.

Jest jeszcze jedna sprawa. Współcześnie historię głównie się postrzega przez kulturę masową. Historycy robią swoje badania. Oczywiście kultura masowa wychodzi od czegoś. Ona też musi się na czymś opierać. Jeżeli tutaj też będziemy mogli coś osiągnąć, to myślę, że to będzie bardzo znaczące. Obecne władze robią co mogą. Błędem jest, że nie uchwalili jeszcze ustawy reprivatyzacyjnej, która chociaż częściowo rozwiązałaby ten problem. Wiązałaby się z protestami, ale inne kraje przyjęły ustawę reprivatyzacyjną, tylko my tego nie zrobiliśmy. Był jeden pomysł na to, ale prezydent Kwaśniewski to zawetował.

Red. Tomasz Pietryga: Bardzo dziękuję. Panie doktorze, pan redaktor Wildstein powiedział, że między innymi naszym atutem jest strategiczny sojusz z Izraelem. Mam wrażenie, że podobny punkt ciężkości teraz mamy ze Stanami Zjednoczonymi. Ten strategiczny punkt ciężkości dla prezydenta Donalda Trumpa przesuwają się w naszą stronę, Polski. Jak pan widzi te atuty?

Dr Tomasz Pludowski: Ja bym nie przeceniał tych argumentów. Przypomina mi to sytuację z Donaldem Rumsfeldem, Georgem W. Bushem i innymi neokonserwatystami z początku wieku. Musimy uważać, aby nie zostać wykorzystanym przy podziałach, które tworzy administracja amerykańska w związku z tym, że od czasu do czasu nie po drodze jej z Europą zachodnią w realizacji bardziej agresywnej, czy unilateralnej polityki zagranicznej. Mielśmy już z tym do czynienia w trakcie wojny w Iraku. Teraz mamy podobną sytuację. Niektórzy rodacy zbyt łatwowiernie biorą słowa Donalda Trumpa za dobrą monetę. Wydaje nam się, że jesteśmy wielką potęgą, jako rzekomo największy sojusznik Stanów Zjednoczonych na świecie, czy w Europie, a tak nie jest. Poza tym, prezydenci mają swoje koncepcje, często cofają politykę poprzednika w różnych aspektach: zewnętrznych i wewnętrznych. Wprawdzie do czasów Trumpa więcej było kontynuacji w polityce kolejnych prezydentów, ale musimy się pogodzić z możliwością zmian, zwłaszcza wobec tak nietypowej prezydentury. Nie ma pewności, że następca Trumpa pozostawi główne kierunki polityki amerykańskiej, jeśli takie dają się zidentyfikować, bez zmian. Jeśli baza amerykańska kiedykolwiek powstanie na ziemi polskiej, może ona następnie zostać rozbudowana, zredukowana lub przeniesiona w inne miejsce, nawet do innego kraju. Nie przeceniałbym roli Polski w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, a wydaje mi się, że my ją jednak przeceniamy, zwłaszcza dotyczy to polityków Prawa i Sprawiedliwości. Jesteśmy ważni, głównie ze względu na swoją lokalizację oraz tradycyjną, jednak coraz mniejszą proamerykańskość. Trump próbuje nas jednak niewątpliwie jednocześnie rozgrywać przeciwko Unii Europejskiej, zwłaszcza przeciw Niemcom, oraz ubić interes zbrojeniowy. Ostrzegam: nie dajmy się wprowadzić w błąd, gdy wybieramy jedno przeciwko drugiemu. Większość krajów, które należą do Unii Europejskiej, należy również do NATO – to są w przytłaczającej większości te same kraje.

Wracając do ustawy Just Act, nie powinniśmy się jej obawiać. Nie jest ona żadnym wiążącym narzędziem, dotyczy głównie poczucia sprawiedliwości. Zobowiązuje do złożenia raportu z przedsięwziętych kroków oraz postępów w ciągu osiemnastu miesięcy. Została zaakceptowana przez obie partie, ponieważ ma przynieść po pierwsze informacje, a po drugie dotyczy zadośćuczynienia w stosunku do Żydów. Jak możemy się do tego ustosunkować? Rzeczywiście powinniśmy zrobić to, o czym mówił pan redaktor. Wprowadzenie i jasne zakomunikowanie rozwiązań na poziomie państwowym byłoby dobrym rozwiązaniem.

Red. Tomasz Pietryga: Nie do końca się z panem zgodzę. W Stanach Zjednoczonych chodzi o te majątki bezspadkowe. Jeżeli chodzi o polskie prawo, sprawa majątków bezspadkowych jest jasna.

Dr Tomasz Pludowski: Jestem zwolennikiem tego, aby nie zgadzać się na wszystko, co proponuje ustawa. Nie ma racji, jeśli chodzi o pojęcie restytucji mienia osób, które nie pozostały spadkobierców. Pomysł, aby przekazać je organizacjom lub stowarzyszeniom żydowskim w innym kraju, na przykład w Stanach Zjednoczonych lub w Izraelu, a nie na przykład w Polsce, nie jest zgodny z systemem ani tradycją prawną zachodu, ani Polski. Jest to zupełnie arbitralny pomysł, niemający podstaw prawnych, żeby przekazać te majątki konkretnej organizacji amerykańskiej. W deklaracji terezińskiej nie jest zresztą napisane, w jakim kraju te środki mają być przeznaczone na prowadzenie edukacji na temat przyczyn i przebiegu Holokaustu. Deklaracja ta nie jest też wiążąca, nie rodzi obowiązków ani nie określa sankcji wobec państw. Można i trzeba oczywiście rozmawiać na temat zaspokojenia potrzeb osób ocalałych z Holokaustu.

Dr Artur Wróblewski: W kontekście słów pana doktora chciałbym zabrać głos w tej sprawie. W jakim celu ta ustawa? Popatrzeć na ustawę możemy z lotu ptaka i powiemy o niej, że jest ona bez sensu. Pamiętajmy, że Polska już uregulowała sprawę w stosunku do tego mienia bezspadkowego, beztestamentowego, jak również kompensacji restytucji mienia tym, którzy przeżyli Holokaust i znaleźli się w Stanach Zjednoczonych, to znaczy. w relacjach polsko-amerykańskich. Dlaczego? Dlatego, że 16 lipca 1960 roku Polska podpisała umowę ze Stanami Zjednoczonymi, która oznaczała, że Polska musi wypłacić 40 000 000 dolarów. Sprawa zamknięta. Rząd amerykański przyjmuje za te pieniądze wszelkie zobowiązania do Amerykanów żydowskiego pochodzenia, którzy przeżyli Holokaust. Brakuje w tej sprawie jakichkolwiek podstaw, aby jeszcze się czegoś domagać. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Polska podpisała dodatkowo jeszcze z dwunastoma innymi krajami taką umowę, między innymi z Wielką Brytanią, Danią. W 1997 roku była ustawa regulująca stosunki między Rzeczpospolitą Polską a organizacjami żydowskimi odnośnie mienia indywidualnego, wspólnotowego i religijnego. Na mocy tej ustawy około 2 500 synagog, centrów kultury i cmentarzy żydowskich wróciło pod opiekę organizacji żydowskich w Polsce. Pytanie jest takie: Na co tego typu ustawa, która mówi o jakimś dawaniu pieniędzy za mienie beztestamentowe, bo wszyscy zginęli w Holokaucie? Amerykańskie organizacje i środowiska żydowskie mają być tego beneficjentami.

Wydaje mi się, że chodzi tu o nacisk psychologiczny, bo ma się powtórzyć scenariusz z roku 1995, kiedy World Jewish Congress (Światowy Kongres Żydów) założył sprawę państwu szwajcarskiemu odnośnie kont, które znalazły się w bankach żydowskich. Posiadacze tych kont umarli w czasie Holokaustu, a ich dzieci albo wnuki nie mogli udowodnić pokrewieństwa z posiadaczami kont, ponieważ spaliły się metryki urodzeń albo inne dokumenty. Trudno było tym ludziom udowodnić prawo do pieniędzy, które były na tych kontach. World Jewish Congress wniósł tą sprawę w sądzie dystryktowym na Brooklynie. Co się dzieje? Sprawa nabiera tempa. Pojawia się senator z Nowego Jorku, D'Amato. Senator chce wziąć tą sprawę do Senatu amerykańskiego, Kongresu amerykańskiego. W związku z tym, że to bardzo poważna sprawa, był lobbing żydowskich środowisk i sprawa trafiła do komisji do spraw banków w Kongresie amerykańskim. Zaczęła być procedowana. Zaczęto przesłuchiwać strony: szwajcarska, żydowski kongres, ofiary Holokaustu. Nagle zaczynało się koło kręcić. Kończąc tę historię, to w 1998 lub w 1999 r. zakończyła się ugodą z rządem szwajcarskim, ponieważ rząd Szwajcarski nazwano bankierem nazistów, bankierem Hitlera. Pojawiła się niewyartykułowana groźba, że zacznie się bunt i zamrożenie relacji ze Szwajcarią. Szwajcarzy mieliby problem, gdyby stosunki między Szwajcarią a Stanami Zjednoczonymi zostałyby zamrożone. Ciekawą sprawą jest, że z ramienia rządu amerykańskiego, jako trzecia strona uczestniczył Stuart Eizenstat, on był podsekretarzem do spraw handlu, gdy prezydentem był Clinton. Eizenstat również referował tę sprawę, uważał, że środowiska żydowskie mają rację, a Szwajcarzy nie są do końca szczerzy. Było to częściowo prawdziwe, w rezultacie Szwajcarzy ulegli presji i powstała komisja Bergiera, która we wszystkich bankach zrobiła audyt sprawdzający. Kończąc ten wątek, Szwajcarzy zgodzili się wypłacić pieniądze, w ramach ugody, ponad 1 250 000 000 dolarów, 500 000 osób, które były w jakiś sposób związane z ofiarami Holokaustu. Dopiero wtedy zakończyła się sprawa ze Szwajcarami.

Teraz nasuwa się pytanie: Co sprawa z 1995 roku ma wspólnego z Just Act? W moim przekonaniu jest to wrzucenie sprawy do Kongresu amerykańskiego, aby spisać majątki. Właśnie temu służy ten raport osiemnastu miesięcy. Sprawa będzie musiała być procedowana w Kongresie

amerykańskim., ponieważ powstała ustawa. Przypuszczam, że może się powtórzyć scenariusz ze sprawy szwajcarskiej. Na pewno będzie komisja. Możliwe, że wtedy zaczną się naciski na Polskę. Stuart Eizenstat znów się pojawia. Okazuje się, że jest bliskim kolegą Thomasa Yazdgerdiego. Pamiętam notatkę portalu Onet.pl, gdzie pojawiają się trzy osoby: pani Molly Montgomery, Thomas Yazdgerdi, Wess Mitchell. Stuart Eizenstat jest teraz doradcą Thomasa Yazdgerdiego. Dodatkowo Stuart Eizenstat pracuje w słynnej firmie prawniczej w Waszyngtonie. Zaryzykowałbym tezę, że możliwe jest, że właśnie ta firma prawnicza może poprowadzić tę sprawę w Kongresie odnośnie procedury przeciwko Polsce, z nierozliczenia się w sprawie mienia beztestamentowego.

Widać więc, że mamy związki personalne pomiędzy bohaterami sprawy szwajcarskiej i teraz w kontekście tej ustawy. Wtedy zrozumiemy, po co nam jest ta ustawa. Ona nie ma sensu, bo jest wbrew prawu rzymskiemu, jak pan doktor powiedział. Ona jest wbrew zasadom jurysprudencji. W każdym normalnym kraju, mienie beztestamentowe wchodzi w skład skarbu państwa, o czym wiedzą osoby, które tworzyły tę ustawę. Chodzi o to, aby wygenerować scenariusz na Kongres amerykański. Jest jeszcze drugie specjalne biuro w Departamencie Stanu, biuro ds. monitorowania i walki z antysemityzmem. To pokazuje siłę lobby żydowskiego. Mają dwa biura ds. izraelsko-żydowskich. Trzeba popatrzeć na personalne związki, aby zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Red. Tomasz Pietryga: Bardzo dziękuję. Poprosiłbym pana redaktora, o kilka zdań wniosku, a potem oddamy głos publiczności.

Red. Bronisław Wildstein: Nie wiem, czy jest sens cokolwiek dodawać. Powiedzieliśmy już podstawowe rzeczy. Jaką pełnimy rolę w Europie? W tej chwili usiłujemy uzyskać jakąś podmiotową rolę. Wcześniej nie mieliśmy jej. Unia Europejska stała się projektem imperialnym, który w dużym stopniu realizuje interesy niemieckie. Naszą rolą w Unii Europejskiej jest tworzenie Międzymorza, tworzenie sojuszy krajów, które nie chcą płynąć w głównym nurcie, tylko chcą tworzyć politykę zgodnie ze swoimi interesami. Płynięcie z głównym nurtem to jest zaprzeczenie polityki. Płynięcie w nurcie, który nie jest wyznaczony przez nas, jest równoznaczne z rezygnacją suwerenności. My w Europie możemy otrzymać jakąś możliwość, jeżeli potrafimy stworzyć układ państw, które mają wspólne interesy. W tym sensie możemy się porozumieć ze Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. Zachodnia Europa jest antyizraelska. Z czasem będzie coraz bardziej antyizraelska, bo na zachodzie Europy jest wyraźny wzrost znaczenia i roli mniejszości muzułmańskich. W związku z tym, my będziemy punktem odniesienia w polityce Izraela.

Red. Tomasz Pietryga: Dziękuję, panie redaktorze, panie doktorze...

Dr Tomasz Pludowski: Kończąc, powiedziałbym, że rzeczywiście powinniśmy dążyć do ustanowienia jakiejś jasnej, sprawiedliwej, jednolitej procedury w sprawie zwrotu znacjonalizowanego mienia. Nie powinna ona dotyczyć tylko kwestii żydowskich, tylko własności znacjonalizowanej jako takiej, bez rozróżnienia na etniczność właściciela. Sytuacja będzie jasna, jeśli procedura będzie wyznaczona, być może w postaci odrębnej ustawy i będą istniały zasady, takie same dla wszystkich obywateli, a Polska będzie o nich informować w sposób jasny i skuteczny. Jest to coś, czego oczekuje nie tylko zachód, ale także wielu polskich obywateli, a z czym mamy problem od dekad.

Istnieją oczywiście procedury sądowe i poszczególne sprawy, rozstrzygane różnie, nie mówiąc o nieprawidłowościach, rozstrzygnięta jest kwestia mienia bezspadkowego, ale zdecydowanie brak profesjonalnej polityki informacyjnej władz, także na zewnątrz kraju. Przyczynia się to do pogorszenia wizerunku Polski. Mówi się też, że przyjmuje ustawy, które ograniczają wolność.

Na koniec warto dodać, że w Stanach Zjednoczonych kwestia wyboru jednostek w obliczu zagłady jest traktowana bardziej w kategoriach egzystencjalnych niż narodowych. Nasze przesadne podkreślanie narodowości może więc być niezrozumiałe i kontrproduktywne, bo rodzące podejrzenia, wynikające z intensywności zaprzeczeń.

Dr Artur Wróblewski: Kończymy ponuro, więc żeby ponuro nie było, powiem, że w marcu kupiliśmy, podpisaliśmy umowę na patrioty w programie Wisła. My będziemy produkować niskokosztowe pociski, zamienniki, razem z Izraelem. Problem jest, ale są deklaracje. Dziękuję.

Red. Tomasz Pietryga: Dziękuję.

Glosa 6

Tomasz Pietryga

„Rzeczpospolita”

**WPŁYW
ADMINISTRACJI AMERYKAŃSKIEJ
NA RELACJE POLSKO-ŻYDOWSKIE**

Kryzys w stosunkach polsko-żydowskich po przyjęciu zmian w ustawie o IPN pokazał, jak mocno polityka Izraela powiązana jest z polityką Stanów Zjednoczonych. Również w sferze historycznej.

Przyjęcie na początku 2018 roku zmian w ustawie o IPN, których celem było między innymi zaostrzenie przepisów penalizujących fałszowanie polskiej historii, w tym walka ze sformulowaniem „polskie obozy śmierci”, spotkało się z gwałtowną reakcją środowisk żydowskich na całym świecie. Nastąpił kryzys, który uderzył w niemal wszystkie płaszczyzny relacji polsko-izraelskich.

Projekt zmian w ustawie o IPN Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało już w 2016 roku, pod obrady Sejmu trafił on jednak dopiero w styczniu 2018 roku. Został uchwalony bardzo szybko, jednak w niefortunnym momencie, zaledwie dzień przed 73. rocznicą wyzwolenia Auschwitz i Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu, a jednocześnie w trakcie kampanii wyborczej w Izraelu. Nowela wprowadzała karę pozbawienia wolności za przypisywanie narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez Trzecią Rzeszę. Przestępstwo miało być ścigane także za granicą.

„Nie możemy ograniczać się wyłącznie do protestów werbalnych. Polski rząd ma do zakomunikowania światu, że z całą powagą będziemy traktować znieważanie i pomawianie nie tylko Polski, ale i tych pokoleń Polaków, których szczególnie dotknęło cierpienie spowodowane przez napaść nazistowskich Niemiec” – mówił minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro¹.

Zmiany w ustawie o IPN stanowiły reakcję na wieloletnie zaniedbania kolejnych rządów III RP w walce z fałszerzami polskiej historii. Brak wrażliwości na złożoność stosunków polsko-izraelskich spowodował jednak, że nowelizacja przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego, błyskawicznie pogarszając wizerunek naszego kraju na świecie. Pod adresem nowych przepisów zaczęły padać zarzuty ograniczenia wolności słowa oraz utrudnienia badań naukowych nad Holokaustem „Nakładanie ograniczeń na naszą pamięć może wywrzeć wpływ na naszą wspólną historię i na pamięć o tym, co spotkało naszych przodków”² – głosiło oświadczenie

1 Zob. Ministerstwo Sprawiedliwości, Wydział Komunikacji Społecznej i Promocji, *Ustawa chroniąca dobre imię Polski uchwalona*, 26.01.2018, <https://www.gov.pl/web/sprawiedliwosc/ustawa-chroniaca-dobre-imie-polski-uchwalona> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).

2 Zob. *Oświadczenie Gminy Żydowskiej w Warszawie i Związku Gmin Żydowskich w RP w sprawie nowelizacji ustawy o IPN/ Statement of the Warsaw Jewish Community and the Union of the Jewish Communities in Poland regarding the amendment of the Intitute of National Remembrance Act*, 31.01.2018, <http://jewish.org.pl/wiadomosci/oswiadczenie-gminy-zydowskiej-w-warszawie-i-zwiazku-gmin-zydowskich-w-rp-w-sprawie-nowelizacji-ustawy-o-ipn-statement-of-the-warsaw-jewish-community-and-the-union-of-the-jewi/> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).

Gminy Żydowskiej w Warszawie i Związku Gmin Żydowskich w RP wydane w tej sprawie. Była to jedna z łagodniejszych reakcji.

Burza dyplomatyczna doprowadziła do uchylenia zmian już po czterech miesiącach. Tak zdecydowana reakcja zarówno Tel Awiwu, jak i Waszyngtonu, była niewspółmierna do potencjalnych negatywnych skutków nowych rozwiązań prawnych, ale pokazała dobitnie, z jaką rozwagą należy podchodzić do relacji polsko-żydowskich. Uwidoczniła również silny związek polityki Izraela oraz Stanów Zjednoczonych. Wpływ organizacji żydowskich na administrację amerykańską czyni te państwa niemal bezwarunkowymi sojusznikami na wszystkich płaszczyznach, nie wyłączając polityki historycznej. Relację tę wzmacniają dodatkowo więzi strategiczne wynikające z działań USA na Bliskim Wschodzie.

W kryzysie wywołanym ustawą o IPN polska dyplomacja znalazła się w trudnym położeniu, zwłaszcza że wieloletnie zaniedbania Warszawy zmarginalizowały wpływ Polonii amerykańskiej na działania Waszyngtonu.

REPRYWATYZACJA MIENIA ŻYDOWSKIEGO I POŻYDOWSKIEGO

Nie tylko odmienne podejście do prawdy historycznej może doprowadzić do napięć w relacjach Polski z Izraelem, a w konsekwencji z USA. Drugim ogniskiem zapalnym są nierozwiązane kwestie reprivatyzacyjne oraz próby ograniczania zasięgu ewentualnej ustawy dotyczącej tego problemu. W 2017 roku Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło kolejny (już osiemnasty) jej projekt, który wygenerował jedynie nowe napięcia.

Szczególnie palące okazało się zagadnienie odmiennego podejścia do tak zwanego mienia bezdziedzicznego (ang. heirless property). Tym terminem określa się dobytek należący do ofiar II wojny światowej pochodzenia żydowskiego, które ze względu na masową skalę eksterminacji nie pozostawiły po sobie ani spadkobierców testamentowych, ani krewnych lub małżonka z kręgu spadkobierców ustawowych³. Takie majątki stały się zgodnie z polskim prawem własnością Skarbu Państwa, nadal pozostają jednak obiektem roszczeń ze strony środowisk i organizacji żydowskich, które zupełnie inaczej oceniają ich status. Kwestia ta od wielu lat stanowi punkt zapalny w relacjach polsko-izraelskich, powracający przy okazji kolejnych prób uchwalenia ustawy reprivatyzacyjnej, gdy postulaty organizacji żydowskich są pomijane lub nierealizowane zgodnie z oczekiwaniami. Tak został odebrany choćby ostatni projekt, na który spadła fala krytyki ze strony Stanów Zjednoczonych i Izraela⁴, w konsekwencji blokując dalsze prace legislacyjne.

JUST ACT

Kolejnym punktem zapalnym w temacie reprivatyzacji jest ustawa *JUST act5*, dająca Kongresowi Stanów Zjednoczonych możliwość wywierania miękkiego nacisku na państwa, które

- 3 R. Wiśniewski, *Żydowskie mienie bezdziedziczne wymaga stworzenia wyjątkowych rozwiązań*, 01.02.2018, <http://www.codozasady.pl/zydowskie-mienie-bezdziedziczne-wymaga-stworzenia-wyjatkowych-rozwiazan/> (dostęp: 1 lutego 2018 roku).
- 4 Zob. tvn24.pl, *Żydowska organizacja „głęboko rozczarowana” projektem ustawy reprivatyzacyjnej*, 21.10.2017, <https://www.tvn24.pl/wiadomosci-z-kraju,3/ustawa-reprivatyzacyjna-zydowska-organizacja-rozczarowana-projektem,783346.html> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).
- 5 Zob. CONGRESS.GOV, *S.447 – Justice for Uncompensated Survivors Today (JUST) Act of 2017*, 09.05.2018, <https://www.congress.gov/bill/115th-congress/senate-bill/447/text> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku).

nie rozwiązały jeszcze tej kwestii. Nie ulega wątpliwości, że ze względu na liczbę obywateli żydowskiego pochodzenia w II Rzeczypospolitej będzie ona w dużej mierze skierowana w naszą stronę. *JUST act* przypomina, że Polska zobowiązała się do uregulowania problemu reprivatyzacji jako sygnatariusz tak zwanej deklaracji terezińskiej z 2009 roku. Akt ten nie ma znaczenia prawnego, ale stanowi deklaracją moralną o znaczącej sile politycznej.

CZY JESTEŚMY BEZRADNI?

Należy zatem postawić pytanie: czy Polska w razie eskalacji sporów jest zawsze na straconej pozycji, czy też może skutecznie bronić swojej racji stanu przed silniejszym i bardziej wpływowym partnerem?

Odpowiedź nie musi być negatywna. Polska jest niewątpliwie najpoważniejszym sojusznikiem Izraela w Europie Zachodniej, a to tworzy między państwami istotne strategiczne więzi. Również Stany Zjednoczone zdają się przesuwac polityczny i militarny punkt ciężkości w kierunku naszego kraju – to konsekwencja pogarszających się stosunków administracji Donalda Trumpa z Unią Europejską i zachodnioeuropejskimi elitami politycznymi. Polityka tych krajów wobec Polski w niewralgicznych obszarach musi być zatem powściągliwa, nie leży bowiem w ich interesie osłabianie relacji w wymiarze geopolitycznym.

Wyzwaniem dla polskiego rządu jest natomiast opracowanie spójnej strategii w walce o prawdę historyczną, aby była zgodna z polską racją stanu, a jednocześnie miała na uwadze wrażliwą istotę podejmowanych tematów. Należy również obrać zdecydowany kurs polityczny i prawny wobec roszczeń reprivatyzacyjnych, biorąc pod uwagę kompleksową ocenę uwarunkowań międzynarodowych. Strategicznego podejścia wymaga zwłaszcza *JUST act*, która może stać się silnym środkiem nacisku na Polskę ze strony amerykańskich organizacji żydowskich zainteresowanych zwrotem tak zwanych majątków bezspadkowych.

W tej sytuacji niezbędne wydaje się upowszechnianie stanowiska polskiego rządu na forum międzynarodowym i w zachodnich mediach, co mogłoby zweryfikować bezrefleksyjne podejście opinii publicznej do stereotypów o naszym kraju.

Debata pt. „Relacje polsko-żydowskie
a działalność Instytutu Jad Waszem” odbyła
się 20 lutego 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

DZIAŁALNOŚĆ INSTYTUTU JAD WASZEM

W dyskusji udział wzięli:

prof. Joanna Dyduch
(Uniwersytet Jagielloński w Krakowie),
prof. Grzegorz Berendt
(Uniwersytet Gdański,
Instytut Pamięci Narodowej,
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku)
oraz prof. Andrzej Żbikowski
(Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie).

Rozmowę poprowadził
red. Tadeusz Płużański
(Fundacja „Łączka”,
Rada Programowa Fundacji im. Janusza Kurtyki).

Red. Tadeusz Płużański: Drodzy państwo, witam bardzo serdecznie, witam w imieniu organizatorów, szczególnie wszystkich panelistów. Podzielę się taką krótką refleksją, nawiązując do słów pana prezesa Kurtyki, znajdujemy się w miejscu rzeczywiście szczególnym nie ukrywam szczególnie również dla mnie. Tutaj był prześladowany, represjonowany mój tato. Został aresztowany w ramach grupy rotmistrza Pileckiego i spędził tutaj kilka ładnych miesięcy. Muszę powiedzieć, że to miejsce wywołuje różne emocje, jeśli chodzi o moją percepcję tych murów. Bardzo dobrze, że odbywają się tu dzisiaj rzeczy dobre, rzeczy ważne i pozytywne, takie dyskusje, jak, mam nadzieję, ta nasza dzisiaj. To tyle, tytułem mojego osobistego wprowadzenia.

Proszę państwa, nie miałem zbyt dużo czasu, aby się przygotować do tematu naszego spotkania, dostałem zarys, czym możemy się zająć w trakcie naszego spotkania. Pomyślałem, że rozpoczniemy może troszkę inaczej, niż państwo sobie wyobrażają, czy też paniści. Żeby trochę rozgrzać atmosferę dyskusji, zaczniemy od rzeczy trudnych, które mogą nas niepokoić. Myślę, że w dalszej części dyskusji będą dominowały rzeczy pozytywne. Pozwolę sobie przywołać pewną sprawę z roku ubiegłego, otóż 15 marca 2018 roku „Gazeta Wyborcza” napisała: „Polski MSZ oburzony napisem w muzeum Jad Waszem. Będzie interwencja w ambasadzie RP”. Pozwolę sobie przeczytać krótki fragment artykułu „Gazety Wyborczej” opisującej to wydarzenie „Wiceminister spraw zagranicznych Jan Dziędziczak zapowiada, że MSZ będzie interweniować w sprawie fałszywego podpisu pod jednym ze zdjęć na wystawie w muzeum Jad Waszem w Jerozolimie. Podczas czwartkowej wizyty weteran powojennego podziemia niepodległościowego, były żołnierz ZWZ-AK podpułkownik Tadeusz Michalski zwrócił uwagę na napis informujący, że na straży u wejścia do getta w Łodzi stała „polska policja”. Według kombatanta, bram getta pilnowała żydowska „służba porządkowa”, nie było zaś tam polskiej policji. Dziędziczak zapowiedział, że zlecił polskiej ambasadzie w Tel Awiwie interwencje w tej sprawie”. Tutaj przytoczę cytaty pana ministra, ówczesnego wiceszefa MSZ: „Napis może sprawiać wrażenie, że Polacy byli współodpowiedzialni za Holokaust i inne zbrodnie popełnione przez Niemców na polskich ziemiach”. Nasz weteran Tadeusz Michalski rozwinął swoją myśl, stwierdził, że służba, która broniła bram getta, to była służba porządkowa i żadnej polskiej policji na terenie Warthegau nie było, bo nie mogło tam być. Chciałbym zwrócić państwa uwagę na tę kwestię, która jest istotna, że pan pułkownik Michalski był kilka lat wcześniej w Jad Waszem i ten sam podpis pod zdjęciem już tam wtedy figurował, i już wtedy pan pułkownik domagał się od władz instytucji zmiany tego kłamliwego napisu. Ponowna wizyta pokazała, że nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Pragnę spytać panią profesor, co o tym sądzi? Czy w takiej szacownej instytucji, czy takie rzeczy powinny się zdarzyć, czy to jest wypadek przy pracy, czy fragment jakiejś całości? Mogę dodać od siebie, że będąc w Jad Waszem i słysząc opinie ludzi, którzy też tam bywają, że bardzo zwraca się uwagę na to, że nie jest tam pokazana osoba rotmistrza Witolda Pileckiego związanego z tym miejscem, ale też związanego z zagładą Żydów. Jego raporty miały przecież służyć temu, aby ratować Żydów i Polaków w Auschwitz. Słyszałem też, aczkolwiek tego nie badałem, że zbyt mało jest też wyeksponowana postać Jana Karskiego, który też miał misję zapobiec Holocaustowi. To pytanie zwracam również do państwa. Oddaje głos pani profesor.

Prof. Joanna Dyduch: Dziękuję panu redaktorowi Płużańskiemu za udzielenie mi głosu jako pierwszej. Myślałam, że będę mówić jako ostatnia, z tego powodu, że ja jestem politologiem, zajmującym się stosunkami międzynarodowymi. Pracujemy można powiedzieć nad interpretacją badanej rzeczywistości i jej wyjaśnieniem, a nie nad poszukiwaniem prawdy. Postaram się odnieść do tego, co pan powiedział, w sposób pośredni. Ostatni weekend przyniósł nam kolejną odsłonę procesu, który jest procesem bardzo emocjonalnym, obrazującym pewną niezgodę lub brak zgody na określone interpretacje historii. Nie zawsze musi oznaczać on konflikt, ale w tym konkretnym przypadku doszło do konfliktu. Dlaczego doszło do konfliktu? Jako politolog, internacjolog, postaram się na to pytanie odpowiedzieć. Myśląc nad tym tematem przypominałam sobie, że w roku 2008, czyli dokładnie dziesięć lat temu napisałam tekst noszący tytuł: „Religia obywatelska. źródło identyfikacji narodowej. Izrael, Holocaust, Polska”. Tekst ma w zasadzie charakter metodologiczny, posługuje się koncepcjami politologicznymi i antropologicznymi. Celem tego tekstu miało być wytłumaczenie, jaką rolę w procesie budowania tożsamości zbiorowej oraz konstruowania modelu edukacji obywatelskiej pełnił Holocaust w Izraelu. Tekst odnosi się do ustaleń dwóch izraelskich badaczy, Charlesa S. Liebmana i Eliezera Don-Yehii z lat osiemdziesiątych, a potem nawiązuje do badań Jackiego Feldmana, dzisiaj profesora Uniwersytetu w Beer Szewie, który posługuje się koncepcją Mary Douglas, wybitnej antropolog brytyjskiej, i tłumaczy istotę izraelskich pielgrzymek do Polski Holocaustu. Polska w tym konstrukcie nie ma roli podmiotowej. Ten model obywatelskiej religii, która miała w pewien sposób zastępować i uzupełniać tradycyjną religię, był źródłem identyfikacji i miał stanowić pewien zwornik dla Żydów, przybywających z różnych stron świata. Owa cywilna religia oferowała zestaw mitów i symboli, wywołujących określone reakcje, pozwalające państwu działać w warunkach zagrożenia egzystencjalnego. Holocaust zaczął stawać się centralnym mitem obywatelskiej religii w Izraelu po procesie Eichmanna. Ten proces zaczął narastać w dobie wojny sześciodniowej, wojny Jom Kippur. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych można powiedzieć, że ukonstytuowała się obecna wersja obywatelskiej religii, Holocaust pełni tam centralną rolę. Holocaust pozwala wszystkim Żydom, niezależnie skąd oni przybyli, na uzmysłowienie im potrzeby istnienia państwa.

Obywatelska religia, zaczerpnięta zresztą z Rousseau, ma pełnić trzy podstawowe funkcje, funkcję integracyjną, legitymizującą działania państwa, które czasami, biorąc pod uwagę pewne normy czy standardy etyczne, mogłyby budzić kontrowersje, zwłaszcza w okresie długiego trwania. Mówię tu o postrzeganiu demokracji, praw człowieka itd., ale w końcu o zagrożeniu życia. Ostatnia funkcja to jest funkcja mobilizująca. Teraz, jaką rolę odgrywa Polska w obywatelskiej religii w Izraelu? Otóż absolutnie przedmiotową. Polska nie jest podmiotem z którym Izraelczycy chcieliby wchodzić w dialog, ponieważ do funkcjonalności w tej koncepcji nie jest to potrzebne. Polska jest w pewnej wizji obywatelskiej religii, która została

zoperacjonalizowana poprzez koncepcje enklawy, jest symbolem ziemi, na której dokonała się zagłada. Symbolem cmentarza, ale nie tylko. Holokaust jest postrzegany w tej wersji obywatelskiej religii w sposób procesualny. Holokaust jest kojarzony ze wszelkimi nieszczęściami życia w diasporze. Jeżeli mówimy o syjonizmie Hertzla, o nim mówi się również w kontekście fiaska haskali i uświadomienia przez Żydów, że póki nie mają silnego państwa, to nie mogą się czuć bezpiecznie. Zawsze będzie zagrażała im zagłada. Stąd właśnie zachodzi silna potrzeba posiadania silnego państwa.

W tym kontekście można wspomnieć o roli Jad Waszem. Twórcy koncepcji mówią, że każda obywatelska religia potrzebuje własnych symboli, swoich mitów i ceremoniałów. Jad Waszem jest świątynią tej obywatelskiej religii, tak nazywają ją izraelscy badacze. Ceremoniałów mamy mnóstwo w tej obywatelskiej religii. Jednym z nich może być Dzień Pamięci Ofiar Holokaustu, który jest kulminacją uroczystości upamiętniających Holokaust. Na ów ceremoniał składają się wystąpienia polityków, żołnierzy, świadków historii. Stałym elementem narracji jest motyw potrzeby istnienia Izraela jako silnego państwa, aby obronić Żydów przed możliwą zagładą. Jad Waszem jako świątynia owej obywatelskiej religii nie jest jednak faktycznym miejscem pamięci, a raczej jego niezwykle osobliwą repliką. Pod koniec lat osiemdziesiątych nadarzyła się okazja, aby wzmocnić przekaz obywatelskiej religii wyjazdami do Polski. Proszę sobie wyobrazić, że pierwszy wyjazd do Polski miał miejsce dokładnie trzydzieści lat temu. W 1986 roku izraelski minister edukacji podjął decyzję o włączeniu tego przedsięwzięcia do programu nauczania. Wówczas było to dwustu uczniów. W latach dziewięćdziesiątych dwadzieścia tysięcy uczniów co roku przyjeżdżało do Polski. Na podstawie zeszłorocznych danych izraelskiego ministerstwa edukacji do 2013- 2014 to było 25-30 tysięcy uczniów. W zeszłym roku mieliśmy rekord, przyjechało do Polski ponad 40 tysięcy izraelskich uczniów.

Red. Tadeusz Płużański: Dziękuję pani profesor. Zarysowała pani wiele ciekawych kwestii, nie odnosząc się do końca do pytania, które zadałem. Mam nadzieję, że interlokutorzy podejmą się tego wyzwania. Jeszcze pragnę zapytać, nawiązując do tego, co pani profesor tutaj powiedziała, jeśli Polska, jak pani profesor powiedziała, nie ma tutaj, w ramach tej religii Holokaustu, miejsca podmiotowego, to co zrobić, żeby to miejsce ewentualnie odzyskać, żebyśmy byli podmiotem, a nie przedmiotem. Może głos zabierze pan profesor Andrzej Żbikowski.

Prof. Andrzej Żbikowski: Będzie mi bardzo ciężko po tym wykładzie pani profesor, która się specjalizuje w życiu w Izraelu, coś powiedzieć. Ja bywam tam gościem. W Jad Waszem spędziłem pół roku. Odnosząc się do pana dwóch pytań, to odpowiedzi są bardzo proste. To, że jest błąd, to wszędzie są błędy. Błąd jest oczywisty. Oczywiście, że w Łodzi nie było żadnej polskiej policji. Wiadome jest to, że z zewnątrz stali Niemcy, od wewnątrz Ordnungdienst żydowski. Czy błąd był zamierzony, nie wiem.

Red. Tadeusz Płużański: Pytałem też w kontekście braku Jana Karskiego.

Prof. Andrzej Żbikowski: W drugim pytaniu wspominał pan o Pileckim. Z Pileckim jestem powiązany rodzinnie poprzez córkę. Byłem na panelu o różnych raportach, parę lat temu w Paryżu i to było fantastyczne. Ja mówiłem o Karskim, ktoś mówił o rotmistrzu Pileckim, a ktoś trzeci o innych uciekinierach z Auschwitz. W obu raportach Pileckiego o zagładzie Żydów są trzy zdania. Nie przesadzajmy, dla Izraela nie jest żadnym świadkiem, on wspomina,

że w Auschwitz morduje się systematycznie Żydów i na tym koniec. On miał inny cel, po co innego go tam wysłano, inny raport tam opracował. Ja nie mam do Pileckiego pretensji, bardzo go szanuję i uważam go za wielkiego bohatera. Dużo więcej mamy informacji o zagładzie u Bartoszewskiego, czy u Karskiego, który akurat nigdy nie był z Auschwitz związany, lecz pisał o akcji Reinhard, Bełżcu. Karski, tak jak w Stanach, jest i był szalenie popularny także w Toronto, w Izraelu raczej nie.

Red. Tadeusz Płużański: Z czego to wynika?

Prof. Andrzej Żbikowski: Nie wiem, przetłumaczyli moją książkę o Karskim na język hebrajski, redaktor zrobił nawet dodatkowe przypisy, które miały pomóc zrozumieć Izraelczykom meandry Armii Krajowej itd. Stwierdzili, że to nie jest ciekawy temat. Nic nie robimy w tym kierunku, żeby akurat Karskiego jakoś przywoływać. Może to opozycyjny bohater za poprzedniego rządu, za innego ministra spraw zagranicznych był promowany, może dlatego jest o nim cicho. Zapomniano o Karskim, pojawia się tylko czasami, jak na przykład w kontekście tego błędu Obamy, czy świadomego, nie wiem. Na pewno w tekście pojawiła się błędna informacja, którą później zdementował. Kto napisał ten tekst, nie wiem, na pewno nie sam Obama. Bardzo szkoda, bo jest bohaterem wartym uwagi. Tutaj bym polemizował z jednym, rzeczywiście rola Jad Waszem bardzo rośnie. Ja byłem w Jad Waszem pół roku w 1996 roku. Wtedy, podczas mojego pobytu, dopiero zaczęto rozkopywać teren pod nową ekspozycję, taką monumentalną broń, tam był wtedy mały instytucik, teraz są tam biura. Była tam tylko kawiarnia, ogród i mała sala, i nic więcej. Nie było w latach dziewięćdziesiątych takiego kultu i takich masowych wizyt, i to jest świadomy zamysł polityczny, aby w tej sytuacji politycznej, aby ten instytut bardziej rozbudować. Jeżeli chodzi o wymianę, to braliśmy udział z tym ośrodkiem, co jest na placu Trzech Krzyży i ma swoje ulubione wille. Gościła wtedy taka delegacja, był tam Karol Becker i taki przedstawiciel ministerstwa edukacji, z którymi próbowaliśmy parę lat wypracować metodę, bo to jest inicjatywa prywatna, ci uczniowie, większość z nich – dziewięćdziesiąt pięć procent – jadą za swoje pieniądze, a Izrael jako państwo, ministerstwo edukacji wysyła tylko tak zwane jedno skrzydło, trzy samoloty. Myśmy próbowali pół dnia obowiązkowego spotkania z polską młodzieżą. Polska młodzież opowiada im swoje historie, o żołnierzach, o AK, a oni z kolei opowiadają swoje. Kilka lat to funkcjonowało, ale być może już się to skończyło. Zaowocowało to natomiast w wielu innych środowiskach, na przykład są działacze z Biłgoraju, którzy po takiej studyjnej wizycie, tam w grupie żydowskiej nawiązali kontakty, wysyłają swoją młodzież do Jad Waszem i mają te kontakty dosyć intensywne. Jest kilkanaście takich szkół, które utrzymują bardzo dobre stosunki wzajemne i one trwają już wiele lat.

Red. Tadeusz Płużański: Jeśli można odnieść się do tej kwestii podstawowej, która pojawiła się w toku naszej dyskusji. Muszę uszanować to, że państwo nie chcą do końca odpowiadać na moje pytanie, ale jednak będę musiał powtórzyć tę kwestię, co zrobić, żeby Polska w religii Holokaustu przynajmniej zbliżyła się do roli podmiotowej i czy to jest w ogóle możliwe?

Prof. Andrzej Żbikowski: Nie my jesteśmy tutaj głównym problemem w kontekście Holokaustu Izraelczyków. Izraelczycy mają największy problem z Węgrami, nie premierzy, bo oni akurat są zaprzyjaźnieni. O Polakach i o Polsce nie jest wcale tak głośno.

Red. Tadeusz Płużański: To jednak nie najlepiej, że tak się dzieje.

Prof. Andrzej Żbikowski: No, co my możemy zrobić. Jest nowa inicjatywa w muzeum getta, która będzie się rozwijała, jest Fundacja Treblinka. Nie było co pokazać, cała nekropolia była w stanie ruiny. Jest muzeum Sobiboru. W zeszłym roku byliśmy na takiej konferencji, która pokazywała jego projekt. Jak my zainwestujemy w tą infrastrukturę i damy dobrych przewodników, dobre ekspozycje, to siłą rzeczy będzie też przedstawiało jakiś wymagany przedmiot. Ja osobiście o muzeum w Markowej jestem dobrego zdania, zwiedziłem go, było dużo polemicznych zdań, ale było bardzo dużo grup i dużo ludzi z zagranicy. Moim zdaniem jest to dosyć przejrzyste, bardzo skromne, ale bardzo interesujące. Jest to małe, lokalne muzeum tej tematyki, które budzi ogromne zainteresowania. My musimy być bardziej aktywni, ja rozumiem, że na wszystko potrzebne są pieniądze, których ciągle nam brakuje. Bardzo się rozwijamy. Niestety tych pieniędzy nie ma skąd brać, ale przecież ci ludzie jak przyjeżdżają, to gdzieś muszą iść. Dlatego POLIN robi zawrotną karierę, bo tam jest ogromna infrastruktura. Rocznie przyjeżdża tam setki tysięcy Izraelczyków. To nie jest zupełnie tak, że my nie jesteśmy obecni. Jesteśmy teraz najtrudniejszym problemem dla Izraelczyków. Taka jest moja opinia.

Red. Tadeusz Płużański: Bardzo dziękuję za pełniejsze przedstawienie tej sprawy, rozumiem że pan profesor chce nam powiedzieć, żeby Polska postarała się uczynić z siebie podmiot w relacjach z Izraelem, to musimy zacząć od siebie, musimy dbać o nasze placówki kultury, instytuty badawcze. Musimy też bardziej edukować, a wtedy zostanie to dostrzeżone przez Izrael i Jad Waszem. Chciałbym poprosić pana profesora Grzegorza Berendta, poprosić o odniesienie się do tej podmiotowości, czy też jej braku, dlaczego w Instytucie Jad Waszem zdarzają się takie niedociągnięcia, czy zaniechania, takie jak ta kwestia, nie tyle tego zdjęcia, ale Jana Karskiego. Pozwolę sobie zabrać polemiczny głos w stosunku do pana profesora Żbikowskiego. Jednak rotmistrz Witold Pilecki, którego głównym celem było wyzwolenie obozu Auschwitz i myślał o wyzwoleniu wszystkich więźniów, nie tylko polskich, to taka drobna uwaga.

Prof. Andrzej Żbikowski: To jest na piśmie, ja nie mówię, że on miał złe intencje.

Red. Tadeusz Płużański: Nie mówmy o intencjach, to był po prostu cel jego misji, to było jego najważniejsze zadanie, z którym poszedł do Auschwitz.

Prof. Grzegorz Berendt: Szanowni państwo, chcąc rozpocząć od początku, odpowiem na pierwsze pana pytanie. Smutne jest to, że po pierwszej interwencji świadka historii wskazującego na błąd merytoryczny, który popełniono, od razu administracja muzeum nie wprowadziła korekty. Był to błąd oczywisty dla osoby zainteresowanej. Optymistyczne jest to, że jak drugi raz świadek na to wskazał, to nie zignorowano tego, być może przez media. W zeszłym roku korekta ta została wprowadzona i błąd nie jest powielany. Błędy się zdarzają.

W okresie ostatnich dwudziestu miesięcy obejrzałem tysiące zdjęć zgromadzonych, pozyskanych przez pracowników Muzeum II Wojny Światowej na przestrzeni od 2008 roku z różnych źródeł albo kupione prawa, albo poglądówki. Opisy pod niektórymi zdjęciami również z zasobów polskich, w tym z IPN-u, są szokująco rozbieżne z tym, co przedstawia zdjęcie. Podam przykład dwóch warszawskich zdjęć, na jednym z nich widnieją trzy osoby w kufajkach, w czapkach uszatkach, z pepeszami, i z opisem, że są to bojownicy getta warszawskiego podczas powstania. Ten napis widnieje w katalogu zdjęć IPN do dziś. Drugie zdjęcie pokazuje ludzi uzbrojonych w steny, które wchodziły dopiero wiosną 1943 roku w uzbrojenie jednostek. W getcie nikt ich

nie miał. Mimo że to są błędy oczywiste dla osób znających temat, to w dalszym ciągu mamy te opisy w katalogu, tak więc błędy zdarzają się. Pytanie tylko, jak reaguje osoba za to odpowiedzialna w momencie wskazania błędu. Dobrze, że akurat ten opis został usunięty. Rzeczą naturalną jest, że zależy nam na zwróceniu uwagi na to, jakie zasługi w uświadomieniu światu, co się dzieje na terenie okupowanej Polski miał Jan Karski, który między innymi mówił o Holokauście, jak zwracają uwagę badacze, podczas rozmowy z prezydentem Stanów Zjednoczonych, trwającej raptem godzinę. On miał ograniczony czas, jak mówił między innymi o Holokauście, bo miał przedstawić cały kompleks zagadnień sytuacji w okupowanej Polsce. Informacja o zagładzie nie była jego głównym zadaniem. Podobnie te informacje, które przesyłał Witold Pilecki z obozu Auschwitz. Przyjął ten rozkaz i wypełnił swoją misję organizując w podziemiu konspirację i wysyłając informacje. Chcemy, żeby wiedziano.

Perspektywa naszych partnerów jest niejednokrotnie inna. Partnerzy patrzą chłodnym okiem, bez naszych emocji, patrzą na długość powiedzmy sprawozdania rozmowy Karskiego z prezydentem, patrzą ile miejsca poświęcono zagładzie i tak patrzą na naszą rolę. Jest tu rozłam między tym, co my byśmy chcieli, a tym, jak ludzie niezaangażowani emocjonalnie w ten przekaz, odbierają informację.

Co zmienić z podmiotowością? To jest kwestia aktywności, bo ta aktywność w moim przekonaniu od połowy lat osiemdziesiątych jest coraz większa, a po roku osiemdziesiątym dziewięcym mamy ogromne nakłady i ogromne zaangażowanie. Rośnie grono specjalistów z różnych dziedzin historii, politologów, osób związanych z kulturą, z filologią. Odwołując się do doświadczenia życiowego i zawodowego pana Andrzeja Żbikowskiego, gdyby spytać jaka była baza osób w Polsce zdolnych do czytania źródeł żydowskich w języku jidysz, czy po hebrajsku w końcu lat osiemdziesiątych, a w jakim momencie jesteśmy dzisiaj, to można to porównać od wzgórków do Everest. Przez trzydzieści lat ogromnie zwiększył się kapitał. Ludzie z Polski mogą rozmawiać z badaczami z zagranicy, mającymi przygotowanie warsztatowe, w sposób równy. Nie mają kompleksu niższości.

Zwróćcie państwo uwagę, co się stało w zeszłym roku i co jest w tym roku. Były opinie nas bulwersujące, generalizujące, krzywdzące, ale odezwali się też ludzie mający wiedzę i stwierdzali, że Polacy mają rację, zwracając uwagę na okoliczności okupacji, na skalę terroru, na liczbę ofiar, że mają do tego pełne prawo. Pamiętajmy nie tylko o tych ludziach, którzy z powodu ignorancji albo z powodu złej woli, mówią rzeczy negatywne. Nie zapominajmy, że w tym pluralistycznym społeczeństwie izraelskim są ludzie mający wiedzę i dopowiadają to, o czym tamci nie chcą albo nie wiedzą.

Zawsze zachodzi to pytanie, jak się Polacy zachowywali, a jak Żydzi? Ten kto oczekuje jednoznacznej odpowiedzi, może być tą odpowiedzią rozczarowany, albowiem różnie się zachowywali. Ja cały czas to powtarzam i jeszcze raz powtórzę. Po przeczytaniu może dwóch tysięcy opisów sytuacji, losów osób, które uratowały się na terenie okupowanej Polski, uratowały się zawsze dzięki pomocy nie-Żydów, ale dodam, że niemal w każdej tej relacji znajdziemy mniej lub więcej zbrodniczych zachowań. Jad Waszem na przestrzeni sześćdziesięciu kilku lat w postaci audio, wideo, relacji spisanych, zgromadziło ponad sto tysięcy świadectw, dotyczących całej Europy. Ja się koncentruję na tym, co dotyczy granic przedwojennej Polski pod okupacją niemiecką i sowiecką. Po latach intensywnego czytania relacji muszę powiedzieć, że od kilkunastu lat napawa mnie dumą i odwagą każdy przekaz o obywatelstwie i poświęceniu,

ale jednocześnie nie będę ignorował i udawał, że nie wiem, co ci sami ludzie piszą o zachowaniach, delikatnie rzecz biorąc, negatywnych. Co robić i co zmieniać? Należy przedstawiać informacje i nie ustawać, co powiedziano i napisano kiedyś, co państwu, co nam tutaj zbranym wydaje się oczywiste, wszystkim nastolatkom na całym świecie. Co dla nas jest oczywistością, dla nich nie jest, jeżeli im tego nie przekazemy. Jest to wielka misja dla nauczycieli, publicystów i ludzi kultury. Trzeba przekazywać prawdziwy obraz przeszłości, inaczej będzie to nasze zaniechanie. Tym bardziej, że odchodzą świadkowie, uczestnicy. Bądźcie państwo pewni, że ci którzy przeżyli na terenie okupowanej Polski nigdy nie zapomną dobra, którego doświadczyli i oni mówią o tym. Nie mamy prawa, nikt nie ma prawa żądać od nich, ażeby nie wspominali też negatywnych elementów ich doświadczeń okupacyjnych. Doświadczenia te miały bardzo szeroką skalę. Cały czas zestawiam to. Czy ze względu na jakieś spekulacje polityczne ktoś odmówi ocalańcom, czy członkom rodzin ofiar zbrodni wołyńsko-małopolskiej prawa do opowiadania, co się działo od lutego 1943 do wiosny 1945 roku? Taki dyktat byłby nie do przyjęcia, byłby niezrozumiały w Polsce. Spójrzmy przez pryzmat tego porównania na Żydów i Izraelczyków ocalałych z zagłady, którzy mówią o dobrych jak i złych aspektach.

Prof. Andrzej Żbikowski: Chciałem dodać, że mimo tych naszych sporów politycznych, o to wszystko, jakim jest wydarzeniem Holocaust, zagłada, to ono staje się coraz bardziej historycznym zjawiskiem. Zjawisko to już tak nie dzieli, wywołuje co prawda niepotrzebne spory i kłótnie, ale te można łatwo pokonać wiedzą. Najbardziej trzeba uważać przy fabularyzacji i publikacji tych wydarzeń, ponieważ ich twórcy mogą mieć różne spojrzenia, a nawet nie posiadać odpowiedniej wiedzy na ten temat. Nieodpowiedni przekaz może wywoływać różne spory, bo taka jest nieunikniona przyszłość, będzie to chłodniało. Mało kto będzie spierać się o racje Powstania Styczniowego z 1863 roku. Jedynie garstka specjalistów zawodowców. My mamy jeszcze gorące tematy jak Powstanie Warszawskie, a dla Izraelczyków Holocaust. One też powolutku będą stawały się odległymi zjawiskami historycznymi i jest to nieuniknione.

Red. Tadeusz Plużański: Ja mam wrażenie, że temat Holocaustu a w szczególności odpowiedzialności za Holocaust jest jeszcze tematem gorącym. Choćby te wypowiedzi, które ostatnio słyszeliśmy z ust osób bardzo wysoko postawionych. Premier Izraela to jest jednak ktoś ważny. Jest to osoba, która kształtuje również świadomość. Nie jest to historyk tylko polityk. Jeżeli padają słowa o polskiej współodpowiedzialności za Holocaust, a pan minister spraw zagranicznych dopowiada, że wynika to z tego, że Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki, to jest to temat bardzo gorący. Żyjemy tym w Polsce, żyjemy w Izraelu. Dobrze by było, aby to się skończyło, bo nie służy to obu stronom.

Chciałbym państwa odnieść do kwestii, która wszystkich, mam nadzieję, zainteresuje. Chodzi o znaczenie medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Jest tu probierz zachowania Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Ważny jest fakt, że tym medalem zostało odznaczonych 6620 Polaków, według danych z 2016 roku. Według niektórych liczba odznaczeń powinna być większa. Moje pytanie, to czy kryteria przyznawania tych odznaczeń są właściwe? Wiemy, że brane są pod uwagę relacje ocalałych bądź ich rodzin. To jest pierwsza sprawa i druga wątpliwa jednak, to jest zysk z ratowania sąsiada żydowskiego, które mogło jednak wymagać nieraz pieniędzy. Jak to właściwie mierzyć i ważyć?

Prof. Joanna Dyduch: Zagrożeniem, które niesie ze sobą współczesność, to w Izraelu, ale też w innych częściach Europy, jest próba mitologizowania historii oraz angażowania do

interpretowania historii określonych emocji, sprowadzania do generalizacji. Generalizacja jest natomiast wstępnym etapem procesu mitologizacji. W przypadku świadków historii i ich rodzin, proces mitologizacji jest trudniejszy, ponieważ wspomnienia własne niosą ze sobą odzucia, emocje i wyobrażenia, tworzące wielowymiarowy, niejednoznaczny obraz. Tymczasem zmitologizowana generalizacja, często sprowadza się do prostego stwierdzenia, obciążającego winą w dużej mierze za Holokaust Polaków. Trzeba jednak zaznaczyć, że z tą narracją nie zgadza się wielu Izraelczyków. Problemem jest dzisiaj zatem mitologizacja historii, czy nawet jej sakralizacja, i to nie tylko w Izraelu. Procesy te prowadzą do tego, że nie jesteś w stanie ze sobą rozmawiać. Dlatego, że jakakolwiek próba podjęcia krytycznej lub polemicznej dyskusji powoduje pewnego rodzaju ostracyzm ze strony tej wspólnoty, która czuje się zagrożona. Więc po pierwsze powinniśmy ze wszystkich sił starać się nie mitologizować historii. Po drugie, w kontekście Izrael, ja sądzę, że już dawno temu powinniśmy przestać próbować zmieniać ich sposób nauczania historii, tylko zająć się konstruowaniem własnej spójnej i słyszalnej w świecie narracji historycznej i być gotowi do zaoferowania własnym obywatelom i partnerom z zagranicy rezultatów solidnych badań naukowych i kształcenia dobrej jakości. Jeszcze raz chciałabym podkreślić, że niebezpieczną tendencją jest zawłaszczanie historii na potrzeby bieżącej polityki. Inną sprawą jest, że polska nauka, polski dyskurs naukowy, w zasadzie nie istnieje w świecie, prawie nie ma naszych publikacji w wysoko punktowanych czasopiśmie. O Polsce, w światowej nauce, jeśli już piszą, to nie tak zwani „insiderzy”, ale naukowcy mieszkający na co dzień za granicą. Dlaczego tak jest? Dlatego między innymi, że polskie instytucje naukowo-badawcze w tym uniwersytety, nie mają pieniędzy na popularyzację wyników badań, w tym nawet na konferencje.

Red. Tadeusz Płużański: Jak pani profesor, uważa, czy to, że nasza nauka zostaje w tyle za nauką w Stanach Zjednoczonych albo w Europie zachodniej to jest kwestia finansowa, czy też istnieją inne?

Prof. Joanna Dyduch: Obserwujemy degradację humanistyki, widzimy, że rośnie konkurencja i jest ona w tej branży bardzo duża, a punkt ciężkości w toku kolejnych reform systemu szkolnictwa wyższego i nauki jest kładziony na nauki ścisłe, przyrodnicze. Nie jest to złe, ale jak widzimy technologia i innowacje nie poprawią nam stosunków międzynarodowych, jeżeli nie będzie dialogu. Widzimy to w kontekście stosunków polsko-izraelskich, bo czego Polska chce od Izraela?, Odpowiedź jest od lat podobna: technologii i innowacji, ale widzimy, że jeśli nie będzie dobrych politycznych relacji opartych na zrozumieniu i dobrych relacjach międzyludzkich, nie będzie ani technologii ani innowacji.

Red. Tadeusz Płużański: Wróćmy do tematu medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Czy te kryteria są właściwe?

Prof. Andrzej Żbikowski: Pan zapomniał o podstawowym kryterium, że osoba ratowana musiała przeżyć, dopiero wtedy występowało o nagrodzenie, o uhonorowanie osoby, która mu pomogła i musiała to zrobić nie za pieniądze. Ukrywający często mieli świadomość, że muszą ponieść jakieś koszty. Bardzo trudno się o tym rozmawia. Pamiętajmy też, że Niemcy mordowali wielu ludzi za jednego sprawiedliwego. To jest inny wymiar historii.

Prof. Joanna Dyduch: Powiem tylko jedno zdanie, chciałabym podkreślić, że medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” jest inicjatywą izraelską. Był taki okres w Polsce, kiedy ten

heroizm udzielających pomocy nie był zauważany. Nie była to inicjatywa polska. Była próba podkreślenia zasług polskich sprawiedliwych, ale ona została wniesiona. To Izraelczycy postanowili uhonorować tych, którzy heroicznie udzielali pomocy.

Red. Tadeusz Płużański: Czuję się w obowiązku dodać, że być może, gdyby Polacy mieli własne państwo, a nie komunistyczne, taki medal byłby w Polsce ustanowiony. Zaczęliśmy myśleć o tym dopiero po 1989 roku. Może to jest odpowiedź na to, dlaczego Izrael jako pierwszy ustanowił to odznaczenie. Komuniści nie dbali o historię, oni mieli swoją propagandę.

Prof. Grzegorz Berendt: Początki powołania instytucji upamiętniającej ofiary, a następnie bohaterów oporu przypadają na okres wojny, pierwsze spotkania odbyły się w 1945 roku. Gdy mówimy o tym, kto jest odpowiedzialny, to pamiętajmy też o problemach, przed którymi stało społeczeństwo żydowskie w Palestynie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Pamiętajmy o sytuacji, która funkcjonowała w kraju, o priorytetach. Izraelczycy też rozpoczęli dyskusje, natomiast ze względu na tą wojnę, którą oni nazywali wojną o niepodległość w latach 1948-1949 i późniejsze konflikty, to projekt został na kilka lat zawieszony. Dopiero wówczas, w 1953 roku, Kneset przyjął prawo o powołaniu Jad Waszem. Celami Jad Waszem od samego początku było upamiętnienie ofiar, upamiętnienie bohaterów, którzy stawili opór i upamiętnienie ludzi, którzy z narażeniem swojego życia, nie kierując się interesem finansowym, przyszli z pomocą. Jeśli mamy zastrzeżenia i chcielibyśmy więcej, to oddajmy honor tym, którzy w małym kraju, niezwykle biednym, otoczonym na początku lat pięćdziesiątych ze wszystkich stron przez wrogie państwa, które były w stanie wojny z tym małym państwem, w tym małym kraju ten wysiłek rozpoczęto i systematycznie jest kontynuowany. Nawet na chwilę o tym nie zapominajmy, mówiąc o Jad Waszem i o stronie izraelskiej. Prace polegające na stworzeniu pełnej listy Polaków, którzy pomagali Żydom są prowadzone. Okazuje się po latach, że różne żydowskie instytucje, Instytut Pamięci Narodowej, sekcja muzeum POLIN, różne fundacje itd. tym się zajmują. Gdy czytamy opis kolejnej pomocy, w różnych źródłach i instytucjach okazuje się, że wychodzą te same nazwiska. To nie są różne nazwiska, które tworzą grupę dziesiątek tysięcy osób. Wracamy do tych samych osób. Okazuje się, że to, na czym w sposób żelazny możemy bazować, to około 6.800 nazwisk zbadanych przez Jad Waszem. Jaki problem jest w Polsce? Odsuwam kontekst przemiany ustrojowej i wejścia w czas suwerenności. Problemem jest brak systematyczności. W PRL-u od lat sześćdziesiątych takie badania były prowadzone. Powstały pierwsze publikacje książkowe. Co jest wstydem dla okresu przed i po 1989 roku? Badając, uzupełniając listy instytutu Jad Waszem, o nazwiska zawarte w pewnej publikacji sprzed pięćdziesięciu lat spostrzegłem, że brak kilkuset warszawiaków wymienionych w publikacji, instytucjonalnie powiązanych z „Żegotą” albo działających prywatnie. Nikt się o nich nie upomniał ani nie przeprowadził systematycznych badań, nie stworzył teczek, aby ją zanieść do Jad Waszem, dowodzi to, że ocaleni nie zgłosili tych nazwisk. Wyobraźmy sobie taką sytuację: kilkudziesięciu warszawskich lekarzy wszystkich specjalności, powiązanych z „Żegotą”, mamy taką sytuację, ukrywamy Żyd potrzebuje pomocy lekarskiej, łącznicy „Żegoty” albo znajomi powadzą go do lekarza. Witają się w progu. Żyd się przedstawia, przedstawia się lekarz. Tak nie było. Było zupełnie inaczej. Łącznik przyprowadzał nieznanego Żyda albo nieznanego lekarza. Nieznany lekarz pomagał nieznanemu Żydowi. Po latach, jeżeli uratowany Żyd wyjeżdżał, to on nawet nie wiedział, kto mu pomógł. Nie mógł więc złożyć świadectwa, że konkretny lekarz uratował mu życie. Nie było złej woli, po prostu z powodów konspiracyjnych nie znał odpowiednich danych, ale ludzie z „Żegoty” albo konspiracji cywilnej

lub woskowej znali nazwisko, więc je zapisali. Dobrze się stało, że w latach sześćdziesiątych, gdy wielu ludzi z konspiracji jeszcze żyło, to te nazwiska zostały utrwalone, ale nasza wina jest inna. Naszą winą jest, że zaznaczony trop nie został pociągnięty dalej. W większym stopniu wina jest po naszej stronie niż po stronie Jad Waszem. Wiele lat temu pokazano mi halę Jad Waszem, w której prawdopodobnie na zlecenia, siedzi kilkadziesiąt osób. Osoby będące w tej hali słuchają lub czytają źródła i relacje. Wszystko indeksują. Jeżeli państwo pojedą do czytelnicy ogólnodostępnej Jad Waszem, w wyszukiwarce napiszecie nazwę swojej rodziny lub miejscowości, to w pojawią się wszystkie źródła Jad Waszem, w których nazwa rodziny lub miejscowości jest wspomniana. Video, audio, pisma itd. W Jad Waszem ktoś tą ogromną pracę od kilkadziesiątu lat wykonuje. W Polsce żadna instytucja takiej pracy nie wykonuje.

Możemy się o te kryteria spierać. Pan redaktor pytał o kryteria. Kryteria się zmieniają. Niektóre hasła, sytuacje w encyklopedii polskich sprawiedliwych są niezrozumiałe, ponieważ w jednym hasle osoba dostaje tytuł sprawiedliwego wśród narodów świata za długotrwałe przechowywanie Żydów, a w innym za niewydanie Żyda. Na przykład Niemiec każe małemu chłopcu zająć się na strych. Chłopiec widzi na strychu przerażonych Żydów, ale Niemcowi mówi, że nikogo tam nie ma, a gdy Niemca już nie ma chłopiec odprowadza Żydów do zagajnika lub na stację i oni znikają. Obydwie osoby dostały medal. Czasem sytuacje są naprawdę trudne to opowiedzenia, dlaczego członkowie danej rodziny: ojciec i syn dostali medal, a matka, która funkcjonowała w tym samym gospodarstwie domowym, nie dostała, mimo że wiedziała o tym, że jej rodzina pomaga Żydom. Dziś, po pięćdziesięciu latach, nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego komisja Jad Waszem nie przyznała jej medalu. Czy jeszcze grono sprawiedliwych wśród narodów świata zostanie powiększone? Jeżeli dział sprawiedliwych lub władze Jad Waszem podejmą decyzję o odczytaniu zapisanych świadectw ocalałych, którzy już nie żyją. Oni nie zgłosili osoby, ale w swoim świadectwie podali nazwisko człowieka i miejsce, w którym mieszkał. To będzie decyzja władz Jad Waszem, czy chcą iść tym tropem i podpisane świadectwo ocalałego będzie tym samym, co wniosek ocalałego o nadanie tytułu. W publikacjach wspomnieniowych w różnych językach, z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, również są nazwiska. Ponowne odczytanie w jakimś stopniu może zwiększyć pulę nazwisk. Jednak nie spodziewajmy się gwałtownego przyrostu. Wracam do przykładu Drohobycza. Miasto powiatowe w przedwojennej Polsce, gdzie uratowało się około dwustu Żydów, ale tej liczbie pomogło tylko kilkadziesiąt mieszkańców miasteczka, spośród dwudziestu tysięcy mieszkających Polaków i Ukraińców.

Prof. Andrzej Żbikowski: Nie wiem, czy pan z Drohobyczem nie przesadza. Byłoby więcej niż we Lwowie.

Prof. Grzegorz Berendt: Nie, ponieważ jest taka informacja w encyklopedii.

Prof. Andrzej Żbikowski: W encyklopedii jest dużo błędów. Po pierwsze, boimy się przyznać, że Polakom bardzo nie zależy na uczczeniu lub oddaniu hołdu wszystkim Polakom, którzy ratowali Żydów. Dla nas jest to jeden z problemów pamięci historycznej. Dla Izraela jest to sprawa dużo bardziej znacząca i rzeczywiście rozszerza się kategorię z tych przypadków, gdy osoba, której pomagano, przeżyła wojnę i doczekała wyzwolenia. Rozszerza się również czasami na sytuacje udokumentowane, ponieważ wielu Żydów, którzy zostawili swój podpis, nie przeżyło wojny. Polacy mają tendencje do zawyżania liczby osób, które przeżyły dzięki pomocy Polaków i wśród Polaków. Zaraz po wojnie, według ustaleń komitetu żydowskiego oceniono pomoc na kilkanaście tysięcy spośród 250 tysięcy Żydów. Nie jest dużo. Więcej Żydów

przeżyło w różnych obozach przetrwania na dzisiejszej Białorusi. Od pewnego momentu Niemcy nie zabijali bezpośrednio, tylko zmuszali do ciężkiej pracy. Musimy sobie zdawać sprawę z realiów. To jest ten problem, że dzisiaj, w chłodniejszym zjawisku, te proporcje zlewają się, zamazują. Oczywiście jest to ważne dla historyków, ale dla pamięci indywidualnej stają się dużo ważniejsze przykłady postaw i zachowań. Bardziej są wartościowe niż niewdzięczna prawda historyka. Historycy często posługują się procentami, liczbami itd. Nie widzę bardzo dobrze tej przyszłości. Musimy być uczciwi i uczciwie postępować ze wszystkimi materiałami i źródłami. Na pewno przywrócimy jeszcze bardzo wiele osób, rodzin, które zachowywały się godnie. Jednak kosztem odnajdywania dowodów na heroizm Polaków będą różne zarzuty w kierunku przeciwnym. Polakom będzie się zarzucało współpracę z Niemcami.

Red. Tadeusz Płuźański: Muszę przyznać, że teza pana profesora, dzisiaj powtórzona, wywołała wcześniej szereg emocji i kontrowersji. Powtórzę, ta teza brzmi, że więcej Żydów przeżyło w obozach niemieckich niż uratowanych przez Polaków. Interpretowane to było tak, jakby pan profesor, uważał, że właśnie dzięki Niemcom osoby te przeżyły.

Prof. Andrzej Żbikowski: Oczywiście było to wbrew Niemcom. Niemcy w ogóle nie byli zainteresowani tym, żeby Żydzi przeżyli, przeciwnie, ale procesy się potoczyły tak, jak się potoczyły. Potrzeba było sił roboczych do różnych kopalni, fabryk. Dlatego w pewnym momencie zaczęto mordować mniej Żydów, którzy przebywali na przykład w Auschwitz albo nie tak systematycznie. Dało to Żydom szansę na przetrwanie. Przykładem jest profesor Israel Gutman, który przeżył w przypadkowy sposób. Biernie, bo bez broni, biorący udział w powstaniu w getcie warszawskim. Potem trafił na Majdanek. Był wycieńczony i chory. Dzięki pomocy polskiego lekarza doszedł do zdrowia i został wysłany przez niego w transporcie do Auschwitz. Miał szczęście, bo w nocy z 3 na 4 listopada 1943 roku Niemcy wymordowali wszystkich więźniów, potem jeszcze przeżył szereg obozów. To zupełny przypadek.

Prof. Grzegorz Berendt: Wszystko, co mówimy w czasie tej debaty, jest oparte na naszej wiedzy i badaniach. Jeszcze nie zostało powiedziane, a zawsze musimy mówić o tym, żeby prawdziwa Polska narracja wybrzmiewała i żeby o niej nie zapomnieć. Rzecz oczywista dla nas, nie musi być oczywista dla cudzoziemców albo młodego pokolenia w kraju i za granicą. Oficjalne nastawienie zagranicznych i krajowych instytucji konsekwentnie było negatywne i potępiające wobec niemieckiej polityki antyżydowskiej. Musimy to powtarzać, jest to naszym obowiązkiem, ale nie reagujemy emocjonalnie negatywnie na pytanie: Kiedy takie instytucje się pojawiły, na którym etapie niemieckiej polityki antyżydowskiej? Jaka była skala tej aktywności? Każdy ma prawo postawić takie pytania, one są naturalne. Zastanówmy się, co wynika z odpowiedzi? Początki Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom powołanego 27 września 1942 roku z inicjatywy Zofii Kossak-Szczuckiej i Wandy Kraheleskiej-Filipowicz przy Polskim Państwie Podziemnym są tworzone dopiero od grudnia 1942 roku. Akcja wyniszczania polskich Żydów w ramach operacji „Reinhard” przeprowadzonej w latach 1942-1943, ale nie tylko pod tym kryptonimem, powoduje, że znikają wspólnoty po 3-4 tysiące ludzi. Jaka jest sekwencja reakcji instytucji państwa polskiego? Reakcją jest krytyka i potępienie Niemców i tych, którzy współdziałają z Niemcami. Jest to nieprzerwanie jednoznaczne ze strony polskich instytucji, ale aktywne działanie instytucjonalne pojawia się bardzo późno. Pojawia się kolejne pytanie, nad którym musimy się zastanowić. Z okupowanej stolicy naszego kraju Niemcy wywożą przez dwa miesiące trzysta tysięcy polskich obywateli. Po tygodniu wiadomo, że wywożą ich na śmierć. Tylko to monitorowano. U osoby czytającej o aktywności Polskiego

Państwa Podziemnego pojawia się pytanie: Jak to się stało, że sabotażowe próby zablokowania systemu komunikacji kolejowej w Warszawie, wysadzenie torów kolejowych odbyły się w październiku, a nie we wrześniu lub sierpniu? To jest naturalne pytanie. Chwalimy się Polskim Państwem Podziemnym, jego sądy podziemne wydawały wyroki. Znamy siedem wyroków, ale od lutego 1944 roku dowódcy dostali wolną rękę i nie musieli czekać na wyrok. Jeżeli ich ocena była taka, że mogą likwidować szpiega albo kogoś innego.

Prof. Andrzej Żbikowski: W prasie umieszczono siedem wyroków, ale wykonano prawdopodobnie kilkaset.

Prof. Grzegorz Berendt: Dobrze. Pierwsze zostają ogłoszone w prasie i wykonywane, aby był efekt odstrasżający, od lipca 1943. W Generalnym Gubernatorstwie większość Żydów, ponad dziewięćdziesiąt procent, wymordowano do grudnia 1942 roku. To wtedy ludzie uciekali, wiedząc już, co ich czeka. Tylko wtedy wykonanie wyroku na szmalcowniku, zdrajcy, mogło odegrać swoją rolę. Nie ogłoszono tych decyzji. Nałożenie aktywności, która miała miejsce, na oś czasu niemieckiej akcji antyżydowskiej, kieruje do bardzo ważnych pytań i refleksji. Dlaczego tak późno, w tak niewielkim zakresie? Takie pytania są historycznie uzasadnione. W refleksji i wiedzy nie ma złych intencji. Przy badaniu, współgrania różnych sytuacji politycznych w kontekście przyczynowo-skutkowym mogą się pojawić takie pytania, jeżeli idą zza granicy.

Red. Tadeusz Płużański: Wskazałbym na inne problemy, które mamy z działaniem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Też możemy się zastanawiać, czy była reakcja wobec wywózek Polaków do sowieckich łagrow? Jaka była reakcja? Możemy też spytać: Czy reakcja na ludobójstwo wołyńskie była właściwa i czy nie przysła za późno? Czy Armia Krajowa nie włączyła się za późno do akcji? Takich kwestii mamy wiele i one nie dotyczą tylko sprawy, którą omawiamy. Zastanawiającą kwestią związaną z Jad Waszem i stosunkami polsko-żydowskimi są publikacje profesora Jana Tomasza Grossa albo profesora Jana Grabowskiego. Pragnę państwa prelegentów spytać o Jad Waszem i jego miejsce we współpracy z polskimi instytucjami badawczymi. Czy jest współpraca? Czy współpraca jest wystarczająca? Na jakich polach się odbywa?

Prof. Andrzej Żbikowski: Współpraca jest doskonała. Najważniejsza jest ekspozycja. Bardzo znacząco uwzględnia los Żydów w Polsce, a zwłaszcza warszawskich. Ona jest pod tym względem dużo bardziej wartościowa dla nas. Lepiej pokazująca w jakiej przestrzeni i w jakich miejscach w Europie ta zagłada się dokonywała niż dużo bogatsza i dużo większa ekspozycja w muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Ekspozycja w Jad Waszem jest godna. Skupiona jest na egzystencjalnej tragedii Żydów. Niewiele można zarzucić. Wystawa jest bardzo ciekawa. Jeśli chodzi o współpracę Jad Waszem z Żydowskim Instytutem Historycznym, to są to relacje przyjacielskie. Były dobre od samego początku z krótką przerwą w 1968 roku, w okresie emigracji starszej grupy żydowskich pracowników instytutu. Stosunki uległy intensyfikacji pod koniec lat osiemdziesiątych. Rola i znaczenie polskich Żydów w Jad Waszem i Izraelu jest bardzo słaba. Kiedyś można było ich odróżnić na ulicy. Na przykład, polskie Żydówki były bardzo eleganckie. Obecnie „Polska żydowska” umyka z pejzażu Izraela. W naturalny sposób nie będziemy już mieli takiego znaczenia dla Izraela, jak kiedyś.

Prof. Joanna Dyduch: Odwołam się do swojego doświadczenia sprzed lat, gdy współpracowałam z Muzeum Auschwitz-Birkenau. Naświetla kontakty z Jad Waszem, wynikające z definicji.

W latach dziewięćdziesiątych otwarto międzynarodowe Centrum Edukacyjne Auschwitz-Birkenau, które wciąż się rozwija. Jeździłam na seminaria, które były organizowane przez Muzeum Auschwitz-Birkenau. Inicjatywa bardzo ciekawa, ważna i potrzebna, multiplikująca wiedzę. Dziś jest zainteresowanie współczesnym Izraelem.

Prof. Grzegorz Berendt: Jestem nastawiony pesymistycznie, ponieważ stopniowo odchodzą polscy Żydzi w Izraelu, świadkowie historii, poza tym zagrożeniem w przyszłości może być wzrost znaczenia Żydów pochodzących z dawnego Związku Sowieckiego, nastawionych często antypolsko. Dlatego tak ważne powinno być prowadzenie rzetelnych badań oraz ich popularyzowanie w językach kongresowych i w Internecie.

Red. Tadeusz Płuzański: Drodzy państwo, myślę, że będziemy kończyć naszą debatę. Bardzo państwu dziękuję w imieniu Fundacji im. Janusza Kurtyki, organizatora naszego spotkania. Do widzenia państwu.

Glosa 7

Joanna Dyduch

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

**IZRAELCZYCY I POLSKA.
OCENA I PRZYSZŁOŚĆ
STOSUNKÓW POLSKO-
IZRAELSKICH (ŻYDOWSKICH)
Z HISTORIĄ W TLE**

HISTORIA CZYNNIKIEM KSZTAŁTUJĄCYM RELACJE POLSKO-ŻYDOWSKIE I STOSUNKI POLSKO-IZRAELSKIE¹

Na kształt i dynamikę stosunków polsko-izraelskich wpływ mają uwarunkowania natury symbolicznej, które wynikają z dziedzictwa wspólnych dziejów. Wielowiekowa, wielowymiarowa i złożona historia narodów środkowoeuropejskich, w tym Polaków i Żydów, zaowocowała jednością losów, niosąc ze sobą tak wyniosłe momenty, jak również doświadczenia traumatyczne. Do tych ostatnich zaliczyć należy przede wszystkim Zagładę i antysemityzm. Bagaż historii stanowi bezsprzecznie źródło aktualnych problemów i wyzwań pozostających w orbicie relacji polsko-żydowskich i stosunków Polska-Izrael. By zrozumieć istotę obserwowanych ostatnio napięć, należy pochylić się nad znaczeniem historii, szczególnie II wojny światowej, dla współczesnego Izraela i jego mieszkańców, w kontekście analogicznych debat toczących się w Polsce.

HOŁOKAUST I JEGO ZNACZENIE WE WSPÓŁCZESNYM IZRAELU W KONTEKŚCIE RELACJI Z POLSKĄ

Przebieg i symbolika wydarzeń II wojny światowej w izraelskiej przestrzeni społeczno-politycznej najczęściej utożsamiana jest z Holokaustem. Proklamacja niepodległości państwa żydowskiego 14 maja 1948 roku, zgodnie z narracją dominującą od lat 80 XX wieku, była odpowiedzią na antysemityzm i zagrożenie egzystencjalne, jakiego Żydzi doznali w okresie II wojny światowej i jakiego mogliby doświadczyć ponownie, gdyby nie istnienie nowoczesnego, silnego, zdolnego do efektywnej obrony kraju. Upamiętnianie, a zarazem uwspółcześnianie lekcji Holokaustu stanowi jedno z fundamentalnych zadań instytucji publicznych, stając się tym samym kluczowym elementem izraelskiej polityki historycznej i edukacji obywatelskiej. Ich celem jest z kolei integracja i mobilizacja obywateli wokół idei narodowych, co pociąga za sobą określone konsekwencje dla polityki międzynarodowej, w tym wielo- i dwustronnych stosunków z państwami trzecimi.

Szczególną pozycję w modelu izraelskiej polityki historycznej zajmuje Polska, a właściwie jej subiektywne wyobrażenie, konstruowane w świetle zbiorowej pamięci o żydowskiej diasporze, w tym okresach szczególnie istotnych dla narodowej martyrologii. W tej wizji krajom regionu Europy Środkowo-Wschodniej przypisuje się rolę wyłącznie przedmiotową. Ikoniczny obraz Polski przywołuje, a często nawet egzemplifikuje Zagładę oraz to, co do niej doprowadziło².

1 J. Dyduch, *Stosunki polsko-izraelskie. Próba analizy czynników je kształtujących*, [w:] *Współcześni Żydzi, Polska i diaspora*, red. E. Waszkiewicz, Wrocław 2008, s. 155-195.

2 Więcej na ten temat: E. Don-Yehiya, *Memory and Political Culture: Israeli Society and the Holocaust*, „Studies in Contemporary Jewry. An Annual” 1993, t. 9; J. Feldman, *Marking the Boundaries of the Enclave: Defining the Israeli collective through the Poland’ experience*, „Israel Studies” 2002.

Cenną w sensie poznawczym i eksplanacyjnym propozycją konceptualizacji wskazanego fenomenu jest idea obywatelskiej religii zdefiniowana na gruncie izraelskiego dyskursu naukowego przez Eliera Don-Yehiya i Charlsa S. Liebmana³. Jak pisał Rousseau, dla obywateli Izraela, tak jak każdego innego państwa, ojczyzna powinna stanowić przedmiot uwielbienia. Tworzenie tak silnych emocjonalnych więzi wymaga zastosowania języka i metod czytelnych dla konkretnej grupy narodowej, co niesie ze sobą potrzebę wyeksponowania tych historycznych symboli, z którymi identyfikować się będzie jak najwięcej osób. Za centralny element modelu izraelskiej religii obywatelskiej, sprzężonej z określoną polityką historyczną, przywołani autorzy uznali historię Holokaustu. W mniemaniu wielu izraelskich polityków, publicystów i działaczy społecznych wydarzenia te legitymizują potrzebę istnienia państwa żydowskiego jako miejsca, w którym Żydzi mogą bronić się skutecznie przed zewnętrznymi zagrożeniami. Obowiązująca w Izraelu interpretacja Zagłady stała się zatem jednym z głównych źródeł społecznej integracji i mobilizacji, leżąc u podstaw kreacji tożsamości narodowej.

Polska stanowi doskonałą wizualizację tej koncepcji. Jest swoistym instrumentem, za pomocą którego uczy się młodych (choć nie wyłącznie) Izraelczyków o istocie egzystencjalnego zagrożenia, strachu oraz poniżenia, jakiego zaznawali Żydzi w czasie wojny, ale również tuż przed nią i zaraz po niej. „Doświadczenie Polski”⁴ ma uzmysłwić obywatelom, jak wielkim szczęściem jest posiadanie własnego państwa, i tym samym ugruntować poczucie lojalności i miłości wobec ojczyzny⁵.

Opisana polityka historyczna jest elementem konsekwentnie budowanego wizerunku Izraela jako spadkobiercy i strażnika pamięci całej wspólnoty żydowskiej. Daje mu to szczególnie, w zasadzie niekwestionowany przez elity decydenckie na świecie, mandat do upamiętniania historycznej społeczności żyjącej w diasporze oraz sprawowania opieki nad tą istniejącą współcześnie.

POLSKO-ŻYDOWSKIE SPORY ORAZ POLSKO-IZRAELSKI KRYZYS Z HISTORIA W TLE

Na początku 2018 roku doszło do największego kryzysu dyplomatycznego w relacjach polsko-izraelskich od czasów ich wznowienia w 1990 roku. Przyczynkiem do eskalującego konfliktu było przyjęcie przez polski parlament 27 stycznia 2018 roku poprawki do ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej w następującym brzmieniu: „Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie lub za inne przestępstwa stanowiące zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega karze

3 E. Don-Yehiya, Ch.S. Liebman, *Civil Religion in Israel. Traditional Judaism and Political Culture in Jewish State*, Berkeley 1983.

4 „Doświadczenie Polski” to doświadczenie obcowania z miejscami żydowskiej martyrologii oraz „sztetłami”, w których dowodem żydowskiej obecności są cmentarze oraz nierzadko desakralizowane synagogi. Towarzyszy mu często widok antysemitycznych graffiti na budynkach polskich miast, a także późnojesienna lub wczesnowiosenna szarość i chłód, pozostające w głębokiej opozycji do ciepłego i słonecznego Izraela.

5 J. Dyduch, *Religia obywatelska – źródło identyfikacji narodowej. Izrael-Holokaust-Polska*, [w:] *Racja Stanu. Studia i Materiały*, red. T. Marczak, Wrocław 2008, s. 139-158.

grzywny lub karze pozbawienia wolności do lat 3. (...) Przepis ten stosuje się do obywateli polskich i do cudzoziemców”⁶.

Nowelizacja wywołała oburzenie społeczności żydowskiej w wielu krajach, w tym w Izraelu i USA. Temat silnie rezonował w krytycznych debatach historyków, dziennikarzy i polityków oskarżających polskie władze o chęć „wybielenia historii”. Mało przekonujące dla międzynarodowej opinii publicznej okazały się płynące z Polski wyjaśnienia, iż intencją ustawodawcy było przeciwdziałanie rozpowszechnianiu tak zwanych „wadliwych kodów pamięci”, których symbolem stało się sformułowanie „polskie obozy śmierci”. Próbą wyciszenia emocji i zakończenia sporu było przyjęcie w czerwcu 2018 roku kolejnej modyfikacji ustawy, znoszącej w całości zacytowany wcześniej przepis. Wkrótce po przyjęciu nowelizacji premierzy Polski i Izraela wydali wspólne oświadczenie w koncyliacyjnym tonie. Wbrew oczekiwaniom rządzących z obu krajów działania te nie przyniosły zamierzonych rezultatów. Zostały one odczytane przez wiele środowisk w Polsce i Izraelu jako wyraz politycznej kalkulacji kosztem prawdy historycznej, która dla każdej ze stron była nieco inna.

Pozostawiając nieco na marginesie dynamikę bieżących wydarzeń politycznych oraz ich międzynarodowych implikacji, warto pokusić się o postawienie hipotezy dotyczącej istoty sporu. Wydaje się, że kością niezgody jest przede wszystkim charakterystyczny dla Polaków i Izraelczyków intersubiektywny proces konstruowania narodowej tożsamości, której ważnym punktem odniesienia jest interpretacja wydarzeń II wojny światowej przez pryzmat statusu ofiary, zagospodarowywanego niemalże na wyłączność. W rezultacie powstają charakterystyczne modele działania elit i społeczeństw związane z autoidentyfikacją i operacjonalizacją polityk historycznych. Wśród nich można wyodrębnić następujące warianty:

- model „strażnika pamięci”, dający prawo do konstruowania dominującej narracji o wydarzeniach minionych oraz ich interpretacji;
- model „spadkobiercy ofiar”, pozwalający na domaganie się zadośćuczynienia za krzywdy;
- model „sprawiedliwego, moralnego wojownika”, legitymizujący prawo do ochrony własnego bezpieczeństwa i możliwości rozwoju tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej.

O ile jednak Izrael i diaspora żydowska z dużą konsekwencją implementują zarysowane powyżej modele, utrzymując wysoki poziom akceptacji swoich działań przez środowisko międzynarodowe, tego samego nie można powiedzieć o postępowaniu Polski w tym zakresie.

Opisane kwestie stanowią istotne bariery dla rozwoju relacji polsko-izraelskich. Paradoksalnie, ograniczenia te wywodzą się z tego samego źródła, w którym szukalibyśmy podstaw szczególnej bliskości Żydów i Polaków – wspólnoty dziejów oraz wizji własnej aktywności polityczno-międzynarodowej opartej na prymacie państwa narodowego. Niespójne, rywalizujące, a nawet

6 *Ustawa z dnia 26 stycznia 2018 roku o zmianie ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, ustawy o grobach i cmentarzach wojennych, ustawy o muzeach oraz ustawy o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych za czyny zabronione pod groźbą kary*, 26.01.2018, <http://prawo.sejm.gov.pl/api/isap/deeds/WDU/2018/369/text.html> (dostęp: 15 grudnia 2019 roku)

skonfliktowane polityki historyczne państw w dobie dominacji idei nacjonalistycznych mogą nie tylko komplikować rozwój relacji politycznych i gospodarczych, ale w zasadzie je hibernować.

Pozostaje mieć nadzieję, że w środowiskach politycznych, społecznych i kulturalnych w obu krajach do głosu ponownie uda się dojść zwolennikom zdrowego dialogu, stroniącym od dogmatyzmu i ideologicznego fundamentalizmu. Wówczas oczekiwanie zrozumienia własnych racji będzie musiało zacząć iść w parze z gotowością do zrozumienia racji innych.

Glosa 8

Grzegorz Berendt

Uniwersytet Gdański
Instytut Pamięci Narodowej
Muzeum II wojny Światowej w Gdańsku

O BADANIACH NA TEMAT
RELACJI POLSKO-ŻYDOWSKICH
W OKRESIE
OKUPACJI NIEMIECKIEJ

Państwo niemieckie pod wodzą nazistów dążyło w czasie II wojny światowej do zglądzenia przynajmniej 70 milionów niewinnych istnień ludzkich, w tym kilkunastu milionów Żydów i Romów oraz kilkudziesięciu milionów Słowian. W przypadku Polaków, chrześcijan, planowano pozostawić przy życiu zaledwie 15% populacji. Ludobójcy realizowali ten cel, dostosowując swoje działania do sytuacji na frontach oraz zapotrzebowania Niemiec na żywność i siłę roboczą. Jedną z podstawowych metod postępowania, wdrożonych już w pierwszych tygodniach wojny, było antagonizowanie różnych grup ludności na terenach okupowanych zgodnie ze starą rzymską zasadą *divide et impera* – „dziel i rządź”. Polem realizacji tej polityki stała się również Polska.

Niemcy postanowili rozpruć polskie społeczeństwo, podsycając lub generując konflikty etniczne, czym zajmowali się urzędnicy i funkcjonariusze aktywni na wszystkich szczeblach okupacyjnego aparatu władzy. Zabiegali o to, aby chrześcijanie z aprobatą przyjęli działania wymierzone w ludność żydowską. Reakcja na te starania pozostaje do dziś istotnym aspektem całego zjawiska Holokaustu.

W przypadku Polaków najłatwiej określić stanowisko cywilnych i wojskowych struktur niepodległościowych powołanych w kraju i na emigracji. Choć możliwości stawiania oporu wobec poczynań niemieckich okupantów były bardzo ograniczone, od pierwszego do ostatniego dnia wojny wszelkie działania dyskryminacyjne i eksterminacyjne wymierzone w Żydów były zdecydowanie potępiane przez polskie czynniki oficjalne. Istotnym przejawem ich aktywności było choćby informowanie wolnego świata o zagładzie Żydów. Działania instytucjonalne podjęto za to stosunkowo późno, bo jesienią – a na szerszą skalę dopiero w grudniu – 1942 roku. Nawet w tak krótkim czasie żołnierze i cywilni członkowie podziemia w sposób zorganizowany pomogli przeżyć kilku tysiącom osób. Pomoc była niesiona do ostatnich dni niemieckiej okupacji, jeszcze w lutym 1945 roku wypłacano choćby zapomogi na pokrycie codziennych wydatków.

Fakty wskazują, że osoby kierujące polskimi agendami państwowymi przyjęły stanowisko podobne do tego, jakie reprezentowały rządy zachodnich aliantów, uznając jak najszybsze zwycięstwo nad Trzecią Rzeszą za główną metodę pomocy Żydom. Konspiracja zbrojna w żadnym z okupowanych krajów nie była w stanie powstrzymać terroru i uratować milionów ludzi przed śmiercią. Starano się jednak uświadomić ludobójcom, że nie pozostaną bezkarni. Alianci wydali oświadczenie w tej sprawie już w styczniu 1942 roku, podobnie polskie instytucje ostrzegały, że działanie na szkodę współobywateli i przyczynianie się do nazistowskich zbrodni nie obędzie się bez konsekwencji. Dotrzymano słowa – kolaboracjoniści ginęli z rąk egzekutorów wysyłanych przez Polskie Państwo Podziemne. Inna rzecz, że pierwsze wyroki

za czyny o charakterze antyżydowskim wykonano dopiero w drugiej połowie 1943 roku, i było ich stosunkowo niewiele.

Znając jednoznacznie negatywne stanowisko polskich elit państwowych wobec niemiecko-nazistowskiej polityki, nie możemy zapominać, że w wymiarze liczbowym stanowiły one nieznaczną część społeczeństwa. Jakie było zatem nastawienie około 24 mln Polaków, chrześcijan, wobec zbrodni dokonywanych na Żydach? Czynniki wpływu istotne w tym kontekście można podzielić na dwie grupy.

Do pierwszej grupy należała postawa wniesiona w lata wojny z okresu wcześniejszego. Z oświadczeń tysięcy Polaków nagrodzonych tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata wiemy, że motywem ich aktywności była często religijność i pragnienie pomocy bliźniemu znajdującemu się w śmiertelnej potrzebie. Istotną część wspierających stanowili również ludzie, którzy nie byli religijni, ale sprzeciwiali się rasizmowi. Znamy przykłady głośnych przedwojennych antysemitów, którzy negatywnie reagowali na działania Niemców i indywidualnie pomagali Żydom. Z drugiej strony część osób podzielających antyżydowskie uprzedzenia przed wojną mogła z tego właśnie powodu obojętnie lub z satysfakcją przyjmować represje spadające na Żydów, jednak nie jesteśmy w stanie określić skali występowania takich reakcji.

Znacznie bardziej istotną grupę czynników determinujących relacje polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej tworzyły postawy generowane przez samych agresorów. Na Kresach, zajmowanych przez 22 miesiące przez Sowieców, część przedstawicieli mniejszości narodowych wsparło okupantów w procesie wyniszczania miejscowych elit społecznych, głównie Polaków. Miały w tym swój udział między innymi tysiące Żydów. Ofiary represji i ich rodziny nie zapomniały o tym po 22 czerwca 1941 roku, kiedy Kresy zagarnęli Niemcy, co skutkowało z kolei aktami zemsty.

Już we wrześniu 1939 roku w Polaków uderzył terror stosowany przez niemieckie wojsko i formacje policyjne. Nowe przepisy przewidywały surowe konsekwencje w przypadku niesubordynacji lub nieprawidłowego wykonania nakazów władz okupacyjnych. Za przykład niech posłuży zarządzenie z 17 grudnia 1939 roku regulujące funkcjonowanie tak zwanej policji polskiej w Generalnym Gubernatorstwie. Polak zmuszony do służby mógł być w trybie doraźnym ukarany przez niemieckiego przełożonego, z karą śmierci włącznie. Jeżeli zdecydował się na dezercję, to od kwietnia 1942 roku kara spadała również na jego rodzinę. Tysiące egzekucji wykonywanych publicznie w miastach i na terenach wiejskich oraz przepełnione areszty, więzienia i obozy dowodziły, że nie były to czcze pogróżki.

Jednocześnie na terenie całej okupowanej Polski Niemcy karali za niesienie nielegalnej pomocy Żydom. Odpowiednie przepisy wydano w Generalnym Gubernatorstwie, ale represje stosowano również poza jego obszarem. Największe męstwo nigdy nie jest udziałem dominującej części populacji, a pomoc Żydom takiego właśnie męstwa wymagała. Nie ulega wątpliwości, że większość tych, którzy przeżyli po tak zwanej aryjskiej stronie, czyli poza gettami i niemieckimi obozami, zawdzięczała to osobom prywatnym, ich poświęceniu i odwadze. Znamy nazwiska nie więcej niż 10 tysięcy takich bohaterów, a ich kolejne tysiące na zawsze pozostaną bezimiennie.

Żadną metodą historyczną nie da się natomiast potwierdzić zaangażowania w pomoc Żydom większej liczby Polaków niż kilkadziesiąt tysięcy w skali całego kraju. Przykładowo w Drohobyczu

pomoc około dwustu Żydom nosło co najwyżej 80 spośród około 20 tysięcy mieszkańców miasta – zaledwie o tylu mówią znane źródła. O ile bowiem dobroć była przez okupantów karana, to zło spotykało się z nagrodą. Znane jest powiedzenie „Śmierć jest mistrzem z Niemiec”. Uzupełnię tę myśl, odnosząc się do realiów II wojny światowej, gdy Niemcy okazali się również mistrzami w sferze propagowania podłości. Agresorzy systematycznie deprawowali społeczeństwo, co przyniosło częściowo oczekiwany skutek. Terror i przekupstwo sprawiły, że kilkadziesiąt tysięcy osób zostało uwikłanych w kolaboracjonizm, choć wśród nich znajdowali się również ludzie zmuszeni do wykonywania rozkazów niemieckich przełożonych.

Pisząc i mówiąc o niemieckiej okupacji Polski, nie można zapominać, że poza terrorem większość populacji doświadczała przede wszystkim codziennej walki o środki niezbędne do życia. Wielu ludzi pozbawiono wcześniejszych źródeł utrzymania, a kilka milionów zmuszono do opuszczenia rodzinnych domów. Niemiecka polityka gospodarcza była równoznaczna z zagrabieniem większości przedwojennych zasobów gotówkowych Polaków i Żydów. Znikoma część obywateli, zwłaszcza w miastach, dysponowała możliwościami niesienia bezinteresownej pomocy komukolwiek spoza najbliższej rodziny. Ten stan również wytworzyli Niemcy.

Wskazane determinanty relacji polsko-żydowskich w warunkach wojennych są oczywiste dla każdej osoby znającej z autopsji lub badań ówczesne realia. Dziś pojawiają się jednak opracowania, których autorzy przechodzą do porządku dziennego nad działaniami Niemców, zamiast tego koncentrując się na postawach ludzi będących przedmiotem polityki okupantów. Prace te powstają w kręgu tak zwanej nowej polskiej szkoły badań nad Holocaustem. Dochodzi w nich do prób redefiniowania pojęć i stosowania zasady zbiorowej odpowiedzialności, przy czym tworzy się obraz, według którego kilkadziesiąt milionów ludzi miało odczuwać satysfakcję z powodu masowych mordów kobiet i dzieci. Sterroryzowane społeczności, które nie podejmowały działań pomocowych, przedstawia się jako „ułatwiaczy”, bo tak zaczęto tłumaczyć angielskie pojęcie *bystanders*. Pomija się przy tym fakt, że dominująca część Żydów również była skoncentrowana na codziennej walce o przetrwanie własnej rodziny, a nie na walce zbrojnej z niemieckimi oprawcami. Stosuje się podwójne standardy. Chrześcijańskim przechodniom przyglądającym się biernie śmierci Żydów przypisuje się *en bloc* obojętność determinowaną antysemityzmem, pomijając to, że podobną bierność musieli wykazywać Żydzi zmuszeni do asystowania egzekucjom na swoich współwyznawcach. Każde negatywne zachowanie odnotowane przez świadków jest ekstrapolowane na całą społeczność, a zachowania nacechowane empatią – sprowadzane do wymiaru jednostkowego. Z wypowiedzi Ocalonych niejednokrotnie wynika, że nie są pewni, czy sami mieliby odwagę ponieść ryzyko, jakie brali na swoje barki Polacy ratujący Żydów. Te stwierdzenia są z zasady pomijane w wywodach na temat relacji polsko-żydowskich pod niemiecką okupacją. Afirmująco przyjmuje się natomiast generalizujące opinie o powszechnym, wręcz wszechogarniającym zadowoleniu chrześcijan z powodu tragedii, jakiej doświadczali Żydzi.

Pojawiają się postulaty, aby bezkrytycznie podchodzić do wszystkich przekazów Ocalonych. To sprzeczne z podstawowymi wymogami warsztatu historyka, który ma zawodowy obowiązek weryfikowania źródeł informacji i przekazu. Dzięki badaniom wiemy jednak, że w celu wzmocnienia negatywnej narracji na temat zachowań chrześcijańskich sąsiadów wobec Żydów niejednokrotnie pomija się treści, które mogą ją osłabić. Takie praktyki są karygodne, a jednocześnie zaskakujące, bo obraz wydarzeń, który uzyskujemy ze źródeł, jest już wystarczający przygnębiający i nie wymaga fałszerstw. Kilkadziesiąt tysięcy polskich Żydów przetrwało



wojnę dzięki pomocy chrześcijańskich współobywateli różnej narodowości, ale niemal wszyscy doświadczyli również podłości ze strony innych aryjczyków. Niekiedy podłości dopuszczali się też ci, którzy pomoc nieśli odpłatnie. Stwierdzam to ze smutkiem na podstawie tysięcy opisów historycznych, ale nie rozumiem, dlaczego obecnie przypisuje się ich postawę kilkudziesięciu milionom innych osób.

Józef Mackiewicz napisał przed laty, że „tylko prawda jest ciekawa”. W pełni zgadzam się z tą tezą. Dlatego stwierdzam, że z powodu uwarunkowań stworzonych przez Niemców nie jest prawdą, jakoby setki tysięcy – a tym bardziej ponad milion – Polaków narażały życie dla ratowania Żydów. Jednocześnie nie mają oparcia w faktach tezy sugerujące, że polscy chrześcijanie jako wielomilionowa zbiorowość byli sojusznikiem Niemców w dziele wyniszczenia Żydów. Przeciwnie – tak jak Żydzi byli celem nazistowskiej, niemieckiej polityki ludobójczej.

Debata pt. „Relacje polsko-żydowskie
a narracje historyczne o II wojnie światowej”
odbyła się 24 kwietnia 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

NARRACJE O HOLOKAUŚCIE

W dyskusji udział wzięli:

ks. prof. Waldemar Chrostowski
(Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie),
dr Marcin Urynowicz
(Instytut Pamięci Narodowej)
oraz Miłosz Lodowski
(MxM Production House).

Rozmowę poprowadziła
dr Martyna Rusiniak-Karwat
(Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie,
Instytut Pileckiego w Warszawie).



Dr Martyna Rusiniak-Karwat: Szanowni Państwo, bardzo dziękuję za zaproszenie i witam wszystkich zebranych. Prowadzenie dzisiejszej debaty pozwolę sobie zacząć od cytatu: „Holokaust jest klęską cywilizacji. I niestety ta klęska nie skończyła się w 1945 roku. O tym trzeba pamiętać. [...] W ekstremalnych sytuacjach nawet strach nie usprawiedliwia, a bierność naprawdę staje się przestępstwem”¹. Takie słowa wygłosił w 1995 roku na symposium dotyczącym pamięci Marek Edelman. Kontynuując jego słowami:

„Nie ma jednej pamięci żydowskiej. Inna jest pamięć policjanta żydowskiego, który odprowadził żonę do pociągu, a inna pamięć policjanta żydowskiego, który utrzymał żonę i dziecko przy życiu. Inna jest pamięć dziecka, które przechowano w klasztorze, a inna pamięć pani, która przeżyła po tak zwanej aryjskiej stronie. Inna jeszcze jest pamięć tych, którzy byli codziennie szmalcowani, inna pamięć tych, którzy walczyli, inna pamięć tych, którzy gdzieś uciekli i schowali się na wsi. Inny jest stosunek tych ludzi do przeszłości.

Nie ma zatem również jednolitego narodowego schematu wskazującego, jaki stosunek mają Żydzi do Polaków. I tak samo jest z Polakami. Inny jest stosunek pana Karskiego i pana Bartoszewskiego. Inny jest stosunek tych, którzy ukrywali Żydów. Inny jest stosunek matki, która straciła syna, bo poszedł pod mur getta. Inny jest stosunek tych, którzy walczyli w Powstaniu Warszawskim oraz tych, którzy nie walczyli. Inny jest stosunek tych, którzy służyli w oddziałach akowskich z żydowskimi kolegami z gimnazjum. Inny jest stosunek tych Polaków, którzy czytali prasę lewicową, i tych, którzy czytali prasę prawicową. Tak samo w sferach kulturalnych. Inny jest stosunek Gajcego, inny jest stosunek Borowskiego, i tak dalej”².

Dzisiaj porozmawiamy o pamięci polsko-żydowskiej. Dodam, że tak jak osoba, której słowa przytoczyłam, nie dzielę pamięci według narodowości. To zawsze kwestia indywidualna. Obecnie mamy, niestety, coraz mniej świadków minionych wydarzeń, którzy mogliby odpowiedzieć na wiele nurtujących nas pytań. Głównym tematem naszego spotkania jest zależność między relacjami polsko-żydowskimi a narracjami historycznymi o drugiej wojnie światowej. Chciałabym rozpocząć od pytania: od jakiego momentu zaczęły się kształtować różne wizje wydarzeń z lat 1939-1945? Jakie instytucje, zarówno polskie, jak i żydowskie, miały wpływ na formowanie naszej pamięci? Czy miało to miejsce zaraz po wojnie, czy znacznie później? O to chciałabym zapytać doktora Marcina Urynowicza.

1 Marek Edelman, *Pamięć – nie ma jednego schematu*, w: *Pamięć żydowska – pamięć polska. Akta kolokwium, które odbyło się w Krakowie 10 i 11 czerwca 1995*, red. Dorota Strojnowska, Kraków 1996, s. 90–91.

2 *Ibidem*, s. 89–90.

Dr Marcin Urynowicz: Dziękuję za zaproszenie i możliwość wzięcia udziału w dyskusji. Gdy mówimy o pamięci o drugiej wojnie światowej, w naturalny sposób poruszamy również temat Holokaustu. Przyznaję jednak, że nie lubię tego słowa, ponieważ moim zdaniem determinuje ono określony obraz przeszłości. Oczywiście, to odrębna kwestia. Można dyskutować godzinami o tym, w jaki sposób poszczególne wyrażenia wpływają na nasz sposób postrzegania rzeczywistości. Słowo „holokaust” ma dobre i złe konotacje. Z jednej strony podkreśla wagę pewnego wydarzenia, z drugiej – wyodrębnia je i zamazuje jego kontekst. Czasami do Instytutu Pamięci Narodowej przychodzą pisma z różnych miejscowości, w których urzędnik albo szkoła pytają, czy instytucji wiadomo o wydarzeniu z danego miasteczka, które miało miejsce w czasach Holokaustu. Przyznaję, że nie wiem, jak mam zacząć odpowiedź na taki list. Co oznaczają „czasy Holokaustu”? Jeśli stosowanie tego określenia stanowi wyraz świadomości rozbudowanej o historyczne tło, to bardzo dobrze. Natomiast jeśli tego kontekstu brakuje, może ono wykrzywiać rzeczywistość.

Zamykam tę dygresję i wracam do podstawowego pytania. Jakie instytucje kształtują narracje historyczne? Druga wojna światowa nadała miejscu największych tragedii, czyli ziemiom polskim, szczególne znaczenie. Nie zawaham się powiedzieć, że tuż po zakończeniu wojny w naszym kraju powstało centrum pierwszych badań nad zagładą ludności żydowskiej. Niestety, były one silnie wpisane w kontekst relacji między dwoma narodami. Z jednej strony działała Centralna Żydowska Komisja Historyczna utworzona przy Centralnym Komitecie Żydów Polskich, z drugiej – Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. W ten sposób pamięć o wspólnej przeszłości została rozdzielona. Wpłynęły na to również pewne obiektywne czynniki. Polscy badacze nie byli przygotowani do badania historii Żydów, przede wszystkim ze względu na barierę językową.

Od początku działania instytucji badawczych w Polsce ukazywało się wiele pozycji poświęconych drugiej wojnie światowej. Swoje publikacje wydawała najpierw Centralna Żydowska Komisja Historyczna, później Żydowski Instytut Historyczny oraz pierwsi historycy, tacy jak Nachman Blumental, Józef Kermisz, czy Lucjan Dobroszycki. Ich prace wpływały na przebieg dalszych badań oraz przyjmowaną dla nich optykę. Po kilku latach polityka zaczęła jednak ingerować w historię. Relacje polsko-żydowskie uległy wpływom systemu komunistycznego oraz faktu umiejscowienia Polski za „żelazną kurtyną”. Każda odwilż polityczna owocowała publikacjami, które wychodziły poza kontekst wewnętrzny, ale w pozostałych okresach były one silnie nacechowane ideowo, skupiając się na prezentowaniu pozytywnych postaw Polaków wobec Żydów. Działo się tak przede wszystkim w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Na problem zagłady ludności żydowskiej należy patrzeć z globalnego punktu widzenia. W Polsce często o tym zapominamy. Skupiamy się tylko na kwestiach, które dotyczą nas jako społeczeństwa i narodu. Do dziś istnieje podział, według którego badaniem Holokaustu w kontekście międzynarodowym zajmują się ośrodki żydowskie, natomiast polscy historycy ograniczają się do uwypuklania zasług swoich rodaków. Ten rozdzwięk wyraźnie ciąży na sposobie kształtowania obrazu przeszłości.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: Dziękuję. Wśród znacznej większości historyków dominuje opinia, że ze względu na utajniony charakter archiwów, nie można rzetelnie opisać działań Kościoła wobec Holokaustu, w tym pomocy udzielanej Żydom. Nie jest na przykład możliwym ustalenie, ile żydowskich dzieci zostało ukrytych przez zakony żeńskie i męskie.

Poza nielicznymi przypadkami nie znamy również nazwisk duchownych, którzy brali w tym udział. W jaki sposób Kościół stara się zatem kultywować pamięć dotyczącą minionej wojny, w tym stosunków polsko-żydowskich?

Ks. prof. Waldemar Chrostowski: Dzień dobry, przyłączam się do wszystkich ciepłych uwag, które poczynił na wstępie doktor Marcin Urynowicz. Myślę, że należy zacząć od podstaw. W tytule debaty znajduje się słowo „historia”, ale w swoim wprowadzeniu doktor Martyna Rusiniak-Karwat użyła zamiast niego terminu „pamięć”. Istnieje różnica między historią a pamięcią i właśnie nad tym chciałbym się pochylić. Upraszczając, historia polega na odtwarzaniu faktów – opisywaniu wydarzeń i ludzi – zgodnie z określonymi wartościami. Dlatego nigdy nie było, nie ma i nie będzie wspólnej historii różnych narodów ani nawet wspólnej wizji historii jednego z nich. Dzieje Polski spisane w Warszawie będą zupełnie inne od tych spisanych w Moskwie, Rzymie lub Nowym Jorku. Nie ma zatem jednej historii, są historie.

Myślę, że w naszym kraju ogromnym problemem jest brak zainteresowania przeszłością – i nie chodzi tu o losy Polski, Europy czy świata, lecz o historię osobistą, rodzinną. Od lat zadaję moim studentom to samo pytanie: „Jak mają na imię mama i tata?”. Bez wahania odpowiadają. Pytam dalej: „Jak mają na imię dziadek i babcia ze strony ojca? A ze strony mamy?”. Studenci odpowiadają. Następne pytanie: „Jak mają na imię rodzice dziadka?” I tu zaczyna się problem. Nasza pamięć, poza niewielkimi wyjątkami, sięga zwykle trzeciego, rzadziej czwartego pokolenia. Tym, co było wcześniej, wiele osób nie jest już zainteresowanych. Właśnie dlatego mówienie o historii i jej nauczanie jest w Polsce bardzo trudne. U Żydów sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Większość potrafi odtworzyć dzieje własnej rodziny przynajmniej do XIX, często do XVIII, a czasami nawet do XVII lub XVI wieku. Z tego wynika tak wyraźna asymetria w podejściu do przeszłości.

Oczywiście narracje historyczne nie dzielą jedynie Polaków i Żydów. Spojrzenie na drugą wojnę światową, a właściwie „Wojnę Ojczyźnianą” z lat 1941-1945 w Rosji znacznie odbiega od reszty Europy. Te same daty podaje się też, choć w odmiennym kontekście, w Stanach Zjednoczonych. Wobec tego i w Rosji, i w Ameryce, historia drugiej wojny światowej jest okrojona o cały okres od 1 i 17 września 1939 roku do 22 czerwca 1941 roku.

Przypominam sobie podobną debatę, która miała miejsce w Krakowie prawie dwadzieścia lat temu, kiedy wybuchła sprawa Jedwabnego. Brał w niej udział między innymi jeden z ówczesnych jezuitów. Wypowiadał się bardzo autorytatywnie, powtarzał tezy Grossa, ale pojęcia nie miał, że od września 1939 roku do czerwca 1941 roku Jedwabne znajdowało się pod okupacją sowiecką!

Pamięć może być indywidualna, rodzinna, a także narodowa lub zbiorowa. W odniesieniu do drugiej wojny światowej i Shoah mamy do czynienia ze wszystkimi powyższymi rodzajami. Zetknąłem się z tym, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Ojciec w połowie lat pięćdziesiątych opowiadał mi z wielkim wzruszeniem o niepełnosprawnej Żydówce, która zginęła w czasie wojny. Zawsze miałem w pamięci jego słowa. Gdy studiowałem na Uniwersytecie Hebrajskim w latach siedemdziesiątych, nie doświadczyłem złej opinii o Polsce i Polakach. Przeciwnie, ludzie, których spotykałem, chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o Warszawie, pytali o różne miejsca i ulice. Dopiero wtedy zrozumiałem, że gdy nie było fotografii, pamięć przekazywano pismem i mową. To były dobre wspomnienia. Temat Zagłady powracał wtedy w Izraelu,

ale głównie w kontekście ogromnej tęsknoty – takiej, jaką opisywał w swoich wierszach Julian Tuwim. Nawet jeśli spieramy się na poziomie historii, w sferze pamięci rodzinnej i indywidualnej istnieje zatem możliwość porozumienia. Niestety, w przypadku pamięci zbiorowej jest to już znacznie trudniejsze, ponieważ od końca lat czterdziestych i na przestrzeni lat pięćdziesiątych znalazła się ona pod silnym wpływem polityki. W wyniku tego procesu w Izraelu, w Jerozolimie, w Jad Waszem, niemal niemożliwe jest usłyszeć słowo „Niemiec”, bo według tamtejszej narracji Zagłady dokonali „naziści i ich sprzymierzeńcy”. Nazistą i jego sprzymierzeńcem może być z kolei każdy, co często sprowadza się do sytuowania w tej grupie Polaków. Czy można to zmienić, czy nie – to odrębna kwestia. Sądzę jednak, że istnieje pole do spotkań, które do tej pory nie zostało należycie zagospodarowane.

Pozostaje jeszcze trzeci element tego zjawiska – wrażliwość na dzieje własne i innych. Doktor Marcin Urynowicz wspominał o swoim problemie z pojęciem Holokaustu. Ortodoksyjni Żydzi w ogóle go nie używają, uznając je za niesprawiedliwe i krzywdzące. Dlaczego? W czasach Starego Testamentu na terenie Świątyni Jerozolimskiej składano ofiary, zarówno obowiązkowe, jak i dobrowolne. Pierwsze stanowiły zadośćuczynienie za złe występki, drugie charakteryzowała wyraźna intencja i wolna wola, a ich celem było oddanie czci Bogu. Jedną z ofiar dobrowolnych nazywano po hebrajsku *ōlā* – to rzeczownik urobiony od czasownika *ālā* oznaczającego „unosić się”, „wstępować” – ponieważ dym ze spalanego mięsa zwierzęcia unosił się wówczas w powietrze. Ten sam rdzeń funkcjonuje w określeniu *alija*, które można przetłumaczyć jako „wstępowanie”, czyli powrót do Ziemi Izraela. Ponieważ ofiara była spalana w całości, jej hebrajska nazwa została przetłumaczona na język grecki jako *holos-kaustos*, „w całości spalony”. Określenie „Holokaust” po wojnie zostało odniesione do Zagłady i masowego palenia ciał w obozach śmierci. Religijni Żydzi zwracają jednak uwagę, że *ōlā* była ofiarą dobrowolną, a to, co spotkało ich lud, trudno za takową uznać. W miejsce tego pojęcia używają zatem hebrajskiego słowa z Księgi Izajasza: Szoah. Wrażliwość opiera się na emocjach i zrozumieniu wobec innych oraz samych siebie. W kontekście najostrożniejszych opinii, często jawnie niesprawiedliwych, najbardziej skuteczne bywa stwierdzenie wprost: „To mnie boli”. Wtedy dyskusja przybiera zupełnie inny charakter. Możemy wiele stracić, gdy sprzeczymy się jedynie o fakty.

Zapytała Pani o Kościół. Ilu przeciętnych Polaków wie, że tak jak w Szoah zginęła jedna trzecia ogółu Żydów, tak w czasie drugiej wojny światowej zginęła jedna trzecia katolickiego duchowieństwa polskiego? Po zakończeniu wojny Kościół nie skupił się jednak na własnej martyrologii, ale starał się jak najszybciej podnieść z ruin, aby wesprzeć tym samym polskie społeczeństwo. Nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia okres okupacji wpłynął na morale, ilu ludzi trzeba było przywrócić do normalnego życia. Pod tym względem ogromną pracę wykonał kardynał Stefan Wyszyński, gdy najpierw jako biskup lubelski, a potem arcybiskup warszawski i gnieźnieński, zwrócił uwagę na konieczność moralnej odnowy Polaków. Proszę pamiętać na przykład o Wielkiej Nowennie, przygotowującej do obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Kiedy Prymas wyszedł z więzienia w Komańczy i ją zarządził, od wojny upłynęło zaledwie jedenaście lat.

Kwestia żydowska była dla Kościoła bardzo trudna. Nikt nie mógł przygotować się na to, co się wydarzyło. Gdyby w 1938 czy 1939 roku powiedziec ówczesnym ludziom, że za cztery czy pięć lat świat, który znają, przestanie istnieć, wydałoby im się to niedorzeczne. Choć obawiano się wojny, nikomu nie przychodziło do głowy, że potoczy się w tak okrutny sposób.

Zagłada Żydów, stosunek Niemców wobec Polaków, ludobójstwa popełnione na europejskich nacjach – były nie do przewidzenia. Druga wojna światowa okazała się dla wszystkich szokiem. Z tego szoku musiał podnieść się również Kościół, co obejmowało też nastawienie wobec Żydów. Należy jednak uszczegółowić, czy mamy na myśli Żydów jako naród żydowski, czy żydów jako wyznawców judaizmu.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: Dziękuję. Narracje historyczne łączą się z pamięcią i tożsamością, a także określonym punktem widzenia. Jaki wpływ na obraz stosunków polsko-żydowskich i historii drugiej wojny światowej mają zatem media oraz środki masowego przekazu?

Milosz Lodowski: Nie chcę wydzielać słowa „historia” z tematu naszej dyskusji. Narracje historyczne nie są tym samym, co historie. Stanowią część popkultury, która przejawia się w opowieściach rodzinnych i oficjalnych przekazach stymulowanych przez państwo oraz prywatne korporacje. To zjawisko wymyka się aparatowi badawczemu, którym dysponuje historyk. Różni się również od tego, co znamy z własnych wspomnień. Podzielę się swoim prywatnym doświadczeniem. Jestem z Krakowa. Moja rodzina w 1941 roku została przesiedlona na Kazimierz z mieszkań w tak zwanej dzielnicy oficerskiej. Polaków przenoszono wówczas do domów opuszczonych wcześniej przez Żydów, ponieważ Niemcy zaczęli tworzyć w obrębie miasta własne osiedla. Mieszkańcy mieli tylko kilka dni na spakowanie się i przeprowadzkę. Od tamtej pory moja rodzina mieszka na Kazimierzu. Pewne wydarzenia pozostały jedynie w jej wspomnieniach, choć o pewnych kwestiach się nie mówiło, również z przyczyn politycznych. Pamięć ta odżyła rok temu, po słynnym kryzysie w relacjach polsko-izraelskich. Gdy odwiedziłem moją mamę w Krakowie, pokazała mi listy z podziękowaniami od rodzin żydowskich ze Stanów Zjednoczonych. Do tamtego momentu nie wiedziałem o ich istnieniu. Okazało się, że moja babcia, razem z mieszkańcami całego kwartału miasta, uratowała kilkudziesięciu uciekinierów z getta. W świetle tego faktu spór między Polską i Izraelem był dla mojej mamy wstrząsający. Babcia postępowała zgodnie z kanonem zwykłej międzyludzkiej pomocy. O takich gestach niewiele się słyszy, bo narracje o drugiej wojnie światowej, które funkcjonują w przestrzeni publicznej, kształtowane są głównie przez kino amerykańskie, czasem rosyjskie, rzadko niemieckie. Nie oszukujmy się, polska kinematografia bardzo słabo penetruje światowy rynek. Czasem pojawiają się wyjątki – ludzie znają Wojciecha Hasa, który wyreżyserował w 1965 roku „Rękopis znaleziony w Saragossie”, czasem Wajdę. To są jednak pojedyncze dzieła. W kinie popularnym mniej więcej do lat siedemdziesiątych większość filmów o tematyce historycznej opierała się na całkowicie zmyślonych fabułach, jak na przykład „Parszywa dwunastka”. Mieliśmy tam Niemców-dżentelmenów i nieco skrywanej fascynacji Waffen SS, ale jeśli na ekranie gościła wieloetniczna amerykańska drużyna, jednym z bohaterów zawsze był Polak. W latach osiemdziesiątych zaczęły natomiast pojawiać się narracje o współudziale naszego narodu w nazistowskich zbrodniach.

Skupieni na sprawach wewnętrznych i walce z systemem totalitarnym zapomnieliśmy, że to, co dla nas jest prawdą, bezpośrednim doświadczeniem naszych rodzin, jeśli nie zostaje opowiedziane we właściwy sposób i nie spotka się z dobrą wolą odbiorców, nagle przestaje istnieć. Biblia mówi: „Na początku było Słowo”. Słowo, czyli przekaz. Jeżeli w komunikacji nie pojawia się odpowiednia teza, jeżeli nie dociera ona na uniwersytety, do serwisów informacyjnych, do szkolnych podręczników, nie ma szans zaistnieć w przestrzeni publicznej. Przez pewien czas studiowałem w Wielkiej Brytanii. Na pierwszych zajęciach każdy musiał się przedstawić.

Powiedziałem, że pochodzę z Krakowa i dziewczyna z Indii, sikhijka, nagle odezwała się: „A, to takie miasto koło Auschwitz?”. Zareagowałem na to w jedyny możliwy sposób: „A Londyn to miasto koło Nowego Jorku”. Ona zdziwiła się: „Ale jak to, przecież to są dwa różne kraje?”. Odpowiedziałem: „A Ty mówisz o byłej stolicy Polski i nazywasz Kraków miastem obok”. Informacja o Auschwitz była tak mocno zakorzeniona w świadomości tej dziewczyny, że Polska kojarzyła się jej wyłącznie z obozem śmierci. Kraków znała czystym przypadkiem, ponieważ ktoś kiedyś wspomniał jej, że można przylecieć tam samolotem i później udać się do Oświęcimia. Na tę sztucznie wytworzoną siatkę pojęciową nakładają się współczesne realia. Gdy do Krakowa przyjeżdżały wycieczki obstawione specjalistami z bronią krótką, zdarzało się, że polscy mieszkańcy byli legitymowani przez cudzoziemców, czasem nawet rzućani na ziemię i brutalnie traktowani. Skargi do prezydenta miasta otarły się w końcu o Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Media pisały o tej sprawie, ale nikt nie reagował. W latach dziewięćdziesiątych z wycieczkami z Izraela można było nawiązać fantastyczne znajomości. Potem pojawiła się dziwna bariera, ludzie zaczęli przyjeżdżać do Polski jak na terytorium wroga. Zadziałała nowa narracja o potencjalnym współsprawstwie Polaków. Umocniło ją również polskie państwo – skoro przeprasza, to czuje się odpowiedzialne.

Nikt nie ma świadomości tego, że w Polsce zginęła jedna trzecia duchowieństwa, a ksiądz biskup Sapieha wydał specjalną dyrektywę dla Kościoła w Małopolsce, czyli na terenie Generalnej Guberni, że klasztory i duchowni mają włączyć się w ochronę ludności żydowskiej. Okazuje się, że pamięć historyczna, która została przechowana w naszych rodzinach, nadal funkcjonuje jedynie w ich obrębie. Nikt poza Polakami nie zrozumie pustki po sześciu milionach obywateli. W oficjalnych narracjach oraz komunikacji międzypaństwowej niektórzy stosują jednak kryteria norymberskie, wydzielaając ludność narodowości żydowskiej z ogółu obywateli Rzeczypospolitej. Przed wojną w spisach powszechnych wyróżniano osoby wyznania mojżeszowego z podziałem na kilka podkategorii, tak samo jak w przypadku Rusinów, Litwinów i samych Polaków. Polska była krajem wielokulturowym. Kiedy ktoś tłumaczy, że w Polsce zginęły 3 miliony Żydów, nie pamięta o tym, że oni również byli mieszkańcami tego kraju.

Słowo ma fundamentalne znaczenie. Często nasz pierwszy komunikat będzie jedynym, który zostanie zapamiętany. Jeżeli nasza narracja nie będzie odzwierciedlać polskiej racji stanu, przegramy nową współczesną wojnę – wojnę informacyjną.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: Dziękuję. Jak powiedział pan Miłosz Lodowski, przekaz ma fundamentalne znaczenie, również na ekranie. W 2017 roku do kin trafił film biograficzny „Azyl” – oryginalny tytuł: *The Zookeeper’s Wife* – w reżyserii Niki Caro, a w 2018 roku film dokumentalny „Kto napisze naszą historię” – oryginalny tytuł: *Who Will Write Our History* – w reżyserii Roberty Grossman. Oba podejmują temat stosunków polsko-żydowskich oraz życia w cieniu wojny i śmierci. Chciałabym odnieść się również do innego filmu dokumentalnego, który powstawał przez ponad dekadę w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – dziewięciogodzinny „Shoah” – w reżyserii Claude’a Lanzmanna. Poruszył on opinię publiczną na całym świecie, stając się nawet bodźcem do zintensyfikowania działań Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, w ramach śledztwa prowadzonego pod kierunkiem prokuratora Wacława Bielawskiego. Podczas dochodzenia koncentrowano się na informacjach o pomocy udzielanej Żydom przez Polaków zamiast, jak w latach czterdziestych, na dowodach popełnionych zbrodni. Czy ten film miał wpływ na kształtowanie powszechnej pamięci

historycznej? A może inne dzieła zdeterminowały poszczególne narracje o drugiej wojnie światowej?

Milosz Lodowski: Oprócz wspomnianego dzieła duże zainteresowanie budzi film „Zniesławienie” nakręcony przez izraelskiego reżysera Jo’awa Szamira, który przyjechał do Polski, towarzysząc młodzieżowym żydowskim wycieczkom. Produkcja realizowana była w Krakowie, na terenie Lubelszczyzny oraz w Auschwitzu. Film obnaża szkodliwość bariery językowej, która umożliwia wytworzenie i rozpowszechnienie mylnych przekonań. W jednej scenie trzech starszych mężczyzn siedzi na ławce pod Kościołem na Skałce, obok nich przechodzą dziewczyny z Izraela. Mężczyźni komentują: „Jakie sympatyczne dziewczyny”. Nagle podchodzi ochroniarz i każe dziewczynom się oddalić: „Oni mówią, że jesteście złe, brzydkie”. To nieprawdopodobne.

Pamiętam lata osiemdziesiąte, gdy na cmentarzu żydowskim w Remu lub nowym cmentarzu żydowskim na Kazimierzu nie było ani jednego Żyda. Ich grobami, zgodnie z polskim zwyczajem, zajmowały się takie rodziny, jak moja. Po wojnie wszyscy ludzie na Kazimierzu trzymali się razem. To była dzielnica wyrzutków, przyjeżdżali tam ludzie z obozów koncentracyjnych, którzy nie mieli dokąd wracać, ludzie ze wschodu, którzy stracili cały majątek. Wiadomo było, gdzie mieszkali ubecy kapusie, wiadomo było, których miejsc unikać. W kwartale, o którym opowiadałem, mieszkały trzy hrabiny, które uczyły dzieci języka francuskiego albo gry na fortepianie, ponieważ nic innego nie potrafiły, a musiały coś jeść. Nad nami mieszkał Jacek Maziarz z mamą, bo jego tata trafił do obozu koncentracyjnego, jako były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszyscy się znali, więc dbali także o Żydów, których było coraz mniej. Ludzie umierali, wyczerpani po trudach drugiej wojny światowej. Nie wszyscy wyjechali do Izraela.

Augustianki uratowały bardzo dużo żydowskich dzieci. Klasztory się tym nie chwala, dlatego nikt o tym nie mówi. Z jednej strony ukazują się filmy, w których Polacy pomagają Żydom, z drugiej – takie, w których zachowują się absolutnie niegodziwie. To nie propaganda, tylko wytwarzanie w młodych Izraelczykach przekonania, że wszyscy ich nienawidzą. Tej nienawiści tak naprawdę nie ma, jest fascynacja. Wystarczy pójść na festiwal kultury żydowskiej na Kazimierzu, który w ostatnim czasie bardzo się rozwinął. Okazało się, że ludzie mają ochotę zobaczyć na własne oczy coś, co znają jedynie ze wspomnień albo z literatury. Większość zamordowanych Żydów nie była intelektualistami, których mogą państwo kojarzyć z muzeum POLIN. To byli przede wszystkim ortodoksyjni reprezentanci kultury jidysz, która po wojnie w całości wyginęła. Gardzili nią zwłaszcza Żydzi złaicyzowani. Współcześnie niewiele mówi się jednak o różnicach w traktowaniu Polaków przez Żydów starozakonnych oraz Żydów laickich.

Ks. prof. Waldemar Chrostowski: Trudno skomentować słowa pana Miłosza Lodowskiego, ale chciałbym do nich coś dodać. Bardzo często podkreślamy, że w Polsce działało wielu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy pomagali Żydom. Doświadczyłem tego z drugiej strony, będąc w Jerozolimie w czasie studiów, gdy zabrano nas do Jad Waszem. Byłem jedynym Polakiem w naszej grupie. Poczuliśmy dumę, widząc tam wówczas około pięciu tysięcy polskich nazwisk – teraz jest ich już ponad siedem tysięcy. Oprowadzająca nas kobieta zapytała wtedy: „Ilu was, Polaków, było?”. Odpowiedziałem, że około trzydziestu milionów. „Te liczby to zatem dużo czy mało?”. Proszę zauważyć, w jaki sposób zderzają się dwie narracje. Jeśli sądzimy, że do Żydów zbliży nas pielęgnowanie pamięci o sprawiedliwych, musimy pamiętać, że oni patrzą na wszystko z innej strony.

Gdzie dostrzegam inne pola do zagospodarowania? Przede wszystkim w sferze polskiej, chrześcijańskiej tożsamości, którą powinniśmy wzmacniać i budować. Gdy studiowałem w Izraelu, pojechaliśmy na górę Synaj, która dla Izraelczyków jest Górą Mojżesza. Po trudnej drodze studenci żydowski zebrali się razem i śpiewali przez cały wieczór *Am Yisrael chai* – „Naród Izraela żyje”. To było przejmujące doświadczenie. W Polsce brakuje mi podobnego poczucia własnej tożsamości i godności, które powinniśmy wspólnie budować i wzmacniać.

Należy pamiętać, że istnieją siły, które próbują nas zantagonizować – Polaków z Rosjanami, co już się udało na poziomie politycznym, Polaków z Niemcami, z Litwinami, z Ukraińcami... Na płaszczyźnie polsko-żydowskiej widać to bardzo wyraźnie. Nasze szanse w tej konfrontacji są dużo mniejsze, nie tylko dlatego, że po stronie żydowskiej mamy silnych polemistów. Problemem jest znajomość historii. Większości osób trzeba uświadamiać, co wydarzyło się 1 oraz 17 września 1939 roku, przeciwko komu obrócili się Hitler i Stalin, kto cierpiał jako pierwszy, kogo rozstrzeliwano we Lwowie, Krakowie, Warszawie, kogo najpierw zamykano w obozach z antychrześcijańskim napisem *Arbeit macht frei* – nie, jak w Ewangelii według św. Jana, „Prawda was wyzwoli”, ale: „Praca was wyzwoli”. Wszystko to było silnie antychrześcijańskie i szybko stało się antyżydowskie. Po polskiej stronie mówi się o tym zbyt rzadko. Nie brakuje również takich, którzy z różnych powodów chcą przypodobać się Żydom, a w efekcie uniemożliwiają rzetelną, uczciwą dyskusję między dwiema stronami.

Na zakończenie podam jeszcze przykład ze szkolnych podręczników. W czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej liczba ofiar obozu Auschwitz była szacowana na około cztery miliony, ponieważ jeszcze w maju 1945 roku taką liczbę podała moskiewska „Prawda”. Gdy podjęto kontakty polsko-żydowskie, a szczególnie katolicko-żydowskie, rozpoczął się proces weryfikacji tych danych. Od momentu założenia obozu Auschwitz I do jego zamknięcia w styczniu 1945 roku nie można było zamordować czterech milionów ludzi, ponieważ wówczas dzienna liczba ofiar sięgałaby sześciu tysięcy. Tak śmiertelna machina nie istniała. Z badań przeprowadzonych przez żydowskich historyków wynikało, że w Auschwitz zginęło od 1,1 do 1,2 miliona osób. Na pytanie, kto ma sprostować tę informację, nasi rozmówcy wskazali Polaków, ale przecież to nie my podaliśmy nieprawidłową liczbę. W Izraelu, Wielkiej Brytanii czy Ameryce Żydzi mogli głosić prawdę, lecz zamiast tego powtarzali PRL-owską historię.

Dr Marcin Urynowicz: Mam wrażenie, że wchodzimy na błędne tory dyskusji, szkodliwe dla nas samych. Powiedziałem na początku, że nie podoba mi się słowo „holokaust”, ponieważ należy bardzo dobrze znać pewien kontekst, żeby świadomie go używać. Polacy mają z kolei problem ze swoim własnym słownictwem. W potocznym języku niemal nie funkcjonują pozytywne wyrażenia o Żydach, chyba że mają częściowo prześmiewczy charakter. To element bardzo silnie zakorzeniony w polskiej kulturze. Jednocześnie istnieje przekonanie, że to, co żydowskie, musi być najlepsze. Mam wrażenie, że w przypadku problematyki polsko-żydowskiej nieświadomie powielamy negatywne wzorce i tworzymy obraz wrogiej społeczności, która prowadzi przeciw nam wojnę informacyjną.

Kwestia Kościoła jest jednym z tematów, względem których nasza pamięć nie zgadza się z faktami. Polacy jako społeczeństwo muszą go wspólnie przepracować, dostrzec dobre i złe strony działania tej instytucji. Zarówno w średniowieczu, jak i czasach nowożytnych, różne antysemickie zajścia zaczynały się właśnie w kościołach. Podkreślanie, że z jednej strony zginęła jedna trzecia ludności żydowskiej, a z drugiej jedna trzecia polskiego duchowieństwa, sugeruje

pewną równość po obu stronach. Ten sam mechanizm działa w przypadku porównania kłamstwa oświęcimskiego z kłamstwem katyńskim, których nie powinno się ze sobą zestawiać.

Dyskusyjne jest również stwierdzenie, że nikt nie był przygotowany na to, co wydarzyło się na ziemiach polskich w okresie drugiej wojny światowej. Jeszcze przed 1939 rokiem miały miejsce masowe pogromy, w których znikła żydowska populacja całych miasteczek, na przykład Mińska Mazowieckiego. To zagadnienie trudne na poziomie osobistym i społecznym. Jako jednostki zazwyczaj szukamy rozmaitych form usprawiedliwienia dawnych błędów. Podobnie dzieje się ze zbiorowością. Polacy mają problem zwłaszcza z krytyką wobec Kościoła, czego przykładem jest pogrom w Przytyku niedaleko Radomia z 9 marca 1936 roku. Arcybiskup Hlond zaczął swój list pasterski z tego okresu od wymienienia wszystkich win żydowskich: ujemny wpływ na uczniów, upowszechnienie pornografii... Podobne zajścia miały wpływ na to, co wydarzyło się później. Już po drugiej wojnie światowej, 4 lipca 1946 roku, miał przecież miejsce pogrom kielecki. Niedawno Episkopat wydał oświadczenie na temat wydarzeń w Próchniku, używając wobec nich słowa „dezaprobata”. Czy to odpowiednie wyrażenie? Pomijając kontekst żydowski, taka postawa szkodzi naszemu wizerunkowi na świecie.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: [Czy można w takim razie stworzyć narrację historyczną, która wpłynęłaby na poprawę obecnych stosunków polsko-żydowskich oraz polsko-izraelskich?](#)

Ks. prof. Waldemar Chrostowski: Doktorze Urynowicz, nie należy w dowolny sposób streszczać cudzych wypowiedzi ani przypisywać im intencji. To właśnie stanowi przeszkodę we wzajemnych relacjach i uniemożliwia porozumienie. Poruszana problematyka jest już dostatecznie kontrowersyjna, zaś to, co trafia do środków przekazu, wcale nie jest tym, co chcą powiedzieć ludzie osobiście w nią zaangażowani. Podam państwu konkretny przykład. W 1989 roku byliśmy w Chicago na seminarium naukowym o podobnej tematyce, ze szczególnym naciskiem na rolę Kościoła. Biskup Abramowicz, u którego mieszkałem, przestrzegł mnie wtedy przed miejscowymi dziennikarzami: „I tak napiszą, co będą chcieli, a nie to, co powiedziałeś”. Nie mogłem tego zrozumieć i zacząłem protestować: „Ale jeśli udzielam wywiadu, mam prawo do autoryzacji”. „Jaka autoryzacja? Żadnej autoryzacji nie będzie” – usłyszałem tylko.

Kościół jest wygodnym „chłopcem do bicia”, co widać zwłaszcza w ostatnich latach. Mówiąc o zagładzie jednej trzeciej duchowieństwa, nie poprowadziłem prostego porównania z zagładą jednej trzeciej Żydów. Należy unikać ideologii, fałszu i stereotypów – w spojrzeniu na Żydów, tak samo jak na chrześcijan i katolików, Kościół i księży. Błędne przekonania istnieją po obu stronach i na wielu płaszczyznach, a ich weryfikacja jest bardzo trudna, wymaga uczciwości i rzetelności. Pierwszym krokiem do zmiany jest uważne wysłuchanie naszego rozmówcy.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: [Dziękuję.](#)

Milosz Lodowski: Staralem się znaleźć informacje na temat polskich strat w okresie drugiej wojny światowej na Wikipedii, czyli w medium, które kształtuje masową świadomość. Zgodnie z tymi informacjami w latach okupacji niemieckiej śmierć poniosło 6,028 milionów obywateli, z czego 644 tysiące na skutek działań wojennych (123 tysiące żołnierzy i 521 tysięcy ofiar cywilnych) oraz 5,384 milionów na skutek terroru okupanta niemieckiego. Dla porównania zachęcam do sprawdzenia artykułów w innych językach, które nie są redagowane przez

Polaków. Tak naprawdę nikogo nie interesują te dane. Jeśli sami nie jesteśmy w stanie bronić narodowego interesu, przyczyniamy się do tego, że działamy na obcym placu boju. Informacja także jest bronią. Jeżeli chcemy uczestniczyć w walce o prawdę, musimy mówić w sposób zrozumiały dla świata, ale również działający w imię polskiej racji stanu. Dziękuję.

Dr Marcin Urynowicz: Mam wątpliwości, jeśli chodzi o podejście do śmierci jednej trzeciej duchowieństwa w Polsce. Wyraźnie słyszałem żal o to, że nikt nie rozpatruje tego faktu w kontekście międzynarodowym. Skupię się jednak na rozwiązaniach, które mogą w przyszłości przynieść pozytywne rezultaty. Jak powinniśmy pisać i myśleć o tym, co się wydarzyło? Jak powinniśmy badać przeszłość? Punktem wyjścia jest szacunek dla faktów. Jeżeli szereg źródeł potwierdza jakąś informację, nie możemy jej negować albo usprawiedliwiać dla własnej przyjemności. Spotykamy się dzisiaj z głosami niewrażliwymi na polski sposób postrzegania historii, ale jednocześnie mamy tendencję do kreowania takiego obrazu dziejów, który pozostaje niewrażliwy na innych. My, jako polskie społeczeństwo, musimy przede wszystkim przyjrzeć się samym sobie. Nie możemy ignorować pewnych wydarzeń albo szukać dla nich usprawiedliwienia. Należy nam się rodzaj rozrachunku z przeszłością. Również badań historycznych nad relacjami polsko-żydowskimi nie możemy ograniczać jedynie do takich wątków, które wspierają naszą optykę. Istnieje przecież jeszcze druga strona. Nie uwzględniamy jej racji, ponieważ mamy problem ze znajomością języków, ze zrozumieniem kulturowym, z zainteresowaniem. Najważniejsze, by w naukowym oglądzie uniknąć powielania szkodliwych stereotypów. Historiografia potrzebuje ludzi wykształconych, którzy nie ulegną naciskom.

Ks. prof. Waldemar Chrostowski: Jeżeli mówimy o weryfikacji wzajemnych relacji i nastawienia do historii, przede wszystkim nie możemy krzywdzić siebie nawzajem.

Dr Martyna Rusiniak-Karwat: Dziękuję panom za burzliwą dyskusję, która pokazuje, jak wiele emocji budzi temat stosunków polsko-żydowskich. Wydaje się, że nadal brakuje nam „złotego środka”, dzięki któremu będziemy w stanie uniknąć sporów w tej kwestii.

Glosa 9

Marcin Urynowicz

Instytut Pamięci Narodowej

**RELACJE POLSKO-ŻYDOWSKIE
A NARRACJE HISTORYCZNE
O II WOJNIE ŚWIATOWEJ.
WYZWANIA DLA PRZYSZŁOŚCI**

Narracje historyczne to nieodłączny element współczesnych relacji polsko-żydowskich, tak na poziomie jednostkowym, jak i państwowym. Żydzi i Polacy znają się bowiem jedynie z przeszłości. Polska i Izrael nie sąsiadują ze sobą, ich kontakty kulturowe, gospodarcze, a nawet polityczne, są obecnie ograniczone. Wcześniej, gdy na ziemiach polskich żyła największa światowa diaspora żydowska, nie było z kolei chęci do ich nawiązania. Różnice językowo-kulturowo-religijne okazywały się zbyt silną barierą, lęk przed nieznanym był niemożliwy do przewyciężenia dla obu stron. Zdołały się one poznać jedynie powierzchownie, a sfera obcości została zdominowana przez stereotypy i uprzedzenia. Kiedy te zaczęły zanikać, nadeszła wojna, która położyła kres blisko tysiącletniej wspólnej historii. Dzisiejsza wiedza jednych o drugich pochodzi głównie z kart podręczników, rodzinnych opowiadań, mass-mediów, szeroko rozumianej popkultury oraz oczywiście z badań naukowych.

Tym, co przede wszystkim łączy obie nacje, jest stosunek do II wojny światowej. Mowa bowiem o dwóch ofiarach tego kataklizmu, dla których stanowi on najważniejszy punkt odniesienia i centrum pamięci o historii współczesnej. W odróżnieniu od wielu innych państw, w przypadku Polski i Izraela można mówić o wpływie wojny nie tylko na losy polityczne, ale też głębokie przekształcenia społeczno-kulturowe, wręcz tożsamościowe. W jej wyniku Żydzi przestali odgrywać rolę przedmiotu na arenie militarnej i międzynarodowej, stając się podmiotem kształtującym własną, i nie tylko, rzeczywistość. Polacy odwrotnie, z podmiotu przeistoczyli się na wiele lat w przedmiot, stracili niepodległe państwo i wojsko dbające o interesy narodu, a w sferze kulturalnej, politycznej i gospodarczej pozostawali całkowicie zależni od swego wschodniego sąsiada. Za symboliczne uznać można, że trzydzieści lat po odzyskaniu przez Rzeczpospolitą niepodległości, z której Żydzi, choć byli jej mieszkańcami, nie mogli w pełni korzystać, role prawie całkowicie się odwróciły.

Dla obu narodów lata II wojny światowej stały się zarazem źródłem największej traumy. Dla Żydów z powodu Holokaustu, monstrualnego mordu ponad 5 milionów osób, z których większość stanowili polscy obywatele. Dla Polaków – z powodu utraty niezależnego państwa, doświadczenia ludobójczej polityki Niemiec i Rosji oraz zdrady z rąk sojuszników, a także z racji szoku wywołanego tragicznym losem żydowskiej mniejszości.

W sferze pamięci oba narody są w pewien sposób na siebie skazane. To w Polsce znajdują się miejsca pamięci ofiar wojny oraz ślady najsilniejszej na świecie diaspory żydowskiej okresu przedwojennego. Nie przypadkiem właśnie tu przyjeżdżają masowo izraelscy uczniowie przed pójściem do wojska. Jednocześnie cała historia Polski nie może zostać opowiedziana bez uwzględnienia czynnika żydowskiego. Symbolem tej swoistej wspólnoty jest fakt, że największe masowe groby na świecie należą zarazem do Żydów i Polaków. Do Żydów, bowiem

spoczywają tam głównie prochy żydowskie. Do Polaków, bowiem znajdują się na polskich ziemiach, a wielu Żydów, którzy zostali tam pochowani, to obywatele polscy – na przykład w Treblince mordowano głównie polskich Żydów, w Auschwitz zaś obok Żydów zginęło około 80 tysięcy Polaków.

Łatwo zatem zrozumieć, dlaczego pierwszym liderem w badaniach nad Holocaustem była Polska. Największy wkład w tę dziedzinę wnieśli historycy wywodzący się ze środowisk żydowskich, w naturalny sposób zainteresowani tematem. Umożliwiły im to dwa czynniki. Po pierwsze, utworzenie po wojnie Komisji Historycznej przy Centralnym Komitecie Żydów Polskich (CKŻP), przekształconej potem w funkcjonujący do dziś Żydowski Instytut Historyczny. Po drugie, stosunkowo liberalna polityka władz Polski w pierwszych latach powojennych, kiedy system komunistyczny jeszcze nie okrzepł i nie przejął pełni wpływów.

W tym samym czasie światowa narracja historyczna, odwrotnie niż polska i żydowska, nie była zainteresowana losem cywili ani ludobójstwem popełnionym w latach 1939-1945. Główne ośrodki historiograficzne przez 20-30 lat po wojnie koncentrowały się przede wszystkim na zagadnieniach militarnych i specyficznie zbrodniczej ideologii nazistowskiej. Każde państwo analizowało co najwyżej własne doświadczenie wojny. Również w Polsce, obok wspomnianej Komisji Historycznej przy CKŻP, powstała Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, która jakkolwiek zajmowała się także losami ludności żydowskiej, skupiała się przede wszystkim na martyrologii Polaków.

Zapoczątkowane w Polsce intensywne badania nad zagładą Żydów szybko wyhamowały z uwagi na ubytek wartościowych specjalistów, którzy w odpowiedzi na rozwój reżimu uciekali na Zachód. Kierowali się głównie do USA lub do świeżo powstałego i wciąż walczącego o istnienie Izraela. Wśród najbardziej znanych przedstawicieli tej grupy znaleźli się między innymi Józef Kermisz (późniejszy szef archiwum Jad Waszem), Lucjan Dobroszycki (współpracownik YIVO Institute w Nowym Jorku), Filip Friedman (wykładowca na Columbia University w Nowym Jorku) czy Nachman Blumental (pierwszy dyrektor Komisji Historycznej przy CKŻP, a potem współpracownik Jad Waszem).

Ubytek ekspertów, podporządkowanie opracowań historycznych polityce oraz brak swobodnej wymiany naukowej z zagranicą musiał skutkować licznymi zaniedbaniami. W badaniach zarówno nad II wojną światową, jak i losami ludności żydowskiej, Polska coraz bardziej odstawała od Zachodu. Kiedy bowiem w latach 60. i 70. następował powolny zwrot w kierunku zainteresowania losami ludności cywilnej, zabrakło odpowiedniej infrastruktury naukowej, zwłaszcza publikacji monograficznych i memuarystycznych dostępnych powszechnie w USA i Europie, które pomogłyby uwzględnić polską perspektywę. Z ludobójstwa niewinnych obywateli podczas II wojny światowej wybrano tylko to, co najbardziej tragiczne – mord na Żydach. Polscy badacze, w odróżnieniu od swoich zagranicznych kolegów, mieli znikomy wpływ na rozwój tego kierunku w historiografii. W efekcie nigdy nie powstała w jego obrębie tak zwana szkoła polska, za to silnie zaznaczyła się szkoła niemiecka (jako perspektywa oprawców) i żydowska (jako perspektywa ofiar).

Od tego też momentu zaczęły postępować straty wizerunkowe Polski i Polaków. Nietrudno zauważyć, że z kraju, który jako pierwszy w Europie stawiał opór hitlerowskiej Rzeszy, walczył w podziemiu i wspierał aliantów, staliśmy się państwem o często wątpliwej reputacji, którego

ludność co najmniej nieadekwatnie do sytuacji traktowała masowo mordowaną mniejszość żydowską. Tragedia dwóch okupacji i ogromu ofiar, a potem porzucenie przez sojuszników i pięćdziesięcioletnie zniewolenie, bywają za to słabo zaznaczane, jeśli nie pomijane. Zapewne jeszcze przez jakiś czas trudno będzie o zmianę tej sytuacji.

Odzyskanie w roku 1989 suwerenności i swobody rozwoju naukowego nie było w stanie automatycznie zniwelować nierówności nagromadzonych przez pół wieku. Przyczyniły się do nich ponadto własne zaniechania oraz czynniki obiektywne, na które nikt nie miał wpływu. Do tych pierwszych zaliczyć można nikłe zainteresowanie polskich historyków losami europejskich Żydów. Nie przypadkiem tuż po wojnie utworzono odrębne ciało zajmujące się historią mniejszości żydowskiej. Nie była to jedynie forma wyjścia naprzeciw oczekiwaniom drugiej strony, ale też wynik niechęci i braku przygotowania do podjęcia tego tematu przez Polaków. Jak wiadomo, uprzedzeń polsko-żydowskich nigdy nie brakowało, a nastroje antysemityczne bynajmniej nie zanikły w wyniku wydarzeń okupacyjnych. Co więcej, eksperci zainteresowani badaniem spraw żydowskich nie mieli możliwości przyswojenia odpowiedniego warsztatu, na przykład znajomości języków. Po zdławieniu wolności i zamknięciu kraju na świat przez władze komunistyczne było to bardzo trudne.

Zaniechania uwidoczniły się najpełniej w odniesieniu do Polaków odznaczonych tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Żadnej instytucji naukowej ani władzom Rzeczypospolitej nie przyszło po wojnie do głowy, by odpowiednio ich docenić. Nie tylko nie otrzymali jakichkolwiek odznaczeń, ale też zostali pozbawieni praw kombatanckich, choć przecież narażali swoje życie nie mniej, a często nawet bardziej, niż przeciętni uczestnicy konspiracji antyniemieckiej czy antyrosyjskiej. Dopiero podniesienie sprawy przez władze Izraela, a konkretnie Jad Waszem, spowodowało, że zaczęto ich w Polsce dostrzegać, a z czasem również honorować. Wszystko to nadeszło jednak zbyt późno, po około półwieczu, na przestrzeni którego większość z nich zmarła. Nieliczni pozostali nie zawsze dysponowali z kolei odpowiednią pamięcią i dowodami swej działalności, przez co dziś nie jesteśmy w stanie zidentyfikować szerokiego grona Polaków ratujących Żydów, których Jad Waszem nie uhonorował z różnych powodów. „Sprawiedliwi” są za to niezmiennie przywoływani, by zaprzeczyć oskarżeniom o polski antysemityzm. Jednocześnie nadal brakuje systematycznych badań nad tą grupą, choć zasługuje ona z pewnością na ustanowienie wyspecjalizowanej organizacji naukowej. Wystarczy przyrzeć się istniejącym opracowaniom – laureatów odznaczenia, którym poświęcono biografie, można policzyć na palcach jednej ręki (Irena Sendlerowa, Zofia Kossak-Szczucka, Henryk Sławik). Publikację o Irenie Adamowicz trudno uznać za pełnoprawny życiorys, podobnie jak wywiady i autobiograficzne książki Władysława Bartoszewskiego. Bodaj najbardziej doceniono w Polsce rodzinę Ulmów z Markowej, którzy zostali odznaczeni dopiero w roku 1995, a więc 52 lata po ich zamordowaniu. Powstały o nich liczne książki i filmy, a nawet poświęcono im muzeum, które aspiruje do miana pomnika wszystkich Polaków ratujących Żydów na Podkarpaciu. Niestety również ta instytucja nie prowadzi działalności, która mogłaby zaowocować szerszymi badaniami nad całą grupą „Sprawiedliwych”. Jedną z przeszkód jest z pewnością brak pieniędzy. Czy jednak jedyną?

Do wspomnianych kwestii obiektywnych należy między innymi wymiana pokoleniowa. Jako naród oraz świat weszliśmy w epokę badań nad historią II wojny światowej bez świadków. Obok przykładu polskich „Sprawiedliwych” zaznacza się to wyraźnie także w przypadku historyków żydowskich. Przedstawiciele starszego pokolenia, które samo przeżyło okupację hitlerowską,

na ogół opisywali Polaków jako ofiary – inne niż Żydzi, bo nie skazane na zagładę, ale jednak ofiary. Najbardziej znanym tego przykładem może być publikacja autorstwa Izraela Gutmana i Shmuela Krakowskiego „Unequal victims. Poles and Jews during World War Two” (pol. „Nie takie same ofiary. Polacy i Żydzi w czasie II wojny światowej”) z 1986 roku. Jakkolwiek książka była w zamyśle polemiką ze środowiskami polskimi, które chciały zrównać los Polaków i Żydów, to fakt, że dwóch wybitnych historyków odczuwało potrzebę jej napisania oraz zatytułowania w sposób wskazujący wyraźnie, że obie te grupy były ofiarami wojny, jest niezwykle ważny. Zupełnie inna postawa charakteryzuje nowe pokolenie historyków Holocaustu, czy to żydowskich, czy nie-żydowskich, którzy albo zapominają o tej podstawowej prawdzie, albo deklarując wiedzę o niej, zupełnie ją pomijają. W najlepszym wypadku, idąc za przykładem Raula Hilberga, autora „Zagłady Żydów europejskich”, określają oni Polaków mianem *bystanders*, co bywa na ogół tłumaczone jako „świadkowie”. Obecnie i to bywa rzadkością. Najnowszym trendem w opracowaniach na ten temat jest przedstawianie Polaków jako obojętnej masy, a nawet pomocników Niemców.

Wbrew pozorom często nie wynika to ze złej woli. Głównym winnym jest tu zjawisko nazywane „macdonaldyzacją” historii. W przypadku badaczy skutkuje ono na ogół wyjęciem zagłady Żydów z ogólnego kontekstu okupacyjnego i pominięciem losów innych grup, zaś w przypadku przeciętnych odbiorców – maksymalnym uproszczeniem zjawisk historycznych i niechęcią do ich zniuansowanej analizy. Z tego powodu nawet znanymi osobistościami, jak chociażby byłemu prezydentowi USA Barackowi Obamie, zdarza się publicznie mówić o „polskich obozach śmierci”. Rozumieją one przez to obozy niemieckie działające na okupowanych ziemiach polskich, jednak dla osób pozbawionych wiedzy historycznej fraza ta może wskazywać na obozy stworzone i zarządzane przez Polaków w sprzymierzonej z III Rzeszą Polsce. Tego rodzaju nieintencyjne wypaczanie przeszłości nie dotyczy rzecz jasna tylko II wojny światowej i spraw polsko-żydowskich. Jest ono widoczne na całym świecie i dotyczy wszelkich aspektów pamięci dziejowej. To, że ma miejsce również w odniesieniu do historii Polski, stanowi jedynie odzwierciedlenie szerszego fenomenu.

Jak zatem z nim walczyć? Podstawą narracji, która miałaby szansę zmienić wizerunek Polski w obszarze stosunków międzynarodowych i obustronnych relacji polsko-żydowskich, powinna być pozytywna otwartość połączona z silnym akcentowaniem własnej perspektywy. Nie można przy tym negocjować przykładów negatywnych zachowań Polaków wobec Żydów – takie faktycznie miały miejsce. Co więcej, lepiej byłoby opisać je samodzielnie zamiast czekać, aż zrobią to inni, oczywiście z zachowaniem wszelkich reguł warsztatu naukowego. Jednocześnie warto upamiętniać historie „Sprawiedliwych” i innych polskich bohaterów nieznanego świata, a czasami nawet Polakom. Można w tym celu inicjować konkursy lub ustanowić nagrody za najlepsze publikacje. Ważne, by czynić to w sposób możliwie naturalny, z podkreśleniem faktu, że okupowane społeczeństwo polskie składało się głównie z cywili, którzy nie mieli pojęcia o konspiracji i uczyli się na własnych błędach, kosztujących ich nieraz wolność lub życie. Jednocześnie należy zwracać uwagę na język i terminologię, na przykład nadużywanie pojęć Polskiego Państwa Podziemnego oraz Armii Krajowej, którymi tak często się szafuje, chcąc podkreślić polskie dokonania. Trudno bowiem się dziwić, że zagraniczna opinia publiczna, nie znając historii Polski, a słysząc o „państwie” i „armii”, zadaje pytania o to, czemu Polacy pozwolili na wymordowanie Żydów – nie każdy przecież rozumie, czym były te instytucje. Nade wszystko zaś nie można ulegać antysemitycznym resentymentom, które wystawiają nam jak najgorszą opinię i dla wielu stanowią namacalny dowód domniemanej

współpracy Polaków z Niemcami. Wśród nastawionych prawicowo dziennikarzy i historyków, a nawet osób duchownych, zarysowuje się ostatnio bardzo niebezpieczna tendencja do usprawiedliwiania dawnych postaw stosunkiem samych Żydów – przedstawianych jako jednolita masa – do Polski i Polaków. Tego rodzaju twierdzenia, poza szkodliwością dla relacji międzynarodowych, mają zły wpływ na polskie społeczeństwo, które zamiast otwierać się na dyskusję z innymi, jest karmione ideologią oblężonej twierdzy i przekonaniem o krzywdzie ze strony całego świata.

Jeśli chcemy cokolwiek zmienić, musimy się uczyć. Obce języki i kultury nie stanowią zagrożenia dla silnego poczucia własnej tożsamości, a mogą okazać się jego istotnym wzbogaceniem, które w walce ze stereotypami lub zwykłą niewiedzą okaże się bardzo przydatne. Polska myśl narodowa z jej ideałami wolności i niezależności doskonale łączy się z identyfikacją europejską i światową. Przyjazna innym i szczerą, ma szansę stać się atrakcyjną i wciągnąć innych w orbitę rodzimej kultury. Wroga i oparta na mitologii, będzie jedynie zniechęcać, generować nowe uprzedzenia, budować kolejne podziały.

Glosa 10

Miłosz A. Lodowski

MxM Production House

JAK SKUTECZNIE KSZTAŁTOWAĆ POLSKĄ SOFT POWER?

Przestań narzekać, na co nie masz rady,
lecz szukaj rady w tym, na co narzekasz.

William Shakespeare

We współczesnej wojnie informacyjnej doskonale zastosowanie znajdują wszystkie taktyki znane dotychczas wyłącznie z teorii i praktyki wojskowości. Dlatego, że walka o wizerunkowy prymat jest właściwie przedłużeniem lub substytutem prawdziwej wojny. Rozgrywanej dodajmy, przy pomocy narzędzi spoza standardowo rozumianego tradycyjnie jako militarne – instrumentarium. Jeśli nie jesteśmy w stanie wzmocnić swojego państwa na tyle, by podołało zadaniom ochrony własnych interesów, najlepszą metodą jest osłabienie potencjału konkurentów. Albo punktowe wzmocnianie własnych elementów narracyjnych, które mają szansę, mimo szczupłości posiadanych środków, wywołać największą konwersję, jeśli chodzi o oczekiwany wynik. Praktyka podpowiada, że do tego celu najlepszymi środkami są metody hybrydowe oparte na współczesnych środkach masowej komunikacji, w tym – twórczo wykorzystujące zdobycze sztuki propagandowej. Doprowadzenie do zmęczenia przeciwnika, angażowanie jego sił na polach bezproduktywnych i nie przynoszących mu korzyści, animowanie waśni i konfliktów wewnętrznych, wspieranie korupcji, wysokiej przestępczości. Tak potraktowany wróg, targany wewnętrznymi niepokojami, nie będzie miał sił by odeprzeć agresję zewnętrzną. Brzmi znajomo? Chyba aż za bardzo i to nie tylko w kontekście historycznym!

COACHING PATRIOTYCZNY POTRZEBNY OD ZARAZ – GDZIE SZUKAĆ ELEMENTÓW SIŁY WŁASNEJ

Polska jest krajem, w którym za pomocą analizy procesów historycznych da się wyjaśnić bardzo wiele przyczyn stanu obecnego. Można zarówno rozważać słabości czy przyczyny kompleksów narodowych, jak i traktując wiedzę o przeszłości ofensywnie – tworzyć strategie wzmocniające nasze aspiracje. Także te o charakterze międzynarodowym. Często istotną bazą tego typu analiz są interpretacje zdarzeń historycznych, czy wręcz sama historia, jako element poddawany permanentnemu procesowi kształtowania. Trawestując Hegla, jeśli historia nie znajduje potwierdzenia w faktach, tym gorzej dla faktów. W takich sytuacjach liczy się bowiem lewarowanie medialne. Kto dysponuje silniejszym aparatem komunikacji masowej – ten wydaje się być z góry skazany na sukces. Ale czy zawsze tak jest? Wspólny obieg informacji, do którego przyczynia się nie tylko Internet, spowodował nie tylko przyspieszenie procesów globalnych w gospodarce, ale i przebudowę mentalności, czy świadomości konsumentów informacji. Należy o tym pamiętać i twórczo rozwijać strategie kreatywnego i ofensywnego operowania narratywnymi środkami komunikacji. Już Archimedes mówił: „Dajcie mi punkt podparcia,



a poruszę Ziemię”. Tak też jest z działaniami w komunikacji opartej o kreatywność podejścia. Pewne cele, które winniśmy sobie stawiać jako wspólnota, nie wymagają wcale niezmiernie kosztownych metod ich realizacji. Natomiast wymagają skutecznego planowania i misternych strategii. Polacy jako naród właśnie w zderzeniu z historią nabrali sprawności w operowaniu niestandardowymi metodami o dużej skuteczności. Inną rzeczą są oczywiście narodowe kompleksy, które znajdują często swoje odzwierciedlenie w woli tworzenia rzeczy spektakularnych, które nam samym, w naszych własnych oczach, uzmysłowią naszą wielkość. Niestety, a może na szczęście – nie tędy droga.

Jako naród zderzyliśmy się w XX wieku z dwoma gigantycznymi totalitaryzmami, które zdominowały przestrzeń, nie tylko ideowego sporu – w skali globalnej. Bycie ofiarą tak potężnego kryzysu, dotyczącego każdego z pól ludzkiej egzystencji skutkuje straszliwym strauumatyzowaniem i permanentnym stanem zakompleksienia. Co gorsza, zwłaszcza ten ostatni – czyni nas wyjątkowo podatnymi na agresję zewnętrzną, osłabia także naszą zwartość, generując wiele konfliktów o naturze wewnętrznej.

W XXI wieku można zauważyć pewnego rodzaju modę na usługi coachingowe. To szkolenia mają nam zapewnić automatyczny sukces, zwiększyć naszą efektywność, pozwolić zapanować nad własnymi wadami. Jeśli taką potrzebę podpowiada rynek w stosunku do jednostek, to dlaczego te same osoby składające się na całą zbiorowość nie wymagają podobnego potraktowania. Przeniesionego jedynie na makroskalę oddziaływania na cały naród. Najłatwiej jest stwierdzić, że tego rodzaju paliwa dostarcza i zawsze dostarczała kultura, czasem ze swoim zbrojnym, bardziej zdemokratyzowanym narzędziem w postaci popkultury. Ale co zrobić, gdy właśnie ta sfera jest od lat niedoinwestowana, nieceniona, czy wręcz zaniechywana. Dodatkowo jej przedstawiciele nie chcą uczestniczyć w zbiorowym uzdrawianiu narodu z jego traum albo wręcz, bez względu na źródło tych intencji – słabości podsycają? Wyobraźnia i marzenia podpowiadają wielkie produkcje, które zamanifestują polskie znaczenie na niwie międzynarodowej. Gigantyczne przedsięwzięcia filmowe, które w przekonaniu decydentów mają sprawić, że pokocha nas i nasze problemy cały świat. Wielkie widowiska, które swoją skalą doprowadzą do zbudowania zjawiska powszechnego zainteresowania polskością. A więc pomogą osiągnąć cele wewnętrzne, także dzięki poprawie wizerunku zewnętrznego. Innymi słowy, akceptacja zewnętrzna ma zbudować naszą samoocenę przez spektakularność ekspozycyjną naszych narodowych mitów. Zgoda, takie działania są potrzebne, ale w takich chwilach praktyk uruchamia kalkulator albo lepiej – arkusz kalkulacyjny i zaczyna mierzyć wskaźniki konwersji, efektywności i wszystko to, co zwykle nudzi ludzi sztuki i kultury przyzwyczajonych do przekonania o własnej wyjątkowości. Kultura to taki sam biznes, jak każda inna dziedzina przemysłu opartego o wiedzę. Wszędzie winny być aplikowane pewne procedury, każdy element podlega ewaluacji pod względem efektywności i skali działania, ba, wszystko co jest podejmowane, powinno być elementem czynnym wizerunkowo, programować narodową narrację, a więc ma wzmacniać wewnętrznie naszą społeczność i jej znaczenie. Także w skali międzynarodowej, wielkie i spektakularne formy, to niestety także wielkie pieniądze. By udźwignąć ciężar ich wdrażania potrzebna jest nie tylko prężna i nowoczesna gospodarka, którą, mówiąc wprost, stać na tego typu inwestycje. Zwłaszcza, że mamy świadomość niepewnej, bo zależącej przecież od gustu, stopy zwrotu. Ale znacznie trudniejszym do osiągnięcia celem jest kontrolowanie i posiadanie własnych sieci dystrybucji produktów kulturalnych. Bo dopiero to pozwala na budowanie i wdrażanie strategii długofalowych. A tego typu koszty zwykle są pomijane we

wszelkiego typu kalkulacjach. Podobnie jak kolejna z oczywistości znanych ze świata biznesu, czyli to, że zmianę, czy też jej programowanie, trzeba, jeśli ma być trwała – zbudować w oparciu o trend. A trend, to nie jest jednorazowa inwestycja. To wytworzenie mody, w tym mody na polskie widzenie świata, kulturę, czy ogólnie, na polskość. Jeśli sami tego nie kochamy jako zbiorowość – jak mamy przekonać o wartości polskości innych?

CO ROBIĆ, JAK DZIAŁAĆ

Zacznijmy od początku. Polskie dzieci nie mają dostępu do nowych polskich bajek, w tym bajek animowanych. Świat filmów dla dzieci i młodzieży praktycznie nie istnieje. W zasadzie całą naszą edukację wrażliwości nowych pokoleń podporządkowaliśmy globalnym koncertom rozrywkowym. Ktoś inny geograficznie i posiadający inną wrażliwość kulturową uczy naszych najmłodszych toposów kulturowych. Buduje przy tym w nich wizję świata, którego wartości dramatycznie różną od tej, która od wieków budowała naszą mikrocywilizację. Opowieść o świecie, jaką poznają w warstwie wizualnej, także nie jest dostosowana do naszej wrażliwości. Najmłodszych Polaków nie kształtuje też dostosowana do ich behawioru i okresu dorastania muzyka. Całości nie towarzyszy, jak to się brutalnie w języku reklamy pisze, merchandising. Bo istotą zależności, także na niwie wychowawczej jest budowanie rozwiązań kompleksowych. Całe otoczenie konsumenta może oddziaływać kulturowo, jeśli ma mieć charakter również wychowawczy. Kiedyś mieliśmy specjalne, konsultowane ze specjalistami od wychowania, publikatory dla dzieci, specjalne sekcje literatury, wyspecjalizowane wydawnictwa rozbudzające dziecięcą ciekawość, nawet telewizja publiczna posiadała własne działy edukacyjne. Innymi słowy delegujemy wychowanie naszych dzieci, będących przyszłym potencjałem kraju – zewnętrznym koncertom, czy ludziom nie rozumiejącym naszej kultury. Oddajemy pełnię władzy narracyjnej nad rzeczywistością, w której przychodzi nam i naszym dzieciom żyć. Wystarczy porównać kultowe kiedyś polskie animacje ze współczesnymi odpowiednikami, a przecież nie wszystkie się postarzały, zwłaszcza w warstwie dydaktyczno-scenariuszowej. O plastyce nie wspominać. Jeśli dzieci nie są uczone tego, co w polskiej kulturze i w polskim oglądzie świata wynikało z naszej narodowej specyfiki od zarania, nie poznają naszych zwyczajów, to czemuż się dziwić skutkom tak prowadzonego procesu wychowawczego. Temu, że edukacja prowadzona w wieku późniejszym w podobny sposób, bo bez ukazywania polskiej specyfiki, ale i wyjątkowości naszego oglądu świata, tylko pogłębia ten stan rzeczy. Sami zadbaliliśmy o to, żeby studia, które produkowały kiedyś filmowe miniatury dla najmłodszych, stały bezczynnie albo zamieniły się w skanseny pełne relikwów przeszłej chwały. Tymczasem, do tej pory, informacje z Japonii czy z innych, jeszcze bardziej egzotycznych fragmentów naszego globu, przekazują informacje o fascynacji, na przykład, historiami z udziałem Misia Uszatka, Koralgola, czy innymi tego typu przykładami. W końcu Polska to nie tylko Chopin, a od niedawna i „Wiedźmin”, także i w pozamuzycznym rozumieniu tych wyjątkowych kulturowo marek. Ale żeby nie było tak depresyjnie, że nic się nie da, wszystko zostało zniszczone albo na wszystko brakuje nam kapitału – wciąż pozostaje wiele nowych pól działania. W tym szczególnie te, które pozwalają na używanie elementów partyzanckich w działaniach wizerunkowych.

Pierwszą i chyba najważniejszą z metod, które cały czas są pomijane w strategiach narracyjnych naszego państwa, to rzecz wydawać się może oczywista i najbardziej prosta, lokacja idei polskości albo Polski – jako pewnego konstruktu ideowego właśnie. Polski jako wartości. Podobnie tworzy się pola eksploatacji dla mitycznych wartości europejskich.

Pojawiają się one w zaplanowany sposób w różnych nośnikach informacyjnych, od ekspozycji marki (brandingu) – na rozmaitych tablicach inwestycji, od telewizji śniadaniowych, poprzez prasę brukową na tygodnikach telewizyjnych i serialach kończąc. Działania te mają swoje rozseparowania dedykowane konkretnym grupom docelowym i różnią się nie tylko formami, ale i metodyką używanych środków dotarcia. Czy *per analogiam*, stosując program minimalny, podkreśla się rolę i skalę oddziaływania państwa polskiego na podobnej zasadzie, jego partycypacji w rozmaitych działaniach cywilizacyjnych i modernizacyjnych? Czy powstają dedykowane programy, lokujące tradycję narodową, rolę zwyczaju, czy elementów wspólnej tożsamości? Nie – bo wydaje nam się to oczywiste, że ludzie to intuicyjnie chłoną. Niestety nagromadzenie środków generujących komunikaty w stopniu ponadprzeciętnie obciążającym naszą percepcję i recepcję rzeczywistości tym procesom nie pomaga. A przecież już pojawia się oddolnie generowana moda na zakupy polskich produktów i towarów. Takimi działaniami trzeba sterować oraz sprawnie je animować. Posługując się przykładami ze sfery kultury masowej, nie trzeba robić całego filmu, by zaistnieć w odbieranym przez rzesze widzów produkcie filmowym. Wystarczy budzący sympatię bohater albo wykorzystanie tych, którzy już w przeszłości powstali. Nawet w cudzej produkcji filmowej. Dobrze dobrane elementy scenograficzne, a potem dobudowane do tego narracje, również w formie ciekawostek czy podpowiedzi, które w mediach, w tym światowych, opowiedzą o tejsze scenografii specyfice, również odpowiadają na stworzenie trendu mody na polskość. Jeśli prześledzi się bohaterów kina hollywoodzkiego, to łatwo zauważyć, jak zmieniał się na przestrzeni lat obraz Polaka albo osób polskiego pochodzenia w światowej kulturze masowej. Jak zmieniał się odbiór osób o polsko brzmiącym nazwisku. Kiedyś bywali bohaterami, jeśli nie pierwszoplanowymi, to często pozytywnymi. Wystarczy wspomnieć wiele hitów filmowych lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. W dalszym ciągu nie jest rozpoznana, nie jest zbudowana, a przede wszystkim nie jest twórczo wykorzystywana baza aktorów filmowych o polskich korzeniach. Można zadbać o kreatywne wzmacnianie ich karier, wykorzystywać twórczo w reklamach, wspierać ich rozwój, a także zakres popkulturowego wpływu. Tak czyni wielu naszych konkurentów i to w sposób, często daleki od subtelności. Tymczasem my musimy i powinniśmy działać subtelnie, zwłaszcza jeśli ma to być skuteczne. Głównie dlatego, że rodzące się trendy od samego zarania mają wielu wrogów, a nasi konkurenci są dużo mocniejsi ekonomicznie. Choć ich siła wynika nie tylko z wagi i potęgi pieniądza.

Warto przypomnieć o paru, może nieoczywistych faktach. Często polski bohater jest w kinie symbolem dawnej Ameryki, tej już odchodzącej albo roztapiającej się we współczesnym, multietnicznym społeczeństwie – by przypomnieć Walta Kowalsky'ego, niesamowitą kreację Clint Eastwooda w „Grand Torino”. Zresztą „Mad Max”, inna kultowa postać kina światowego, buntownik i protagonista całej sekwencji kultowych, dystopijnych filmów – ikon lat osiemdziesiątych – nazywał się Rockatansky. Mało? Tych przykładów jest multum, nie zawsze bowiem Polak to świnia, jak w komiksie „Maus” Arta Spiegelmana albo pijak, gwałtownik i brutal, Stanley Kowalski – jak w „Tramwaju zwanym pożądaniem” Elii Kazana, czy w późniejszych adaptacjach tej sztuki Tennessee Williamsa. Przecież to właśnie teraz do świata filmowego wraca moda na niezwykle lata osiemdziesiąte. Szturmem światowe telewizory zdobył bazujący na dziecięcych wspomnieniach i sentymencie dzisiejszego pokolenia czterdziestolatków serial „Stranger Things”. Czy pojawienie się w nim nastolatka, uciekiniera z Polski, który nosiłby znaczek Solidarności odbiegałoby od realiów Stanów Zjednoczonych czasu ówczesnego? No chyba nie, skoro jednym z elementów scenograficznych w tejsze serii był portret prezydenta

Reagana, a obok mignęło zdjęcie papieża Jana Pawła II. Taniej wyprodukować cały sezon światowego hitu, czy zasponsorować pojawienie się widocznego elementu scenografii, w tym wspaniałych dzieł polskiej szkoły plakatu – co kiedyś było hollywoodzką codziennością i to nie tylko w filmach Polańskiego. Co jest droższe, zbudowanie międzynarodowej kariery artysty, czy ulokowanie w popularnej produkcji postaci jednego, zauważalnego, choć niekoniecznie pierwszoplanowego bohatera? To w zasadzie pytania retoryczne, ale istotne w zakresie zadań, które jako społeczność powinniśmy sobie stawiać.

Wreszcie gaming. W tym sektorze wirtualnej rozrywki Polacy odnoszą globalny sukces za sukcesem, stajemy się także w tej materii cenionymi w świecie specjalistami. Polskie firmy wyznaczają światowe trendy, także pod względem jakościowym. Ale przecież jedna z bardziej kultowych postaci świata gier komputerowych, B.J. Blaskowitz i jego historia, w tym wymyślona przecież od podstaw oraz, co warto nadmienić, zmieniana przez lata biografia, bohater serii Wolfenstein, to temat na niejedną samodzielny esej. W pierwotnych swoich występach w latach dziewięćdziesiątych był Amerykaninem polskiego pochodzenia (gry „Wolfenstein” i „Spear of Destiny”), po to tylko, by w XXI wieku (w odświeżonych odsłonach serii) mieć już patologicznego polskiego ojca i ciemioną przez niego matkę Żydówkę, a następnie polską miłość i wybrankę serca. Całość jest osadzona fabularnie w alternatywnym świecie, w którym wojnę światową wygrywają nazistowskie Niemcy. Wbrew pozorom to oddziałuje na zbiorową świadomość, ale i na recepcję współczesności. Mowa kontekstów, ale i tworzonych na nowo opowieści. Takie rzeczy, a więc i zmiany narracyjne też winniśmy śledzić i powinno to być działanie traktowane jako strategicznie ważne. Winniśmy śledzić, ale nie tylko obserwować i oburzać się w przypadkach nas niesatysfakcjonujących – ale przede wszystkim twórczo i w czasie rzeczywistym – reagować.

Nie dalej jak w 2017 roku pojawił się dodatek do gry „Call of Duty – WWII” – „The Resistance”, jednego z największych sukcesów kasowych globalnego gamingu, który tylko do końca 2017 roku wygenerował ponad miliard dolarów przychodu. W reklamowych zapowiedziach pojawiła się, co odnotował każdy zainteresowany grą gracz na świecie, mapa Europy w czasie drugiej wojny światowej z zaakcentowanymi trzema miastami, co sugerowało odpowiednie rozwinięcia fabularne. Paryż, Praga, Warszawa. Po wydaniu dodatku okazało się, że i owszem, akcja dodatku dzieje się w Paryżu, gracz przenoszony jest następnie do Pragi w czasie operacji „Anthropoid” i ostatecznie „ląduje” w Wilczym Szańcu – w Gierłoży – gdzie ma miejsce operacja „Valkiria” (sic!). Szokujące? Jak to się stało, że ewidentna enuncjacja, pokazująca polską lokalizację, nie zyskała kontynuacji. Być może było to zaproszenie do negocjacji na temat lokalizacji albo konsultacji tychże, sformułowane w zapowiedzi tej produkcji? I ono właśnie zostało we właściwy sposób odczytane przez Czechów, Francuzów, a Polacy wykazali się biernością. Czy któraś z polskich instytucji zaoferowała projektantom jakąkolwiek pomoc po pierwszych enuncjacjach prasowych? A co by się stało z polskim wizerunkiem, gdyby jednym z symboli ruchu oporu we współczesnej światowej świadomości, za sprawą miliardowej społeczności graczy była nieugięta Warszawa z jej Powstaniem? Oczywiście w tym kontekście sam fakt, że Polacy dysponowali najpotężniejszym Państwem Podziemnym podczas II wojny światowej, posiadali też Armię Krajową, która skalą swoich działań i zaangażowaniem ma znaczenie niepoślednie – jest sprawą wtórną. Cóż z tego, jeśli nikt o tym nie wie, książki historyczne z przyczyn cywilizacyjnych służą jedynie nielicznym, a wiedza na temat skali polskiego oporu w czasie tego globalnego konfliktu sytuuje nas bliżej obozu niemieckich agresorów, niżli w obozie zwycięzców. Zbiorowość współcześnie kształtują

nie fakty, ale opowieści na ich bazie lub co gorsza, twórczo wykorzystujące tworzywo historyczne jako kanwę do tworzenia konkretnych narracji albo uzasadniających konkretne procesy historyczne, albo wręcz osadzające współczesne elementy polityki w popkulturowych mitach. Witajcie w świecie propagandy XXI wieku.

Już w kwietniu pojawi się oczekiwany przez miliony graczy na całym świecie Cyberpunk 2077. Tworzony jest przez zespół z opromienionego nagrodami za „Wiedźmina” w trzech odsłonach – polskiego studia CD Projekt. Gra dzieje się w stosunkowo nieodległej przyszłości, w świecie zdominowanym przez światowe megakorporacje, których interesy i fabuła zbiegają się w umieszczonym na zachodnim wybrzeżu Wolnych Stanów Północnej Kalifornii – megalopolis Night City. Wyobrażacie sobie państwo, że elementem miasta przyszłości mogłaby być Wieża Pileckiego? Albo jedną z megakorporacji o charakterze globalnym (a może i kosmicznym), choćby i potentatem na rynku przyszłościowej rozrywki – firma z Polski. Takie lokowanie polskości mogłoby być elementem tła, ale być przecież także elementem czynnym fabularnie, co jest swego rodzaju branżowym standardem. Ciekawostki tego typu umieszcza się w elementach narracyjnych, by stanowiły potem składnik słynnych w świecie cyfrowej rozrywki „easter eggów”. Takie postępowanie w przypadku lokowania Rotmistrza – skłoniłoby milionowe rzesze graczy do zainteresowania się jego postacią. Czy jakiś oficjalny czynnik zaproponował podobne rozwiązania producentom gry? Tu nie chodzi o brutalną ingerencję w proces produkcyjny gry komputerowej, ale wykorzystanie chociażby istniejących elementów świata przedstawionego, jakim są scenograficzne billboardy reklamowe, jakie pojawiają się w grze, bo są elementem konwencji. W taki sposób lokowano w słynnym „Blade Runnerze” Ridleya Scotta – całą plejadę japońskich megakorpów technologicznych. To branżowy standard, w końcu nawet w grach sportowych typu FIFA sprzedaje się współcześnie nośniki reklamowe na wirtualnych stadionach! W końcu część środków pozyskiwanych przez firmę CD Projekt na rozwój, pochodzi także z dotacji celowych rozmaitych agend naszego państwa. Czyli jest pole do prowadzenia negocjacji w imieniu nie tylko państwa, ale przede wszystkim całej naszej zbiorowości. Oczywiście to tylko pomysły, podobnie jak ten, o którym pisałem wcześniej, mianowicie dziecko uciekinier z Polski stanu wojennego w „Stranger Things”. Ale to demonstratory stylu i sposobu myślenia, który uwzględni specyfikę i możliwości, jakie daje nam współczesna popkultura. Coraz częściej to właśnie kreatywność w myśleniu i budowaniu strategii wizerunkowych oraz nieszablonowość i elastyczność myślenia jest ważniejsza od wielkich pieniędzy. Wykorzystywanie istniejących marek, próby lewarowania i lokowania konkretnych wartości czy idei to standardowa forma osiągnięcia celu przy minimalizacji kosztów dotarcia do konsumentów. W końcu w czasach nam współczesnych komercjalizuje się całe społeczności konsumentów, będące w obszarach wpływu marek. A nie tylko i wyłącznie buduje wciąż nowe produkty, co pociąga za sobą gigantyczne nakłady instalacyjne. Zwłaszcza, że nieograniczonych budżetów po prostu nie posiadamy. Ich zaistnienie, także w przyszłości, zależy w istocie od stanu naszej, wciąż niedoskonałej gospodarki.

Rekapitulując, polskie działania wizerunkowe muszą być tak bardzo nieszablonowe i zaskakujące, by budowały również wizerunek naszego kraju w zgodzie z tym, jak chcemy pozycjonować nasz kraj. Śledźmy światowe trendy, szukajmy szans i punktowo lokujmy polskości w pozytywnym jej rozumieniu. Wszędzie, gdzie się da, ale i racjonalnie, jeśli chodzi o proporcje. Ta taktyka może uzupełniać standardowe metody zasięgowe, a z czasem wzbudzi odpowiednie trendy i modę. Choćby i ze względu na oryginalność takiej taktyki, a także egzotyczność naszej kultury, choćby i pod kątem jej historycznej specyfiki. To może być nasz wyróżnik, ale i szansa.

Sam „Wiedźmin” i muzyka skomponowana do niego spowodowała ożywienie zainteresowania słowiańskością i muzyką folkową z naszego regionu. W rozmaitych jej odmianach. Jeden kamyczek może wzbudzić całą lawinę. Kultura jest jedną z najdoskonalszych broni. Trzeba tylko z niej umiejętnie czerpać. Korzystajmy więc nawet z tych najmniejszych możliwości. Bo dzisiejszy świat docenia pieniądze, co czynił zresztą od początków istnienia wymiany towarowej, ale znacznie bardziej efektywne jest rozsądne gospodarowanie wiedzą, wspartą nieograniczoną wyobraźnią. Budowanie hybryd komunikacyjnych zestawiamy z przewidywaniem, polską pasją, zaangażowaniem Polaków, czy innowacją, a przede wszystkim bawmy się różnego rodzaju racjonalizacjami. To też jest coś charakterystycznego dla Polaków. A wszystkie te działania i cechy są w stanie lewarować niedostatki kapitałowe. Ku chwale Ojczyzny i nas samych.

III. RELACJE
POLSKO-
-ROSYJSKIE

Debata pt. „Relacje polsko-rosyjskie a pamięć
o Zbrodni Katyńskiej” odbyła się
4 kwietnia 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

PAMIĘĆ O ZBRODNI KATYŃSKIEJ

W dyskusji udział wzięli:

prof. Wojciech Materski
(Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie),

prof. Tadeusz Wolsza
(Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy,
Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej,
Rada Programowa Fundacji im. Janusza Kurtyki)

dr Witold Wasilewski
(Instytut Pamięci Narodowej).

Rozmowę poprowadził
dr Maciej Wyrwa
(Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia).

Dr Maciej Wyrwa: Witam Państwa bardzo serdecznie. Pragnę podziękować organizatorom za zaproszenie na tę debatę. Jak ważna i żywa jest kwestia Katynia, Zbrodni Katyńskiej, pokazują ostatnie wydarzenia. Chodzi o to, co się dzieje w Kuropatach, miejscu szczególnie ważnym dla pamięci o Zbrodni Katyńskiej. W tym miejscu prawdopodobnie są pogrzebane ofiary białoruskiej listy katyńskiej. Poprosiłbym pana doktora Ihora Mylnykova, który siedzi na widowni, aby opowiedział nam o tym, co się dzieje w Mińsku na Białorusi, w uroczysku Kuropaty, które znajduje się na skraju Mińska.

Dr Ihor Mylnykov: Dzień dobry szanownym państwu. Idąc na dzisiejsze spotkanie myślałem, że będę tutaj jako gość i będę na widowni. Bardzo ciężka, trudna jest sytuacja w Kuropatach. Wczoraj zjawili się tam przedstawiciele tamtejszej milicji, przedstawiciele leśnictwa, zaczęli coś robić obok Kuropat, a dzisiaj rano, o godzinie ósmej, pojawili się technicy i zaczęli wyciągać krzyże, które zostały postawione obok tego uroczyska, obok lasu. Pojawili się przedstawiciele środowiska niepodległościowego, ale zostali aresztowani. Piętnaście osób. Zareagowano. Przedstawiciele oficjalnego parlamentu białoruskiego, ogłosili w prasie, że został popełniony poważny błąd. Uznali, że to jest strzał w historię i jest to duży problem. Ktoś porównywał, że wyciągnięte krzyże wyglądają jak ciała kładzione na tyły ciężarówek. Na filmie video było nagrane, jak wyciągają krzyże i kładą na tyły ciężarówek. Mocna symbolika. Rozmawiałem z panem doktorem przed spotkaniem. W czasie naszej rozmowy padło pytanie: Czy wyciągają wszystkie krzyże, czy tylko te? Dzisiaj wyciągnęli krzyże tylko na skraju lasu. Następnie zaczęli stawiać płot. Pojawia się historyczna analogia. Na początku lat trzydziestych zaczęły się rozstrzeliwania w Kuropatach. Ciężarówki NKWD przyjeżdżały do lasu, aby rozstrzelać ludzi. Wokół uroczyska w Kuropatach znajdowało się dużo wsi. Ludzie mieszkający na wsiach, słysząc strzały, zaczęli tam przychodzić. Były tam świeże masowe groby. Ludzie opowiadali, że każdej nocy, cały czas słyszeli strzały. Władza radziecka, aby uniknąć przychodzących ludzi ze wsi, postanowiła zrobić tam płot, a po wielu latach tym razem władza białoruska postawiła tam płot. Kiedyś władza radziecka, dziś białoruska. W dziury, w których były krzyże są wstawiane metalowe pręty i jest montowany płot. Wy tłumaczeniem takiego postępowania najprawdopodobniej będzie to, że będą chcieli ochronić to miejsce od aktów wandalizmu, ponieważ nagle, parę tygodni temu, ruszyła fala wandalizmu. Na początku ktoś namalował gwiazdy Dawida na oficjalnym pomniku. Oficjalna władza ten pomnik postawiła, gdy ludzie zaczęli zwracać uwagę na to, że jest to miejsce wielkiej tragedii białoruskiej. Możliwe, że w tym miejscu będzie jakaś kontrola, chociaż żadnych kamer nie wmontowano. Milicji było dużo.

Jestem naukowcem, historykiem, ale również oprowadzam wycieczki. Wiele razy wyłaniała się inicjatywa wycieczki. Młodzi Białorusini prosili mnie o wycieczkę właśnie w tamto miejsce. Cały czas, gdy przychodziłem do Kuropat z wycieczkami, pojawiał się człowiek z kamerą

i nas filmował. Byłem pilnowany cały czas przez kogoś z milicji. Taka polityka doprowadziła do tego, że Kuropaty są miejscem mało znanym. Dzisiejsze wydarzenie miało jednak wpływ na społeczeństwo, ludzie obawiają się, że będą prowadzone akcje przeciwko krzyżom, które znajdują się w centrum memoriału narodowego. Władza do ostatniego roku nic nie robiła z tym miejscem. Ludzie tam stawiali krzyże albo kamienie, upamiętniające tą tragedię. Przyjeżdżali Polacy i Żydzi. Obie nacje mają tam swoje zakątki. Białorusini z zachodnich obwodów Białorusi również mają swój zakątek. Ludzie nie wiedzą, gdzie pochowani są ich krewni. Stawiają jakiś krzyż, pamiętnik, pomnik, aby upamiętnić swoich krewnych. Jednak dzisiejsze wydarzenie jest strzałem w historię, jest tragedią.

Dr Maciej Wyrwa: Dziękuję. Teraz pozwolę sobie przejść do naszego dzisiejszego tematu. Pretekstem naszego dzisiejszego spotkania jest między innymi wydanie w Ameryce książki profesora Tadeusza Wolszy, pod tytułem: „Dotyk Katynia”, nagrodzonej w pierwszej edycji Nagrodą im. Janusza Kurtyki. Na początek pragnę oddać głos autorowi tej książki. Chciałbym zapytać o losy świadków ekshumacji grobów w Katyniu w 1943 roku. O losy polskich świadków, które pokazują nam jak w soczewce stosunek późniejszych władz PRL-u do Zbrodni Katyńskiej.

Prof. Tadeusz Wolsza: Zacznę od trochę innego wątku. Nigdy nie spodziewałem się, że książka ujrzy światło dzienne w języku angielskim. Nie miałem takiego zamiaru, gdy pisałem tę książkę, bardziej myślałem o polskim czytelniku i o opisanu pewnych wydarzeń, które nie zaistniały w ujęciu dość szerokim, w porównaniu do innych publikacji, na przykład profesora Materskiego albo doktora Witolda Wasilewskiego, którzy w swoich publikacjach opisywali pewne sprawy, które ja również podnosiłem, ale w węższym horyzoncie. Potem sytuacja się inaczej potoczyła. Jest to dla mnie miła niespodzianka, ponieważ już wcześniej były próby podejmowane przez polskich badaczy, wydawania swoich publikacji w Stanach Zjednoczonych lub na Wyspach Brytyjskich, aby poinformować czytelnika o Zbrodni Katyńskiej. Próby nie zawsze były zakończone powodzeniem. Znamy historię Janusza Zawodnego, Stanisława Swianiewicza, którzy byli w trochę lepszej sytuacji, dzięki odrobinie szczęścia. Mieli satysfakcję i opublikowali swoje prace.

Chciałbym przywołać przykład Józefa Mackiewicza, pierwszego dziennikarza i badacza, który podjął się zbadania tematu Zbrodni Katyńskiej i opublikowania tej książki w Stanach Zjednoczonych. Praca dotarła do USA, do Wacława Jędrzejewicza, był to albo 1944, albo 1945 rok. Gdy Mackiewicz miał już przygotowaną wersję do druku, okazało się, że na tę książkę jest bardzo małe zainteresowanie. Nie wywołała zainteresowania. Katyń w tamtych czasach nie cieszył się tak dużym zainteresowaniem, jak na przykład od 1950 roku, gdy zmieniła się sytuacja polityczna. Mackiewicz był na miejscu Zbrodni Katyńskiej. Był w delegacjach, które jechały do Katynia. Obserwował, zadawał pytania, rozmawiał z członkami komisji lekarskiej, z członkami Polskiego Czerwonego Krzyża. Miał ogromną wiedzę, badał ten problem. Był autorem wiarygodnym, miał lekkie pióro. Książka, którą napisał, była profesjonalna. Ona ukazała się później w Europie, w języku niemieckim, ale w Ameryce nie potrafiła się przebić. Sprawa legła w gruzach.

Miałem więcej szczęścia od pana Mackiewicza, książka się ukazała, ale nie potrafię powiedzieć, jaki będzie rezonans. Czy trafi tylko do rąk specjalistów, czy również do rąk czytelników, którzy interesują się tematem Zbrodni Katyńskiej. Natomiast jeśli chodzi o moich bohaterów,

książka, którą napisałem, jest książką o Polakach, którzy wizytowali miejsce zbrodni. Potem stali się świadkami pewnego wydarzenia natury politycznej. Jednak ta książka jest również o innych świadkach wydarzeń. W swojej recenzji o mojej książce, profesor Materski napisał, że ja opisuję losy sześćdziesięciu kilku osób, a w Katyniu było blisko trzydzieści jeden tysięcy osób, które tam dotarły z różnych powodów, z różnych względów. Niektórzy przyjechali, chcąc wyjaśnić albo chociaż próbować wyjaśnić okoliczności Zbrodni Katyńskiej, a inni przyjechali z zupełnie innych powodów. Każdy miał inną misję do wykonania. Nie będę tego wątku rozwijał. Jeśli chodzi o polskie delegacje, to jest kilka ciekawych wątków, które chciałbym, by w dniu dzisiejszym wybrzmiały. Wątki, o których chciałbym powiedzieć są pozornie mało prawdopodobne, ale tak właśnie było. Niestety, nie znalazłem nazwisk wszystkich, a próbowałem szukać na różne sposoby. Mamy liczbę osób, brakuje nazwisk. Niemcom się wydawało, że to będą ludzie, którzy będą świadczyli na ich korzyść w sytuacji, gdy będzie międzynarodowy dyskurs na temat określenia zbrodniarzy. W związku z tym każda delegacja była wyposażona w pewne ważne dokumenty, które będą przydatne do późniejszego nagłośnienia tej sprawy. Każdy wyjeżdżał z różnymi rzeczami z Katynia. Były to fotografie, były to guziki katyńskie z mundurów żołnierzy polskich, były to fragmenty mundurów, były to drobiazgi, które udało się zdobyć. Niektórzy wywozili nawet sznury, którymi były spętane ofiary. Każdy miał przygotować wystawę w swoim miejscu zamieszkania, dla kolegów z pracy bądź dla osób, które przyjdą na prezentacje filmu dokumentalnego, który jak na tamte warunki powstał w ekspresowym tempie. Według prasy gadzinowej, premiera filmu po raz pierwszy była w Krakowie 22 kwietnia. Dosłownie dziesięć dni od momentu, gdy przyjechały pierwsze delegacje. Jest to ekspresowe tempo, jeśli chodzi o przygotowanie takiego materiału. Współcześnie jest to kwestia jednego dnia, natomiast kiedyś była inna sytuacja. Nie możemy dzisiejszego rozwoju techniki porównywać z tamtą sytuacją. Niemcy przygotowali miejsca, które będą im przydatne do propagandowego ujęcia tego zagadnienia. Były różne urządzenia, samochody, które poprzez mikrofony zbierały wypowiedzi ludzi, którzy tam przyjeżdżają. Nagrywano przy dobrych warunkach technicznych płyty gramofonowe, na przykład z homilią księdza w Lublinie, kiedy była msza poświęcona ofiarom Zbrodni Katyńskiej. To jest 1943, 1944 rok, technika nie jest tak doskonała, jak dzisiaj, nakłady ogromne siły i środków, by nadać tej sprawie tak ogromną rangę. Liczba egzemplarzy, broszur, czasopism, gazet, szła w miliony. Jest to na niespotykaną skalę. W historii drugiej wojny światowej, nie było drugiej takiej akcji propagandowej, w której byłyby zaangażowane tak ogromne siły i środki, tyle tysięcy ludzi.

I jeszcze jedna rzecz, o której zacząłem. Niemcy nie zwracali uwagi na proveniencje ludzi, którzy tam przyjeżdżali. Tam mógł pojechać szef Polskiego Państwa Podziemnego i nikt nie zrobiłby mu krzywdy. Niemcy zaprosili rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Marian Kukiel poważnie się zastanawiał, czy nie polecą samolotem i nie zobaczą na miejscu tego co się dzieje. W składach delegacji, które wyjeżdżały do Katynia znajdowały się osoby, którzy byli przedstawicielami Polskiego Państwa Podziemnego. Niemcy mieli tę świadomość. To byli ludzie, którzy jechali wedle planów niemieckich, z misją którą na pewno zrealizują. Niemcy mieli świadomość, że jeśli pojadą tacy przedstawiciele, to oni w trybie błyskawicznym, przekażą tę wiedzę dalej, między innymi do struktur kierowniczych Armii Krajowej, Polskiego Państwa Podziemnego, a Polskie Państwo Podziemne przekaże tą wiedzę drogą radiową albo przez kurierów do Wielkiej Brytanii, a wiedza w Wielkiej Brytanii dotrze do rządu brytyjskiego i amerykańskiego. To było marzeniem Trzeciej Rzeszy, aby alianci się poróżnili. Taka była misja. Chodziło o to, aby poróżnić władze brytyjskie i amerykańskie ze Związkiem Sowieckim. Niemcy nie kochali Polaków, im nie zależało, żeby tę akcję zorganizować z myślą o sympatii do Polaków. Chodziło

o coś innego. Było to widać w każdym wydarzeniu, które było organizowane w 1943 roku. Organizowane z ogromnym rozmachem na niespotykaną skalę. Widać to w czasopiśmie, w prasie godzinowej, w prasie zagranicznej. Z prasy paryskiej z 1943 roku narzuca się konstatacja, zresztą przywołana przez jednego z polskich pisarzy, który przebywał na emigracji we Francji, że Paryż „zkatynizował się”. Tam każda gazeta rozpoczynała się od tytułu „Co się dzieje w Katyniu?” Serwisy prasowe, najlepsi pisarze, najlepsi dziennikarze, dyskusje, opinie lekarzy, komentarze. To był hit dnia. Na pierwszym miejscu. Nie trwało to przez jeden dzień, to trwało przez kilkanaście dni z różnym nasileniem. Widać, że była to bardzo ważna sprawa.

Próbowałem to wszystko pomieścić w swojej książce. Chociaż tytuł pierwotny brzmiał: „Wojenne i powojenne losy Polaków wizytujących Katyń w 1943 roku”. Ten tytuł nie oddawał jednak zawartości. Ten drugi tytuł „Dotyk Katynia” jest dużo lepszy. Bardziej oddaje zawartość książki. W swojej pracy starałem się pomieścić szereg informacji o charakterze wychodzącym poza krąg Polski, Generalnego Gubernatorstwa, ziem wcielonych do Trzeciej Rzeszy. Próbowałem spojrzeć na losy tych sześćdziesięciu kilku moich bohaterów, które do pewnego momentu były związane z ziemiami polskimi, Generalnym Gubernatorstwem, ale w pewnym momencie przestały już dotyczyć spraw polskich. Oni znaleźli się czasem w sytuacji bez wyjścia, musieli z Polski uciekać albo się w Polsce ukrywać. Siedzieli w więzieniu, a niektórzy z nich stracili życie. Losy tych ludzi często były powikłane i dlatego moja książka często wykracza poza obszar Polski. Wędruje z moimi bohaterami do USA, do Francji, do Wielkiej Brytanii. Gdzieś po świecie, gdzie oni też, ratując swoje życie zawędrowali albo w 1945 roku, albo trochę później, bo wcześniej udało im się to życie uchronić, ukryć. Zdarzało się też, że przez jakiś czas po prostu nie byli zidentyfikowani. Służba Bezpieczeństwa miała ogromne problemy, żeby tych ludzi namierzyć. Pan doktor Witold Wasilewski wie doskonale, jak wyglądały poszukiwania tych ludzi, ponieważ też o tych sprawach pisał.

Chciałbym przywołać informacje jednego z prokuratorów, który zajmował się sprawą kolaboracji, Arnolda Gubińskiego. Katyń został wpisany do spraw kolaboracji. Gubiński napisał w powojennej prasie, że zwraca się do wszystkich tych, którzy mają roczniki „Kuriera Warszawskiego” bądź „Gońca Krakowskiego” i prosi o ich przyniesienie lub wypożyczenie na pewien czas, bo będzie szukał nazwisk kolaborantów na łamach prasy. Władze nie były dobrze przygotowane do zidentyfikowania wszystkich osób. Możliwe, że właśnie dlatego wielu z moich bohaterów spokojnie sobie mieszkało w Polsce. Dopiero potem, gdy sytuacja się zagęściła, zaczęto szukać wyjścia z sytuacji. Na początku ludzie wyjeżdżali na tak zwany polski dziki zachód, czyli na Dolny Śląsk, a potem już w świat.

Dr Maciej Wyrwa: *Panie doktorze, Co dalej stało się z tymi ofiarami? Jaki był ich los w czasach PRL-u?*

Dr Witold Wasilewski: Znając kontekst historyczny, nietrudno się domyślić, że to były różnego rodzaju prześladowania: kary więzienia, usunięcia z pracy itd. Trzeba brać pod uwagę okresy, w których władza działała, chodzi oczywiście o nasilenie represji. To są poszukiwania bezpośrednio po zakończeniu wojny, ale to jest również 1952 rok, kiedy poszukiwano polskich świadków Katynia. Działania Kongresu Stanów Zjednoczonych są coraz bardziej znane. Natomiast mało znanym faktem jest to, że wtedy Stany Zjednoczone wprowadziły w szkołach publicznych, do programu nauczania element wiedzy o martyrologii polskiej i Katyniu. Zakończony testem z pytaniem: kto jest winny zbrodni w Katyniu? Jest to test, składający się

z pytań zamkniętych. Odpowiedź oczywiście brzmiała: Rosjanie. Nie potrafiłbym odpowiedzieć na pytanie, ilu uczniów rozwiązało ten test prawidłowo, ale to świadczy o tym, jaka była wówczas skala propagowania tej wiedzy o Zbrodni Katyńskiej. Z naszego punktu widzenia, było to działanie jednorazowe i krótkotrwałe. Oczywiście, to jest tak, jak profesor Wolsza powiedział, to zainteresowanie bezpośrednio po wojnie, kiedy działał w tym zakresie Józef Mackiewicz. Witold Sukiennicki wydał również fachowy raport. To były rzeczy, które powielano. Na zachodzie to się w większych ilościach nie rozchodziło. Nie chcąc przedłużać, bo o tych represjach można bardzo dużo mówić, jeśli chodzi o poszczególne osoby, chciałbym odesłać państwa do książki profesora Tadeusza Wolszy, pod tytułem „Dotyk Katynia”. Choćby w języku polskim. Tych szczegółów w odniesieniu do dziesiątków osób represjonowanych, nie sposób tutaj wymieniać. Natomiast jeśli chodzi o rozchodzenie się wiedzy, pomimo tego epizodu, o którym wspominałem, lat 1950-1952, sytuacja na pewno przez długie lata nie była satysfakcjonująca. To jest ten moment, w którym widzimy starania, aby to zmienić. Niech taką klamrą będzie to, że mamy książkę „Polscy świadkowie Katynia” w języku angielskim. Na rynku jest również książka „Anglosascy świadkowie Katynia”, napisana przez panią Krystynę Piórkowską. Wyszła nakładem Muzeum Katyńskiego, w dwujęzycznej edycji, ale w Polsce. Co może zainteresować bardziej Anglosasów niż anglosascy świadkowie Katynia. To jest przykład, jak trudno się przebić, że o anglosaskich świadkach Katynia, w gruncie rzeczy wydaje się książkę w Polsce. Nawijając do polityki historycznej Rosji, do tych kłamstw, które wychodzą z Rosji, ale tu powiem, że one są obecne również na Zachodzie. Na portalach internetowych, nawet powiązanych z uniwersytetami amerykańskimi, również można spotkać powielanie informacji, które są fałszywe, że sprawcami Zbrodni Katyńskiej byli Niemcy. Bez wątpienia publikacje walczące z tym kłamstwem pełnią wielką rolę.

Prof. Wojciech Materski: Szanowni państwo, pan profesor Wolsza powiedział, jaka to była zmasowana akcja propagandowa. Jak Niemcy nagłaśniali tę sprawę w Generalnym Gubernatorstwie. Trzeba zarazem spojrzeć na moment historyczny, w którym miały miejsca wyjazdy delegacji do Lasu Katyńskiego. Te niecałe trzy miesiące to jest czas już po przesileniu na froncie wschodnim. Wehrmacht jest w odwrocie i w tej sytuacji stronie niemieckiej chodzi o mobilizację wszelkich rezerw, również propagandowych. Za taką rezerwę propagandową uznano możliwość skłócenia koalicji antyfaszystowskiej, zasiania nieufności między aliantami. Pierwsze delegacje w Katyniu znalazły się w drugiej połowie marca 1943 roku, a w czerwcu już sprawa się skończyła, bo Smoleńsk został zajęty przez Armię Czerwoną. Ten okres był więc bardzo krótki.

Pan profesor Wolsza wyłapał i zrekonstruował cały zorganizowany przez Niemców w trakcie tych kilkudziesięciu dni ruch delegacji do katyńskich dołów śmierci. Nikt do tej pory nie był w stanie tego zrobić. Dzięki jego badaniom znamy niemal wszystkich polskich świadków, którzy tam się znaleźli, charakter tych delegacji, które dotarły do miejsca zbrodni. Niekiedy ludzi, którzy sami chcieli pojechać do Lasu Katyńskiego, a niekiedy ludzi, których zmuszono, żeby tam pojechali. Wszystkich, którzy zostali w to uwikłani. Ludzie, którzy wizytowali katyńskie doły śmierci po wojnie byli za to w Polsce „lubelskiej”, a następnie PRL prześladowani, niezależnie czy uczynili to z własnej woli, czy w obawie o konsekwencje odmowy, w trosce o własne rodziny. Jechano tam również w nadziei, że ten wyjazd jest jakąś szansą uzyskania informacji, najgorszych ale pewnych, o zaginionych bliskich osobach. Udział w tych delegacjach stał się obciążającą pozycją w życiorysie, podstawą do powojennych prześladowań. Jesteśmy już prawie trzydzieści lat po ujawnieniu dokumentacji katyńskiej, a nikt do tej pory

nie zebrał tych losów. To jest pierwsza książka w sposób monograficzny uzupełniająca tę lukę. Wcześniej przyczynkarskie studia poświęcano jedynie poszczególnym osobom, czy wybranym aspektom tematu. Profesor Wolsza opisał fenomen delegacji na miarę zachowanej bazy źródłowej, dostępnych relacji i nie sądzę, żeby można to było lepiej zrobić. Nie oznacza to, że przy kolejnych wydaniach nie będzie można jakiegoś uzupełnienia dodawać, ale będą one raczej mnożeniem egzemplifikacji niż weryfikacją tez autorskich.

Chciałbym nawiązać do tego, o czym mówił pan doktor Wasilewski. Mamy znakomitą książkę o polskich świadkach Katynia. Mamy źródłową książkę Krystyny Piórkowskiej o anglosaskich świadkach Katynia. Tych polskich pan profesor naliczył kilkudziesięciu, ponad pięćdziesięciu. Pani Piórkowska pisała o jednej delegacji jeńców anglosaskich z oflagów, których przywieziono w tym samym czasie do Lasu Katyńskiego. Natomiast słabo przebija się do wiedzy o wizytujących Las Katyński fakt, iż ponad dwadzieścia tysięcy z nich to byli Niemcy. Mało się wie, że to byli żołnierze frontowi, których tam wożono, aby przyjrzeni się czym grozi wpadnięcie w niewolę sowiecką, aby walczyli do końca i nie poddawali się, bo mogą być narażeni na podobne bestialstwo. Marzy mi się książka, która przedstawi relacje właśnie tych żołnierzy, niemieckich świadków Katynia. To byli głównie młodzi chłopcy, którzy mieli kilkanaście, dwadzieścia parę lat. Możliwe jest, że wielu z nich jeszcze żyje. Oni tam byli i tego doświadczyli. Mieli jakieś przeżycia, refleksje, które może gdzieś zanotowali. Bardzo chciałbym, aby znalazł się historyk, który to wszystko opíše.

Prof. Tadeusz Wolsza: Chciałbym jeszcze coś dodać, w nawiązaniu do tego, co mówił pan doktor Witold Wasilewski. Nawiązał do historii i działalności bardzo ważnej. W moim przekonaniu, po międzynarodowej komisji lekarskiej, która poczyniła te wspaniałe ustalenia, głównie za sprawą Ferencza Orsósa, węgierskiego lekarza, można zaryzykować stwierdzenie, że gdyby przyznawano nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny w 1943 roku, to za te badania, które poczynił w Katyniu i Winnicy, powinien dostać nagrodę Nobla z dziedziny medycyny. Mam na myśli komisję lekarską i również komisję Maddena. Te dwie komisje są najważniejsze i one rzeczywiście popełniły bardzo ważne ustalenia i przeszły do historii, ale kiedy mówimy o osiągnięciach amerykańskich, tym ogromnym zainteresowaniu, to ja chciałbym jeszcze zwrócić na coś uwagę.

To, o czym, mówię, było w pewnym sensie wydarzeniem. Chyba wydarzeniem w historii USA, wydarzeniem w relacjach pomiędzy rządem Rzeczypospolitej Polskiej – chodzi o rząd na emigracji – a władzami amerykańskimi. To było spełnienie pewnego polskiego pomysłu i postulatu. Zaraz powiem państwu, dlaczego taki długi wstęp. To, co powiem, jest rzeczywiście pewnym, bardzo istotnym faktem, który zaistniał w momencie, kiedy rozpoczyna pracę komisja Maddena. Okazuje się, że to, o czym Polacy marzyli od 1945 roku, to o czym mówił generał Władysław Anders, generał Tadeusz Komorowski, pseudonim „Bór”, Tomasz Arciszewski, Władysław Raczkiewicz, żeby zwykłemu amerykańskiemu czytelnikowi przekazać podstawową wiedzę o Zbrodni Katyńskiej, nie jakieś księgi liczące po trzysta stron, nie wybór dokumentów lub tak zwana biała księga, gdzie będą dokumenty do historii polskiej armii w Związku Sowieckim, poprzez ich przemarsz na Bliski Wschód, potem Monte Cassino we Włoszech itd., a przy okazji wątek tych żołnierzy, którzy z Sowieców nie wyszli, tylko coś bardzo prostego, poczytnego. Polacy konsekwentnie zabiegali o to cały czas, przy każdej podróży do Stanów Zjednoczonych. Ten temat nie mógł zaistnieć, aż tu nagle, kiedy rozpoczyna pracę komisja Maddena, w najbardziej poczytnym czasopiśmie amerykańskim „Reader’s Digest”,

w czasopiśmie, które jest czytane przez gospodynię, przez farmera, przez prezydenta USA, przez senatorów, kongresmenów itd., ukazuje się trzystronicowy artykuł o Zbrodni Katyńskiej. Napisany od początku do końca na bazie dokumentów, które zostały wysłane z Londynu przez polskie władze, bo Polacy byli zainteresowani. To w moim przekonaniu chyba jest największym osiągnięciem. Oczywiście komisją Maddena wszyscy się interesowali. Były opublikowane ogromne tomy, liczące kilka tysięcy stron. Prasa również o tym informowała. Natomiast publikacja w „Reader’s Digest” weszła do obiegu w całych Stanach Zjednoczonych. Każdy mógł naocznie się przekonać, jakie były kulisy Zbrodni Katyńskiej, kto tej zbrodni dokonał i kiedy ta zbrodnia została dokonana, i jaka była liczba ofiar. Cała ta dokumentacja, w bardzo krótkim i precyzyjnym ujęciu trafiła do amerykańskiego czytelnika. Oczywiście, to wszystko było spowodowane wojną w Korei, dlatego, że Amerykanie szukając, w pewnym sensie, genezy śmierci swoich żołnierzy, którzy byli mordowani przez północnych Koreańczyków strzałem w tył głowy, musieli odwołać się do Zbrodni Katyńskiej i to w dużej mierze spowodowało nowe spojrzenie na Zbrodnię Katyńską. Wcześniej Amerykanie w ogóle się tym nie interesowali.

Dr Maciej Wyrwa: [Przejdźmy teraz do relacji polsko-sowieckich w kontekście Zbrodni Katyńskiej. Mam z pozoru naiwne pytanie do panów. Dlaczego przez lata Związek Sowiecki nie przyznawał się do Zbrodni Katyńskiej? Przecież była szansa, na przykład odwilż Chruszczowa.](#)

Prof. Wojciech Materski: Z wizerunkowych względów wydaje się to oczywiste. System, który zapanował na terenie Rosji i na tych terenach, które ogarnął Związek Sowiecki, był systemem, który nie mógł pokazać swojego zbrodniczego oblicza. Jednak wiedzano, a przynajmniej mniemano o tym zbrodniczym obliczu od początku. Wiedzano, co się działo w wojnie domowej. Wiedzano o tym, że armia tłumiła powstania chłopskie, zrozpaczonych chłopów, którym rekwirowano żywność przy pomocy gazów bojowych. Wiedzano o operacjach przeciwko poszczególnym narodowościom. Była wiedza o operacji polskiej. Była wiedza, może nie pełna, ale jednak, o tym masowym głodzie, który był nie tylko na Ukrainie, ale również w północnym Kazachstanie, który przyniósł milionowe ofiary. Słyszano o masowych zbrodniach. Jednak system, do niczego z tych rzeczy się nie przyznawał. System również nie przyznawał się do Zbrodni Katyńskiej, tą zbrodnią usiłował obciążyć Niemców. Robił to w sposób bardzo zdeterminowany. To nie tylko te trudne rozmowy w koalicji antyfaszystowskiej w latach 1943-1945, to jest przede wszystkim proces norymberski.

W procesie norymberskim Związek Sowiecki wystąpił z punktem oskarżenia: Zbrodnia Katyńska. Zgodnie z naradą, która była przeprowadzona przez prawników w Londynie we wrześniu 1945 roku i przyjętym statutem międzynarodowego trybunału wojennego, trybunału norymberskiego – nie było dokumentu, który rządził taką instytucją, musiano go stworzyć – jeden z punktów głosił, że każde z państw tworzących trybunał, może wnosić w formie aktu oskarżenia kwestie, które zostały w tym państwie zbadane i które nie budzą wątpliwości. Na tej zasadzie Związek Sowiecki wniósł Zbrodnię Katyńską, pokazując raport Nikołaja Burdenki jako raport, który definitywnie wskazał na Niemców, jako sprawców Zbrodni Katyńskiej. To była konsternacja, bo Anglosasi oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, jaka jest prawda. Istnieją dokumenty, jest wiedza o tym, że tak było. Nawet istnieje zapis rozmowy Edwarda Raczynskiego i Władysława Sikorskiego z Winstonem Churchillem, gdzie Winston Churchill mówi, że zdają sobie sprawę z tego, kto jest odpowiedzialny za Zbrodnię Katyńską. Zdajemy sobie również sprawę z tego, że ta dzika bezwzględność może nam pomóc wygrać wojnę. Póki tej

wojny nie wygramy, cisza nad sprawą. To samo zrobił Roosevelt, gdy pułkownik Henryk Szymański poinformował prezydenta o Zbrodni Katyńskiej. Kazał sprawę wyciszyć. Osobom, które upominały się o prawdę kazał zamilknąć na ten temat. Niektórych ludzi zesłano na odległe stanowiska i krańce świata, pod pretekstem, że mogą przeszkodzić w polityce państwa. Polityka państwa amerykańskiego była taka, że trwa wojna w Japonii i giną tam żołnierze amerykańscy. Według ekspertyzy departamentu wojny, wojna mogła trwać nawet do 1950 roku i przynieść około miliona ofiar żołnierzy amerykańskich. Należało zrobić wszystko, aby do tej wojny wszedł Związek Sowiecki, żeby odciążył Stany Zjednoczone. Taką obietnicę Roosevelt od Stalina otrzymał w Teheranie. Uzgodniono, że trzy miesiące po zakończeniu wojny Armia Czerwona, zwróci się w kierunku wschodnim i uderzy na Japonię. To były te priorytety. To był powód dlaczego nie mówiono o Zbrodni Katyńskiej. Dlatego na ten temat milczano. Nie dyskutowano z narracją sowiecką. Było bardzo dużo dokumentów pośrednich wskazujących, na to, kto był odpowiedzialny za Zbrodnię Katyńską, ale nie chciano dyskutować na ten temat właśnie z tego powodu. Jest znany raport Owena O'Malley'a, ambasadora Wielkiej Brytanii przy rządzie polskim w Londynie, w którym O'Malley z rozpaczą pisze, że nie można tak się zachowywać. Nadmienia, że w pewnym momencie, trzeba będzie spojrzeć sobie prosto w twarz. Nie można całkowicie odłożyć na bok moralności.

Gdy Związek Sowiecki postawił tę sprawę w Norymberdze, nastąpiła konsternacja i w zasadzie statut trybunału w Londynie wynegocjowany we wrześniu 1945 roku został złamany, wyjątkowo w tej sprawie, mimo że stał za nią oficjalny raport Burdenki i mimo, że sprawa została oficjalnie zgłoszona przez państwo, które było członkiem trybunału. Zarządzono przesłuchania. W tych przesłuchaniach sprawa Zbrodni Katyńskiej, jeśli nie została obnażona, to przynajmniej bardzo poważnie podważona. Kwestia katyńska jest jedynym punktem oskarżenia norymberskiego, który jest na wejściu i niknie na wyjściu. Z punktu widzenia formalnego nie wiadomo, co się stało. Podejrzewam, że Anglosasi mieli kaca moralnego i garb psychiczny, a Stany Zjednoczone to wycofały się z tego, a w każdym razie wycofali się z polityki zakłamania i milczenia, i pomijania kwestii katyńskiej w 1950 roku, gdy zaczęto rozstrzeliwać jeńców amerykańskich w Korei. Wtedy przypominała się polska narracja z Katyniem i cała sprawa. Potem komisja Maddena, o której pan doktor Wasilewski pisze obszernie we wstępie do pierwszego tomu dokumentacji, którą przygotowuje i sukcesywnie wydaje. Natomiast tak to wyglądało od strony Amerykanów, a Brytyjczycy, aż po dwudziesty pierwszy wiek trzymali wodę w ustach. Dokumentacja Rohana Butlera została opublikowana około 2003 roku. Dopiero to jest takie pośrednie przyznanie się do tego, że od początku Brytyjczycy wiedzieli, ale z różnych względów nie mówili. Polityka zakłamania, którą prowadził Związek Sowiecki, spychania sprawy na Niemcy, mimo że miała swoich oponentów, dyskutantów, przeciwników, próby sprzeciwu. Generalnie łatwiej mogła przebić się w trudnych warunkach odium moralnego, które wisiało nad stosunkami wielkiej trójki, nad Stanami Zjednoczonymi, nad Wielką Brytanią w wyniku tej finalnej fazy drugiej wojny światowej, a potem trybunału norymberskiego.

Cały proces obnażania kłamstwa katyńskiego jest bardzo długi i skomplikowany. W zasadzie dopiero przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ten proces kończy. Poszczególne jego etapy zostały przez historyków zanalizowane i opisane, ale również rzeczy pozornie niekontrowersyjne, jak postawienie pomników, budziły bardzo ogromne emocje i budziły ogromny sprzeciw sowiecki. Jest to cały długi proces. Dlaczego zaprzeczali? Jak mieli powiedzieć, że wymordowali polskich jeńców, w zasadzie nie jeńców. Jak można być jeńcem, skoro się popadło do niewoli na własnym terytorium państwowym, w ręce państwa, które nie wypowiedziało

wojny, a które na tym terytorium się znalazło. W tym przypadku można być internowanym, ale nie jeńcem, ale przyjęła się nazwa „polscy jeńcy wojenni”. Tych jeńców wymordowano strzałem w tył głowy. Wymordowano więźniów z więzień, również oficerów i inteligentów, ale tych, którzy nie trafili do niewoli na polu walki, tylko którzy zostali aresztowani później i w ramach tej samej zbrodni zostali zlikwidowani. Żadne państwo nie powie, że wymordowali, bo uważali, że tak jest wskazane.

Prof. Tadeusz Wolsza: Jeżeli można, jeszcze tylko dwa zdania. Sprawa pierwsza. To, co mówił pan profesor Materski, jeśli chodzi o Norymbergę. Próbowałem spojrzeć, jak w prasie polskiej sprawa była komentowana w prasie komunistycznej, w momencie, gdy zbliżał się dzień katyński w Norymberdze. To jest charakterystyczna sprawa. W gazetach to mniej więcej wyglądało tak: Już za dwa tygodnie poznamy prawdę, już za tydzień będziemy wszystko wiedzieli, już za dwa, trzy, cztery dni zostanie zdemaskowane kłamstwo niemieckie. Nagle dzień „po”, gdzie powinien być wielki artykuł na pierwszej stronie, że Niemcy zostali zdemaskowani. Nastąpiła cisza w prasie. Nic nie było napisane, dzień po, dwa dni, trzy dni... Temat nagle przestał istnieć. Dopiero problem Zbrodni Katyńskiej powrócił do dyskursu, w okresie pracy komisji Maddena. Od drugiej połowy 1946 roku o Katyniu w Polsce się w ogóle nie mówiło i w polskiej prasie się nie pisało. Pan doktor Wasilewski też ustalił bardzo ciekawą rzecz. Zbadał rezonans tego w sowieckiej strefie wpływów i okazało się, że o temacie Zbrodni Katyńskiej, można było pisać w tych państwach, które były w ten temat w jakiś sposób zaangażowane. Oczywiście nie w Polsce, w okresie pracy komisji Maddena, w dwóch innych krajach, w Czechosłowacji i w Bułgarii. Dwaj świadkowie z tych krajów, którzy zostali złamani Marko Markov i Frantisek Hajek świadczyli wcześniej w Norymberdze. W tamtych krajach ten temat mógł wrócić do dyskursu publicznego. Nie przypominam sobie, żeby tak było w Rumunii albo w innych krajach.

Dr Witold Wasilewski: Oczywiście w tych państwach podejmowano ten temat z większym natężeniem. W tym momencie wyciągano świadków, między innymi ze wspomnianej komisji lekarskiej. Interesujący film został nakręcony przez Bułgarów o Markovie. Będzie emitowany w Polsce. Film ukazuje Markova jako osobę zmieloną przez dwa totalitaryzmy, który na koniec stał się odwróconym świadkiem, czyli kimś, kto potwierdza fałszywą wersję, o odpowiedzialności niemieckiej. Walec propagandowy ruszył w całym bloku wschodnim, ze szczególnym uwzględnieniem Bułgarii, Czechosłowacji, Polski, Niemiec, Związku Sowieckiego. Była już mowa, o pozytywnej roli „Reader’s Digest”, absolutny „numer jeden”, jeśli chodzi o ilość egzemplarzy w Stanach Zjednoczonych przez bardzo wiele lat. Proszę państwa, natomiast w bloku sowieckim, Polska, Związek Sowiecki, przez kilka dni marca 1952 roku pierwsze strony wszystkich gazet były wypełnione kłamstwem.

Nawiązując do tego, dlaczego tak trudno było Sowietom się przyznać, oczywiste jest, że dlatego, że byli sprawcami. Sprawcy często trudno jest się przyznać. Jednak nie tylko dlatego. W tym wypadku szczególnie trudno było się przyznać, ponieważ byli zakładnikami tego monstrualnego kłamstwa, które sami wymyślili. Zwróćmy uwagę, że do wielu innych zbrodni, choćby już w okresie *glasnosti*, łatwiej było się przyznać. To były zbrodnie popełnione, ale wokół których nie stworzono później takiej alternatywnej historii. Zupełnie zmistyfikowanej wersji, którą bardzo długo głoszono. Tutaj również na to zwrócił uwagę profesor Materski. Tego mógł się bać między innymi Gorbaczow, wahając się z ujawnieniem dokumentów. On wiedział, jaka była głoszona wersja. Uważał, że ujawnienie dokumentów, mogłoby być wstrząsem, w momencie, gdy kłamstwo było w jakimś zakresie skuteczne, ale jednak wiele osób na

świecie był przekonanych o winie sowieckiej. Właśnie dlatego, że zbudowano to kłamstwo i było głoszone, to trudno było się z niego wycofać. Znacznie łatwiej było się przyznać do wielu innych masowych zbrodni. Warto zwrócić uwagę, że do kwietnia 1943 roku Sowietci nie zamierzali budować alternatywnej wersji, piramidalnego fałszerstwa. Oni odpowiadają absurdalnie, czasem w kategoriach złowrogiego czarnego humoru, o Katyniu. Nie jest co prawda tak, że nigdy przed 1943 rokiem nie padło, że byli ofiarami Niemców. Raz w rozmowie z generałem Władysławem Andersem padło takie sformułowanie, ale zostało natychmiast zbite. Były dokumenty, które potwierdzały, że ci ludzie nigdy nie byli pod okupacją niemiecką, więc nie mogli być ofiarami niemieckimi. Generalnie strona sowiecka wypierała się tego, że ma jakąkolwiek wiedzę o tych oficerach. Byłoby to niewątpliwie kontynuowane, gdyby nie kwiecień 1943 roku.

Los sprawy katyńskiej, gdyby nie kwiecień 1943 roku byłby dużo gorszy. Ta sprawa postawiła na wokandę światową kwestię Katynia. Często jest stawiana teza, że działało to na szkodę wyjaśnienia sprawy katyńskiej, bo uwikłało ją w ten kontekst prowokacji. Ułatwiło oskarżenia, że mamy element prowokacji niemieckiej. Oskarżano, że chodzi o rozbięcie koalicji. Oczywiście, o to chodziło, ale gdyby Niemcy tej sprawy nie postawili, gdyby nie dokonali ekshumacji, to nie wiemy, czy w ogóle ujrzałaby ona światło dzienne. Proszę państwa, to historia alternatywna, ale niewątpliwie sprawa katyńska została posunięta do przodu dzięki Niemcom. Także tutaj mamy zło, które czyni dobro. Drugim punktem zwrotnym, co powiedział pan profesor Matercki, była Norymberga. Również często przedstawiana opacznie, jako wielka porażka. Oczywiście, Norymberga była w tym sensie porażką, że nie wskazano tam Sowietów jako winnych, ale to było niemożliwe, ze względu na statut trybunału. Natomiast wielkim darem, jeśli chodzi o bieg sprawy katyńskiej, było to, że nie udało się Sowietom doprowadzić do prawnego uznania winy niemieckiej. Biorąc pod uwagę statut trybunału, to Sowietci mieli podstawy, w postaci dokumentu rządowego. Na podstawie tego dokumentu trybunał miał wszelkie dane, aby to uznać. Nie stało się to jednak dzięki sprawnym działaniom polskim i obrońców niemieckich. Stało się tak, że nie zapadł ten wyrok. Wyobraźmy sobie, co by się stało ze sprawą katyńską, gdyby w 1946 roku był wyrok międzynarodowego trybunału wskazujący na odpowiedzialność niemiecką. Trudno sobie wyobrazić, ale los sprawy katyńskiej byłby jeszcze gorszy niż później miało to miejsce. A to, że ta sprawa jest ciężka i skomplikowana świadczą o tym powracające kłamstwa katyńskie.

Prof. Tadeusz Wolsza: Czy mógłbym powiedzieć jeszcze dwa słowa? Pan doktor Wasilewski mówił o filmie bułgarskim na temat Markova. Nie jest to jedyna inicjatywa związana z komisją lekarską z Katynia. Jest bardzo ciekawy film o lekarzach katyńskich. To jest spotkanie z dziećmi, rodzinami tych lekarzy. W tym filmie, jeśli się nie mylę, występuje cała nasza trójka. Telewizja słowacka, całkiem niedawno nakręciła film o Františku Šubiku. Oni również mają swojego bohatera, lekarza, który był w Katyniu. Nie wiem, czy była już premiera tego filmu, czy nie. W każdym razie on był kręcony w naszym Muzeum Katyńskim w Warszawie. Miałem okazję występować w tym filmie i komentować postawę Šubika i różne inne rzeczy związane z pracą międzynarodowej komisji lekarskiej. Powstały również podobne filmy na przykład o duńskim lekarzu Helge Tramsenie. Sprawa jest znana na świecie. Problemem jest tylko siła przebicia. Do jakiej grupy społecznej może się przebić. Istnieją filmy, publikacje, konferencje naukowe, ale to pewnie dotyczy tylko najwyżej kilkuset osób. Potrzebne jest coś takiego, aby trafiło to do tysięcy, a nawet milionów osób. Wtedy dopiero będziemy mówili o upublicznieniu tej sprawy.

Dr Maciej Wyrwa: Przejdźmy do dnia dzisiejszego. Jeszcze dziesięć lat temu wydawało się, że problem Zbrodni Katyńskiej w relacjach polsko-rosyjskich zniknie. Władze pokazały dwukrotnie film reżyserii niezującego już Andrzeja Wajdy, pod tytułem: „Katyń”, w głównym programie, o dobrej godzinie oglądalności. Władze rosyjskie obiecały przekazać wszystkie dokumenty, dotyczące Zbrodni Katyńskiej. Nawet zaczęto poszukiwania tak zwanej białoruskiej listy katyńskiej, której do tej pory nie mamy. Mam pytanie, co takiego się stało w relacjach polsko-rosyjskich, że sprawa Katynia jest wciąż aktualna?

Prof. Wojciech Materski: Projekcja filmu „Katyń”, o którym wspominał pan doktor Maciej Wyrwa, była ewenementem. Wiąże się ściśle z tragedią smoleńską. W związku z nią zapadła nagle decyzja i w *prime time* wyświetlono „Katyń” w głównym, powszechnie w Rosji dostępnym kanale telewizyjnym. Natomiast ja, pracując nad problematyką katyńską od wczesnych lat dziewięćdziesiątych, zajmowałem się czterema tomami dokumentacji katyńskiej. Miałem bieżące porównanie, jaka jest sytuacja w archiwum, jaka jest chęć współpracy, jakie jest stanowisko władz rosyjskich wobec tego co robimy. Na tej podstawie mogę niejako z pierwszej ręki stwierdzić, kiedy było najlepiej. Najlepiej było za tak zwanego „pierwszego Jelcyna”, czyli do 1995 roku. Po 1995 roku pracowało się znacznie trudniej, w miarę upływu czasu coraz trudniej.

Praca w archiwach postsowieckich, w archiwach dzisiejszej Federacji Rosyjskiej, Białorusi, Ukrainy, wygląda w ten sposób, że zdecydowanie najlepiej jest oczywiście na Ukrainie. Znacznie już trudniej na Białorusi. Dokumentacja Zarządu NKWD w Smoleńsku, poza tymi materiałami, które wpadły w ręce Niemców, wywieziona została do Moskwy. Cała dokumentacja z Charkowa również została wywieziona do Moskwy. W pierwszej kolejności ewakuowano bowiem archiwa organów specjalnych. Dopiero potem jakieś cenne pamiątki i zbiory historyczne. Dokumenty te tylko w niewielkiej części wróciły do republik, w większości nie wróciły. Gdzie są? Trudno powiedzieć. Naczelną Prokuraturę Wojskową Federacji Rosyjskiej prowadziła śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej, tak zwane śledztwo nr 159, które losu tych materiałów ostatecznie nie ustaliło. Jak wiadomo, zakończyło się ono skandaliczną konkluzją o umorzeniu „zbrodni pospolitej”, w związku z, jakoby, przedawnieniem się sprawy. Do archiwum Federalnej Służby Bezpieczeństwa, czyli byłego KGB, czyli jeszcze dawniejszego NKWD, prowadzących to śledztwo prokuratorów naczelnej prokuratury nie wpuszczono. Dobrano im dokumenty i powiedziano tylko, że jest to dokumentacja ze stu osiemdziesięciu dziewięciu teczek. Jeden z prokuratorów spytał, ile generalnie teczek archiwum FSB dotyczy Katynia? Odpowiedziano, że około osiemset osiemdziesiąt. Tak więc, co jest w pozostałych trudno powiedzieć. Można się domyślać. Na pewno są listy śmierci z obozu starobielskiego, którymi nie dysponujemy. Wydaje się to oczywiste. Możliwe, że jest tak zwana lista białoruska, dotycząca polskich więźniów zamordowanych w ramach Zbrodni Katyńskiej na Białorusi, choć akurat w tej kwestii mogą być wątpliwości. Wydaje się jednak, że w republikach zachodnich, na Białorusi i na Ukrainie, procedura była mniej więcej do siebie podobna. Zanimiowała i nadzorowała wszystkie te akcje specjalne jedna tak zwana centralna trójka – Kobałow, Mierkułow, Basztakow. Jeżeli w określony sposób zorganizowano mord na Ukrainie, to na Białorusi niemal na pewno został on zorganizowany analogicznie. Dysponujemy przez zupełny przypadek tak zwaną listą ukraińską, całościową. Jednak lista białoruska może taką nie być, może składać się z kilku list, zestawionych na podstawie dokumentacji wojsk konwojowych NKWD. Natomiast z całą pewnością zachowała się dokumentacja, która mogłaby pomóc w jej odtworzeniu. Na pewno jest dokumentacja dotycząca przewozów, między więzieniami terenowymi a centralnym więzieniem miejskim. Na jej podstawie odtworzyć można

daty i trasy transportów, numery jednostek je konwojujących, niezbędne dla kwerendy w centralnym archiwum w Moskwie, gdzie układ zespołów jest właśnie według tych numerów. Podobne założenia stworzyły podstawę do rozpoczęcia pod koniec lat osiemdziesiątych poszukiwań jakichkolwiek dokumentów w archiwach postsowieckich. Pierwszym śladem były właśnie wojska konwojowe i on pozwolił na pierwsze ustalenia, wskazujące bezspornie na sowieckie sprawstwo Zbrodni Katyńskiej. Służba więzienna koncentrowała transportowanych przez wojska konwojowe polskich więźniów w Mińsku i prawdopodobnie tam zostali zamordowani. Inaczej niż na Ukrainie. Tam, jak ustalili historycy, zostali zamordowani w kilku więzieniach. Jeńcy białoruscy byli mordowani w jednym bądź kilku więzieniach mińskich i potem grzebani w Kuropatach, ale to cały czas jest hipotezą. Pytanie, czy jest dokumentacja tego dotycząca? Jestem przekonany, że się zachowała. Był to system, który dokumentów nie niszczył, ponieważ dokument zawsze może być użyteczny. Nigdy nie wiadomo w jakim charakterze i przeciwko komu może być wykorzystany. To jest ważna broń. Jestem przekonany, że istnieje dokumentacja, pozwalająca odtworzyć listę lub listy białoruskie. Powinna również zachować się dokumentacja tak zwanych komand śmierci, zarchiwizowana w zespołach byłej centrali NKWD w Moskwie, w ramach teczek jej Zarządu Administracyjno-Gospodarczego. Pod takim szyldem, Zarząd Administracyjno-Gospodarczy, kryło się komando zawodowych katów, którzy wykonywali masowe zbrodnie.

Jedna z odsłon Zbrodni Katyńskiej, która miała miejsce w Kalininie, jest znana z relacji byłego szefa tamtejszego Zarządu NKWD, Dmitrija Tokariewa. Wiemy z niej, w jaki sposób ta zbrodnia się odbywała, jak była zorganizowana, przeprowadzona i ukrywana. Każda taka operacja specjalna, musiała się kończyć raportem. Jesteśmy pewni, że raport został napisany, bo mamy listę nagrodzonych za operacje specjalne. Listy nagrodzonych są w opublikowane w drugim tomie czterotomowej edycji „Katyń. Dokumenty zbrodni”. Jeżeli pracownik NKWD otrzymywał nagrodę za operację specjalną, pieniężną lub w postaci urlopu, musiał być raport końcowy tych operacji specjalnych, stwarzający podstawę do przyznania takiej nagrody. Wszystkie trzy komanda katów, z więzienia wewnętrznego w Charkowie, z więzienia wewnętrznego w Smoleńsku i więzienia wewnętrznego w Kalininie – Twerze – musiały takie raporty złożyć. Smoleńsk jest tu nietypowy, jako że tylko część więźniów została zamordowana w tak zwanym więzieniu wewnętrznym miejscowego zarządu NKWD, natomiast większość wywieziono poza miasto i zamordowano w Lesie Katyńskim, nad dołami śmierci. Raporty z więzień wewnętrznych zarządów NKWD w Smoleńsku, Kalininie i Charkowie istnieją i są gdzieś przechowywane. To pewne. Mamy notatkę szefa KGB, Aleksandra Szelepina, wskazującą, że wiosną 1959 roku wszystkie te czki dotyczące 21.857 więźniów i jeńców, były w dyspozycji KGB. Postulował on, że należy je zniszczyć, ale nie wiadomo, jaki dalszy obieg miała jego notatka, czy w ogóle miała jakikolwiek obieg. Nie ma żadnego dokumentu wskazującego, że takiego zniszczenia dokonano. Jak postulował Szelepin, miano zachować tylko protokoły tak zwanej centralnej trójki, która organizowała całą zbrodnię, a potem zacierała ślady. Teczki personalne miały zostać zniszczone. Musiał być ktoś oddelegowany, żeby to zrobić. Musiały zostać zorganizowane odpowiednie piece. Trzeba było wyasygnować fundusze na takie przedsięwzięcie. Operacja z uwagi na ogromną masę teczek musiała być rozciągnięta w czasie. Nie sposób, żeby nie został po niej ślad w archiwach. Do tej pory na taki ślad żaden z badaczy nie natrafił.

Jesteśmy w takim okresie, kiedy nie ma w stosunkach wzajemnych minimum klimatu do tego, żeby cokolwiek więcej udało się uzyskać lub odnaleźć. Więcej nawet, jest gorzej niż było. Wspominał o tym pan doktor Wasilewski. Jeszcze nie tak dawno, w dwutysięcznym

dziesiątym i jedenastym roku w Dumie Państwowej można było w kularach kupić publikacje, które wskazywały na niemieckie sprawstwo Zbrodni Katyńskiej, czy też publikacje niemówiące wprost, czy jest to wina niemiecka, czy sowiecka, określające tę kwestię jako otwartą. Aby w tym zakresie nastąpił jakikolwiek postęp, musi się zmienić w Rosji władza, a żeby zmieniła się władza, musi nastąpić niezbędny zwrot w polityce wewnętrznej, którego w kilkuletniej perspektywie nie sposób dostrzec. Obecnie liczyć możemy co najwyżej na przypadkowe odkrycia archiwalne, na odważnych historyków i archiwistów rosyjskich, którzy przecież są i wciąż zachowują niezależność.

Prof. Tadeusz Wolsza: Na razie mówiliśmy o relacjach polsko-rosyjskich, badaniach historyków. Umknęła nam sprawa anty-Katynia. Myślę, że powinniśmy do tego wrócić, ponieważ to też jest pewne spojrzenie na problem Zbrodni Katyńskiej. W pewnym momencie, gdy okazuje się, że władze sowieckie przyjmują do wiadomości, że zostali przyłapani na kłamstwie i jest to udowodniona zbrodnia NKWD, pojawia się nowa forma polityki i nowa forma obrony. Oczywiście, jest Zbrodnia Katyńska, są ofiary w liczbie dwudziestu kilku tysięcy osób zamordowanych przez NKWD. Jest też coś takiego jak anty-Katyń, który został wprowadzony do obiegu za Gorbaczowa. Anty-Katyń, czyli próba minimalizacji tej zbrodni poprzez wskazanie, że Polacy też nie są bez winy, ponieważ też mają coś na sumieniu. Chodzi o 1920 rok, po wojnie polsko-bolszewickiej. Tam też byli jeńcy, którzy dostali się do polskiej niewoli. Trafili do obozów, a część tych obozów została zlokalizowana na Pomorzu. Największy w Tucholi. Tak szacowano liczbę jeńców w niewoli polskiej, aby ta liczba przewyższała liczbę ofiar Zbrodni Katyńskiej. Dążono do tego, aby zminimalizować zbrodnię, poprzez przyznanie się do winy z równoczesnym odwetem. Sowietci zabili dwadzieścia parę tysięcy, ale Polacy ponad trzydzieści tysięcy Rosjan. Rosjanie nie przyjmowali do wiadomości, że podawane liczby są zawyżone, bo badania przeprowadzone przez polskich badaczy, przez pana profesora Karpusa w Toruniu, nie dają wiary tym szacunkom, jakie podawali Sowietci. Polscy badacze określili znacznie mniejsze szacunki. Były ofiary śmiertelne, tego nikt nie zaprzecza. Jednak te ofiary nie powstały w wyniku egzekucji, tylko w wyniku chorób, epidemii, stanu sanitarnego obozów i różnych innych względów medycznych. W związku z tym, to nie ma się do Zbrodni Katyńskiej. Pomysł anty-Katynia nie wytrzymuje próby czasu, ale warto o tym wspomnieć, bo to jest pewien etap, jeśli chodzi o relacje polsko-rosyjskie. Pewien etap w uprawianiu polityki przez oba państwa, jeśli chodzi o Zbrodnię Katyńską.

Dr Witold Wasilewski: Ja bym określił inaczej ten termin anty-Katynia. Nie minimalizowanie, ale relatywizowanie, chyba najlepiej tą metodę określa. Chodzi o ludzi, którzy nie odrzucają w całości wiedzy. Jest ogromny materiał, wiele dokumentów, zarówno tych operacyjnych NKWD, które są często opacznie interpretowane, ale domknięty przez decyzję Politbiura WKP(b) z dnia 5 marca 1940 roku, która daje pełny obraz. Ujawnił ją, wraz z innymi dokumentami z tak zwanej teczki specjalnej, Borys Jelcyn w 1992 roku. Było to kluczowym wydarzeniem. Ludzie, którzy całkowicie tej wiedzy nie odrzucają, często posługują się metodą relatywizacji. Jest to element współczesnej rzeczywistości, polityki historycznej w sprawie Katynia, która wychodzi z Rosji. Drugim elementem, jest powrót twardego kłamstwa. Był taki moment w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wydawało się, niesłusznie, że jest to już historia skończona. Tymczasem wróciło to w wielu publikacjach, Internecie, audycjach radiowych i dyskusjach w telewizji. Niestety, to kłamstwo jest obecne w przestrzeni publicznej. Pojawia się pytanie, jak to jest możliwe, skoro ujawniono dokumenty? Obecni kłamcy, którzy nie mogą sobie z nimi inaczej poradzić, obstają przy tym, że tateczka specjalna jest dokumentem sfałszowanym w celu



gigantycznej politycznej prowokacji, skłócenia narodu polskiego z narodem rosyjskim i wchnięcia Polski do NATO. Taka jest narracja współczesnych rosyjskich kłamców katyńskich. Sprawa katyńska nigdy natomiast nie była i nie będzie centralnym elementem pamięci historycznej narodów zachodnich, innych narodów niż naród polski. To jest zrozumiałe.

Dr Maciej Wyrwa: Na zakończenie oddaję głos panu prezesowi, Pawłowi Kurtyce.

Paweł Kurtyka: Szanowni państwo, na zakończenie chciałbym państwu podziękować za wysłuchanie, państwu prelegentom za dyskusję i panu prowadzącemu za poprowadzenie dyskusji.

Glosa 11

Witold Wasilewski

Instytut Pamięci Narodowej

**ZBRODNIA KATYŃSKA
NA TLE ROSYJSKIEJ
POLITYKI HISTORYCZNEJ**

Zagadnienie Zbrodni Katyńskiej w polityce historycznej Rosji, tak jak w żadnym innym kontekście, nie powinno być punktem wyjścia dla kontrowersyjnych stwierdzeń silących się na oryginalność. Opisując postępowanie naszego sąsiada w sprawie katyńskiej, na ogół zwracamy uwagę na najbardziej bulwersujące wątki – zatajanie wiedzy o zbrodni i odrzucanie odpowiedzialności za nią. Jest to zrozumiałe wobec traumatyczności doświadczenia Katynia z polskiej perspektywy. Konsekwencją takiej optyki jest jednak często brak refleksji nad tym, co wydaje się oczywiste, a umyka nam z pola widzenia.

Wiemy – przynajmniej w Polsce – że Związek Sowiecki stał za popełnioną w 1940 roku zbrodnią na oficerach WP i innych obywatelach RP, jej skutecznym zatajaniem do wiosny 1943 roku, a także podtrzymywaniem przez kolejne kilkadziesiąt lat kłamstwa katyńskiego. Pod tym ostatnim pojęciem na ogół rozumiemy zmistyfikowaną przez władze sowieckie narrację o odpowiedzialności Niemców za zbrodnię, sprokurowaną w szczególności przez komisję NKGB-NKWD po odkryciu zbiorowych mogił i ogłoszoną światu przez komisję Nikołaja Burdenki w 1944 roku. Utrzymaniu fałszywej wersji wydarzeń służył cały zestaw działań obejmujący ukrywanie wiedzy o zbrodni, prześladowanie tych, którzy tę wiedzę posiadali i głosili, szerzenie dezinformacji na temat losu ofiar, propagowanie burdenkowskiej wersji tragedii oraz dążenie do sądowego potwierdzenia tego kłamstwa, a także negację wszelkich odkryć w tej sprawie. Do arsenału mactw należy zaliczyć także odwracanie uwagi od mordu na Polakach, umniejszanie, relatywizowanie i usprawiedliwianie zbrodni z 1940 roku oraz przeciwdziałanie jej formalnoprawnemu napiętnowaniu, zwłaszcza na drodze sądowej. Historia fałszerstw jest dość dobrze rozpoznana w odniesieniu do realiów Polski Ludowej, jednak brakuje wiedzy o pełnym zakresie działań sowieckich.

Wiemy sporo o katyńskiej odwilży w końcowym okresie istnienia ZSRS i w pierwszej fazie rządów Borysa Jelcyna, której apogeum stanowiło ujawnienie w 1992 roku dokumentów z tak zwanej teczki specjalnej nr 1. Kluczowe znaczenie dla obecnego stanu sprawy katyńskiej miało też odtajnienie na początku lat 90. XX wieku innych ważnych dokumentów sowieckich dotyczących zbrodni na polskich jeńcach wojennych i więźniach, w tym wielu materiałów NKWD ZSRS oraz kluczowej decyzji Politbiura WKP(b) z 5 marca 1940 roku. Bez tych danych walka z kłamstwami byłaby dużo trudniejsza, a przecież i tak nie należy do zadań łatwych. Oczywiście niebagatelne znaczenie miało samo uznanie przez władze w Moskwie odpowiedzialności za Zbrodnię Katyńską Stalina, Berii i NKWD, choć już nie wprost Związku Sowieckiego jako państwa. Ignorowanie przełomowego charakteru wydarzeń z okresu prezydentury Jelcyna wynika przede wszystkim z późniejszej zmiany podejścia Rosji do pamięci o mordzie. Przyczyniła się do tego również niejednoznaczna postawa pierwszego z głównych aktorów tego czasu, Michaiła Gorbaczowa, a także zarzut politycznej motywacji rosyjskich władz. Ostatni

argument należy uznać za chybiony, ponieważ każdy rodzaj narracji historycznej zmierza do osiągnięcia określonych celów. Ważniejsze, że Jelcyń przy próbach osądzenia systemu komunistycznego posługiwał się prawdą, przynajmniej na rudymenarnym poziomie, a jego chęć zdezawuowania poprzedniego systemu w celu umocnienia własnej pozycji nie zasługuje na potępienie. Pamiętajmy o tym epizodzie rosyjskiej polityki historycznej.

Od połowy lat 90. XX wieku Polacy dowiadywali się o przebiegu sprawy katyńskiej w Rosji przede wszystkim w kontekście recydywy sowieckiego kłamstwa. Była ona tym bardziej szokująca, że zupełnie oderwana od wiedzy historycznej, dopiero co przecież wydatnie poszerzonej. Fenomen ten nie zasługuje na poważną, krytyczną polemikę w warstwie historiograficznej, ale wymaga analizy politologicznej i napiętnowania przez naukowców oraz publicystów. Do burdenkowskiego kłamstwa katyńskiego włączono w tamtym czasie wymysł o rozwijanym od schyłku ZSRS, z poduszczenia Amerykanów i z udziałem Rosjan zaprzędanych Zachodowi, antyrosyjskim spisku mającym na celu skłócenie narodów słowiańskich oraz wepchnięcie Polski do NATO. Narzędziem tych machinacji miała stać się sprawa katyńska, a środkiem do osiągnięcia celu – sprokurowanie fałszywych dokumentów Politbiura WKP(b) z teczki specjalnej nr 1. Takimi kłamstwami karmił czytelników na przykład Jurij Muchin, który w 1995 roku opublikował *Katyński kryminal* (sprzedawany w kiosku w gmachu Dumy Państwowej), w 2003 roku *Antyrosyjską nikczemność*, a w 2010 roku poświęcone różnym wątkom *Lekcje Wielkiej Ojczyźnianej*. Przykłady publikacji wskrzeszających narrację Burdenki lub co najmniej negujących odpowiedzialność Związku Sowieckiego za Zbrodnię Katyńską można mnożyć. W 2014 roku podczas targów książki w Warszawie na rosyjskim stoisku narodowym – opatrzonym szyldem Books from Russia, za którym stoi rosyjska Dyrekcja Generalna Międzynarodowych Wystaw i Targów Książek związana z rosyjskim ministerstwem kultury – wystawiono książkę Anatolija Tiereszczenki *Pieszko po katyńskich mitach*. Fala dezinformacji objęła nawet publikatory mające wcześniej zasługi w ukazywaniu czytelnikom prawdziwego oblicza komunistycznego totalitaryzmu. W 2005 roku w czasopiśmie „Litieraturnaja Gazieta” ukazał się wywiad z profesorem Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu Lingwistycznego Aliksiejem Płotnikowem zatytułowany *Katyński zaulek*. Interlokutorzy, ignorując całą wiedzę i wszelkie dowody, w tym dokumenty sowieckie oraz wyniki ekshumacji w Lesie Katyńskim, Charkowie i Miednoje, wskazali na odpowiedzialności Niemców za Zbrodnię Kkatyńską. Z kolei w 2010 roku ukazał się zbiór dokumentów *Niemcy w Katyniu*, wydany jako krytyczna edycja naukowa, a skomponowany tak, by udowodnić fałszywą tezę o sprawstwie niemieckim. Podobne absurdy są też z dużą częstotliwością wygłaszane w rosyjskiej telewizji i radiu oraz stale obecne w Internecie.

Propagowanie kłamstwa katyńskiego nie dotyczy rzecz jasna wszystkich Rosjan. Przeciwnymi, opartymi na prawdzie działaniami charakteryzuje się stowarzyszenie „Memoriał” na rzecz upowszechniania wiedzy o mordzie z 1940 roku. Niestety, głoszone przez falsyfikatorów fantazje są elementem rosyjskiej polityki historycznej definiowanej jako planowe działania instytucji państwa w celu wywołania określonych efektów politycznych i psychospołecznych. Świadczą o tym zarówno wyraźne ślady uczestnictwa rosyjskich instytucji w akcjach szerzenia kłamstwa, jak też obecność dezinformacji w obszarach przestrzeni publicznej kontrolowanych przez władzę.

Spektakularne kłamstwa stanowią jednak zaledwie wierzchołek lodowej góry rosyjskiego podejścia do kwestii katyńskiej. Polityka historyczna Władimira Putina kształtowała się na

przeżyciu kilku lat po objęciu przez niego w 2000 roku urzędu prezydenta – z pewnością co najmniej do obchodów 60. rocznicy Wielkiej Wojny w 2005 roku – dopiero w 2011 roku osiągnął obecny, względnie stabilny i prawdopodobnie ostateczny kształt. W ramach aktualnej strategii, nie odwołując publicznie wcześniejszych deklaracji o odpowiedzialności Stalina i funkcjonariuszy NKWD za Zbrodnię Katyńską, podważa się ich znaczenie i nieodwołalność oraz odrzuca ich konsekwencje.

Priorytetem wszystkich organów władzy wykonawczej i sądowniczej Federacji jest niedopuszczenie do przypisania państwu odpowiedzialności za zbrodnię z 1940 roku, a także wskazania błędów lub zaniechań władz rosyjskich w tej sprawie. Bezpośrednią konsekwencją wdrożenia tej polityki było ogłoszenie w 2005 roku zakończenia śledztwa dotyczącego zbrodni (sprawa karna nr 159) ze względu na uznanie jej za pospolitą, bez podania jakiegokolwiek uzasadnienia. Wyraz takiego podejścia stanowiły również przypadki odrzucania wniosków rosyjskiego stowarzyszenia „Memoriał” do Głównej Prokuratury Wojskowej i sądu rejonowego w Moskwie o rehabilitację poszczególnych ofiar Zbrodni Katyńskiej. Instytucje podawały kilka przyczyn odmowy, od niemożności ustalenia, jaki paragraf kodeksu karnego zastosowano wobec ofiar, aż do braku pewności, że dana osoba w ogóle była ofiarą. Zauważmy, że podważa to cały opis zbrodni, na czele ze zbiorowym profilem ofiar, a pośrednio także sprawstwem. W zestawieniu z obecną, pewną i niemal pełną w zakresie listy imiennej wiedzą o tym, którzy jeńcy z Kozielska, Ostaszkowa, Starobielska, a także tak zwanej zachodniej Ukrainy, zostali zamordowani w operacji katyńskiej w 1940 roku, decyzje te wyraźnie ocierają się o kłamstwo katyńskie.

Linie polityczną państwa rosyjskiego w obszarze prawnym dobrze ilustruje jego postawa wobec skarg tak zwanych rodzin katyńskich. Przedmiotem wniesionego do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu wniosku nie było samo osądzenie zbrodni, a złamanie przez Rosję Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, głównie w zakresie traktowania krewnych ofiar. Zgodnie z kluczowymi zarzutami władze rosyjskie w toku śledztwa katyńskiego, wszczętego przez ZSRS w 1990 roku, a zakończonego w roku 2004, nie zapewniły jego skutecznego przebiegu i traktowały rodziny zamordowanych żołnierzy w sposób poniżający. Szczególnym przejawem lekceważenia było utajnienie uzasadnienia decyzji Głównej Prokuratury Wojskowej Rosji o umorzeniu śledztwa. Nie chcąc dopuścić do oceny prawnej swojego postępowania, strona rosyjska wytoczyła argument o przyjęciu Europejskiej Konwencji Praw Człowieka dopiero w 1998 roku, a zatem już po rozpoczęciu dochodzenia. 16 kwietnia 2012 roku sekcja Europejskiego Trybunału Praw Człowieka ogłosiła wyrok w sprawie „Janowiec i inni przeciwko Rosji”. Instytucja uchyliła się od decyzji dotyczącej wymogu przeprowadzenia przez Rosję pełnego śledztwa w sprawie katyńskiej, przyznano jednak, że w odniesieniu do większości skarżących doszło do naruszenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, czyli poniżającego ich traktowania. 21 października 2013 roku, po apelacji, Wielka Izba ETPC podtrzymała opinię o niemożności oceny skuteczności rosyjskich działań w oparciu o konwencję ze względu na jej przyjęcie w 1998 roku. Równocześnie trybunał podważył wcześniejsze orzeczenie odnoszące się do skarżących. Strona rosyjska mogła być usatysfakcjonowana. Charakterystyczne jest, że w swojej argumentacji traktowała ona zbrodnię jako niewyjaśnioną, bo dotyczącą niesprecyzowanej grupy ofiar.

Równolegle do działań jurystycznych władze rosyjskie starają się relatywizować Zbrodnię Katyńską, czyli przedstawiać ją jako wydarzenie mało wyjątkowe, a do tego w jakimś stopniu usprawiedliwione. W tym kontekście najczęściej wybija się kwestia tak zwanego anty-Katynia.

Jeszcze w 1990 roku, w związku z przyznaniem, że za mord odpowiadają funkcjonariusze sowieccy, na polecenie Gorbaczowa wymyślono nieprawdziwą narrację o zbrodni na sowieckich jeńcach z lat 1919-1920, za którą odpowiadać miały jakoby polskie władze (wykorzystano tu wysoką śmiertelność jeńców bolszewickich w obozach, spowodowaną głównie chorobami). Wprowadzenie do obiegu tego fałszu miało na celu wywołanie wrażenia, że wydarzenia z 1940 roku nie były niczym wyjątkowym w skali wzajemnych relacji, obie strony mają bowiem na koncie podobne przewiny, przy czym to Polacy zaczęli, a strona sowiecka jedynie się zrewanżowała. Po kłamstwo to wielokrotnie sięgano w latach 90. XX wieku, ale również dziś jest ono obecne w rosyjskiej polityce historycznej oraz na kartach rozmaitych publikacji. Żongluje się przy tym zmyślonymi liczbami, aby pokazać, że jeńców bolszewickich zginęło więcej niż polskich więźniów. Manipulacją tą posłużył się nawet premier Putin podczas przemówienia w Lesie Katyńskim 7 kwietnia 2010 roku.

Narracja o anty-Katyniu to tylko jedna z metod relatywizowania i usprawiedliwiania Zbrodni Katyńskiej. W tych celach wykorzystywane są również miejsca związane z tragedią oraz jej późniejszym upamiętnieniem. W 2017 roku w części memoriału katyńskiego poświęconej rosyjskim ofiarom sowieckich represji postawiono ekspozycję na temat stosunków pomiędzy Rosjanami i Polakami, podejmującą między innymi wątek anty-Katynia, który nie ma obiektywnego związku z tym miejscem. Słuchając wspomnianego przemówienia premiera Rosji w Katyniu w 2010 roku, niepolski odbiorca nie miał wielkich szans zrozumieć, na kim w istocie popełniono w tym miejscu zbrodnię wiosną 1940 roku, a jeśli to wyłowił, był suggestionowany, wydarzenie to niczym specjalnym się nie wyróżniało. W tym kontekście czytelnicy stają się powód milczenia przedstawicieli władz rosyjskich na temat charakterystycznych cech Zbrodni Katyńskiej: dokonania jej na mocy decyzji najwyższego gremium partyjno-państwowego, na obywatelach obcego państwa, które zostało napadnięte i nie prowadziło w chwili popełnienia mordu działań wojennych przeciwko ZSRS; uderzenia w wyselekcjonowaną grupę z intencją częściowego wyniszczenia narodu i powstrzymania odbudowy państwa polskiego; spowodowania niespotykanego w historii jednorazowego uszczerbku w korpusie oficerskim wojska i innych wybranych grupach; na koniec zaś – głoszenia przez dekady legendy, w której winą za zbrodnię obarczono kogoś innego. Nawet część tych wyznaczników, a tym bardziej ich suma, czyni Zbrodnię Katyńską wyjątkową lub co najmniej bardzo specyficzną. Negowanie lub pomijanie tego faktu służy umniejszaniu jej znaczenia. W ostatnich kilkunastu latach uporczywie głoszona jest też teza o odpowiedzialności Polski za sprowokowanie we wrześniu 1939 roku wybuchu II wojny światowej. Pojawiła się ona w mediach, publikacjach pretendujących do naukowości i oficjalnych enuncjacjach, na przykład na stronie Ministerstwa Obrony Rosji oraz w wypowiedzi ambasadora Rosji w Polsce Siergieja Andriejewa z 2005 roku. Twierdzenie to ma usprawiedliwiać antypolską politykę ZSRS z lat 1939-1941, przede wszystkim agresję z 17 września 1939 roku, ale pośrednio także późniejsze represje, wśród których ważne miejsce zajmuje Zbrodnia Katyńska. Zwróćmy uwagę, że zostało ono zbudowane na wzór anty-Katynia i służy podobnemu celowi – usprawiedliwieniu działań ZSRS.

W tym miejscu dotykamy kwestii pozycji sprawy katyńskiej w polityce historycznej Rosji, która odzwierciedla z kolei ogólną strategię obecnych władz. Putin dąży do przywrócenia swojemu państwu pozycji światowego mocarstwa w odwołaniu do jego dawnej potęgi, nie tylko w znaczeniu sentymentalno-propagandowym, ale też pod względem zasięgu terytorialnego i dominacji. W celu legitymizacji takiej roli Rosji przywołuje się jej dziejowe osiągnięcia, szczególnie te polityczno-militarne. Podkreśla się, że jej dobrostan zależał od konsolidacji władzy

centralnej, siły armii, wielkości terytorium oraz znaczenia międzynarodowego. Aksjomatem jest tu jedność historii państwa obejmująca: Ruś Rurykowiczów (transformującą wprost i na wyłączność w Księstwo Moskiewskie) – Cesarstwo Rosyjskie – Związek Sowiecki – współczesną Rosję. Po wykluczeniu z katalogu wzorców epoki Jelcyna, okresów schyłkowych ZSRS i Imperium Romanowów, a także kilkumiesięcznego doświadczenia Republiki z 1917 roku, sięga się do bardzo różnych momentów historycznych i bohaterów. Kluczowe znaczenie ma jednak niezmiennie spuścizna sowiecka. Przesądza o tym obsadzenie w roli mitu narodotwórczego zwycięstwa ZSRS w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej z lat 1941-1945. Wybór taki determinuje z kolei, iż nie tylko lata 1941-1945, ale cały okres II wojny światowej, do którego obiektywnie i w opinii większości świata należą również lata 1939-1941, stał się wiodącym tematem polityki historycznej państwa.

W rozumieniu twórców rosyjskiej narracji nie powinno rzucać cienia na jej historię – stąd reinterpretowanie okresu współpracy z Hitlerem przed czerwcem 1941 roku, usilne przekonanie, że Związek Sowiecki wyzwolił Europę Środkową, i negowanie lub umniejszanie wszelkich sowieckich zbrodni z tego okresu, w tym Zbrodni Katyńskiej. O tym, jak głęboko sięgają te tendencje, świadczy powrót do kultu Stalina. Przyzwolił na to Putin, przechodząc od unikania oceny dyktatora lub ograniczania się do pochwały zwycięstwa w II wojnie światowej i skuteczności w sprawowaniu władzy, przy podkreślaniu znaczących kosztów ludzkich jego polityki, w kierunku gloryfikacji. W ostatnich latach proces ten znacząco przyspieszył. Wojciech Materski w książce *Od cara do cara. Studium rosyjskiej polityki historycznej* wskazał dziesięć miejsc, w których w latach 2015-2016 odsłonięto pomnik Stalina, a nie wyczerpuje to ich listy. W obwodzie twerskim przy poparciu rosyjskiego ministerstwa kultury otwarto muzeum poświęcone zbrodniarzowi, jego kult obecny jest w książkach i mass mediach. W świetle takiej polityki historycznej nie należy liczyć na korektę podejścia władz Rosji do mordu z 1940 roku.

Reasumując, Federacja Rosyjska zmierza do pograżenia kwestii katyńskiej w niebycie prawnym, zrelatywizowania zbrodni i umniejszenia jej wagi historycznej. Wprowadza też w przestrzeń publiczną niepewność co do okoliczności towarzyszących temu wydarzeniu, tworząc dogodną przestrzeń dla reaktywowanych sowieckich machinacji. Stanowisko państwa rosyjskiego wobec zagadnienia Katynia jest pochodną jego polityki historycznej. Aktualnie nic nie wskazuje na możliwość pozytywnych zmian na tym polu. Wspomnienie początku lat 90. XX wieku powinno nam jednak przypominać, że żadna strategia polityczna nie trwa wiecznie.

Glosa 12

Maciej Wyrwa

Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia

**POLSKIE CMENTARZE WOJENNE
W KATYNIU I MIEDNOJE
JAKO ELEMENT
ROSYJSKIEJ POLITYKI PAMIĘCI**

Zorganizowany przez Fundację im. Janusza Kurtyki panel dyskusyjny „Relacje polsko-rosyjskie a pamięć o Zbrodni Katyńskiej” stanowił ważny przyczynek do swoistego podsumowania stanu wiedzy o omawianych wydarzeniach. Zaproszeni historycy, wybitni badacze problematyki katyńskiej, przybliżyli los polskich jeńców w Związku Sowieckim po 17 września 1939 roku, analizując przebieg zbrodni oraz poruszając kwestię kłamstwa katyńskiego i walki o prawdę w Polsce i na świecie. Podczas spotkania zasygnalizowano także znaczenie tej sprawy dla obecnych relacji z naszymi wschodnimi sąsiadami. Wciąż nie znamy wszystkich personaliów ofiar z tak zwanej białoruskiej listy katyńskiej oraz miejsca (lub też miejsc) ich pochówku na Białorusi. Również prowadzone na Ukrainie prace ekshumacyjne mogą wskazać inne, oprócz Charkowa i Bykowni, miejsca ukrycia zwłok.

Szczególne znaczenie w kontekście pamięci o wydarzeniach z 1940 roku mają relacje z Rosją – prawnym spadkobiercą ZSRS. Zamknięcie śledztwa katyńskiego i utajnienie części jego akt, brak imiennej rehabilitacji ofiar, a także kwestionowanie sowieckiego sprawstwa zbrodni budzą uzasadniony niepokój i wymagają zaangażowania ze strony państwa polskiego. Wyzwanie to jest tym większe, że w ostatnich latach sprawa ta stanowi ważny element ofensywy ideologicznej Kremla, a jej zakładnikami stają się Polskie Cmentarze Wojenne w Katyniu i Miednoje.

Nekropolie zostały otwarte w 2000 roku po wieloletnich staraniach rodzin katyńskich i polskich władz. Ich budowę sfinansowano z budżetu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, funduszy zebranych przez Federację Rodzin Katyńskich i Polską Fundację Katyńską oraz wpłat przekazanych przez darczyńców. Zgodnie z wolą krewnych ofiar cmentarze zostały zbudowane w miejscach ich pierwotnych pochówków, stając się nie tylko ważnym punktem na mapie polskiej martyrologii, ale też symbolem przypominającym o Zbrodni Katyńskiej w Rosji.

Cmentarze funkcjonują na mocy uchwały rządu Federacji Rosyjskiej z 19 października 1996 roku „O utworzeniu kompleksów memorialnych w miejscach pochówków sowieckich i polskich obywateli – ofiar totalitarnych represji w Katyniu (obwód smoleński) i Miednoje (obwód twerski)”. Obecnie Państwowe Kompleksy Memorialne „Katyń” i „Miednoje” stanowią filię Państwowego Centralnego Muzeum Współczesnej Historii Rosji w Moskwie, które znajduje się pod jurysdykcją Ministerstwa Kultury Federacji Rosyjskiej.

CMENTARZ W KATYNIU

Polski Cmentarz Wojenny stanowiący część Państwowego Kompleksu Memorialnego „Katyń” został uroczysto otwarty 28 lipca 2000 roku. W jego obrębie zlokalizowano sześć zbiorowych mogił oraz dwa oddzielne groby generałów Bronisława Bohaterewicza (Bohatyrewicza)

i Mieczysława Smorawińskiego. Pogrzebano tam łącznie 4415 – według ustaleń Stowarzyszenia „Memoriał” – oficerów, będących wcześniej jeńcami obozu w Kozielsku. Największą grupę zamordowanych stanowili oficerowie rezerwy powołani do polskiej armii w sierpniu 1939 roku w związku ze zbliżającym się konfliktem zbrojnym z Niemcami.

Rosyjska część cmentarza przez lata była praktycznie niezagospodarowana. Znajdował się na niej jedynie duży prawosławny drewniany krzyż oraz mniejsze krzyżyki i fotografie pozostawiane przez bliskich co najmniej 8 tysięcy ofiar Wielkiego Terroru z lat 1937-1938. Warto zaznaczyć, że wśród zamordowanych są też Polacy – ofiary „operacji polskiej” NKWD. W ramach realizacji nowej polityki Federacji Rosyjskiej na rzecz utrwalenia pamięci o ofiarach represji politycznych oraz docelowego programu „Kultura Rosji (2012-2018)” na terenie memoriału zaczęto prowadzić działania zmierzające do depolonizacji tego miejsca pamięci.

O ile dla umieszczenia na terytorium memoriału zrekonstruowanego wagonu kolejowego – jednego z tych, którymi w latach 1920-1950 transportowano ofiary sowieckich represji – można znaleźć uzasadnienie, to już zaprezentowaną w 2017 roku wystawę plenerową poświęconą wojnie polsko-bolszewickiej można uznać za prowokację ze strony władz rosyjskich. Zamieszczone na niej tablice informują o rzekomo zamordowanych w polskich obozach koncentracyjnych 25-28 tysiącach jeńców sowieckich z lat 1919-1921. Ich śmierć była rezultatem głównie panującej wówczas w Europie grypy hiszpanki oraz złych warunków sanitarnych wynikających z fatalnej sytuacji gospodarczej wyniszczonego wojną, niedawno odrodzonego państwa polskiego. Tyfus, grypa i cholera były powszechne także wśród ludności cywilnej. Brak jakichkolwiek dowodów na to, by rząd Rzeczypospolitej świadomie dążył do eksterminacji żołnierzy Armii Czerwonej. W tym okresie z podobnymi warunkami w sowieckich obozach spotkali się zresztą polscy żołnierze, spośród których z ogólnej liczby 44-60 tysięcy zmarło szacunkowo około 35%.

Prezentując dane dotyczące „zamordowanych” w polskich obozach żołnierzy sowieckich, autorzy ekspozycji powołują się na ustalenia znanego rosyjskiego badacza tego zagadnienia prof. Gienadija Matwiejewa. Co ciekawe, jeszcze w 2004 roku określał on liczbę zmarłych jeńców na około 18-20 tysięcy, a w 2010 roku zmienił ją na wspomniane 25-28 tysięcy, nie przedstawiając przy tym żadnych nowych dowodów.

Wystawa stanowi kontynuację sprawy tak zwanego anty-Katynia, czyli akcji propagandowej zapoczątkowanej przez prezydenta ZSRS Michaiła Gorbaczowa, który by osłabić wydźwięk komunikatu Agencji TASS o uznaniu Zbrodni Katyńskiej za przestępstwo stalinowskie, wydał polecenie zebrania archiwaliów z historii stosunków dwustronnych określających straty strony sowieckiej. Zestawianie morderstwa 22 tysięcy obywateli Polski na rozkaz najwyższych władz ze śmiercią rosyjskich jeńców w wyniku epidemii i złych warunków bytowych stanowi relatywizację zbrodni wojennej.

W 2018 roku na ścianach korytarza prowadzącego do memoriału katyńskiego niespodziewanie pojawiły się płyty z wypisanymi naprzemiennie po polsku i rosyjsku nazwiskami ofiar obu narodowości. Całość uwieńczona jest napisem: „Tu spoczywa ponad 8 tysięcy obywateli sowieckich i ponad 4 tysiące obywateli polskich”. Innym istotnym elementem nowej narracji cmentarza była zmiana logotypu. Napisane cyrylicą słowo „Katyń” z łacińską literą „T” stylizowaną na krzyż stało się nagle nieczytelne dla Rosjan...

Swoista kulminacja nastąpiła 20 kwietnia 2018 roku, kiedy to przewodnicząca Rady Federacji, wyższej izby parlamentu Rosji, Walentina Matwijkenko – oficjalnie trzecia osoba w państwie – dokonała otwarcia przebudowanego Zespołu Memorialnego „Katyń” wraz z pawilonek prezentującym ekspozycję „Rosja i Polska. XX wiek. Karty historii”. Autorami koncepcji ekspozycyjnej jest Państwowe Centralne Muzeum Współczesnej Historii Rosji oraz Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne, którego przewodniczącym jest minister kultury Władimir Miedinski – również uczestniczący w ceremonii otwarcia. Poprzez tendencyjną selekcję materiału i manipulację autorzy wystawy przedstawiają Polskę po 1918 roku jako państwo agresywne wobec Rosji i swoich sąsiadów. Powtarzają też narrację o wymordowaniu przez Polskę sowieckich jeńców wojny polsko-bolszewickiej, ilustrując to kawałkiem drutu kolczastego z „polskiego obozu koncentracyjnego”. Rzeczpospolita w dwudziestolecu międzywojennym jawi się jako państwo prześladowane przez mniejszości narodowe, w tym Ukraińców i Białorusinów. Jako sojusznik III Rzeszy rzekomo uczestniczyła również w rozbiórce Czechosłowacji, wobec czego tak zwany pakt Ribbentrop-Mołotow okazuje się odpowiedzią na jej mocarstwowo-imperialną politykę. Napaść sowiecka na Polskę 17 września 1939 roku była zaś powodowana jedynie chęcią obrony przed nazizmem obywateli „zachodniej Białorusi i Ukrainy”. Na ekspozycji nie znajdziemy natomiast informacji o wspólnej rosyjsko-niemieckiej defiladzie wojskowej w Brześciu. Temat masowych represji sowieckich z lat 1939-1941 został potraktowany marginalnie, podobnie jak działania Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Rozbudowana narracja dotyczy jedynie prokomunistycznej Armii Berlinga.

Relacjom dwustronnym po 1945 roku poświęcono oddzielną salę. W sposób idylliczny przedstawiono stosunki Związku Sowieckiego z Polską Rzeczpospolitą Ludową, które symbolizuje lot pierwszego Polaka w kosmos. Podkreślono wkład finansowy ZSRS w rozwój zniszczonej wojną Polski, co oczywiście przemilczając prowadzoną przez lata rabunkową politykę ekonomiczną (w tym demontaż i wywózkę maszyn i urządzeń przemysłowych) oraz blokadę włączenia Polski do tak zwanego planu Marshalla. Z wystawy nie dowiemy się o represjach sowieckich wobec polskiego podziemia niepodległościowego i ludności cywilnej, za to w jednej z gablot zobaczyć można „dar dla Stalina od polskich robotników” (sic!). Pominięto również fakt funkcjonowania w PRL antysowieckiej demokratycznej opozycji, choć zaakcentowane są przypadki demontażu „pomników wdzięczności Armii Czerwonej”. Nie wspomina się o 718 cmentarzach i kwaterach żołnierzy rosyjskich w Polsce utrzymywanych i remontowanych na koszt państwa w zgodzie z polskim ustawodawstwem i konwencjami międzynarodowymi. Temat katastrofy polskiego samolotu prezydenckiego z 10 kwietnia 2010 roku został zasygnalizowany jednym zdaniem, po którym pada zapewnienie, iż Rosja niezmiennie wykazywała się dobrą wolą wobec strony polskiej, czego dowodem ma być wspólne śledztwo badające okoliczności katastrofy oraz udział najwyższych władz Federacji w organizacji uroczystości żałobnych.

CMENTARZ W MIEDNOJE

Polski Cmentarz Wojenny stanowi część Państwowego Kompleksu Memorialnego „Miednoje”. Został uroczystie otwarty 2 września 2000 roku. W jego obrębie zlokalizowano dwadzieścia pięć zbiorowych mogił, w których pogrzebano 6295 (według ustaleń Stowarzyszenia „Memoriał”) jeńców obozu w Ostaszkowie rozstrzelanych na podstawie tak zwanej decyzji katyńskiej z 5 marca 1940 roku w piwnicy siedziby NKWD w Kalininie (obecnie Twer). Wśród zamordowanych znaleźli się funkcjonariusze Policji Państwowej, Straży Granicznej, Korpusu

Ochrony Pogranicza, Żandarmerii Wojskowej, Oddziału II Sztabu Głównego WP i pracownicy wymiaru sprawiedliwości.

Dnia 27 sierpnia 2019 roku podczas odbywającego się w Twerze spotkania Międzyresortowej Grupy Roboczej ds. Realizacji Państwowej Koncepcji Utrwalania Pamięci Ofiar Represji Politycznych Irina Wielikanowa, dyrektor generalna Państwowego Centralnego Muzeum Współczesnej Historii Rosji, poinformowała o planach ekshumacji i zmian w koncepcji ekspozycji na terenie kompleksu. W swym wystąpieniu podważyła ustalenia strony polskiej co do liczby zidentyfikowanych ciał polskich jeńców zamordowanych w Kalininie (Twerze) i pogrzebanych w Miednoje. Podkreśliła, że w odróżnieniu od polskiej części cmentarza, spoczywający w rosyjskiej części obywatele sowieccy pozostają bezimienni. Dalej Wielikanowa, powołując się na przeprowadzane w Twerze narady eksperckie, podczas których ustalono, że tak zwane „ofiary politycznych represji” mogą być w rzeczywistości ciałami zmarłych w latach 1941-1943 w szpitalach polowych żołnierzy Armii Czerwonej, zapowiedziała przeprowadzenie kompleksowych prac ekshumacyjnych. „Nie możemy odrzucić tych danych” – powiedziała – „choćby i po dwudziestu latach należy przywrócić sprawiedliwość dziejową”.

Wspomniane narady gromadzą negatorów Zbrodni Katyńskiej, w tym Anatolija Wassermana, Aleksieja Płotnikowa i Władysława Szweda, a niezmiennie międzynarodowy charakter spotkań zapewnia piewca stalinizmu z USA Grover Furr. Lansują oni tezę, że sprawcami mordu w lesie katyńskim byli Niemcy, a że w Miednoje trudno przypisać III Rzeszy sprawstwo zbrodni – teren dzisiejszego cmentarza był okupowany przez nią zaledwie trzy dni – zaprzeczają pogrzebaniu tam polskich jeńców Ostaszkowa. Podważają przy tym wyniki prac ekshumacyjnych prowadzonych w Miednoje w 1991 roku oraz w latach 1994-1995. Działania pseudo-historyków wspierane są przez środowiska kombatanckie, przede wszystkim Klub „Czerwona Gwiazda”, Sojusz Weteranów Afganistanu oraz działający pod patronatem Ministerstwa Obrony FR ruch młodzieżowy „Junarmia” (Młoda Armia), a także przez krajoznawców skupionych w twerskim oddziale Rosyjskiej Fundacji Pokoju kierowanej przez Siergieja Rogozina. Wraz z objęciem stanowiska dyrektora Kompleksu Memorialnego „Miednoje” przez Jelenę Szewczenko w 2017 roku dotychczas marginalizowane środowiska stały się orężem ideologicznym „sprawiedliwości dziejowej”. Wsparcie polityczne zapewnia im zarówno Ruch Narodowo-Wyzwoleńczy kierowany przez Jewgienija Fiodorowa, posła do Dumy i członka władz putinowskiej partii Jedna Rosja, jak i Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne.

Podstawę dla negacji zbrodni stanowią nowe odkrycia Siergieja Titkowa, kierującego w Twerze grupą „Podwig” (Czyn), dotyczące pochówków na terytorium memoriału żołnierzy Armii Czerwonej zmarłych w rosyjskich szpitalach wojskowych w latach 1941-1943. Dotychczas znaleziono rzekomo szczątki dwóch z nich – Siergieja Kuwajewa i Fiodora Bie-spałowa. Co ciekawe, ich ciała zidentyfikowano już wcześniej i od lat spoczywają one w zbiorowej mogile w centrum wsi Miednoje, gdzie na umieszczonych tam pamiątkowych tablicach wyryto ich nazwiska.

Zgodnie z zapowiedzią dyrektor Wielikanowej w październiku 2019 roku przeprowadzono wstępne prace ekshumacyjne mające na celu ustalenie tożsamości pochowanych tam podobno żołnierzy Armii Czerwonej. Prace prowadziło Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne. Nie czekając na wyniki prac, Władimir Łukin – wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji – zapowiedział budowę na terenie kompleksu nowego pomnika

poświęconego zmarłym obywatelom Rosji, którego otwarcie zbiegnie się z rocznicą zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej.

Poczynania strony rosyjskiej mają bez wątpienia charakter przemyślanej i konsekwentnej polityki historycznej zmierzającej do umniejszenia symbolicznej wymowy polskich miejsc pamięci, podkreślających wyjątkową skalę sowieckich represji. Świadczy o tym fakt, że realizują je te same instytucje – Ministerstwo Kultury i powiązane z nim Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych – a działaniom towarzyszą skonsolidowane kampanie medialne kierowane głównie do odbiorców w Rosji.

W przypadku memoriału katyńskiego próbuje się umniejszyć znaczenie wydarzeń z 1940 roku poprzez zestawienie ośmiu tysięcy sowieckich ofiar politycznych represji z lat Wielkiego Terroru z „zaledwie” czterema tysiącami zamordowanych Polaków. Samą zbrodnię usprawiedliwia się rzekomym mordem dokonany przez Rzeczpospolitą na jeńcach wojny polsko-bolszewickiej. Dla wzmocnienia tej narracji w 2018 roku otwarto na terenie cmentarza ekspozycję „Rosja i Polska. XX wiek. Karty historii”, która godzi bezpośrednio w pamięć o ofiarach represji sowieckich i wykorzystuje ją dla doraźnych celów propagandowo-politycznych Federacji. Warto podkreślić, że to jedyna w Rosji stała ekspozycja poświęcona historii jej relacji z innym państwem.

W Miednoje pretekstem do zmiany koncepcji stały się odnalezione rzekomo na obszarze memoriału mogiły żołnierzy Armii Czerwonej. Działania dotychczas mało znaczące środowiska negatorów Zbrodni Katyńskiej zyskały przy tym po raz pierwszy oficjalne wsparcie instytucji państwa rosyjskiego. Warto podkreślić, że podczas prac sondażowo-ekshumacyjnych prowadzonych w 1991 roku i w latach 1994-1995 w wyznaczonym „polskim” rejonie badań nie znaleziono szczątków obywateli sowieckich. Na uwagę zasługuje również fakt, że podobny schemat działań zastosowano w celu dyskredytacji miejsca spoczynku co najmniej 9,5 tysięcy ofiar Wielkiego Terroru na karelskim uroczysku Sandarmoch. Od 2018 roku na podstawie prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne próbuje się tam udowodnić tezę o masowym pochówku jeńców Armii Czerwonej rzekomo rozstrzelanych przez wojska fińskie.

Ponadto, na terytorium kompleksu memorialnego w Katyniu znajduje się granitowa płyta upamiętniająca pięciuset sowieckich jeńców wojennych rozstrzelanych przez Niemców w lesie katyńskim w maju 1943 roku. Wydarzenie to nie zostało dotychczas potwierdzone w jakichkolwiek źródłach historycznych. Sam monument stanowi pokłosie raportu tak zwanej komisji Burdenki, która mord na Polakach w Katyniu przypisała Niemcom, a dla wzmocnienia efektu propagandowego dodała jeszcze zbrodnię na żołnierzach Armii Czerwonej. Może to stanowić uzasadnienie dla wszczęcia poszukiwań rosyjskich ciał – analogicznie do sytuacji w Miednoje.

Politykę wobec Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu i Miednoje wpisać można w szerszy kontekst prowadzonej w dobie rządów Władimira Putina neoimperialnej polityki historycznej odwołującej się do narracji z czasów Związku Sowieckiego. Rdzeniem tożsamości, wokół którego próbuje się skonsolidować obywateli wielonarodowej i wieloetnicznej Federacji Rosyjskiej, stało się zwycięstwo nad Niemcami w „wielkiej wojnie ojczyźnianej”. Marginalizacji

ulega przy tym pamięć o ofiarach sowieckich represji – wykorzystywana jedynie doraźnie, na przykład dla pomniejszenia znaczenia Zbrodni Katyńskiej – zastąpiona kultem żołnierzy Armii Czerwonej, ofiar zwycięskiej wojny. „Wyzwolenie” przez Rosję Europy, w tym Polski, stanowi integralną część tego mitu.

Debata pt. „Relacje polsko-rosyjskie
a narracje o komunizmie
i Związku Sowieckim” odbyła się
17 września 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

NARRACJE O KOMUNIZMIE I ZWIĄZKU SOWIECKIM

W dyskusji udział wzięli:

prof. Andrzej Nowak
(Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie,
Uniwersytet Jagielloński w Krakowie,
Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej,
Rada Programowa Fundacji im. Janusza Kurtyki),
prof. Hieronim Grala
(Uniwersytet Warszawski)
oraz red. Witold Jurasz
(onet.pl, Ośrodek Analiz Strategicznych).

Rozmowę poprowadził
dr Michał P. Sadłowski
(Uniwersytet Warszawski).

Dr Michał P. Sadłowski: Szanowni państwo, jeszcze raz chciałbym się z państwem przywitać. Dzień dobry. Spotkaliśmy się dzisiaj, żeby porozmawiać o relacjach polsko-rosyjskich, w dwóch głównych płaszczyznach, historycznej i współczesnej. Relacje polsko-rosyjskie są relacjami trudnymi i wielopłaszczyznowymi oraz tragicznymi. Dnia 17 września 1939 roku, czyli osiemdziesiąt lat temu rozpoczęła się agresja Związku Sowieckiego na Polskę, która dla naszego narodu rozpoczęła pewnego rodzaju hekatombę. Wywózki, następnie Katyń. Można powiedzieć, że te relacje są kluczowe. Myślę, że tak naprawdę, Rosja od początku XVIII wieku do 1989 roku, nie licząc okresu Księstwa Warszawskiego i II Rzeczypospolitej, miała decydujący wpływ na pewne kwestie i funkcjonowanie państwa polskiego. Kolejną cezurą trudności w relacjach polsko-rosyjskich jest rok 2014, gdy Rosja wykorzystując kryzys ukraiński, zaangażowała się militarnie i dokonała aneksji Krymu, utworzyła na wschodniej Ukrainie quasi-państwa, rozpoczęła się wojna. Również dzisiaj narracje wokół rocznicy paktu Ribbentrop-Mołotow, ataku Niemiec na Polskę czy ataku ZSRR na Polskę wskazują na to, że trwa pewnego rodzaju konflikt. Celem debaty, celem pytań, które będę panom zadawał, będzie uzyskanie odpowiedzi na pytanie, jakie są źródła różnicy w narracji, uwzględniając komunizm, relacje radziecko-polskie. Druga część to będzie uzyskanie pewnych wskazówek na przyszłość, bo nie ulega wątpliwości, że w Federacji Rosyjskiej następuje pewna zmiana. Ostatnie wybory lokalne, w Moskwie, pokazują, że zmiana pokoleniowa ma miejsce. U nas w Polsce również, więc te wskazówki mogą być bardzo przydatne i bardzo istotne.

Przechodząc do pytań i do debaty, pierwsze pytanie mam do pana profesora Andrzeja Nowaka. Panie profesorze, patrząc na genezę rosyjskiego socjalizmu i rodzącego się z niego bolszewizmu, komunizmu, jak by pan scharakteryzował narracje dotyczące Polski? Czy było tam miejsce dla Polski? Czy nie jest już to zarzewie pewnego konfliktu, który będzie miał następstwa w dwudziestym wieku? Myślę, że do 1914 roku carat w ogóle nie chciał się godzić na istnienie państwa polskiego. Nawet nie otrzymaliśmy żadnej formy autonomii do 1914 roku. Nagle powstają ruchy rewolucyjne, które na pierwszym miejscu kładą nacisk na walkę z caratem, na rewolucje światową i nie ma tam miejsca na Polskę.

Prof. Andrzej Nowak: Dobry wieczór państwu. Dziękuję za zaproszenie do tego niezwykłego miejsca na ważną debatę o sprawach stosunków polsko-rosyjskich. Odpowiadając na pytanie pana doktora, pozwolę sobie zacząć sięgając trochę głębiej wstecz. Wydaje mi się, że omawianie znaczenia historii, na stosunkach polsko-rosyjskich, chyba musi zacząć się wcześniej niż w wieku dziewiętnastym, a zwłaszcza w końcu wieku dziewiętnastego, ponieważ te stosunki z naszym wschodnim sąsiadem sięgają dziesiątego wieku. Mam na myśli spór graniczny. Może nie zasadniczo, egzystencjalnie ważny dla obu ówczesnych podmiotów, ale spór graniczny jest

od początku, jak zwykle między sąsiadami, więc to nie jest wielki spór. Sąsiedzi między sobą o granicę się spierają, z reguły na najróżniejszych szerokościach i długościach geograficznych. Spór o tak zwane Grody Czerwieńskie jest dokładnie początkiem naszych stosunków z Rosją. Trudno jeszcze mówić o Moskwie i Rosji, ale Moskwa i Rosja do tamtych tradycji się odwołują świadomie, politycznie. To jest ważne, trzeba wziąć to pod uwagę. Chciałbym wymienić wszystkie ważne aspekty, gdy mówimy o trudnościach w stosunkach polsko-rosyjskich. Spór graniczny jeszcze nie stanowi o tym momencie. To jest spór o peryferyjne grody. Zarazem z punktu widzenia Polski, istnienia tworzącego się państwa polskiego jak i z punktu widzenia znacznie większego kaganatu ruskiego, który wtedy istniał. Natomiast znacznie większe znaczenie, ma utrwalenie granicy religijno-kulturowo-cywilizacyjnej. Można użyć takiego określenia, w związku ze schizmą w Kościele, ostatecznie dokonaną w 1054 roku, oraz faktem, że to granica między prawosławiem a łacińską religią, kulturą, cywilizacją. Wszystko jedno, jak to nazwiemy.

Najkrócej mówiąc, trzeba sobie uświadomić, że stoimy wobec pytania, czy rację ma Feliks Koneczny, wybitny polski historyk, który powiedział, że istnieje tutaj bariera nieprzekraczalna, która dzieli nas, czyli tych, którzy należą do kultury łacińskiej, od tych, którzy leżą na wschód od tej granicy i tworzą cywilizację turańską, jak ją określił profesor Koneczny. Można to nazwać inaczej. Zderzeniem cywilizacji lub kultury łacińskiej, katolickiej z prawosławną. Nie chodzi mi o definiowanie typu cywilizacji, tylko czy granica cywilizacyjna jest tak ważna, że nieprzekraczalna? Jeśli przyjmujemy takie założenie to niezależnie, czy ulokujemy Rosję po stronie cywilizacji turańskiej, czy nazwiemy ją prawosławną albo jakkolwiek inaczej, ale w innej cywilizacji niż my siebie lokujemy, chcemy lokować, w cywilizacji łacińskiej, katolickiej, zachodniej, na jej granicy. Jeżeli przyjmujemy takie założenie o nieprzekraczalnej granicy cywilizacyjnej, to nasze stosunki z Rosją po tej drugiej stronie muszą być zawsze bardzo trudne, dużo trudniejsze niż zwykle między sąsiadami. To jest pytanie o naturze historycznej. Brak historycznego dowodu w tej sprawie, żeby powiedzieć, czy ma, czy nie ma racji profesor Koneczny. Możemy przyjaźnić się z Rosjanami albo nigdy to nie będzie możliwe. To jest wybór pewnego rodzaju, właśnie historiozofii. Moim zdaniem wybór, którego nie da się rozstrzygnąć na gruncie historycznym. Uważam, że tu dokonujemy własnego wyboru, wyboru wartości. Mój wybór nie idzie torem profesora Konecznego. Uważam, że są momenty w historii stosunków polsko-rosyjskich, są spotkania osobiste, nie tylko jednostkowe, ale także środowiskowe, towarzyskie, które stwarzają nadzieję na to, że ten odwieczny spór historyczny, na pewno o pewnym podłożu cywilizacyjnym – nie da się tego całkiem wyeliminować – i o charakterze geopolitycznym, o terytoria, które poszerzają się z peryferyjnych Grodów Czerwieńskich na cały obszar Europy Wschodniej. Chodzi o Litwę, Łotwę, a przede wszystkim o Białoruś i Ukrainę, które przez długotrwały związek poprzez unię z Polską, zmieniają swój charakter kulturowy, religijny. To jest spór o te terytoria, o ogromnym, zasadniczym znaczeniu dla Polski oraz dla Rosji bardzo ważnym, która bez tych terytoriów traci bardzo dużą część swojego dostępu do Europy. Stąd ten charakter geopolityczny, przynajmniej od XVI, XVII wieku, ma niemal równie istotne znaczenie, jak kwestia cywilizacyjna. Czy pomimo tego zasadniczego sporu geopolitycznego i sporu cywilizacyjnego jest kiedykolwiek szansa na porozumienie polsko-rosyjskie, ograniczenie tego konfliktu? Wbrew wszystkim rocznikom, przy okazji których się spotykamy, będę bronić tezy, że jest to możliwe, bywało to możliwe. Zostawiam to do dalszej dyskusji. Już tego wątku nie rozwijam.

Przechodzę do odpowiedzi na pytanie pana doktora Michała Sadłowskiego. Komunizm, ideologia marksistowska i jej triumf w specyficznej formie, na terenie Rosji w 1917 roku wprowadził

dotatkowy bardzo ważny element w naszych stosunkach. Element dwuznaczny. Z jednej strony Rosjanie mogą interpretować w sposób: Zostaliśmy podbici przez ideologię, która przyszła do nas z zachodu. Marksizm jest zachodnim importem. Jest zgnilizną, która przyszła do nas z Europy, wbrew naszej tradycji i kulturze. Jednym z nośników tej zgnilizny byli rewolucjonisci inorodcy. Tacy, jakich najlepszym albo najgorszym symbolem, dla niektórych symbolem polsko-sowieckiego porozumienia, jest Feliks Edmundowicz Dzierżyński. Wielu jest ludzi w Rosji, którzy mówią, że Polacy mogą być z kogoś dumni. Mówią, że Dzierżyński był jedynym porządnym Polakiem, z którego Polacy mają powody być dumni. Myślę, że tego rodzaju spojrzenie musimy mieć w pamięci, że ono jest możliwe.

Mój wybór jest inny. Patrzę na wprowadzenie tego bardzo ważnego komponentu komunistycznego w nasze relacje, jako na taki moment, na który możemy spojrzeć oczami Józefa Mackiewicza, wybitnego polskiego pisarza i reprezentanta wyraźnego w naszej kulturze nurtu, który patrzy na Rosję, jako na ofiarę systemu komunistycznego, a nie jako sprawcę; poprzez wspólną ofiarę, większą w przypadku Rosjan niż w naszym. Wspólna rola ofiar mogłaby tworzyć przesłankę, że oto Polacy i Rosjanie mogliby się pogodzić. We wspólnym potępieniu systemu, który zabił najwięcej Rosjan i spowodował niewyobrażalne cierpienia Polaków, chociażby przez to, że ten system totalitarny, zbudowany na terenie Rosji, umożliwił wybuch drugiej wojny światowej. Nie byłoby drugiej wojny światowej, gdyby nie uścisk ręki Stalina z Hitlerem. Sam Hitler nie wystarczył do drugiej wojny światowej, potrzebny był mu Stalin. Możemy spojrzeć na to właśnie z takiej perspektywy, że skoro Stalin nie był Rosjaninem – był Gruzinem – ale był w pewnym sensie wielkoruskim szowinistą, jeśli chodzi o jego politykę imperialną, to również Rosjanie są winni. Możemy spojrzeć inaczej. Stalin był największym mordercą Rosjan, nie tylko Polaków. To jest spojrzenie Mackiewiczowskie. To spojrzenie wydawało się aktualne, w naszych stosunkach polsko-rosyjskich na moment, w roku 1990, 1991, gdy Jelcyn doszedł do władzy i poważnie rozważał zorganizowanie sądu na wzór trybunału norymberskiego, nad komunizmem, gdzie Polska byłaby naturalnym świadkiem na tym sądzie i jednocześnie jedną z ofiar, która dopominała się o sąd nad komunizmem, w jego sowieckim wydaniu. Niemal do tej satysfakcji doszło, ale Jelcyn zmienił swoją politykę pod wpływem okoliczności społecznych, politycznych, które wtedy w Rosji zwyciężyły. To jest zasadnicze, całe tło odpowiedzi na pana pytanie.

Dodam jeszcze tylko ostatnią uwagę. Carska Rosja wytworzyła namiastkę polskiej państwowości, Królestwo Polskie. Było to bardzo szkodliwe dla nas z punktu widzenia geopolitycznego tłumaczenia w XX i XXI wieku, na czym polega Polska państwowość i jej aspiracje. Trudno jest dzisiaj rozmawiać z historykami, nawet nie mówię o zwykłych ludziach, którzy historią się specjalnie nie interesują, na czym polega różnica między Królestwem Polskim, tym małym tworem utworzonym na 120 tysiącach kilometrów kwadratowych, na zachód od Bugu, a Królestwem Polskim inaczej rozumianym, jako część Rzeczypospolitej, jako Korona Królestwa Polskiego, wielkim państwem suwerennym, które nie jest małą przyczepką do wielkiego imperium na znikomym terytorium, tylko suwerennym bardzo ważnym krajem całej struktury europejskiej geopolityki. Musimy przypomnieć, że Rosjanie to zrobili. Była to inicjatywa cara Aleksandra I, wygodna z punktu geopolitycznego dla Rosji. To jeszcze bardziej komplikuje. Nie chcę niczego uprościć. Nie chcę dać prostych wytrychów do historii. Chcę pokazać, jak ona jest w istocie skomplikowana w naszych relacjach polsko-rosyjskich. Rosja wymyśliła w 1815 roku znakomitą koncepcję geopolitycznego manipulowania Polską. Niby jest Polska na mapie, Królestwo Polskie, w którym formalnie królem jest car, ale rządzi namiestnik rosyjski

i są polskie urzędy, ale to państewko jest podporządkowane rosyjskiej racji stanu, rosyjskiemu imperialnemu projektowi i odpowiedź Polacy, czy to wam odpowiada, czy to wystarczy? Czy my taką półkolonią czujemy się usatysfakcjonowani, czy chcemy więcej? Tutaj się zaczyna spór o polski realizm. Niektórzy realisci mówią, cieszymy się z tego, co nam dali. Niech będzie takie małe państewko, ale nie stracimy go. Mamy chociaż te polskie urzędy, różne polskie instytucje. Ludzie, którzy nie stracili pamięci o prawdziwym Królestwie Polskim, mówią, że to nie wystarczy i niepodległość jest potrzebna. Kolejna swoista pułapka, którą zastawiła na nas instytucjonalnie myśl geopolityczna rosyjska, carska.

Myśl komunistycznego państwa rosyjskiego, czyli Związku Sowieckiego dokładnie powtórzyła ten element. Tutaj widzę ten element ciągłości. Nie w zaprzeczeniu istnienia państwa polskiego, tylko wykorzystaniu tamtej koncepcji z 1815 roku w 1944 roku w postaci PRL-u, który wtedy się naprawdę narodził. To była powtórka z Królestwa Polskiego. Oczywiście z rozmaitymi zmianami. Nic się dokładnie w historii nie powtarza, ale sytuacja była pod wieloma względami podobna. Jednocześnie to rozwiązanie nie jest jedynym, które Rosja państwowa, niekomunistyczna, wcześniejsza, carska albo podbita przez komunizm, albo będąca nową formą Rosji, komunistyczną, które wyprodukowała na temat Polski. Ten drugi wariant jest dokładnie taki, o jakim pan doktor wspominał, to znaczy nie ma miejsca na żadną Polskę przy Rosji. To jest wariant, w którym Rosja porozumiewa się z Niemcami albo imperialnymi, tak jak to było w przypadku osiemnastego lub dziewiętnastego wieku, albo z komunistycznymi, jak liczył Lenin w 1919, 1920 roku. Na zachód od wielkiej konstrukcji bolszewickiej będzie republika rad ze stolicą w Berlinie. To, co było pomiędzy, nie miało żadnego znaczenia, a właściwie lepiej, żeby tego nie było, bo ważny jest proletariats niemiecki i ważny jest proletariats sowiecki. Lenin taktycznie mógł przewidywać polską republikę sowiecką, ale prawdę mówiąc, liczyła się tylko linia graniczna z Niemcami socjalistycznymi. Myślę, że o tym również musimy pamiętać, rozważając pytanie, które postawił pan doktor. W rosyjskiej koncepcji politycznej są te dwie możliwości stosowane wobec Polski, albo namiastka państwa, które jest kontrolowane przez Rosję i nie jest suwerenne, ale nazywa się Polską, albo nie ma Polski, bo jest przyjaźń rosyjsko-sowiecko-niemiecka.

Dwie koncepcje są alternatywą do tej idei, o której wspominałem wcześniej, że jest możliwe jakieś porozumienie polsko-rosyjskie. Pamiętajmy, że był Borys Sawinkow, Dymitr Filosofov. W roku 1919, 1920 była możliwość tworzenia wspólnego frontu przeciwko bolszewikom, z której próbował korzystać marszałek Józef Piłsudski. Niestety w przegranej w istocie przez Polskę wojnie, wbrew temu, co będziemy świętować w 2020 roku. Polska wojnę w 1920 roku geopolitycznie przegrała. Polacy obronili tylko swoją niepodległość, ale struktury geopolitycznej Europy wschodniej nie zmieniliśmy.

Prof. Hieronim Grala: Dzień dobry państwu. Dziękuję serdecznie za zaproszenie. Na początek postaram się w zwarty sposób ustosunkować się do tez pana profesora, których jak zwykle wysłuchałem z ogromnym zainteresowaniem. Jednak, jak to często się zdarza, będąc przekonany, że diabeł tkwi w szczegółach, nie do końca je podzielam. Pewnie dlatego, że jestem, a przynajmniej za młodu byłem mediewistą, powinienem być przywiązany do perspektywy średniowiecznej stosunków polsko-rosyjskich. Chcę wszakże uprzedzić, że kompletnie się z tą perspektywą nie zgadzam i absolutnie ją odrzucam. Żeby uzasadnić dlaczego ją odrzucam, powołam się na słowa wybitnych znawców Rosji, XVI-wiecznych jagiellońskich dyplomatów, Rusinów i prawosławnych, którzy w sporze z Moskwą odpowiadali mniej więcej tak, kiedy

przedmiotem był targ o ziemie ruskie: „wszak Ruś jest ojcowizną pana naszego, z domu Jagiełłowego, albowiem stolicą i macierzą Rusi Kijów jest, który do państw naszych przynależy, jak i dwunastu księstw ruskich. W związku z czym gospodar moskiewski może się moskiewskim nazywać, a nasz pan wielkim księciem ruskim.” Również, w tej sytuacji, nie podzielam opinii, że sprowadzało się to do granicy cywilizacyjnej, bo przynajmniej przez 150 lat właśnie Ruś prawosławna była mieczem i tarczą Rzeczypospolitej przeciwko państwu moskiewskiemu. To były najwierniejsze kontyngenty, to byli biskupi prawosławni, utwierdzający swoją odczyną w wierności Rzeczypospolitej, to były osoby kierujące wywiadem Rzeczypospolitej, pogranicznym i głębszym, byli to polscy dyplomaci, Rusini prawosławnego wyznania, którzy nigdy nie zawiedli w przeciwnieństwie na przykład do koroniarzy, czasem przekupionych przez Moskwę. Wydaje mi się, że nie tutaj jest ta granica ustawiona, bo do Rusi, także jako potomek podlaskich unitów jestem mocno przywiązany i zawsze będę bronił ich propolskości.

Proszę państwa, wydaje mi się, że spór polsko-rosyjski jest bliźniaczy z początkiem rywalizacji polsko-moskiewskiej, a więc jest to spór nie o grody czerwieńskie, a o hegemonię w Europie wschodniej. Nie jest to spór o Czerwieńsk, Przemyśl i parę pogranicznych gródków, tylko to jest spór o wielkie przestrzenie między Bugiem, Dnieprem, Berezyną, Dźwiną, wychodzące forpocztami jagiellońskimi pod Orzeł, Mceńsk i na Borodińskie Pole – relikwii dzisiejszej Rosji, ponieważ tam stały Olgierdowe forpocztę. W związku z tym było o co się spierać, było o co walczyć. Jednak te przegrane przez nas zapasy trwały 250 lat. Utrwały różne, wzajemne, niechętnie do siebie stosunki, ale również nie do końca spetryfikowały wzajemne stereotypy. Po pierwsze tych Rusinów było prawie 40% i jednak odczuwali pewną, chociaż językową i historyczną, bliskość z wrogiem zza miedzy. Tak jak w filmie „Sami swoi” w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego z 1967 roku, wrogiem od zawsze znanym, swojskim, dobrze rozpoznanym. To wielka rywalizacja dwóch wielkich projektów. Rozpoczęta około 500 lat temu, rzeczywiście doprowadziła do tego „wododziału”, do tej wzajemnej niechęci, ale – powtarzam – niechęci kształtującej się powoli, nawet w dobie wielkiej smuty i wojny z Chmielnickim. Z jednej strony mieliśmy rzeź moskiewskich obrońców Starodubia i rzeź ludności Wilna, rzeź garnizonu polskiego na Kremlu i mordowanie wzajemne polskich i moskiewskich załóg. Mieliśmy również to jedno ważne zdanie, które wygłosił monarcha, którego my za polonofila raczej nie uważamy, czyli Piotr I, odpowiadając na pierwszą pruską propozycję rozbioru Polski. „Tego się nie praktykuje”. O co zatem chodziło? Wtedy chodziło o inny podział szachownicy europejskiej. Ten Piotr, który wprowadził Rosję do pierwszej ligi, nie zakładał zmiecenia polskiej państwowości, chyba że względną satelitarności. Natomiast nie dopuszczał możliwości pełnej likwidacji. Czy przypadkiem Aleksander I nie nawiązywał do tego projektu? Jeżeli połączymy sobie grę na kongresie wiedeńskim, która tak naprawdę jest w dużym stopniu grą przeciw Austriakom i przeciw Prusakom z ekspektatywą na przejście niegdyś ziem zajętych przez Prusaków – o to też grał Czartoryski w swoim czasie – to wtedy zrozumiemy, dlaczego nawet weterani armii napoleońskiej, wracający do ojczyzny, po dwudziestu latach służby pod francuską flagą, na Placu Zamkowym, na widok nowego monarchy krzyczeli: „niech żyje Aleksander, co nam Polskę zwraca!” Oni zakładali, że będzie coś więcej.

Rzeczywiście, pan profesor wychwytał niesłychanie istotną rzecz. Istnienie pewnego projektu, pewnego pomysłu rosyjskiego, na zagospodarowanie tej polskiej przestrzeni. Tyle, że ja korzeni widzenia Aleksandrowego, dopatrywałbym się nieco wcześniej. Nie w sojuszu z Niemcami, a jako antidotum w dużym stopniu na Niemcy właśnie. Posłużyłbym się jeszcze jednym bardzo ważnym argumentem, o którym my nie lubimy wspominać, że tak naprawdę najbardziej

intensywne poszukiwania wykradzionych klejnotów koronnych i insygniów królów polskich, które Prusacy wywieźli z Wawelu, przeprowadzali monarchowie rosyjscy, dwaj ostatni królowie, czyli Aleksander I i Mikołaj I. Domagali się od Berlina ich zwrotu, a Berlin ukrywał przed nimi, sojusznikami ze Świętego Przymierza, tę informację, ponieważ wiedział, czym to pachnie. Wiedział, że oni już weszli w buty polskich królów i, nie daj Boże, dać im teraz koronę Łokietków i Chrobrych.

Co do komunizmu, możliwości współpracy, czy też sporów. Proszę państwa, na pewno, tak jak pan profesor Andrzej Nowak, wydzieliłbym wątek komunistyczny z całokształtu, bo żaden inny okres i żadna inna formacja polityczna bardziej nie zderzyła Polaków z Rosjanami. Wbrew całej otoczce internacjonalistycznej, wbrew zapewnieniom o braku narodowych antagonizmów, to właśnie czas komunizmu doprowadził do zwielokrotnienia niechęci. Właśnie przez to doświadczenie stalinowskie i nie tylko, ale przy tym stalinowskim doświadczeniu znowu bym trochę bronił dobrego imienia Aleksandra I, którego skądinąd osobiście nie cierpię. Porównanie PRL-u do Królestwa Kongresowego, nie wydaje mi się do końca utrafiłone z paru względów. Jednak polską armię w Królestwie dowodziły lwy Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, jednak generacja i starzy obrońcy Mantui, ludzie, którzy rzucali sztandary pod stopy Napoleonowi. W warunkach PRL-u to tacy gnili w więzieniu, albo dostawali kulę w potylicę. Myślę, że to jest ta dostatecznie wyrazista różnica, żeby stwierdzić, że Królestwo Polskie a PRL różni mniej więcej tyle, co Hotentota i Eskimosa. Dziękuję.

Dr Michał P. Sadłowski: Dziękuję panie profesorze za ustosunkowanie się do wypowiedzi pana profesora Andrzeja Nowaka. Dodam jeszcze krótkie słowo od siebie. Pan profesor powiedział o projekcie Aleksandra I, dlatego przypomnę, że również w odezwie Rządu Tymczasowego do Polaków z 1917 roku Państwo Polskie to było państwo małe, do Bugu, podporządkowane, w wolnym sojuszu wojskowym, który również miało być forpoczta niemiecką. W tym roku również obchodzimy setną rocznicę traktatu wersalskiego i również biali Rosjanie, którzy formalnie nie uczestniczyli w obradach, ale byli tam, mieli tam komórkę polityczną, w postaci Rosyjskiej Narady Politycznej, oni również wystąpili z tymi samymi projektami. To Polska antyniemiecka, w powiązaniu z państwem rosyjskim.

Wróćmy jeszcze do tego zderzenia polsko-rosyjskiego za czasów komunizmu. Ja mam takie specjalne pytanie do pana profesora Hieronima Grała, żeby pan profesor spróbował wyjaśnić nam, jak wyglądał obraz Polski i Polaków w Związku Radzieckim, ale to dzieląc. Jak to wyglądało do 1939 roku, czy to był taki obraz, polegający głównie na tym, że to jest pańska Polska wróg? A jak to wyglądało do 1989 roku? Teraz w Rosji jest to trochę idealizowane, że Polska kultura, mieliśmy jakieś porozumienie. Niektórzy Rosjanie z sentymentem pytają: Co się stało? Polska piosenka, polskie kino...”. Spotkałem się z felietonem Maksima Sokołowa, który pisze, że mieliśmy taki potencjał, można było go wykorzystać w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku i wszystko zmarnowaliśmy. Jakby pan profesor mógł opisać to zjawisko?

Prof. Hieronim Grała: Proszę państwa, wydaje się, że okres dwudziestolecia, siłą rzeczy był okresem konstruowania na oficjalne zamówienie rządowe negatywnego konterfektu Polaków i trudno tutaj doszukiwać się miłych i ładnych obrazów. Zresztą aż do 1934 roku ta wymiana kulturalna była dosyć wątła. To dopiero zawarcie paktu o nieagresji spowodowało, że nagle odbył się sezon polski w Moskwie i Petersburgu. Pojechał Karol Szymanowski, Ewa

Bandrowska-Turska wtedy zaśpiewała ze wspianiałym sukcesem. Natomiast wcześniej raczej skromnie to wyglądało. Powiedziałbym, że nawet wszechobecność różnych dzieł polskiej literatury w Rosji carskiej bardzo się cofnęła. Zwracam uwagę, że zapewne przez niedopatrzenie kustoszy muzeum leninowskiego w Gorkach pod Moskwą, przez pewien czas na stolikach w sypialni Iljicza i Krupskiej leżały dwie książki w zasięgu ich ręki. To było bardzo zabawne, bo kustosz chyba nie wiedział, że ta książka jest rosyjskim tłumaczeniem powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis”, a już zupełnie z niczym nie kojarzył mu się Stanisław Przybyszewski, więc połączenie Przybyszewskiego, przy Leninie, z arcykatolicką powieścią Sienkiewicza, u Krupskiej dawało iście polski amalgamat, w najbardziej intymnym pomieszczeniu, w domu wodza rewolucji.

Do 1935 roku wymiana kulturalna wyglądała jednak to marnie, potem jest to ocieplenie, ożywienie, a następnie polski wątek eksploduje czymś zupełnie innym, nienawiścią do Polski. Jest 1939 rok, to są oczywiście te filmy przecież uzasadniające agresję 17 września: „Bohdan Chmielnicki” i „Minin i Pożarski”. To są filmy wyjątkowo antypatyczne wobec Polski, Polaków, odwołujące się do wielu wcześniejszych stereotypów, na przykład tej złowrogiej, pięknej i wiarołomnej Polki.

Natomiast po 1945 roku stopniowo odbywała się jakby zupełna zmiana tego konterfektu. Zaczyna się wielka obecność polskiej literatury w Rosji. Zaczyna się okres zachłyśnięcia się, od około 1954 roku., a najpóźniej 1956, polskim jazzem. W ogóle sobie nie uświadomiamy, że polski jazz był zjawiskiem tak wielkim, że nie ma wybitnego krytyka muzycznego w Rosji, który by się na nim nie wychowywał. Proszę państwa, polskie kino, ale również polska prasa, to rzeczywiście był pewien potencjał. Czy to jest tylko kwestia Polski? Czy może substytutu zachodu? Może jednak, biorąc pod uwagę, że przez polskie miesięczniki literackie poznawano literaturę zachodnią, dlatego uczono się języka polskiego, nie znając innych języków. Być może tutaj rola Polski nabierała jakby zwielokrotnienia. Wydaje mi się, że pewien istotny ładunek obiektywnego widzenia zaistniał w kulturowych kryteriach. W ubiegłym tygodniu miałem przyjemność rozmawiać z jednym z ostatnich szefów polskiej kinematografii z lat osiemdziesiątych, który wspominał mi o swojej wizycie w Moskwie i dyskusji ze słynnym szefem kinematografii rosyjskiej, który mu tłumaczył – było to już po „Człowieku z żelaza” w reżyserii Andrzeja Wajdy z 1981 roku – wy powinniście strzec Wajdy, ponieważ nie ma tak wielkiego filmowca w całym naszym obozie. On jest filmową twarzą naszego obozu. Waszym obowiązkiem jest walczyć o jego duszę i wspierać jego przedsięwzięcia. Proszę państwa, to nie jest tylko zaprzęgnięcie do swojego rydwanu, to jest gra o duszę. To samo można mówić o wielkiej polskiej muzyce. Jednak nie jest rzeczą przypadku, że Krzysztof Penderecki od pięćdziesięciu sezonów jest zawsze obecny w Rosji, niezależnie od tego, jak układały się stosunki. Jego utwór, specjalnie zamówiony, grano na jubileusz Moskwy, więc ta kultura jest atrakcyjna. To nie jest tak, że chciano ją wyłącznie wykorzystać. Myślę, że nie powinniśmy się bać jednej konstatacji. Tych krajów satelickich czy wasalnych było dosyć dużo, ale przecież do wielkiego, kulturalnego dialogu ze światem zachodu, nadawała się tylko kultura polska. Była najbardziej światowa i najbardziej europejska. Związek Radziecki miał zabiegać o czyje względy?

Dr Michał P. Sadłowski: Dziękuję panie profesorze. Na pewno przejdziemy jeszcze do tego wątku w kolejnym pytaniu. Teraz już wychodzimy z kwestii historycznych. Panie redaktorze, jak Moskwa obecnie postrzega państwo polskie? Czy obecnie Polska jest ważna dla Rosji?

Red. Witold Jurasz: Bardzo dziękuję za zaproszenie. Ja zastrzegalem się, że nie będąc historykiem, nie będę się wypowiadał na te tematy historyczne. Jeśli można, zaczęę od pewnej anegdoty. W 1962 roku mój ojciec miał okazję spotkać się z Aleksandrem Kiereńskim w Nowym Jorku. Kiereński był już starym i schorowanym człowiekiem na wózku inwalidzkim, siedział przykryty pledem. W pewnym momencie zaczął mówić o wodzach rewolucji. Mówił o nich w sposób, bardzo zdecydowany – niechętnie lub bardzo niechętnie, używając przy tym brutalnych wyrażań. Mówiąc o Leninie, mówiąc o Trockim, w którymś momencie doszedł do Stalina i nagle mój ojciec jest w szoku, bo Kiereński zaczyna wypowiadać się o Stalinie pozytywnie, mówi, że Stalin to zupełnie coś innego i jego błędy zostaną zapomniane, bo to jest tylko detal w historii. Mój ojciec był absolutnie wstrząśnięty tym spotkaniem. Mieliśmy taką sytuację, w której mój ojciec, wówczas, dyplomata PRL, zaczął krytykować Stalina, a Kiereński zaczął Stalina nie tyle bronić, co wychwalać. Mój ojciec opowiedział to swojemu przełożonemu, który był jeszcze przedwojennym dyplomata. Przełożony poprosił o wyjście na spacer i zakazał mojemu ojcu opowiadania komukolwiek o tym spotkaniu. Ojciec wielokrotnie opowiadał mi tą historię. Opowiadał mi z komentarzem, że wtedy stracił resztkę jakichkolwiek złudzeń. Rosja była, jest i będzie imperialna. Odpowiadając zaś na pana pytanie, powiedziałbym, że to nie jest tak, jak twierdzą niektórzy, że my kompletnie się nie liczymy w rosyjskiej perspektywie, ale też nie jest tak, jak z kolei chcą inni, że jesteśmy jakimś pierwszoplanowym aktorem. Wydaje mi się, że my jesteśmy wypadkową głównych wektorów rosyjskiej polityki. Twierdzę, że Rosja ma politykę zagraniczną, w stosunku do USA, Niemiec, Wielkiej Brytanii, a Polska... zresztą to widać po ilości osób, które się nami zajmują w rosyjskim MSZ-cie. Pamiętajmy też, że duża część polityki zagranicznej jest realizowana bezpośrednio na Kremlu, a nie w MSZ. My dzisiaj, chyba jesteśmy bardziej na Kremlu niż w rosyjskim MSZ-cie. I to jest dobra wiadomość, bo u Rosjan jest tak, że jak tylko polityka przechodzi do Kremla, to Rosjanie natychmiast popełniają więcej błędów.

Spytał pan, czy Polska jest ważna dla Rosji. Wydaje mi się, że aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba spróbować zrobić taką jakby fotografię rzeczywistości. Pozwoliłem sobie, antycypując pańskie pytanie, przygotować kilka punktów. Pierwszym punktem, pierwszym pytaniem, na które, wydaje mi się, warto szukać odpowiedzi, to jest, czy Rosja ma wybór pomiędzy Chinami a Zachodem? Ja twierdzę, że nie ma tego wyboru, a po drugie, nawet jeżeli miała ten wybór, to dawno go dokonała wybierając Zachód. Tyle, że dokładnie dlatego jest też wobec tego Zachodu agresywna, bo ma przekonanie, że słabnie i musi sobie póki to jeszcze możliwe zdobyć pozycję. Chińskie zagrożenie jest skądinąd mitem wrzucanym do debaty przez samych Rosjan. Mitem jest swoją drogą również zasiedlanie Syberii przez Chińczyków. Tego po prostu nie ma. Moskwa i Pekin zawarły deal. Podział jest bardzo czytelny. Kto jest pierwszy, a kto podąża za tym pierwszym. W Azji południowo-wschodniej pierwsze skrzypce grają Chiny, w Europie środkowo-wschodniej pierwszoplanowym aktorem jest Rosja. Gra ewentualnie ma miejsce w Azji centralnej, chociaż tam tak naprawdę ten deal też został już osiągnięty, tyle, że tam graczem jest jeszcze Turcja. Z czego to wynika? Wynika to z tego, że Rosja zdaje sobie sprawę, że nigdy nie będzie mogła grać z Chinami, tak jak gra z Zachodem, to po pierwsze. Po drugie z tego, że jednak rosyjskie elity widzą siebie i swoje dzieci – ten element dzieci jest bardzo istotny – na Zachodzie, a nie w Chinach. Natomiast, proszę państwa, to wszystko nie oznacza, z kolei tutaj kamyczek do ogródka tych, którzy mówią, że Rosję można przeciągnąć w stronę zachodu, że Rosja może być sojusznikiem Zachodu w zawarciu z Chinami. Rosji się nie da przeciągnąć na stronę Zachodu z jednego podstawowego powodu – jest to otóż psychologicznie niemożliwe

dla Rosjan. I to jest ważniejsze nawet niż to, że Rosja ma obiektywnie potencjał, by grać o wyższą stawkę niż o bycie czymś junior-partnerem.

Ja nie jestem historykiem, ale przyznam się państwu, że od lat fascynuję się rewolucją islamską w Iranie. Przeczytałem chyba siedem biografii szacha Mohammada Rezy Pahlawiego i nigdy nie mogłem zrozumieć jego polityki. W końcu przeczytałem książkę Abbasa Milaniego pod tytułem „The Shah”, który napisał biografię szacha, pokazującą jego stronę psychologiczną. Chodziło o skomplikowane relacje z ojcem. Wtedy tak naprawdę zrozumiałem, dlaczego stracił władzę. Oczywiście, mi brakuje tej perspektywy historycznej, którą mają obydwaj panowie profesorowie. Natomiast wydaje mi się, że w wypadku Rosjan perspektywa psychologiczna jest nie mniej istotna. Mam czasem wrażenie, że kluczowa. Co z tego wynika? Skoro Rosja nie widzi się jako gracz, który będzie grał wschodnim wektorem, to znaczy, że nasze znaczenie zaczyna być większe. Dodatkowo, powiedziałbym, że dla Rosji ten wybór Zachodu jest przyczyną agresywnej polityki. Chociaż wydawałoby się, że powinno być na odwrót. To znaczy tak naprawdę, jeśli wybieramy jakiś kierunek to próbujemy się dogadać, ale to jest pod warunkiem, że czujemy się silni. Rosyjskie elity są jednak hiperrealistyczne. Przynajmniej te, które poznałem. Doprecyzuję, że mówię o rosyjskich elitach władzy. To są ludzie, którzy doskonale zdają sobie sprawę, z tego, że Rosja jest *fading power*, czyli takim schodzącym, zachodzącym mocarstwem. To nie jest proces gwałtowny, nic zasadniczego nie stanie się w ciągu pięciu, dziesięciu ani piętnastu lat, ale to będzie takie powolne schodzenie ze sceny. Chociaż jak spojrzeć na udział w PKB światowym, to to schodzenie zaczyna się robić coraz szybsze. Mam wrażenie, że Rosja rozumiejąc to, usiłuje ugrać tyle ile może ugrać, póki jest w stanie grać.

To dalej nas prowadzi do pytania, czy Rosja jest w tej grze silna, czy jest słaba? O tym częściowo już mówiłem. Oczywiście, tu jest pewien problem, że niektórzy nasi partnerzy zachodni widzą to tak, że słaba Rosja jest groźniejsza, więc powinniśmy ją czynić silniejszą, bo gdy będzie silniejsza, to będzie bardziej pewna siebie i wtedy będzie mniej agresywna. To jest pewnego rodzaju perwersja psychologiczna. W wypadku Rosjan z całą pewnością to znaczy, że Rosja, jak jest słaba, to nie pozwala sobie na agresywne posunięcia, na które sobie pozwala z kolei, jak jest silna. Należy to tłumaczyć naszym partnerom i sojusznikom na zachodzie.

Teraz pytanie, skąd sukcesy Rosji? No bo, jak to możliwe, że mówię, że ona jest tak naprawdę państwem słabym, a potem płynnie przechodzę do opowieści o jej sukcesach. To się wydaje nielogiczne. Ja to nazywam „triumfem woli” – wiem, że to brzmi jak nawiązanie do tytułu filmu Leni Riefenstahl – Rosjanie rzeczywiście mają nieprawdopodobną chęć zwycięstwa. Dalej to jest kwestia służb specjalnych, doskonałej dyplomacji i słabości, czy też może jakiegoś takiego jakby pozostawania pod urokiem Rosji znacznej części, już nie, jak kiedyś, lewicy zachodnioeuropejskiej, ale tym razem dla odmiany prawicy. Powiedziałbym, że kolejnym elementem jest to, że Rosjanie w rosyjskiej polityce zagranicznej zawsze stawiali taktykę nad strategią. Nie twierdzę, że Rosja nie ma strategii, ale paradoksalnie skupienie się na taktyce jest chyba dobrym rozwiązaniem. Zadałem kiedyś pytanie ówczesnemu wiceministrowi spraw zagranicznych Siergiejowi Riabkowowi „Dlaczego wy skupiacie się głównie na taktyce?” A on powiedział: „Tak. A wy macie swoją wielką strategię. My dziesięć taktycznych zwycięstw i wy nie jesteście w stanie zobaczyć zmiany na szachownicy i dalej realizujecie waszą kompletnie nierealistyczną strategię.” Czy to jest słabość? Czy to jest siła? Powiedziałbym, że do momentu, do którego zachód tak realnie miał strategię, to może to była w pewnym sensie słabość, chociaż w różnych innych aspektach siła. W momencie, w którym zachód zaczyna myśleć w perspektywie tak naprawdę

taktycznej, ale w polityce zagranicznej cały czas gra tak jakby ta strategia była nad taktyką, to się okazuje, że Rosjanie wyprzedzili czas i oni po prostu są lepsi w tym konkretnym momencie.

To wszystko prowadzi nas do pytania co my mamy w związku z tym robić? A konkretnie, czy mamy brać udział w rozmowach o resecie, a potem o resecie dwa zero? Twierdzę, że tak, mamy brać udział, ale po to, żeby go nie było. Oczywiście, to jest pewien problem każdych negocjacji. Każdy kto negocjował jakąkolwiek rzecz, wie, że jest taka pułapka, że kiedy zaczynamy negocjować, to w którymś momencie dochodzimy do wniosku, że skoro już negocjujemy, to trzeba coś wynegocjować. Do tych negocjacji należy zaś usiąść po to, żeby niczego nie wynegocjować. Aby skutecznie sabotować negocjacje, należy jednak siedzieć przy stole negocjacji, żebyśmy wiedzieli o czym się negocjuje. Obawiam się, że my mamy dość zasadniczy problem z kondycją naszej dyplomacji. My po prostu nie wiemy, o czym się rozmawia. Co mamy dalej robić, już tak w skrócie? Mamy grać o Białoruś i Ukrainę, chociaż oczywiście wiele nie ugramy, ale to, że się czegoś nie ugra, to nie znaczy, że nie warto grać. Grać warto chociażby po to, żeby cały rosyjski impet był skierowany tam, a nie na nas.

W wypadku Białorusi, na której znam się lepiej i tam pracowałem, twierdzę, że gdybyśmy my założyli sobie jakiś plan na dwadzieścia lat, taki romantyczny w celach a pozytywistyczny w sposobie doboru narzędzi, to być może udałoby się nam odkręcić dwadzieścia pięć lat błędów naszej polityki zagranicznej. Ale to jest plan na dwadzieścia lat, a nie, jak to zwykle u nas, na jutro i pojutrze. Na tą chwilę nie mamy żadnych aktywów. Kiedy ja przejąłem placówkę, w dramatycznych okolicznościach, bo przejąłem ją 10 kwietnia, to nasza placówka na Białorusi miała słabsze kontakty niż ambasada Czech. Taka jest rzeczywistość. W wypadku Ukrainy oczywiście, to jest troszeczkę inaczej, ale powiedziałbym, że jak słyszę o strategicznym partnerstwie, to zawsze pytam, gdzie jest jakikolwiek zrealizowany w ciągu trzydziestu lat strategiczny projekt infrastrukturalny, biznesowy, w ogóle jakikolwiek. Od przedsiębiorców wiem, że jeżeli chcą coś na Ukrainie zdziałać, a mają problemy na przykład ze zwrotem podatku, bo to jest problem, z którym się nasi przedsiębiorcy borykają, to znaleźli sobie sposób. Należy mieć mniejszościowego niemieckiego partnera, po to, żeby niemiecki ambasador biegał i załatwiał sprawę, jeżeli jest kłopot, bo polski ambasador niczego nie załatwił od lat. Tak to w rzeczywistości wygląda. Znowu wracam do tego poziomu strategicznego. Problem polega na tym, że my mamy bardzo głęboką strategię, w naszej dyplomacji. Bardzo głęboką perspektywę. Ja czuję się zaszczycony występując, z tak wybitnymi historykami i bardzo bym sobie życzył, żeby w polskiej dyplomacji było więcej tak wybitnych historyków. Problem polega na tym, że w polskiej dyplomacji jest bardzo dużo historyków, ale kiepsko wykształconych. Mówiąc krótko, to wygląda trochę marnie. Swoją drogą, dyplomatów należy rozliczać nie z głębi intelektualnej a z efektów pracy. U nas jest za dużo śliskich inteligentów a za mało fachowców. Na pewno jest kwestia polskich służb specjalnych, które obawiam się, że są w stanie głębokiego kryzysu. Jest kwestia nieznamościami klasyki. Pozwoliłem sobie przynieść klasyczny tekst „Długi telegram” George’a Kennana. Został już przetłumaczony i niedługo zostanie wydany. Siedemdziesiąt lat zajęło, żeby przetłumaczyć tekst, który był podstawą całej amerykańskiej sowietologii. To jest miara tego, gdzie jesteśmy. Należy znać rosyjską inteligencję. Miałem zaszczyt pracować z profesorem Hieronimem Gala. Profesor Hieronim Gala zna moskiewską inteligencję, ale nie ma żadnych złudzeń, że ona nie rządzi. To jest bardzo istotne rozróżnienie, żeby wiedzieć, jaką gra rzeczywistą rolę.

Wreszcie, ostatni element, to jest, kiedy pan profesor doktor habilitowany Andrzej Nowak mówił o tym porównaniu PRL a Królestwo Polskie. Pamiętacie państwo zapewne plan Miedwiediewa,

plan stworzenia nowej architektury bezpieczeństwa europejskiego. Proszę państwa, znalazłem na stronie archiwum CIA opracowanie „Jak reagować na plan Gromyki?” Otóż plan Miedwie-diewa był faktycznie zmodernizowaną wersją planu Gromyki. Tam nawet kilka zdań było prze-pisanych *toczka w toczkę*. Po lekkiej modyfikacji, wysłałem to odtajnione opracowanie ame-rykańskie jako notatkę do Warszawy. Uczciwie na dole napisałem, że opierałem się na mate-riale sprzed czterdziestu lat. To było otóż na tyle dobrze napisane, że nie musiałem się męczyć i wymyślać wszystkiego na nowo. Dlaczego o tym mówię. Otóż trzeba mieć pamięć instytu-cjonalną. Dyplomata musi mieć dostęp do archiwum. Polscy dyplomaci nie mają dostępu na-wet do własnych szyfrogramów sprzed pół roku. A czemu? Czy to jest dlatego, że służby wo-lą rządzić dyplomacją? Same mają archiwum, a dyplomatom uniemożliwiają? Czy może dlate-go, że u nas jest aż taki bałagan? Ja nie wiem, a nawet jak wiem, to – proszę o wybaczenie – będę udawał, że nie wiem. Ale jedno wiem na pewno. System nie działa. Żeby tymczasem być skutecznym, trzeba czasem spotkać się na takim jak dzisiaj na przykład spotkaniu, ale potem wnioski trzeba móc zoperacjonalizować, bo jak się tego nie zoperacjonalizuje, to choćby to było najmądrzejsze, to nie ma to żadnego znaczenia. Dziękuję.

Dr Michał P. Sadłowski: Dziękuję panie redaktorze. Uprzedził pan moje kolejne pytanie, już po części odpowiadając. Ostanie pytanie, do każdego z panów prelegentów. Szanowni panowie, wracam do tej rocznicy, mamy przepychankę medialną między Polską a Rosją o pakt Ribbentrop-Mołotow, o rocznice pierwszego i siedemnastego września. Panowie, jak reagować na działania Federacji Rosyjskiej? Czy w ogóle warto na nie reagować? Czy to nie jest tak, że za parę lat ten problem może umrzeć, w związku ze zmianą pokoleniową Federacji Rosyjskiej, ale też w Polsce, bo ludzie będący świadkami odejdą? Może ten problem będzie bardziej historyczny niż współczesny?

Prof. Andrzej Nowak: Obawiam się, że za kilka, kilkanaście lat może umrzeć szansa naprawie-nia tego problemu przez nas. Tak, jak powiedział, zresztą bardzo słusznie pan redaktor Witold Jurasz, pamięć instytucjonalna jest czymś dobrym, czymś, czym Rosja nad nami niewątpliwie góruje. Dam tylko jeden przykład, ale bardzo charakterystyczny. Dwustulecie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Imperium Rosyjskiego. Minister Spraw Zagranicznych objechał groby wszystkich ministrów spraw zagranicznych Imperium Rosyjskiego. W tym przyjechał do za-padłej dziury na pograniczu Małopolski i Województwa Lubelskiego, czyli do Sieniawy, aby złożyć kwiaty na grobie. Zapłacił pięć tysięcy dolarów miejscowemu księdzu, żeby poprawił fatalny stan rodzinnego grobowca Czartoryskich. Czartoryski był skrajnym wrogiem Imperium Rosyjskiego. Tak się złożyło, że był drugim w historii, ministrem spraw zagranicznych tego imperium. Tę anegdotę po to przytaczam, żeby pozbyć się złudzeń, że strona rosyjska zapo-mni, przestanie realizować swoją politykę historyczną.

Odpowiadając na pana pytanie, gdzie odpowiadać na tę politykę? Odwrócę je zupełnie. W ogó-le nie w Rosji i nie wobec Rosji. My nie wpłyniemy, nawet w najmniejszym stopniu, na ko-munikat, jaki będzie emanował z Kremla, teraz, czy za pięć, dziesięć lat, na temat paktu Rib-bentrop-Mołotow, kto kogo napadł, jaka była istota polityki rosyjskiej. Natomiast celem tej propagandy poza wewnętrznym celem, na który tym mniej mamy wpływ, a więc ludnością rosyjską, jest zachód. Tutaj nawiąże krótko do tego, o czym mówił pan redaktor Witold Jurasz. Zastanawiał się pan nad niekonsekwencją myślenia niektórych polityków zachodnich, którzy chcą wzmacniać Rosję, ponieważ uważają, że umocniona będzie zachowywała się bardziej spo-kojnie i racjonalnie. Odpowiedzią na tę pozorną niekonsekwencję jest słowo „appeasement”.

Zachód chce całkiem świadomie wzmocnić Rosję, żeby zachowywała się racjonalniej, swoją siłę eksportując, używając na terenie, który dla zachodu nie jest zachodem, czyli na terenie Europy środkowo-wschodniej. Tam silniejsza Rosja może zrealizować swoje cele i żeby temu zjawisku zapobiegać, czyli realizowaniu przy pomocy zachodu celów geopolitycznych Rosji, musimy próbować oddziaływać na opinię, stan świadomości elit zachodnich. Musimy tam przypominać o tym, że był pakt Ribbentrop-Mołotow i co on znaczył.

Dzisiaj dla mnie problemem w ogóle nie jest wystawa w Moskwie albo przypomnienie paru dokumentów, które w zasadzie są prawdziwe. Tylko ich interpretacja jest fałszywa, ale poza tym wyjątkowym krokiem naprzód jest to, że tym razem nie ma fałszywych dokumentów. One są akurat prawdziwe, w roku 2019, te nowości były pokazane, przy okazji rocznicy paktu Ribbentrop-Mołotow w Moskwie. Znacznie bardziej jestem przygnębiony tym, co dzieje się w elitach zachodnich. Ukazuje się najnowsza synteza wydana przez Oxford University Press z historii Rosji. Pióra dwojga bardzo wybitnych badaczy Valerie A. Kivelson i Ronalda Grigora Suny, w której nie ma miejsca, w ogóle najmniejszej wzmianki, nie tylko o pakcie Ribbentrop-Mołotow, ale również, że istniały takie organizacje jak Czeka, NKWD, KGB. Nie ma żadnej wzmianki na trzystu stronach, dotyczących historii Rosji w dwudziestym wieku. Dlaczego? Ponieważ imperium jest zasadniczo lepsze od państwa narodowego. Każde imperium, nawet imperium sowieckie, jest dużo lepsze od każdego państwa narodowego. Tak brzmi obecna polityczna poprawność środowiska zachodniego akademickiego. Pełne usprawiedliwienie Związku Sowieckiego, pod każdym względem i pełna niechęć do tych małych państw, które pojawiły się obok Związku Sowieckiego, rozdzielając prawdziwy zachód od światłego imperium, które zawsze tam było. Najpierw w Rosji, a potem w Związku Sowieckim. Też przytaczany przez pana redaktora Witolda Jurasza George Kennan akurat może być, niestety, bardzo smutną i bardzo przygnębiającą ilustracją tego samego zjawiska. Przypomnijmy, ten bystry analityk polityki rosyjskiej w 1947 roku stał się stuprocentowym „Putin versterherem”. Oczywiście jeszcze Putina nie było. Kennan żył sto dwa lata, ale rozkwitu rządów Putina nie dożył. Za to konsekwentnie mniej więcej od lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. uważał, że Rosji trzeba ustępować na każdym polu, jeśli chodzi o Europę. Całą Europę widział jako przedmiot do przetargu z Rosją, bo Stany Zjednoczone są jedynym zachodem, ważnym dla Kennana. Kennan wprost powiedział w 1991 roku: „Ukraina, jeśli ktoś chciałby myśleć o niepodległości Ukrainy, jest taką samą częścią Rosji jak Pensylwania Stanów Zjednoczonych”. To jest spojrzenie z Ameryki. To jest spojrzenie przez pryzmat *appeasementu*. Tutaj się toczy najważniejszy front, naszej walki o przyszłość Polski, w relacjach z Rosją. Nie w Rosji, bo w Rosji nie mamy w tej chwili żadnego wpływu, ale walka o prawdę o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o naturze systemu sowieckiego musi być rozgrywana w elitach zachodnich. Dlaczego? Dlatego, żeby zmienić ostatecznie, a właściwie nieostatecznie, bo tu nie ma żadnego rozwiązania, które byłoby trwałe, to ciągle, codziennie trzeba o to zabiegać, zmieniać stopniowo to nastawienie, które właśnie powoduje, że owa polityka *appeasement* daje olbrzymią przestrzeń manewru, działania, skutecznego działania Rosji.

Ostatnie zdanie. Pozwolę sobie częściowo nie zgodzić się z bardzo frapującą diagnozą polityczną pod wieloma względami, pana redaktora Witolda Jurasza. Chociaż zapewne pan ma więcej danych niż ja do tej analizy politycznej. Wydaje mi się, że Rosja czuje się naprawdę słaba ze względu na to, co dzieje się za jej wschodnią, za południową granicą. Rosja szuka najsłabszego punktu wokół swoich granic, a ten najsłabszy punkt jest na zachodzie. Rosja uderza tam, gdzie jest najsłabszy opór. Najsłabszy opór nie jest w Chinach. Tam Rosja nie może w nic uderzyć. Nigdzie i nic nie uzyska. Rosja także nie może niczego uzyskać w świecie islamu. Dzieli,

rozgrywa tam, manipuluje, ale o ekspansji na teren południowy... Tu zgadzam się całkowicie z panem redaktorem Witoldem Juraszem, na terenie dawnej sowieckiej Azji Środkowej Rosja rezygnuje z odzyskania pełnej pozycji, bo wie, że to nie tylko jest niemożliwe, ale nieopłacalne. Świat islamu może pochłonąć Rosję od środka, a Rosja za tym nie tęskni.

W takim razie, gdzie Rosja ma szansę przetrwać jako gracz średniego kalibru w obecnym wieku? Tylko odnawiając swoje imperialne wpływy w Europie wschodniej, wracając do Ukrainy, Białorusi. Tutaj z kolei niezależnie od trafności uwag pana profesora Hieronima Grali, dotyczących historii, całkowicie się zgadzam z tą korektą dotyczącą szesnastego i siedemnastego wieku, ale pomija pan rosyjski punkt widzenia. Mówi pan o polskim punkcie widzenia. Dla Rosji prawosławie jest bardzo ważnym narzędziem reintegracji imperium. Ruski mir, jako koncepcja polityki rosyjskiej, jest dzisiaj bardzo ważną koncepcją, czyli przyłączenia Ukraińców i Białorusinów do Rosji, ponieważ ona właśnie się odwołuje do tej cywilizacyjnej solidarności prawosławnych. Nie wiadomo jak i na ile ona będzie skuteczna, a na ile nieskuteczna. Właśnie to trochę od nas zależy. Na ile będziemy myśleli, tak jak pan profesor Hieronim Grala. Moim zdaniem to jest dobre myślenie, żeby nie oddać tej części geopolitycznej schedy po Rzeczpospolitej tak łatwo z powrotem Rosji, ale Rosja niewątpliwie stara się odzyskać te zasoby, powiedziałbym, ludzkie, użyję tego okropnego określenia. O to Rosji chodzi. O ludzi. Rosja ma największą katastrofę nie ekonomiczną, ale demograficzną. Rozumiem, że ją już częściowo opanowała, ale wciąż nie można być imperium, w XXI wieku. Jeżeli ma się ludność oscylującą wokół stu milionów mieszkańców. Trzeba odzyskać Ukraińców i Białorusinów, jako lojalnych, porządných obywateli Imperium Rosyjskiego.

Powiedziałbym, że tutaj jest drugi etap, szczybel tej walki, który wciąż możemy rozgrywać tylko na jednym froncie. Na froncie zachodnim, jeżeli będziemy przekonywali zachód, Stany Zjednoczone, elity Europy zachodniej, by nie uległy pokusie nowego *appeasementu* kosztem albo Ukrainy, Białorusi albo w końcu kosztem Polski i innych krajów Europy środkowo-wschodniej. Jeśli uda nam się podtrzymać politykę blokowania Rosji, która w jakimś zakresie imperialnej Rosji jednak wystąpiła po 2014 roku. Pewne realne kłopoty dla Putina z tej polityki wyniknęły po 2014 roku, jeżeli uda się nie dopuścić do resetu. Tu całkowicie się zgadzam i pozwolę sobie jeszcze podkreślić to, o czym mówił pan redaktor Witold Jurasz. To jest kwestia zasadnicza, żeby nie doszło do resetu numer dwa. Pytanie, czy nas ktokolwiek zaprosi do rozmów? Nawet takich, w których naszym celem byłoby, aby nie zostały one uwiecznione żadną konkluzją. Obawiam się, że będzie to bardzo trudne nie z powodu nieudolności polskiej dyplomacji, tylko z powodu braku zaufania do kraju, który w oczywisty sposób jest zainteresowany tym, żeby do resetu nie doszło. To są strategiczne powody, dla których Polska jest słusznie postrzegana jako ktoś, kto nie chce sprowadzić powrotem Rosji do pozycji imperialnej w Europie środkowo-wschodniej, a więc Polska w naturalny sposób, z polityką *appeasementu* zachodu nie może się zgadzać, a więc z polityką resetu. Dlatego chyba musimy wciąż zabiegać o to, żeby zablokować możliwość ekspansji Rosji na zachód, czyli na teren Europy wschodniej, środkowo-wschodniej w XXI wieku. Wtedy Rosja może się zmienić. Wtedy może ta psychologia, o której mówił pan redaktor Witold Jurasz w kolejnych pokoleniach może się zmienić. Rosja pozbawiona możliwości imperialnej ekspansji, podtrzymywania imperialnego statusu, wierzę, że może się zmienić. Wierzył w to Giedroyc. Nie dożył takiej zmiany. Może nasze wnuki dożyją.

Prof. Hieronim Grala: Jeżeli można, chciałbym powiedzieć jeszcze dwa słowa. Proszę państwa, pan redaktor Witold Jurasz poruszył sprawę strategii i taktyki. Pan profesor Andrzej Nowak

przypomniał to niesłychanie ważne zjawisko, jakim jest dla Rosji, kraju w każdym ustroju biurokratycznego, żeby nie powiedzieć zbiurokratyzowanego, pamięć instytucjonalna. Ja do wizyty na grobie dodałbym jeszcze rzecz dla Polaka dość szokującą. Portret Czartoryskiego wisi w MSZ-cie rosyjskim, w korytarzu przed gabinetem Siergieja Ławrowa, jako eksponat wśród pocztu ministrów imperium. Był, jest i będzie. To jest niesłychanie ważne. Oczywiście to jest element schizofrenii, bo to jest trochę tak, jakby było dwóch Czartoryskich mających to samo imię i to samo nazwisko. Nasz i wasz. Rzeczywiście tak jest. Tutaj jest kwestia pamięci instytucjonalnej, głębokości, której my, Polacy ze swoim poczuciem wyższości wobec Rosji, nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Żyjemy mnóstwem mitów, na przykład, że Rosja ciągle wymienia swoje elity, bo je wyrzyna. W związku z tym, kto tam ma pamiętać, jakie to państwo było itd. Kiedyś w programie redaktora Witolda Jurasza przywołałem prosty przykład. Jak się nazywał minister spraw zagranicznych Związku Radzieckiego w latach trzydziestych dwudziestego wieku? Gieorgij Cziczeryn. A ten Cziczeryn to skąd się wziął? Pewnie jakiś bolszewik, nie daj Boże, Żyd. Nie proszę państwa, szefem służby poselskiej Imperium Rosyjskiego był jego prapradziadek, na początku siedemnastego wieku. Cały czas ta sama rodzina. Już nie mówiąc o tym, że to są wielkie arystokratyczne powiązania również krakowskie – *vide* Czapscy. My żyjemy w takim wyobrażeniu, nie pamiętając o tym, że właśnie, kiedy redaktor Witold Jurasz mówił o archiwum, do którego my nie mamy dostępu. My nie mamy dostępu również do tego archiwum, którego po prostu nie ma. Nie ze względu na kataklizmy, tylko na polski tumiwizizm i bałagan. Nie było jeszcze rozbiorów Polski, gdy polskim archiwistom w kancelarii Rzeczypospolitej udało się, jeżeli chodzi o politykę wschodnią, zgubić najważniejszy w dziejach naszego państwa dokument. Nie upłynęło ćwierć wieku, gdy zgubili dokument o elekcji królewicza Władysława na tron moskiewski w roku 1610. Nie byli go w stanie odnaleźć podczas ratyfikacji pokoju polanowskiego w roku 1635. Poszukiwania trwają do dzisiaj. Co można jeszcze dodać?

Proszę państwa, wracając tutaj do recept. Ja nie do końca mogę się zgodzić, jako praktyk, w tym momencie już na gruncie rosyjskim, że kolokwialnie mówiąc, Rosję należy sobie odpuścić jako miejsce w pojedynku z narracją rosyjską. Dam brutalny przykład. Kiedy było jeszcze zupełnie dobrze w naszych stosunkach, a przynajmniej prawie dobrze, wspólnymi siłami wyprodukowano bardzo ważny dla polskiej narracji tom „Czerwonoarmiści w polskiej niewoli”. Definitywnie kładący, z udziałem wybitnych specjalistów moskiewskich, kres rosyjskim kłamstwom publicystycznym o 120 tysiącach zamordowanych itd. Stroną, która się nigdy nie zgodziła na publiczną debatę i publiczną prezentację tego tomu w Rosji, niestety jest strona polska. Nie zgodziła się na to Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, nie zgodziły się na to departamenty MSZ-tu i Ministerstwo Kultury. Nie chodzi o jakikolwiek spisek. Chodzi po prostu o głupotę. W Polsce na ogół wszystko sprowadza się do głupoty, głupoty instytucjonalnej, która nie jest dobrym remedium na rosyjską pamięć instytucjonalną. Dlatego potem, kiedy słyszałem od polskich dyplomatów i od marszałka senatu, że Rosjanie się nie zgodzili, protestowałem. Oto stoi przed państwem człowiek, który miał przygotowaną prezentację, na którą zgodziło się przyjść całe Ministerstwo Archiwów Rosji i doradcy prezydenta Federacji Rosyjskiej. Odwołano mi to, wydając polecenie służbowe z centrali. Żeby sforsować opór centrali i pokazać w Rosji czwarty tom dokumentów katyńskich, musiałem przeprowadzić, z ówczesnym dyrektorem Archiwów Państwowych, kiedy sabotowano mi tę imprezę, ostrą rozmowę. Kiedy zadałem ironiczne pytanie: „Czy państwo na początek wolą być poszczeci pitbullem czy rottweilerem?”. Pani zdumiała się i zapytała: „O czym Pan mówi?”. Odpowiedziałem: „Czy mam teraz złożyć doniesienie do Kancelarii Premiera czy Prezydenta za waszą

antypolską działalność?”. Ta prezentacja się odbyła, ale „Czerwonoarmiści...”, którzy do dzisiaj się odbijają nam czkawką, wydani w języku rosyjskim, nigdy nie weszli do publicznego obrotu w Rosji. Na skutek polskiej opieszałości i braku wyobraźni. Pytanie, czy było tutaj coś do ugrania? Było, ponieważ Rosjanie niesłuchanie szanują autorytety instytucjonalne. Tom ukazał się pod tak zwaną czapką Ministerstwa Archiwów Rosji, wówczas były tam ważne nazwiska itd. To przemawiało do wyobraźni. Wysłanie tego tomu gubernatorowi kemerowskiemu Amanowi Tulejewowi przez ambasadora Jerzego Bahra, spowodowało, że ten przestał opluwać publicznie naszą ambasadę i naród polski. Tylko powiedział „ja nie znał” i się zamknął. Mogliśmy zrobić to na poziomie szerszym, medialnym, ale myśmy się sami pozbawili głosu.

Proszę państwa, na koniec żeby tego nie przedłużać. Zbyt łatwo oddajemy pole, na tej części frontu, którą znamy, tutaj w Europie wschodniej. Mówiąc językiem siedemnastowiecznych publicystów, szukając naszych Indii za oceanem. Nie mamy wielkich szans na przekonanie Amerykanów. Oni są przekonani, że Polska jest częścią Rosji, a co dopiero Ukraina. Natomiast my tutaj mamy co do tego niejaki wątpliwości i powinniśmy te same wątpliwości utrzymywać w naszych sąsiadach z bliskiej zagranicy, z Federacją Rosyjską włącznie. Oni w głębi duszy też te wątpliwości mają. Dlatego uważam, że należy się sprzeciwiać, bo i na wschodzie zawsze nie ma racji, ten kto milczy. Kategorią znaną w świętej teologii jest grzech zaniechania. Ja jestem tego przeciwnikiem. Dlatego też sprzeciwiam się, gdzie mogę, ale oczywiście stosując żelazną zasadę: jak pan profesor Andrzej Nowak sam tego doświadczył, z rosyjskimi mediami nie wolno umawiać się, nawet po dżentelmeńsku, na inny typ programu niż na żywo. Nigdy.

Proszę państwa, na koniec, pan profesor Andrzej Nowak bardzo słusznie dotknął wątku prawosławia. Na szczęście od dawna nie byliśmy w tak dobrej konfiguracji, jak teraz. Po tomosie patriarchy Konstantynopola, po odrodzeniu się poglądu, o samobytności, samoistności, a nawet starszeństwie kijowskiego, czyli ukraińskiego prawosławia, przed paroma dniami podtrzymanym także przez prawosławny kościół grecki, co jest ogromnym uderzeniem w poglądy i uroszczenia patriarchy moskiewskiego. To zmienia narrację na tą, do której ja nawołuję. Odżegnując się od rusko-prawosławnego dziedzictwa pierwszej Rzeczypospolitej oddajemy pole bitwy i dostarczamy tych argumentów stronie rosyjskiej, o czym mówili: Nikołaj Repnin, Aleksander Apuchtin, Herman Karl von Keyserling, dyplomaci Katarzyny, a potem Aleksandra II i Aleksandra III. My dajemy się wtłoczyć w narrację rusofilskich podręczników Dmitrija Howajskiego i wywodów usprawiedliwiających rozbiory Polski i pakt Ribbentrop-Mołotow. Tego nam nie wolno zrobić. To jest nasze. To jest ogromna część tradycji Rzeczypospolitej, z której byli Juliusz Słowacki, Tadeusz Kościuszko, Adam Mickiewicz, Stanisław Moniuszko. Też ich oddamy? Ja się na to nie zgadzam. Wtedy legnę z takim innym znanym synem kresów, Tadeuszem Rejtanem, przy drzwiach. Natomiast ruski mir, o którym pan profesor Andrzej Nowak wspominał, jest pojęciem jeszcze bardziej niebezpiecznym, bo bardziej pojemnym. To nie jest tylko prawosławie, bo też nie darmo instytucjonalną otoczkę tego ruchu stworzył i prowadzi ku sukcesom, raczej nie przedstawiciel elity prawosławnej, bo w prostej linii wnuk Władysława Mołotowa. O czym warto dziś przypomnieć. Dziękuję.

Red. Witold Jurasz: Jak reagować na prowokacje? Przede wszystkim w ogóle reagować. Dyplomacja to jest w znacznym stopniu wczesne ostrzeżenie, podobne do lotniczego systemu kontroli. Akurat ja napisałem jako pierwszy dziennikarz w Polsce w Onecie artykuł, o tym, co się szykuje w Miednoje. Nie napisałem, bo taki mądry jestem, tylko dlatego, że pan profesor Hieronim Grala mi powiedział. To było moje źródło informacji. Mam nadzieję, że mi profesor

wybaczy, ale opowiem jak było. Profesor otóż próbował zaalarmować kilka instytucji, ale nikt to nie obchodziło. W związku z tym postanowił zaalarmować mnie, a jak ja napisałem artykuł na ten temat, to jeden z czołowych publicystów prawniczych napisał, że jak to jest w „der Onecie”, to jest to kłamstwo. Poprawiłem go, że jeśli już, to jest to „the Onet”, bo zostaliśmy wykupieni przez kapitał amerykański, a nie „der Onet”. To tak *à propos* dialogu.

I może jeszcze jedna historia. Gdy byłem na Białorusi udało mi się spowodować, że władze białoruskie złożyły po czternastoletniej przerwie wieńce w Kuropatach. Czyli chyba sukces osiągnąłem. No tyle, że miałem z tego powodu tylko w naszym MSZ nieprzyjemności. Odpowiadając na pytanie, przyznam się państwu, że nie jestem entuzjastą przemówienia pana prezydenta Andrzeja Dudy w dniu pierwszego września, uważam, że ono zawierało kilka kiksów w tekście i było źle wygłoszone. To nie są moje słowa, nie pamiętam kto to powiedział, ale powiedział chyba mądrze, więc pozwolę sobie zacytować – otóż prezydent Niemiec miał brzmieć historycznie, a nasz godnie. Wyszło na odwrót. Jak chodzi o część rosyjską sprawy, to udzielałem wywiadu jedynej rosyjskiej stacji radiowej, której się nie boję udzielać wywiadów, to jest radiu Biznes FM i oni zadali mi pytanie: Czy Związek Sowiecki i nazistowskie Niemcy to było to samo? Ja odpowiedziałem, że Związek Sowiecki z roku 1960, 1970 i 1980 to nie jest to samo co nazistowskie Niemcy, ale jeżeli chodzi o 1939 i 1940 r. to powiedziałbym już, że to jest to samo. Ta dziennikarka, z którą rozmawiałem mówi: „Wie pan, gdybyście wy to tak ujęli, to my byśmy na to inaczej reagowali.” Wydaje mi się, że tej precyzji w przemówieniu pana prezydenta Andrzeja Dudy zabrakło, ale też wiem, kto jest jego speechwriterem. Jeżeli wśród speechwriterów na tak ważne przemówienia nie ma żadnego doświadczonego dyplomaty, to takie są efekty.

Co do Kennana, pan profesor Andrzej Nowak ma absolutną rację. Dlatego też odnosiłem się do „Długiego telegramu”, ewentualnie „Sources od Soviet Conduct”. Dalej oczywiście tak, zgadzam się, to już był pewien problem. A z naszego punktu widzenia w latach dziewięćdziesiątych problem ogromny. Jest jeszcze jeden element, nawiązuje do słów pana profesora Nowaka na temat *appeasementu*. Byłem na konferencji w Berlinie około półtora roku temu. Byłem w towarzystwie ludzi związanych z obecnie rządzącym ugrupowaniem. To była konferencja zatytułowana jakoś mniej więcej „Polityka wschodnia – Rosja a bezpieczeństwo europejskie”, dokładnie nie pamiętam. Uczestniczyli w niej politolodzy, ale również przedstawiciele MSZ, urzędu kanclerskiego, polskich instytucji. Naszym ekspertom udało się, z jakiegoś powodu wpleść do tej dyskusji kwestię gender i tego, jak zachód jest zgnięty moralnie. Efekt był taki, że nikt ich nie słuchał. Akurat tak się składa, że w tym względzie nie jestem prawniczym i w związku z tym mnie słuchali, a innych nie słuchali. To jakby kwestia wyboru. Dla pełnej jasności, gdybym był konserwatystą, też bym o tym nie mówił, dlatego, że miałem inny interes. Moim interesem było przekonanie Niemców do polskiego punktu widzenia na temat Rosji. OK – ja nie jestem konserwatystą w tym względzie, ale nawet gdybym był, to po co irytować rozmówców, skoro to nic nie daje, a co gorsza, osłabia nas w tym, co dla nas kluczowe? Powiem państwu jeszcze ciąg dalszy, który był jeszcze lepszy. Poszliśmy sobie na spacer i Niemcy mówią: „Usiądźmy sobie na herbatę w Adlonie”. Ja zażartowałem, że bardzo lubię oglądać ambasady – przy Bramie Brandenburskiej mieszczą się ambasady USA i Francji, a w pobliżu jeszcze Rosji i Wielkiej Brytanii, co symbolicznie przypomina kto wygrał drugą wojnę światową – Polakom jednak Adlon jakoś nie pasował. Za drogo było, czy za „salonowo”. Poszliśmy na bardzo, bardzo, bardzo długi spacer, aż w końcu wylądowaliśmy na kebabie we wschodnim Berlinie. Następny wieczór, polska delegacja poszła znowu na kebab we wschodnim Berlinie, a ja siedziałem z niemieckimi dyplomatami w Adlonie i piliśmy herbatę. Powiedziałbym,

że to jest pewna przepaść kulturowa, którą trzeba w sobie pokonać. Tam się jedzie nie, żeby zaoszczędzić i zjeść kebab tylko po to, żeby z nimi rozmawiać. Polska prawica musi w końcu pokonać w sobie obrzydzenie do salonów albo się na salony nie pchać, bo politykę się robi, czy to się komuś podoba czy nie, po salonowemu.

Nie mam pewności, czy się zgadzam z tym, co pan profesor Andrzej Nowak powiedział odnośnie tego, czy Rosja chce odzyskać Ukrainę, bo to jest to *milion-dollar question*. Czemu Rosja napadła na Ukrainę? Czy napadła, dlatego żeby ją odzyskać, czy po to, żeby jej ostatecznie nie stracić? Ja się przychyliam raczej do tego, że Rosja ma przeświadczenie, że ona tak naprawdę, w sensie trwałości państwowości Ukrainę straciła, a nie chciała, żeby Ukraina dołączyła do struktur zachodnich. To się udało im załatwić, a że skutkiem ubocznym jest wzmocnienie świadomości ukraińskiej, to ich chyba aż tak nie boli. Wracamy do pytania: czy Rosjanie są racjonalni? Jeżeli byli racjonalni, to wiedzieli, że wzmocnią ukraińską świadomość, a osłabią szansę integracji europejskiej.

Ostatni element. Należy wyzbyć się pogardy. To czego ja byłem świadkiem na Białorusi to znaczy ilość razy, kiedy ja musiałem się wstydzić za nasze zachowanie. To było coś absolutnie nieprawdopodobnego. Problem polega na tym, że tak się składa, że dzisiejszą politykę zagraniczną Prawa i Sprawiedliwości realizują dokładnie ci sami ludzie, którzy realizowali politykę PO i zepsuli wszystkie poprzednie zakręty polskiej polityki zagranicznej. Teraz nadskakują Prawo i Sprawiedliwość i zwalczają gender. Skutek jest marny. Na końcu powiem, skoro jestem w towarzystwie tak znakomitych historyków, proszę państwa, brałem udział w uroczystościach otwarcia Zamku Mirskiego. Litwę reprezentował minister kultury, wiceminister spraw zagranicznych, około dziesięciu deputowanych do Seimasu, czyli sejmu litewskiego, w tym przewodniczący komitetu do spraw międzynarodowych. Polskę miał reprezentować wiceminister, ale odwołał przyjazd, i minister kultury, który nie odwołał, ale też nie przyjechał. Była jakaś wewnętrzna polityczna awantura w PO. Ambasador Litwy przedstawiał swoją delegację, za którą z kolei stałem ja i nieco ironicznie powiedział „a oto i polska delegacja”. W tym momencie Aleksander Łukaszenka spojrział się na mnie i powiedział: „To znaczy, wyście im odebrali stolicę, a oni wam odbiorą historię”. Gdy to powiedziałem w naszym MSZ-cie usłyszałem: „A co, ten kołchoźnik, w ogóle coś kojarzy?” W tym momencie opadły mi ręce. Uznałem, że nie mam z kim rozmawiać. Wiecie Państwo, ja żartuję, że największym dramatem, na przykład w relacjach polsko-białoruskich, jest to, że Aleksander Łukaszenka nie był prawnikiem, historykiem albo choć inżynierem, bo byśmy go traktowali choćby w rejestrach inżyniera Karwowskiego. A tu dramat. Aleksander Łukaszenka był dyrektorem sowchozu. I jeszcze ma wasy. No, słowem, „wieśniak”. I to jest nie do przejścia dla polskiej elity zajmującej się polityką wschodnią. My nie jesteśmy w stanie uznać, że to jest naprawdę inteligentny polityk.

Dr Michał P. Sadłowski: Również samo pojęcie „kacapów”, które jest czasami spotykane, a niestety pokazuje to naszą słabość intelektualną w stosunku do elit Federacji Rosyjskiej. Dziękuję panom prelegentom za odpowiedź na pytania. Nawiązując jeszcze do pomysłu organizatorów, myślę, że ta debata jest kolejnym argumentem, żeby w przyszłości to wszystko spisywać, bo padają tu naprawdę bardzo ciekawe propozycje. Mam nadzieję, że to nie ostatnia debata o relacjach polsko-rosyjskich. Pola do dyskusji jest jeszcze bardzo dużo. Dziękuję bardzo państwu za uwagę.

Debata pt. „Relacje polsko-rosyjskie
a koncepcje panslawistyczne” odbyła się
30 października 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

KONCEPCJE PANSLAWISTYCZNE

W dyskusji udział wzięli:

prof. Alicja Curanović
(Uniwersytet Warszawski),
prof. Henryk Głębocki
(Uniwersytet Jagielloński w Krakowie,
Instytut Pamięci Narodowej)
oraz prof. Radosław Żurawski vel Grajewski
(Uniwersytet Łódzki).

Rozmowę poprowadził
red. Witold Gadowski.

Red. Witold Gadowski: Dziękuję bardzo. Zaczniemy. Chciałem zacząć od takich anegdotycznych rzeczy, które ilustrują pewien sposób patrzenia na Rosję i nasze stosunki z Rosją. Pierwsza. Weźmy pod uwagę takie powiedzenie, rosyjskie, które już wielokrotnie słyszałem, które brzmi tak: Zachód chce rzucić Rosję na kolana, a Rosja ani drgnie, jak leżała tak leży. To jest taki sposób myślenia pewnych elit rosyjskich. Drugie pytanie, które mnie nurtuje, jak definiowalibyśmy nasz patriotyzm, gdyby naraz Rosja wyparowała i nie mielibyśmy punktu odniesienia. To takie kwestie, które mnie bardzo intrygują. Chciałem trochę państwa sprowokować do poszerzonych i mądrzejszych niż moja wypowiedzi. Zaczniemy od pani profesor Alicji Curanović.

Prof. Alicja Curanović: Dziękuję bardzo. Rosja jak leżała tak leży. Co my byśmy zrobili jako Polacy? Na pewno w procesie samookreślenia Polski Rosja odgrywa szczególną rolę i jest tym tak zwanym szczególnym „innym”. Każda jednostka określa swoją tożsamość. Dowiadujemy się tego, kim jesteśmy, przez kontakt z innymi ludźmi. Przebywając z innymi, dowiadujemy się, że albo jesteśmy tacy, jak ktoś jest, albo jestem inny niż ten ktoś, z kim się kontaktuję. O takiej samej zależności możemy mówić w przypadku relacji między państwami. Dla Polski to „inne” państwo, które było ważne dla kształtowania samorozumienia Polski, to na pewno Rosja i wyobrażenie o niej. Zazwyczaj w większości tych popularnych wyobrażeń Rosja jest kojarzona z zagrożeniem dla fizycznego istnienia Polski, dla jej bezpieczeństwa. Oczywiście moglibyśmy znaleźć też inne świadectwa, przedstawiające Rosję w innym świetle. Mimo to strach jest komponentem mocno osadzonym w postrzeganiu Rosji w Polsce, co również warunkuje nasze wzajemne relacje. Skoro anegdota, to ja też anegdota. To będzie do tego, co można teraz zrobić z tymi relacjami. Staram się jeździć do Rosji regularnie, przynajmniej raz albo dwa razy do roku. Nie tylko do Moskwy i Petersburga, ale również do innych miast. W październiku byłam w Tomsku, to jest miasto na Syberii, gdzie jest bardzo dużo uniwersytetów, dziewięć. Tam są najstarsze uniwersytety w części nieeuropejskiej Rosji. Mają bardzo długą tradycję, często z końca dziewiętnastego wieku. Moje doświadczenia w Tomsku, Moskwie, Permie, zawsze są takie same. Przyjeżdża Polka do Rosji, politolog i pierwszym zaskoczeniem jest, dlaczego ja nie chcę mówić o Katyniu. Akurat miałam referat, dotyczący świata słowiańskiego. To jest szok, że Polak, który przyjeżdża do Rosji może mieć inne zainteresowania badawcze niż Katyń, trauma, polityka historyczna. Właściwie jestem w sytuacji, w której muszę się tłumaczyć, dlaczego się tym nie zajmuję.

Druga obserwacja: zazwyczaj jestem traktowana jako przedstawiciel rządu polskiego. Na konferencji naukowej, która w ogóle Polski nie dotyczy, muszę mówić, dlaczego my w Polsce, w sensie, nasz rząd, zrobił to czy to, a ja, nawet jakbym zajmowała się motylami, jestem w sytuacji, gdzie muszę tłumaczyć politykę mojego rządu profesorom rosyjskim. Trzecim elementem,

który też pokazuje, że Polska ma znaczenie dla określenia tożsamości Rosji, oczywiście mniejszym niż w przypadku Rosji do Polski. Patrzenie na Polaków często przez pryzmat kultury dziewiętnastego wieku. Jeżeli pojedę do Rosji, często pada pytanie, czy jestem szlachcianką? To jest kategoria, której my dzisiaj w ogóle nie stosujemy. Nikt by mnie w Polsce nie zapytał, czy jestem szlachcianką, a ja jadę w dwudziestym pierwszym wieku do Rosji i ludzie uczeni się mnie tam pytają, czy jestem szlachcianką. Ja nawet na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Jak? Sięgając do genealogii? Skojarzenia, które wywołuje fakt, że przyjechała uczona z Polski, to jest oprócz Katynia – czyli czy ja się zajmuję Katyniem, a jak nie, to dlaczego i jak to jest możliwe – może pojawić się ta szlachcianka, czyli cały pryzmat Dostojewskiego i przedstawienia polskiej szlachty, i tych stereotypów. Właściwie oprócz tych kontekstów pojawiają się jeszcze tylko dwa konteksty. Anna German, czyli jak ktoś chce zrobić komplement to mówi, że pani jest podobna do Anny German, a to w ogóle nie jest prawdą. To jest taki rodzaj sympatycznego zagajenia. I ostatni kontekst, który się pojawia, to są „Czterej pancerni i pies” i „Hans Kłos”, czyli właściwie „Stawka większa niż życie” – oba seriale z lat lat sześćdziesiątych.

Niech Państwo pomyślą, bo to jest anegdotyczna jakaś diagnoza relacji, percepcji, tożsamości, na poziomie stosunków międzyludzkich. Mówimy o uczonych, którzy zajmują się polityką, czyli na jakim poziomie i kiedy ukształtowały się te wzajemne wyobrażenia o sobie. To jest albo okres PRL-u, czyli sukcesów polskiej kultury popularnej w Rosji, albo ewentualnie dziewiętnasty wiek, polska szlachta, powstania itp. To jest bardzo ograniczone. Wniosek jest z tego taki, że mamy za mało kontaktów nieobciążonych historią, gdzie mogliby się tak po prostu spotkać naukowcy i rozmawiać o problemach naukowych, a nie od razu przechodzić do kłótni na poziomie rządu. W tym sensie jest bardzo dużo do zrobienia, by zmienić, by próbować podważać pewne stereotypy, które wpływają na nasze wzajemne postrzeganie, a także w związku z tym na tożsamość. To może trochę obok, ale skoro było takie prowokacyjne pytanie, to może przy tym zostaniemy. Dziękuję.

Red. Witold Gadowski: Dobrze nam się wprowadziło w temat, który jest trudny dlatego, że rozważanie Rosji obarczone jest kilkoma kłopotami, jeżeli będziemy mówić o pewnym realizmie w stosunku do Rosji i o tym, że tak ze sobą sąsiadujemy, o tym, że moglibyśmy przynajmniej pomyśleć o znalezieniu jakiegoś wspólnego języka rozmowy pomiędzy sąsiadami. Raz jesteśmy posądzani o to, że jesteśmy rosyjską agenturą – to w sensie publicystycznym, w świecie medialnym. Jeżeli natomiast operujemy taką bardzo antyrosyjską retoryką, to prędzej czy później ludzie, którzy do tej pory inaczej patrzyli na Rosję, stwierdzą po prostu, że za dolary mówi się różne rzeczy. I to jest ta Scylla i Charybda, i wąska cieśnina, w której można coś realnego powiedzieć o Rosji. Być może ta nasza dyskusja jest okazją do tego, by bez żadnych sentymentów, ale z realizmem się temu przyjrzeć. Ucieka nam trochę ten panslawizm, bo panslawizm w świecie medialnym i publicystycznym na kilometr pachnie Rosją i rosyjską agenturą. Nie ma w tej percepcji, takiej stereotypowej, miejsca do interpretowania tego zjawiska, czy tej koncepcji, a więc odnieśmy się do panslawizmu panie profesorze.

Prof. Radosław Żurawski vel Grajewski: Pozwólcie państwo, że zacznę od pewnej może właśnie koniecznej uwagi, zanim przejdę do dyskusji. Tak się składa – dla mnie szczęśliwie – że mam brata bliźniaka, Przemysława, i przede wszystkim chciałbym wyjaśnić, żebyście państwo mieli świadomość, że ja nie jestem tą osobą, która częściej pojawia się publicznie w mediach. Ja jestem historykiem, ja nie jestem politologiem. Natomiast, jeżeli chodzi o Rosję, to

wyduje mi się, że musimy uznać bez względu na to, czy patrzymy na Rosję z większą dozą sympatii, poszukując jakiejś jednak drogi do znalezienia wspólnego języka, czy przeciwnie – uważamy, że to jest wróg śmiertelny, przeciwko któremu na wszelkie możliwe sposoby trzeba się zabezpieczać, to wniosek z jednego i drugiego oglądu jest taki, moim zdaniem, że jednak Rosja w fundamentalny sposób wyznacza czasami pewien punkt odniesienia dla formułowania polskiej polityki zagranicznej. W sumie wszystko sprowadza się do poszukiwania odpowiedzi na wyzwanie, jakim jest Rosja, znalezienia jakiegoś potencjału wewnętrznego, zewnętrznego, który można by było spożytkować dla rozwiązania tego problemu, jak prowadzić politykę wobec Rosji. Zatem, czy mówimy o wschodzie, czy zachodzie, czy mówimy o Stanach Zjednoczonych, czy relacji z naszymi wschodnimi bliższymi sąsiadami, Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, naszą częścią Europy – to są pewnego rodzaju pola poszukiwań narzędzi i pewnych atutów, pewnego potencjału, który moglibyśmy wykorzystać, użyć, a w każdym razie mieć go w zapasie przy budowaniu naszych relacji z Rosją.

Jeśli chodzi o panslawizm, to myślę jednak, że musimy przyznać, że panslawizm w odbiorze polskim – przez polską opinię publiczną – kojarzy się z rosyjską myślą imperialną, zatem nie jest to idea neutralna. Gdybyśmy wprowadzili termin „słowianofilizm”, to moglibyśmy już dyskutować o pewnej szerszej idei braterstwa słowiańskiego, narodów słowiańskich, ale panslawizm jest jednak pewnym pomysłem politycznym i to takiego rodzaju, który trudno nie podejrzewać, że za tą ideologią kryje się próba rozciągnięcia wpływów panowania rosyjskiego na inne narody słowiańskie. Tym zatem jest panslawizm z polskiego punktu widzenia i wydaje się, że tym był w istocie, że był próbą podporządkowania, czy rozciągnięcia wpływów rosyjskich na narody słowiańskie. Jednocześnie Polacy być może stanowili największe wyzwanie, z punktu widzenia rosyjskiego, dla tego pomysłu politycznego, ponieważ oferowali inną propozycję cywilizacyjną, tak bym to nawet określił. Cała tradycja polityczna polska była właściwie zbudowana na zupełnie innych wartościach niż tradycja państwowości moskiewskiej, a później rosyjskiej. Jednocześnie tkwiliśmy jako naród całkiem spory liczebnie w środku tej rodziny słowiańskiej na granicy wschodniej i zachodniej Słowiańszczyzny i było jasne, że żadnej jedności słowiańskiej bez uczestnictwa Polaków w tej koncepcji osiągnąć się nie da, a jednocześnie nie ma żadnych szans, aby Polaków namówić do poparcia takiego pomysłu, który kojarzy nam się po prostu z imperium rosyjskim. Z drugiej strony oba narody, a właściwie obaj główni konkurenci w zagospodarowywaniu emocji, uczuć i myśli politycznych Słowian, to znaczy Polacy i Rosjanie, starali się deprecjonować przeciwnika – bo chyba w tych kategoriach trzeba mówić, to znaczy wyraźnie stwierdzać, że byliśmy przeciwnikami, bo wtedy to nie były relacje partnerskie, przeciwnie, byliśmy oczywistymi wrogami. W pojęciu, w propagandzie panslawistycznej rosyjskiej występowaliśmy jako zdrajcy Słowiańszczyzny i tutaj myślę, że doskonałym, poetyckim ujęciem owego sporu jest wiersz Norwida „Do publicystów Moskwy”, w którym używając sformułowań zaczerpniętych z rosyjskiej propagandy, nasz poeta stwierdza: „*Wy głosicie Słowian potęgę./ O Rosjanie, już biorący w dłoń/Dziejów ludzkich poważną księgę./ Jak tabuna grzywę... wy... na koń!/ Wy śpiewacie, że słowiańską łzę/ Wzgardził Lach dla Niemca... ależ wy/ Z Petters-Bürgiem holenderskim – co?/ Lane z brązu, nie hirkąnskie lwy!*” – i dalej jest wytykanie Rosjanom, że oni w istocie wcale nie są Słowianami, że to jest „mózg Niemców, pot Słowian, misja krwi”, takie są sformułowania Norwida i dalej są odniesienia do jakiś tam zapożyczeń perskich, mongolskich itd. Zatem nie są to Słowianie z polskiego punktu widzenia. Z rosyjskiego punktu widzenia tymi Słowianami, Polacy może są, ale są już tak przesiąknięci obcą dla Słowiańszczyzny kulturą łacińską, zachodnią, wpływami niemieckimi, że właściwie są w istocie zdrajcami Słowiańszczyzny. Wynika z tego, że

oba konkurencyjne obozy starają się wypchnąć przeciwnika z rodziny słowiańskiej, oskarżając go o zdradę ideałów słowiańskich, natury słowiańskiej, ducha słowiańskiego bądź w ogóle o całkiem niepewne pochodzenie, które odbiera prawo nazywania się Słowianami. Ten spór oczywiście w dziewiętnastym wieku, ze względu na warunki polityczne, w jakich oba narody funkcjonowały i w jakich rozwijały się relacje polsko-rosyjskie, wrogie przecież, rozwija się właśnie w tym kierunku.

Ale z polskiego punktu widzenia powstaje jeszcze jedno bardzo interesujące zadanie, na które chciałbym zwrócić uwagę, niezwiązane tym razem wprost z Rosją – choć pośrednio tak – ale nadal z ideą słowiańską, czy braterstwa ludów słowiańskich. Mianowicie próbujemy wpływać na inne narody słowiańskie – nie rosyjski, ale bałkańskie – na przykład Chorwatów, Serbów, Bułgarów, czyli te narody, które są pod panowaniem habsburskim bądź tureckim. Przeżywają one odrodzenie narodowe i wobec tego procesem naszą troską jest, żeby nie okazało się ono odrodzeniem rozwijanym w kierunku prorosyjskim. Zatem istnieje pewne zadanie, jak wspomagać odrodzenie narodowe Słowian, bo od tego nie możemy się uchylić, ale jednocześnie tłumacząc Bułgarom czy Serbom, że ich prawdziwym wrogiem jest Rosja, a nie Turcja. Skoro oni oczekują od Rosji – wielkiego państwa słowiańskiego – wyzwolenia z niewoli tureckiej, my, teraz będę mówił o księciu Adamie Czartoryskim, oczywiście rozumiemy ten główny problem polityczny narodów bałkańskich, ale jednocześnie staramy się im wytłumaczyć, że znacznie mądrzejszym rozwiązaniem byłaby próba budowy autonomii z perspektywą w przyszłości uzyskania niepodległości, pod – póki co – patronatem tureckim niż ryzykowanie opieki rosyjskiej, która może się skończyć bardzo źle. To jest z polskiego punktu widzenia zadanie z dziedziny kwadratury koła, to jest, jak przekonać tych Słowian, którzy oczekują od Rosji pomocy, że powinni się jej bać. I jednocześnie zrobić to tak, by im uzmysłowić, że powinni stanowić także dla nas jakiś rezerwuar sił, które można by było wykorzystać w konstrukcji jakichś politycznych sojuszy antyrosyjskich. To jest bardzo trudne zadanie i okazuje się z różnych względów niemożliwe do spełnienia.

Red. Witold Gadowski: Zbliża się to do granicy wiadomości historycznych o Rosji i stosunkach polsko-rosyjskich. Pragnę zwrócić państwa uwagę na kontekst dzisiejszy, bo to, co można zarzucić Polakom, to na pewno nie brak pracowitości, czy inteligencji, tylko jedną rzecz. Nigdy nie myślimy, co jest teraz, myślimy o tym, co będzie i o tym, co było, ale nigdy nie myślimy o tym, co jest teraz. To teraz, to jest tak: niemalże „blitzkrieg” Putina na Bliskim Wschodzie, spotkanie w Soczi z przywódcami krajów afrykańskich. Tego w Polsce w ogóle się nie rozumie, a tam rzecz idzie o ostatnie wolne węglowodory, które są do zagospodarowania i to bardzo duże ilości, w Afryce. Wykonuje bardzo racjonalne i bardzo dobrze wymierzone ruchy, a my cały czas mówimy o tej Rosji, jak o państwie ginącym, walącym się samodziierzawiu, mając przeróżne doświadczenia. Teraz w tym kontekście, dziś, spójrzmy na sąsiedztwo Rosji i na to, co może nas czekać.

Prof. Henryk Głębocki: Dziękuję bardzo za zaproszenie do tego niezwykle jednak miejsca, które przekazuje wiele myśli przynosi i wiele dygresji, oczywiście poza tematem naszej debaty. Pan redaktor znakomicie mnie urządził, dlatego, że jadąc tutaj myślałem: o przeszłości mam mówić, o teraźniejszości i o przyszłości. Chyba się pan profesor ze mną zgodzi, kto kontroluje na wschodzie rzeczywistość – bez względu na to, czy chcemy rozmawiać tylko o Dostojewskim, o literaturze pięknej, to nawet ci, co będą z nami rozmawiać, dobrze wiedzą, jak daleko w tych krokach mogą się posunąć, wiedzą, że za pewne tematy, bez względu na to, jak bardzo

chcemy się zaprzyjaźnić, to za pewne tematy, jak na przykład wykopywanie ofiar zbrodni stalinowskich, może sobie zwichnąć karierę, delikatnie mówiąc. Ten kto kontroluje, a wiemy kto kontroluje, stara się wpływać na przeszłość i jej ocenę, aby mieć argumenty do planowania przyszłości. Ja pozwolę sobie szerzej odpowiedzieć na to pytanie, chodzi mi o całość tego pojęcia, które pojawiło się w tytule tej debaty i tu wypadałoby wygłosić długi i nudny wykład albo cały cykl wykładów, których w Polsce chyba nikt nie wygłasza i nie ma chyba w ogóle nowszych monografii, dotyczących panslawizmu, ale sama idea przynosi pewien opis tego problemu, problemu który się pojawił, który łączy pytania i próby odpowiedzi, to jest problem tożsamości i rosyjskiej, i polskiej tożsamości. Czy jesteśmy skazani na konflikt? Odpowiedź na to pytanie niesie za sobą też próby odpowiedzi, czy to nasza tożsamość nas zaprogramowała do tego konfliktu? Czy jesteśmy zdeterminowani, czy jesteśmy nie tylko wolni, ale i czy chcemy być wolni, ale i czy jesteśmy w stanie przekroczyć historię i na jakich zasadach możemy ją zmienić tak, żeby ta wrogość zamieniła się w coś innego i nie był to pusty slogan, żeby nie było to deklarowanie po raz kolejny pustych sloganów.

Panslawizm wymyślili nie Rosjanie, postawili taką obrazową tezę, bo we wszystkich tradycjach, książkach, sięgając wstecz, można podać wiele nazwisk, wiele idei, pojawił się tam Juraj Križanić, katolik, Chorwat, emigrant. Jego idea, którą chciał sprzedać carom rosyjskim, to była idea ligi antytureckiej. To była idea sojuszu antymuzułmańskiego. Turcja była wtedy największym zagrożeniem i to była idea skierowana do wszystkich Słowian i chrześcijan, tak naprawdę. Zresztą za planowanie tej idei w Rosji zapłacił zsyłką. Tak się tam dziękuje intelektualistom, nie tylko w czasach Piotra Czaadajewa. Do dzisiaj jest taki obyczaj. Później możemy oczywiście szereg nazwisk wymienić. W szesnastym i siedemnastym wieku, co jest ciekawe, z tą ideą i wschodni Słowianie i mieszkańcy Rzeczypospolitej mają coś wspólnego. Zazwyczaj pojawiają się na tle zagrożenia zewnętrznego. Tym zagrożeniem, wbrew pozorom nie byli Niemcy, bo to były czasy Świętego Imperium Rzymskiego Narodu Niemieckiego, tylko właśnie Turcy, z którymi, w czasach księcia Adama akurat to przymierze się odwróciło, i byliśmy w dobrych relacjach. Wiek osiemnasty i epoka piotrowa zmienia pewien paradygmat kulturowy w Rosji i tak naprawdę z pewną ciągłością słowiańską mamy do czynienia od pierwszej połowy tego wieku, ale już wieku poprzednim pojawia się to, co jest stałym komponentem idei słowiańskiej albo panslawizmu. Jest to równoznaczne do dzisiaj. Wśród środowisk, w których możemy odnaleźć tą ideę, jest prawosławie. Jest to wschodnie chrześcijaństwo, które zazwyczaj jest wymieniane jako coś bardzo ważnego, łączącego wschodnich Słowian. Odwołanie się do prawosławia pozwala wykroczyć poza barierę etniczną, to znaczy Rumuni, Grecy i wszyscy, którzy uznają niełacińskie chrześcijaństwo, są naszymi braćmi i są potencjalnymi sojusznikami albo partnerami.

Ośmielę się znowu postawić obrazoburczą tezę, że Polacy wymyślili panslawizm dla Rosjan. Wymyślili jeszcze w czasach króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który tylko w jeden sposób zrobił karierę jako władca Polski, bo inaczej szansy nie miał, żeby otrzymać koronę – dzięki bliskiej znajomości z Katarzyną II, ale jego nadworni poeci odwoływali się do idei pobratymstwa słowiańskiego, bardzo wtedy niekonkretnie. Było elementem propagandy, która miała uzasadnić możliwość, chciałem powiedzieć pojednania, ale to nie jest sytuacja pojednania, gdy jedna strona dominuje nad drugą, to jest próba jakiegoś dialogu, prowadzenia negocjacji, ale wszystkie podręczniki i książki używają tego terminu. Idea słowiańska ze strony polskiej pojawiała się od czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego aż do Romana Dmowskiego i Stanisława Mikołajczyka. Dzisiaj chyba raczej nie ma żadnej wybitnej postaci, która by

ją czciła. W jednym bardzo konkretnym kontekście politycznym, w kontekście nawiązania jakiegoś dialogu politycznego, w sytuacji, w której strona polska jest absolutnie stroną słabszą, musi ten dialog uzyskać na drodze jakiejś perswazji. Idea słowiańska była ideą perswadowania silniejszemu sąsiadowi, który prowadzi politykę podbojów, politykę imperialną, że strona jest i może być partnerem w tej polityce. Do tego można byłoby sprowadzić idee króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Do tej idei po zagładzie państwowości Rzeczypospolitej nawiązywali ludzie, którzy poszli na służbę do cara Pawła I i do cara Aleksandra I. Wymieniłem przynajmniej kilka nazwisk, od działaczy kulturalnych, Tadeusza Czackiego, Joachima Lelewela, przez księcia Adama Czartoryskiego, który okropnie został sportretowany w „Wojnie i pokoju”, jako możliwie najgorszy minister spraw zagranicznych. Nie-Rosjanin, więc nie mógł się przejąć interesem rosyjskim, niemniej my, jako historycy, uważamy, że służył dosyć lojalnie carowi, podobnie jak Jan Potocki, ten sam, który był autorem „Rękopisu znalezionej w Saragossie” i jednego z planów podboju Eurazji przez Rosję, łącznie z planami wcielenia Kaukazu jeszcze nie podbitego, Azji środkowej, stepu kazachskiego, Mongolii. W jego tekstach jest bardzo dużo wątków słowiańskich, które mają ten sam walor, to znaczy mają być pomostem w negocjowaniu pozycji Polaków. W tej sytuacji, tę propozycję można sprowadzić do postulatu innego, nieco późniejszego polityka, realizującego tą samą linię w Królestwie Polskim, księcia Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, że Polacy mają w Imperium Rosyjskim zająć taką pozycję, jak Niemcy bałtyccy albo Grecy w Imperium Rzymskim, czyli mają być nośnikami kultury, cywilizacji i postępu, a nie bezsensownie buntować się i przelewać własną i cudzą krew. To jest najlepsze rozwiązanie w sytuacji, w której doszło do zagłady państwowości.

Jak państwo wiedzą z „Mazurka Dąbrowskiego”, inna opcja była popularna i zawładnęła ogromną częścią Polaków. To jest pewien fenomen polegający na tym, że zanim naprawdę zagościł w głowach elit rosyjskich panslawizm, w połowie dziewiętnastego wieku, i zanim w ogóle zagościła w głowach rosyjska idea narodowa, nacjonalizm rosyjski, właściwie elity były integrowane w imperium poprzez lojalność wobec stron, wobec dynastii, wobec imperium. Państwo ustanawiane przez cesarza, przez cara lub carycę, było punktem odniesienia dla wszystkich elit rosyjskich. W ten sposób wśród elit rosyjskich mogli się znaleźć przedstawiciele plemion muzułmańskich, tatarskich. Niemcy bałtyccy, którzy nie porzucili swojej religii, protestantyzmu, zaczęli go porzucać dla kariery dopiero przed pierwszą wojną światową, kiedy rosyjski nacjonalizm tego od nich zażądał. Książęta gruzińscy, Szkoci, Holendrzy, Niemcy. Jak państwo pamiętają, wszyscy zapewne pamiętają „Drogę do Rosji” z zakończenia trzeciej części „Dziadów”, to obraz tej Rosji jest absolutnie niesłowiański nie dlatego, że Mickiewicz zarzuca wszystkim Rosjanom, że to są Mongołowie, potomkowie Mongołów lub Tatarów, tylko że to jest kompletny konglomerat połączony jedną ideą. Ideą służby carowi, służby imperium.

Dopiero w takim otoczeniu, na takim tle, rozwijają się idee narodowe i pan-narodowe. Panslawizm jest ideą pan-narodową, ideą połączenia różnych idei narodowych. Oczywiście polski sławizm, zanim użyto pojęcia panslawizm mówił o pokojowej koegzystencji na płaszczyźnie kulturowej i do tego odwoływał się szczególnie książę Adam Jerzy Czartoryski. Cała ta polityka tak zwanej ugody w Królestwie Kongresowym. To wtedy popularyzowano idee słowiańską. Zawsze, gdy czytam teksty Stanisława Staszica, księcia Adama Czartoryskiego, Ksawerego Druckiego-Lubeckiego i innych publicystów z tej epoki, które wyśmiał Adam Mickiewicz w Salonie Warszawskim, w „Dziadach” części trzeciej – znany cytat o Słowianach, którzy lubią sielanki – taka narracja, że my z Rosjanami powinniśmy się kochać, dlatego że jesteśmy Słowianami, przypomina mi czasy mojej młodości, działalność Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Tam nawiązywano do bardzo podobnej argumentacji. Jest jednak ta różnica, że Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej działało dosłownie na grobach tysięcy polskich zamordowanych patriotów, których nie można było czcić, pamiętać, o których nie wolno było mówić. To była przemoc owinięta w kłamstwo. Sławizm był ofertą wysuniętą przez elity pobite, uznające swoją porażkę, ale elity społeczeństwa polskiego miały prawo do noszenia swoich medali Virtutti Militari, miały prawo do noszenia mundurów napoleońskich, miały prawo do czczenia ofiar rzezi Pragi, dokonanej przez Aleksandra Suworowa. Książę Konstanty, chyba najbardziej zniechęcony przedstawiciel władz rosyjskich, mieszkaniec Belwederu, który dopiero Józef Piłsudski odczaruje z tego skojarzenia, kazał się wybrać jako deputowany na sejm z Pragi. Właśnie po to, aby wprowadzić ówczesną politykę historyczną, czyli żeby pojednać Polaków i Rosjan. Studenci warszawscy, na dwa miesiące przed wybuchem Powstania Listopadowego, wbrew księciu i wbrew tej polityce przyjaźni ruszyli na Pragę. Wtedy podobno doszło do obsunięcia ziemi, odsłoniły się te doły śmierci. Kilkanaście tysięcy ludzi zamordowano. Kobiety i dzieci. Kości wyszły z ziemi i oni poszli tam czcić te ofiary. To była ich polityka historyczna, polityka Maurycego Mochnackiego, polityka podchorążych nocy listopadowej.

Jak państwo widzą, ten spór o to, co ma być naszą tożsamością miał bardzo konkretne przełożenie na politykę wobec Rosji i na możliwości układania się z Rosją. Wydaje mi się, że momentem, w którym te szerokie idee słowiańskie przebrały się w jakąś ideę polityczną jest Powstanie Listopadowe. Z jednej strony dzieje się to, o czym znakomicie mówił profesor Radosław Żurawski vel Grajewski, to są wykłady Adama Mickiewicza, który w ogóle poznaje świat, czym jest Słowiańszczyzna, a także Rosja. Rosyjska literatura ogromnie dużo zawdzięcza Mickiewiczowi, bo on ją spopularyzował w tych wykładach. Pojawia się sławizm polski popierany przez Francuzów. Francja jest zachwycona Polakami, że Polacy będą przedstawicielami postępu demokracji, idei liberalnych na obszarze Bałkanów, przeciwko Mikołajowi I. Sam Mikołaj, wbrew pozorom, nie jest panslawistą. Wręcz przeciwnie, mamy praktycznie do czynienia ze starciem, w sytuacji kiedy Mikołaj I reprezentuje stare pojmowanie rosyjskości, przednowoczesne. To przeciwko Mikołajowi I rodzi się nacjonalizm rosyjski, który, jak ktoś to ładnie ujął, działa mniej więcej tak, jak dysydenci w czasach Breżniewa, to znaczy głoszenie, że należy wyrzucić wszystkich Niemców, generałów i ministrów, i pognać ich do swoich majątków, gdzieś tam, w dzisiejszej Łotwie. Uważano to po prostu za coś skrajnego i Mikołaj się temu przeciwstawił, wołał nawet Niemców niż rosyjską szlachtę, co jest o tyle zrozumiałe, że o mało co potomkowie najlepszych rosyjskich rodów nie rozstrzelali go na Placu Senackim w noc grudniową w 1825 roku, podczas powstania dekabrystów.

Moment absolutnie przełomowy, w którym nawet ten, powiedzielibyśmy ówczesnym językiem, reakcyjny, niepostępowy, zwolennik tradycyjnej monarchii, widzący w każdym, nawet rosyjskim nacjonalizmie, czynnik demokratyczny, czego on nienawidził, nawet ten Mikołaj nawrócił się na panslawizm. Dopiero podczas wojny krymskiej okaże się, że jest to znakomita propagandowa idea, którą można sprzedać Bułgarom, Serbom, żeby poszli w czasie wojny krymskiej do partyzantki, aby walczyli na tyłach frontu. Potem mamy apogeum, od wojny krymskiej gdzieś do lat osiemdziesiątych następuje apogeum idei panslawistycznej. Tutaj Polska znowu odegra ogromną rolę do Powstania Styczniowego. Skracając, wymienię tylko tytuł swojej książki, którą napisałem dwadzieścia lat temu: "Fatalna sprawa: kwestia polska w rosyjskiej myśli politycznej", w której to opisałem. W ciągu tych paru lat usiłowano Polaków kupić, pozyskać ich do idei słowiańskiej. To się nie udało, skończyło się Powstaniem Styczniowym.

Wielki książę Konstanty Mikołajewicz Romanow, ten który przed Powstaniem Listopadowym zamieszkał już na Zamku Królewskim, a nie w Belwederze jako namiestnik, tą ideą usiłował kupić Polaków, nie udało się. Po Powstaniu Listopadowym mamy to, co dokładnie wszyscy wiemy, czyli oficjalne wyklęcie przez panslawistów Polaków jako nie-Słowian, uważano Polaków za Judasza Słowiańszczyzny. Wyrzucając tą rakową tkankę polskości ze zdrowego ciała Słowiańszczyzny rosyjski panslawizm skierował się na Bałkany. Efektem były: powstanie słowiańskie, była wojna rosyjsko-turecka, powstanie niepodległej Bułgarii, ale to wszystko zostało zahamowane, dlatego że Rosjanie w latach osiemdziesiątych, na skutek gry międzynarodowej utracili wpływy w Bułgarii. To było ogromną traumą dla Aleksandra III. Rosja skierowała się na drugi kierunek, kierunek tradycyjnie alternatywny w stosunku do Europy. To była Azja. Podbicie Azji Środkowej, Daleki Wschód, wejście w Chiny i ich rozbiór, aż po mur chiński i to się kończy dopiero w 1905 roku. Rosja po 1905 roku wróci na Bałkany i wtedy będzie wspierać i finansować ruch neosłowiański, który miał oczywiście komponent rosyjski, ale również na przykład czeski. Dlatego Roman Dmowski popierał ten ruch, szukając innego niż niepodległościowy, powstaniowy, modelu działalności. Będzie próbował prowadzić jakby dialog z tym ruchem słowiańskim.

Do idei słowiańskich mimo to cały czas odwoływano się do pierwszej wojny światowej, ale ta ideologia sama się wypaliła mniej więcej do końca wieku dziewiętnastego. Później jeszcze wracano do tego, ale moim zdaniem postawmy tezę w sposób utylitarny. Wracając do współczesności na koniec. Myślę, że tak jak w przypadku wielu idei, odwoływanie się do panslawizmu miało, ma i musi mieć charakter nie zwyczajnej ideologii, ale jakby pewnej propagandy słowiańskiej. Ta ideologia była żywa, ona była przeżywana przez słowianofilów rosyjskich, przez klub inteligencji rosyjskiej w Moskwie, w Petersburgu w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Po upadku marksizmu w Rosji ona nie stała się alternatywą i jeśli jakąś alternatywę znajdziemy wśród elit rosyjskich, to bardziej euroazjatyzm, i jeśli jakaś idea słowiańska tam się odradza, czy pojawia, to w jakimś połączeniu właśnie z ideami euroazjatyckimi.

Red. Witold Gadowski: Mamy pewien fenomen w postaci wypowiedzi kilku polityków współczesnych, polskich, którzy zaczynają negować tradycyjny kierunek myślenia polskiego o polityce zagranicznej, szczególnie w odniesieniu do Rosji i pojawiły się takie nuty, i to jest pewien fenomen, bo to nie narodowa demokracja akurat, to nie jest Dmowski, tylko to wychodzi z kręgu Janusza Korwin-Mikke, którzy są niezależni, a przynajmniej odbiegają niezależnie od tego kontekstu historycznego i tutaj pojawiły się pewne wypowiedzi, oczywiście można je zbyć tym, że agentura w działaniu, ale czy to cokolwiek tłumaczy poza tym, że wchodzimy w coś do udowodnienia. Teraz jedyna odpowiedź polska na to, co się dzieje z Rosją, na to, jakie przekształcenia przeżywa nasz kraj, to jest najpierw ta koncepcja, jeżeli można tak to nazwać, Giedroycia, czyli budowania pewnego kordonu odgradzającego nas od agresywnej Rosji, a później pojawia się koncepcja Międzymorza jako przeciwwagi do tego, co nam grozi, najbardziej właśnie ze strony Rosji. Tutaj pojawiają się głosy, że też ze strony Niemiec, ale skupmy się na Rosji. Bardzo ciągnę państwa do współczesności i do pewnych diagnoz, bo myślę, że posiadając taką wiedzę o tych relacjach, tym ciekawsze rzeczy państwo nam powiedzą, na temat tego, co nas czeka. Jak to można ocenić, to co jest teraz? Bardzo proszę, pani doktor.

Prof. Alicja Curanović: To może najpierw łuk kurski, a potem niech będzie o współczesności. Pan profesor Głębocki mówił, że najpierw Polacy próbowali ideą słowiańską rozwiązać

swoje problemy w ramach Imperium Rosyjskiego, potem tą ideę z kolei instrumentalizowało Imperium Rosyjskie do swoich własnych celów, planów itd. Jeżeli mamy mówić o współczesności, to czy dzisiaj Federacja Rosyjska nadal posługuje się nią, mówiąc na poziomie polityki, czyli czy oficjalni przedstawiciele, politycy, kreatorzy polityki zagranicznej odwołują się do tych haseł w stosunku do państw słowiańskich? Pan profesor powiedział, że nie, że jest to coś raczej marginalnego i ja się z tym zgadzam. Gdy Rosja mówi historycznie i do dzisiaj, że opiekuje się Słowianami, że ma szczególną odpowiedzialność względem narodów słowiańskich, to to się wiąże również z mesjanizmem, a oba są związane z imperializmem. Jeden z politologów rosyjskiego pochodzenia, mieszkający obecnie w Stanach Zjednoczonych, wprowadził taką kategorię sojuszników cywilizacyjnych, która jest ważna i która charakteryzuje politykę zagraniczną Rosji, bez względu na okres historyczny, o którym mówimy. To jest część tożsamości Rosji jako mocarstwa, czy jako imperium, że Rosja identyfikuje jakąś grupę w danym okresie jako swojego kulturowego sojusznika. To oznacza, że Rosja poczuwa się do odpowiedzialności za niego i jego obrony, a nawet uczucia szczególnej więzi. Oczywiście to, kto w danym okresie jest sojusznikiem kulturowym, jest ściśle związane z tym, jak Rosja sama siebie określa. W okresie Imperium Rosyjskiego, w dziewiętnastym wieku, ten element słowiański w pewnym momencie, a szczególnie w drugiej połowie, jest ważny. Imperium Rosyjskie, jako państwo patronujące Słowianom i wówczas kulturowi sojusznicy to właśnie grupy słowiańskie. Potem w okresie Związku Radzieckiego widzimy też kilka kategorii, bo tymi kulturowymi sojusznikami są bratnie narody socjalistyczne, które, nie daj Boże, gdyby chciały zaprowadzić reformę socjalizmu w swoim kraju, to należałoby się nimi zaopiekować i im na to nie pozwolić.

Pytanie pozostaje, a jak jest dzisiaj? Patrząc na politykę zagraniczną Federacji Rosyjskiej możemy mówić o tym, że również jest taka kategoria kulturowych sojuszników i kto by był tym kulturowym sojusznikiem. Razem z moim zespołem w ostatnim okresie robiliśmy takie badania, gdzie badaliśmy wystąpienia publiczne polityków rosyjskich, przebadaliśmy dwadzieścia pięć tysięcy tekstów i mówimy tylko o oficerach państwowych, czyli prezydent, premier, ministrowie, dyplomaci i faktycznie zidentyfikowaliśmy, że jest taka kategoria, powiedzmy pobratymców. Pojawia się taka kategoria, gdzie Rosja ma szczególną odpowiedzialność, szczególne obowiązki wobec swoich pobratymców. Tylko, że dzisiaj ci pobratymcy to nie są Słowianie. Dzisiaj kategoria etniczności jest już kategorią nieaktualną. Jeżeli w ogóle dyplomaci mówią o jakiejś szczególnej roli odpowiedzialności Rosji wobec Słowian, zazwyczaj wracają do historii, mówią właśnie o dziewiętnastym wieku, że wtedy mieliśmy taką misję, a wszyscy odpłacili nam niewdzięcznością, więc teraz Słowianie nas nie interesują. Kategorią, która zastąpiła Słowiańszczyznę i jest teraz taką kluczową kategorią, którą Rosja identyfikuje i za kogo powinna być odpowiedzialna, jest religia i prawosławie. Prawosławie, czyli na pewno państwa wschodnie i Słowiańszczyzny, na Bałkanach też, Serbia, Czarnogóra, ale jest to kategoria ogólna, chrześcijaństwo, nie muszą być tylko prawosławni, to mogą być również inni chrześcijanie. W związku z tym, na przykład, gdy mówimy o polityce Rosji w Syrii, jednym z haseł dlaczego Rosja tam jest i dlaczego jest to właściwie misja pokojowa i humanitarna – bo Rosja opiekuje się mniejszością chrześcijańską, za którą nikt nigdy się nie wstawi w Syrii. Mamy też inne przykłady, gdzie Rosja mówi, że jest zaniepokojona losem chrześcijan w Kenii. Z tej perspektywy widać, że Słowiańszczyzna jest *passé* i jest to faktycznie jakiś relikwiarz idei, która była żywa w dziewiętnastym wieku. Jeśli w tej chwili Rosja się do niej odwołuje, to w zasadzie z takiego pewnego nawyku narracyjnego. Jest dobrze przyjęte, jeżeli prezydent Rosji spotyka się z prezydentem Serbii i zapewniają o dobrym, mocnym braterstwie słowiańskim, które jest dla nich

ważne, ale tak naprawdę to prawosławie jest tym kryterium, które wyznacza, czy formuje tą bliskość. Teraz proszę o przypomnienie pytania o współczesność.

Red. Witold Gadowski: Konkretnie o odniesienie do dwóch realiów, koncepcji Giedroycia i Międzymorza.

Prof. Alicja Curanović: Trójmorze możemy nazwać ostatnią głośniejszą polską inicjatywą, co zrobić w Europie Środkowej, żeby się zabezpieczyć? Otóż, gdy oficjalnie polski rząd przedstawia tę inicjatywę, pamiętajmy, że była ona zgłoszona wspólnie przez Polskę i Chorwację. To ma być inicjatywa ściśle pragmatyczna, która ma podnieść potencjał nowych członków Unii Europejskiej, które są mniej więcej w pasie od Morza Bałtyckiego do Adriatyku i Morza Czarnego, a więc wyklucza Ukrainę, czy Białoruś, bo chodzi tylko i wyłącznie o państwa, które są już w Unii Europejskiej. W tym sensie jest czymś innym, jak idea Międzymorza z okresu międzywojennego dwudziestego wieku. Rząd nasz podkreśla, że jest to bardzo pragmatyczne, że chodzi przede wszystkim o modernizację, żeby Polska i inne państwa w regionie, jednocząc swoje wysiłki, mogły szybciej dogonić państwa lepiej rozwinięte, starszych członków Unii Europejskiej. To ma być przede wszystkim poprawienie między innymi dróg, jakieś projekty gospodarcze, wzmocnienie przedsiębiorstw lokalnych itd. Natomiast gdy robiliśmy badania, jak to jest postrzegane przez polskich ekspertów i w związku z tym zbadaliśmy, jak te projekty są komentowane, powiedzmy w przestrzeni internetowej, zdecydowana większość pytanym mówi, że oczywiście to jest projekt geopolityczny, a nie pragmatyczny. Polacy spierają się o to, czy ta inicjatywa wymierzona jest właściwie przeciwko komuś, czy ona jest wymierzona przeciwko Rosji, czy jest wymierzona przeciwko Niemcom, czy przeciwko Rosji i Niemcom? Czwarta interpretacja jaką znaleźliśmy, że to jest właściwie spisek żydowski, realizowany razem z Amerykanami, żeby tutaj instrumentalizować biedne państwa i rozsadzać Unię Europejską od środka, czyli nawet taka inicjatywa była. Wracając do tego obarczania, jak znaleźliśmy się w tym obozie między oskarżeniami o bycie zależnymi podmiotami Rosji albo bycie zupełnie antyrosyjskimi. To już nawet na takim poziomie inicjatywa, która jest przedstawiona jako projekt pragmatyczny, modernizacyjny, to się naprawdę później rozbija o percepcję, co to w rzeczywistości jest. Znaczący to, że większość ekspertów nie uwierzyła, że jest to pragmatyka i rozwijanie dróg, ale tak naprawdę jest to plan polityczny, żeby poradzić sobie z nieuniknionym zagrożeniem, które prezentuje Rosja. Kończąc, to co też było ciekawe w tym badaniu, dotyczącym jak jest postrzegana inicjatywa Trójmorza przez polskich ekspertów. Pojawiły się na przykład takie elementy, znowu odwołujące się do tradycji dziewiętnastowiecznych, że Polska jest przedmurzem i Europa środkowa, które ma chronić przed barbarią rosyjską, ale też przed zgnilizną starych członków Unii Europejskiej, że my jesteśmy tą ostatnią ostoją, która ma zachować wartości i która ma chronić tę prawdziwą europejskość przed zagrożeniem cywilizacyjnym z jednej i drugiej strony. Reasumując, to nie tylko zagrożenie fizyczne, nie tylko dlatego, że Rosja może napaść, bo jest państwem agresywnym, ale jest też zagrożenie cywilizacyjne dla tożsamości Europy i Polska wspólnie z innymi państwami w Europie środkowej, jeżeli się zjednoczą, są w stanie tę prawdziwą tożsamość europejską ochronić. Jeśli pomyślimy o tym brzmieniu i wymiarze społecznym, o tej percepcji społecznej, to pokazuje, jakie wyzwania stoją. To już nie chodzi proszę państwa o rozstrzygnięcie sprawy Katynia, bo tego tak szybko nie da się rozstrzygnąć. Katyń jest poważnym problemem, którym należy się zająć, ale równoległym.

Prof. Henryk Głębocki: Mogę tylko zacytować paru autorów. Katyń to nie jest problem Polski, to jest problem Rosji. Jest to opinia większości, dlatego że Polacy nie mają obowiązku udowodnić

Rosjanom tego, że w Katyniu funkcjonariusze państwa sowieckiego dokonali morderstwa na naszych obywatelach, mamy wszelkie dobre ustalenia i jeżeli ktoś to podważa, to jest jego problem. Taki problem rozważa się w świetle prawa międzynarodowego przed trybunałami, które zajmują się tym w Hadze i w paru tych miejscach. Chcę być dobrze zrozumiany, nie chodzi o to, że mamy o tym nie pamiętać czy mamy o tym nie mówić, czy nie nagłaśniać, wręcz przeciwnie, ale musimy mówić, że to jest problem przede wszystkim państwa rosyjskiego i również Rosjan, szczególnie tych uczciwych Rosjan, którym zawsze należy się szacunek za przypomnienie o tej sprawie. Mówimy tutaj w dniu albo tuż przed tak zwanym Dniem Ofiar Totalitaryzmu, który jest przez sporą część inteligencji rosyjskiej bardzo nagłaśniany i obchodzony.

Prof. Alicja Curanović: Przerwa nastąpiła w momencie, kiedy mówiłam, że Katyń jest problemem, chciałam powiedzieć, że w stosunkach polsko-rosyjskich. To w takim razie tyle. Są wyzwania i możliwości poszukiwania równoległych platform jakiejś współpracy, czy po prostu kontaktów. Potrzeba spotykania się jest bardzo duża.

Red. Witold Gadowski: Teraz, proszę państwa, chciałbym wrócić do tej współczesności, ponieważ ona może nam wyznaczyć jakiś kierunek, a przynajmniej jakąś diagnozę. Historię mniej więcej znamy. Oczywiście my znamy ją z polskiej strony, a Rosjanie ze strony rosyjskiej. Prawda na tym cierpi i to jest niezaprzeczalne. Dziś kilka godzin temu dowiedzieliśmy się, że Duńczycy wyrazili zgodę na przebieg gazociągu przez swoje wody terytorialne, a my jesteśmy w obcęgach rosyjskich, bo z jednej strony mamy Nordstream dwa, z drugiej strony mamy pewne strategie dyplomatyczne, które stosuje Rosja, aby nas całkowicie unieważniać. Zresztą skutecznie jej to wychodzi. Z trzeciej strony mamy kwestię Smoleńska. I pytanie, dlaczego Rosja tak postępuje?

Prof. Radosław Żurawski vel Grajewski: Szczerze mówiąc, nie nadałam z komentarzami za liczbą wątków, które tutaj się pojawiają i jak tylko sobie przygotuję, co chciałbym powiedzieć, to już jest dziesięć następnych pytań. W związku z tym pozwolę sobie jednak pójść w komentarzach trochę na skróty – to nie będzie łuk, lecz jakaś klamra – postaram się spiąć dwa wątki w jeden. Najpierw odwołam się do Stanisława Staszica i jego idei zawartej w poemacie „Ród ludzki” i dołączonych do niego „Uwagach”, opublikowanych w Warszawie w latach 1819-1820. Była to propozycja konstrukcji pewnego międzynarodowego porządku, zmierzającego do zjednoczenia Europy z wiodącą rolą Słowian, co w praktyce oznaczało usytuowanie w pozycji hegemonu owego związku rosyjskiego cara. Czynię to, żeby wskazać na fakt, że zarówno wtedy, czyli dwieście lat temu, jak i dzisiaj – i to, myślę powinniśmy tutaj bardziej podkreślić niż czyniliśmy to do tej pory w naszej dyskusji – ideologie były ideologiami, natomiast gra polityczna, bieżąca gra polityczna powodowała, że sięgano do nich jako do pewnego rodzaju zasobu narzędzi politycznych, dzięki którym realizowano pewne cele. Bowiem nie przypadkiem w pierwszej wersji porządku międzynarodowego Staszica to Francja odgrywała kluczową rolę, a po roku 1815 rolę tę powierzał on Rosji. To nie dlatego, że nagle zapalał jakąś miłością do idei braterstwa ludów słowiańskich, tylko zmieniła się rzeczywistość polityczna, a wobec tego propozycja stworzenia porządku międzynarodowego z Francją jako centralnym filarem tego porządku była już nieaktualna. Natomiast o koncepcji obsadzenia w tej roli Rosji można było w realiach 1815 roku dyskutować.

Teraz, pomijając z żalem szereg wątków, które się pojawiły w międzyczasie, pozwolę sobie na przeskok do Trójmorza. Chcę wskazać kolejny aspekt, który powinniśmy dostrzec, albowiem

kwestia Trójmorza dyskutowana obecnie w publicznej debacie w Polsce – jej oceny, które tutaj pani profesor przedstawiła, nie wynikają tylko z chłodnej analizy eksperckiej tego, czym w istocie jest ta propozycja. Zostały one przeniesione na pole wewnątrzpolskiej walki politycznej i są tak interpretowane, jak wygodnie jest dyskutującym stronom. Jeśli chcemy pokazać, że oto PiS ma jakieś szalone pomysły budowy awanturniczej i nierealnej międzynarodowej konstrukcji politycznej – a łatwo tutaj jest manipulować pewnymi pojęciami, bo jednak Międzymorze jest czymś innym niż Trójmorze, natomiast w uszach szerokiej publiczności brzmi właściwie tak samo – możemy właśnie w ten sposób zacząć interpretować cały ten pomysł, przywołując przedwojenną koncepcję Międzymorza i dowodząc, że koncepcja ta powtarzana obecnie, w istocie wynika z fantasmagorii politycznych PiS-u, jakichś idei oderwanych od rzeczywistości. Przekonując, że PiS chce w ten sposób walczyć z Rosją, budować właśnie jakieś Międzymorze, jakiś blok polityczny, który w swym ukrytym zamiarze jest faktycznie skierowany przeciwko Unii Europejskiej, podważa jej jedność itd. i w ten sposób tworzymy narrację prowadzoną w tym kierunku. Wtedy nieistotna staje się odpowiedź na pytanie, jakie rzeczywiste propozycje kryją się za tym projektem politycznym. Tymczasem gdybyśmy go przeczytali tak, jak on jest proponowany, to okazałoby się, iż faktycznie chodzi o to, że choć nasza część Europy została co prawda w wyniku traktatów i porozumień przyłączona do Unii Europejskiej, a zatem pod względem prawnym stanowi taką samą część owej Unii jak każda inna, to jednak nie możemy różnymi aktami prawnymi czy traktatami anulować faktu, że przez pięćdziesiąt lat byliśmy poza strukturami jednoczącej się Europy. Żeby te zaległości zniwelować, musimy zbudować infrastrukturę. To powinna być rzecz oczywista, że nie wystarczy podpisać porozumienie, że już się przyłączamy, musimy jeszcze zbudować drogi, koleje i całą infrastrukturę, która nas faktycznie przyłączy, która otworzy możliwości rozwoju gospodarczego i to nie tylko na osi wschód-zachód, ale i północ-południe, czyli obejmie całą część naszego kontynentu. To jest faktycznie projekt infrastrukturalny. Z drugiej strony, dlatego że należą do niego tylko państwa Unii Europejskiej, łatwo stawiać zarzuty i formułować pretensje, na przykład, że nie starano się w to włączyć Ukrainy. Dlaczego? Z kolei jest oczywistą obserwacją fakt, że każde z państw należących do inicjatywy Trójmorza ma jakieś ulubione swoje państwo poza Unią Europejską, które chętnie widziałyby w tej strukturze. Rumunia z ochotą zaprosiłaby Mołdawię, Chorwacja widziałaby Bośnię i Hercegowinę i tak każdy chciałby kogoś jeszcze przyłączyć. W takiej sytuacji ta struktura mogłaby się okazać niesterowalna, czy za bardzo skomplikowana, bo rozbieżności są zbyt duże. Zresztą cały projekt nie jest projektem jakiejś węższej unii w ramach Unii Europejskiej, ponieważ mamy szereg tematów czy problemów, w realizacji których państwa Trójmorza będą współpracowały, bo to leży w interesie całego regionu, ale mamy szereg innych, gdzie mamy różne poglądy. Wobec tego zbudowanie w tym obszarze jakiejś spójności politycznej, która by była odrębnością, jakimś odrębnym ośrodkiem woli politycznej, będącym w stanie zajmować identyczne stanowisko w grze międzynarodowej z innymi podmiotami, jest raczej niemożliwe. A zatem jest to faktycznie projekt infrastrukturalny, natomiast ze względu na debatę wewnątrzpolską jest przedstawiany szerokiej publiczności jako idea zmierzająca do stworzenia jakiejś odrębnej struktury politycznej, ale to inne powody decydują, że ten obraz jest tak wieloraki i tak wiele interpretacji można tutaj usłyszeć w mediach na temat tego pomysłu.

Prof. Alicja Curanović: Dorzucę tylko zdanie. Sprawa polega na tym, że większość tych opinii, które przytoczyłam, to były opinie osób, które popierają ten projekt. Interpretacja tego, że to jest kwestia przedstawiania przez krytyków politycznych, czy przeciwników tego projektu, to nie to, bo to są opinie ludzi, którzy mówią, że dobrze, że jest ten projekt, że właśnie dobrze, że Polska stoi przed taką inicjatywą, bo to wzmacnia jej pozycję w ramach Unii Europejskiej,

to jest może platforma do przyszłych działań bardziej na wschód od Unii Europejskiej, więc jakby w przypadku tego konkretnego badania percepcji Trójmorza to są głosy zwolenników, którzy mówią, że fajnie, że jest ten projekt, cieszą się, bo myślą, że jest to projekt geopolityczny.

Red. Witold Gadowski: Nie będę już wprowadzał nowych wątków. Natomiast zadam pytanie trudne, co w takim razie z tą Rosją, rozmawiać, czy bić się?

Prof. Henryk Głębocki: Może pan redaktor załatwi mi etat ministra spraw zagranicznych, czy chociaż sekretarza, wtedy wypowiedź moja miałaby więcej sensu i przełożenia. Tutaj możemy sobie puścić wodze fantazji, co ma też dobrą stronę, ale też może nas skompromitować. Ciężkie westchnienie jest najlepszą odpowiedzią na to pytanie. Teorie geopolityczne byłyby, myślę, dobrym wyjaśnieniem tego problemu, to znaczy ogromna przestrzeń Euroazji, pustynna przez wieki, zajęta w ciągu kilku wieków przez państwo rosyjskie, wytworzyła takie układy geopolityczne, że z punktu widzenia samych Rosjan i tutaj nie mam czasu, żeby ten wątek rozwijać, ale dla samych Rosjan posiadanie wielkiego i potężnego państwa i narodzone z tego przeświadczenia kolejnych pokoleń elit rosyjskich przekonanie, że to wielkie imperium ma do wyboru albo się rozpaść na kawałki, albo być silnym państwem, które będzie prowadziło agresywną politykę, to jest oś jakby myślenia nie tylko imperialistów, ale bardzo dużej części inteligencji rosyjskiej. Jak prześledzimy kolejne pokolenia rosyjskich elit, w wieku osiemnastym, kiedy Rosja niby została zeuropeizowana, rosyjskie elity wierzyły, że to imperium jest strażnikiem wartości europejskich, oświeconych, humanitarnych. Dla Aleksandra Puszkina to było imperium wolności. Tak ogromny twór, który przenosi do Euroazji swobodę. Dzisiaj możemy znaleźć nawet takie interpretacje, odwołujące się niekoniecznie do władz sowieckich. Ich szczęściem jest to, że ci, którzy rządzą dzisiaj Rosją, mają swoją specyfikę i tutaj znowu kolejny wątek, którego dzisiaj nie rozwinie, dlatego że jest to państwo służb specjalnych, ludzi, którzy mają przeformatowaną świadomość i bez względu na to, pani profesor, z jak miłymi inteligentami, profesorami się spotykam, to nie oni wydają polecenia z telefonów na Kremlu. Ja mam ten sam problem, mi się świetnie rozmawiało tam w Rosji, tylko wiedziałem, że nie mogę za dużo mówić, bo będę miał przez to kłopoty. To jest ogromne nieszczęście Rosjan. To pół biedy, że wszystkie elity, w odróżnieniu od Polski, Węgier, dawnych Czech, czy Słowacji, że wszystkie elity wywodzą się systemu sowieckiego, to jeszcze pół biedy, cała bieda polega na tym, że one dzisiaj wywodzą się z tego sektora, który zajmował się zawodowo, przez całe życie był szkolony, trenowany, wykonywał taką pracę, która polegała na kłamaniu, oszukiwaniu, zabijaniu i jak ktoś chce się bliżej zapoznać, polecam książkę Wiktora Suworowa, nie jako historyka, ale jako byłego oficera tych służb i paru innych, którzy nie podzielili losu Siergieja Skripala i paru innych, znanych postaci, których już nie ma na tym świecie. Tacy ludzie rządzą tym krajem. To jest ogromne nieszczęście i to jest także nasze nieszczęście, bo Rosja putinowska, która istnieje tutaj ponad dwadzieścia lat, naprawdę bardzo się różni, przynajmniej w porównaniu, od Rosji Borysa Jelcyna, ale także ewolucja tego systemu przez trzydzieści lat wskazywała, że eksperyment, tak naprawdę, za Jelcyna miał polegać na próbie zbudowania, mówi się demokratycznej Rosji, myślę, że tu nie o to chodziło i nie o to w istocie walczył Jelcyn i Gorbaczow. Istotą była koncepcja właśnie tożsamości rosyjskiej i o tym akurat nikt tutaj nie pamięta, poza moimi biednymi studentami, którym to wciąż tłukę do głów na wykładach.

W roku 1991 mieliśmy bardzo wyraźną linię podziału w walce o władzę między Gorbaczowem a Jelcynem. Pierwszy i na szczęście ostatni prezydent Związku Sowieckiego chciał zmodernizować imperium, chciał zachować w całości Związek Sowiecki z jego wpływami. Borys

Jelcyn stanął na czele establishmentu partyjnego, sowieckiego, ale tego, który odwoływał się do nacjonalizmu rosyjskiego oczywiście z hasłami demokratycznymi, absolutnie tak. Przejściowo w tej rozgrywce wygrał. Niektórzy twierdzą, a to być może moi studenci będą mogli sprawdzić w końcu tego wieku, że kluczową rolę w tej rozgrywce na początku lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku odegrała właśnie ta korporacja, która teraz rządzi Rosją. KGB nie poparło puczu 1991 roku. Co do tego jesteśmy pewni, że ten pucz zawalił się dlatego, że KGB obsadziło pozycje, co najmniej, jakby to powiedzieć, stanęło z boku. Lata dziewięćdziesiąte to jest próba zbudowania tak zwanej demokratycznej albo Rosji, albo republiki narodowej, albo demokratycznej. To się też nie udało. Dwa ogromne nieszczęścia, dwie wojny czeczeńskie, potworne masakry, szczególnie ludności cywilnej, pozwoliły powrócić do władzy temu ponuremu i niebezpiecznemu segmentowi, który ją w osobie pułkownika Putina, przejął. Ten słynny, nagrany i funkcjonujący w Internecie żart Putina na spotkaniu z kolegami na Łubiance. Zdawał raport, że zadanie wykonane. To znaczy że przejął władzę. To miał być oczywiście żart. Chyba do końca żartem nie był. Są różne badania. Zwykle podaje się, że to, co wiemy, świadczy, że 60-70% rządzących dzisiaj Rosją, polityką, ekonomią – elity, to są ludzie służb specjalnych, a to jest moje przypuszczenie, które być może jest prawdziwe, że pozostałe 30 % również, tylko my o tym nie wiemy, ponieważ archiwa są zamknięte.

Odpowiadając na pytanie pana redaktora Witolda Gadowskiego, jak należałoby się zmierzyć z takim wyzwaniem, ja nie widzę tutaj kandydatów do pozytywnej odpowiedzi, w tym, co jest groźne i niepokoi nie tylko najbliższych sąsiadów. Myślę, że jest też ten pozór, który nas wszystkich ludzi, że w tym systemie rządzą ludzie, którzy może są w tym zdemoralizowani, odnośnie zbrodniczego systemu, najbardziej ponurego segmentu tego zbrodniczego systemu, ale oni nie są szaleńcami i w imię swoich interesów, także swoich dacz, które w międzyczasie nabyli pod Monako, w Toskanii, w imię swoich dzieci i wnuków, które kończą w tej chwili najlepsze amerykańskie i zachodnie uniwersytety, nie posuną się zbyt daleko. Miałem wrażenie, jak rozmawiałem z niektórymi Amerykanami, że oni do aneksji Krymu też tak to postrzegali. Ten najważniejszy zachód, którego centrum jest w Waszyngtonie, a przedstawiciele kształceni są na Harvardzie, sądzi, że pułkownik Putin to taki rosyjski Pinochet. Jest jednak różnica: Chile nie było imperium, które zajmowało całą Amerykę Południową. Nie miało tradycji, ani kultury imperialnej, a Rosja była i ma taką tradycję, kulturę i pamięć historyczną, i wciąż wraca w te swoje koleiny schematu z XIX wieku: Rosji krążącej po kole.

Jak będzie dalej? Wydaje mi się, że musimy zawsze pamiętać, że oprócz Rosji i państwa, i elit, które wydają rozkazy i rządzą krajem, są po prostu ludzie. To jest jedno z największych przesłań polskiej tradycji myślenia o Rosji od czasu konfederacji barskiej, od czasu sformułowania hasła „Za wolność naszą i waszą”. To było hasło, które nam się dzisiaj z Rosją nie kojarzy, ale to było hasło skierowane do Rosjan. W tej warstwie, w której podchorążowie i inteligenci warszawscy w procesji ku czci dekabrystów, szli z trumnami przez Krakowskie Przedmieście. Ono zostało sformułowane w czasie Powstania Listopadowego i było kierowane do Rosjan. Oczywiście potem zostało skojarzone z Ukraińcami i innymi narodami. Musimy pamiętać o Rosjanach, patrzeć na Rosję wielowymiarowo. Apelowałbym, żeby wyzbyć się pewnych naiwnych schematów, które ja widzę w tekstach naszych kolegów z zachodniej części świata, którzy nie mają tego doświadczenia. Mówiąc złośliwie, rok okupacji Londynu albo Paryża zmieniłby perspektywę po drugiej wojnie światowej. Łatwiej byłoby się nam dogadywać. Niestety, Kozacy okupowali Paryż w 1814 roku, wiosną, tylko parę miesięcy. Nikt nie pamięta, że armia rosyjska, zanim miała swoją północną grupę wojsk w NRD, to miała strefę okupacyjną

w Normandii i w północnych departamentach Francji, ale to były czasy dobrotliwego cara Aleksandra i rosyjscy oficerowie tracili w kasynach paryskich i nie tylko w kasynach, góry złotych rubli, więc pamiętano ich tam z ogromną sympatią.

Nasze historyczne doświadczenie nie powoduje, że wiemy lepiej co zrobić z Rosją. Natomiast mamy prawo z tego doświadczenia korzystać. Nie jest to doświadczenie tylko negatywne, to jest doświadczenie także tych Rosjan, o których musimy pamiętać. Jeden z nich niedawno odszedł do wieczności, Władimir Bukowski, człowiek bez którego niewiele byśmy wiedzieli o transformacji, bo on zdobył nielegalnie dokument z Łubianki, wtedy gdy Jelcyn wahał się jeszcze nad Norymbergą dla komunistów. Wielu takich ludzi, o których już nie pamiętamy, odeszło albo odchodzi. O nich musimy pamiętać. To jest ta inna Rosja, ta inna Rosja, która w tej chwili przegrywa i która jeśli przegra zupełnie, to też nie będzie dobrze. Dlatego, że bez względu na to, czy będą kolejne kadencje obecnego prezydenta, pozostanie po nim ten system. System wielokrotnie opisywany, system wywodzący się z mentalności metod działalności byłych czekistów. Świat przerażający, jeśli ktoś się tym zajmował naukowo. Co z tym zrobić? To jest dopiero pytanie, panie redaktorze.

Prof. Alicja Curanović: Krótka powiem. Oczywiście o tych sympatycznych profesorach i o tych byłych kagiebiach, którzy trzęsą Rosją. To jest trochę nieuczciwe postawienie sprawy – po co jeździć do tych sygnatycznych profesorów, skoro oni i tak nie mogą powiedzieć tego, co myślą.

Prof. Henryk Głębocki: Ja tego nie powiedziałem.

Prof. Alicja Curanović: To może ja, odnosząc się do tego, źle zrozumiałam, co pan profesor powiedział. Natomiast ja bym bardzo chętnie zbadala i porozmawiała z Siergiejem Ławrowem albo Władimirem Putinem. Tylko nigdy nie uzyskałam takiej możliwości. Rozmowa z tymi, którzy naprawdę rządzą Rosją, kiedy jest się badaczem, zwłaszcza jeszcze z polskim paszportem, jest rzeczą niemożliwą. Druga sprawa, ta profesura, z którą się można spotkać przy okazji konferencji naukowej w Rosji, bardzo często wcale nie jest sympatyczna, ale z naukowego punktu widzenia czasami lepiej jest rozmawiać z tymi niesympatycznymi, bo wtedy można lepiej zrozumieć sposób myślenia. Łatwiej jest rozmawiać z sympatycznymi, ale naukowo mało z tego wynika.

Wracając do pytania, walczyć czy rozmawiać? Odpowiedź banalna. Walczyć w pojedynkę nie mamy szans. Czy NATO przetrwa i jak by zareagowało? Lepiej tego nie testować. Na pewno należy rozmawiać, na jakie tematy i jakim poziomie, to jest kwestia decyzji politycznej. Natomiast na naszym podwórku naukowym, tak jak powiedziałam na początku, ogromna robota do zrobienia, żeby jeździć, spotykać się i rozmawiać i to nie tylko z osobami, które krytykują Władimira Putina, ale też z tymi osobami, które stoją za nim murem. Żeby była ta konfrontacja, spotkanie naukowe. Spotkajmy się, porozmawiajmy. Ja zawsze zadaję pytania, które chcę zadać. Często nie dostaję odpowiedzi albo odpowiedzi wymijające, ale nie prowadzę autocenzury. Pytam, jadę i rozmawiam z naukowcem. Faktem jest, że bardzo często nie mogę się umówić na spotkanie z jakimś naukowcem rosyjskim. Już na tym etapie dochodzi do pewnej selekcji. Kobieta z Polski chce robić badania na temat mesjanizmu rosyjskiego we współczesnej polityce. Myślę, że jest bardzo podejrzane, więc już na tym etapie wiele osób nie chce się ze mną spotkać, a jak już się spotykam to zadaję pytania, które chcę. Myślę, że to ważne, pan profesor się z tym zgodzi?

Prof. Henryk Głębocki: Absolutnie. Być może zostałem źle zrozumiany. Po prostu chodzi mi o to, że jeżeli przyjmiemy tezę, że istnieją różne racje, to oczywiście musimy każdą uwzględnić i oczywiście ja też jestem zwolennikiem rozmawiania z innymi, albowiem tu jest pewien bardzo czytelny problem, który mogę zilustrować. Każdy ma jakąś pulę własnych przykładów. Ja w Rosji, po znakomitej konferencji, dyskusji i rozmowie na tematy polsko-rosyjskie zostałem zaproszony do gabinetu dyrektora bardzo ważnego instytutu naukowego, historycznego, w tym wypadku politologicznego. Byłem częstowany koniakami. Na pożegnanie otrzymujemy oficjalną publikację: „Komisja do spraw walki z fałszowaniem historii”. Tak się nazywa ta komisja przy prezydencie Putinie. W samym tytule jest sformułowana teza o walce z kłamstwem o 17 września, że zwycięska robotniczo-włociańska Armia Czerwona nie wkroczyła ze sztandarem pokoju i wolności do Białorusinów, Ukraińców, Żydów i Polaków, wkraczając w granice już nieistniejącej, Rzeczypospolitej. To tytułem ilustracji tego problemu, to znaczy, ja mam z tym problem, pani profesor. Mamy różne dziedziny badań. Tutaj pan profesor Radosław Żurawski vel Grajewski ma bliżej, ale dla nas to nie problem braku dostępu do najwyższych szczebli władzy. Nie jest to barierą w moich badaniach, ale dostęp do dokumentów. Za Jelcyna otwierano te archiwa, a teraz je zamykają. Dodatkowo to nie wynika z decyzji archiwistycznych dyrektora archiwum tylko z tego, że lepiej się nie narazić. W czasach PRL-u czasem było lepiej czegoś nie dać, żeby nie mieć później problemów. Teraz czas jest taki, że jakiś były major wiadomych służb chce zostać magistrem lub doktorem – oni mają takie ambicje – zobaczy, że jakiś politolog z Warszawy albo historyk z Krakowa czyta te dokumenty, to się denerwuje i wywiera presję na dyrektora tego archiwum. Przy następnym przyjeździe politolog i historyk mogą nie dostać tych materiałów. To tak działa. Chodzi o atmosferę i mój apel dotyczy tego, żeby uwzględniać realia, to znaczy świat, w którym ci ludzie funkcjonują, rosyjska inteligencja o różnych poglądach albo o różnym podejściu do tego systemu. Realne mechanizmy to nie są mechanizmy, na które wpływ mają ludzie, z którymi my się spotykamy. To są te słynne telefony, teraz już komórkowe, które stoją na odpowiednich biurkach. Tam się decydują losy tego, do kogo pani profesor będzie mogła się udać z wywiadem, a ja, jaką teczkę będę mógł zamówić, z którego roku. Za Jelcyna można było czytać akta obejmujące okres do lat czterdziestych, pięćdziesiątych XX wieku. W tej chwili od lat dwudziestych w archiwach zaczynają się schody, zaczynają się pytania, niepokój, do czego mogą służyć książki na temat Polaków na Syberii. Kończą się na latach dwudziestych dlatego, że potem jest już mało sympatycznie pytać o teczkę. Trudno się dziwić, jeżeli w gabinetach wisi przegląd wszystkich szefów lokalnego aparatu od czasów Jeżowa, Jagody, Dzierżyńskiego, w jednym szeregu. To trudno liczyć, że ci funkcjonariusze będą zadowoleni. Dalej tego wątku nie będę rozwijał. Po prostu chodzi mi o to, żeby uwzględniać realia. Spotykać się i zapraszać naszych rosyjskich kolegów na konferencje, na rozmowy, jeżeli jest możliwość. Ja mam wrażenie z własnego doświadczenia, że wiele osób boi się przyjechać do kraju, który jest członkiem NATO i który ma wiadomy stosunek do kwestii Krymu i Ukrainy. Ja się z tym spotkałem. Oni boją się kłopotów, które mogą być, albo niewygodnych pytań, takie są realia.

Red. Witold Gadowski: Proszę Państwa, ten obraz jakoś został naszkicowany. Jeszcze pan profesor Radosław Żurawski vel Grajewski doda parę słów. Tylko my cały czas tkwimy w polskiej wyobraźni, w której wschód kończy się na Rosji. Tymczasem jeszcze dalej na wschód wyrósł chiński smok, który trzęsie już nie tylko Azją, ale i naszą częścią świata zaczyna trząść.

Prof. Radosław Żurawski vel Grajewski: To bardzo cenna uwaga pana redaktora Witolda Gadowskiego i właściwie otwierająca kolejną dyskusję, na kolejne spotkanie. Rzeczywiście

ani Polska, ani Rosja nie leży na Księżycu, tylko w otoczeniu międzynarodowym, które komplikuje nam prowadzone dyskusje. Ja chciałbym dodać tylko parę słów do tego, co zostało powiedziane, podkreślając jeszcze raz to, na co był uprzejmy zwrócić uwagę pan profesor Henryk Głębocki, to znaczy fakt z jakich kręgów wywodzą się elity współczesnej Rosji. To jest w ogóle fundament dyskusji – rozumienia tego, z kim mamy do czynienia. Rozumiem, że pytanie pana redaktora Witolda Gadowskiego, czy z Rosją należy rozmawiać, czy też walczyć, to jest takie pytanie, które traktuję jako prowokacyjne. To jest oczywiste, że należy rozmawiać. Natomiast dobrze by było zdawać sobie sprawę, po pierwsze, z kim rozmawiamy i trzeba by było jeszcze zdefiniować, na czym ta rozmowa ma polegać. Albowiem wesprę się rodzinnie i zacytuje mojego brata, który twierdzi, że rozmowa z Rosją, powinna polegać na dokładnym zdefiniowaniu tego, gdzie leży czerwona linia oraz na rozumieniu kodu mentalnego rozmówców, na wysyłaniu takich sygnałów, które będą właściwie rozumiane na Kremlu. Zwłaszcza Zachód ma z tym kłopoty. Widzimy to ostatnio w stanowisku Francji wobec Macedonii. Dla Francji jest to pozbycie się kolejnego kłopotu, a dla Europy Wschodniej jest to właściwie sygnał zachęcający do próby rozciągnięcia tam wpływów rosyjskich. To jest dla nas ważne w tej dyskusji, a nie to, czy Macedonia zostanie przyłączona do Unii Europejskiej i jakie profity z tego mogłaby odnieść. Nam od razu zapala się czerwona lampka: Aha, no to teraz otworzyliśmy pole dla intryg rosyjskich na Bałkanach – skoro odepchnęliśmy Macedonię, a zatem zapewne również pozostałe państwa bałkańskie, które jeszcze do Unii wejść nie zdążyły. Zatem pierwsze przykazanie to jest pamiętać o tym, z kim mamy do czynienia, jeśli chodzi o elity państwa rosyjskiego, ale także zaryzykowałbym następującą tezę, otóż nie jestem pewien, czy nie popełniamy błędu, starając się zidentyfikować interesy rosyjskie, jako pewną busołą decyzji władców Kremla. Albowiem zaryzykuję stwierdzenie, że polityka obecnej Rosji nie jest prowadzona w interesie Rosji, tylko w interesie władców Kremla, a zatem próba rozpoznania możliwych pól kompromisu lub współdziałania, tak jak są przyzwyczajeni rozumieć to Europejczycy, albo generalnie Zachód, może okazać się chybiona, ponieważ, co również jest warte zauważenia, władcy Kremla nie grają o realizację rosyjskiej racji stanu albo nie tylko o to grają, może można powiedzieć, że realizują ją przy okazji. Przede wszystkim chodzi o to, żeby zostać przy władzy. Utrata władzy może oznaczać utratę życia, a zatem jest to gra o wszystko. W walce o władzę na Kremlu, o czym wszyscy wiemy i wszyscy pamiętamy, wymordowano w dwudziestym wieku miliony ludzi, ale niewielu jest skłonnych przypomnieć sobie, że także w walce o władzę na Kremlu rozwiązano Związek Sowiecki, podpisano pokój brzeski. A zatem jest to tak atrakcyjna nagroda, że w pewnym momencie interes narodowy, państwo Rosji zupełnie przestaje się liczyć. Liczy się interes tej grupy, która sięga po ową władzę i jest gotowa podejmować wszelkie możliwe decyzje, które z kalkulacji politycznej wynikają, niekoniecznie zgodnie z rosyjską racją stanu, tak jakbyśmy my to chcieli rozumieć, albo z narodową rosyjską racją stanu. Dziękuję bardzo.

Red. Witold Gadowski: Dziękuję. Problem w tym, czy realizując rosyjską rację stanu Rosja by jeszcze istniała. W trakcie naszej dyskusji próbowaliśmy nieco uściślić pewne intuicje. Mam nadzieję, że nam się udało. Kilka ciekawych tez zabrzmiało, ale jak zwykle w takich sytuacjach, można powiedzieć, że rozpoczęliśmy wiele wątków. Szkoda, że tego typu dyskusje nie są organizowane w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Chciałbym państwu podziękować za udział w naszej rozmowie. Mam nadzieję, że był to ciekawy wieczór. Bardzo państwu dziękuję.

IV. RELACJE
POLSKO-
- UKRAIŃSKIE

Debata pt.: „Relacje polsko-ukraińskie
a pamięć o Rzezi Wołyńskiej” odbyła się
11 lipca 2019 roku
w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie.

PAMIĘĆ O RZEZI WOŁYŃSKIEJ

W dyskusji udział wzięli:

Ewa Siemaszko,
ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
oraz dr Leon Popek
(Instytut Pamięci Narodowej).

Rozmowę poprowadził
Michał Wołłejko
(Muzeum Żołnierzy Wyklętych
i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie).

Paweł Kurtyka: Dziękuję bardzo. Szanowni państwo, mam zaszczyt być prezesem Fundacji im. Janusza Kurtyki, która organizuje zarówno to miejsce, jak i dzisiejszą debatę. Jako gospodarz witam wszystkich bardzo serdecznie, przede wszystkim drogich prelegentów oraz wszystkich gości, którzy zgodzili się wysłuchać naszej dyskusji. Dwa słowa o tym, gdzie się znajdujemy, bo to, że w więzieniu na Rakowieckiej dla wszystkich jest oczywiste, natomiast my tu, jako fundacja, dokładamy swoją skromną cegiełkę, wykorzystując księgozbiór patrona fundacji, dość licznie zgromadzony, utworzyliśmy bibliotekę. Biblioteka specjalizuje się w mediewistyce, dziejach nowożytnych, a także historii najnowszej, w szczególności w problematyce dotyczącej istotnych elementów polityki międzynarodowej, relacji Polski z sąsiadami, czy kluczowych spraw na arenie międzynarodowej, które Polskę interesują bądź związane są z polską racją stanu. Gromadzimy w bibliotece książki poświęcone tej tematyce. Ponadto prowadzimy tutaj projekt, który ma na celu poszukiwanie recept na istotne i palące problemy, wiążące się z polską polityką, z relacjami z sąsiadami, związanymi z kwestiami dotyczącymi przeszłości. Prosiłbym bardzo prelegentów o przedstawianie recept, w jaki sposób możemy te relacje poprawiać bądź uprawiać taką politykę lub naukę, która może sprawić, że polskie interesy będą w odpowiedni sposób zabezpieczone.

Przechodząc do wstępu merytorycznego, nie będę mówił, co zdarzyło się na Wołyniu, bo większość z państwa to wie, a resztę uzupełnią nasi prelegenci. Ja ze swojej strony chciałbym przede wszystkim podkreślić to, że Polska przez około dwadzieścia lat wyrzekła się i zapomniała o kwestii wołyńskiej. Nie podnosiła tej sprawy w relacjach polsko-ukraińskich. Było to w zasadzie przespane dwudziestolecie. Nie porządkowano tych spraw wówczas, gdy temperatura tego sporu była niska, nie próbowano tego w żaden sposób porządkować zgodnie z tym, żeby napisać tę historię wspólnie, przy założeniu, że piszemy tak jak było, całą prawdę. Dziś znajdujemy się zupełnie w innej sytuacji. Dziś Ukraina prowadzi wojnę i kieruje się zupełnie innymi prawidłami w swojej polityce niż chęć szukania prawdy w relacjach dwustronnych. Kieruje się narracją związaną z chęcią przetrwania i wzmocnienia swojej tożsamości narodowej i do tego używa kwestii historycznej. W pewnym sensie brak odpowiedniej prezentacji racji stanu Rzeczypospolitej w okresie, kiedy można było te relacje porządkować. Omijanie tej kwestii, żeby zachować dobre relacje z Ukrainą, prowadzi do liczniejszych konfliktów i powoduje ochładzanie tych relacji. Myślę, że w tym momencie zawieszę to pytanie, bo to jest jakby dla nas kluczowe. W jaki sposób możemy sobie z tą sytuacją poradzić? Oddaję głos prowadzącemu i myślę, że będą państwo zadowoleni z kształtu dyskusji.

Michał Wollejko: Jeszcze raz chcę państwa powitać. Bardzo się cieszę, że mogę prowadzić to spotkanie w tak licznym gronie. Data dzisiejszego spotkania jest nie przypadkowa. Dzisiaj jest jedenasty lipca, przypada siedemdziesiąta szósta rocznica tak zwanej „krwawej

niedzieli”, pierwszego masowego ukraińskiego wystąpienia przeciwko bezbronnej ludności wołyńskiej, które zapoczątkowało ludobójstwo na Wołyniu i Małopolsce wschodniej, a także na Lubelszczyźnie. Może zanim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie o receptę poprawy stosunków polsko-ukraińskich i czy jest to w ogóle możliwe, to pozwolicie państwo, że nasi czcigodni prelegenci przedstawią pewne tło historyczne tych wydarzeń. Chciałbym podkreślić, że mamy tu do czynienia z najwybitniejszymi fachowcami, jeżeli chodzi o ludobójstwo na kresach południowo-wschodnich. Mam pierwsze pytanie do pana doktora Leona Popka, wybitnego specjalisty od tych zagadnień. My historycy wiemy, że w okresie międzywojennym wpływy OUN akurat na terenie województwa wołyńskiego były mizerne, w przeciwieństwie do wpływów komunistycznych i to nie tylko wśród ludności żydowskiej, ale także wśród ludności ukraińskiej. Tutaj moje pytanie, dlaczego to wszystko zaczęło się na Wołyniu, a nie w Małopolsce, gdzie OUN był silny?

Dr Leon Popke: Myślę, że ze względów logistycznych, jak dzisiaj byśmy powiedzieli. Po pierwsze, wiele już się wydarzyło od 1 września 1939 roku. To tam, na terenach Wołynia będzie dochodzić do licznych, na masową skalę, ataków na wojskowych, na gajowych, leśniczych, policjantów, wycofujących się żołnierzy polskich, dwory oraz uchodźców, którzy uciekali przed Niemcami między innymi z terenów Pomorza. Wiemy, że zginęło kilka tysięcy osób. Nawet nie wiemy, gdzie znajdują się ich groby. Temat jest bardzo słabo rozpoznany. Po drugie, był okres działalności Sowietów, czyli za tak zwanego „pierwszego Sowietu”, to jest od siedemnastego września do dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku. Przypadają na niego cztery wywózki, pobór do Armii Czerwonej, rozstrzeliwania więźniów w końcowym etapie wycofywania się. Później kolejna okupacja, niemiecka i działalność policji ukraińskiej spowodowały że na Wołyniu liczba Polaków zmniejszyła się z 16-18% w niektórych powiatach do około 10-12%. To jest bardzo ważne. Wołyń został pozbawiony przez Sowietów i Niemców, i również przez policję ukraińską w służbie niemieckiej, inteligencji, wojskowych, elementu przywódczego. Zabrakło żołnierzy, dowódców, działaczy społecznych. Właśnie tych ludzi, którzy mogliby stanowić w jakiś sposób przywództwo i organizować opór. Doskonale wiedzieli o tym Ukraińcy z OUN. Trzecią niezwykle ważną rzeczą jest to, że Wołyń to niemal w połowie lasy, bagna. To jest doskonałe miejsce dla partyzantki i na tych terenach już się pojawiła partyzantka sowiecka. Trzeba było się śpieszyć. Moment przejścia policji ukraińskiej na wiosnę 1943 roku do lasu na rozkaz OUN-u, powoduje rozpoczęcie ludobójstwa. Historycy zgodnie twierdzą, że to jest ten moment. Wiosna tego roku to już nie są pojedyncze przypadki porywania w nocy działaczy, nauczycieli i księży. Teraz zaczynają płonąć całe wsie, wiele wsi zostaje totalnie zniszczonych, ludność polska zostaje zamordowana w ciągu jednego dnia. Apogeum nastąpiło siedemdziesiąt sześć lat temu, jedenastego lipca.

Michał Wollejk: Chciałbym zadać dwa pytania odnośnie apogeum do pani Ewy Siemaszko. Proszę mi powiedzieć, w tym pierwszym kulminacyjnym momencie lipca 1943 roku, czy możemy podać przybliżone szacunki, ile osób narodowości polskiej zostało zamordowanych? Drugie pytanie, które jest nieco szersze. Czy ostatni okres przybliży nas do tych szacunków globalnych, szacunków wszystkich zamordowanych, a także poległych w walkach z UPA?

Ewa Siemaszko: Jeśli chodzi o walki, to liczba poległych Polaków w zestawieniu z liczbą zamordowanych stanowi ułamek procentu, co świadczy o tym, że starć zbrojnych z Ukraińcami nie było wiele. Na Wołyniu w walkach zginęło około trzystu Polaków, a wśród nich żołnierze

AK, członkowie samoobrony, członkowie oddziałów partyzantki sowieckiej, która też prowadziła walki z UPA. Liczba ta może ulec podwyższeniu. Danymi dotyczącymi innych obszarów, gdzie nacjonałiści ukraińscy dokonali Zbrodni Wołyńskiej, nie dysponuję. Gdy jest mowa o lipcu, jako apogeum ludobójstwa, to kojarzy się 11 lipca, gdy nastąpiło potężne uderzenie UPA na Polaków w powiecie włodzimierskim i horochowskim, tymczasem masowe zbrodnie na Polakach popełniane były też w innych rejonach Wołynia w różnych terminach lipca. Było kilka obszarów takiego zbrodniczego działania. Łączny szacunek ofiar dla lipca wynosi ponad 11 tysięcy ofiar. Natomiast szacowana liczba Polaków zamordowanych przez Ukraińców na Wołyniu w latach 1939-1945 to około 60 tysięcy. W porównaniu do stanu badań z roku 2000, udokumentowanych zostało dodatkowo ponad pięć tysięcy ofiar dla konkretnych miejsc zbrodni. Z uwagi na kontynuację prowadzonych przeze mnie badań, w trakcie których odkrywane są nieznane dotąd fakty zbrodni i ofiary, stwierdzam, że nie są to dane ostateczne i nie mogę powiedzieć, kiedy nastąpi moment konstatacji, że wyczerpane zostały możliwości ustalenia kolejnych ofiar. Chciałabym jeszcze wrócić do pańskiego pytania, dlaczego na Wołyniu ukraińscy nacjonałiści rozpoczęli zbrodniczą depolonizację? Kolega dość dobrze to zilustrował, ale mogłabym dodać, że w porównaniu z ruchem komunistycznym OUN na Wołyniu była liczebnie mizerna, ale nie była słaba. Tam były tworzone struktury od początku lat trzydziestych i proszę pamiętać o tym, że OUN oddziaływała na chłopów bardziej ofensywnie niż komuniści. Komuniści w przeciwieństwie do OUN nie posługiwali się terrorem w stosunku do ludności ukraińskiej. Komuniści działali propagandowo, a OUN działała i propagandowo i terrorystycznie. Nasilenie propagandy OUN nastąpiło po zajęciu Wołynia przez Niemców. Przystąpiono wtedy do intensywnej rozbudowy struktur, agitowano, urządzano zebrania, podczas których przygotowywano grunt do wystąpień w 1943 roku. To był wieloletni proces. Zaczął się jeszcze w latach trzydziestych. W relacjach często spotykam zapowiedzi kierowane do Polaków przez Ukraińców: „my was wyrzniemy” i te napomknięcia zdarzały się już tuż przed wojną. Świadczy to o tym, że podziemna działalność była jednak dość rozwinięta, w czym nasza „Dwójka”, nie była do końca zorientowana. Byliśmy skoncentrowani na zwalczaniu wpływów komunistycznych, jacejek agentów sowieckich, natomiast wydaje mi się, że mniejszą wagę przywiązywano do działalności OUN na Wołyniu. Tam w ciągu pięciu lat przed wojną napływali emisariusze z Małopolski wschodniej, osiedlali się działacze OUN, byli to między innymi nauczyciele, duchowni. Grunt był podatny z powodu niskiego poziomu cywilizacyjnego i sporego analfabetyzmu – pozostałości po zaborze rosyjskim.

Dr Leon Poppek: Jeszcze jedna bardzo ważna rzecz, której nie powiedziałem. Dlaczego OUN wchodzi na Wołyń tak łatwo? Dlatego, że nie ma tam struktur podziemnych państwa polskiego. Działalność Sowietów spowodowała niesamowitą czystkę. Okres 1939-41 wyczyścił Wołyń ze struktur podziemnych ZWZ-AK. Aresztowanie jednego adiutanta pułkownika Majewskiego spowodowało aresztowanie około dwóch tysięcy konspiratorów, co z kolei rzutowało, że przez kilka lat, aż do 1943 roku, Wołyń, może poza Kowlem, prawie nie posiadał struktur podziemnych, nie posiadał konspiratorów. Dlatego było tak łatwo wejść, penetrować i działać. Generalnie spóźniona była reakcja władz podziemnych Warszawy i Londynu. Rozkaz o utworzeniu oddziałów zbrojnych wydano dopiero 20 sierpnia 1943 roku. Był on całkowicie spóźniony, ponieważ około 80-90% polskich terenów Wołynia, wsie, kolonie, chutory, było już spalone, a ludność wymordowana i wypędzona. Dopiero wtedy pojawił się rozkaz pułkownika Kazimierza Bąbińskiego o tworzeniu oddziałów zbrojnych. Trwała dyskusja na temat, kto ma rządzić Wołyniem, czy władza cywilna, czy wojskowa. W rezultacie wygrywa Bąbiński, delegat Banach przegrywa. W Warszawie trwała dyskusja, czy wysłać na Wołyń oddziały z Lubelszczyzny, oddziały

AK i BCH. Wołyń płonie, spływa krwią, a tutaj ciągle trwa dyskusja, czy może wysłać oddziały z Warszawy, jak przerzucić broń? Dopiero rozkaz utworzenia 27. Dywizji Wołyńskiej AK w styczniu 1944 roku, tak naprawdę, gdy zbliża się front do dawnych granic Rzeczypospolitej, powoduje rozkaz „Akcja Burza”, gdzie mamy wystąpić jako gospodarze. To wszystko było już za późno, niestety Wołyń był już wypalony i wymordowany. Zniszczono, spalono ponad dwa tysiące polskich wsi, zamordowano około 60 tysięcy Polaków. Dziesiątki tysięcy Niemcy wywieźli na roboty przymusowe do Rzeszy. To są skutki ociągania się z pomocą dla Wołynia.

Michał Wollejko: Chciałbym dodać jedno słowo historycznie od siebie, że „Dwójka” nie była w stanie przez kompletną ignorancję, a właściwie arogancję, zapobiec śmierci ministra Pierackiego. Proszę sobie wyobrazić, że dzięki współpracy ze służbami czechosłowackimi, już półtora roku przed planowanym zabójstwem ministra Pierackiego przez działaczy OUN, a była to osoba numer dwa w 1934 roku w Polsce, służby czechosłowackie przekazały całe archiwum, tak zwane „Archiwum Senyka” z Pragi i przez półtora roku nikt tam nie chciał zajrzeć.

Ewa Siemaszko: Przyznaję, słabość oczywiście była, ale jeśli przejdziemy do okresu wojny, to ta słabość wynikała z ogromnej liczbowej dysproporcji między ludnością polską a Ukraińcami. Stawiało nas to w pozycji niestety przegranej. Niedawno czytałam dokumenty OUN-owskie, z których wynikało, że Polacy nie zdawali sobie sprawy, jak byli inwigilowani, jak wszystko, co się działo w kręgach polskich, było widoczne dla Ukraińców, jak na talerzu. Oni nas po prostu rozpracowywali, ale OUN tak samo inwigilowała swoich rodaków w celu całkowitego podporządkowania przy pomocy terroru. Jak czytałam w meldunku OUN z powiatu dubieńskiego, ich wywiad odkrył, że Ukrainiec ze wsi ukraińskiej, przechowując krowę Polaków, którzy uciekli do ośrodka polskiej samoobrony, wozi im masło czy śmietanę i w związku z tym OUN postanowiła „wysłać go na drugi okręg”, co oznacza fizyczną likwidację. Jeśli nacjonaliści ukraińscy stosowali w stosunku do swych rodaków śmiertelny terror, a Polacy byli mniejszością, której ochronne i obronne działania były wiadome OUN i UPA, to najpewniejszą szansą na przeżycie była ucieczka. Zorganizowanie w niektórych polskich miejscowościach oddziałów samoobrony i utworzenie około dziesięciu niewielkich oddziałów partyzanckich w drugiej połowie 1943 roku wprawdzie uratowało życie wielu Polaków w rejonach obronnych działań, ale na większości obszaru Wołynia Polacy byli bezbronni. Największa samoobrona w Przebrażu pokazała, że można było się obronić, ale to był jedyny tak mocny ośrodek. Wszystko, co robiliśmy dla ratowania życia i mienia, zadając przeciwnikowi straty, Ukraińcy przedstawiają nam jako nasze zbrodnie, twierdząc, że myśmy ich mordowali w tych samych rozmiarach, co oni nas. Nie ukrywamy, że były też ofiary z rąk polskich wśród Ukraińców, ale nie w takiej skali, jak nam to zarzucają. Nasze oddziały partyzanckie strzelały do atakujących Ukraińców i likwidowały ujętych posiadaczy broni jako członków UPA lub OUN. Były też ofiary wśród ukraińskiej ludności cywilnej w aktach zemsty osób indywidualnych. W sytuacjach uczestnictwa cywilnej ludności ukraińskiej w mordach organizowanych przez OUN i UPA, rozróżnienie, kto mordował, a kto nie, było utrudnione, a osobom, którym w potworny sposób wymordowywano całą rodzinę, niemal każdy Ukrainiec mógł wydawać się zbrodniarzem.

Michał Wollejko: Ja myślę, że o tym jeszcze porozmawiamy, ale chciałbym żebyśmy dali szansę czcigodnemu księdzu Tadeuszowi. Pani podjęła jeden wątek, wątek tragiczny. Chciałbym zapytać księdza Tadeusza o wątek Ukraińców mordowanych przez bojówkarzy OUN, UPA, mordowanych za to, że nie udzielali pomocy UPA, za to, że nie chcieli

przylączyć się do mordów bądź z różnych innych powodów, generalnie o tych, których nazwę, że byli sprawiedliwi. Pierwsza część mojego pytania brzmi: ile tak naprawdę było tych sprawiedliwych Ukraińców, którzy nieraz padli ofiarą z rąk swoich rodaków z UPA, a druga część to, czy w ogóle na Ukrainie o tych ofiarach się mówi? Na trzecią część pytania poproszę o odpowiedź doktora Popka, czy te ofiary mają swoje mogiły?

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: Ja oczywiście się zgadzam z moimi przedmówcami, bo moim zdaniem bardzo dokładnie opisali, dlaczego Wołyń. Ja muszę się jednak cofnąć. My nie mówimy o Wołyniu, jako o czymś oderwanym od rzeczywistości. Jest to symbol, jak Katyń jest symbolem całej zbrodni, która działa się w różnych miejscach. Do dzisiaj nie wiemy, gdzie polscy oficerowie i urzędnicy zostali zamordowani. Mówimy tutaj o ludobójstwie, które rozciągało się na osiem lat, a więc jest to okres nie tylko przed, ale i po wojnie. Początkiem nie był Wołyń, tylko Małopolska wschodnia, tam gdzie OUN miał swoje największe struktury, ale zanim się do tego dojdzie, to muszę się cofnąć jeszcze trochę wstecz. W okresie międzywojennym taki konflikt zbrojny, typu, że ginęli ludzie, to są lata trzydzieste. Działo się też wcześniej, była wojna polsko-ukraińska, były Orleń i moglibyśmy się cofać w nieskończoność. W latach trzydziestych doszło do działań przeciwko państwu polskiemu, gdzie ginęli Polacy i ci owi sprawiedliwi Ukraińcy. To były zamachy terrorystyczne, dwa z nich są najbardziej znane, warszawski przypadek na ulicy Foksal, przecznicy Krakowskiego Przedmieścia, czy Nowego Świata. W klubie oficerskim został zastrzelony Minister Spraw Wewnętrznych, a zarazem piłsudczyk, gorący zwolennik ugody z Ukraińcami, Bronisław Pieracki. To był rok 1934. Po tym Józef Piłsudski utworzył Berezę Kartuską. Mówi się, że początkiem Berezki Kartuskiej było to zabójstwo. Trzy lata wcześniej inny zagorzał piłsudczyk i też zwolennik ugody z Ukraińcami, pułkownik Tadeusz Hołówko został zastrzelony w Truskawcu w czasie odpoczynku u sióstr grecko-katolickich. Te ludobójstwa są udokumentowane, bo to było wolne państwo, były opisane te sprawy. Ważną rzeczą jest to, że ginęli nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy, którzy chcieli zgody z Polakami bądź którzy nie popierali tej ideologii banderowskiej. To są początki tych wszystkich konfliktów. Taką najbardziej znaną postacią ze strony ukraińskiej, ale zamordowaną przez banderowców, to był Iwan Babij, dyrektor gimnazjum ukraińskiego, a zarazem szef Katolickiej Akcji we Lwowie. Za co zginął? Właśnie za to, że on swoimi poglądami nie pasował do tego modelu banderowskiego.

Myślę, że właśnie pokazanie, że ginęli Polacy i Ukraińcy z rąk banderowców jest taką najlepszą wykładnią, dlaczego czy to w Małopolsce wschodniej, czy austriackiej Galicji, przed pierwszą wojną światową, czy później na Wołyniu, ginęli Polacy i Ukraińcy, ale nie w wewnętrznych walkach, tylko zostali zgładzeni przez własnych rodaków z OUN, czy UPA. Tutaj jest właśnie wyjaśnienie tych początków.

Gdzie to się wszystko zaczęło z chwilą wybuchu wojny? To jest właśnie kampania wrześniowa 1939 roku. Ona też jest słabo opisana. Już są bardzo liczne relacje, że gdy polskie wojsko się wycofywało z tych terenów, najczęściej do Rumuni albo na Węgry, było wtedy takie bezkrólewie, bo były takie przypadki chaosu. Doszło wtedy do wybuchu działań OUN przeciwko wojsku polskiemu, urzędnikom, osadnikom, a także zwykłym obywatelom. Mój świętej pamięci ojciec napisał w swoim pamiętniku w noc z 18 na 19 listopada 1939 roku, osada Kołodyń w powiecie Buczacz, w której mieszkało dwanaście, trzynaście rodzin polskich; wojsko polskie już się wycofało do Rumuni, bo wkroczyli Sowieci, ale jeszcze nie weszli na te tereny, że w tą noc bojówki UPA wymordowały całą osadę, czyli około czterdziestu paru osób.

Były to kobiety, dzieci i starcy. Takich dokumentów jest więcej, to jest powiat Podhajce, ziemia tarnopolska, miasto Stryj, gdzie, można powiedzieć, była próba zajęcia tego miasta, bo Polacy się wycofali, bo nie chcieli bronić tego miasta, ponieważ było nie do obrony. Niemcy nie weszli, a Ukraińcy próbowali zawłaszczyć to miasto. Rzeczywiście, mamy do czynienia w 1939 roku z bardzo licznymi, acz nie do końca udokumentowanymi akcjami przeciwko Polakom i to nie jest mordowanie wybranych oficerów, czy urzędników, to już jest mordowanie całych rodzin, grup itd.

Druga taka faza, to był czerwiec i lipiec 1941 roku. Nie wiem, jak było na Wołyniu, bo tutaj państwo się ode mnie lepiej orientujecie, ale w Małopolsce wschodniej znowu była identyczna sytuacja. Sowietów się wycofali albo byli w trakcie potwornego chaosu, jeszcze nie weszli Niemcy, a OUN zaczął mordować też w okolicach, gdzie urodził się mój ojciec, to jest wieś Czechów. Bojówka banderowska uderzyła na rodziny, większa część tej wsi była ukraińska i zaczęła wyżywać swoich sąsiadów i co ciekawe, również rodziny polsko-ukraińskie, czyli tylko za to, że ktoś był ożeniony. Później szli taką kolumną na kolejną wieś Słobódka Dolna i tą wieś uratował szczęśliwy zbieg okoliczności, że wycofywał się pociąg pancerny sowiecki, który na wszelki wypadek, nie wiedząc co się dzieje, to ostrzelał, bo to jest taka metoda rosyjska, że jak nie wiedzą co robić, to strzelają na oślep. Spowodowało to, że ta kolumna się cofnęła. Takich przypadków moglibyśmy pokazać bardzo dużo, pokazujących, że taka druga odsłona tego ludobójstwa to był rok 1941. Jak wiemy, Hitler nie utworzył samostijnej Ukrainy, on potrzebował mięsa armatniego, ale potrzebował też policji. Policja kolaborancka, stworzona wtedy z działaczy OUN, powstała i dała się ogromnie we znaki ludności polskiej. Ta policja wzięła czynny udział w Holokauście Żydów.

Myślę, że takim bezpośrednim wstępem do apogeum tego ludobójstwa, czyli od 1943 do 1945 roku, to był jednak rok 1942, kiedy ofiarami nie byli Polacy, a jeżeli już, to były sporadyczne przypadki. Natomiast w mordowaniu, wyżynianiu gett żydowskich na Wołyniu, w Małopolsce wschodniej, a nawet w głębi Ukrainy, ta policja była już zaprawiona, zaprawiona w mordowaniu ludzi bezbronnych. W tej chwili przygotowuję się do druku wspomnienia żyjącej pani, która mieszka w Paryżu i ma osiemdziesiąt siedem lat, ale świetnie pamięta swoje rodzinne strony, Buczacz. Ona opisała to bardzo dokładnie, miała wtedy dziesięć, dwanaście lat. Oczywiście kierowali tym Niemcy, ale zdecydowana większość, która strzelała do Żydów, to byli Ukraińcy, właśnie OUN-owcy. Tam są straszliwe opisy, jak oni ich wyżyli. Choć dużo czytałem i słyszałem, to nawet ja jestem przejęty tymi opisaniami. Działy się tam straszne rzeczy, strzelali do nich partiami, żywych i ruszających się jeszcze zasypywali i rzucali na nich następne partie rozstrzelanych. Niemcy stali i najwyżej strzelali z karabinów maszynowych. Całą tą krwawą robotę wykonali Ukraińcy. Później pijani szli przez miasto i odgrażali się Polakom. Trzeba zrozumieć, że ci ludzie nasiąknęli krwią i dlatego mordowanie przychodziło im z łatwością. Na przełomie 1942-1943 policja ukraińska uciekła do lasu, czyli generalnie uciekła do tworzącej się Ukraińskiej Powstańczej Armii, a więc nie byli to ludzie, którzy świeżo się zaciągnęli. Oni już przeszli przez te wszystkie mordy, mordowali przecież bezpośrednio. Kto zamorduje dziesięć osób, to później łatwo mu zamordować sto osób, a potem tysiąc. Wtedy oczywiście mordowano z polecenia Niemców.

W 1943 roku to jest oczywiście Wołyń. To już państwo tu opisali. Uważam, że państwo polskie miało wyjątkowego pecha, dlatego że w 1943 roku straciło dwóch wybitnych dowódców. Proszę państwa, należy pamiętać, że w Warszawie 30 lipca 1943 roku został, w wyniku zdrady,

złapany najlepszy dowódca Armii Krajowej, Stefan Grot-Rowecki, a cztery dni później zginął generał Sikorski. Oczywiście to nie usprawiedliwia tej nieraz bezradności rządu londyńskiego, Natomiast straciliśmy w krótkim okresie dwie wybitne postacie, a nie wszyscy, będący następcami tych ludzi, mieli jakieś orientacje. 27 Dywizja Wołyńska AK, którą też dzisiaj czciliśmy, bo to też oczywiście są bohaterowie, powstała w styczniu 1944 roku, kiedy na Wołyn już wkroczyli już Sowieci, a jednocześnie Wołyn został już wymordowany.

Wyjaśnię jeszcze tą sprawę sprawiedliwych Ukraińców. To jest nowe określenie, moim zdaniem pojawiło się samorzutnie. Ono bardzo drażni banderowców, bo jak byli Ukraińcy sprawiedliwi, to znaczy, że byli też Ukraińcy niesprawiedliwi, dopowiadają od razu. Rzeczywiście, ja bym podzielił tych Ukraińców, którzy zginęli z rąk UPA na kilka grup. Pierwsza grupa to są rodziny mieszane, rzeczywiście, te wstrząsające opisy i relacje, gdzie żądano zabicia członka własnej rodziny, żony, córki. Proszę pamiętać że w tych małżeństwach mieszanych panowała stara zasada sięgająca kilka wieków wstecz, że córki były chrzczone w obrządku wiary matki, a synowie w obrządku ojca. Mój prapradziadek był księdzem greko-katolickim, a ożenił się z Polką, wtedy to nie przeszkadzało. Synowie jego byli Ukraińcami, a córki Polkami, w tym moja prababcia. To były straszne rzeczy. Tego nie było w Holokauście Żydów, tam mordowano wszystkich, bo tam nie było rozróżnienia rodzin mieszanych i ci co przeszli na chrześcijaństwo też byli mordowani. Pierwsza grupa moim zdaniem jest nieprzebadana, nieopisana, niepoliczona, ale znana z różnych relacji Ukraińców z rodzin mieszanych, gdzie mordowano całą rodzinę albo żądano od ukraińskich członków rodziny, żeby zabito polskich członków. Nazywano to oczyszczeniem krwi. Druga grupa to ci, co rzeczywiście ratowali Polaków, którzy zostali za to zamordowani dla przykładu. Mordowano ich nieraz w barbarzyński sposób, czyli w wyniku tortur, mordowano też i jego rodzinę. Tak jak Polacy byli mordowani całymi rodzinami za ukrywanie Żydów. Trzecia grupa to byli ci, którzy w różny sposób podpadli władzy banderskiej, a zwłaszcza służbom bezpieczeństwa. To był terror, jak wspomniała pani Ewa, tym się różnili od bojówek komunistycznych, że to był terror straszny. Kto nie dał broni, kto nie dał syna do UPA, nie dał krowy lub czegoś innego, był mordowany. Nie wiem, czy jesteśmy w stanie to opisać, bo to już sięga w głąb społeczeństwa ukraińskiego. Musieliby to opisać sami Ukraińcy czyli wskazać czyj dziadek, wujek został zamordowany, za to że nie wstąpił do UPA albo nie chciał mordować Polaków. Są to liczne opisy. Czwarta grupa to są Ukraińcy, którzy w różny sposób współpracowali, ale nie na zasadzie, że byli tajnymi agentami tylko pomagali polskim służbom Armii Krajowej, czy Batalionom Chłopskim albo polskiej administracji po wojnie, czyli po 1945 roku. Dzisiaj przebadanie tych wszystkich grup jest nierealne.

Michał Wollejko: Nie znamy nawet przybliżonych szacunków. Ilu Ukraińców padło z rąk OUN i UPA?

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: Moim zdaniem jest to bardzo trudne, ja się nie porywam na odpowiedź, pani Ewa powie o Wołyniu.

Ewa Siemaszko: Według zestawienia, które sporządziłam kilka miesięcy temu, zginęło około czterystu Ukraińców na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej tylko za pomoc Polakom. Już po dokonanych podliczeniach natrafiałam na kolejne fakty mordów na Ukraińcach, którzy okazali Polakom solidarność, a więc na pewno nie jest to liczba zamknięta. Natomiast, moim zdaniem, polscy badacze nie są w stanie ustalić, ilu Ukraińców zginęło z rąk ukraińskich za niesubordynację wobec OUN i UPA i ich krytykę. Wystarczyło powiedzieć o banderowcach, czyli

członkach OUN Stepana Bandery lub UPA: „Ja takich durniów słuchać nie będę” – cytata z dokumentu OUN-owskiego – by stracić życie. My nie jesteśmy w stanie tego policzyć, Ukraińcy powinni to zrobić sami, ale oni tego nie zrobią, bo podważyliby swoją politykę historyczną.

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: Ja tylko skończę, jeżeli chodzi o Ukraińców, którzy zginęli z rąk polskich, to tutaj są dwie grupy według mnie. Pierwsza grupa to są ci, co atakowali, ja to znam z opisów. Ciała ich zabrali Ukraińcy albo pochowali ich Polacy, a później mówiono, że to są ofiary polskiej partyzantki, co było nieprawdą. To samoobrona, broniąc, ratując się, zabiła napastników. Do drugiej grupy należą akcje odwetowe, które moim zdaniem są mitem, bo im dłużej czytam te relacje, to tym bardziej jestem przekonany, że to jest mit stworzony na cele takiej poprawności politycznej, na zasadzie: wy zamordowaliście mi żonę i córkę, to ja się będę mścił. To były bardzo często akcje przeciwko wsiom, gdzie były bazy, więc to były kontrataki. Tak byśmy to nazwali językiem wojskowym, kontrataki wyprzedzające. Na przykład była taka walka o zboże we wsi Przebraże, wieś liczyła dwa, trzy tysiące mieszkańców przed wojną, zgromadziło się tu 25 tysięcy uchodźców polskich. Wyżywienie tylu ludzi było bardzo trudne do tego stopnia, że żniwiarze wysłani byli pod osłoną karabinów. Te walki nie były atakami na Ukraińców, tylko walczono o własną krowę i o to, żeby zebrać własne zboże. To są rzeczy bardzo trudne do oceny. Moim zdaniem istnieje pewien mit tych akcji odwetowych. Ja znam jedną relację ze wsi mojego ojca, ten pan nie żyje, ale przed śmiercią to spisał. Pochodził z rodziny osiemnastoosobowej, z której ocalała jego siostra i on, czyli szesnastu członków tej rodziny zostało wymordowanych. On się zgłosił na ochotnika do Istriebitielnych Batalionów i brał udział w tych akcjach przeciwko ukraińskim wsiom w duchu zemsty. On tego nie krył, oczywiście, jako dojrzały człowiek miał już inne podejście. Proszę zrozumieć, nie usprawiedliwiać, lecz tylko zrozumieć osiemnastoletniego chłopca, że jak widział co zrobili z jego rodziną, poszedł do sowieckich Istriebitielnych Batalionów, ja jego oczywiście nie usprawiedliwiam. On tam poszedł nie po to, żeby się bronić, ale po to, żeby się mścić, więc takie przypadki miały miejsce. Mam zawsze pretensje do Polskiej Agencji Prasowej, że zawsze zaniżają polskie liczby. Jak jest sto tysięcy, to podaje sześćdziesiąt tysięcy i od razu podwyższa się liczbę Ukraińców. Nie pisze się tylko z czyich rąk zginęli i z jakiego powodu, i jakiej sytuacji. Nawet przyjmując tę liczbę Ukraińców za prawdziwą, to w niej mieszczą się napastnicy, mieszczą się Ukraińcy zamordowani przez swoich rodaków Ukraińców i wiele innych przypadków. Dzisiaj, niestety, brak jest tych badań, które by jasno przedstawiały, policzyły te ofiary i stwierdziły dlaczego i w jakich okolicznościach ginęły.

Michał Wollejko: Dziękuję bardzo. Proszę państwa mamy pewne tło historyczne, żeby ta nasza dzisiejsza debata nie przerodziła się tylko i wyłącznie w debatę historyczną to chciałbym, abyśmy teraz przeszli do sytuacji teraźniejszej. Pan doktor Leon Popek, którego kunszt i staranność w poszukiwaniach, ekshumacjach naszych bohaterów na kresach południowo-wschodnich mogłem osobiście podziwiać, jeździł wielokrotnie na Ukrainę. Moje pytanie jest następujące, jeśli chodzi o poszukiwania, ekshumacje, a w reszcie upamiętnienia, to co udało się zrobić w tym temacie? Pytanie, co dalej? Pewnie większość z państwa wie, że jednostronnie władze ukraińskie wstrzymały wszelkie prace poszukiwawcze i chyba też upamiętniające, czyli budowę mogił. Bardzo proszę odpowiedzieć na to pytanie.

Dr Leon Popek: Ja jeszcze wrócę do tego, co ksiądz powiedział. Oczywiście, wiemy i nie ukrywamy, że w tych akcjach przeciwko oddziałom UPA, w odpieraniu ataków i w atakach na

bazy UPA ginęła także ludność cywilna. Jakiś procent tej ludności, w tym kobiety i dzieci. Jest to przykre, ale też w jakiś realiach trzeba to widzieć. Atak nocą, gdzie po wymianie ognia banderowcy uciekają do lasu, a tam w domach ludność zostaje i są ofiarami. Toteż o tym pamiętamy. Natomiast w wyniku tej ludobójczej akcji, tam na Wołyniu, zginęło co najmniej sześćdziesiąt tysięcy Polaków w około dwóch tysiącach miejscowości. Półtora tysiąca miejscowości zniknęło z współczesnej mapy Wołynia i tych miejscowości nie ma. Na dzień dzisiejszy mamy około pięciu tysięcy dołów śmierci, gdzie leżą bez pochówku Polacy. To są dane szacunkowe i proszę mi wybaczyć, jeżeli pomylę się o tysiąc, bo nie wiemy, ile ich jest naprawdę. Nazywam je celowo dołami śmierci i nie mówię o nich mogiły, bo mogiły to są wykopane na cmentarzu, gdzie jest obrzęd pogrzebowy, jest rodzina, modlitwa, krzyż na mogile i to są mogiły. Doły śmierci to są tam, gdzie wrzucane są ciała, do studni, do palących domów, zakopywane, a nieraz w ogóle nie pochowane. Miejscowości, w których są takie doły śmierci, mamy około dwóch tysięcy. Wiemy, że są miejscowości, gdzie będzie kilkadziesiąt dołów śmierci albo miejsc, gdzie są szczątki naszych rodaków. Małopolska wschodnia: województwa lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie, ale również część Polesia, to są tereny, w których będzie kolejnych dwa tysiące miejscowości. Będą kolejne doły śmierci. Na dzień dzisiejszy nie wiemy, ile ich jest. Szacujemy na kolejne pięć tysięcy. Proszę państwa, w ciągu ostatnich trzydziestu lat były możliwości dokonania zaledwie czterech ekshumacji. W wyniku tych ekshumacji, ekshumowano i po katolicku pochowano na cmentarzu z udziałem władz, duchowieństwa i rodzin niespełna osiemset osób. Trzech ekshumacji dokonano w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej w 1992, 2011 i 2015 roku, a w Gaju w 2013 roku. Jeżeli sobie uświadomimy, że te osiemset osób jest z tej liczby sześćdziesięciu tysięcy, tylko dla Wołynia, to jaki mały jest to procent. Większość, ponad dziewięćdziesiąt procent czeka na ekshumację, w ponad dziewięćdziesięciu procentach miejsc nie ma krzyża na mogile i nie wiemy nawet, gdzie są te mogiły. Nie było żadnych ekshumacji w Małopolsce wschodniej. Tak wygląda sytuacja na dzień dzisiejszy.

Od kilku lat mamy zakaz ekshumacji, poszukiwań, upamiętnień i pochówku. Proszę państwa, nie zdajemy sobie sprawy z tego, co to znaczy zakaz pochówku, a to znaczy, że, jak w 2017 roku, zostały odkryte szczątki legionistów polskich w miejscowości Jabłonki koło Kostiuchnówki, legionistów, którzy zginęli z rąk rosyjskich w 1916 roku w walkach z Rosjanami, to nie można ich było pochować, trzeba było ich z powrotem zakopać. To miejscowi postawili na drugi dzień ogrodzenie, żeby krowy nie paskudziły na ich mogiły. Znaczący to również, że jak półtora roku temu odnaleziono zbiorową mogiłę ofiar NKWD w Łucku i jest wielce prawdopodobne, i jesteśmy przekonani, że byli w niej Polacy, to po pierwsze, nie zostaliśmy o tym poinformowani, jako państwo polskie, ani zaproszeni do ekshumacji, a szczątki zostały pochowane jako szczątki nacjonalistów ukraińskich. Trzy tygodnie temu dowiedzieliśmy się z mediów, że w Dubnie odkryto kolejne dwie mogiły zbiorowe ofiar NKWD z więzienia i w tym przypadku nie poinformowano Polski, nie zaproszono na badania i już ogłoszono, że to są szczątki Ukraińców.

To jest zawłaszczanie szczątków, to jest łamanie umowy polsko-ukraińskiej z 1994 roku. Nie możemy pochować swoich obywateli. Żaden inny kraj na świecie nie stawia nam takich problemów. Nie znam takiego przypadku, żebyśmy mieli takie problemy, żebyśmy nie mogli pochować swoich obywateli po siedemdziesięciu sześciu latach, czy po stu dwu latach. Proszę państwa, to jest antyludzkie, bo jak to nazwać? Nasz przyjaciel i sąsiad zabrania nam pochować naszych żołnierzy legionistów. Minęły sto dwa lata i nie możemy ich pochować. Proszę państwa, to jest olbrzymi problem. Ja myślę, że jeżeli ten problem nie będzie rozwiązany, będzie on rzutował na obecne i przyszłe relacje polsko-ukraińskie.

To co powiedział pan Kurtyka, jaka jest recepta? Jeżeli nie załatwimy tego tematu w najbliższym czasie, to doszliśmy do ściany. Czy tak daleko odeszliśmy i jesteśmy zbarbaryzowani, że tego podstawowego tematu, jakim jest pochówek najbliższych, nie jesteśmy w stanie rozwiązać? Okazuje się, że na dzień dzisiejszy nie jesteśmy. Od kilku lat nie ma możliwości pochowania. Tutaj już nawet nie chodzi o poszukiwania, czy ekshumację, ale chodzi o pochowanie naszych obywateli. Obrzędy pogrzebowe, opłakiwanie, są w naszych genach. Barbarzyńcy pięćset lat przed Chrystusem zawierali przymierza – Sofokles i Antygona się kłania – żeby jedni i drudzy mogli pochować swoich, a my jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku!

Michał Wollejko: Dziękuję bardzo, przyznam się, że jestem poruszony tym, co usłyszałem z ust doktora Popka. Ja mam jeszcze jedno pytanie. Państwo jeżdżą, czy też jeździli i spotykali wielu Ukraińców, wiemy, jakie są narracje historyczne na Ukrainie, dotyczące tego, co się stało w latach 1942-1946. Interesuje mnie jedna rzecz, czy jest w ogóle percepcja wiedzy o Wołyniu, Małopolsce wschodniej, o ludobójstwie, czy ona w ogóle istnieje, czy ona jest powszechna, czy jej w ogóle nie ma we współczesnym społeczeństwie ukraińskim? To jest być może pytanie, które wspólnie z państwem przybliży nas do tego zasadniczego pytania. Czy istnieją recepty na poprawę stosunków polsko-ukraińskich, czy w ogóle ich w tej chwili nie ma i wszystko wokół czego się poruszamy, to pewna fasada polityczna na szczeblu najwyższych władz? Czy w ogóle świadomość tego co się wydarzyło na Wołyniu, w Małopolsce wschodniej, na Lubelszczyźnie, funkcjonuje w świadomości młodych, współczesnych Ukraińców?

Ewa Siemaszko: Nawiążę do prośby pana Kurtyki o podawanie recepty, jak rozwiązać to, co nas boli? Zdaje mi się, że nie powinnam przyjąć zaproszenia do debaty, bo nie potrafię podać takiej recepty. Nie widzę obecnie perspektyw na przemianę oceny działalności OUN i UPA na Ukrainie i nie widzę sposobu na rozwiązanie tego problemu. Świadomość społeczeństwa ukraińskiego jest zróżnicowana. Na terenach, gdzie dokonana została zbrodnia ludobójstwa, a więc dawnych kresach II Rzeczypospolitej, określanych teraz jako zachodnia Ukraina, istnieje świadomość mordów Polaków w środowiskach nacjonalistycznych, głównie żyjących jeszcze członków OUN-UPA i ich rodzin – byli dumni, że pozbyli się Lachów – a także w wąskich kręgach, które nie uległy fascynacji ideologią nacjonalistyczną, między innymi potomków zamordowanych przez banderowców Ukraińców. Jednak wiedza o ludobójczej depolonizacji przez OUN-UPA nie jest powszechna, zwłaszcza w części Ukrainy wchodzącej w skład ZSRS od 1920 roku. Żyjący tam podczas wojny Ukraińcy nie mordowali Polaków, nie byli świadkami tych zbrodni, na sowieckiej Ukrainie nacjonalizm nie rozwinął się, nie było komu przekazywać satysfakcji z pozbycia się Polaków. Pokolenia ukształtowane po rozpadzie Związku Radzieckiego wszędzie pozostawały pod wpływem prowadzonej od początku lat dziewięćdziesiątych wieku dwudziestego gloryfikacji OUN-UPA, a więc zakłamaney narracji historycznej, której nasilenie nastąpiło od czasu prezydentury Wiktora Juszczenki, co jest kontynuowane i rozbudowywane. Nastąpiło odrodzenie nacjonalizmu ukraińskiego, w którym obecny jest antypolski nurt, wobec czego państwo polskie nie zajmowało właściwego stanowiska. Bierność państwa polskiego była uzasadniana obawą przed powrotem Ukrainy do Rosji, co oznacza niedocenienie, jak wielką wartość dla ukraińskich elit i większości społeczeństwa ma odrębność państwowa, samostanowienie, niepodległość. Do pomijania tematu Wołynia namawiali ukraińscy lobbyści, czego sama doświadczyłam, gdy wracałam w 1993 roku z naukowej sesji pociągami w towarzystwie ukraińskich naukowców, usiłowano mnie przekonać, by nie publikować o zbrodniach na Wołyniu, bo popsują dobrze rozwijające się stosunki polsko-ukraińskie. Ogromny wysiłek

ukraińskich nacjonalistycznych kręgów, które oddziaływały również na polskie elity, doprowadził do uformowania i utrwalenia narracji historycznej, w której pozytywnym narodowym wzorcem ma być OUN i UPA. Wycofanie się więc Ukrainy z tego nieprawdziwego i niemoralnego opisu przeszłości wydaje mi się obecnie niemożliwe.

Michał Wollejko: Bardzo proszę o odpowiedzi na moje pytanie na temat percepcji wiedzy na Ukrainie pana doktora Popka i również księdza.

Dr Leon Poppek: Ja powiem tak, że jest we mnie odrobinę nadziei. Może jeszcze nie teraz, może za rok, może po wyborach, a może za pięć lat, ale ja sobie nie wyobrażam, żeby dalej trwała ta sytuacja. Proszę państwa, przecież my jesteśmy uważani za wielkiego przyjaciela Ukrainy, mamy dwa miliony Ukraińców w Polsce, relacje kwitną, pomagamy Ukraińcom jak możemy, a nawet więcej niż możemy. Nasze wymagania w stosunku do Ukrainy są naprawdę niewielkie. Chcemy tylko godnie upamiętnić naszych rodaków, którzy zginęli siedemdziesiąt sześć, czy sto dwa lata temu. Przyjdzie taki moment, ja w to wierzę, być może, że ja już tego nie dożyję, może dożyją tego nasze dzieci albo wnuki. My jesteśmy winni to naszym rodakom i musimy to zrobić. Ukraińcy też mają na terenie Polski swoje mogiły, swoje doły śmierci. Oczywiście są to inne proporcje, oni mają około trzystu miejscowości, gdzie leży około kilku tysięcy ich obywateli, a my mamy sto trzydzieści tysięcy w czterech tysiącach miejscowości, w których leżą nasi obywatele, mamy także żołnierzy z września 1939 roku, koło Lwowa mamy trzydzieści cztery mogiły zbiorowe, gdzie leży około tysiąca naszych żołnierzy, którzy zginęli właśnie we wrześniu w 1939 roku w walce z Niemcami i też nie możemy ich pochować. Wierzę, że nadejdzie ten moment i państwo polskie stanie na wysokości zadania, i będzie mogło zrealizować testament, bo jesteśmy to winni naszym obywatelom. To jest dla mnie całkowicie niezrozumiałe, że minęło trzydzieści lat i tak niewiele udało się zrobić. Tak jak powiedziałem, jestem tutaj optymistą, co prawda umiarkowanym, ale inaczej sobie nie wyobrażam przyszłych relacji polsko-ukraińskich.

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: Ja nie mam zbyt wielkiej nadziei. Proszę państwa, to co ja robię, to co my robimy, to jest działalność społeczna, nie lubię tego określenia, bo ja uważam, że jest to potrzeba serca. Muszę na to wziąć urlop, robić to w wolnym czasie. Jednocześnie są instytucje państwowe, niezliczona ilość uniwersytetów, organizacje opłacanych przez państwo polskie, są organizacje ukraińskie opłacane przez Polskę i właśnie oni tego nie robią, nie robią również politycy, a muszą społecznicy. Większość publikacji, zbiorów relacji jest wynikiem pracy społeczników.

Dzisiaj miałem tego przykład, otóż dzisiaj dowiedziałem się od pana Szczepana Siekierki, że zebrali dwadzieścia pięć tysięcy relacji, ale pan Siekierka jest z wykształcenia inżynierem i on to robi z potrzeby serca. To nie są rzeczy opłacane przez państwo polskie. To, co do tej pory zebrano i cokolwiek robiono, to jest owoc pracy społeczników, ludzi, którzy robią to z potrzeby serca. Mam żal jako kapelan Solidarności, jako człowiek, który, nazwijmy to kolokwialnie, angażował się w to, żeby komuna się z Polski wyniosła, o to, że stracono trzydzieści lat, bo mogły to wszystko zrobić instytucje do tego powołane, a one nic w tym temacie nie zrobiły. Uniwersytety mogłyby zlecać prace naukowe, doktorskie czy magisterskie, można by było utworzyć kilka fundacji państwowych, które by przeorały przez trzydzieści lat tą sprawę, zbierając relacje, opisując wydarzenia, prowadzić prawdziwy dialog z Ukrainą, a nie na kolanach, mogłyby zająć się tym instytucje, czy politycy.

Ja dzisiaj w katedrze polowej i na skwerze powiedziałem kilka gorzkich słów, po czym zostałem zaatakowany przez panią poseł, nie będę mówić którą, że burzę relacje polsko-ukraińskie. To jest dokładnie to, co pani Ewa usłyszała w pociągu. Wychodzi na to, że powiedzenie prawdy burzy te relacje, a czy kłamstwo nie burzy ich, czy chowanie głowy w piasek to nie jest burzenie tych relacji? Na tym polega fałsz tego pseudopojednania, że ono nie jest oparte na prawdzie, ale na kłamstwie. Kiedy bardzo boleśnie odczułem, że w tych relacjach coś jest nie tak? To było dokładnie jedenaście lat temu na Skwerze Wołyńskim 11 lipca 2008 roku. Zobaczyłem tam zachowanie pana prezydenta, świętej pamięci Lecha Kaczyńskiego, który pod wpływem nacisków, nazwijmy to obozu giedroyciowców wycofał się rakiem z patronatu nad uroczystościami i w ostatniej chwili odmówił udziału w nich, i pojechał gdzie indziej. Przyjął patronat nad Festiwałem Kultury Ukraińskiej w Sopocie. Byłem wtedy świadkiem, jak jeden, już dzisiaj nieżyjący, kresowian był bardzo dotknięty wycofaniem się naszego prezydenta, bo przecież on na niego głosował i który szedł pod sztandarem prawdy historycznej, który zbudował muzeum Powstania Warszawskiego i za co mu chwała, i że ten prezydent zdezerterował. Potem było jeszcze gorzej, byłem rok później pod Katolickim Uniwersytetem Lubelskim i wtedy pan Lech Kaczyński razem z prezydentem Wiktorem Juszczenką, gloryfikatorem zbrodniarzy i ludobójców, który już trzy lata wcześniej ogłosił Romana Szuchewycza, kata Wołynia, bohaterem narodowym Ukrainy, przyjmowali jako mężowie stanu doktorat honoris causa na placu, gdzie było dokładnie trzydzieści siedem osób protestujących, ale to w ogóle nie przebiło się wtedy. Lech Kaczyński powiedział do nas, stojących na końcu, abyśmy tam nie jętrzyli. Dla niego to było jętrzenie. Dzisiaj już nie ma Lecha Kaczyńskiego, ale niestety pewna koncepcja, że trzeba Ukrainie ustępować i traktować ją jako niedojrzały naród, który można kupić batonikiem, dać mu jeden miliard, potem drugi, potem kolejny i on za to się zmieni, obowiązuje nadal. Dzisiaj pod krzyżem wołyńskim na Skwerze Wołyńskim naszego prezydenta nie było, bo generalnie odmawia udziału. Nigdy do tej pory pan Andrzej Duda nie spotkał się z rodzinami ofiar ludobójstwa. Nie chce ze swoimi obywatelami, świadkami ludobójstwa, wspólnie złożyć wieńca, tylko sam, z boczku, jakby chyłkiem, zresztą po raz kolejny. Do katedry też nie przyszedł. Tak wygląda dziedzictwo Lecha Kaczyńskiego, mówię to z wielkim przekąsem, ale tak to wygląda.

Równocześnie byłem w niedzielę na Jasnej Górze, gdzie pan prezydent przysłał list, że ludobójstwo było w Galicji wschodniej. Proszę państwa, to są rzeczy niepojęte. Gdyby prezydent Izraela przysłał list, że nie ma Izraela tylko jest Palestyna, to co by się działo? Na drugi dzień przestałby być prezydentem. Nie ma takiej możliwości, żeby być dobrym dla Ukraińców i dla swojego elektoratu. To jest schizofrenia. Tu się popełnia błędy i tutaj się popełnia błędy. Dzisiaj też widziałem panią wicemarszałek, Małgorzatę Gosiewską, która zrobiła już tyle zła w tych relacjach. Wybrano ją marszałkiem, bo być może nie mieli kogo, ale ta osoba reprezentuje nas na Skwerze Wołyńskim i wyzywa rodziny od ruskich agentów, i pan czytał list dokładnie ten sam, co w zeszłym roku i dwa lata temu, różnił się tylko datą, zawiera te same słowa: „my obiecujemy, że pochowamy rodziny i prawda jest najważniejsza”, ciągle to samo. To jest mowa-trawa, z której nic kompletnie nie wypływa.

Ja nie mówię, że poprzednicy byli lepsi, poprzednicy byli tak samo źli. Jedni zastąpili drugich i nic w tej sprawie się nie zmieniło, poza wyjątkiem i jest to efekt działań oddolnych, rodzin, to jest wymuszenie i podkreślam słowo, wymuszenie na PiS-e przyjęcia uchwały. Nie ustawy tylko uchwały. Najpierw zrobił to senat, bo tam jest kilku sprawiedliwych senatorów, którzy to przeforsowali, opowiadali mi zresztą jak byli kontrowani przez marszałka Stanisława Karcewskiego. Poszło to do sejmu. Tam marszałek Marek Kuchciński to zablokował i pojechał

z tym do Truskawca, gdzie został zamordowany Tadeusz Hołowko i spotkał się z synem Romana Szuchewycza, Jurijem, który go przekonywał, żeby jednak uchwała nie była przyjęta. Udało się ją w końcu przepchać w sejmie. Weszła nowelizacja ustawy o IPN i co się z tą ustawą stało? Każdy obcy ambasador jak chciał wymusił na polskim parlamencie ustępstwa. Ustępstwa wymusiła ambasada Izraela, to państwo znacie z ostatnich miesięcy, wymusiły też Stany Zjednoczone i wymusił również ambasador Ukrainy i to niestety rękami polskiego prezydenta, Andrzeja Dudy, który złożył z własnej inicjatywy wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, żeby wykreślić z tej ustawy dwa najważniejsze pojęcia, czyli nacjonaliści ukraińscy i Małopolska wschodnia. Jeżeli chodzi o nacjonalistów, to jest to wykreślenie sprawców. Kto w takim razie dokonał tego ludobójstwa, Chińczycy na spadochronach, agenci rusczy, kosmici? Tego nie robi ukraiński prezydent, to robi Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Wykreślenie Małopolski wschodniej to jest zaprzeczenie państwowości polskiej. Państwo legalnie powstało w 1919 roku. Dzisiaj jest nawet rocznica zniesienia unii celnej między zaborem pruskim a Kongresówką i to był 1919 rok. W 1919 roku zabory generalnie padły. No to jak można mówić, że kiedy mordowano Polaków w 1944 roku, to była Galicja Wschodnia? To tak, jak byśmy powiedzieli, że Powstanie Warszawskie wybuchło w mieście Warschau w Generalnej Guberni, które nie było nawet wtedy miastem stołecznym. Pozwoliłem sobie powiedzieć, że idąc tą logiką pana prezydenta Andrzeja Dudy, to ja i pan prezydent urodziliśmy się w mieście Stadt Krakau w Galicji Zachodniej. Jeżeli przyjmujemy nomenklaturę zaborców za nadal obowiązującą.

Dlaczego ja nie mam nadziei? Bo ja nie widzę po politykach, żeby oni chcieli tą sprawę rozwiązać. Pozwolę sobie na pewne podsumowanie. Z jednej strony chcą naszych głosów i to wszyscy, proszą nas, abyśmy na nich głosowali, przekonują nas obietnicami, ale z drugiej strony nie chcą tego zrobić, bo jest ta koncepcja, że Ukraina to jest bufor, bo są Stany Zjednoczone, bo jest Tel Awiw itd. Moim zdaniem ta polityka nie prowadzi do niczego. To jest tak, jak w Ewangelii, obys był zimny albo gorący, albo idziesz w prawo, albo w lewo. Co zaś z tego wychodzi? Ano nic, jedynie śmieszność. Czy Ukraińcy to widzą? oczywiście, że widzą. Oni doskonale zdają sobie sprawę, że w Polsce nie ma takiej chęci ze strony polityków do dochodzenia prawdy i wymagań względem niej. Pieniądze mają, na terenie Polski jest ich dwa miliony. Ja nie jestem przeciwny, żeby pracowali, ale są to korzyści jednostronne. My nie dostajemy nic w zamian. Nie możemy się doprosić o godne pochowanie naszych rodaków. Im nie zależy, bo i tak dostają od nas wszelką pomoc.

Powiem teraz, jaką ja mam nadzieję i proszę mnie nie podejrzewać o złośliwość. Tak sobie pomyślałem, kto dzisiaj rządzi Ukrainą? Otóż mniejszość żydowska, bo obecny prezydent Wołodymyr Zełenski jest Żydem ukraińskim. Ja to mówię, ale to nie ma żadnego elementu antysemitycznego, ja się przyznaje do pochodzenia ormiańskiego, więc po prostu stwierdzam fakty. Stojący za jego plecami „właściwy prezydent Ukrainy”, Ihor Kołomojski, obywatel aż czterech państw: Szwajcarii, Cypru, Izraela i Ukrainy, który jest szefem wspólnot żydowskich, jest tym, który *de facto* wymyślił Zełenskiego i nim kieruje. Premier Ukrainy to Wołodymyr Hrojsman, wprawdzie tylko do wyborów, ale może zostanie, tak więc trzeci Żyd. W czym jest nadzieja, że jednak banderowcy mordowali też Żydów. Dlatego Ukraińcy nie będą się dalej przejmowali Polakami. Oni nie szanują tej słabości i bezradności państwa polskiego w tej sprawie. To samo myślę o opinii publicznej. Powiedziałem dzisiaj, że następnym krokiem tych rodzin to będzie zwrócenie się do Unii Europejskiej o pomoc w ekshumacjach. Moją nadzieją jest przynajmniej nagłośnienie tej sprawy, że banderowcy też mordowali Żydów. To jest takie chwyce nie się czegoś, żeby obudzić sumienia, bo Polakami nikt się nie przejmuje. Sami Polacy też się

nie przejmują pomordowanymi. Jednak udział banderowców, SS-Galizien, policji ukraińskiej, te pogromy Żydów i te straszliwe ludobójstwa w Bykowni i w wielu innych miejscach spowoduje, że obudzi się opinia publiczna, że jednak też Żydzi byli mordowani, to trzeba będzie coś z tym zrobić. Przepraszam, że tak to brzydko ujmę, że szczęście w nieszczęściu, że banderowcy nie ograniczyli się tylko do Polaków. Gdyby się ograniczyli tylko do Polaków, to pies z kulawą nogą by się nie zainteresował. Dokonanie mordu też na Żydach spowoduje próbę reakcji.

Proszę państwa, ile było listów wysłanych, ile prób rozmowy z urzędami. Może ja teraz humorystycznie przytoczę pewną sytuację. W 2009 roku byłem u pewnej osoby na rozmowie, nie podam nazwiska, ponieważ ta osoba zginęła w tragedii w Smoleńsku z Januszem Kurtyką i wraz z innymi zacytowanymi osobami, więc ja byłem u tej osoby na rozmowie, był ministrem u pana prezydenta. Porozmawialiśmy sobie bardzo szczerze, jak Polak z Polakiem i on mówił tak: proszę państwa ja to wszystko wiem, ja to wszystko rozumiem, ja to wszystko znam. Tylko wiecie co, niech się odbędą te Euro 2012, a my wtedy prawdę powiemy, powiemy wszystko po tym Euro, tylko niech ono się już odbędzie. Ta osoba nie żyje, Euro się odbyło i co? Gdzie ta prawda jest? Ja świadomie nie mówię nazwiska tej osoby, bo to nie chodzi o to, że on był zły. On żył takim mitem, że zawsze coś trzeba było z Ukrainą załatwić, a to Euro. Nie było jeszcze wtedy problemu wojny z Rosją i ta prawda jest zawsze na drugim miejscu. Natomiast jakiegokolwiek relacje polsko-niemieckie, niemiecko-francuskie, żydowsko-niemieckie, zawsze opierają się na prawdzie i stawiają ją na pierwszym miejscu. Jeżeli nie ma tej prawdy na pierwszym miejscu, to reszta jest trochę obietnicami przedwyborczymi, a niczym więcej. Dziękuję.

Michał Wollejko: To będzie ostatnie zdanie z mojej strony. Chciałbym przywołać taką teorię Ryszarda Szawłowskiego, z którą się zresztą zgadzam, o równoleżności trzech ludobójstw na narodzie polskim, czyli ludobójstwa niemieckiego, sowieckiego i ukraińskiego. Ludobójstwo ukraińskie zostało nazwane najokrutniejszym, najbardziej brutalnym i ono w istocie takie było. Jak prześledzimy te niewyobrażalne, absolutnie makabryczne opisy i relacje ze zbrodni popełnionych na cywilach przez ukraińskich szowinistów. Proszę państwa, mamy taką sytuację w dwudziestym pierwszym wieku. Niemcy może mają wiele pretensji, może i słusznych, jeżeli chodzi o bieżące sprawy polityczne. Niemcy wstydzą się przynajmniej oficjalnie swoich zbrodni i ich nie relatywizują. Rosjanie, którzy byli pierwszymi ofiarami bolszewizmu, przejęli spuściznę po Sowietach. Winy swoje przyjęli w sposób umiarkowany, tylko częściowy. Właściwie ograniczyli się tylko to Zbrodni Katyńskiej i jeszcze kilku ludobójczych epizodów. Natomiast jeżeli chodzi o stronę ukraińską, to państwo słyszeli, nie mamy możliwości godnego pochowania swoich, mamy zawłaszczaną pamięć o naszych bohaterach przez to, że dokonuje się ekshumacji osób aresztowanych przez NKWD w 1940, czy w 1943 roku i chowa się ich jako ukraińskich nacjonalistów. Mamy relatywizację zbrodni, mamy wreszcie to, co powiedziała pani Ewa, już nawet nie pelzający, ale kroczący wielkimi, milowymi krokami kult banderyzmu, kult szowinistów OUN i UPA. Wydaje mi się i tutaj w pełni się zgadzam, co powiedział ksiądz Tadeusz, że jeżeli my nie doprowadzimy do sytuacji ekspiacji ze strony ukraińskiej, do prawdy, a przede wszystkim zacytujmy od grobów naszych bohaterów i godnego ich pochówku, to wydaje mi się, że wszystkie recepty nie będą skuteczne w relacjach polsko-ukraińskich, które, powiadam, jak każde relacje międzynarodowe i sąsiedzkie powinny być, a przynajmniej jest to pożądane, aby były dobre. Proszę państwa, to tyle z mojej strony, bardzo dziękuję czcigodnym państwu prelegentom.

Debata pt. „Relacje polsko-ukraińskie. Historia i narracje.
Panel I: Dzieci jednego miasta?
Wokół bitwy o Lwów 1918”
odbyła się 3 października 2019 roku
w Pałacu Belwederskim w Warszawie.

WOKÓŁ BITWY O LWÓW W 1918 ROKU

W dyskusji udział wzięli:

prof. Mykoła Łytwyn
(Centrum Studiów Stosunków Ukraińsko-Polskich
w Instytucie Ukrainoznawstwa im. Iwana Krypjakiewicza
w ramach Narodowej Akademii Nauk Ukrainy),
prof. Jan Pisuliński
(Uniwersytet Rzeszowski)
oraz dr Damian K. Markowski
(Instytut Pamięci Narodowej).

Rozmowę poprowadził
dr Paweł Libera
(Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie,
Instytut Pamięci Narodowej).

Dr Paweł Libera: Szanowni państwo, trudne zadanie przed nami, ponieważ omówienie takiej pracy w tak krótkim okresie czasu nie należy do zadań łatwych, tym bardziej, że książka dotyczy problemów bardzo trudnych, jeżeli chodzi o stosunki polsko-ukraińskie i współpracę tych narodów. Rok 1918 to jest oczywiście odzyskanie niepodległości, ale jak wiadomo, Polska nie odzyskała jej od razu, natychmiast. Nie stało się to cudownie 11 listopada 1918 roku. Był to pewien proces, bardzo długi proces, badacze mówią, że przynajmniej do roku 1921, do czasu, kiedy trwały walki o granice. Walki miały to do siebie, że przeciwstawiły odradzające się państwo polskie jego sąsiadom. Jesienią 1918 roku po miasto Lwów sięgnęły dwa narody, polski i ukraiński. Jaki był finał, oczywiście wiemy i nie jest to żadną tajemnicą, że badacze zajmowali się tą tematyką już prawie od stu lat. Jeżeli chcielibyśmy znaleźć pierwsze prace, to należy ich szukać w okresie międzywojennym. Sytuacja wyglądała tak, a przynajmniej wygląda tak do dzisiaj, że jeżeli sięgnęliśmy po publikacje polskich autorów, otrzymywaliśmy jedną narrację, bardzo nam bliską, drogą i cenną, natomiast jeżeli sięgaliśmy po prace historyków ukraińskich, to były w niej zupełnie inne treści. Każdy po zetknięciu się z tym mógł doznać dysonansu poznawczego, a była to sprawa o tyle istotna, że nie chodziło o sam Lwów.

Ze względu na to, że głównym organizatorem dzisiejszego spotkania jest Fundacja im. Prezesa Janusza Kurtyki, to ja chciałbym przypomnieć, bo być może nie jest to szerzej znane, a tylko znana jest ta historia w środowisku badaczy, że jednym z projektów, który pan prezes Kurtyka chciał zrealizować, była konferencja na temat umowy polsko-ukraińskiej z kwietnia 1920 roku. Ta konferencja nie doszła do skutku, ponieważ planowano ją trochę wcześniej, przed katastrofą w Smoleńsku. Mówię o tym dzisiaj ze względu na to, że walki o Lwów należy postrzegać w dwóch aspektach. Z jednej strony w tym, co się działo w 1918 roku, a z drugiej strony z punktu widzenia stosunków polsko-ukraińskich, bo jesień 1918 roku to są walki bardzo brutalne i jak pisze autor tej pracy, walki o Lwów bardzo krwawe, a niebawem miało dojść do podpisania umowy polsko-ukraińskiej, umowy warszawskiej, której celem jest nawiązanie bliskiej współpracy politycznej i wojskowej. Później w 1926 roku, kiedy do władzy wraca marszałek Piłsudski, ta współpraca polsko-ukraińska ponownie jest wznowiona. Powstaje wtedy i zaczyna działać bardzo prężnie tak zwany ruch prometejski, którego jednym z głównych, podstawowych fundamentów jest właśnie współpraca polsko-ukraińska.

Aby zrozumieć, dlaczego było to takie trudne już w okresie międzywojennym, trzeba sięgnąć do korzeni tego konfliktu. Korzenie są oczywiście o wiele głębsze niż 1918 rok. Jak słusznie pisze autor pracy o Lwowie, w roku 1918 doszło do niezwyklej kumulacji, doszło też do pierwszego przelewu krwi, doszło do wielkiej brutalizacji walk. Proszę państwa, co

w takiej sytuacji może zrobić historyk? Myślę, że temu będzie służyła ta debata i temu, jak pisać o tak trudnych problemach, nie mijając się z prawdą, zachowując głęboki szacunek i uznanie dla tego, co się działo wcześniej, nie wyzbywając się tego, co jest nam drogie, jak słyszeliśmy przed chwilą w trakcie koncertu o historii Lwowa. Historii Lwowa z historii Polski nie da się wymazać. Ona była i zawsze będzie. Trudno sobie wyobrazić historię Polski bez historii Lwowa, zajmuje tam bardzo istotne miejsce. Problemem jest także to, że podobne, choć może nieco inne, zajmuje też miejsce również w historii Ukrainy. Pytanie, jak dziś o tym mówić, jak pisać? Myślę, że autor na to właśnie pytanie w swej pracy odpowiada, ale myślę, że jest to też powód, aby porozmawiać o tym dzisiaj. Chciałbym naszym znakomitym gościom zadać kilka pytań. Pierwsze to będzie takie: jakie miejsce zajmuje Lwów w historii Polski? O to chciałbym zapytać pana profesora Pisulińskiego.

Prof. Jan Pisuliński: Dziękuję państwu za zaproszenie na tą miłą uroczystość, zarówno ze względu na patrona fundacji, jak i na laureata nagrody jest mi ogromnie miło wziąć udział w dzisiejszej dyskusji. Przejdę do pytania, które zadał prowadzący. Miejsce Lwowa, jego obrony, już w okresie międzywojennym było wyjątkowe. Zwracam uwagę na jedną rzecz, a mianowicie na zbudowanie panteonu obrońców Lwowa. Był to jedyny panteon w takiej formie i w takiej skali, zbudowany w okresie międzywojennym, mimo że walki o Lwów nie były jedyną walką stoczoną w początkach państwowości polskiej, jedyną bitwą stoczoną o granice. Takiego panteonu nie stworzono w Poznaniu, nie stworzono w Wilnie, nie stworzono w związku z Bitwą Warszawską. Fakt, że połączono go jeszcze później z obroną Lwowa przed bolszewikami w lecie 1920 roku, nie zmienia faktu, że to było potężne przedsięwzięcie, które pokazywało, jak ważne i symboliczne miejsce w pamięci Polaków odgrywała ta walka o Lwów. Wydaje mi się, że to najbardziej uwidacznia tą tradycję, która nigdy nie została wymazana, która przetrwała na emigracji. W Polsce nie było można o tym pisać po 1945 roku. Ta tradycja trwała i odrodziła się później w licznych publikacjach po 1989 roku w temacie i historii Lwowskich Orłąt, która była piękną legendą. Oczywiście miało to też gorzki wyraz, ponieważ mówiąc jednocześnie o polskich obrońcach Lwowa ograniczano pamięć o ukraińskich żołnierzach. To była swojego rodzaju walka o pamięć. Dla Ukraińców to było przykładem dodatkowej przemocy symbolicznej, tak można byłoby to nazwać współczesnym językiem, natomiast dla Polaków to był sukces i triumf zwycięstwa. Nie myślano o gorzkich konsekwencjach. Niewielu polityków zdawało sobie z tego sprawę. W tym wymiarze ten Lwów stał się symbolem w okresie międzywojennym i później przetrwał.

Dr Paweł Libera: Chciałbym teraz poprosić pana profesora Mykołę Łytwyna, aby powiedział, jak wyglądała kwestia Lwowa w historii Ukrainy, jakie znaczenie walki o Lwów miały dla Ukraińców. Bardzo proszę.

Prof. Mykoła Łytwyn: Szanowni państwo, najpierw chciałbym podziękować szanownej fundacji za tą akcję, za grono takich wybitnych ekspertów, tak młodego i wybitnego laureata, i za jego książkę. Lwów był nie tylko polskim i żydowskim, ale i ukraińskim, gdyż tutaj wiele lat pracował Mychajło Hruszewskij, wybitny ukraiński historyk, także Iwan Franko, najaktywniejszy ukraiński pisarz, tu powstawały pierwsze ukraińskie partie, struktury kooperacyjne, realny biznes ukraiński, miasto wielkiej kultury i dialogu Ukraińców z Polakami. Oczywiście trudno wyobrazić sobie Lwów bez Marii Konopnickiej, bez Eugeniusza Romera, bez filozofa Kazimierza Twardowskiego, bez Józefa Piłsudskiego, który bywał tu często przed rozpoczęciem pierwszej wojny światowej. Miasto wielokulturowe, wieloreligijne, europejskie. Z perspektywy

czasu możemy stwierdzić, że miasto było ważnym centrum polskiej, ukraińskiej i żydowskiej kultury, gdyż tutaj aktywnie działały partie żydowskie, które rozpowszechniały swoje idee syjonistyczne. Lwów za swoje miasto uważali również Niemcy, mający w nim swoje towarzystwa. Nawet Ormianie uważali Lwów za swój, gdyż posiadali w nim własną katedrę i szerokie struktury biznesowe. Krótko mówiąc, miasto było Piemontem tych narodów i silnym ośrodkiem europejskim.

Dr Paweł Libera: Dziękuję bardzo. Proszę państwa, trudno jest mówić o tym, jakie znaczenie miały walki o Lwów, bez uwzględnienia tak zwanego trzeciego czynnika i tutaj chciałbym prosić pana doktora Damiana Markowskiego, żeby powiedział, jaka była polityka władz sowieckich po 1945 roku wobec miejsc upamiętnień na terenie Lwowa, które upamiętniały walki o Lwów w 1918 roku.

Dr Damian K. Markowski: Szanowni państwo, można by było rozszerzyć tą cezurę do 1944 roku. ponieważ już wtedy nowe sowieckie władze stanęły przed poważnym problemem, otóż zbliżał się dzień Wszystkich Świętych, a jeden z informatorów NKWD napisał do swoich mocodawców, że przybywa polskich flag i polskich wstążek w polskich białoczerwonych barwach na grobach tak zwanych Orłąt, to jest oczywiście cytata z jego raportu. Sowietom także nie spodziewali się tego, co nastąpiło na Cmentarzu Obrońców Lwowa w dniach 1 i 11 listopada 1944 roku. Mianowicie nastąpiła tam bardzo duża, jak na warunki sowieckie, warunki postępującej, szalejącej niezwykle brutalnej stalinizacji, sowietyzacji ówczesnej zachodniej Ukrainy, czy też Galicji wschodniej, manifestacja ludności polskiej, w której wzięło udział nawet do czterech tysięcy ludzi. To był ogromny akt sprzeciwu wobec tego totalitarnego imperium i to akt sprzeciwu bardzo świeży, jeżeli mówimy tutaj o dacie ponownego zajęcia Lwowa przez Armię Czerwoną. Oczywiście, nastąpiły masowe aresztowania, tych ludzi częściowo zwolniono, częściowo wywieziono do łagrów. Za organizowanie tych manifestacji było odpowiedzialne polskie podziemie. Natomiast Sowietom zdali sobie sprawę i dali temu wyraz w swoich poszczególnych meldunkach, iż Lwów należy traktować od tej chwili nie jako miasto polskie, także w sferze symboli, ale jako miasto sowieckie i ukraińskie, i to w takiej kolejności. Lwów miał być przede wszystkim miastem sowieckim, a dopiero później, na drugim miejscu, miastem ukraińskim. Sowietom oczywiście zakładali ukrainizację Lwowa. Ukrainizacja miała być ukrainizacją w formie, znacznie mniej w treści. Postanowiono w związku z tym zlikwidować te wszystkie ślady, które jeszcze pozostały, a pozostało ich tak naprawdę niewiele, poza tymi na Cmentarzu Obrońców Lwowa, poza pomnikiem Rzezi Polskiej, o ile pamiętam, na Kozielnikach. Tablice zniszczono już podczas pierwszej okupacji sowieckiej w 1939 roku.

Sowietom stanęli przed nie lada wielkim problemem, ponieważ z jednej strony mieli obiekt położony na obrzeżach najbardziej reprezentacyjnego cmentarza we Lwowie, cmentarza Łyczakowskiego, który był poświęcony jakby polskości tego miasta, z drugiej strony sami zaczęli tworzyć swoją legendę, swoją narrację tego, jaka powinna być nowa, prawdziwa, sowiecka historia Lwowa. W związku powyższym wpadli na pomysł, że Cmentarz Orłąt nie będą formalnie i oficjalnie rozbierać, choć on już wówczas był systematycznie płądrowany przez tak zwanych nieznanych sprawców, a zamiast tego wzniosą po drugiej stronie Cmentarza Łyczakowskiego, kawałek za parkiem Łyczakowskim własne mauzoleum, własny panteon, tak zwane Wzgórze Sławy, gdzie pochowano słynnego sowieckiego szpiega, Nikołaja Kuzniecowa, gdzie pochowano tysiące żołnierzy Armii Czerwonej, którzy ginęli w walkach z Niemcami w 1944 roku. Stopniowo, wraz z usuwaniem ludności polskiej z miasta Lwowa ten problem schodził jakby

na dalszy plan, ponieważ było coraz mniej ludzi, którzy byli gotowi jakoś dbać o te Orleńta. Problem powrócił na początku lat siedemdziesiątych, kiedy sowieckie czołgi wjechały na Cmentarz Obrońców Lwowa i zamieniły go po prostu w perzynę. Tak naprawdę wszystkie groby, poza dwoma, zostały wówczas rozjechane czołgami. Próbowano zniszczyć Łuk Chwały, który do tej pory nie został w pełni odbudowany, ale to się nawet sowieckim czołgom nie dało. Będąc we Lwowie na Cmentarzu Obrońców Lwowa, proszę zwrócić uwagę na potężne szczyrby, jakie są na filarach tego Łuku Chwały. To są ślady od potężnych metalowych, stalowych lin jakimi próbowano obalić ten monument. Do tego nie doszło.

To właściwie barbarzyństwo, ponieważ tak można mówić o takim akcie agresji wobec zmarłych, doczekało się pewnej reakcji polskiej społeczności międzynarodowej, ale oczywiście nie reakcji komunistycznej Polski, tylko reakcji polskich kół emigracyjnych oraz częściowo polskich weteranów w kraju, na czele z generałami Mieczysławem Borutą-Spiechowiczem i Romanem Abrahamem, którzy pełnili odpowiedzialne funkcje podczas walk o Lwów w 1918 roku. Niejako odpowiedzią na te wszystkie sowieckie działania, zmierzające do zniszczenia Cmentarza Orleńta, były różnego rodzaju interpelacje podjęte przez tych ludzi, poczynawszy od rządu Stanów Zjednoczonych, kończąc na nawet najwyższych przywódcach całego Związku Sowieckiego. Przyniosło to efekt o tyle, że do dalszych profanacji nie dochodziło, przynajmniej nie tak otwarcie i nie przy użyciu takich środków. Natomiast taką swoistą cezurą, jeżeli chodzi o komunistyczną Polskę, o powojenną Polskę, było odsłonięcie właśnie przez wspomnianych tutaj przeze mnie generałów Abrahama i Spiechowicza tablicy pamięci obrońców Lwowa z 1918 i 20 roku, odsłoniętą w murach Klasztoru Jasnogórskiego. Generał Abraham był postacią niewygodną dla komunistów z tego względu, że on był bohaterem choćby z 1939 roku i Bitwy nad Bzurą. Odsłaniając tablicę, generał Abraham wypowiedział pamiętne słowa: „po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat wypowiadamy imiona poległych w obronie Lwowa i przywracamy im w ten sposób życie”. Generał wtedy był już bardzo posunięty w latach, dlatego zrezygnowano z tego, żeby go dalej w konkretny sposób szykanować. Mam wrażenie, że odsłonięcie tablicy to był minimalny, symboliczny gest na miarę możliwości tych osób, którym zależało na ratowaniu tych polskich pamiątek Bitwy o Lwów.

Dr Paweł Libera: Dziękuję bardzo. Proponowałbym, abyśmy teraz troszeczkę cofnęli się do samego początku. Proszę państwa, kiedy przeglądamy historię walk o Lwów, okazuje się, że z dwóch stron walczyło tam bardzo dużo znanych później postaci z historii Polski, jak i z historii Ukrainy. Wśród szeregowych obrońców Lwowa znajdujemy bardzo istotne postacie, które odegrały bardzo dużą rolę później. Jeżeli chodzi o historię Polski, przypomnijmy chociażby dwa nazwiska, po za tymi, o których mówił doktor Damian Markowski, ja przypomnę późniejszego premiera, profesora Kazimierza Bartła, albo późniejszego prezydenta RP na uchodźctwie, profesora Stanisława Ostrowskiego. Czy w takiej sytuacji, jeżeli okazuje się, że zebrała się tam w pewnym sensie duża część elity polskiej i ukraińskiej, nasuwa się pytanie następujące: czy w okresie przed rokiem 1918 obie strony wyobrażały sobie jakoś ten konflikt, jak wyobrażały sobie historię Lwowa, jak sobie wyobrażały, do kogo będzie należał Lwów i czy były w stanie przewidzieć taką skalę walk i taką skalę sporu? Bardzo proszę panie profesorze.

Prof. Mykoła Łytwyn: Dialog polsko-ukraiński był prowadzony, wiemy o dyskusjach w sejmie galicyjskim, parlamencie wiedeńskim, zatem przyszłe strony konfliktu bardzo dobrze się znały. Nawet tuż przed rozpoczęciem walk została podpisana ukraińsko-polska umowa o współpracy,

która niestety nie była realizowana. Mówimy o wojnie, ale to nie była prawdziwa wojna, każdego dnia był prowadzony dialog, codziennie umierało we Lwowie pięć do siedmiu osób, lecz rozmowy ciągle trwały. Były stworzone polsko-ukraińskie komisje we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, które ustalały życie codzienne miasta: pracę poczty, ruch tramwajów, wymianę jeńców itp. Nawet w tym czasie, 1 listopada 1919 roku, podpisano umowę o internowanych jeńcach, co mają jeść – pięć razy mięso, koninę – co mogą czytać, jak ma wyglądać opieka medyczna. Nie zważając na wojnę. Miała ona jakiś standard, według którego się toczyła. Chcę jednak wrócić do samej książki, mam takie wrażenie, że pisałem ją razem z autorem, gdyż nasze poglądy są w dużej części zbieżne. Nie ma tam żadnych obraźliwych słów w stosunku do Ukraińców. Została napisana przez młodego inteligentnego historyka, którego zawsze będziemy chętnie gościć we Lwowie.

Dr Paweł Libera: Jak kwestia tego konfliktu była widziana ze strony Polski, czy ktokolwiek sobie wyobrażał, jaką on skalę może osiągnąć?

Prof. Jan Pisuliński: Wydaje się, że nie. Mówiło się dzisiaj, w czasie tej uroczystości, dużo o genie wolności, ale o wolności u Polaków. Warto dodać, że Ukraińcy mieli też gen wolności. Natomiast obu stronom brakowało genu kompromisu. Faktem jest, że nawet ci, co mówili o tym, że Polska może być rozwiązaniem federacyjnym, które w jakiejś mierze tworzyłyby formalne, równoprawne państwo Polaków, Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów, nie prowadzili przed pierwszą wojną światową ani w jej trakcie rozmów na temat takich rozwiązań federacyjnych ze stroną ukraińską. Faktem jest, że po stronie ukraińskiej też nie było zwolenników owego rozwiązania federacyjnego, które w założeniu było kompromisowe. Inna sprawa, że obie strony przed 1917 rokiem nie spodziewały się szans na własną państwowość. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko, również po stronie ukraińskiej. Ukraińcy zdobyli przewagę szybciej, ponieważ przynajmniej państwa centralne uznały ich państwo i wydawało im się w związku z tym, że nie ma po co prowadzić rozmów. Kiedy polscy przedstawiciele Rady Regencyjnej, na przykład w Wiedniu, bo to był ten neutralny grunt, gdzie spotkano się w czerwcu w 1918 roku i Tytus Filipowicz prowadził rozmowy, to Ukraińcy stali na stanowisku traktatu brzeskiego, który przyznawał im tereny aż po Chełmszczyznę i zakładał wydzielenie ukraińskiej części monarchii Austro-Węgierskiej w osobny kraj konstytucyjny. Wydawało się wtedy, że Ukraina, w przeciwieństwie do Polski mająca przynajmniej częściowe uznanie międzynarodowe państw centralnych, jest w zdecydowanie lepszym położeniu. Wtedy strona ukraińska odrzucała jakiegokolwiek możliwości kompromisu, jakkolwiek można powiedzieć, że wtedy polskie oczekiwania były skromniejsze, to znaczy Polacy nie mówili o Wołyniu, który później zajęto, ale o Chełmszczyźnie. Spór oczywiście toczył się o Lwów i ten spór o Lwów był kwestią *sine qua non* obu stron. Dla Polaków to był ośrodek nauki, kultury, począwszy od słynnych ślubów Jana Kazimierza, ale też uniwersytet, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich. Kiedy we wrześniu 1919 roku rozpoczęły się rozmowy na temat sojuszu już po zakończonych walkach w Galicji, wiceminister spraw zagranicznych Władysław Skrzyński chyba najlepiej określił dylemat tych rozmów, pisząc mniej więcej tak, że z Petlurą, który nie wyrzeknie się Lwowa nie możemy rozmawiać. Petlura, który wyrzeknie się Lwowa, traci poparcie trzech czwartych ukraińskiego wojska. To był ten podstawowy dylemat, który powodował, że porozumienie zawarto dopiero w innej, gorszej sytuacji, w kwietniu 1920 roku.

Prof. Mykoła Łytwyn: Porozumienie mogło być w marcu 1919 roku, kiedy zaproponowano Polakom Lwów i Zagłębie Borysławskie, jakie dawało pięć procent ropy, a Ukraińcom inne

części. Petlura się zgodził, jednak na to nie poszli liderzy ZUNR. Wojna była tragedią nie tylko dla Polaków i Ukraińców, ale dla całego społeczeństwa. W Galicji była masa ludności, która posiadała dwie, trzy narodowości. Znany jest przykład rodziny Szeptyckich: Andrzej został metropolitą greckokatolickim, liderem społeczności ukraińskiej, zaś Stanisław 16 listopada został szefem sztabu generalnego Wojska Polskiego. Inny przykład dotyczy rodziny Uljany Krawczenko-Niemietowskiej z Przemyśla, mąż był polskim inżynierem, ona zaś pisarką ukraińską. Znane są przykłady, że rano cała rodzina przy śniadaniu piła razem kawę, zaś później dzieci szły na różne strony barykady, a wieczorem znowu zasiadali razem przy wspólnej kolacji.

Prof. Jan Pisuliński: Dodam tylko, że żona dyktatora i wcześniejszego przywódcy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, o którym to państwie pisał pan profesor, była też Polką. On w początkach swojej kariery prawniczej obracał się w polskim towarzystwie. To tak na marginesie, z przykładów tych podziałów.

Dr Damian K. Markowski: Chciałem jeszcze tytułem głosu uzupełniającego do bardzo słusznej uwagi, o której wspominał teraz pan profesor Łytwyn. Chociaż brutalizacja tego konfliktu postępowała od pierwszych dni, wraz z pierwszą rozlaną krwią, od listopada 1918 roku, to jednak nie można powiedzieć, że obie strony nie znajdowały w samych w sobie takich hamulców, aby nie przekraczać mimo wszystko jeszcze pewnej granicy. Tutaj mam takie dwa przykłady, które przede wszystkim nasuwają po napisaniu tej książki. Dnia 2 listopada, a więc zaledwie dzień po tym, kiedy w odpowiedzi na powstanie ukraińskie wybucha powstanie polskie, we Lwowie zbiera się pokaźna grupa polskiej inteligencji Lwowa i występuje z wnioskiem do formującego się wówczas dowództwa polskiej obrony Lwowa o zaniechanie walki. Dlaczego? Ponieważ tam pada takie z formułowanie: nie zapominajmy o tym, że Ukraińcy to wróg, ale to wróg, który jest jednocześnie naszym sąsiadem, nie jest to wróg, którego można na zawsze pokonać. Nawet jeżeli zwyciężymy, będziemy później z nimi razem żyli, w jednym mieście, na jednym terytorium, czy też w jednym państwie. Z drugiej strony postawę pierwszego dowodzącego ukraińską obroną Lwowa, czyli pułkownika Dmytro Witowskiego, który pomimo, jak naliczyłem, siedmiu czy ośmiu raportów jego własnej policji bezpieczeństwa, wzywających do tego, aby pociągnąć szerokie kręgi polskiego społeczeństwa, polskich mieszkańców Lwowa, do odpowiedzialności za tak zwaną partyzantkę miejską, Gdy w co drugiej, co trzeciej kamienicy do ukraińskich żołnierzy, do ukraińskich patroli na ukraińskich tyłach padają strzały, padają zabici i ranni, więc teoretycznie za prawem wojennym te głosy ukraińskich policjantów wzywają ukraińskiego komendanta do spacyfikowania Lwowa, komendant odmawia, ponieważ być może, często rzeczywiście, są to strzały jakby zdradliwe, z za węgła, ale jednocześnie on jest ukraińskim żołnierzem, a nie rzeźnikiem i ma zamiar tylko i wyłącznie pokonać polskie siły walczące na ulicach miasta, a nie przybył, żeby walczyć z polską ludnością. Świadczy to o tym, że do pewnego stopnia obie strony miały jeszcze zaciągnięty hamulec, jeżeli chodzi o tą brutalizację konfliktu.

Dr Paweł Libera: To prawda, że jeszcze w tym momencie, jeszcze do pełnej brutalizacji troszeczkę brakowało. Natomiast kiedy bardzo często rozmawiamy, na przykład czy o stosunkach polsko-ukraińskich, czy polsko-litewskich, czy szukając relacji Polski jeszcze z innymi sąsiadami, bardzo często pojawia się ten trzeci, tak zwany trzeci czynnik. Wiemy, że między innymi pisał o tym profesor Łytwyn, ale tym razem mi chodzi o jeszcze inny. Wiem, że w historiografii pojawia się dosyć często teza taka, że władze austriackie też odegrały jakąś rolę w eskalacji, czy przynajmniej w przygotowaniu sporu

polsko-ukraińskiego. Co jakiś czas można się spotkać z taką tezą również na łamach publicystyki, czasami sięgają do niej również badacze. Czy można powiedzieć, że przed rokiem 1918 polityka władz austriackich względem Polaków i Ukraińców miała takie wyraźne nastawienie i rzeczywiście ich celem było, mówiąc potocznie, skłócenie obu narodów? Bardzo proszę.

Prof. Jan Pisuliński: Jeżeli chodzi o zastosowanie *divide et impera*, o tym pisał Janusz Gruchała. W zasadzie, powołując się na jego badania, to owszem, często wykorzystywano Ukraińców w doraźnych i taktycznych działaniach przeciwko Polakom, ale i na przykład Czechów. To była normalna forma rozgrywania, charakterystyczna dla monarchii austriackiej, później austro-węgierskiej. Po prostu rozgrywania sytuacji wielonarodowości tego imperium, w którym naród niemiecki był dominujący, ale jako naród stanowił mniejszość i jakoś trzeba było sobie z tym radzić. Natomiast zdecydowanie grubą przesadą jest traktowanie ruchu ukraińskiego, jak chciało wielu polityków w Polsce, jako austriacką, niemiecką intrygę i doszukiwanie się w powstaniu lwowskim i działaniach ukraińskich austro-węgierskiej intrygi, chociażby dlatego, że oni byli bardzo słabi. Dość powiedzieć, że też nie przesadzano ze spełnianiem oczekiwań Ukraińców, które były dużo większe. Owszem, można powiedzieć, że sytuacja zmieniła się, ale pamiętajmy o tym, że od 1867 roku w Galicji spolonizowano wszystkie urzędy w obu częściach. W związku z tym była zdecydowana dominacja Polaków, Polacy byli obsadzani na większości stanowisk. Owszem, wprowadzono szkolnictwo ukraińskie w zakresie nieporównywalnym niż potem w II RP, ale jednak to Polacy dominowali we wszelkich władzach, to polski język był językiem urzędowym. Było oficjalnie osiem katedr ukraińskich na Uniwersytecie Lwowskim, ale to Polacy i to każdorazowo, byli namiestnikami i ministrami, a nawet premierami rządu całego państwa w Wiedniu. Wszyscy namiestnicy do 1914 roku byli Polakami.

Dopiero w 1914 roku, w związku wybuchem wojny, głównym namiestnikiem władz centralnych został generał Karl Georg Huyn, którego zastępcą po raz pierwszy w dziejach Galicji został Ukrainiec, Wołodmyr Decykewycz. Decykewycz był zwolennikiem raczej łagodnego prowadzenia polityki, nie był wtajemniczony w przygotowania do zajęcia Galicji wschodniej przez Ukraińców, nie był powiązany politycznie z siłami tworzącymi Ukraińską Republikę Narodową i raczej nie odegrał żadnej roli w objęciu władzy 1 listopada. Co do rzekomej pomocy wojsk austriackich, pamiętajmy, że w tym czasie najsilniejszy oddział, legion ukraińskich strzelców siczowych, mimo aspiracji ukraińskich liczył dwa tysiące żołnierzy. Władze austriackie nigdy nie pozwoliły na zwiększenie jego liczebności. Mimo wysiłków działaczy ukraińskich, chociażby z Ukraińskiej Rady. Miał go objąć pułkownik Stanisław Szeptycki, brat metropolity, późniejszy szef polskiego sztabu generalnego. Ostatecznie stał na czele tak zwany Wasyl Wyszywany, syn arcyksięcia Stefana Habsburga z Żywca, nazywany Wasylem Wyszywanym. Jak mówiłem, był to tylko kadrowy oddział, który w dodatku w momencie rozpoczęcia walk stacjonował na terenie Bukowiny, w Czerniowcach, kilkaset kilometrów od Lwowa. Gdyby rzeczywiście Austriacy chcieli, żeby Ukraińcy przejęli władzę, to przecież można by było ten legion przetransportować już wcześniej, o czym pisze w swojej książce doktor Damian Markowski. Nie od rzeczy też wspomnieć trzeba właśnie to, że obawiano się też zbyt dużych ustępstw dla Ukraińców, między innymi dlatego, żeby nie było takiego buntu, jaki był w lutym 1918 roku, kiedy to w proteście przeciwko traktatowi brzeskiemu Polacy masowo oddawali order, masowo składano dymisje, były masowe protesty, strajk generalny itd. Władze wiedeńskie obawiały się wybuchu niezadowolenia jeszcze większego, więc tym bardziej nie podejmowały żadnych wysiłków. Władze były zajęte wtedy o wiele poważniejszymi sprawami, takimi jak kapitulacja

kompletną, załamaniem się frontu chociażby włoskiego i w związku z tym naprawdę nie miały głowy do Lwowa. Doszukiwanie się w tym intrygi nie ma żadnego potwierdzenia w faktach. Jedyńa można powiedzieć przesłanką, pretekstem, w insynuowaniu tego typu stwierdzeń jest to, że Ukraińcy chyba jako jedyni formalnie, chociaż z ociąganiem i niezadowolaniem poparli manifest federacyjny cesarza Karola z 16 października 1918 roku o przekształceniu monarchii w federację, ale był to manifest spóźniony i nie odgrywał żadnej roli, a Ukraińcy widzieli w nim, widzieli we władzach Wiednia, przeciwwagę dla dominujących Polaków.

Prof. Mykoła Łytwyn: Kilka zdań. Ostatnio historiografia ukraińska odchodzi od krytykowania polityki Wiednia, zauważa się, że była to monarchia, a nie imperium. Wiedeń przyniósł standardy polityki, oświaty, religii. To oni nam dali, a nie my się domagaliśmy. Podkreśla się też, że 1 listopada, nie w sposób zbrojny, lecz pokojowy władza austriacka, Karl Georg Huyn, przekazał władze we Lwowie swojemu zastępcy Wołodomyrowi Decykewyczowi.

Dr Paweł Libera: Rzeczywiście trudno obarczyć stronę austriacką w tym okresie za większą ingerencję w relacje polsko-ukraińskie, ale wydaje mi się, że jednym z ważniejszych elementów, który przypomina doktor Damian Markowski w swojej książce, jest to, że przez wiele lat patrzyło się na walki o Lwów przez inny pryzmat, jest nawet takie określenie jak to: „ostatnia romantyczna wojna, taka spokojna wojna, jeszcze starego typu”. Pisał o tym profesor Michał Klimecki. Tymczasem okazuje się, że dochodzi tam do dość dużej brutalizacji, dochodzi do pierwszych, można powiedzieć, niekontrolowanych zabójstw po obu stronach. W książce doskonale jest pokazana eskalacja, początek, kiedy jeszcze są próby ograniczenia, kiedy dowództwo stara się to kontrolować, chociaż są wypadki, gdzie społeczeństwo nie zawsze jest w pełni kontrolowalne. W pewnym momencie dochodzi do jeszcze większej eskalacji i tam naprawdę można powiedzieć, że w tym momencie między Polakami a Ukraińcami pojawiło się morze krwi, to „morze” to jest zbyt duże określenie, ale jest bardzo duża brutalizacja tej wojny. Pytanie jest następujące: czy politycy, wojskowi i polityczni kierujący walkami z jednej i z drugiej strony zdawali sobie z tego sprawę i czy starali się jakoś to ograniczyć, na ile były skuteczne ich działania? Będę wdzięczny za odpowiedź, proszę bardzo.

Dr Damian K. Markowski: Pozwolę sobie jako pierwszy zabrać głos. Trzeba przyznać, że o ile politycy mieli te momenty zawahania, to tutaj bardzo dużą rolę i będę to podkreślał na każdym kroku, w brutalizacji tego konfliktu odegrała zarówno prasa polska jak i ukraińska. Z jednej i z drugiej strony praktycznie od 4-5 listopada zaczyna się dosyć mocna dehumanizacja przeciwnika, a to jest już pierwszym krokiem i najważniejszym do tego, aby później bardzo łatwo usankcjonować jego fizyczne unicestwienie, jego zabicie, jego morderstwo. Kolejnym takim krokiem, który, mam wrażenie, stanowił swego rodzaju rubikon na mapie tego konfliktu, była pacyfikacja podlowskiej wsi Sokolniki. Nastąpiła ona bodajże w dniu 9 listopada i to była o tyle dziwna pacyfikacja, co mam wrażenie zupełnie bezsensowna, także z ukraińskiego, wojskowego punktu widzenia. Dlaczego? Ponieważ wieś Sokolniki uzbroiła się przeciwko Armii Ukraińskiej 4 listopada pod wpływem wysłanników polskich ze Lwowa. Była to wieś w 95% zamieszкана przez Polaków, świadomych narodowo Polaków. Dwa dni później ci Polacy stwierdzają, że jednak nie chcą walczyć przeciwko Ukraińcom, ponieważ to są ich sąsiedzi i często też krewni, żenili się między sobą, obchodzili wspólnie również swoje święta. Sokolniki graniczą z dwóch stron z wioskami ukraińskimi. Dochodzi do takiej sytuacji, że jeden karabin maszynowy mieszkańcy Sokolnik wrzucają do jakiegoś bajora, które znajduje się we wsi, a całą resztę broni składują w fortyfikacjach polowych pozostałych po Austriakach

i to nie po to, żeby się bronić, lecz po to, by wieś nie uczestniczyła w działaniach wojennych. Kolejne dwa dni później przybywa oddział ukraiński, ale już nastawiony typowo na pacyfikację. Aresztowanych zostaje dwadzieścia osób, w tym naczelnik gminy, miejscowy proboszcz oraz nauczyciel. Ukraińscy żołnierze wyprowadzają część aresztowanych poza wioskę i na oczach jej mieszkańców rozstrzelują jedenastu z nich, rannych dobijają bagnietami, rozbijają im głowy kolbami karabinów itd. Dwa dni później o sytuacji dowiaduje się metropolita rzymsko-katolicki i próbuje interweniować u arcybiskupa metropolity Szeptyckiego. Z tego co wiemy, metropolita Szeptycki nie zajął stanowiska w tej sprawie, jednak dziesięć dni później obaj metropolici wydali jedną wspólną odezwę, aby działania wojenne ograniczyły się tylko do starć z oddziałami uzbrojonymi.

Prof. Jan Pisuliński: Trzeba dodać, że obaj arcybiskupi lwowscy byli w trudnym położeniu, gdyż często ich wierni byli po obu stronach barykady, jakkolwiek obaj, można powiedzieć, prezentowali jednoznaczne stanowisko. Metropolita Szeptycki popierał ukraińską państwowość tym bardziej, że był formalnie głową Ukraińskiej Rady Narodowej w momencie jej powołania 18 października, a arcybiskup Józef Bilczewski i również dodać trzeba do tego, że i trzeci biskup, Józef Teodorowicz, arcybiskup ormiańsko-katolicki był zdecydowanym zwolennikiem państwowości polskiej.

Chciałbym teraz pociągnąć wątek, który w książce oczywiście nie mógł być obecny, ponieważ dotyczył późniejszych losów tych internowanych. Warto zwrócić uwagę, że w stronach polskich internowano, tutaj nie ma dokładnych danych, ale według danych podanych przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż ponad dwadzieścia tysięcy działaczy ukraińskich, w tym wielu duchownych. W trakcie całej wojny oni trafili do obozów internowania, do obozów jeńceńskich. W tamtych warunkach Polacy z trudem radzili sobie ze wszystkimi jeńcami, wynikało to po prostu z trudnej sytuacji aprowizacyjnej, a nie z jakiejś chęci specjalnego znęcania się. Tym nie mniej zostali oni na początku 1920 roku zwolnieni i stało się to na skutek wstawiennictwa członka wspomnianej już delegacji ukraińskiej, prowadzącej rozmowy z Polakami, Stefana Wytwyckiego, byłego ministra spraw zagranicznych ZURL, który w rozmowie z Piłsudskim uzyskał jego zapewnienie, że internowani zostaną zwolnieni i rzeczywiście, na początku 1920 roku Rada Ministrów zwolniła działaczy ukraińskich. Byli oni zatrzymani pod różnymi pozorami. Oni zresztą wrócili później do działalności konspiracyjnej, do wspierania chociażby rządu emigracyjnego. Wiedzano o tym, co będą robili, a mimo wszystko ich zwolnili. Źle się stało na pewno, że prasa to wyolbrzymiła, z oczywistych względów. Chodziło o to, żeby zmobilizować obie strony do tego, żeby zwiększyć wysiłek ochotniczy poprzez właśnie zobrazowanie okrucieństwa strony przeciwnej.

Teraz, współcześnie, trudno jest bez źródeł ocenić rzeczywistą skalę wzajemnych represji, która jest, można powiedzieć, jak na wojny domowe, nie tak duża. Jednak tak się stało, że mimo obietnic i zapewnień, różnych deklaracji rządów warszawskich, nigdy nie przeprowadzono śledztw w sprawie zbrodni na Polakach, jak i również w sprawie zbrodni na przedstawicielach innych narodowości. Można powiedzieć, że w zasadzie przeprowadzono tylko śledztwo w sprawie tak zwanego pogromu lwowskiego, dotyczące ofiar narodowości żydowskiej. To było jedyne śledztwo, które przeprowadzono w tym czasie.

Dr Paweł Libera: Chciałem jeszcze zapytać o jedną, podsumowującą kwestię. Kiedy zakończyły się walki o Lwów, który efekt jest wiadomy, strona polska wygrała i utrzymała

to miasto jeszcze do 1939 roku, natychmiast zaczął się tworzyć, myślę, że samorzutnie, kult obrońców Lwowa, kult tego, co się działo w 1918 roku. Pytanie jest przede wszystkim do profesora Łytwyna. Jak to wyglądało po stronie ukraińskiej? Jaka była narracja później dotycząca walk o Lwów, jak o niej mówiono, kto o niej mówił, w jaki sposób starano się ją podtrzymywać?

Prof. Mykoła Łytwyn: Skończyła się wojna, ale pamięć o niej pozostała i na szczęście polska władza pozwoliła ukraińskim organizacjom kombatanckim i paramilitarnym Ukraińskiej Armii Halickiej stworzyć cmentarze w stolicy. W latach trzydziestych na Cmentarzu Janowskim dzięki towarzystwu ochrony wojennych mogił i zgodzie polskiej władzy, stworzono duży memoriał, gdzie pochowano blisko tysiąc żołnierzy UHA i premiera Kosta Lewyckiego. Analogiczne cmentarze Polacy pozwolili stworzyć w Rohatynie, Kołomyi, Czortkowie i Brzeżanach – to ciekawy przykład. Ktoś był w Brzeżanach? Bardzo ładne miasteczko, na przykład jak w Hiszpanii – Ukraińcy i Polacy pochowani niemal razem i mają jakby wspólny cmentarz, jeden i drugi zadbany, przetrwał czasy radzieckie i istnieje do dzisiaj. Analogiczne przykłady są i w innych miejscowościach: pod Lwowem są Winniki, gdzie był przesiedlony, deportowany mój dziadek, strzelec UHA, i tam jest ukraiński cmentarz strzelców UHA i zaraz obok jest polski. Oba przetrwały czasy radzieckie. Dzisiaj ukraiński jest już odnowiony i oczywiście Polacy również powinni odnowić cmentarz polskich obrońców, jaki znajduje się w Winnikach pod Lwowem. Te przykłady są bardzo interesujące, uważam, że następcy powinni odnawiać cmentarze, jestem przeciwny budowaniu nowych pomników, ale cmentarze powinny wyglądać estetycznie. Przykładowo, w Stanisławowie był cmentarz polskich żołnierzy, w czasach radzieckich został zniszczony, obecnie odnowiono jedynie pola, gdzie spoczywają żołnierze ukraińscy. Niemniej, tuż obok koniecznie trzeba odnowić pola polskich żołnierzy. To też ciekawy przykład: Ukraińcy i Polacy leżeli razem w centrum Stanisławowa, a przecież można było ich pochować gdzieś dalej, osobno. Widać zatem, że w ten sposób dążono do porozumienia, jakiego niestety nie było.

Dr Paweł Libera: To był rzeczywiście panie profesorze, trudno powiedzieć, że sukces, ale udało się jakiś kompromis osiągnąć chociażby nie zakłócano spokoju tym, którzy polegli. Wiadomo jest, po stronie polskiej jakiś czas po ustaniu walk zaczęto bardzo szybko zbierać relacje, Wojskowe Biuro Historyczne zaczęło o tym pisać. Towarzystwo, które zaczęło działać we Lwowie, zbierało informacje o walkach o Lwów. Później starano się wydać słynną trzutomową pracę. Pytaniem jest, jak to wyglądało po stronie ukraińskiej, czy strona ukraińska również starała się zbierać te informacje i pisać o nich? Myślę, że w Polsce jest to sprawa mało znana.

Prof. Mykoła Łytwyn: W okresie międzywojennym we Lwowie istniało towarzystwo „Czerwona Kalyna”, która wydawała dziesiątki wojskowo-analitycznych i wspomnieniowych prac. Są one dostępne we lwowskich bibliotekach, niestety w czasach radzieckich trafiły do tzw. specfondów, część była zniszczona, ale dzisiaj są już dostępne. Oprócz tego, w diasporze ukraińskiej w Kanadzie i USA wyszło pięć tomów wspomnień UHA, które też są dostępne. Bardzo często polskie trzy tomy „Obrońcy Lwowa” i wspomniane ukraińskie pięć tomów wzajemnie się uzupełniają

Dr Paweł Libera: Można by było dodać, że na całe szczęście spora część tych prac, przede wszystkim wydanych przez emigrację ukraińską, jest dostępna w Internecie w wersji bezpłatnej i łatwo dostępnej na stronie „Diasporiana”.

Prof. Mykoła Łytwyn: Dodam jeszcze, że dzisiaj we Lwowie odbywa się niezwykle wydarzenie, dyrektor Polskiej Biblioteki Narodowej przekazuje zdigitalizowane całe archiwum Towarzystwa im. Szewczenki, które Niemcy zamierzali wywieźć, wagony stanęły na Śląsku i tak dokumenty te znalazły się w Warszawie. Serdecznie dziękujemy polskim kolegom za ten niezwykle cenny dar.

Dr Paweł Libera: Jest dostępny świetny przewodnik, opracowany przez jedną z ukraińskich badaczek, po całym zespole archiwalnym. W Polsce historycy również korzystają z tych materiałów, bo pamiętam, kiedy były prowadzone prace nad pomordowanymi w Bykowni, mieliśmy pewne problemy z identyfikacją niektórych polityków ukraińskich i właśnie wtedy sięgaliśmy do materiałów zgromadzonych w papierach Towarzystwa Szewczenki, które są w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

Chciałbym wrócić jeszcze raz do narracji, którą można określić, tej o kulcie Lwowa, o kulcie obrony Lwowa. Jak to wyglądało ze strony polskiej? Myślę, że ta kwestia nie jest wystarczająco dobrze znana poza wąskim gronem historyków, a przecież była to kwestia bardzo szeroko obecna i w tym, co pisano w publicystyce, memuarystyce, w pracach badaczy, a nawet w falerystyce, ma to swoje odzwierciedlenie. Dzisiaj w wielu miejscach napotykałyśmy ślady obrony Lwowa.

Dr Damian K. Markowski: Z jednej strony to można powiedzieć, że legenda obrony Lwowa rodziła się dwutorowo, ponieważ zawsze z jednej strony, kiedy trwają działania wojenne i strona prowadząca posiada możliwość prowadzenia w miarę skutecznej propagandy wojennej, to taką propagandę po prostu prowadzi. Podczas polskiej obrony Lwowa wydawano w częściach zajętych przez Polaków takie czasopismo, „Pobudka”, które tak naprawdę stało się później podwaliną całej tej obrony Lwowa znanej z wersji Orłąt, z wersji „dzieci” broniących swojego miasta itd. Z drugiej strony mamy tutaj do czynienia również z ogromnym aparatem wojskowym II RP, który został wprzęgnięty właściwie w całości w organizację tej legendy. Polskim władzom bardzo zależało na kilku kwestiach, przede wszystkim na tym, aby mieć kolejny taki mit państwowotwórczy, chociaż jak wiemy, obrona Lwowa nie była tylko mitem, była faktem państwowotwórczym. Odegrało to również ważną rolę w tworzeniu jakby podwalin narracji odrodzin II RP.

Mamy jeszcze trzecią stronę, czyli stronę społeczną. Tutaj mamy do czynienia z rodzinami tych, którzy wzięli udział w obronie Lwowa. Z jednej strony było prężne środowisko matek, które straciły swoje dzieci. Mam tutaj przykład takiej kobiety, która straciła dwóch synów w listopadzie 1918 roku. Trzeci jej syn zginął w grudniu 1918 roku przy zatrzymaniu ukraińskiej ofensywy, a czwarty syn zginął pod Zadwórzem w batalionie majora Zajączkowskiego, który wówczas zatrzymał przez sześć godzin całą Armię Konną Siemiona Budionnego w „Polskich Termopilach”. Podając takie przykłady trudno się dziwić tym rodzicom, którzy stracili wówczas swoje dzieci, tym którzy stracili swoich krewnych i swoich najbliższych, że dążyli do tego, aby pamięć o nich została zachowana. Nieco mniej chlubnym wątkiem legendy Lwowa były już, jakby różnego rodzaju, spory toczone przez przede wszystkim poszczególnych dowódców obrony Lwowa, ale nie tylko o swoje zasługi. Jak doskonale wiemy, zwycięstwo ma wielu ojców i to zbyt wielu. Na kanwie jakby tego sporu Archiwum Obrony Lwowa, które znajdowało się u pułkownika Czesława Mączyńskiego dziwnym trafem zaginęło w ostatnich dniach grudnia 1918 roku, a były tam materiały pierwszorzędne, głównie z początkowego etapu polskiej

obrony, który tak naprawdę był w dużym stopniu improwizacją i mógłby w złym świetle pokazać te środowiska związane z narodową demokracją, które usiłowały sobie przyznać główne zasługi w obronieniu Lwowa przed armią ukraińską.

Prof. Jan Pisuliński: Dodam tylko, że oczywiście odezwały się te czasy, kiedy w polskim wychowaniu patriotycznym eksponowano kult Orłąt Lwowskich. To było ważne jako przykłady dla młodzieży i dzieci wykorzystywane w szkole. Rzeczywiście, można powiedzieć, że ten kult był znakomitą pożywką dla propagowania patriotyzmu, odgrywał ważną rolę w kształtowaniu nowego pokolenia, co dało owoce w drugiej wojnie światowej. Jest jeszcze jeden aspekt, że „polskie piekielko” też dało o sobie znać w związku z Lwowem, ponieważ Piłsudski był oskarżany o to, że ociążał się z pomocą dla Lwowa. W pamiętnikach Witosy wydanych przez Giedroycia w Paryżu znajdziecie państwo taki wpis, że rzekomo miał w spotkaniu z polskimi politykami po powrocie mówić o tym, że Lwów to jest ruski kraj. Oskarżyła go o to wprost prawica w okresie międzywojennym. Pamiętajmy przy tym, że faktycznie Piłsudski wrócił dopiero 10 listopada, więc dziesięć dni po rozpoczęciu wojny, a przecież inni działacze byli w tym czasie w Polsce i można było tą odsiecz organizować. Ta odsiecz organizowała się stosunkowo wolno, jak na późniejszą skalę radości z tego odzyskanego Lwowa. Znaczy to, że o ile sami mieszkańcy Lwowa wystąpili w jego obronie, to rzeczywiście byli jednak przez dłuższy czas osamotnieni. Dlatego, że ani formacja Polnische Werhmacht organizowana przez Sikorskiego, który zresztą wcześniej ostrzegał o możliwości zajęcia Lwowa przez siły ukraińskie jako jeden z nielicznych, ani inne formacje powstałe w tym czasie, jakoś tak wolno, mówiąc delikatnie, napływały na pomoc walczącemu miastu. Zwrócę uwagę, co zresztą jest podkreślone w książce, jak niewielkie siły w tym czasie walczyły o Lwów. To były maksymalnie dwa, trzy tysiące ludzi po obu stronach. Pamiętajmy, że później się zmieniło i te siły rosły sukcesywnie, chociażby w grudniu, aż do marca, do kiedy trwało oblężenie Lwowa, bo ono tak naprawdę trwało do marca. Nad przedpolach stała armia ukraińska. Zwróćcie państwo uwagę, że wtedy ani w Królestwie Polskim, ani w Galicji nie znalazły się siły co najmniej dwukrotnie większe, żeby przybyć na pomoc Lwowa, mimo że rozbrojono Niemców, zajęto spore magazyny broni i można by było chociaż dostarczyć broń. Później ten Lwów był przedmiotem wspólnego wzajemnego obarczania się winą ze strony polityków, ale często ograniczano się tylko do mowy o niechęci pomagania miastu Lwów. Była bardzo mała aktywność do 20 grudnia ze strony sił polskich. Chociaż zgadzam się z tym, że Piłsudskiemu walka o Lwów nie była na rękę z uwagi na jego dalekosiężne plany dotyczące Ukrainy i ogólnie współpracy z narodami kresowymi.

Dr Damian K. Markowski: Jeszcze chciałbym doprecyzować to, w ostatnim dniu walk o Lwów, 22 listopada, o Lwów bezpośrednio jako o miasto, nie mówię tutaj o późniejszych walkach na obrzeżach, podczas oblężenia miasta, siły polskie liczyły 6300 żołnierzy według stanu apro wizacyjnego, a w linii było to niespełna 4000, natomiast wśród nich było ponad 1400 osób w wieku poniżej szesnastego roku życia. Wynika z tego, że ten odsetek zdecydowanej większości rodowitych Lwowian, tak naprawdę dzieci, był tutaj bardzo duży i to walczących na linii.

Mam wrażenie, że natomiast sama legenda Orłąt doczekała się takiego pewnego przerwania i trochę jest przemilczana w polskich rozmowach o pamięci historycznej. Dlaczego? Dlatego, bo nie możemy zapominać o tym, że późniejsze pokolenie Kolumbów, czyli pokolenie Armii Krajowej, czyli pokolenie Polskiego Państwa Podziemnego, pokolenie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, byli ludźmi, którzy wcześniej czerpali wzorce właśnie z legendy Orłąt. Warto wspomnieć, że książki fabularne o Orłątach w dwudziestoleciu międzywojennym ukazały

się również poza Polską w sześciu krajach, w ośmiu językach. Dlatego, jakby mając na uwadze ówczesny rynek wydawniczy a obecny, na którym istnieje rzecz jasna więcej możliwości, wskazuje to nam skalę i wagę tego problemu. Nawet w 1942 roku Naczelnny Wódz, generał Sikorski zamierzał odznaczyć młodocianych obrońców Grodna, zbiorowo jako miasto. Grodno miało wtedy dostać Virtuti Militari, podobnie jak wcześniej Lwów, co jednak nie doszło do skutku. General w odezwie zwrócił się wówczas do nich tymi słowami: „Jesteście dla mnie nowymi Orłętami”.

Dr Paweł Libera: Ja bym tu troszeczkę polemizował, bo nie jestem pewien, czy można powiedzieć, że temat Orłąt Lwowskich został całkiem zapomniany, co więcej, mówimy ostatnio o Orłętach Przemyskich i jak sam wspominałeś, później, w 1939 roku, mówiono o Orłętach Grodzieńskich. Ja myślę, że nie jest z tym tak źle, ale też pamiętajmy o pewnych proporcjach. Wojna, bitwy o Lwów w roku 1918, z dzisiejszego punktu widzenia są jednym z wielu wydarzeń. W roku 1920, 21, 22 wyglądało to troszeczkę inaczej, ta perspektywa była trochę inna. Proszę państwa, powoli, przez czas, zmuszeni jesteście kończyć. Pan profesor właśnie pytał, jak zakończymy, czy zakończymy pozytywnie? Nie wiem, czy jest lepiej kończyć pozytywnie, czy negatywnie, bo to może budzić większe emocje. Myślę, że tu doskonałym sposobem będzie kilka słów poświęconych książce. Panów profesorów bym prosił o wyrażenie krótkich opinii o pracy doktora Damiana Markowskiego na temat Lwowa i walki o Lwów, i jak panowie tą pracę odbieracie, czy jest to próba przełamania jakiegoś stereotypu, czy jest to rodzaj historii rewizjonistycznej, która wszystko wywraca i stara się nam przekazać jakąś nową narrację, czy to jest pisanie jak to pisano do tej pory?

Prof. Jan Pisuliński: Dla mnie to najpełniejsze przedstawienie walk o Lwów między 1 a 22 listopada, bo wcześniej, oczywiście nie możemy zapomnieć, że powstało szereg prac, począwszy od Macieja Kozłowskiego, Michała Klimeckiego, Rafała Galuby, Ludwika Mroczi i szeregu innych. Wszystkie one traktowały temat szerzej i słusznie, bo oczywiście te walki o Lwów były jedynie początkiem konfliktu polsko-ukraińskiego, pochłonął on dziesięć tysięcy zabitych po stronie polskiej, a piętnaście tysięcy po stronie ukraińskiej, według ogólnych szacunków. Książka ta, to jest przede wszystkim najpełniejsze wykorzystanie literatury ukraińskiej, ukraińskich źródeł, i przedstawienia z obu punktów widzenia. Czytając książkę, trudno jest się domyślić jakiej narodowości jest autor i to jest wydaje mi się najbardziej wartościowe w tej pracy. Oddanie czci bohaterstwu, odwadze, poświęceniu, ale również pokazanie negatywnych stron tego konfliktu po obu stronach. Wartościowe w niej jest również dążenie do maksymalnego obiektywizmu, który podobno, według metodologów, jest po prostu niemożliwy. Dążenie do niego daleko zaawansowane, wykorzystanie źródeł, opracowań, to jest na pewno olbrzymia wartość tej pracy.

Prof. Mykoła Łytwyn: Zgadza się z kolegą, że praca, nie całkowicie, ale częściowo kontynuuje studia, jakie zapoczątkował Michał Klimecki, Maciej Krotofil i inni polscy badacze. A co robić dalej? Szukać źródeł i wydawać nowe tomy. Jest jeszcze wiele źródeł nieznanych. Wiemy, że archiwum ZUNR zostało przekazane w 1945 roku z Wiednia do Rzymu. Dopiero teraz jest opracowywane archiwum, znajdujące się w UKU we Lwowie i tylko częściowo zostało opublikowane. Do tej pory nie są opracowywane dokumenty wojska internowanego, które są przechowywane w archiwum narodowym w Pradze. Radzieckie służby specjalne wywiozły to, co było na pierwszym i drugim piętrze, zaś pozostawiły to, co było w piwnicach, nie jest to opracowane. Wielkie kolekcje nie są opracowane w Centralnym Archiwum Wojskowym, część

dokumentów jest także w Moskwie, w Centralnym Archiwum Wojskowym, to te dokumenty, jakie zabrano w 1939 roku, część jest skopiowana, ale część niestety nie.

Dr Paweł Libera: Ja dodam tylko, uzupełniając w pewnym sensie to, co powiedział pan profesor Łytwyn, że w pewnym momencie, około dziesięciu lat temu, politykom francuskim udało się bardzo dużo z tego archiwum w Moskwie odzyskać i rzeczywiście odzyskali wszystkie materiały, które były związane z Francją. Nie odzyskali tylko kilku zespołów archiwalnych, w tym wyliczę: Biblioteki im. Symona Petlury w Paryżu, czasopisma „Tabor”, kilku ważnych zespołów ukraińskich, emigracji ukraińskiej, która funkcjonowała we Francji i według zasad przynależności terytorialnej powinna wrócić do Francji. Rosjanie nie zwrócili tych materiałów do Francji i zatrzymali je tam, gdzie obecnie są polskie materiały i cały czas czekają.

Proszę państwa, kończąc, pozwolę sobie powiedzieć kilka słów na temat tej książki i mojego odbioru tej pracy. Dłuższy czas wydawało mi się, że nie można napisać książki, która traktuje równolegle dwie strony, wręcz kiedy kilka lat temu z kolegami litewskimi zastanawialiśmy się nad monografią stosunków polsko-litewskich, planowaliśmy to zrobić inaczej. Polski autor pisze jeden rozdział, litewski równolegle drugi rozdział, ponieważ dochodziliśmy do wniosku, że może być zbyt trudno napisać je razem, zachowując obiektywizm. Mam wrażenie, jak wcześniej powiedział profesor Pisuliński, trudno stwierdzić, a może i nie, jakiej narodowości jest autor, bo to widać. Duża sympatia i ciepły stosunek do tej historii obrony Lwowa świadczą o tym. Jednocześnie, jak powiedział profesor Łytwyn, jest bardzo duży szacunek i spokój w podejściu do przeciwnika. Tak właśnie było powiedziane, oponent, przeciwnik, ale nie wróg, jeżeli można tak to rozróżnić. Nie zmienia to faktu, że autor pisze bardzo szczegółowo o bardzo krwawych, o bardzo nieprzyjemnych przypadkach, wypadkach rozstrzeliwań i zarówno ze strony ukraińskiej, ale też o przypadkach, które miały miejsce ze strony polskiej, kiedy to do niektórych ukraińskich żołnierzy strzelano w plecy. Te przypadki wszystkie są przytoczone, co więcej, pokazana jest bardzo szczegółowo tak zwana kuchnia wewnętrzna, czyli spory w dowództwie ukraińskim i w dowództwie polskim. Jest pokazana tchórzliwość i małość niektórych ludzi, a jednocześnie zachowane wszystkie proporcje. Dlatego też wydaje mi się, że z tego względu ta książka otrzymała Nagrodę im. Janusza Kurtyki, bo jest to w pewnym sensie nowy sposób spojrzenia na problemy, które już znamy, czyli jest to książka, jakiej jeszcze nie było. Dziękuję bardzo.

Glosa 13

Damian K.- Markowski

Instytut Pamięci Narodowej

LWOWSKI LISTOPAD
ANNO DOMINI 1918
– CEZURA W DZIEJACH
DWÓCH NARODÓW

Kres I wojny światowej stał się początkiem nowego świata dla wielu zniewolonych dotąd przez wielkie mocarstwa narodów Europy. Jesienią 1918 roku Cesarstwo Austro-Węgierskie obróciło się w gruzy. Z jego prochów powstawać zaczęły nieporadne jeszcze, ale już wolne organizmy państw narodowych. Orzeźwione powiewem wolności, wytyczać zaczęły nowe granice w Europie Środkowo-Wschodniej. Ich przebieg kreślono czy to przy zielonych stołach układów politycznych, czy też – jak w Galicji Wschodniej, jednym z największych europejskich tygłi narodowościowych – na polach bitwy, gdzie przelaną krwią kreślono nowe mapy.

Lwów, kluczowy ośrodek północno-wschodnich okrain umierającej w tamtych dniach Austrii, znalazło się w samym środku polsko-ukraińskiego sporu o wizję tej części kontynentu. Konflikt ten wybuchł ze wzmożoną siłą, wzmocniony o wszystkie dotychczasowe nieporozumienia, konflikty i zaszłości historyczne. Ani Polacy, ani Ukraińcy nie wyobrażali sobie swoich granic bez tego miasta. Zbyt mocno przejawiało się to zarówno w ambicjach i interesach politycznych, jak i w kwestiach czysto sentymentalnych, acz ściśle związanych z procesem formowania narodowego kręgosłupa. Dla jednych Lwów był kolebką utraconego państwa, w której niby w soczewce skupiały się dążenia niepodległościowe, gdzie żywy był kresowy duch, gdzie głęboko pielęgnowano polski patriotyzm i kulturę; dla drugich – wymarzonym Piemontem galicyjskim, ośrodkiem życia społecznego i nadzieją na budowę wolnej Ukrainy. Lwów zdominowany był jednak przez ludność polską i w związku z tym to polska kultura ukształtowała jego charakter, podczas gdy Rusini mieli przewagę na prowincji. Żadna ze stron nie była gotowa ustąpić. Mieszkańcy wspólnego przecież domu poczynili przygotowania, by siłą udowodnić swoje racje. Pokojowe współistnienie obu narodów zmierzało ku końcowi.

Przebieg doniosłych, ale i tragicznych wydarzeń oczekiwanej chwili przełomu zaskoczył obie strony, tym niemniej gorzej rozpoczęły się one dla Polaków. Skupieni wokół skonfliktowanych ośrodków niepodległościowych, aż do wybuchu walk nie byli w stanie porozumieć się co do planu działań, a nawet wyboru jednego dowódcy. Każda z grup pretendujących do miana reprezentanta powstającej Polski inaczej wyobrażała sobie przejęcie władzy, a kolejne rozmowy wokół powołania jednej komendy stanowiły bardziej jałowe spory niż konstruktywne działania. Grupa kpt. Czesława Mączyńskiego skupiona wokół Polskich Kadr Wojskowych zbliżona była sympatiami do endecji, Polską Organizacją Wojskową dowodził we Lwowie legionista por. Ludwik de Laveaux, a niewielką grupką zorientowaną na opcję płk. Władysława Sikorskiego – kpt. Antoni Kamiński. Zupełnie lekceważono możliwości przeciwnika, uważając zwycięstwo niemal za formalność.

Tymczasem strona ukraińska z dużym zapalem przystąpiła do samoorganizacji. Tajny Ukraiński Komitet Wojskowy sprawnie przygotował plan zajęcia Lwowa i całej Galicji na drodze

zamachu wojskowego. Skrupulatnie przewidziano, że działania przeciwko wiernym jeszcze monarchii C.K. oddziałom będą stanowiły zaledwie pierwszy etap operacji. Liczono się również z możliwością zbrojnego oporu Polaków. Nocą z 31 października na 1 listopada, całkowicie zaskakując zarówno polskie organizacje podziemne, jak i mieszkańców Lwowa, żołnierze ukraińscy w ciągu kilku godzin opuścili szeregi austriackie i utworzyli armię zachodnioukraińską.

Dzień 1 listopada stał się zatem tak dla Polaków, jak i Ukraińców oraz Żydów, początkiem nowej rzeczywistości. Tyleż symbolicznym, co będącym Cezurą, która kazała im się opowiedzieć po którejś ze stron; zdefiniować siebie na nowo, w wyraźnych granicach. W chłodny poranek dnia Wszystkich Świętych lwowianie zmierzający na cmentarze ze zdumieniem obserwowali błękitno-żółty sztandar na wieży ratuszowej, z niepokojem przemykali wśród wszechobecnych ukraińskich patroli. Działalność mającą na celu ochronę interesów społeczności żydowskiej rozpoczął również Komitet Żydowski, którego staraniem wystawiono formację porządkową – Milicję Żydowską. Zaskoczenie minęło jednak szybko. Najpierw pojedynczy polscy bojownicy rozpoczęli prawdziwe polowanie na żołnierzy ukraińskich, niepewnych na nieznanym sobie terenie miejskim. Od strzałów z bram kamienic padli pierwsi zabici i ranni. Po godzinie 9 rozległy się strzały pod szkołą Sienkiewicza – to grupa podkomendnych kpt. Zdzisława Tatar-Trześniowskiego odparła atak na pierwszą zorganizowaną stałą redutę obronną. Z każdą godziną polskie powstanie – wzniecone w odpowiedzi na powstanie ukraińskie – rozwijało się i rosło w siłę, zasilane ochotnikami spontanicznie włączającymi się do walki. W mieście ogarniętym bezładną jeszcze strzelaniną zapanował chaos.

Polscy z narodowości i po polsku myślący mieszkańcy miasta powstali zatem orężnie przeciwko młodej ukraińskiej władzy, zresztą siłą narzuconej miastu. Już pierwsze godziny walk pokazały, że to właśnie czynnik ludzki grać będzie kluczową rolę. Lwowskie „Orleńskie” – dzieci miasta, patriotycznie wychowana młodzież, ale i lwowscy ulicznicy – masowo włączyły się do walki, co zadecydowało o zachwianiu ukraińską przewagą techniczną i liczbową w pierwszych kilkudziesięciu godzinach bitwy. W obronie polskości miasta stanęły jego dzieci. Kleparowskie batiary, ale i studenci. Łobuzy z wielkowiejskich ulic, a obok nich – potomkowie najprzedniejszych lwowskich domów, kwiat inteligencji i młodzieży. Tego atutu nie miały wojska ukraińskie, a przynajmniej nie w takiej skali.

Po drugiej stronie znajdowali się głównie starsi wiekiem weterani, odważni, niektórzy bardzo doświadczeni wojną, ale zmęczeni po długiej tułaczce po różnych frontach, myślami bardziej przy gospodarstwie niż na kolejnym polu walki. Armia ukraińska dosłownie topniała w oczach wskutek dezercji, całe mniejsze oddziały porzucały broń i udawały się do domów, byle dalej od nowej wojennej „awantury”. Po stronie polskiej było dokładnie odwrotnie. Szeregi powstańców rosły w miarę napływu ochotników, tyleż żądnych walki, co zwykle nieobeznanych z bronią. Po kilkunastu godzinach walki Ukraińcy utracili kontrolę nad zachodnią częścią Lwowa.

Wojska ukraińskie ponosiły porażkę za porażką, choć za przeciwnika miały w ogromnej części młodzież, a nawet dzieci. Nie zmieniło tego nawet przybycie długo wyczekiwanego Legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych. Atak tej doborowej formacji na Dworzec Główny i część Śródmieścia został odparty po kilkugodzinnej walce, obfitej w wydarzenia i nagłe zwroty akcji. Dowództwo obrony objął kpt. Czesław Mączyński. „Polski” Lwów okrzepł, ale musiał doczekać odsieczy, bowiem niemal cała Galicja Wschodnia znalazła się pod kontrolą sił ukraińskich. Na tyłach linii bojowej zorganizowano służby techniczne, milicję, pomoc sanitarną,

słowem – powstańcy lwowscy utworzyli prawdziwą małą armię, nie wyłączając pododdziału artylerii i lotniczego. Zdawało się, że blisko już do całkowitego odbicia miasta z rąk ukraińskich. Nic bardziej mylnego.

Po dziewięciu dniach walk, na ogół pomyślnych dla Polaków, karta się odwróciła. Niefortunnie przygotowany i fatalnie przeprowadzony przez stronę polską szturm Śródmieścia zakończył się masakrą „Orlą” w Ogrodzie Jezuickim. Dziesiątki lwowskich dzieci na zawsze już pozostały w tym parku, dotąd kojarzonym z miejscem zabaw, długich romantycznych spacerów i schadzek. Armia ukraińska doczekała się ponadto poważniejszej pomocy z galicyjskiej prowincji. Do miasta ścigały kolejne oddziały, zbrojne nie tylko w karabiny maszynowe, ale i haubice, ciężkie moździerze, granatniki. Feralnego 9 listopada grupa weteranów śmiałym atakiem przebrała na pewien czas polski front, który z trudem udało się załatać.

Ogrom strat poniesionych podczas klęski wniósł ferment w szeregi obrońców. Podczas dramatycznej narady przedstawiciele wojska i polityki rozważano poddanie miasta, mając nadzieję, iż nawet w państwie ukraińskim Polacy zachowają część przywilejów. Pojawiły się w dodatku głosy o braku możliwości trwałego rozwiązania sporu z uwagi na skomplikowaną sytuację narodowościową regionu. Stanowisko zwolenników dalszej walki jednak przeważyło. Lwów nie składał broni, choć nadal nie otrzymał pomocy ze strony odradzającej się Polski. Walki o Przemyśl, stanowiący klucz do ewentualnej odsieczy, miały dopiero wejść w decydującą fazę.

Obroncy zostali wystawieni na najcięższe próby. Cały lwowski front huczał od strzałów karabinów i armat, każdy dzień przynosił kolejne starcia. Oddziały kpt. Boruty-Spiechowicza w wielogodzinnej bitwie na południowych przedpolach miasta pokonały ukraińskie siły odsieczy mimo ich przewagi liczebnej i sprzętowej. Niezdobytym polskim bastionem pozostał potężny gmach Szkoły Kadeckiej, kilkakrotnie szturmowany przez Ukraińców. Po całodziennej, niezwykle krwawej i bezkompromisowej walce odparto generalne natarcie na dzielnice północne, choć w końcowej fazie obrony na linię rzucono każdego, kto był w stanie się bić, łącznie z obsługą warsztatów i załogą lotniska na Lewandówce. Duch obrony nie został złamany, nawet gdy coraz częściej mordowano jeńców, a nawet rozstrzeliwano całe rodziny podejrzane o sprzyjanie powstańcom.

Atakujący również zaczęli opadać z sił. W natarciach na bronione zaciekle pozycje powstańców załamywały się kolejne ofensywy ukraińskie. Na froncie nastąpiła sytuacja patowa, żadna ze stron nie była w stanie przesądzić wyniku na swoją korzyść. Jednocześnie drastycznie pogarszała się sytuacja bytowa ludności miasta po obu stronach barykady – brakowało opału, środków sanitarnych i jedzenia, pojawiły się nawet przypadki śmierci głodowej. Nieustanna wymiana ognia zbierała krwawe żniwo wśród cywilów. Z dnia na dzień przybywało rannych i chorych, narastały obawy o wybuch epidemii.

Tymczasem kilkadziesiąt kilometrów na zachód wyjaśniła się sytuacja w Przemyślu, zajęтым 11 listopada przez wojska polskie. Po kilku dniach zbierania sił i organizacji odsieczy płk. Michał Karaszewicz-Tokarzewski przebił się do Lwowa czele oddziałów liczących ponad 1,3 tysięcy żołnierzy i pociąg pancerny. Wzmocniona posiłkami i pokrzepiona moralnie Obrona zyskała nowego ducha bojowego. Od razu też zaplanowano nową ofensywę.

O świcie kolejnego dnia rozpoczęło się przygotowanie ogniowej polskiej artylerii. Pozycje ukraińskie zasypało dziesiątkami granatów, a wkrótce potem do natarcia na północ, w Śródmieściu

i na Łyczakowie ruszyli żołnierze odsieczy oraz same „Orlęta”. O ile jednak ataki w dzielnicach północnych i centralnych załamały się, przy dużych stratach atakujących, na południu kpt. Boruta-Spiechowicz przerwał front nieprzyjaciela i wyszedł głęboko na jego tyły. Po brawurowym ataku przez Cmentarz Łyczakowski przestało istnieć ukraińskie południowe skrzydło frontu, jednak w boju tym poległo wielu młodych ochotników, między innymi czternastoletni Jurek Bitschan. W serca ukraińskich sztabowców wdała się obawa, że kontynuacja polskiego natarcia doprowadzi do okrążenia ich wojsk, co mogło przynieść zagładę całej zachodnioukraińskiej państwowości. W nocy z 21 na 22 listopada UHA opuściła Lwów i wycofała się na wschód. W godzinach rannych, wycieńczona forsownym nocnym odwrotem, została rozproszona pod Winnikami przez polskie samoloty i pociąg pancerny.

Odbicie miasta przez polskich powstańców, którzy przystąpili do nierównej walki mimo wszelkich przeciwności losu oraz własnego nieprzygotowania, było gotowym materiałem dla propagandy młodego państwa. W cień zepchnięto niechlubne karty listopadowych wydarzeń, przede wszystkim zbrodnię wojenną w postaci pogromu mieszkańców dzielnicy żydowskiej w dniach 22-24 listopada, *de facto* grzech pierworodny II Rzeczypospolitej. Obrońcy i wyzwoliciele miasta, żądni odwetu na Żydach za przypadki wspierania Ukraińców, zamordowali wówczas co najmniej 79 osób, niemal wyłącznie bezbronnych. Chętnie pomijano także mało zaszczytne spory członków Komendy Obrony, którzy szybko rozpoczęli między sobą prywatne wojny o przypisanie bitewnych zasług.

Skrupulatnie kulturowana legenda „Orląt”, budowana zarówno oddolnie, przez uczestników walk i ich rodziny, jak i odgórnie, przez propagandę i aparat państwowy, była niezwykle ważnym elementem edukacji młodzieży w międzywojennej Polsce. Młodocianych bojowników stawiano za wzór cnót, ich imiona miały stać się symbolami nowego polskiego obywatelstwa i patriotyzmu. To zresztą od nich, na równi z legionistami, słusznie wywodzono rodowód wolności obficie okupionej krwią. „Orląta” stały się wręcz obiektem kultury masowej międzywojennej Polski, ze wszystkimi tego pozytywnymi, ale i negatywnymi skutkami.

Wydarzenia ostatnich lat dowodzą, że emocje wokół lwowskiego listopada nie opadają. Jak ważną rolę odgrywa on dla Polski i Ukrainy, pokazuje wieloletni konflikt wokół odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa, dawnego „świętego pola” (Campo Santo) polskiej części miasta. Przypominają o nim choćby figury lwów, przysłonięte obecnie przez ukraińską administrację pułkami. Lwowski listopad był krwawą cezurą, oddzielającą na nowo narody żyjące na jednej ziemi, na której każdy z nich chciał być gospodarzem. Co najgorsze – pociągnął on za sobą brutalizację konfliktu polsko-ukraińskiego, która w latach II wojny światowej zrodziła krwawy owoc hekatomby ofiar, tym razem w ogromnej większości cywilnych.

Debata pt. „Relacje polsko-ukraińskie.
Historia i narracje. Panel II: Rozdroża pamięci.
Współczesne relacje polsko-ukraińskie
a sporne problemy historyczne”
odbyła się 3 października 2019 roku
w Pałacu Belwederskim w Warszawie.

ROZDROŻA PAMIĘCI, SPORNE PROBLEMY HISTORYCZNE

W dyskusji udział wzięli:

prof. Grzegorz Motyka
(Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie),
prof. Jarosław Syrnik
(Uniwersytet Wrocławski)
oraz dr Łukasz Adamski
(Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia).

Rozmowę poprowadził
dr Łukasz Jasina

Dr Łukasz Jasina: Bardzo dziękuję i bardzo cieszymy się z tej możliwości, jaką otrzymaliśmy od Fundacji im. Janusza Kurtyki. Poprzednia debata kończyła się chęcią znalezienia czegoś optymistycznego. Myślę, że sam fakt, że musimy, mimo tego, co się zdarzyło sto lat temu, mówić o kolejnym kryzysie w relacjach polsko-ukraińskich, bardzo mocno opartym na odmiennym spojrzeniu na historię, dowodzi tego, że jednak nie wszystko nam się udaje. Może damy drobny i pozytywny asumpt, wymyślając pewne recepty. Na początku trzeba byłoby ten konflikt opisać i zrozumieć, na czym on polega. Tutaj chciałbym się zwrócić do pana profesora Grzegorza Motyki, który jest nie tylko historykiem, ale również uznanym ekspertem w sprawach dotyczących współczesnych stosunków polsko-ukraińskich. To będzie również pytanie przekazane kolejnym panelistom. Chciałbym prosić pana profesora Grzegorza Motykę o to, aby spróbował dokonać czegoś, co się we współczesnym żargonie nazywa mapowaniem, to znaczy określić, jakie problemy dla stosunków polsko-ukraińskich wynikają z historii, jakie wydarzenia są potencjalnie kontrowersyjne, a które wydarzenia powodują konflikty. Oczywiście chodzi o to, co powoduje konflikty w ciągu ostatnich kilku lat. Zwłaszcza po roku 2016, gdy ten konflikt historyczny polsko-ukraiński przybrał nieco ostrzejszą formę niż poprzednio.

Prof. Grzegorz Motyka: Bardzo dziękuję za zaproszenie. Zacznę od tego, że serdecznie gratuluję panu doktorowi Damianowi Markowskiemu nagrody i napisania świetnej książki. Czytało się ją znakomicie, smakowała, jeśli można tak powiedzieć, jak kruche ciastka. Znakomita lektura.

Odpowiadając na pytanie moderatora. Punktów, wokół których trwa dyskusja polsko-ukraińska, gdzie istnieją i zapewne będą istnieć odmienne punkty widzenia strony polskiej i ukraińskiej jest oczywiście dużo. Można tu mówić o powstaniu Chmielnickiego, o wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919 roku, o której już wcześniej tyle wspomniano, o polityce II Rzeczypospolitej, o akcji „Wisła”. Jednak, co powtarzam od dawna, polem gdzie rzeczywiście istnieje konflikt pamięci i gdzie ta historia realnie wpływa na politykę, jest okres drugiej wojny światowej i przede wszystkim antypolska akcja OUN i UPA na Wołyniu i w Galicji wschodniej z lat 1943-45, zwana też inaczej Zbrodnią Wołyńsko-Galicyską. To jest tak wrażliwy fragment historii, że należy właściwie przyjąć do wiadomości, że bez intensywnej pracy, bez, mówiąc umownie, rozminowania tego pola historycznego napięcia, nie da się sprawić, aby ta kwestia nie wracała w dyskusjach polityków. By pokazać na czym polega problem, zarysuję polityczno-historyczne stanowiska polskiej i ukraińskiej strony. Przypomnę, że w czasie antypolskiej akcji, której celem było usunięcie całej polskiej ludności z Wołynia i z Galicji Wschodniej, zginęło w sumie około stu tysięcy Polaków i kilkanaście tysięcy Ukraińców, głównie też cywilów, jacy padli ofiarą polskich akcji odwetowych, czy akcji zemsty.

Strona ukraińska ocenia te wydarzenia jako, z jednej strony bunt ludowy, a z drugiej, jako swoistą drugą wojnę polsko-ukraińską, będącą „dogrywką” wojny z lat 1918-19, w której obie strony popełniły zbrodnie. W tej wizji nie jest ważne, kto popełnił większe zbrodnie, należy natomiast uznać, że to była dramatyczna i zbrodnicza dla obydwu stron karta historii. Dlatego politycy powinni sobie podać ręce w geście wzajemnych przeprosin i po prostu o niej zapomnieć.

Po polskiej stronie natomiast uznaje się, że był to jeden z najbardziej krwawych epizodów drugiej wojny światowej. Oczekuje się jednocześnie od strony ukraińskiej jednoznacznego przyznania się do winy. Najpierw, a z tym już jest problem, że miała miejsce zorganizowana antypolska akcja OUN i UPA. Zbrodnia Wołyńska została popełniona przez OUN i UPA, czyli że ukraiński obóz nacjonalistyczny, przede wszystkim banderowcy, ponoszą pełną odpowiedzialność za to, co się wówczas stało. Z tego wynika, po drugie, dalej idący postulat polityczny, by OUN i UPA zostały uznane de facto za organizacje zbrodnicze. Tymczasem, jak wiemy, Ukraina dzisiaj oficjalnie uznaje obie te organizacje za formacje niepodległościowe, których członkowie mają uprawnienia kombatanckie. Z pierwszego postulatu, to jest z uznania, że w latach 1943-1945 na Wołyniu i w Galicji Wschodniej doszło do masowych zbrodni, za które odpowiada OUN i UPA, moim zdaniem, żadna siła polityczna w Polsce zrezygnować nie może. A jeśli któraś z partii, by w tym punkcie ustąpiła, będzie ponosić straszliwe koszty polityczne w następnych latach. Natomiast drugi postulat jest bardzo trudny do zrealizowania, ponieważ po stronie ukraińskiej odbiera się go jako próbę odebrania Ukraińcom naturalnego prawa do samodzielnego wybierania sobie bohaterów. Z tego powodu, moim zdaniem, ten drugi postulat jest w istocie po prostu nierealizowalny.

Prof. Jarosław Syrnyk: Dziękuję za zaproszenie. Ja się z profesorem Motyką zgadzam i jednocześnie się nie zgadzam. Dlatego, że rzeczywiście, w tym wymiarze kluczowym problemem, który ogniskuje, ze zrozumiałych względów, największe emocje są wydarzenia z okresu ostatniej wojny i kilku lat powojennych. W chronologicznym aspekcie to jest okres 1939–1947/1948, do którego obie strony, obie narracje, obie historiografie, zajmują skrajnie odmienne stanowisko. Tutaj z tym bym się zgodził. Natomiast nie zgodziłbym się w innym aspekcie. Staram się reprezentować świat nauki, staram się zrozumieć, do czego jest nauka powołana i wydaje mi się, że należałoby tutaj, mimo wszystko, pokusić się o pewnego rodzaju rozróżnienie dwóch płaszczyzn, o których rozmawiamy, a które, niestety często, w naszej debacie się ze sobą splatają i przez to powodują, że to, co mówimy, bywa niezrozumiane przez tych, do których mówimy. Ja mam na myśli tutaj płaszczyznę polityczną i właśnie płaszczyznę naukową. Tę płaszczyznę polityczną mój przedmówca przedstawił, oczywiście skrótowo. Można by było jeszcze kogoś poprosić ze strony ukraińskiej, aby przedstawił swój punkt widzenia. Rzeczywiście ten wniosek, który gdzieś tam na końcu został sprecyzowany, czy ogłoszony, o nierozwiązywalności pewnych kwestii, które gdzieś tam pozostaną sporne, pozostaną odmiennie widziane przez polityków, twórców polityki historycznej po jednej i po drugiej stronie.

Wydaje mi się łatwiejszym krokiem przeniesienie tej całej rozmowy na płaszczyznę naukową. Tutaj problemem podstawowym nie jest wbrew pozorom odmiennosc historiograficzna polskiej historiografii i ukraińskiej historiografii, tylko problemem podstawowym jest kwestia języka i wyobraźni. Ja zaraz to wyjaśnię, skrótowo, bo zdaję sobie sprawę z ograniczenia czasowego. Chodzi o to, drodzy państwo, że podstawowym takim elementem tworzącym narracje historyczne jest dzisiaj odwołanie się do figury narodu, rozumianego oczywiście w różny sposób. Jeśli historycy nie spróbują szukać rozwiązań metodologicznych, które, jak chociażby słyszeliśmy tutaj, częściowo zostały zrealizowane przez dzisiaj nagrodzonego historyka, to wydaje

mi się, że to będzie taka trochę jałowa, przypominająca bicie głową o mur, wymiana różnych ciosów, aż do momentu, kiedy to paliwo sporu historycznego ze zrozumiałych względów będzie przygasać albo pojawią się na horyzoncie jakieś nowe elementy, które jakby zastąpią to, o co dzisiaj się spieramy. My dzisiaj nie rozmawiamy o powstaniu hajdamackim, chociaż było krwawe, my rozmawiamy o Wołyniu. Czas leci i pytanie, o czym będą dyskutowały następne pokolenia jest zupełnie zasadnie tutaj postawione. Wydaje mi się, że jeśli o czymś należałoby tutaj powiedzieć, to właśnie o tym, żeby próbować w tym świecie historyków znajdować język, pozwalający na opisanie tej trudnej przeszłości – przeszłość nigdy nie jest łatwa – w taki sposób, który będzie nie tylko oddawał i próbował zrozumieć to, co się działo w przeszłości, ale który będzie takim językiem pełnym respektu do tych aktorów, którzy w tej przeszłości brali udział.

Dr Łukasz Jasina: Kontynuując to, co mówił twój poprzednik, napisałeś swego czasu doktorat o historyku, który został politykiem, a właściwie był nim cały czas, więc wiesz, jak to się łatwo miesza i jak łatwo jest w tą pułapkę wpaść. Pytanie chcę zadać bardzo krótkie. Jak w związku z tym uchronić historię i debatę historyczną, jak umożliwić historykom działanie wewnątrz metodologii, jak umożliwić im wykonywanie ich pracy w czasie, gdy pewne sprawy stały się konfliktami o charakterze politycznym o pewne sprawy wynikające z przeszłości ?

Dr Łukasz Adamski: Historia i polityka są w nieustannym związku. Trudno mi sobie wyobrazić wyabstrahowanie historii, historiografii od polityki, dlatego, że historiografia bazuje na pewnych ocenach, na ocenach wartości, na pewnej metodologii, o której mówił już profesor Syrnok. Kiedy nie ma zgodności w odniesieniu do tego, w oparciu o jakie wartości mają oceniać historię albo w oparciu o jaką metodologię mamy tworzyć wizję przeszłości, to wtedy dochodzi do konfliktów. To, co nastąpiło w ostatnich kilku latach, czyli pogorszenie klimatu w relacji polsko-ukraińskiej, a przy jednoczesnej deklarowanej woli obu rządów Polski i Ukrainy, aby jak najściślej współpracować ze sobą, pokazuje, że jeśli historię traktuje się nieumiejętnie, w sposób nieostrożny, może mieć naprawdę potencjał zagrażający przyjaznym relacjom między oba narodami.

Kontynuując myśl profesora Motyki i profesora Syrnoka, to trzeba zanalizować tak naprawdę, czego nam zbrakło w ostatnich paru latach, zarówno jeżeli chodzi o dialog historiograficzny i dialog polityczny, po to, żeby wspólnie wypracować recepty dróg wyjścia. Ja na potrzeby tego krótkiego wystąpienia przygotowałem wyodrębnienie czterech deficytów, deficyt zaufania, komunikacji, kompetencji dyplomatycznych do prowadzenia tego dialogu i deficyt metodologii w stosowaniu metod badań historycznych.

Jeśli chodzi o deficyt zaufania, to on wynika i to po polskiej stronie, i po ukraińskiej, z pewnych doświadczeń, trudności dotychczasowego dialogu polsko-ukraińskiego i jednocześnie po stronie ukraińskiej on też z tego wynika, że polską historiografię, czy polską politykę postrzega się przez pryzmat różnych mitologemów narodowych, a także zachowania Rosji, z którą Ukraina jest *de facto* w stanie wojny. Po stronie polskiej to ten deficyt zaufania wynika z wielokrotnie nierealizowanych obietnic władz ukraińskich w odniesieniu do pewnych bolących problemów historycznych, zwłaszcza takim punktem tutaj była nowelizacja przyjęcia ustaw dokumentacyjnych, które *de facto* zabraniały krytyki UPA.

Dalej jest deficyt komunikacji, wynikający i jest to bardzo ważne, żeby to zrozumieć, wynikający z tego, że angażowanie się w dialog z Ukrainą generowało pewne koszty polityczne, tak

samo po stronie ukraińskiej angażowanie się w dialog z Polską generowało koszty polityczne w postaci na przykład utraty poparcia wpływowych środowisk kresowych albo wpływowych środowisk nacjonalistycznych, albo w ogóle zachodniej Ukrainy, odpowiednio dla polskich i ukraińskich polityków. To wpływa na determinację polityków, aby rozwiązywać problemy na tle historycznym.

Deficyt kompetencji dyplomatycznych, to tutaj można by było bardzo dużo mówić, ja tutaj może przypomnę kilka takich wydarzeń, które nastąpiły w ostatnich latach. Mieliliśmy nie tylko spór o ekshumację, ale też o Przełęcz Werecką, o to, czy Polska była okupantem Galicji Wschodniej, czy nie była, w roku 1939, więc tak naprawdę spór, który można by było bardzo prosto rozwiązać, gdyby odpowiednie ukraińskie organa rozumiały, że pojęcie okupacja jest pojęciem prawnym definiowanym w konwencjach haskich i polskie MSZ musi reagować, kiedy władze ukraińskie, wicepremier, odsłania tablicę poświęconą polskim okupantom Galicji w 1939 roku. To jest kwestionowanie suwerenności polskiej na tym obszarze.

Można by było dużo mówić o pojęciu ziem etnicznych, które często są stosowane w sposób, który wywołuje napięcia po polskiej stronie. Ja podzielę się krótką refleksją z przed dwóch tygodni. Kiedy wracałem z konferencji polsko-ukraińskiej w Jaremczu, jechałem autem do Kijowa i słuchałem polskiego radia i okazuje się, że konferencja w Jaremczu, w której brałem udział, odbyła się na Kresach. Nie mam nic przeciwko temu terminowi stosowanemu do okresu do roku 1945. Natomiast proszę zrozumieć elementarną wrażliwość Ukraińców czy Białorusinów, kiedy o terytorium ich państw *anno Domini* 2019 mówi się Kresy.

Mamy też deficyt metodologii, co jest najpoważniejszym problemem w dialogu historiograficznym. Są czasem wręcz fundamentalne rozbieżności odnośnie tego, jak należy traktować pojęcie narodu, co oznacza to pojęcie narodu, o tym wspomniał profesor Syrnyk, z czym się wiąże pojęcie terytorium narodowe, czy naród jest to samo co grupa etniczna, czy też wymaga jednak posiadania elit, świadomości narodowej. Nie chcę długo się rozwodzić nad tym tematem, ale to jest moim zdaniem podstawowy problem historiograficzny i uważam, że sporu o Rzeź Wołyńską nie da się rozwiązać bez jednoczesnej dyskusji o metodologii. Innym takim sporem jest, czy procesy narodotwórcze, które przebiegały na terytorium dawnej Rzeczypospolitej, tej przedrozbiorowej, odbywały się w sposób synchroniczny, czy asynchroniczny. Innymi słowy. Jak traktować obecność Polski na obszarze, który ukraiński ruch narodowy traktował jako ukraińskie terytorium narodowe.

Kończąc, mamy jeszcze specyficzną ukraińską sytuację, w postaci wzrostu tożsamości narodowej wśród tej części Ukraińców, która do wojny z Rosją nie była za bardzo zainteresowana ukraińską historią. Nie zadawała sobie pytań na temat ukraińskiej historii, swoich korzeni. To wywołało dużą popularność chwytliwych tez nacjonalistycznej części ukraińskiej historiografii. To miało też przełożenie na politykę. Jest tajemnicą poliszynela, że na przykład przemówienia byłego ministra Pawła Klimkina, z pochodzenia Rosjanina, żeby było jasne, pisał Wołodmyr Wiatrowycz. Można to zweryfikować, chociażby przez analizę artykułów Wiatrowycza i analizę przemówień Klimkina, a panowie się bardzo przyjaźnią. To pokazuje, że mieliśmy do czynienia z pewnymi procesami na Ukrainie, które też wpływały na dialog.

Co teraz robić? W jak największym skrócie, jak najwięcej rozmawiać wśród historyków o metodologii badań historycznych, o aksjologii historii, a wśród polityków tworzyć jak największą

sieć ludzi dobrej woli, zaufania, wzmacniać dialog, wzmacniać instytucje służące wprowadzaniu dialogu polsko-ukraińskiego. Dziękuję.

Dr Łukasz Jasina: Z tego co pan doktor Adamski powiedział, wynika kolejne pytanie o rolę instytucji. Nie możemy na forum poświęconym pamięci prezesa polskiego IPN-u nie wspomnieć o ukraińskiej próbie stworzenia podobnego do polskiego IPN-u, czyli o Ukraińskim Instytucie Pamięci Narodowej. W Polsce instytucja ta jest często słusznie krytykowana, ale też często mitologizowana. To jest właśnie pytanie do pana profesora Motyki, po *ad vocem* do słów Łukasza Adamskiego, żebyś przybliżył nam trochę jaka była idea stworzenia Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej i jakie są efekty jego pracy, zwłaszcza po ostatnich kilku latach i czy to jest ta instytucja, o którą panu Łukaszowi Adamskiemu chodziło, żeby budowały się instytucje, które będą przybliżać polsko-ukraińskie pojednanie do jakiegoś sensownego momentu ?

Prof. Grzegorz Motyka: Zacznę od wątku polemicznego. Nie powiedziałem, że spór wołyński jest nierozwiązywalny. Oczywiście, że można go zakończyć porozumieniem. Powiedziałem natomiast, że istnieje przepaść pomiędzy oficjalnym stanowiskiem ludzi kreujących politykę historyczną na Ukrainie i w Polsce. Według jednych UPA była jak AK i obie organizacje popełniły podobne zbrodnie, według drugich, UPA należy uznać za organizację zbrodniczą, a Wołyń za ludobójstwo. Zgadzam się, że należy korzystać z różnych podejść metodologicznych. Jednak uczulam na to, że nawet najbardziej wyszukana metodologia nie powinna pozwalać na ucieczkę od niewygodnych faktów i od aksjologii. Nie można uciekać od tego, czy jakieś wydarzenie miało miejsce, czy też jest fikcją i od tego, czy dana rzecz była czymś dobrym, czy złym.

Spójrzmy na wielki głód na Ukrainie, w trakcie którego zmarło ponad trzy miliony ludzi. Tak wynika z badań naukowych, ale w dyskusji padają też większe liczby. Więc albo ten wielki głód był czymś wyreżyserowanym, zaplanowanym przez władze komunistyczne – a wiele wskazuje na to, że tak – albo też może nie. Albo za klęskę głodu odpowiadał Stalin, albo nie. Strona ukraińska twierdzi, że głód został wywołany w sposób sztuczny i był wymierzony w Ukraińców. W tej narracji Stalin jest zbrodniarzem, dokonującym na zimno masowego mordu. Natomiast strona rosyjska lansuje interpretację, która mówi, że głód ogarnął wówczas cały Związek Radziecki, z braku chleba ginęli przecież wtedy też Kazachowie, Rosjanie i osoby innych narodowości. Dlatego należy uznać ówczesny głód za tragedię wszystkich narodów ZSRS.

Podobnie rzecz wygląda w wypadku Wołynia, albo doszło wówczas do zorganizowanej antypolskiej akcji OUN i UPA – a wszystko wskazuje na to, że tak – albo też nie. Albo chciano się pozbyć Polaków – na Wołyniu zamierzano wszystkich wymordować, zaś z Galicji Wschodniej wypędzić pod groźbą śmierci – albo nie było takiej operacji. Albo była to zbrodnia, albo też nie. Bez nazwania tych wydarzeń po imieniu, zawsze będziemy wracać do tych samych pytań.

Jeśli chodzi o Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, to powstał on po pomarańczowej rewolucji, a po obaleniu władzy Wiktora Janukowycza został mocno zreorganizowany, przy czym sensem jego istnienia nigdy nie był dialog polsko-ukraiński. Po rewolucji godnością jego głównym zadaniem było przeprowadzenie dekomunizacji i na tym polu odniósł on z pewnością sukcesy. Dzięki działaniom UIPN cała masa nazw ulic, pomników, często postawionych ku czci ludzi odpowiedzialnych choćby za głód z lat trzydziestych, zniknęła z przestrzeni miejskiej i symbolicznej Ukrainy. Za sukces UIPN uznałbym też szersze niż dotąd otwarcie archiwów

służb specjalnych, choć tu już bym zwrócił uwagę, że jest to otwarcie na poziomie polskim z lat dziewięćdziesiątych, przed powstaniem polskiego IPN-u. Nie zauważyłem bowiem, aby otwarto, choćby do wiadomości historyków, teczek agentury sowieckiej, jak również dokumentacji funkcjonariuszy aparatu represji. Uznano po prostu, jak sądzę, że kwestii dotyczącej agentury, infiltracji własnego społeczeństwa przez KGB, lepiej nie ruszać. Uważam to za błąd, ponieważ pokazanie na przykładzie choćby jednego kraju posowieckiego do jakiego stopnia infiltrowano własne społeczeństwo, być może miałyby taki uzdrawiający wpływ dla ludzi mieszkających nie tylko na Ukrainie.

Natomiast w wypadku spraw polsko-ukraińskich, to sprawa jest jasna. UIPN w kwestii wołyńskiej stanął bardzo twardo na stanowisku obupólnych win i w związku z tym od samego początku pojawiały się problemy, które później lawinowo zaczęły narastać od momentu tych wydarzeń na Przełęczu Wareckiej, o której mówił doktor Adamski. Przypomnijmy też o haniebnym niszczeniu ukraińskich pomników po stronie polskiej. Było to przyczyną wydania zakazu ekshumacji. Natomiast zwracam uwagę jednocześnie, że problemem była głównie sprawa Wołynia. UIPN otworzył wystawę, bodajże w 2015 roku, na Majdanie w Kijowie, na której po raz pierwszy od roku 1920 w pozytywnym świetle pokazywano marszałka Piłsudskiego. Dlaczego? Bo to jest fragment historii, który dzisiaj nie ma takiego politycznego znaczenia, choć wśród historyków wywołuje kontrowersje. Prof. Syrnyk powiedział, że z Wołyniem będzie jak rzeźnią humaną i za ileś tam lat spadnie on z pierwszego planu, i badacze będą się zajmować czymś innym. Przypominam sobie rozmowę w gronie kilku osób w Rzeszowie z posłem Aleksandrem Małachowskim, który uznał, iż sprawy polsko-ukraińskie zostaną rozwiązane, kiedy odejdzie jego pokolenie, będące świadkami wydarzeń. Od tej rozmowy minęło jakieś trzydzieści lat...

Dr Łukasz Jasina: Oczywiście, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć w ramach starej historycznej polityki reflektorów, które oświetlają różne rzeczy, jakie wydarzenia historyczne mogą nam sprawić jeszcze problem w przyszłości. Zwracam się do profesora Syrnyka z prośbą o *ad vocem* do tego, co mówił profesor Motyka, ale też wrzucę inny temat, bo wydarzenia historyczne i ich pamięć, konflikty wszystkich tych spraw, o których dzisiaj powiedzieliśmy, one generują nam całkiem współczesne problemy, generują być może mitologizowany przez niektórych historyków i publicystów wzrost antypolskich nastrojów na Ukrainie i wzrost nastrojów antyukraińskich w Polsce. Nie do końca przebadanych w wielu sprawach, ale przez wielu ludzi zauważane. Może nie tyle ten wzrost, ile też wzrost pewnych werbalnych ataków i pewnych werbalnych spraw. Chciałem już to wrzucić panu profesorowi jako drugą część pytania, to znaczy na ile wzrastanie takich rzeczy, wzrastanie antypolonizmu, ukrainofobii może służyć jako kolejna próba wpływania na historyków, żeby pisali tak, a nie inaczej?

Prof. Jarosław Syrnyk: Skoro zostałem sprowokowany do *ad vocem*, to posłusznie powiem dwa, a może trzy zdania. Powiem tak, że o ile zgadzamy się w takim wymiarze ogólnym na dobro, zło i wszyscy jesteśmy za dobrem, o tyle problem pojawia się w momencie, gdy zaczynamy opisywać konkretne sytuacje i to nawet nie te, które nazywamy ogólną kłamrą, na przykład druga wojna światowa, czy ludobójstwo na Wołyniu itd. Problem pojawia się w momencie, kiedy zaczynamy używać innych określeń na *de facto* te same wydarzenia. Jeżeli, że tak powiem, „wrzucamy sobie do ogródka”, to istnieje chociażby kwestia sformułowania słowa „odwet” na akcje, które były prowadzone wobec ludności cywilnej, obywateli Rzeczypospolitej narodowości ukraińskiej, które wydaje się takim narzędziem językowym, jakie nie oddaje

istoty sytuacji. Bardzo się cieszę z tego, co powiedział pan doktor Jasina w trakcie prezentacji, przywołując słowa profesora Janusza Kurtyki o tym, żeby właśnie próbować zwracać uwagę na to, jak funkcjonowała ludność cywilna, co ona przeżywała. Moim zdaniem, nawiąże tutaj do mojej pierwszej wypowiedzi, historycy powinni spróbować, popełniając błędy, krocząc czasami po manowcach, odnaleźć takie narzędzia opisu tej przeszłości, które będą właśnie znajdować elementy wspólne, oparte, tak na dobrą sprawę, o wspólne wartości, które są przez nas wyznawane. Bo jeśli jesteśmy chrześcijanami, jeśli odwołujemy się do Dekalogu, co zresztą opisałem w ostatnio wydanej książce, to tam nie ma żadnych przecinków po „nie zabijaj”. Nie ma „nie zabijaj ale, chyba, że” itd. Wydaje mi się, że o ile na tym poziomie ogólnym to wszystko brzmi z grubsza akceptowalnie i wszyscy się pod tym podpiszemy, to na poziomie szczegółowym można mieć z tym mnóstwo problemów. Ja nie chcę tego wątku rozwijać, drodzy państwo, ale to już profesor Włodzimierz Mędrzecki powiedział, o pewnym niedopowiedzianym konflikcie, mając pewnie na myśli konflikt o to, co jest istotą albo jednym z elementów rządzenia, władzy, na co składa się z jednej strony terytorium, z drugiej strony populacja. Drodzy państwo, nikt nie powiedział, że ten konflikt się już był zakończył i nigdy jakby nie będzie tego, czego się boimy, czego nie chcemy. Nie ma odwagi i jakby chęci do tego, żeby mówić o pewnych rzeczach wprost i to samo odnosi się do przeszłości.

Dalej, kwestia narodu, rozumienia narodu, tego, czy my nie mamy z tym problemu u nas, w Polsce, czy zdefiniowaliśmy się jako wspólnota obywatelska. Mówię to też z perspektywy obywatela tego kraju, tutaj urodzonego, osoby, której rodzice urodzili się jako obywatele Polski, dziadkowie itd. My, mam na myśli całe społeczeństwo, ciągle staramy się podkreślać jakąś inność. Przedstawiciele mniejszości także starają się to podkreślać i dlatego wydaje mi się, choć nie jestem do tego przekonany, wiodącym sposobem określania naszej wspólnoty jest jednak to podejście etniczne, a nie obywatelskie. To jest pewien problem i to też jest problem dla nas, jako społeczeństwa, jeśli mamy przed sobą wyzwania o charakterze państwowym, narodowym, obywatelskim. Wydaje mi się, że to jest sprawa do przedyskutowania.

Co do problemu antypolonizmu, to znów krótko, proszę państwa, bo nie chciałbym zabierać dużo czasu. Kilka dni temu obserwowałem wystąpienie premiera Pakistanu na sesji zgromadzenia ogólnego ONZ w Nowym Jorku i on w sposób piękny, oratorski, zwracał się do zebranych, apelując o interwencję świata w sprawie kwestii Kaszmiru, i nazywał w tym wystąpieniu dosyć brutalnie i wprost działania Indii, zwracając uwagę, jak mocno odwołują się władze indyjskie, według niego, właśnie do nacjonalizmu. Nacjonalizm to jest taka ideologia, idea, która sama w sobie dąży do wyznaczenia pewnych granic, a jeśli granic, to jest to także wyznaczenia tego, co do tej wspólnej przestrzeni nie należy. Nacjonalizmy, idee narodowe, są w różny sposób gradowane, są jakby też w różny sposób odbierane. Wydaje mi się, że antypolonizm, jako część nacjonalizmu ukraińskiego, istnieje i to nie ulega wątpliwości. Natomiast nie jest tym wiodącym elementem, szczególnie w obecnej dobie. Ukraina jako państwo odwołuje się dzisiaj do idei narodowej. To już nie jest idea Ukrainy, tak jak było do rewolucji godnościowej, czy wcześniej do rewolucji pomarańczowej, tylko to jest idea ukraińskiego narodu. To jest zmiana kardynalna. Budulcem tej idei narodowej czy nacjonalistycznej po wschodniej naszej stronie jest w pierwszej kolejności antyrosyjskość, może nie nawet antyrosyjskość, jak antymoskiewskość. Nawet w kontekście też tego, co pan doktor powiedział o ministrze Pawle Klimkinie, przypomnę postać Ołeha Sencowa, który przyleciał z uwięzienia i witali go w Kijowie. Ja nie słuchałem wcześniej jego wypowiedzi, wiedziałem tylko kim on jest i dla mnie było pewnym szokiem, jak usłyszałem, jak on mówi, chyba tylko po rosyjsku.

To są różne też nacjonalizmy, wydaje mi się, jeśli chodzi o wschodnią Ukrainę. Powiedziałbym, że jest taki lokalny, taki trochę swojski nacjonalizm galicyjski i jest ten drugi nacjonalizm, powiedziałbym taki kijowski, którego obliczem są bardzo często właśnie ci ochotnicy, którzy walczą gdzieś tam, na Donbasie, mówiący tylko po rosyjsku. Niektórzy z nich mogli być wcześniej na przykład kibicami, witającymi jeszcze czasach przedwojennych przybyszy z Moskwy w Kijowie, jako gości z prowincji, których wita stolica Kijowskiej Rusi.

Dr Łukasz Jasina: Łukasz, koło twojego *ad vocem*, do którego przygotowujesz się bardzo wytrwale, jest kilka kwestii, które chcę wrzucić, bo musimy zacząć dyskusję jednak na temat instytucji. Co Polska powinna zrobić, aby pomóc w dialogu historycznym z Ukrainą, żeby on nabrał nowego rozmachu, bo jednak przyznajmy szczerze, że mimo tego, że on istnieje, to jednak ciągle nie istnieje w takim stopniu, który by lepiej pomógł w odbudowaniu stosunków polsko-ukraińskich. Najpierw jednak proszę o Twoje *ad vocem*.

Dr Łukasz Adamski: Może ja najpierw odpowiem na to pytanie, a potem powiem *ad vocem*, bo może być wielowątkowe, jako że ja jestem z natury polemistą. Co do instytucji. Jest pewnym paradoksem, że od wielu lat i to nie chodzi o ostatnie cztery lata, tylko naprawdę od wielu lat w dyskusjach eksperckich pojawiają się dwa postulaty, pierwszy został zgłoszony przez Jerzego Giedroycia, żeby powołać w Kijowie polski instytut historyczny na wzór niemieckich instytutów historycznych, istniejący także w Warszawie. Niemcy tego rodzaju placówek naukowych, które prowadzą badania naukowe i dyplomację publiczną, mają w tym momencie osiem. Te placówki znajdują się w Warszawie, Moskwie, Waszyngtonie, Londynie, Rzymie. Polska ma z takich instytucji tak naprawdę dwie, do niedawna miała jedną, to jest Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, a teraz powstała filia Instytutu Pileckiego, też w Berlinie. Na wschodzie, nie tylko w Rosji czy na Białorusi, a zwłaszcza na Ukrainie, która jest dla polskiej polityki zagranicznej najważniejsza, takiej instytucji nie ma. Jest to w pewnym rodzaju niemoc, której nie możemy przezwyciężyć. Druga instytucja, tutaj powiem trochę z własnych doświadczeń, ale ja od ośmiu lat pracuję w instytucji, która została powołana przez polski sejm drogą ustawową, w Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Od trzech lat jestem wicedyrektorem i tutaj mógłbym bardzo dużo zdradzać od kuchni, ale i ile pożytecznych rzeczy udaje się robić, także z Ukrainą, pod hasłem polsko-ukraińskiego dialogu o Rosji, ale to wszystko, prawdę mówiąc, jest na granicy naszego mandatu, dialog o Rosji z Ukrainą, czy z innymi państwami, natomiast centrum polsko-ukraińskiego dialogu i porozumienia też nie ma. To tyle bym powiedział *a propos* instytucji. Do końca nie potrafię tego zrozumieć, mam nadzieję, że po wyborach pojawi się polityczna odnowa możliwości, aby przyspieszyć sprawę powołania tych instytucji.

Teraz *ad vocem*. Słuchając wypowiedzi obu profesorów wypisałem sobie sześć terminów, wokół których można by było zorganizować polsko-ukraiński dialog i zapewniam, że każdy z nich byłby dobrym tematem na panel. To jest ludobójstwo, to jest kolonializm, to jest okupacja, to jest pojęcie ziem etnicznych, czy coś takiego w ogóle istnieje, czy nie, to jest pojęcie imperiaлизmu, czy Polska była imperium czy nie, no i wreszcie pojęcie, co to jest naród.

To są, proszę państwa, bardzo fundamentalne rzeczy metodologiczne, które dotyczą aksjologii historii, dotyczą metodologii i jeśli my tego nie rozwiążemy, to znaczy, jeśli nie będziemy ciągle rozmawiać z ukraińskimi przyjaciółmi, ukraińskimi historykami, a przynajmniej – może

nie ze wszystkimi, bo tutaj nie chciałbym popadać w taką nacjonalizację historiografii: historiografia polska, historiografia ukraińska – z tym dominującym nurtem w ukraińskiej historiografii nie będziemy bezustannie prowadzić dialogu i przekonywać ich do skupienia tego dialogu w większym stopniu na sprawach metodologii, to moim zdaniem, dialog w odniesieniu do Rzezi Wołyńskiej będzie dialogiem trudnym do rozwiązania. To jest w zasadzie moja myśl, że ja oczywiście nie kwestionuję potrzeby tego dialogu i jestem sam osobiście zaangażowany, uważam jednak i to jest moja myśl, którą na początku wyraziłem, że nie sposób prowadzić tego dialogu nie prowadząc jednocześnie dialogu na szereg innych spraw. Dlatego, że te sprawy tak się emocjonalnie wiążą, że trudno mi sobie wyobrazić istotny postęp w tych sprawach, bez omówienia kwestii metodologicznych.

Jeszcze dwie ostatnie sprawy. Odnośnie pojęcia „akcje odwetowe”. To jest w dużej mierze właśnie kwestia tego, że ciągle też musimy prowadzić dialog na temat języka takiego, aby nie ranił z jednej strony, a z drugiej był eufemizmem, bo na przykład „pojęcie czystka etniczna o znamionach ludobójstwa” to jest pewnego rodzaju eufemizm prawniczy, bo wiadomo, że chodzi o ludobójstwo. Pojęcie „akcje odwetowe”, ja nie znam, prawdę mówiąc, w tym momencie lepszego pojęcia i też go używam, natomiast rozumiem pewne zarzuty co do niego. Być może wytłumaczeniem by było przypomnienie, że chociaż każde zabójstwo i mord jest potępiany, ale systemy prawne rozróżniają mordy dokonane ze szczególnym okrucieństwem czy premedytacją, czy dokonane w afekcie.

Wreszcie sprawa nastrojów antypolskich na Ukrainie i antyukraińskich w Polsce. Otóż, faktycznie były takie obawy, wielokrotnie podkreślane w mediach przez komentatorów, że spory historyczne będą miały przełożenie na stosunek opinii publicznej. Na szczęście tak się nie stało, przynajmniej na Ukrainie. Polska jest od pięciu albo sześciu lat, nie pamiętam czy to był 2013, czy 2014 rok, krajem, w stosunku do którego Ukraińcy odczuwają najwięcej sympatii i wahnięcia, które było w okresie apogeum sporów historycznych w 2017 roku, ono może miało dwa punkty procentowe z 59 na 57 % spadł poziom sympatii do Polski, natomiast tak naprawdę, oprócz obszaru Wołynia i Galicji, ludzie najczęściej nie wiedzą, w czym jest problem. Ja osobiście wielokrotnie musiałem przedstawiać im wręcz, jak profesor Motyka dzisiaj, dominujące w Polsce i na Ukrainie stanowisko.

Jeżeli chodzi o nastroje antyukraińskie w Polsce, to też bym nie przesadzał, są pewne środowiska, które nie potrafią zrozumieć tych uwarunkowań ukraińskich, które się czują skrzywdzone i przynajmniej wśród polskich elit jest zdecydowana sympatia wobec Ukrainy i mam nadzieję, że tak pozostanie.

Dr Łukasz Jasina: Zawsze warto przypominać, że Polska bardzo broni zwłaszcza tego, co się stało na Ukrainie po roku 2014. Mówię o okupacji Krymu i mówię okupacji Donbasu, i to bez względu na to jaki rząd jest u władzy. Ponieważ zbliżamy się powoli do końca, poproszę panów o krótkie wypowiedzi *ad vocem* i podsumowujące.

Prof. Grzegorz Motyka: Zgadzam się z profesorem Symykiem, że należy do masowych zbrodni przykładać jedną miarę. Właśnie o takie podejście aksjologiczne apelowałem. Podchodząc interdyscyplinarnie do problemu Zbrodni Wołyńskiej, patrząc na nią z punktu widzenia praw człowieka, biorąc pod uwagę osiągnięcia nauk prawnych, dotyczących oceny i zapobiegania zbrodniom wojennym, i zbrodniom przeciwko ludzkości oraz ludobójstwa, łatwo dostrzec

różnice w ocenach, o których wspominałem. W wypadku działań OUN i UPA mamy do czynienia z zorganizowaną odgórnie akcją antypolską, dlatego ma ona wyraźne cechy spełniające definicję ludobójstwa, genocydu. Natomiast w wypadku polskich akcji zemsty, gdzie ginęli ukraińscy cywile, mamy do czynienia ze zbrodniami wojennymi i zbrodniami przeciwko ludzkości, ponieważ nie było odgórnego rozkazu zakładającego wyniszczenie części Ukraińców. Żadna z takich akcji zemsty nie może być usprawiedliwiona, ale jednocześnie nie można działań ukraińskiego i polskiego podziemia stawiać na jednej płaszczyźnie. Trzeba zwrócić uwagę, że w debatach na ten temat część naukowców, publicystów, dziennikarzy i polityków, kładzie tak duży akcent na prawdziwych faktach zbrodni popełnionych na ukraińskiej ludności cywilnej, aby następnie postawić znak równości między jednym zjawiskiem a drugim, co jest już rzeczą trudną do zaakceptowania.

Kończąc, chciałbym zwrócić uwagę, że Polska i Ukraina mają wiele zbieżnych interesów i właściwie dzieli nas tylko pamięć o niektórych fragmentach historii. Należy się cieszyć, że po stronie polskiej i ukraińskiej istnieje świadomość istnienia tej zbieżności interesów. Cieszę się, że nie pozwolono, aby historia zawłaszczyła przestrzeń polityczną do tego stopnia, by ustąpiła codzienna współpraca. Nawet w najtrudniejszych momentach z ostatnich lat tak się nie stało. Jednocześnie jednak trochę nie rozumiem elit politycznych obu państw, dlaczego nie chcą do tego problemu historycznego podejść poważnie, usiąść do stołu rozmów w spokojnym czasie, niezakłócanym przygotowaniem do kolejnej okrągłej rocznicy i rozwiązać go ostatecznie. A moim zdaniem, do ułagodzenia tego konfliktu pamięci, tak żeby przestał on burzyć spokój społeczny, potrzeba dwóch rzeczy, ekshumacji ofiar i stworzenia odpowiednich upamiętnień w miejscach pochówku oraz wyraźnego nazwania tego, co się wówczas wydarzyło. Dziękuję.

Prof. Jarosław Syrnyk: Można by było powiedzieć, że skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle. Ja mam jednak trochę inne odczucia, co do stanu spraw polsko-ukraińskich. Nie uważam, że one stoją na jakimś dobrym poziomie, czy właściwym, czy zadawalającym. Wydaje mi się, że były tutaj przywoływane wypowiedzi sprzed wielu, wielu lat, pewna lista potrzeb, diagnoz, które zostały ogłoszone, jeżeli chodzi o kwestie polsko-ukraińskie. Może błędem, który został popełniony, była nadmierna ufność w to, że duże cele uda się zrealizować szybko albo je zadekretować, albo stwierdzić, że cel ogólny będzie satysfakcjonował wszystkich. Wszyscy będą go rozumieli w ten sam sposób. Mnie się wydaje, że z punktu widzenia menadżerskiego, politycznego, warto by rozbić to na mniejsze i drobniejsze projekty, które będą zmierzały w jakimś określonym kierunku.

Tutaj kwestia ekshumacji, po obu stronach granicy, bo wydaje mi się, że to jest też kwestia, która jest istotna tutaj po naszej stronie, należy na pewno do takich mniejszych projektów. Ja bym też zaczął od tego, co robili społecznicy, jak zrobili tak zrobili, bo tutaj jest dużo zastrzeżeń co do tego, ale jednak wydaje mi się, że państwo polskie mogłoby pokusić się o stworzenie takiego państwowego rejestru ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego, który zawierałby wszystkie dane obywateli polskich i byłby to wyznacznik tego rejestru, a nie byłaby takim wyznacznikiem kwestia etniczna. Ja mówię tutaj o wszystkich obywatelach Rzeczypospolitej w rozumieniu II Rzeczypospolitej, także obejmującego te województwa wschodnie. Dzisiaj są możliwości co do tego, aby takie rzeczy robić, mamy techniczne możliwości i nie byłoby to takie trudne. Jest kilka grup, które tym się zajmują także na Ukrainie, ale to powinno mieć taką pieczęć państwową, taką pieczęć, która by zdejmowała chociaż z agendy kwestię liczby

ofiar. Wiadomo, że być może nie dojdziemy do dokładnej liczby, ale nie będzie tego przeliczania się kwestiami, a to zginęło tylu Ukraińców, a to zginęło tylu Polaków itd. Rejestr państwowy jest kwestią, którą na przyszłe lata można by było zrealizować. Druga kwestia to jest jednak szukanie tych elementów w społecznościach lokalnych, które pokazywałyby trochę inne oblicze relacji polsko-ukraińskich z lat 1939-47, ja tutaj mógłbym powiedzieć, że mamy w związku z tym rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej. Kwestie tego, żeby jednak przy najbliższej, nadarzającej się sposobności pamiętać o stu tysiącach żołnierzy Wojska Polskiego narodowości ukraińskiej, którzy we wrześniu brali udział w obronie Rzeczypospolitej i tych siedmiu tysiącach Ukraińców, którzy zginęli w mundurach Wojska Polskiego, a nie ciągle przypominać legion Suszki, który gdzieś tam incydentalnie brał oczywiście udział, ale porównując do tej daniny krwi, która została przelana przez obywateli polskich narodowości ukraińskiej, no to jest jednak pewna peryferia. To jest kwestia upamiętnień, chociażby w miejscowości Besko w powiecie krośnieńskim, spróbować tam stworzyć upamiętnienie przy jakiejś nadarzającej się okazji dwudziestu dwóch mieszkańców tej miejscowości, którzy 9 września 1939 roku zostali rozstrzelani przez wkraczające wojska niemieckie. To byli mieszkańcy tej miejscowości, czternastu Ukraińców i ośmiu Polaków. Takich miejscowości na terenie wschodnim było więcej.

Droży państwo, to jest ogromna rola historyków, ale jeszcze większa i tu się zgadzam w stu procentach, elit politycznych, opiniotwórczych, dziennikarzy, którzy mieliby pewną chęć do tego, żeby takie rzeczy promować i dostrzegać.

Dr Łukasz Jasina: Swego czasu Wołodmyr Wiatrowycz organizując wystawę na rocznicę zakończenia wojny, podpisał się pod stwierdzeniem, że Ukraina uczestniczyła w niej od 1 września 1939 roku, czyli niejako uznał pozytywnie obecność Polski w historii Ukrainy. Kolejna pozytywna rzecz do dialogu polsko-ukraińskiego w IPN.

Dr Łukasz Adamski: Tutaj na początku doktor Jasina przypominał, że jestem autorem książki o Michale Kruszewskim, czyli o bardzo wybitnym ukraińskim historyku i polityku. W związku z tym ja też podzieliłem się taką osobistą refleksją, że zaczynałem swoją działalność naukową jako historyk XIX wieku i stosunków polsko-ruskich, tak wówczas mówiono, właśnie w końcu XIX wieku. Tak jak teraz naszą pamięć, nasze relacje, obciąża kwestia Rzezi Wołyńskiej i ocena mordy, tak wówczas takim konfliktogennym wydarzeniem była ocena rzezi humańskiej. Tak jak teraz Polacy mówią o banderowskich obyczajach, a Ukraińcy nazywają się banderowcami, niektórzy oczywiście, tak wówczas była mowa o Hajdamacczyźnie, o hajdamackich nożach, a ruscy studenci Kruszewskiego z dumą krzyczeli do polskich studentów. To było sto czterdzieści lat po wydarzeniach, doszło nawet do strzelaniny na Uniwersytecie Lwowskim. Uważam, że teraz za bardzo nikt tym się nie ekscytuje i kwestia Rzezi Wołyńskiej oczywiście będzie nadal odgrywać rolę, ale z powodów naturalnych będzie następowała zmiana pokoleń, generacji. Badacze dobrze wiedzą, że pamięć żywa jest do trzech, czterech pokoleń.

Dr Łukasz Jasina: Mamy jeszcze, Łukasz, pamięć po pamięci. Mamy to w Związku Radzieckim, z Armią Czerwoną, mamy Holokaust.

Dr Łukasz Adamski: Mamy Holokaust, mamy kwestię Armii Czerwonej, mamy lata trzydzieste. To jest to, co pamiętamy osobiście albo pamiętają nasi ojcowie, albo dziadkowie, w najgorszym razie pradziadkowie. Natomiast wojen napoleońskich już nie pamiętamy i najprawdopodobniej

relacji rodzinnej z wojen napoleońskich też nie mamy. To pozwala nam z większą beznamiętnością pewne rzeczy oceniać. Tak naprawdę uważam, że oprócz dialogu o Rzezi Wołyńskiej musimy robić bardzo dużo drobnych kroków, inwestować w sieć powiązań, także podkreślać inne aspekty w relacji polsko-ukraińskiej i przez to pokazywać, że historia jest bardziej skomplikowana i jest znacznie szersza, i bogatsza niż kwestia 1918-1947. Dziękuję bardzo.

Dr Łukasz Jasina: Dziękuję bardzo panom, dziękuję bardzo organizatorom.

Wydawnictwo prezentowane Czytelnikowi wieńczy pierwszą odsłonę dużego projektu Fundacji im. Janusza Kurtyki w Warszawie pt. „Historia, prawda, terażniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości?”. Polegał on na zorganizowaniu w latach 2018-2019 cyklu debat, które podejmowały problematykę relacji Polski z Niemcami, Izraelem, Rosją i Ukrainą. Zespół fundacji dostrzegł bowiem lukę, dotyczącą jakości stosunków z wymienionymi państwami. Okazuje się, że ich dynamika wynika często z trudnych doświadczeń historycznych. Dyskusje opierały się na dwóch zasadniczych wymiarach. Z jednej strony rozmówcy nakreślali diagnozę problemów dyplomatycznych, wynikających ze wspólnej historii Polski i partnerów, z drugiej zaś próbowali formułować recepty dla instytucji państwowych w celu budowania trwałych i wymiernych relacji obustronnych. Książka stanowi zapis konfrontacji poglądów na te tematy.

Zaproszenie do udziału w projekcie zechcieli przyjąć znamienici eksperci, reprezentujący różne dziedziny wiedzy i profesje: naukowcy, analitycy, publicyści, działacze społeczni. Wywodzą się oni z najważniejszych ośrodków akademickich w Polsce, instytucji publicznych bądź redakcji.



HISTORIA, PRAWDA, TERAŻNIEJSZOŚĆ

**Jak prowadzić stosunki międzynarodowe
w kontekście przeszłości?**

Diagnozy, recepty, zapis debat

ISBN 978-83-949511-2-2

Publikację dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie
w ramach Programu „Patriotyzm Jutra”

Dofinansowanie projektu: _____



Patroni Medialni projektu: _____

